





SYMPOZJON

WYBÓR
PROZAIKÓW
POLSKICH

WIEKU
DZIEWIĘTNASTEGO
I DWUDZIESTEGO

WYDANIE
DRUGIE

Nr. In. 879

Dz. VIII B. chr. 61.

~~Państwowe Zakłady Kształcenia
NAUCZYCIELI
KURSY PEDAGOGICZNE, LICZBA PEDAGOGICZNA
GIMNAZJUM KOLEJAKOWSKIE, SZKOŁA ĆWICZEN
W RADOMIU~~

~~Biblioteka Państwowego
w Radomiu,
Instytut Pedagogicznego~~

SPORZĄDZIŁ
STANISŁAW ADAMCZEWSKI

KSIĄŻNICA - ATLAS

ZJEDNOCZONE ZAKŁADY KARTOGRAFICZNE I WYDAWNICZE
TOW. NAUCZ. SZKÓŁ ŚREDN. I WYŻSZ. — SP. AKC.
LWÓW — WARSZAWA

1928



Do udostępnienia
tylko w Czytelni

43321

884(091)

całk. 884(091) "ogólna"

~~884(091)
Adla
Sym
5331~~

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 43321

BGZs 43321

2090

„...Szeregi martwe ksiąg na półkach biblio-
tecznych, zasute pyłem. Obojętne, głuche grzbiety
opraw. Zgasłych myśli popioły... Ale — co to?
Wpatrz się tylko młodemi oczyma: budzą się du-
sze uspionych ksiąg! Z pod pyłu wzbija się pło-
mień gibki — znicz myśli, czujna zaduma o lo-
sach świata, człowieka, ducha. Wstuchaj się uchem
duszy młodej w głosy tych ksiąg: te księgi żyją!
Ciebie wołają milczącą mową swych kart; a tyle
tonów jej, tyle rytmów, tyle jej brzmień, ile od-
rębnych imion. Równie, miarowe akcenty myśli ba-
dawczej, pilnie schylonej nad zagadkami dziejów,
twórczości i życia; to znowu twarde łamanie się
z prawdą w mozole ducha, upadki, wzloty, eks-
taza i gorycz, znój poszukiwań i radość poznania.
A zawsze — i tu, i tam — troska żarliwa o ludz-
kość, o naród, — o twoje serce! Wstuchuj się
w trudną a piękną poezję prozy, w muzykę jej
delikatną. Wnikaj przez słowo w bogatą różność
umysłów pisarskich, ucz się postrzegać odcisk
odmienny własnego ich czasu na każdym z nich,
a może tem snadniej siebie samego poznasz i swoją
drogę odkryjesz. Lecz nadewszystko wmyśl się
w istotę tych ważnych spraw, o które toczy się
wysoki ów dyskurs. Do ciebie on zwrócony, dzie-
dzicu wieków! Ciebie to wzywają te księgi do
uczestnictwa w niemilkącym sympozjonie pokoleń,
ciebie to właśnie zwerbować pragną do rycerskiego
zakonu pracowników ducha. Tobie zwierają słodki
ciężar trosk swych serdecznych, pasyj i ukochań,
abyś, w dziedzictwo to wrótszy, tworzył je dalej
i nowym zastępom przekazał. Wczytuj się więc
w te karty, wzywaj, rośnij duchem!“

JAN ŚNIADECKI (1756 — 1830).

1. Z listów o języku polskim.

Do redaktora „Pamiętnika Warszawskiego“.

Z Kruszwicy, 23 listopada 1816 r.

Mości Panie Redaktorze!

Jeżeli Opatrzność, prześlana długimi cierpieniami Polaków, zachowa ich w tym rządzie sprawiedliwości i swobody, do którego przyszli, jeżeli ich język, pod berłem Zygmunów i Stanisława Augusta tak prosty, jasny i wyrazisty, utrzyma te piękne swoje zaszczyty z większą jeszcze okazałością i mocą, które w nim ma zaszczytać talent narodowy, zubożony wiadomościami tyłu nauk, posilkowany głęboką rzeczy uwagą i prowadzony czystym, a na żadne przewinienia nieubłaganym smakiem: w tej przyjemnej perspektywie gruntownego i smakownego oświecenia uważani nasi następcy cóż powiedzą na wiek nasz, kiedy im przypadkiem wpadną w ręce mnożące się pisma dzisiejszych „reformatorów“ języka, z coraz inszym szamerunkiem ortograficznym, napełnione niezrozumianami nowej fabryki słowy, które ucho, smak i proste rozeznanie znieważają i dręczą? Bać się trzeba, żeby sobie nie pomyśleli, że albo jakieś uczone barbarzyństwo napadło na niwę Kochanowskich i Krasińskiego, albo żeśmy na jakiś czas zdziecinnieli, kiedy rzecz tak poważną jak język, który jest istotną cechą narodu, jego chluba albo zawstyżeniem, który do swojej uprawy tyle potrzebuje nauki, talentu i zastanowienia, my wzięliśmy za cacko i bawidło, i postępujemy sobie z nim, jak dzieci z lalkami, przebierając je w coraz inszą i w coraz śmieszniejszą postać! ¹⁾

¹⁾ Są ludzie, którzy ani żadnej dobrej przyczyny swemu mniemaniu nie są zdolni naznaczyć, ani się żadnymi dowodami od niego odwieść nie dają. Są to głowy, stworzone do dziwactwa, nie do rozumowania; i dla nich powołanie literackie, jako obrane na przekorę przyrodzeniu, nazwać można skaraniem boskiem (p. a.).

Trapiłem się niemało tym smutnym przyszłości widokiem, przechodząc się nad brzegiem Gopła, którego kołyszające się wody здаwały się malować moje dumanie, miotane niespokojnością. Aleć przecież pocieszył mnie i wyprowadził z tej obawy Jędrzej Śniadecki, który w przemowie do swojej Chemji, trzeci raz wydanej, napisał, że te nowe stworzenia i niedonoszone płody, zostawione samym sobie i publicznemu zdaniu, zginą w samym kwiecie swojej młodości. Ile moja bojaźń krzywdziła zdanie publiczne, tyle mu oddał sprawiedliwości ten Autor. A jeżeli prawdę powiedział Buffon¹⁾, że styl i język nadaje trwałość dziełom i nieśmiertelność autorom, nasi nowomodni pisarze składają osobliwsze jakieś w świecie literackim bractwo; bo nie piszą dlatego, żeby żyli po śmierci, ale żeby umarli za życia. Życząc im wiecznego odpoczynku, umyśliłem przelożyć Wać Panu, jak wiele na tem zależy dostojności narodowej, aby prawdziwie dobrzy i znakomici pisarze chronili się w swoich dziełach wszelkich szkodliwych nowości, boby te szerzyły zarazę i rozpościerały obelgę na nauki i na ich kapłanów. Powszechność uczonych dzieli się jak atmosfera ziemską: na krainę niską i poziomą, zawsze grubą, ponurą i obcemi wyziewami skażoną, i na krainę górną, siedlisko czystego żywiołu i przezroczystości. Jest to powołaniem dobrych pisarzy trzymać się w tej wynioślejszej sferze, i wylewać na ziemię dary nauki, rozwagi, smaku i talentu: zgoła wyrabiać i posuwać dzieło prawdziwej oświaty; bo publiczność uczy się myśleć i sądzić, kiedy autorowie nauczyli się dobrze pisać!

Jasność jest najpierwszym i najwალniejszym przymiotem mowy, która nie powinna ustępować żadnej innej zalecie. Rozpływamy się wewnątrz z radości, czytając prosty i jasny opis rzeczy: pojęcie nasze, niczem nie zatamowane, trzyma jak przykutą do pisma uwagę. Dlaczegoż? bo prawda bez trudu i mozółu zawsze jest umysłowi ludzkiemu przyjemna; i mamy się wtenczas za tak biegłych, jak piszący, kiedy go łatwo pojmujemy. Odlóżmy teraz nabok język naukowy, jako nie tak niebezpieczny, bo rozszerzona gruntowna nauka nie ścierpi długo niedorzecznych i lekkomyślnie narobionych wyrazów; a zastanówmy się krótko nad językiem powszechnego pojęcia. Cokolwiek mąci jego jasność, jest mowie ludzkiej szkodliwe: wszystkie niezwyčajne i nowej fabryki słowa, zatrzymując pojęcie, są to brudy, odbierające przezroczystość naszym myślom. Wtrąćmy do najpiękniejszej myśli niezwyčajne słowo, a zniżymy znacznie jej cenę; bo, dzieląc uwagę między słowo

¹⁾ Sławny fr neuski pisarz naturalista XVIII w.; od niego to pochodzi znane powiedzenie, że „styl to człowiek“.

i myśl, osłabiamy wrażenie. Albo więc piszemy bez myśli i niezwyčajnymi słowy łudzimy uwagę czytelników, i wtenczas popełniamy kuglarstwo; albo ważne i piękne myśli ubieramy w słowa niezwyčajne i powszechnie niepojęte, i wtenczas nie umiemy sprzedać naszego towaru.

Można użyć powszechnie rozumianych wyrazów i czystego języka, a przecie ciemno pisać: i natenczas cała wina jest w myśleniu i niedokładnem objęciu rzeczy. Są głowy tak bystre i szczęśliwe, które odrazu chwycą myśl głęboko i z dobrej strony, i tę bez trudności wyleją w całej jasności, mocy i prostocie. Są znowu talenta albo tępsze albo nie tak wprawne, które muszą długo i na wszystkie strony tę samą myśl obracać, nim trafią na jej widok najprostszyszy: i choć im ciężko przychodzi dobrze napisać, ten atoli mozół nie wydaje się w ich pismach, co bardzo właściwie nazwał Stanisław Połocki¹⁾ „trudną łatwością“. Ale zgodziwszy się na to, że trzeba wprzód dobrze pomyśleć, żeby dobrze napisać, są w języku naszym zdradliwe na jasność sidła, które należy pisarzom poznać, aby ich uniknąć.

Naprzód. Rozmaitość zakończeń daje językowi naszemu tę swobodę, że wyrazy, w jakimkolwiek miejscu położone, czynią mowę zrozumiałą. To jednak правило nie jest powszechne, jeżeli zważać będziemy na różne stopnie zrozumiałości; i jest pewien szyk i porządek słów, którego się przestąpić nie godzi, jeżeli chcemy wystawić myśl jaśnie dla pojęcia, a przyjemnie dla ucha.

Powtóre. Widzę w wielu dobrych pismach nadto zagęszczony przypadek, który nazwę ubocznym (*casus obliquus*), kiedy przymiotnik nie zgadza się z rzeczownikiem, ale się każe domyślić drugiego: np. dlatego, że mówimy *słońce jest gwiazdą*, mówimy także, zamiast *słońce jest świetne*, *słońce jest świetnem*, gdzie się dorozumiewamy: *ciałem* albo *słońcem*. Ponieważ tu ani *ciało* ani drugi raz *słońce* jest niepotrzebne, grzeszymy tu zbytciem słów, czyli popełniamy *pleonazm*. Gdy zaś powiedział Fenelon²⁾, że dobrze pisana mowa jest ta, w której nic nie masz do ujęcia ani do przydania, a Cicero nawet osądził, że w mowie więcej szkodzi nadto, niż mało (*magis offendit nimium quam parum*. Brutus 110), więc ten sposób pisania, lubo nie jest przeciwny mowie polskiej, często atoli i niewłaściwie użyty zaciemnia jej jasność. Pilna uwaga ostrzeże piszącego, że ile razy drugi domysłowy wyraz jest mowie niepotrzebny, tego sposobu pisania używać się nie godzi.

¹⁾ Ówczesny wybitny literat, mówca i mąż stanu. — ²⁾ Znakomity pisarz francuski XVII w., autor poczytnej niegdyś książki „Przygody Telemaka“.

Po trzecie. Niemało mowę ćmi i szpeci cudzoziemczyzna, to jest tok i sposób wyrażania myśli wzięty z obcych języków, a naszemu niewłaściwy. Żle, zdaje mi się, sądzą ci, którzy rozumieją, że się język bogaci, kiedy do swych ubiorów przyjmuje obce. Jest to owszem najkrótsza i bita droga do jego zguby, bo przydając mu fizjonomje cudze, zacieramy jego własną, zaniedbujemy i osuszamy źródło prawdziwych jego bogactw; i jakby lud prosty pomieszany z obcemi narodami, układamy gadaninę zamętu, powikłaną i do zrozumienia trudną. Wciska się do naszej mowy ta zaraza albo przez niebaczną i lenistwo piszących, albo przez ubieganie się nie tak za myślą, jako raczej za polubionem słowem obcem, które nas wciąga w cały sposób mówienia cudzoziemski. Przydać jeszcze do tego należy i tę walną przyczynę, że w czytaniu dzieł zagranicznych puszcza się na rabunek i na literackie łupiestwo, zamiast, co byśmy mieli za podniecią pisarzy zagranicznych pracować na zdobycz i zarobek własnej rozwagi i talentu. Wynalazki w sztuce pisania co do wyrazów nie zależą na wymyślaniu nowych, ale nacale nowem użyciu już powszechnie wiadomych: do tego nowego użycia prowadzi nas albo nowa myśl, albo tkliwość, albo malarski imaginacji widok. I tym to sposobem wielcy pisarze francuscy, nie przydając nowych słów, niezmiernie z bogacili swój język. Może się jednak czasem trafić, że człowiek, zatopiony w jakiej myśli, rozpalony imaginacją i czułością, wpadnie na cale nowy wyraz w mocnem tej myśli wynurzeniu, i na ten czas wyraz ten będzie szczęśliwym wynalazkiem, bo będzie natchnieniem talentu. Ludzie nie są to anioły, czyli stworzenia, posiadające same tylko władze duchowe: są oni jeszcze obdarzeni imaginacją i czułością, i te wszystkie piętna człowieczeństwa być powinny wyrte w ich języku. A zatem nie można z samym tylko cyrklem Euklidesa zapuszczać się w krainę wynalazków językowych. W dobre utworzenie nowego wyrazu wchodzi muzyka, żeby dogodzić uchu, malarstwo, żeby zachwycić imaginację, i głębokie rzeczy pojęcie, żeby zaspokoić rozum; i dlatego słusznie powiedział pisarz w *Żywocie Kollątaja*¹⁾, że na stworzenie dobrego wyrazu tyle prawie potrzeba talentu, ile na stworzenie nowej myśli, i że to nie jest rzeczą wszystkich krzątających się około nauk. Tu by można przebiec różne zawody i popisy, w których język nasz, tak świetny w dobrych pisarzach polskich, mógłby się jeszcze najlepiej wydać, rozszerzyć i z bogacić. Ale nie chcę W. M. Pana nudzić nadto przedłużonem pisaniem.

Zygmunt Szczeropolski.

¹⁾ Własny utwór autora niniejszego listu, ukrywającego się tu — jak z podpisu widać — pod pseudonimem.

2. O filozofji.

(Rzecz czytana na Sesji Literackiej Uniwersytetu Wileńskiego dnia 27 kwietnia 1819 r.).

Ledwo nie we wszystkich odnogach wiadomości ludzkich Grecy byli w znanej nam starożytności najuczestniejszym narodem. Świadczą to ich pisma, które nas doszły albo w ich języku, albo w przekładaniu łacińskiem lub arabskiem. To, co nam powiadają o nauce Indjan, Egipcjan, Chińczyków i Chaldejczyków, po ściślejszem roztrząśnieniu dowodów, jest tylko domysłem i słabo wspartem mniemaniem. Tak nazwana nawet astronomja indyjska pokazuje się dziś złą kopją nauki Greków, którą tam zanieśli Arabowie.

Uczeni greccy aż do czasów Pytagorasa nazywali się mędrkami. Pierwszy Pytagoras, żyjący blisko 550 lat przed erą chrześcijańską, obrał sobie tytuł skromniejszy, i nazwał się miłośnikiem mądrości czyli filozofem. Nazwisko to, jak pisze św. Augustyn, nadawano potem ludziom jakąkolwiek nauką celującym: skąd powstało imię filozofja, wyrażające miłość mądrości. — —

Z naukami Greków przeszło do Rzymian, a potem i do nas nazwisko filozofji, brane w rozmaitem znaczeniu. Najwłaściwiej jednak służyło tym naukom, które zostawił w swych dziełach Arystoteles, obejmującym wiadomości o duszy, o rzeczach przyrodzonych i obyczajach, t. j. nauki umysłowe, fizyczne i moralne razem wzięte. Bo mądrość, uważana w nauce, jest to dzieło wywartego i ćwiczącego się rozumu w poznawaniu rzeczy jego pojęciu dostępnych, i właśnie to wszystko zawiera podział nauk przez Arystotelesa podany. Filozofja więc zamykała w sobie logikę, metafizykę, fizykę i etykę. Oddział filozoficzny po wszystkich dawnych uniwersytetach obejmował dopiero wyliczone nauki, do których przydano matematykę, jako naukę prawdziwie umysłową, która jest i najlepszą logiką praktyczną i do fizyki nieodbicie potrzebną. Ale jeszcze w każdej prawie nauce chciano mieć filozofję, i to znaczenie, choć szcuplejsze i ograniczone, nie sprzeciwia się wyżej położonemu, bo to jest ogólniejszy widok jakiegokolwiek szczególnej nauki, odniesiony do początków pewnych i jasnych, przez rozum ustanowionych. Każda przyrodzona nauka jest dzieckiem rozumu, kiedy jest pasmem prawd i twierdzeń, wywinionych przez czyste pojęcie i prawe wnioskowanie.

Jeżeli nazwisko filozofji przeniesiemy do człowieka, natenczas mądrość zależy na okazaniu rozumu w znajomości rzeczy i razem w postępkach życia; bo to są dwa istotne i nierozdzielne warunki do utrzymania towarzyskiego porządku i do szczęścia osobistego,

do których dąży człowiek rozsądny; bo na tej harmonji myśli i czynów zależy pokój duszy, najpierwsze dobro człowieka, i zależy jeszcze cała godność natury ludzkiej. Miłość więc mądrości prowadzi człowieka do ciągłego ubiegania się o doskonalenie rozumu, który go wynosi do najpierwszego rzędu stworzeń ziemskich, i o pokazanie tego rozumu w swych sprawach i postępkach, które go utrzymują na tym tronie pierwszeństwa. Słowem filozofja jest to nauka prawego myślenia i życia, w ciągłej praktyce okazywana. Prawdziwy więc filozof trudni się z przepisu Dekarta¹⁾ nie urządzaniem świata, ale urządzaniem swych żądz i chuci: patrzy na nieprawość, ale z drogi sprawiedliwości nie schodzi, uzbraja się stałością i męstwem tak na nieprzyjemne ciosy, jak na zwodnicze uśmiechy fortuny, szuka szczęścia osobistego w pełnieniu swych obowiązków i w spokojności sumienia, i nigdy z oczu nie spuszcza szacunku samego siebie.

Czyli więc zapatrywać się będziemy na filozofję jako na naukę: jest ona dostojnem i najważniejszym zatrudnieniem człowieka około wydoskonalenia samego siebie. Jeżeli ją uważać będziemy w człowieku: jest ona owocem nauki i rozwagi, okazanym w myśleniu i postępowaniu. Tak w pierwszym, jak w drugim znaczeniu, jest chlubnym zarobkiem i najpiękniejszym zaszczytem natury ludzkiej.

A przecież są ludzie, u których filozofja i filozof są jeszcze dziś nazwiskami szyderstwa i obelgi: zadają jej w mowach i pismach występki zepsutej moralności i przewrotnego myślenia, liczą na jej karb najhaniebniejsze zbrodnie i zgorszenia. Te zarzuty, złośliwie pomyślane, a prawie niczem nie poparte, są to szkodliwe uprzedzenia, zarażające opinię publiczną. Jest zdaje mi się wałą powinnością ludzi, naukami zajętych, zapobiegać, aby się fałszywe zdania nie szerzyły w narodzie; bo pierwszą własnością oświecenia jest mieć dobre pojęcie tego, o czem się mówi i pisze, i sądzić o rzeczach nie z uprzedzenia, ale z przekonania. —

Powierzchni statyści²⁾ zelżyli w wieku naszym filozofję, przypisując jej niestuszenie początek i okropność rewolucji francuskiej. Kto widział Francję przed rewolucją nie w Paryżu, ale po prowincjach, kto czytał dzieło Neckera³⁾ o administracji skarbu, kto patrzył na spory parlamentów, obstawających przy prawach fundamentalnych monarchji, i na usiłowania rządu, wyłamującego się z tych praw, ten zapewne w książkach i marzeniach ludzkich przyczyn rewolucji szukać nie będzie. Wojny zdobyczy i dumi Ludwika XIV,

¹⁾ Francuskiego filozofa XVII w., autora sławnego traktatu „O metodzie”. —

²⁾ Statyści — pisarze polityczni. — ³⁾ Minister skarbu za Ludwika XVI.

kosztowna okazałość jego dworu, po śmierci zaś Ludwika XIV rozrzutność i marnotrawstwo tak Regenta, jak miękkiego panowania Ludwika XV, obarczyły Francję ogromnemi długami i wydatkami, przewyższającemi dochody. Ukrywali chytrzy ministrowie tę ruinę i bankructwo skarbu, ratując i okrywając jego niedostatek corocznemi pożyczkami, które pomnażały masę długów i przydawały coraz więcej ciężaru już przeładowanemu podatkami krajowi. Któż te ciężary znosił? Pływająca w dostatkach szlachta nic nie płaciła; bogate duchowieństwo, wolne także od podatków, składało na swych zborach niewielkie dla skarbu ofiary pod imieniem „daru łaskawego”. Płacił więc sam lud ogromną sumę, przeszło sześćset milionów franków rocznie wynoszącą i nałożoną ledwo nie na pierwsze życia potrzeby, jaką jest np. sól. Ta suma roczna była więcej jak podwojona zdzierstwem i chciwością arendarzy, dostarczających przed czasem rządowi gotowizny i tę polem z niezmierną lichwą i uciskiem wydzierających z ludu, przez licznie rozstawionych po kraju poruczników. Prawo myślistwa, obwarowane dla króla i książąt jego krwi na rozległych obszarach kraju, skazywało na kajdany i galery tych, którzyby się wazyli albo dzikie zwierzęta zabijać, albo ich rozmnożeniu przeszkadzać. Liczne stada rozplodzonego zwierza bujały swobodnie po polach, zjadały i trątowały urodzaje biednych rolników, niszczyły ich fundusz do żywienia siebie i dzieci, i do opłacania tyłu dolegliwych podatków. Świecił się Paryż zbytkiem, przepychem i okazałością, a drogi publiczne po prowincjach napętnione były żebractwem i jękiem zgłodniałego i nędzą przygniecionego ludu, do reszty odarłego i z chat wiejskich rozpedzanego przez poborców.

„Z niesprawiedliwości nakoniec rodzi się niepodległość“ — powiedział Voltaire; i to zdanie, stwierdzone dziejami dawnych i dzisiejszych narodów, rozwiązuje zagadkę. Przebrana miara ucisku i nieład skarbu, potrzeba zwołania stanów generalnych na zarządzenie złemu, nakazana dawnymi ustawami monarchji i natarczywem dopominaniem się całego narodu, sprowadziły rewolucję francuską; opuszczenie cnotliwego i najlepszego z królów przez swoją familję i przez ludzi, obsypanych dobrodziejstwami dworu, podzieliło naród na partje; a nieuwaga zgromadzenia konstytucyjnego, dopuszczającego klubów i wyborów zapalonemu i na partje podzielonemu narodowi, ustępującego swych miejsc intrygantom i kuglarzom politycznym, przytem jeszcze zapalona wojna obca i domowa, dopełniły reszty nieszczęść, które się rozlały na całą Europę.

Gdzież tu są skutki i występki filozofji? Jestże jej rzeczą i siłą

zatrzymać lub odmienić bieg natury ludzkiej, jątrzone systematyczną niesprawiedliwością serca ukoić, albo uśpić rozbolełą cierpliwość? Byłoż to winą filozofji, że najmajętniejsze klasy mieszkańców nie przykładały się do wydatków krajowych? że wygórowany przepych i zbytek jednych jątrzyły i oburzały drugich, przynięcionych nędzą i uciskiem? że intrygi, obłuda i rozwzięłość wyższego duchowieństwa, zepsute obyczaje wielu zakonów osłabiały i niszczyły tę cześć dla religji, którą drudzy szanowni plebani i pasterze usiłowali wpajać swem przykładnem życiem, dobroczynnemi posługami i nauką prawdziwie apostołską? Byłoż to radą filozofji, że naród trzydziestu milionów ludzi, zamożny w dostatki, odwagę, w naukę i talenta, tkliwy na obrazę swego honoru, zamieniono na naród żołnierski, który przez swój charakter ani ponizienia ścierpieć, ani w pomyślności umiarkowania znaleźć nie umiał? Nazwiemyż filozofami tych naczelników zbrodni i bezbożności w rewolucji, którzy się wyparli religji, sprawiedliwości i rozumu, żeby hańbili i uciskali własną ojczyznę i wyszli na zgorszenie i poczwary ludzkości?

Prawda jest zawsze dla ludzi i narodów dobroczynna; a czysta filozofja, spokojnem jej opowiadaniem zajęta, nigdy nie wyzywa i nie wyciąga ludzi na scenę rozhukanych namiętności, gdzie cały jej wpływ ustaje i ginie.

Kiedy ucisk i niesprawiedliwość w państwie dojdą do tego stopnia, że życie towarzyskie staje się nieznośnym dla człowieka ciężarem, otwiera się przepaść straszliwego przesilenia, gdzie wściekła rozpacz gardzi rozumem i w rozjuszonym zapale wszystko wyraca, niszczy i pożera. Przechód ludu z ucisku do rozpacz i rozwzięłości zawsze był straszny i okrutny, bo to jest czas i pole rozpasanych srogich namiętności zemsty i nienawiści, któremi się posługuje ambicja ludzi złośliwych, torujących sobie drogę do opanowania zmordowanego zbrodniami i nieszczęściami ludu. Przez podobne zaburzenia przechodziły narody wtenczas jeszcze, kiedy nie było ani książek, ani filozofów, a nawet, kiedy sami teologowie przewodzili i kierowali światem. Historia Greków i Rzymian, rzeczypospolitych włoskich w średnich wiekach, Anglii od trzynastego do siedemnastego wieku — aż do oczywistości tego wszystkiego dowodzą.

Strapiona filozofja patrzy z bolem na te nieszczęścia; zbiera z nich na przyszłość zbawienne rady i przestrogi, których nikt nie słucha po skończonem tragicznem widowisku. I dlatego ta sama kolej zaburzeń i nieszczęść wraca się i trapi państwa. Zdaje się,

jakby te odradzające się wiekami klęski były przeznaczeniem dla świata, kiedy one są tylko koniecznymi wypadkami tych samych przyczyn, z których ludzie, mogąc uleczyć się, nie chcą. Podobni do nałogowego pijaka, który wytrzeźwiony poznaje swoją namiętność, utyskuje na nią i płacze, a przecież wraca się do wkorzonego nałogu i występku.

Jeżeli fałszywi statyści spotwarzyli filozofję, nierównie jej większą wyrządzają krzywdę teologowie, którzy niedowiarstwo przewzali filozofją, przypisują jej całą naukę bezbożności, wyszukują skrzętnie irreligji¹⁾ tam, gdzie jej nie masz; nicują mowy i pisma nawet te, których nie rozumieją; wpajają publiczności podejrzenie na uczonych i na najznakomitszych pisarzy, zgoła szkalują pobożnie ludzi i nauki: i niby to wielki czynią religji zaszczyt i przysługę, wmawiając niebacznie w publiczność, że ten dar niebieski, to boskie prawidło sumienia i życia jest tylko dla nieuków i głupców. Prawdziwa filozofja zna granice ludzkiego pojęcia i za nie nie wykracza; zna słabość rozumu w rzeczach nawet jego dociekaniu zostawionych; a co krok ucząc się skromności, nie ośmiela się do przetrząsania tajemnic, od Twórcy sobie zabronionych.

Prawda, że byli ledwo nie we wszystkich wiekach pisarze i filozofowie, którzy zhańbili swoje pióro irreligją i bezbożnością, rozszerzyli zgorszenie i ośmielili rozwzięłość z niezmierną dla towarzystwa²⁾ klęską. Ale wykroczenia niektórych dają prawo do podejrzenia na wszystkich i do przewiska zelżywego na całą naukę? Naczelnicy sekt, kacerstw i ledwo nie wszystkich od Kościoła katolickiego odszczepieństw wszakże to byli teologowie; godziż się dlatego nazywać teologję nauką odszczepieństw? i posądzać uczonych i sławnych teologów o to, że oni mogą nie być prawowiernymi synami Kościoła? Lekkomysłność jest w każdej sprawie, w każdej nauce szkodliwa, ale najszkodliwsza w teologii, bo tu zachodzi wielkie niebezpieczeństwo zrażenia i odstraszenia sumień bojaźliwych od nauk istotnie społeczności potrzebnych, niebezpieczeństwo krzywdzenia ludzi na dobrej sławie, najmilszej każdego w towarzystwie własności, a zatem przestąpienia najpierwszego i fundamentalnego prawa religji naszej, która od miłości Boga nie pozwala oddzielać miłości bliźniego.

Zdania ludzkie, pismem ogłoszone, wzięte nie luzem i pojedynczo, ale odniesione do tego, co je poprzedza i co po nich następuje, mogą być religji przeciwne, a zatem ludziom i towarzystwu szko-

1) T. j. braku religijności. — 2) = społeczeństwa.

dliwe; natenczas jest chwalebna gorliwość i powinnością teologów ściagać takowe zdania, wystawiać je w swych szkodliwych skutkach i siłą przekonania tamować szerzenie się zarazy i bezbożności. Ale też mogą być zdania, napozór tylko mylne, podlegające różnemu tłumaczeniu, które osnowa pisma i inne jego miejsca wyświecają i okazują jako niewinne. Natenczas sprawiedliwość każe wytknąć i wyróżnić znaczenie szkodliwe od niewinnego; ale nie posądzać pisarza o pierwsze, kiedy osnowa pisma tego nie stwierdza. Jest to zaiste rzecz w autorach naganna, a nawet dobremu pisaniu przeciwna — wtrącać do dzieł poważnych zdania wieloznaczne i na złą stronę brać się mogące; ale znowu zastanawiając się głębiej nad gęstością myśli i mowy, przekonamy się, że ledwo jest myśl ludzka, którejby przez skrętne lub złośliwe szperania na dwie strony obrócić nie można i przypisać autorowi to, czego on nigdy nie myślał. Szarpać natenczas i potępiać pisarza o to, co jest owocem cudzego przywidzenia, jest to naśladować owego tyrana Syrakuzy, który kazał zgubić człowieka za to, że mu się przyśnił jako buntownik. — —

Teologowie, przewodząc dawniej we wszystkich prawie naukach i wdając się w to, co do nich nie należy, tamowali oświecenie i postępek umiejętności i wystawiali wielkich a niewinnych ludzi na srogie prześladowania. Były czasy, kiedy powaga Arystotelesa w filozofji była u nich prawie narówni ważona z powagą Ojców świętych w materji wiary: przeciwko pierwszej tak się nie godziło myśleć i postępować, jak przeciwko drugiej. Zdanie Ojców Kościoła w materjach filozoficznych kazali uważać za dowód najmocniejszy, przeciwko któremu nic nie ważyły doświadczenie ani rozumowanie. Oparcie się tej fałszywej nauce przymusiło srogo prześladowanego, a pełnego religji Dekarta do opuszczenia własnej ojczyzny. Chociaż Bóg zostawił świat rozwadze i sporom ludzkim, chociaż św. Augustyn powiedział, że Chrystus nie chciał nas przez Ewangelię robić filozofami ani matematykami, ale chrześcijanami, a zatem, że księgi Objawienia nie są traktatem fizycznym, wszelako teologowie mieli naukę Kopernika za bezbożność dlatego, że Jozue to powiedział do ludu, coby dziś do niego wymówił każdy astronom, nie chcąc się pokazać niezrozumiałym i śmiesznym¹⁾. W tej zaciętości prześladowali i więzili Galileusza i kazali mu kłamstwo²⁾ przysięgą stwierdzać. — —

Potwarze i prześladowania ludzi uczonych zaczęli teologowie, przez co szkodzili religji, moralności i naukom. Uczeni wzięli się

¹⁾ Zapewne aluzja do tego, że Jozue, wódz Izraelitów, miał zatrzymać słońce. —

²⁾ Że ziemia stoi w miejscu.

nakoniec do obrony: roztrząsnęli naukę teologów, oddzielili w niej to, co jest prawdziwie boskie i religijne, od tego, co jest wymysłem i przywłaszczeniem ludzi, chcących nad światem przewodzić i pannaować, i stąd wypadły drogie i wielkie dla religji i społeczności przysługi; ale też stąd wyszło źródło nieubłaganej na filozofję zawziętości. Otwórzmy dzieje kościelne, a te nas nauczają, że źli, nieuważni i zapaleni teologowie więcej wyrządzili krzywdy Kościołowi i religji, niż wszystkie pisma niedowiarków, bo tych ostatnich bezbożna nauka mogła tylko obłąkać niektórych ludzi, kiedy zwady, czcze i przesadzone w dawniejszych wiekach teologów subtelnosci, wciągnięcie władzy kościelnej do rządów i spraw świeckich i rosnące coraz bardziej tejsze władzy przywłaszczenia, od jej pochlebców popierane, poodrywały od jedności kościoła całe narody i państwa. — — Przeczytajmy opisanie inkwizycji hiszpańskiej, a tam zobaczymy, jak ten prawdziwie piekielny trybunał zdeptał i połamał prawa Boga, towarzystwa i ludzkości, najpiękniejszy kraj Europy wyplenil z ludzi i pustkami napełnil. Duch filozoficzny, t. j. gruntownego i bezstronnego rozstrząsania rzeczy, duch, mówię, filozoficzny, prawdziwie chrześcijański, uratował resztę Europy od podobnego sądu i od barbarzyństwa dawniejszych wieków, rozbroił srogi fanatyzm, wstrzymał wylew krwi ludzkiej, poskromił wygórowany ascetyzm, tłumiący miłość bliźniego i cnoty towarzyskie; ten to jeszcze duch filozoficzny powściągnął lekkomyślność, wprowadził wyrozumiałość, wrócił ludzi różnie wierzących do miłości braterskiej i oczyścił moralność ewangeliczną od tych przywar, któremi ją zarazili scholastycy. — —

Odwróćmy oczy od tego obrazu nieprawości, i dzieł ludzi, wszystkiego na złe użyć mogących, nie przypisujemy ani świętemu powołaniu, ani tak wielkiej i dostojnej nauce¹⁾. Każda nauka ma swoich półmędrków i kuglarzy, którzy ją znieważają i psują, i ma także prawych czcicieli i wyznawców, którzy ją z chwałą i pożytkiem doskonałą i szerzą. Własnością pierwszych jest powierzchowność, podłatana dumą i zuchwałością; przymiotem drugich jest gruntowność, ozdobiona skromnością i wielką przezornością w sądzeniu. Gruntowny teolog nie oślawia filozofji, ale jej się uczy, jako sobie nie tylko pomocnej, ale nawet istotnie potrzebnej. Potrzeba mu filozofji do roztrząsania i ustanowienia charakterów²⁾, przez które rozeznaje się wiara prawdziwa od fałszywej, do zgłębienia i mocnego wystawienia pobudek zniewalających do wiary, do wyłożenia gruntownych

¹⁾ T. j. teologii. — ²⁾ T. j. cech.

początków, znamion i zasad pewności historycznej. Potrzeba mu filozofji do uwag krytycznych nad tem, czego dowodzi, żeby odrzucił dowody słabe i takie, którychby użyć mogła religja fałszywa, do rozpoznania tego, co jest przykazem boskim, od tego, co jest przydatkiem ludzkim, do zgruntowania i zrozumienia zdań ludzkich, różne znaczenia mieć mogących, i do rozróżnienia tych, które prawdziwie krzywdzą religję, od tych, które jej w niczem nie naruszają. Potrzeba mu filozofji do zdrowego sądzenia o cudach, bo przyjmować skwapliwie i rozsiewać cuda zmyślane i niepotrzebne jest to osłabiać prawdziwe, na których się religja nasza opiera.

Wyliczone tu potrzeby wyciągają ¹⁾ po teologu rozległej nauki, czyścigo i trafnego rozumu, i tej bezstronnej i łagodnej wyrozumiałości, która zniewala umysł i serce w duszach nawet nieprzyjaznych i upartych. Tacy to teologowie, światłem filozofji wsparci, są i będą zawsze przyjaciółmi nauk i oświecenia; oni tylko umieją sprawę religji bronić i utrzymywać z tą mocą i godnością, jakie przystoją prawdzie, nieskalanej ani namiętnością, ani głupstwem. — Tacy to teologowie zasadzają majestat religji nie na samych myślach i okazałościach nabożnych, ale razem na postępku życia i na ścisłym zachowaniu wiecznych praw sprawiedliwości. W ich oczach nie ma prawdziwej religji zdrajca swojej ojczyzny, przekupny sędzia, mieszający pokój familji pieniącz, wiarołomny urzędnik, myślący tylko o sobie, a zdradzający ufność kraju i monarchy. Nie ma religji w oczach prawdziwego teologa zdzierca i uciemężyciel ludu, który ze złupionego od biednych familij grosza rozdaje jałmużny, klasztory uposaża albo buduje kościoły. Niemasz bowiem obrzydliwszego w oczach czystej religji świętokradztwa, jak pokazywać pobożność powierzchownością, a gwałcić ją postępkami, przez religję zakazanemi.

Religja jako dzieło boskie obeszłaby się bez wszelkiej ludzkiej pomocy; ale jako sprawowana przez ludzi, przeciwko ich przewrotności, potrzebuje usługi filozofji. Filozofja jest to użycie rozumu w poznawaniu świata. Jak religja, tak rozum są darami nieba: więc się łączyć razem i wspierać powinny do utrzymania porządku towarzyskiego, do wskazania człowiekowi dróg szczęśliwości terażniejszej i przyszłej i do godnego uwielbienia Boga w rozwadze, podziwieniu i w prawdziwym użyciu cudów i dobrodziejstw, rozlanych w stworzeniu świata.

¹⁾ Wymagają.

MAURYCY MOCHNACKI (1804—1834).

1. O „Marji“ Malczewskiego¹⁾.

Poświęcamy kilka słów cieniem poety, który za dni swoich tak był skromny i tak cichy, — tak natchniony, a tak mało znany rodakom, spółziemianom. Urońmy łzę na jego grobowcu; bo wieszcz umarty jest patronem żywych. Smutna powieść jego, jak dumy i śpiewy tego kraju, gdzie się urodził²⁾. Oliara nieumiejętnej krytyki, co ją przed kilku laty na zapomnienie skazała. — Publiczność polska nie zna *Marji* Malczewskiego. Nie we wszystkich rękach znajduje się to poema. Nie rozkupiono małej liczby odbitych egzemplarzy. Przykład nieprawdy recenzentów, godny pamięci. *Marja* Malczewskiego jest jednym z najśliczniejszych i największych utworów tegoczesnej literatury polskiej, mimo wielu niepoprawnych wierszy i twardego, jak się niektórym zdaje wystowienia — jakie ja przynajmniej, mojem zdaniem, za zaletę poczytuję. — „Gdybyśmy tylko mieli *Marję* i *Grażynę*“ — rzekł Michał Grabowski w dzienniku *Ordyńca*, — „mielibyśmy już oryginalną literaturę“³⁾. — Ten młody krytyk powiedział prawdę.

Napiszę o tej powieści, co długo w myślach miałem. Działo się na Ukrainie, podobno, że za rządów Augusta III. Wojewoda, pan wielki, możny, bogaty, podniosłego serca, dumny z rodu i imienia, wystął syna zagranicę. Ten po drodze, przypadkiem, czy z rozmysłu, wstąpił do domu mniej majątnego, lecz poczciwego szlachcica. Obaczył jego córkę. Wacław był młody; *Marja* była także młoda, piękna. Pokochał ją i z nią się ożenił. Ojcu, panu Wojewodzie, nie podobały się te śluby. Raziła arystokratę wielka, jak sądził, nierówność stanu, a prawdziwa imienia i dostatków. Przedsięwziął stargać święty węzeł; zrazu łagodną namową i upominaniem ojcowskiem, a gdyby to nie pomogło, przemocą, gwałtem. Syn jednak żadną miarą nie chciał złamać poprzysiężonej wiary. Wojewoda, widząc jego słabość, rozkazał kozakom porwać *Marję* z domu jej ojca, *Miecznika*, i utopić w pobliskim stawie.

Taka jest osnowa powieści Malczewskiego. Poetycki obraz dziwnego zdarzenia! Konturowy zarys, wielki, pomyślany, prosty, jak przyzwoicie biegłemu sztukmistrzowi. Wykonanie tego planu śmiałe:

¹⁾ Z książki „O literaturze polskiej w wieku XIX“ (1830). — ²⁾ Autor ma na myśli Ukrainę. — ³⁾ Niejaki Ordyniec redagował *Dziennik Warszawski*.

każdy zaś domyślić się może, że przez wykonanie poematu nie rozumie wierszy gładkich, potocznych.

Co za widok stawia autor przed oczy nasze! I jak właściwym godłem z Jana Kochanowskiego zagaił początek pierwszej pieśni.

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie. —
A kłoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.

Rzeczywiście, wszystko się w tej powieści splątało w gmatwaninę nieszczęścia nigdy nie odmotaną. Rzecz prosta i zawiła, naturalna i okropna, powszednia i głęboka, jak przepaść. — Nie tak czyn krwawy, jako przyrządzenia¹⁾ mordercy wzbudzają zgrozę, kiedy przed odprawieniem swej roboty w skrytości myśli układa zabójstwo, potajemnie, milczkiem, z tyłu godząc. Daleki zamach ledwo nie straszniejszy od samego uderzenia. Nie śmierć, ale droga do śmierci, ale kręte do tego ścieżki, manowce sięją postrach. Wikła się myśl ludzka w tym labiryncie. Natenczas złowieszcze przecucie całą moc swoją odzyskuje na duszy naszej. To czajenie się, uprzedzające skutek, jest nakształt mroku, jest jako ciemna strona fantazji. Jakaś opona, czarny kir zalega wtedy przestrzeń niezmierną między daleką chęcią, zawartą jeszcze w sercu, i jej dopełnieniem; między wyciągnięciem ręki i zadaniem ostatniego, śmiertelnego ciosu. Północna godzina Szekspira!²⁾ Rodzicielka wielkich tragicznych wrażeń. W tym mroku imaginacji, za tą mglistą zasłoną fantazji pojął Malczewski rzecz swego poematu. — Nie rozbieram krytycznie, kreślę tylko, co czułem, co mi się zdawało przy częstym odczytywaniu tej powieści.

Tajemnica osłania zamiary wojewody. Jego samego prawie nie widać na scenie. Poeta stawia mordercę w głębi. Raz tylko jeden ukazał go w komnacie starego zamku. *Tam jego myśl ukryta samotnie się żarzy.* — Była noc; nie spał, chodził w jej ciemnościach. *Duszna, wysoka komnata!* łatwo zgadnąć, dlaczego? — Otwiera okno, — patrzy na swoje hufce, rozwinięte znaki, co się do nakazanej wyprawy zbierały. Rozwidniło się nad rankiem; słuchał budzącej trąby:

Prychają rącze konie, brzęczą w ruchu zbroje,
Szumią skrzydła husarzy, chcą lecieć na boje.
Dla nich wstające słońce w różowej pościeli
Blaskiem złotych warkoczy widokres weseli
I, wznosząc świetne czoło, najpierwszem spojrzeniem
W lśniącej stali swe wdzięki postrzega z zdziwieniem;

¹⁾ T. j. przygotowania. — ²⁾ Por. początek aktu II *Makbeta*.

Dla nich pachnący wietrzyk, co swój oddech świeży
Dmucha na włosy dziewic i pióra rycerzy;
Dla nich gwar małych ptasząt w żywej słodkiej nucie,
Co z mokrych rosą dziobków wyrwa uczucie:
Nie dla niego — on nie chciał na widoku zostać,
W niknących cieniach zamku wynurzał swą postać,
Jak te straszące mary, które bojaźń nasza
Widzi w bezsennej nocy — poranek rozprasza.

Świt różanej jutrzenki, zaranna jasność źle zapewne przypada do miary z farbą czarnej myśli. Nie mógł na widoku zostać! Któż inny, jeśli nie poeta z użyczenia i daru nieba mógł pochwycić to przeciwieństwo, jakie zbrodnia wie dzie ze światłem dziennem. Te szczególne rysy charakteryzują to, co zwiemy *mądrością artysty*. — Tatarzy pustoszyli wówczas Ukrainę. Wojewoda postanowił skorzystać z tej okoliczności. Ale jak podejść syna, kochanka, męża Marji? Jak jej ojca oddalić z domu? Wysłała gońca z listem do Miecznika. Uprzejmymi słowy oznajmuje, że dawną urazę zatart nie pamięcią. Żałuje prawie za grzechy; synowę zaprasza do domu. Więcej jeszcze: — „takiego szczęścia“ — pisze wojewoda — „syn mój nie wart; niechaj w wojennej potrzebie dobija się pierwszej chwały. Właśnie oto Tatarzy grasują w tych okolicach; niechaj walczy w obronie wdzięków swej żony“. — Ale ani pół słowa prawdy nie było w tych *cukrowych* wyrazach. Blichtr tylko na omamienie starego. Owe hufce miały wstrzymać zapędy pogańskiej dziczy, — miały oddalić Miecznika z cichego domku. Albowiem przeczuwał pan Wojewoda, że Miecznik tak ważnej sprawy nie poruczy niedoświadczonemu młokosowi. Przewidywał, że starzec, Polak, uniósłszy się rycerskim zapalem, zostawi Marję w domu, — samą, bez pomocy, bez nadziei! Z takim pismem wyprawivszy kozaka, tuli syna, z którym dotąd zostawał w rozdziale niechęci przez pamięć na dawniejszą zwadę, że woli jego nie chciał być posłuszny. Rozmawia z nim teraz łaskawie i pieści się z nim, jakby dla powetowania niezwykłą rodzicielskiej czułości szczodrotą najboleśniejszego ciosu, jaki nań wymierzył w zamyśle nieludzkiego okrucieństwa, depczącym wszystkie prawa i wszystkie zrywającym związki. Ja w tem prowadzeniu rzeczy, w tem wywikłaniu z początków treści poematu widzę najwyższe misterstwo, albo, jak się zwykł wyrażać Kamiński, *umnictwo* Malczewskiego¹⁾. Wojewoda dawał ucztę na zamku w wigilję zgonu

¹⁾ Autor popularnej wówczas sztuki *Zabobon albo Krakowiacy i górale*, Jan Nepomucen Kamiński, był także krytykiem literackim; *umnictwo* = filozofja sztuki, estetyka.

Marji; do późnej nocy trwała ochota; libacje wina poprzedzić miały taniec tatarski — i spełnienie najstraszniejszej zbrodni. Malczewski powiada, że tego wieczoru twarze ostre, malowane portrety przodków Wojewody, wiszące na ścianach komnat godowych,

Zdały się iskrzyć nieraz martwemi oczami
I śmiać się do pijących — i ruszać wąsami.

W tem nawet wierny charakterowi narodowemu! Odtąd Wojewoda na zawsze znika ze sceny poematu. Cóż Miecznik? Pod rosochatami lipami domowej zagrody kołt tymczasem, jak mógł, urazę we własnem sercu. Jego wejrzenie pochmurne, to dąsa się, to unosi burzliwością młodszych lat, pełen niechęci, gniewu, a może i wzdardy. Przewodzenie bucznego pana, niedola, miłość córki, jej wiek młody, bladeść na jej licu, uczucie własnej godności, wszystko to boleśnie go dręczy. „Wolałby dźwigać więzy u brodacza, Turka“, wolałby umrzeć w ciemnej trumnie, niżeli spokojnie patrzeć na te smutne śluby:

Alboż to w naszej Polsce braknie na młodzieńcach,
Co to pannom umieją wyskoczyć w rumieńcach,
I tak, jak dawniej było, rycerskie kolano
Raz w życiu tylko ugiąć — po wianek, za wiano!
Nie, Marjo! Nie trza wzdychać — twego nie obrażam —
Mężny jest i cnotliwy — wiesz, że go poważam,
Lecz mnie jego rodzica pycha niecierpliwi.
A kiedy łzami Marji swoje serce żywi,
Ha! toć i u mnie szabla nie czczym tylko blaskiem,
I mignie mu przed oczy święconym obrazkiem.
Taż to u naszej szlachty dawne przywileje,
Skrzesać ognia w pałasze, gdy przyjaźń ściemnieje.
Przyjaźń? A nasze hufy nie z sobą na sejmie;
A nasze *veto* krzyczy jeszcze i w rozejmie!
I gdyby kraju napaść, z Hetmanem umowy
Nie rzucili mnie wówczas Szwedowi na głowy,
I gdyby twoja matka (daj jej niebo, Panie!)
W swe rańluchy nie skryła młodych serc kochanie,
A niewieścim w błyskotkach, tajemnicach smakiem
Nie zawarła tych związków z swych matron orszakiem: —
Nigdyby w moje kopce wróg się nie mógł schować,
Anibym jego złości pozwolił grasować.
Bo cóż to ja zastałem? Żonę zmiotła kosa —
A córę — szczep jedyny — z łez polewa rosa!
Dla starej karabeli zbyt to wielkie dziwy
Znosić tak ciężkie razy, los tak obelżywy!
Alboż choć raz do serca me dziecię przytulił?
Alboż młodością — wdziękiem choć raz się rozczulił?

Nie — od domu, imienia, ze wzdardą odgania,
I teraz w Rzymie szuka ślubów rozwiązania!
O! co tak to najlepiej! i mnie to rozwiąże —
Wysunie rażna młodzież, i ja za nią zdążę:
Choć może mniejsi w liczbie, Boga w pomoc wezwą,
To wkońcu tej tam waśni — dzwony się odezwą!

Jakie rysy, jaki charakter, jakie wyrażenia! Malczewski podniósł do *ideatu* historyczną postać. *Idealizuje*, cechą poetycką znaczy popularne wystowienie, — *idealizuje* wszystkie szczegóły, wszystkie zewnętrzne narodowe znaki w mowie, stroju. On pierwszy szatę polskiego szlachcica — *żupan, kontusz*, toż broń jego — *kord, karabelę* do poetyckiej wzniosł godności¹⁾ i w poetyckiem pokazał światło. Nie Podstoli Krasickiego, jak mniemano, ale Miecznik Malczewskiego jest, zdaniem mojem, tą poetycką figurą w literaturze naszej, która starego, polskiego szlachcica wyobraża. Podstoli sensat, może gaduła; wreszcie jest tylko rolnikiem, gospodarzem. Ale Miecznik to rycerz-ziemianin! Już te czasy przeminęły; wszystko się około nas zmieniło. Co innego teraz mamy w myśli, w sercu, w staraniu. Jakże wielka zasługa poety! Postrzega wdali kształt historyczny — niktący, ledwo nie w nic się rozwiewający. Korzysta z chwili i nie daje się wniwecz obrócić pięknej pamiętce! Za sprawą jego, co przepadło w historii, nowe poetyckie życie odzyskuje. Poezja drugim jest życia okresem, drugą koleją bytu. Jest tylko wyższą prawdą! Wszystko ziemianieje w powieści Malczewskiego.

Przybycie kozaka z listem Wojewody smutek Marji odmieniło w niespodzianą radość. Miecznik czyta i wydziwić się temu nie może! Opatrzność w tej chwili zsyła nań błyskawicę podejrzenia, — ale ten promień dobroci Bożej, upominającej przestrzeganiem błędnego człowieka, żeby się miał na ostrożności, nagle ściemniał w sercu poczciwego szlachcica. Zdawało mu się, że Wojewoda jakieś matactwo, kabałę stroi. Lecz sędziwy Polak nie przenikał zdrady i nie znał jej krzywego podejścia z własnego doświadczenia. Zaufał słodkim wyrazom. Znikły natychmiast wszelka trwoga, wątpliwość! Serdecznie wita zięcia, który wkrótce zdążył ze zbrojnym hućcem po przybyciu wspomnianego kozaka. Co żywo krząta się; bierze zbroje, rozdaje oręż ludziom, poleca Marji, żeby suto zastawiła stół na uczczenie gościa. „Nie szczędź korzeni, pieprzu, bobków, imbiru,

¹⁾ Tę uwagę czyni Michał Grabowski, jeden z najznamienszych krytyków naszych, w rękopiśmie niewydanym, który mnie nadesłać raczył. Ciekawe są i zajmujące spostrzeżenia jego co do *Marji*, *Wallenroda* i *Zamku Kaniowskiego* (p. a.).

cykaty, szafranu, bo ten piękny rycerz w bakaljach chowany. O winie sam pomyśle". — A tak kilka przynętnych wyrazów chytrłości, jeden uśmiech na twarzy Marji, obecność Wacława — rozżalonego utuliły starca, zwojowały burzliwość skrzywdzonego ziemianina, natchnęły męstwem duszę rycerza, Polaka! Nie także było w istnej prawdzie? Nie szczyryż to obraz dawnych mieszkańców tej ziemi, kiedy przez tyle set lat na strażnicy Europy, ustawnemi harcami z łupieskiem pogaństwem własną odpierali piersią spustoszenie od chrześcijaństwa i cywilizacji? Oni zapalczywość, jako charta, zawsze mieli na smyczy, kiedy wzywała wspólna potrzeba, gniew i uniesienie zemsty paraliżując z łatwością, myślą i ciałem wychodząc z prywatnych niesnasek. Cała Polska, cała przeszłość nasza sztuką czarodziejską wzięła życie z rąk wielkiego artysty, autora tego poematu. Wszystko się tam zeszło: nieukrócona duma arystokracji, zdrożne możnowładztwo ze staroświecką cnotą i uczciwą godnością szlachcica pod skromną strzechą słomianą, toż rycerskie męstwo i światowy, po wszystkie czasy daleko słynny charakter dziejów polskich wedle tego, żeśmy stawili dzielny opór najazdom dziczy, która spustoszeniem oświacie europejskiej zagrażała.

Nie jestem rozbieraczem płodów cudzego dowcipu¹⁾; kreślę tylko ogólnemi wyrazami obraz naszej dzisiejszej poetyckiej literatury, gdzie się znamienitym talentem, zaletnemi tworam i nadobnem misterstwem kilku pisarzy, ziomków naszych, jakby z wezwania wszystkich innych braci i spółziemian, jakby przez reprezentację, wyrażać zaczynają władze i siły powszechnego narodowego umysłu, jako to: zwierciadlana *imaginacja*, żywa i mocna *fantazja*, duch, natchnienie. Niemały to postęp od czasu, kiedyśmy najpierwej rzymskich, a potem francuskich naśladowali rymotwórców! Charakter, dążność, prędkie wywijanie się tego systematu²⁾ z niemowlęctwa unoszą mnie chlubą ojczystego zaszczytu, aczkolwiek piętno rodowitości na dzisiejszej poezji naszej nie jest jeszcze tak ustalone, iżby o tem godziło się mówić z *precyzją* właściwą krytykom, roztrząsającym systematy poetyckie zapadłych wieków. Nie strzymywałbym nawet tak długo uwagi czytelnika nad *Marją* Malczewskiego, gdyby mi nie szło o zadanie nieprawdy tej krytyce, która przed kilku laty, swawolnie szerząc się i brojąc w piśmiennictwie społecznem, wspomniane dzieło w tak omylnem świetle ukazała publiczności. Przywróćmy cześć rzetelnej zastudze, — żeby nie powiedzieli następcy

nasi, że talent genialny jako cień przeszedł koło nas, a słowa jego, razem z dźwiękiem ulatując, w powietrzu się rozprószyły. Malczewski był prawdziwym artystą. Rzecz swoją umiejętnie, rozważnie, głęboko, mądrze prowadzi. Rzuca rys za rysem, kształci, maluje porządek, pasmo wydarzeń wiąże w całość, wszystko usuwając z pod oczu naszych, wszystko tym powiewnym, lekkim zasłaniając całunem, tą przezroczystą astralną siatką¹⁾, która się w poezji nigdy podobać nie przestanie. Tą ponętą mocnego uroku podbija, ciągnie ku sobie czytelnika. Powiedziałem już, w jakim świetle pojął i wykonał myśl swego poematu. Nie jest to brzask zaranny, ale zmierzch dnia, chmurzącego się ku wieczorowi dzikiej, ponurej, melancholijnej fantazji. Stepowe pola, roztworzyste błonia Ukrainy godne były takiego poety! Kończy też obiedwie pieśni wyrazami:

I pusto, smutno, tęskno, jak gdy szczęście minie.
I pusto, smutno, tęskno w bujnej Ukrainie.

Czyn gwałtowny niewidoma odprawuje ręka: gdy Wacław ruszył z Miecznikiem i zbrojną drużyną na harc tatarski, sama śliczna Marja bez straży została w opuszczonym domku. Któż utyskuje przed wrotami tej zagrody? Kto płacze na świat? — Anioł, czy zły duch, czy człowiek? Poeta wprowadza tajemnicze jestestwo; daje mu ludzką postać; ale boleść jego, ale trwożne przecucie, rozpacz na jego myśli nie są z tego świata. To zjawienie zdaje się być nakształt światła świętego Elma, zwykle poprzedzającego rozerwanie nawalnej, gradowej burzy²⁾. Stary sługa rozmawiał z ową postacią; nic jednak nie rozumiał. Obróciwszy wzrok w inną stronę, postrzega maski, larwy, zbliżające się w różnofarbnych strojach z wrzaskiem, krzykiem, śpiewem karnawałowej, zapustnej ochoły. Byli to wykonawcy krwawego zlecenia Wojewody. Pieśń ich dzika, liryczna, trwożna i pusta, okropna i wesoła, też same uczucia wzbudza w sercu naszym! Jest to najgenialniejszy pomysł poematu:

1.

Czy znasz weneckie zapusty?
I w noc i we dnie
Wesołe, szalone, przednie;
Maska twarz kryje, a kto się pyta
O sprawę czyje, tego przywita
Wrzawa, śmiech pusty.
Żywo, radośnie,
Skrycie, miłośnie,

¹⁾ Talentu. — ²⁾ Tu = kierunku, szkoły poetyckiej.

¹⁾ Gwiazdną mgławicą? — ²⁾ Zjawisko atmosferyczne.

Staruszek Doża, Arlekin młody,
 Dziewczyna hoża szuka osłody;
 Matrony, księża, oszusty —
 Swobody;
 A kryte łodzie
 Czernią na wodzie;
 Wrzawa, śmiech pusty!
 Czy znasz weneckie zapusty?

2.

My jedziem sobie kulikiem:
 I w noc i we dnie,
 Wesole, szalone, przednie;
 Maską nas kryje — a kto chce wiedzieć,
 Skąd my i czyje, to odpowiedzieć
 Śmiechem i krzykiem!
 Szczera ochota
 Otwiera wrota.
 Bo Krakowianki i pielgrzym stary,
 Żydzi, Cyganki uderzą w pary,
 Wróżki, Djabli, nie oszusty,
 W puhary;
 Lecim saniami,
 I jadą z nami
 Wrzawa, śmiech pusty.
 Czy znasz ty *polskie zapusty*?

— „Ale tu wejść nie można“ — odpowiedział stary dworzanin, świadomy polskiego *kuligów* zwyczaju, nieraz może praktykowanego w domu Miecznika. „*Teraz nie zapusty, pan Miecznik na Tatarach*“. Chciał wstrzymać śmiałych przychodźców; lecz napróżno. Jemu samemu zawróciło się w głowie, gdy te dziwne postacie, cyganki, wróżki, djabły przed jego oczyma tańcować, skakać, płaszać zaczęły. Poeta mówi, że myśl tego starca także tańcowała. Puścił przeto maski do dworu, — otworzył drzwi przed mordercami. — Zwycięski Wacław wraca w nocy do domu żony; teść został jeszcze na pobojowisku, żeby, jako mówił, „*dojrzeć objażdżki*“ — „a jutro, skoro świt, brzęknę wam na dobry dzień witanem kopytem“. —

Powrót Wacława jest jednym z najcudowniejszych ustępów tej zachwycającej powieści:

Powstał z pośpiechem Wacław i dawnym zwyczajem
 Uścisnął starą rękę, — co jemu nawzajem
 Szorstkie, silne, lecz szczere oddała ścisnienie;
 I już bystry koń z jeźdźcem przesadza drzew cienie.
 A stary Miecznik wziął się do zwykłych pacierzy.

O! jak słicznie przez pole młody Wacław bieży!
 Srebrny pobłysk na włosach, na piórach, a w zbroi
 Twarz ogromna księżycy, malutka się dwoi.
 O! jak słicznie wśród ciszy w naturze rozlanej
 Lecieć z stęsknionem sercem do swojej kochanej!
 I każdy przedmiot witać z przychylną pamięcią,
 I wszystkie je wyścigać nieścignioną chęcią!
 Wtedy to słodkie tony, brzmiące przerywanie:
 Śpiew słowika, szmer wody i żab skrzekotanie,
 W dzikiej, tęsknej, i żywej, i tkliwej muzyce,
 Mówią ocknionym czuciom swoje tajemnice;
 Wtedy to luby zapach, co z kwiatów ulata,
 Lekkiem tchnieniem rozkoszy mgłę trosków odmiata,
 I dusza rozjaśniona, jakby wyjście miała
 W niebiosy swego Twórcy, z kajdan swego ciała;
 Wtedy matka natura — wszystko z człkiem dzieli:
 I wszystko się uśmiecha i wszystko weseli,
 Wtedy w schowanej szabli — uraz zapomnienie,
 W pysznem spojrzeniu — dobroć, w ustach — przebaczenie.

Ta noc, ten księżyc, to zwycięstwo nad Tatarami, to uściśnienie starego Miecznika, to dumanie w takiej porze, w takiej pewności czytelnika, że rycerz w domu trumnę i pogrzeb zastanie, — ileż w tem wszystkim smutku? Co tu żalości, — a najbardziej ile efektu malarskiego, dramatycznego, poetyckiego!!

I tak to leciał Wacław błogi; gdyby nagle
 Piorun rozdarł w tej chwili jego życia żagle,
 Toby nim wicher światła miotać nie był w sile,
 Chybaby szumiął wściekły po zimnej mogile.
 I tak to mijał stępy. Lecz świetne marzenie,
 Co niem ćimi dzieci ziemi szczęścia upojenie,
 Oh! zbyt krótkie! Jak widmo wstaje przypomnienie
 I budzi martwą przeszłość, i w wonne kotary
 Szepczą dreszcz i niepokój zgromadzone mary:
 „Tak ją mdłą, słabą widział; a wszak bez obrony
 „Wiednie pieszczony powój — a wszak bez osłony
 „Nie trwa tu słodki owoc — i cóż? ledwo wrócił,
 „Ujrzał swój raj stracony i zaraz porzucił!
 „Dlaczego? dla czezej sławy, której blask nie waży
 „Jednego uśmiechnienia ukochanej twarzy.
 „Gdybyż przynajmniej w los swój wierzyć miał powody!
 „Lecz ledwo burza przeszła — już pewny pogody,
 „Niepomny, jak to gorzko czas zgryzotą liczyć,
 „Płochy, wydarł się szczęściu, co mógł odziedziczyć“.
 Ach! dalej, prędzej! lekko przez chwasty i rowy
 Sunie koń wyciągnięty — a brzękiem podkowy,
 Hukiem pędu, bliższą postacią rycerza
 Ocknionego wieśniaka pierwszą myśl uderza!

„Ha! Ha“ — nim otarł oczy i serca mógł dowieść,
 Znikł rycerz i zostawił o upiorach powieść.
 I tak to leciał Wacław — szczęśliw, trwożny razem,
 Sliczny, straszny, — był wiernym śmiertelnych obrazem.

Nikt nie wyszedł na spotkanie drogiego gościa w domu Marji. Nikt nie odebrał rżącego, spienionego konia. Zakolała: nikt mu nie otwiera, nic nie przerywa głębokiej cichości. „Musi być bardzo późno“ — pomyślał Wacław. Przy świetle księżycy błąka się około domu. Naostatek postrzega ruch w sypialnej komnacie. Przez otwarte widzi okno lekką zasłonę, którą wiatr to wypychał z pokoju, to znowu wciągał. Niecierpliw skacze przez okno i znajduje umarłą kobietę w żałobnej odzieży. Owa postać dwuznaczna¹⁾ uwiadamia rycerza o tem, co się stało.

Lecz któż był ten człek mały z okiem zapłakanem?
 Czy duchem jego losu? Aniołem? Szatanem?
 Czy szczerze drażni męki, lub smutek z nim dzieli?
 Nie wiem — objął rycerza i w cwał poleciał.

Taka jest powieść Malczewskiego o podniosłym Wojewodzie, o pięknej Marji i zacnym starym Mieczniku. Ze względu mistrzowskiego prowadzenia rzeczy porównałby ją można ze sztuką jaką doskonałego mechanika, gdzie się wszystko odbywa skutkiem poruszeń niewidzialnych kółek, żelazek, sprężyn. Umieściłem to poema na czele nowszych dzieł ojczystej poezji, nie iżby w mniemaniu mojem przodek przed niemi trzymało, — bo taki sąd byłby z wielu miar płochy i nieopatrny, bo każde dzieło uważać trzeba jako oddzielną całość i cenić bez naciągania; ale szczególnie z tej przyczyny, że to jest twór młodego poety, który już zeszedł z tego świata, a którego geniuszu dawniejsza krytyka recenzentów stolicy nie pojmowała. Mógłbym właściwiej postąpić sobie? Nikomu wreszcie nie narzucam tego zdania, sądzę jednak, że niemasz dzieła w dzisiejszej poetyckiej literaturze polskiej, któreby tę powieść Malczewskiego przechodziło bądź wielkością układu, bądź ustawicznością ducha, bądź nakoniec umiejętną, szykowną zręcznością prawdziwie artystowskiej *ekspozycji*. Nieliczny był poczet osób, składających żałobny orszak na pogrzebie Malczewskiego. Nie mówiono wówczas: „umarł wielki poeta“. Przyjaciele żalowali tylko przyjaciela, — geniusz przemknął się nieznanym, jak cień bez szelestu! Połóżmy mu teraz na ustroniu kamień ze skromnym napisem: „Autorowi *Marji*“.

¹⁾ „Pacholę“.

2. Przedmowa do dzieła „Powstanie narodu polskiego w roku 1830 i 1831“.

(Wydane w r. 1834).

Po rozbiorach Polski nic innego nie widzimy w tym kraju tylko same klęski, jedne z drugich wypływające; nic innego nie postrzegamy tylko ustawiczność nieszczęść publicznych, które zaledwie na chwilę przerywały zwodne połyski fortuny. Dlaczego tedy naród polski, który miał tyle drogi prowadzące do zguby, do zagłady nawet imienia, nie przestał dotąd być narodem? To, co się działo w Polsce od chwili, jak ziemię naszą źli sąsiedzi rozerwali pomiędzy siebie, pokazuje dostatecznie, że w nas jest pełna siła, którą trzeba nazwać siłą dźwignia się z każdego upadku. U nas tylko wykształciło się i upowszechniło nieznanie innym ludom życie po śmierci politycznej.

Ta moc wewnętrzna, plemienna, którą przez lat przeszło sześćdziesiąt odpieramy od siebie ostateczną zagładę, była jednak źle kierowana, źle przez nas samych użyta. Wprawdzie zawsze mogliśmy zginąć, lecz także zawsze i odrodzić się w tej walce z zagładą.

Zostaliśmy i dziś jeszcze jesteśmy w środku między temi dwoma ostatecznościami. Wyjść z tego stanu, gorszego niżeli zupełne zniszczenie: ten jest cel naszego dalszego zawodu.

Czemu się dotychczas nie wiodło w Polszcze w usiłowaniach odzyskania niepodległości? To łatwo pojmiemy, zważywszy, jakim trybem szły wszystkie nasze powstania. Charakter ich taki: zawsze w początkach zapał powszechny, wszystko ogarniający w narodzie, wszystko porywający z sobą, nieprzetamany, niczem niezwyknięty. To samo w każdym powstaniu: poświęcenie, porywczność, śmiałość, posuwająca się nieraz do płochości, też same cnoty osobiste i publiczne. Ale zarazem obok tego, te same przyczyny upadku sprawy, zawsze pomyślnie zaczętej, zawsze potem niedołącznie kierowanej, ginącej zazwyczaj nieładem. Nigdy u nas nie korzystano z poprzednich doświadczeń; stąd też w każdym powstaniu jednakie prawie błędy wojskowe i polityczne: najbardziej zaś to w każdym podobnym zdarzeniu odnawiające się, ku końcowi zwłaszcza, omdlewanie i upadanie na duchu, kiedyby go najwięcej wznosić wypadało; to gorszące dobrowolne rozpraszenie sił niemałych, jeszcze niestarganych! We wszelkiem hohaterskiem przedsięwzięciu naszym byliśmy nakształt kunsztownego ognia, co od jednego razu strzeli wgórę jasnym strumieniem i — w dymach gaśnie.

Żadne powstanie polskie nie zasłużyło sobie na napis: *usque ad finem*¹⁾).

Lecz cóż z tego wnosić? — Mamyż wrazić w samych siebie to przekonanie, iż nigdy nie uda się nam doprowadzić do końca, co zaczniemy? Ja rozumiem, iż wszystko, co się działo u nas, tak mi mniemać każe, że chcecie ugruntować w Polsce taką opinię, byłoby to dopuścić się ciężkiej obrazy przeciwko temu wyższemu porządkowi w dziejach, albo raczej, że się jaśniej wytłumaczę, przeciwko rządzeniom tego niewidomego, niezbadanego losu, który nas dotąd, po utracie tego wszystkiego, na czem zależy byt innych narodów, utrzymuje w rodzinnej całości i wiąże w pewną jedność rozłączonych przemocą, poddanych różnym berłom, gnębionych od lat tylu różną niewolą.

Byt Polski wśród takich okoliczności, życie narodu polskiego od rozbiorów do tego momentu, szczególnie zaś dzieła tego narodu po katastrofie podziału: jest to największa zagadka nowoczesnych dziejów, jest to, jak mnie się zdaje, jedyny cud w dzisiejszych czasach, może dlatego zarządzony, ażeby tą wyższą interwencją łatwiej się rozplątała ich gmatwanina. — Za tem mniemaniem przemawia ta niezaprzeczona prawda: że jedynie wskrzeszenie *całej* Polski zmienić zdoła terażniejszy polityczny, naturze przeciwny, z dobrem ludzkości niezgodny kształt Europy, a zatem ledwo nie całego świata.

Taki widok rzeczy nie prowadzi do rozpaczki. Lud polski, który ciągle śpiewa „Jeszcze Polska nie zginęła“, wyraża temi krótkimi słowy najgłębszą maksymę swego jestestwa. Wie, że jest, i tą wiedzą skruszy obce jarzmo. Jest żywy i mocny, mocniejszy nawet, niżeli jego ciemiężyciele, ponieważ jeszcze nie uległ pod ciężarem własnych nieszczęść. Z doświadczenia może powiedzieć o sobie: „Narody nie umierają!“

Z tem wszystkim jednak (wracając do punktu, z którego wyszedłem) mimo wszelką wiarę, jaką naród ma we własne jestestwo, jest rzeczą w obecnem położeniu dla nas najważniejszą dochodzić rozumem przyczyn, dla których dotąd nie zdołaliśmy pokonać naszych nieprzyjaciół. Nie podlega zaprzeczeniu, że tylko przez nowe powstanie potrafimy odzyskać całość i niepodległość; a zatem to, co poprzednie powstania daremnemi czyniło, koniecznie zgłębić wypada. W kraju naszym powszechnie jest zdanie, żeśmy zawsze ulegali przemocy. To zdanie błędzi, — kłamie. Niemasz przemocy dla kilkunastu milionów, wśród najniepomysłniejszych nawet okoliczności; nie było jej w ostatniej wojnie; nie było jej za Kościuszki i za Napoleona.

¹⁾ = aż do końca.

Dlaczegoż tedy, skoro jesteśmy tym narodem, który przetrwał taką próbę losu, który nie tylko nie zginął po stracie udziałności politycznej, lecz tyle sił rozwinął pod obcym jarzmem, dlaczegoż, pytam się, przez powstania nasze nie umieliśmy zostać potęgą polityczną na północy?

Wyraz „nie umieliśmy“ zdaje się być najwłaściwszy w tej mierze. Nie „nie mogliśmy“, ale *nie umieliśmy!* Naród wszystko może; lecz nie wie wszystkiego. W ostatniej np. wojnie nie znał sił swoich i nieprzyjacielskich. Pierwsze zbyt nisko, drugie zbyt wysoko szacował, za przykładem swych naczelników, którym tego błędu, tej niewiadomości przebaczyć nie można. Z tej jednej przyczyny wszystko opacznie się działo od początku do końca.

Dotąd historia powstań naszych, ta najbardziej zajmująca część dziejów ogólnych narodu polskiego, z powodów naturalnych prawie zupełnie była zaniedbana. Po każdym powstaniu następował nowy ucisk, jeszcze uciążliwszy od poprzedniego. Coraz nowa niedola zacierała przedewszystkiem pamięć świeżych wydarzeń. Druk rzadko, zaledwo ułamkami, nigdy w całości, najczęściej pokryjomu albo w obcych językach, przechowywał je od jednego dziesiątka lat do drugiego. Znakomite czyny, wielkie poświęcenia, wspólnie z wielkimi błędami rządów i występkami osób, głucho przemijały. Tym sposobem synowie nie mogli znać dobrze spraw ojców swoich. Przyszli do lat męskich, porywali, jak oni, za oręż dla uwolnienia Ojczyzny, nie korzystając jednak z ich doświadczenia, nieszczęść i omamień. Jedna wojna w kraju naszym nie stawała się przeto nauką dla drugiej; jedno powstanie drugiemu nie służyło za przykład. Jak już wspominałem, wpadaliśmy zawsze w te same błędy.

Jest rzeczą oczywistą, że tylko wykład historyczny, bezstronny, rozważny, tak powstań, jako epok, które między niemi środkują, wywieść nas może z zakłętego koła tych samych zawsze nieszczęść i ułomności. Tylko rozszerzenie w narodzie wiadomości jego własnych dziejów po rozbiorze kraju gruntownie go oświeci. Historia rewolucyj, któreśmy przebyli w skutku tego nieprawego czynu sąsiadów naszych: otóż podobno kamień filozoficzny naszej narodowej mądrości.

Starajmy się tylko poznać to, co się u nas działo w przeciągu przeszło pół wieku, a gdy nadejdzie pora nowych walk, nie znajdziemy się w potrzebie zakopywania broni naszej, jak pod Radoszycami, albo łamania jej zagranicą, jak w ostatniej wojnie¹⁾. Wtedyto

¹⁾ Radoszyce w pow. koneckim; mowa o zakopywaniu broni lub jej łamaniu przez oddziały, opuszczające Królestwo w okresie upadku powstania listopadowego.

zapewne ostatni akt naszego powstania odpowie jego początkom, a świat nie będzie powtarzał, że, umiając dobrze zaczynać, zwykle źle kończymy.

W tym całym przeciągu czasu, który upłynął od podziału Polski do dni naszych, panuje jedno ważne, zdumiewające faktum: jest to owe niezaprzeczone, stopniowe rozwijanie się siły narodowej w powstaniach, tak dalece, iżby sądzić można, że Polszcze z każdego upadku w usiłowaniach odzyskania straconej niepodległości coraz nowej przybywało mocy. I w istocie: od konfederacji barskiej do rewolucji 29 listopada ciągły postęp w tej mierze postrzegać się daje. Nasamprzód w konfederacji barskiej jedna tylko i nieliczna część ludności, sama prawie szlachta, i to nie ze wszystkich prowincyj, stała w obronie kraju, na którym się już podówczas Moskwa srogich gwałtów zaczynała dopuszczać. Za Kościuszki, myśl niepodległości, chęć zrzucenia obcego jarzma porusza daleko większe masy. Po większej części z własnego natchnienia, wspólnie ze szlachtą, chłopami z wiejską bronią, bo z kosą tylko, napadają na nieprzyjaciela. Kościuszko przybył sam jeden do ojczyźnego kraju: wypowiedział wojnę Moskwie bez wojska i pieniędzy, w kilku dniach stworzył armję tak dziwną, jakiej jeszcze nie było na świecie, i odniósł pamiętne zwycięstwo nad nieprzyjacielem liczniejszym, bitnym i zorganizowanym. Początków powstania w 94-tym roku z niczem w dziejach porównać nie można. Była to konfederacja włościan, daleko potężniejsza od szlacheckiej, barskiej. Wojny francuskie, zwycięstwa i najazdy Napoleona wstrząsnęły całą Polską. W roku 1807, a bardziej jeszcze 12-tym, byłoby rzeczą niepodobną połączenie wszystkich jej części w jedną całość? Lecz dla osiągnięcia tego celu wypadało nam więcej rachować na własne siły i, gdy temu sprzyjały okoliczności, potężniej się utwierdzić we własnej ziemi, nie zaś tak ślepo przywiązywać się do szczęścia, a potem do przeciwnego losu francuskiego bohatera. Na nim jednym Polacy, nie na samych sobie, zasadzali nadzieję zbawienia. Ostatnia rewolucja miała więcej sił materialnych, niżeli wszystkie poprzednie. Śmiało rzec można, iż nigdy Polska tak potężną nie była, jak na dniu 29 listopada; nigdy bowiem energia ducha publicznego w całym narodzie, we wszystkich częściach kraju do takiego stopnia nie dochodziła.

Tę przeto rewolucję uważać trzeba jako sumę wszystkich poprzednich powstań w kraju naszym. Jest to najdzielniejsze objawienie ducha narodowego, ducha Polski. Mimo nieszczęść, które nas w tem powstaniu dotknęły, mimo całego obłądnego systemu politycznego i wojskowego, którym tę sprawę przywiedziono do upadku,

mimo gorszącej nieudolności we władzach i nieraz złej woli w osobach, mimo wreszcie niczem nieusprawiedliwionego rozprzężenia ku końcowi: ostatni ten akt narodu polskiego, to jego nagłe porwanie się ze snu piętnastoletniej niewoli jest wielkie! Czem była, czem być mogła dla Polski rewolucja 29-go, to się wyraziło w jej kilku kolosalnych bitwach. Żołnierze Grochowa, Ostrołęki i Boremla byli to prawdziwi reprezentanci tej sprawy¹⁾. Ich dzieła i mogiły pokazują całą energję ludu polskiego, objawiają całą moc rewolucji. Wobec tych wypadków nikną przywary systemów rządowych i występki pojedynczych ludzi.

Pod temi względami historia ostatniego powstania naszego, jako zebranie w jedną treść poprzednich powstań, gdzie się najdobitniej wybiły charakter, duch, patriotyzm narodu; gdzie się w tym samym czasie powtórzyły wszelkie poprzednie ułomności publiczne i partykularne; gdzie się w krótkich chwilach, bo zaledwie w kilku miesiącach uniesień, nadziei, oczekiwania i rozpacz, niejako zreasumowało jestestwo Polski, rozdzielonej między sąsiedzkie mocarstwa; gdzieśmy żyli życiem przyspieszonym, przędzłem jak zwyczajnie, brzemieniem przeszłością i przyszłością; gdzie nagle i niespodzianie najaw wyszło to wszystko, co kiedykolwiek Polska miała w sobie wielkiego i małego, mocnego i słabego: historia, mówię, takiego powstania jest więcej nauczająca, niżeli poprzednich, bo je wszystkie w sobie zawiera.

JOACHIM LELEWEL (1786—1861).

Z pism i przemówień emigracyjnych.

a) Odezwa komitetu narodowego do Rosjan.

Braćmi Rosjanie!

Braćmi was zowiemy, boście braćmi z imienia samego ziomków naszych Rusinów, boście dzieci rodu słowiańskiego. Braćmi jesteście, boście narodem, z innemi ludami do wolności wdychającym.

Nie przypominamy wam tej świetnej wolności miast i ludów ruskich, którą polityka osadników zaleskich, wielkich kniaziów nad Kłazmą²⁾ i carów Moskwy zgnębiła, nie przypominamy wam, wie-

¹⁾ Bitwę pod Grochowem stoczył Chłopicki w lutym 1831 r., p d Borumlem (na Wołyni.) — Dwernicki w kwietniu, pod Ostrołęką — Skrzynecki w maju tegoż roku. — ²⁾ T. j. wielkich kniaziów moskiewskich (rzeczka Kłazma bierze początek w powiecie moskiewskim). Zaleskich = z za lasów, z dalekiego kraju.

lekroć Polacy zamierzali waszych carów na swój tron elekcyjny powołać, aby przez to u nich kwitnącą wolność w rodzie słowiańskim rozszerzyć, nie przypominamy Sapieżyńskich projektów¹⁾ unji carstwa waszego z Rzeczpospolitą Polską, aby przez to rychło bratnią zgodą skruszyć despotyzm. Stało się to księgi dziejów wspomnieniem i wspomnieniem dalekiej przeszłości, o której despotyzm Rosji, jak było rzeczywiście, pisać nie dozwala.

W miarę, jak u was despotyzm głowę podniósł i ustalił się, ziemie wasze i nasze zakrwawiły się nieraz zobopólną krwią, i myśmy wam ulegli. Wszakże wiecie, że zawsze do walki wiodły zgubny egoizm lub uciążliwy despotyzm, a ujarzmienie nasze my nie wam, ale przypisujemy chciwej i przewrotnej polityce samodziurców waszych, którzy i was w jarzmie trzymają.

Między ludami, wolności pragnącymi, stoi przymierze. Jeśli wy o swoją dbacie, jest takie przymierze między wami i nami. Okazywało się to jawnie, gdy przed siedmią laty zbliżone w tym celu serca polskie z rosyjskimi rozwijały nad brzegami Newy wielką myśl słowiańskich ludów federacji²⁾. Objawiło się wtedy przymierze między rosyjskim a polskim narodem.

Lud polski, powstający w roku 1830 z jarzma niewoli, przekonany był, że to przymierze trwa, i w walce swojej tego przekonania nie przestawał jawnych składać dowodów.

Sejm rewolucyjny, protestując w manifeście swym 20 grudnia 1830 przeciw nieprawości samodziurcy waszego i przeciw natłoczonemu jarzmu, zwrócił swój do was w imieniu narodu polskiego głos w słowach: „nie powodowała nami żadna nienawiść narodowa przeciw Rosjanom, wielkiemu, jak my, szczepowi słowiańskiego rodu. Słodziliśmy owszem pierwsze chwile wydartej nam na nowo niepodległości tą myślą, że połączenie pod jednym berłem, jakkolwiek dla nas szkodliwe, przyniesie czterdziestomiljonowemu ludowi uczestnictwo swobód konstytucyjnych, które w całym ucywilizowanym świecie stały się równie potrzebą panujących, jak rządzonych“. Te są sejmowego manifestu słowa.

Rozniecał przeciwko nam niechęć, nienawiść i zawziętość samodziurca wasz; tej nie widzieliście ku sobie obudzonej u nas. Towarzystwo Przyjaciół Nauk, od chwili upadku Polski ocalenie narodowości na celu mające, wśród zaciętej walki, w narodzie waszym wyszukiwało światłych mężów Rosji i do grona swego powoływało.

Wśród zaciętej walki, skoro wypoczynek nastawał, wasi wojow-

¹⁾ T. j. projektów ks. Lwa Sapiehy w epoce Wazów. — ²⁾ W okresie spisku Dekabrystów.

nicy, ranni czyli jako jeńcy przywiezieni, prawdziwie braterskiego doznawali opatrzenia i przytułku.

Wśród zaciętej walki myśli nasze zwracały się do pamiętek znacznych uczuć waszych. W tymże dniu, w którym sejm wyrzekł niepodległość ludu, lud warszawski i polski w uroczystym obchodzie czcił pamięć waszych wolności męczenników: bo imiona Pestela, Murawjewa, Bestużewa, Rylejewa i tylu innych ofiar okrutnej zemsty, pamiętne na zawsze dla Rosjan, równie są drogie sercu Polaka¹⁾.

Wśród zaciętej walki, jeśliśmy powiedzieli, że „prawy Polak jeśli ulegnie, zginie z tą w sercu pociechą, że jeśli własnej wolności i ojczyzny uratować nie dozwoliły mu nieba, śmiertelną walką zasłonił przynajmniej na chwilę zagrożone europejskich ludów swobody“, tak równie i waszą na celu mieliśmy wolność, a wojownik, nasz obywatel, odpierając ciosy ujarzmienia i despoty, niósł naprzód hasło: „za naszą i waszą wolność“ i objawił niem, że nie przestaje być przyjacielem waszym.

Narady kongresu wiedeńskiego, przeważną decyzją swoją stawiąc o losach ludów, brały pod rozwagę bezprawia polityki i przyznawały potrzebę konstytucji dla ludów. Wszakże decyzje tego kongresu wpadły w nowe bezprawia i wielu dawnym bezprawiom dodać mocy przedsięwzięły. Nie obowiązują one w niczem ludów, ale zobowiązały tam wzajem rządzących i zmawiających się mocarzy. Ten to kongres powierzył imperatorowi Aleksandrowi, jako Królestwo Polskie, małą nadwiślańską starodawnej Polski częśćkę, i nakazał, aby to Królestwo przez swoją konstytucję do Imperjum Rosyjskiego przywiązane było. Nadał imperator Aleksander małemu Królestwu, na zasadach monarchji reprezentacyjnej, konstytucję: czyliż przez to dopełnił kongresem przepisane go warunku? Wcale nie.

„Połączenie na jednym czole koron samodziurcy i króla konstytucyjnego, mówi manifest sejmu rewolucyjnego, było potworem politycznym, który długo istnieć nie mógł. Każdy przewidywał, że Królestwo Polskie jest albo zawiązkiem instytucji liberalnych dla całego Imperjum Rosyjskiego, albo ulec musi pod żelazną samowładców jego prawicą“. Tak jest, miało być zawiązkiem instytucji dla Imperjum całego, a tymczasem uległo pod żelazną despotyzmu prawicą.

Wszakże warunek kongresu wiedeńskiego był, aby Królestwo przez konstytucję swoją do Imperjum przywiązane zostało. Króle-

¹⁾ Imiona skazanych na śmierć lub ciężkie roboty uczestników spisku Dekabrystów, wykrytego w grudniu 1825 r.; co do uczuć, jakie w sercach Polaków (m. i. Mickiewicza) umieli obudzić Rylejew i Bestużew, — por. wiersz Mickiewicza „Do przyjaciół-Moskali“.

stwo z Imperjum miało tedy być związane nie przez węzeł federacyjny, nie przez głowę panującego, jak to w innych bywa państwach, ale przez konstytucję. Jakże tedy można było Królestwo konstytucyjne do niekonstytucyjnego Imperjum przywiązać? Pewnie nie inaczej, tylko samemu Imperjum podobną nadając, jaką Królestwo miało konstytucję. Czuł to dobrze Aleksander, znał, że się do tego zobowiązał, że ten warunek dopełnić był powinien, a tym końcem nietylko równym sposobem wam, Rosjanie, prawa i konstytucję nadać obiecywał, ale przed nami sam przy zamknięciu sejmu 1818 uroczyście powiedział, że „doświadczając w Królestwie instytucyj liberalnych, które nie przestały być szczególnym jego czuwania przedmiotem, ma nadzieję, że, za pomocą Bożą, ich zbawienne działanie rozciągnie do wszystkich ziem, które Opatrzność jego pieczy powierzyła“, przyznając, „że Polacy podali mu środki objawienia jego ojczyźnie, Rosji, to, co dla niej oddawna gotuje, i co otrzyma, skoro żywioły tak ważnego dzieła dostatecznie rozwinięte zostaną“. To były słowa Aleksandra samego, te były jego przyrzeczenia. Dlatego, dla was, Rosjanie, i dla całego Imperjum swojego konstytucję, na tychże zasadach, na jakich była małego Królestwa konstytucja, wygotował, i tę znaleźliśmy w papierach spólnego wroga naszego, i tę w obu językach, waszym rosyjskim i francuskim, dla wiadomości waszej, wśród zaciętej walki, wydrukowaliśmy.

Daliśmy ją wam poznać, aby was przekonać, że imperator Aleksander znał to dobrze, iż był obowiązany być nie imperatorem despotą, ale imperatorem konstytucyjnym, a z prawa ku wam winien był rzec się despocii swojej, jeśli chciał nad wami władać.

Ale wasz imperator Aleksander, po dwudziestopięcioletnim panowaniu, nie uścił się wam z przyrzeczeń; po dziesięciu latach od czasu kongresu wiedeńskiego schodzi ze świata, nie dopełniwszy przyjętych na siebie dyplomatycznych warunków. Nie dopełnił, bo zmowa świętego przymierza uwolniła go od tego, w nową poszła bezprawia i kuła dla ludów pęta niewoli. Następca jego, Mikołaj, zapowiedział, że w ślady jego wstąpi, że panowanie jego będzie dalszym ciągiem gnębienia swobód, mordów i nieszczęść sprawy ludzkości. Rosjanie! miłe są dla nas wspomnienia słowiańskiej przeszłości. Na waszej ziemi kiedyś w mocy swej była *Prawda Ruska*¹⁾, wpływem skandynawskiego prawodawstwa tworzona, jednakże żywiła zasady wolność miłujących Słowian.

Dziś, jakież wasze jest położenie? Jakie są wasze prawa? Rządzi wami bezprawie i zdzierstwo. Wielu dostojnych obywatelów wa-

¹⁾ Najdawniejszy — z w. XI — zbiór praw ruskich.

szych podnosiło swój głos, domagając się praw: głos ich został bez skutku. A ci, co śmielej i ostrzej o prawa się upomnieli, stali się ofiarą gwałtu, w więzach zesłani w Sybir. Od stu lat komisja prawodawcza nic dla was zdziałać nie mogła. Obija się o wasze uszy imię *zakonów*, a wami rządzą *ukazy*¹⁾. *Ukaz* na *ukaz*, dowolnie ogłaszany dla dogodzenia chciwych widoków. Nic wam bezpieczeństwa waszych osób ani waszej własności nie zapewnia. Wszystko od *ukazu* zależy. Tysiące mieliście obietnic i upewnień, a zawsze uwiedzeni, oszukani byliście.

Żeby was w jarzmie utrzymać, dobiera samodzierzca wasz słuzebnych urzędników, a nie ufając swoim, do usług swych cudzoziemców powoływa. Jeśli jest zniewolony od siebie cudzoziemców czasowie odsunąć, rychło do nich powraca; bo to najdzielniejsza jego despotyzmu podpora. Przy nich znaczenie i władza, przy nich powaga, która ich panoszy, was z majątków ojczystych wyzuwa, odpycha od tych posług publicznych, w którychbyście się o prawo i wolność skutecznie upomnieć mogli.

Używa i was samodzierzca wasz, ale nie dla waszego dobra, tylko dla dogodzenia swej dumie, ugruntowania władzy i ukucia więzów narodom. Tym końcem wymyśla wojny, aby mężów Rosji, kwiat narodu, odwrócić od myślenia o prawach człowieka i ludów, aby ich życzenie zagłuszyć opowiadaniem bitew, aby ich oko zając widokiem krzyżów i wstążek, aby ich wywieść na pole boju, gdzieby przed czasem poginęli i wyplenieni byli, a z nimi wznioślejsze uczucia, myśli, upragnienia, godne człowieka, i ów dzielny instynkt wolności, którego ocknienia despotą tak się obawia. Walczyliście, Rosjanie, Turków, Persów, Polaków. I cóżeście zyskali?

Możeście sławę z podbojów dla siebie, dla Imperjum uzyskali? Nie; bo krew ludzka nie opłaca się kawałkiem ziemi albo lichym groszem na nieprzyjacielu wyciśnionym, który jest obciążony złorzeczeniem i przekleństwem zwojowanego ludu. W nagrodę wysług waszych odpycha was Europa od siebie, zowie was barbarzyńcami, cechuje piętnem hord azjatyckich; bo despotą wasz nie dopuszcza wam stanąć na stopniu działań ludów europejskich, o prawa i wolność upominających się. Bolejecie nad tem, i wyższe uczucia wasze słusznie są tem obrażone. Z wami razem boleje nad tem Europa i ludzkość cała. Czas, abyście zmyli z siebie tę plamę, jaką na was tyran w oczach Europy wycisnął. W potrójnej wojnie, którą duma zacięcie wiodła, namnożyło się po Rosji żałoby. Synowie

¹⁾ *Zakon* — po rosyjsku = prawo, jako przeciwieństwo *ukazu*, samowolnego dekretu carskiego.

Rosji bezkorzystnie poginęli: kilkakrotnie stotysięcy poległych ofiar, w obliczu ludów do wolności wzdychających, zaległo pobojowiska i mogiły, bolesnem wspomnieniem, że walczyli dla zniszczenia cudzej wolności, dla wzmocnienia swojej niewoli. Toż to wasza sława!

Rozlega się dotąd w przyćmionej jaskini jęk i narzekanie; ale się już do niej światło przedziera, które pokazuje przyczyny cierpień, które objaśnia zuchwałość despotyzmu ludzkości, dolegliwe razy zadającego. Skrępuje go i wyróci dzielna moc ludu. Dośpiewa już rozum i niezadługo uderzy na gwałt przeciwko ciemności. Zbliża się chwila do spełnienia wielkiego dzieła, do którego nadludzka siła ludy powołała.

Bracia Rosjanie! i wy tę chwilą przewidujecie: wzniosły wasz umysł umie oceniać godność człowieka, równie jak jego dla sprawy ludzkości poświęcenia się i cierpienia. Potrafi on ocenić położenie narodu polskiego, jego klęski i uczucia. Do tego powołuje i was, Rosjanie, głos ujarzmionej i w niewoli jęczącej Słowiańszczyzny, na której ujarzmienie sprzyśegli się mocarze niemieccy i wasz samodzielną. Słowianin Słowianinowi chętnie bratnią dłoń podaje. Słowianin Słowianina ochoczo dźwiga, aby wolność odzyskał. Myśl wielka, na brzegach Newy objawiona, Słowiańskich ludów federacji jedynie tylko przez wspólne ich odrodzenie urzeczywistnioną być może. Precz z jarzmem cudzoziemczem! precz z despotyzmem! Zaczynajcie, Rosjanie, od siebie, wnieście ołtarz wolności w miejscu zbyt długo czczonego bałwana i powołajcie do wspólnego dzieła bratnie ludy, bo wszystkie równie tego pragną. Złożyliśmy dowody, że lud polski podobnie tego żądał, a walcząc z despotyzmem, mniemał, że z wami w przymierzu stoi. Ani wątpić, że tkwiło w duszy Rosjan toż przeświadczenie. Wielu z Rosjan nie umiało go w sobie stłumić: uczucie ich wybuchowało w narzekania; objawiała je łza rozrzewnienia, a niejednego przepętnione wzruszeniem piersi podawały się rozpacz. Tak jest, mieliśmy, my, Polacy, w szeregach waszych przyjaciół, mieliśmy braci w Rosjanach. Wśród zaciętej walki, wśród przerażającego huku dział, z trudnością mógł się głos powstającego bratniego narodu przedrzeć do was: teraz, pod kirem żałoby, w głuchej ujarzmionego ludu ciszy, głos ten, wznoszący się w chwilach swobody i działania, ponawianem w sercach waszych echem da się wam lepiej rozpoznać. Przypominają go wam tułacze polskiego narodu, co, uchodząc przed niewolą, po świecie się rozbiegli i stali się przestrożą dla ludów, braterską zawiścią rozdwojonych.

Paryż, 1832 roku.

b) Mowa, miana w Paryżu 29 listopada 1833 roku na obchodzie drugiej rocznicy rewolucji listopadowej¹⁾.

Dostojny grenadjerze gwardji narodowej polskiej!

Bronieś dzielnie naszej sprawy we Francji, i przychodisz na dzisiejszą uroczystość, którą Polacy po raz drugi obchodzą na obcej ziemi. Francuzi mieli także swoją uroczystość doroczną, ale ją obchodzili u siebie. Chcąc uczcić pamiątkę waszej rewolucji, przesłałiśmy ci, generale, kilka wyrazów. Zaszczyciłeś nas swoją odpowiedzią, w której, zgadując nasze myśli i podnosząc nasze wyrażenia, dałeś nam poznać twoje wzniosłe uczucia.

Dwa lata temu, o tej samej godzinie, nasza dzielna młodzież skruszyła pęta niewoli i powołała naród do broni. Cały ten naród poruszył się, porwał za broń i mężnie walczył za swą niepodległość, za swą wolność, za zasady wszechwładztwa ludu, wznowione przez waszą pamiętną rewolucję lipcową. Obywatelu dwóch światów! Republikaninie! Byłeś na czele szlachetnego ludu, nie mogłeś tedy uchylić się od tego uroczystego zgromadzenia Polaków: przewodniczysz nam po raz drugi.

Otacza cię uszanowanie narodów, i wszyscy przyjaciele wolności, jakiegokolwiek odcienia, garną się do ciebie: kilkakrotnie przyjacielskie narody gromadziły się pod wróżbą La Fayette'a²⁾. Widzisz te same narody zgromadzone na dzisiejszej uroczystości: są tu mieszkańcy wysp i stałego lądu, są wszyscy Polacy obecni w Paryżu; bo uczucie, które popycha wszystkie narody do tego samego celu, utworzyło ze sprawy polskiej sprawę europejską, sprawę ludzkości. Przyjdzie chwila powszechnego oswobodzenia, w której znikną różnice w widokach i środkach, w której wszyscy, odłożywszy na bok, co im dotąd w drodze do zamierzonego kresu przeszkadzało, podadzą sobie dłoń po bratersku, żeby wspólnymi siłami wolność i niepodległość odzyskać. Co nim nastąpi, poprzestać musimy na wzajemnem sobie udzielaniu naszych życzeń i nadziei.

Mieszkał niegdyś w tym gmachu król, nasz spółobywatel. Znękany klęskami, które za jego panowania Polskę utrapiły, przepędził resztę dni zdala od zgiełku świata politycznego. Spokojny w tem cichem ustroniu, zakończył, jak mówią, życie, odebrawszy wiado-

¹⁾ Obchód urządzono w gmachu, upamiętnionym niegdyś przez pobyt Jana Kazimierza, pod przewodnictwem generała La Fayette'a, towarzysza broni Kościuszki z walk wyzwoleniczych w Ameryce, obdarzonego — jak widać ze wstępnego wezwania — honorowym stopniem wojskowym polskim. — ²⁾ To znaczy, że La Fayette już nieraz przewodniczył zebraniom, urządzanym przez emigrantów politycznych różnych narodów.

mość o znacznej stracie, jaką ojczyzna jego poniosła, kiedy Turcy wzięli Kamieniec i najechali Podole. Zgromadzeni w tym gmachu, oplakujemy przy jego grobie stratę wszystkiego, stratę poległych w boju braci, którzy mieli szczęście poświęcić się, zginąć za ojczyznę. W niewypowiedzianej boleści, upadlibyśmy pod ciężarem nieszczęść, gdyby nas nie pokrzepiała nadzieja odrodzenia ojczyzny, nie zachęcała do wytrwałości.

Ten sam król, przeznaczony od młodych lat na cierpienia, popadł we Francji w niemałe niebezpieczeństwo, niemałych doznał tu przykrości, a jednak, zstępując dobrowolnie z tronu, nie gdzie indziej, jak we Francji, szukał przytułku i znalazł gościnne przyjęcie. Jeżeli wolno porównywać nasze przeznaczenie z przeznaczeniem Jana Kazimierza, nie powinniśmy się niecierpliwić, nie powinniśmy tracić odwagi. Potrzeba nam czekać i cierpieć, w tem przekonaniu, że przyjdzie czas, kiedy otrzymamy wsparcie od Francji i wspólnie z nią działać będziemy.

Ten sam król, składając koronę i żegnając się z narodem, przepowiedział w pamiętnej mowie do stanów upadek i rozbiór Polski. W sto cztery lata potem to przepowiedzenie zaczęło się iść, a w sto dwadzieścia siedm całkiem się spełniło. Niemasz więc już dla nas niebezpieczeństwa: wszystko przeminęło i zupełnie się dokonało. Niech jednak dalekie będą od naszej myśli wszelkie złowrogie przeczucia i domysły, dające się tylko zastosować do narodów, które upadły i nigdy się już nie podźwignęły. Nie z tego kłębka snują się nasze przyszłe losy. Kiedy, wyparci od nieprzyjaciół, żegnaliśmy naszą rodzinną ziemię, zaraz zaczęliśmy przeczuwać, przewidywać, obiecywać sobie prędko do niej powrót, i teraz to samo powtarzamy w obliczu Francji. Tak jest, nasza Polska, nasza kochana ojczyzna będzie przywrócona w dawnych swoich granicach, i my się do tego przyczynimy. Taka jest nasza wiara. Biada temu, kto o tem wątpi, kto się waha, kto z nas nie wytrwa do końca. Ileżto razy, generale, mówiłeś nam o niechybnie ziścić się mających naszych nadziejach! Takie jest twoje przekonanie, i takie jest nasze.

Generale! Wszystkich oczy są obrócone na ciebie w głuchem milczeniu. Ale głos twój rozlega się we wszystkich sercach tu zgromadzonych, we wszystkich wzniosłych umysłach, rozproszonych po obu półkulach. Kiedy mówisz o nadziei, głos twój przenika nas najwięcej, Polaków. Czego sobie życzymy, niemniej życzymy wszystkim narodom, a w szczególności narodowi francuskiemu. Wszystkie nasze życzenia są dla Francji.

ADAM MICKIEWICZ (1798—1855).

1. Z Kursów literatury słowiańskiej ¹⁾.

a) Rok trzeci. Lekcja 2 (13 grudnia 1842).

Obecność u Słowian. — Mesjanizm. — Postęp jest szeregiem objawień. — Główny jego dogmat. — Słowo. — Każda narodowość jest rozwinięciem jednego słowa, jednej myśli wcielonej. — Różnica mędrców od filozofów. — Prometeusz i Epimeteusz. — Kodeksy, ustawy, porządki ludzkie względem ewangelji; teorje, retoryka, dziennikarstwo względem literatury. — Przeszłość stawia opór. — Naród najbardziej uciśniony od przeszłości. — Co jeden z poetów polskich mówi o poezji.

Jeden filozof słowiański, autor dzieła, które będziemy rozbierali, Polak rodem, Trentowski, opiera swój system na tem, że obecność ²⁾ jest wszystkim dla człowieka. Myśl tę, mającą pozór paradoksu, wyraził już pierwaj poeta polski, Garczyński:

Teraźniejszy świat tylko jest boski, jest wielki;
Przeszły, przyszły są niczem...

Może to zdawać się dziwnem, że poeta i filozof ze szczepu, który teraz nie gra roli bardzo świetnej, z narodu, który dobjaja się nie o co innego, jak o przyszłość, przywiązali się do chwili obecnej; ale ta chwila wedle nich jest to działanie, życie, siła, jest to owoc dziejów przeszłych, zaród przyszłych. Tym sposobem pomniki piśmienne, wszelkie zabytki, przechowujące tylko pamięć tego, co minęło, wszelkie okruchy przeszłości, któremi tak się chętnie niektóre narody, w tem pojęciu słowiańskiem są niczem: bo przeszłość powinna znajdować się cała w duchu ludzkim, który zawsze jest obecnością. Przyszłość podobnie, przyszłość, jako nadzieja filozoficzna do urzeczywistnienia, nie liczy się za nic w życiu obecnem, w życiu wielkiego rodu ludzkiego; dopiero duch człowieczy, realizując skupioną w sobie przeszłość, ciągle daje początek przyszłości.

Musieliśmy naprzód wyłożyć tę prawdę, ponieważ powołani jesteśmy traktować filozofję, nie mającą żadnej szkoły, literaturę, posiadającą dzieł niewiele. Powołanie nasze nakazuje nam okazać nawet małą wartość moralną wszystkiego, co jest pamiętką, pomnikiem, co było zrobione na ubóstwienie dumy człowieka, na łechtanie jego próżności.

Owoż tedy, Bóg ciągle, w każdej chwili mówi przez ducha ludzkiego, a działanie to stanowi obecność. — Nieraz zwracaliśmy uwagę naszych słuchaczy szczególnie na znaczenie obecności dla Słowian.

¹⁾ W tłumaczeniu polskiem Feliksa Wrotnowskiego. — ²⁾ T. j. teraźniejszość.

Wielekroć wskazywaliśmy skinienia, znaki, jakie ludy te czynią do ludów zachodnich: przebija się w nich sama chęć zgody. Słowianie nie grożą już najściem Europie, wzywają ją do przymierza.

Narody słowiańskie oddawna dążą ku temu. Jeden z pomiędzy nich, mianowicie naród polski, wyprzedzał prawie zawsze swoich filozofów i poetów. Dlatego też życie historyczne i działanie tego narodu ważniejszym jest przedmiotem od jego literatury. Podobnie ma się rzecz i z innymi narodami słowiańskimi. Jeżeli generał Suwarow był większym od poety Dzierżawina, który go sławił, można powiedzieć także, że ostatnie powstanie Polski miało więcej mocy, wydało charaktery dobitniejsze od zapowiedzianych przez poetów, że nawet teraz są fakta, sięgające daleko wyżej, niżeli wszystkie nasze filozofje i literatury. Dodamy nawiasem, że przytomność znacznej liczby słuchaczy słowiańskich tutaj nie jest przypadkową, ale ma ścisły związek z ciągiem zjawisk politycznych i literackich.

Z całej historji ludów słowiańskich, a osobliwie z pochodzenia dziejów narodu polskiego, wynika, jakeśmy to powiedzieli, przypuszczenie mesjanizmu, czyli szeregu objawień. Pierwej, nim przystąpimy do rozbioru dwóch wielkich pisarzy, musimy jeszcze chwilę zastanowić się nad tym przedmiotem.

Już w roku przeszłym widzieliśmy, że różnica, jaka zachodzi między ludźmi, zależy od różnego stopnia rozwinięcia ich ducha. Duch więcej rozwinięty ma naturalne posłannictwo prowadzić ludzi w tej mierze niższych. Jest to główny dogmat mesjanizmu. Opatrzność używa takiego ducha za swój organ; Bóg nie używa innego sposobu przemawiania do ludzi, obiera na to sobie człowieka. Nie wciela się On w szkoły, złożone z indywidualiów różnego charakteru i różnej wartości moralnej, nie wyraża się przez książki, których autorowie mogą dogadzać egoizmowi albo chuciom ziemskim: przemawia przez ducha takiego, co pilnował się Jego praw, udoskonalił siebie, jak należy, czyniąc zadość warunkom do tego potrzebnym, wytrzymał próby, osiągnął mądrość. Wiedziano o tem dawno, znali to mędracy starożytni, których później zastąpili filozofowie. Nie jest to zdanie nowe, ale trzeba, żeby się stało dogmatem powszechnym, a stało się już nim dla filozofów i poetów wielkiego narodu europejskiego, co rzecz godna uwagi.

Owóż duch, który pracuje, który się podnosi, który bez ustanku szuka Boga, otrzymuje przez to samo światło wyższe, zwane słowem, i staje się objawicielem. Człowiekowi ukazuje się nagle przed oczyma nie system, ale, jakeśmy powiedzieli, słowo, i dlategoż to największe ze wszystkich objawienie chrześcijańskie nazwano słowem.

wem. To światło Boskie, któremu dość jednego człowieka, żeby się objawić, rozwija się później, bo jest słowem żyjącem; rozwija się w systemach, w szkołach, a nadewszystko w czynach; nie potrzeba mu dowodzeń, rozumowań, przeświadcza samo przez się; nie wykląda szeroco tych systemów, nie zapowiada nawet zgóry, co ma sprawić; przemawia i realizuje się razem. Widzimy teraz, dlaczego w ewangelji niemasz ani jednego przykładu dyskusji, ani jednego sylogizmu, ani jednej obietnicy pod względem ekonomicznym, politycznym lub socjalnym, a jednak słowo to sprawiło zmiany niezmierne we wszystkich gałęziach wiadomości ludzkich.

Na wzór tego objawienia głównego, będącego, jeśli godzi się tak powiedzieć, kapitałem rodu ludzkiego, są objawienia cząstkowe: można nawet rzec (co udowodnimy kiedyś, rozważając dogmat społeczeński Słowian), że każdy lud brał swój związek z objawieniem, że każda narodowość polega na objawieniu osobnem. Ile było wielkich narodów, każdy powstał z jednego człowieka, z jednej myśli, i żył dlatego tylko, żeby tę myśl zrealizował.

Filozofja, czyli co nazywają filozofją, to jest robota inteligencji, która wyłamuje się z pod wszelkich prawideł moralnych, która nie chce poddać się żadnemu warunkowi, położonemu przez Opatrzność, która mniema, że dosyć jest rozumować i dyskutować, ażeby otrzymać prawdę, filozofja taka, wedle powyższego sposobu uważania rzeczy, jest tylko naśladowaniem, albo raczej fałszerstwem objawienia. Mędracy objawiają wielkie prawdy, mędracy czyli *cnotliwi* (bo po grecku *sofos* znaczy razem jedno i drugie), ludzie święci odkrywają wielkie rzeczy; filozofowie udają, że czynią toż samo. Mamy tutaj znaczenie bajki o Prometeuszu i Epimeteuszu. Prometeusz dostał ogień z nieba, i ogniem tym ożywił człowieka, to jest dał wiedzę, założył instytucję; Epimeteusz, chcąc naśladować brata, stworzył tylko małpę.

W rozwijaniu się tedy politycznym narodu, dają się widzieć ludzie przeniknięci tradycją narodową i ci prowadzą naród ku jego przyszłości. Ukazuje się także szereg ludzi natchnionych, którzy od czasu do czasu zjawiają się w chwilach stanowczych. Natchnienie to, jak można wnosić z głębokiego zastanowienia się nad historją, będzie coraz mocniejsze. Pominąwszy bowiem rozbiór instytucji ludów starożytnych, rzućmy tylko okiem na samo chrześcijaństwo.

Narody chrześcijańskie, przyjąwszy nową wiarę, pozostały jednak pod prawodawstwem pogańskim. System kast nie ma miejsca w ewangelji. Wyobrażenie dziedzictwa nie znajduje się także w księgach chrześcijańskiego zakonu. Wojny i traktaty bywają teraz bar-

dziej barbarzyńskie, niżeli zabory i układy Rzymian: radzili się w tem oni przynajmniej swoich kapłanów, zwanych *salienses*. Ewangelja przeto, przyjęta przez ludzi pojedynczo uważanych, nie weszła w życie polityczne narodów. Kodeks rzymski po dawnemu służy za prawidło trybunałom; prawo arystokratyczne plemienia germańskiego stało się wszędzie, przynajmniej w państwach zachodnich, prawem publicznem; a wszystkie te ustawy, wszystkie te zwyczaje wykluczają natchnienie, kiedy przecież przyszłość narodów założona jest na słowie natchnionem. Oto bo potrzeba czasu, żeby nowy porządek rzeczy wszedł na miejsce starego. Widzimy wszakże, że po wprowadzeniu chrystjanizmu do Galji płomień natchnienia zapala się w niej od czasu do czasu i przedziera się wśród gęstwy przesądów, nawyknień powszednich. Widzimy nadewszystko w Dziewicy Orleańskiej przykład. Wzór, typ nowego porządku rzeczy. Zjawisko to nie mogłoby być pojęte ani przez Greków, ani przez Rzymian. Osobę tę wydał już chrystjanizm. Prosta wieśniaczka, która staje na czele wojska dlatego, że otrzymała wyraźny rozkaz od Boga, która zniewala władze urzędowe do posłuszeństwa natchnieniu, jest osobą ewangeliczną, jest zapowiedzią, jak na świecie ma działać się kiedyś. Nie będziemy przywozili tu innych przykładów z krajów mniej znanych publiczności francuskiej; wspomnimy tylko sławnego Szwajcara Davell, co także zaufany w natchnienie, opanował był Lozannę, wypędził z niej Berneńczyków i dał współobywatelom swoim wolność, której oni lękając się używać, wrócili znowu pod przemoc obcą¹⁾.

Wierzmy więc i mamy powody wierzyć, że narody chrześcijańskie zbliżają się coraz bardziej do zrealizowania ewangelji, i że wtedy duchy te wyższe, zdolne otrzymywać natchnienie Boskie, będą powołane do odegrywania ról, jakie nie mogłyby zgadzać się z teraźniejszym stanem społeczeństw. Zastanowimy się jeszcze nad tą myślą pod innym względem, roztrząsając poemat, od którego zaczniemy tegoroczny kurs literatury.

To samo objawienie, co prowadzi ludy, posuwa także i ich literatury. Dają mu rozmaite nazwiska, powiadając zwykle, że aby pisać, tworzyć dzieła, trzeba mieć talent, dar, co jest nie czem innym, jak tylko objawieniem. W dziedzinie przeto literatury zachodzi ten sam spór, jaki i w politycznej. Jak kodeksy, ustawy tamują ciągle rozwijanie się chrystjanizmu, tak szkoły, teorje, retoryka, dziennikarstwo tłumią postęp literacki. Wszystko to przeszkadza człowiekowi otrzymywać natchnienie. Dlategoż nigdy wielcy artyści nie wychodzą ze szkół, ale czerpią siłę twórczą z wielkiego życia,

¹⁾ Epizod z walk wyznaniowych między kantonami w w. XVII.

krążącego w narodzie; inaczej trudno byłoby pojąć, skąd biorą się wielcy artyści w krajach, gdzie niemasz ni szkół, ni dzienników, ni nawet księgarni.

Podług tego, cośmy powiedzieli, możemy powtórzyć, że naród, który najwięcej cierpiał z przyczyny dawnego porządku rzeczy, naród najbardziej uciśniony przez potęgi, opierające się na przeszłości, naród polski, został przygotowany do przyjęcia wielkich i ważnych objawień.

Poczniemy naprzód od poezji i przytoczymy wyjątek ze wstępu poematu, mającego tytuł *Nieboskiej Komedji*. Da on nam widzieć, jak Polacy pojmują poezję. Wstęp ten, bez ogólnego napisu, dosyć jest ciemny; autor odzywa się tu do poezji w ogólności, do jej ideału, jaki sobie wystawia.

„Gwiazdy wokoło twojej głowy — pod twojemi nogi fale morza — na falach morza tęcza przed tobą pędzi i rozdziela mgły — co ujrzysz, jest twojem — brzegi, miasta i ludzie tobie się przynależą — niebo jest twojem. — Chwale twojej niby nic nie zrówna“.

„Ty grasz cudzym uszom niepojęte rozkosze. — Splatasz serca i rozwiązujesz, gdyby wianek, igraszką palców twoich — lzy wyciskasz — suszysz je uśmiechem, i na nowo uśmiech strącasz z ust na chwilę — na chwil kilka — czasem na wieki. — Ale sam co czujesz? — ale sam co tworzysz? — co myślisz? — przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknością. — Biada ci — biada! — Dziecię, co płacze na łonie mamki — kwiat polny, co nie wie o woniach swoich, więcej ma zasługi przed Panem od ciebie“.

Po tem skreśleniu potęgi poezji istotnej, następuje teraz obraz nędzy poezji, uważanej jako sztuka.

„Skądżeś powstał, marny cieniu, który znać o świetle dajesz, a światła nie znasz, nie widziałeś, nie obaczysz. Kto cię stworzył w gniewie lub w ironji? — Kto ci dał życie nikczemne, tak zwodnicze, że potrafisz udać anioła chwilą, nim zagrząźniesz w błoto, nim jak płaz pójdziesz czołgać i zadusić się mułem? — Tobie i niewieście jeden jest początek“.

„Ale i ty cierpisz, choć twoja boleść nic nie utworzy, na nic się nie zda. — Ostatniego nędzarza jęk policzon między tony harf niebieskich. — Twoje rozpacz i westchnienia opadają nadół, i szatan je zbiera, dodaje w radości do swoich kłamstw i złudzeń — a Pan je kiedyś zaprzeczy, jako one zaprzeczyły Pana“.

„Nie przeto wyrzekam na ciebie, Poezjo, matko Piękności i Zbawienia. — Ten tylko nieszczęśliwy, kto na światach poczętych, na światach, mających zginąć, musi wspominać lub przeczuwać cie-

bie — bo jedno tych gubisz, którzy się poświęcili tobie, którzy się stali żywymi głosami twojej chwały“.

„Błogosławiony ten, w którym zamieszkałaś, jako Bóg zamieszkał w świecie, nie widziany, nie słyszany, w każdej części jego okazały, wielki; Pan, przed którym unizają się stworzenia i mówią: „On jest tutaj“. — Taki cię będzie nosił, gdyby gwiazdę na czole swoim, a nie oddzielił się od twojej miłości przepaścią słowa. — On będzie kochał ludzi i wystąpi mężem pośród braci swoich. — A kto cię nie dochowa, kto zdradzi za wcześniej i wyda na marną rozkosz ludziom, temu sypniesz kilka kwiatów na głowę i odwrócisz się, a on zwiędłymi się bawi i grobowy wieniec spleta przez całe życie. — Temu i niewieście jeden jest początek“.

Zwrócimy jeszcze później uwagę na niektóre wyrażenia tego prześlicznego kawałka, pokazującego nam, jak pisarz polski pojmuje poezję. Dla niego nie jest ona sztuką, rozrywką: odmalował tutaj wizerunek potęgi poetyckiej, potęgi ducha, co, rzuciwszy się całkiem w rydwan swojej imaginacji, buja na tej tęczy po morzach i obłokach, mniema posiadać wszystko, ale gubi się przez to, że ten dar niebieski obraca na marną rozkosz. Przed kilku laty, jak wiadomo, była nawet utworzyła się we Francji teoria takich wędrówek po czasie i przestrzeni dla zbierania poezji, przebiegając kolejno chińską, arabską i t. d. Autor, o którym mówimy, ma poezję za natchnienie wielkiej wagi, każe ją nosić, jak gwiazdę na czole, i nie rozdzielać się od niej przepaścią słowa. Wystawić ją, wypisać, jest to wedle niego zmarnować, zdradzić. Słowo napisane dowodzi niemocy do czynu. Grecy nawet nieinaczej pojmowali prawdziwą poezję, jak w czynie: poezja po grecku znaczy działanie. Czegoż chce nasz autor? Oto żeby duchy najhartowniejsze, najwznioślejsze, najbardziej stykające się z bóstwem, nie puszczając sił w czczych wyrazach, zachowały je całkiem na działanie, na czyny. — Biada im, jeśli tylko mieli gadać i pisać; wtedy to byliby skazani całe życie bawić się garstką zwiędłych kwiatów. Taka jest myśl wstępu *Nieboskiej Komedji*.

b) Rok czwarty, lekcja 2 (26 grudnia 1843).

Życie prawdziwe i życie pozorne. — Ród słowiański gotuje się do zabrania głosu. — Pismo *Biesiada*. — Doktryna i doktrynery. — Czego Słowiańszczyzna potrzebuje od Francji i na jakiej tylko drodze porozumieć się z sobą mogą. — Intuicja. — Jaką i czyją pracą dobywa się prawda na niwach słowiańskich.

Podczas wielkiej rewolucji francuskiej widywano na obradach publicznych osoby, które po kilka i kilkanaście miesięcy nie odzy-

wając się nigdy, skinieniem tylko albo okrzykiem dawały znak, że co zgromadzenie czuło, to zgadzało się z ich uczuciem. Życie ich wewnętrzne szło silniej i prędzej od rozpraw ustnych. Zczasem przychodziła pora, że i ci ludzie milczący musieli wystąpić na mównicę, bo już w mowach swoich spółtowarzyszy nie słyszeli tego, co im własne sumienie mówiło.

Podobnie bywa i z ludami: wielki jeden naród, wielki odłam ludzkości, znajduje się w położeniu tych publicystów niemych. Filozofja i poezja jego są to tylko znaki, skinienia, któremi zdaleka dodaje bodźca albo potakuje Zachodowi; a i te znaki stają się coraz rzadsze, bo ród ten skupia się w sobie, gotuje się do zabrania głosu. W naszym zawodzie tłumaczenia życia wewnętrznego Słowian zostaliśmy nakoniec i od poezji, i filozofji opuszczeni.

Pośród tej ciszy jedno tylko pismo nam przybyło, pismo bezimiennie, ale sama jego wielkość wskazuje źródło, z którego pochodzi. Puszczone bezimiennie, jak większa część tegoczesnych dzieł słowiańskich, zostało nawet ogłoszone drukiem bez wiedzy autora. Zdrada ta, posługując za narzędzie Opatrzności, uczyniła je nabytkiem publicznym. Tytuł tego pisma jest *Biesiada*. Weźmiemy je za osnovę naszego kursu tegorocznego.

Z pomiędzy filozofów nie przytoczymy więcej żadnego, prócz Cieszkowskiego Polaka i Emersona Amerykanina, którzy nam pomogą dać pojęć publiczności, co w wyżej wymienionem piśmie mogłoby być dla niej rzeczą zbyt nadzwyczajną.

Z poezji podejmiemy niektóre miejsca dwóch poematów polskich, mających tytuł *Przedświt* i *Sen Cezary*.

Ale żeby odważyć się podać wam wyrób, jaki powinienem wypracować z tej osnovy, żebyś śmiało przeczytać wam choć jeden wyraz tego pisma, muszę naprzód porzucić metodę, panującą dzisiaj we wszystkich politycznych i religijnych rozprawach na Zachodzie, metodę rozbiorową, tor ubity, nałogi, powzięte z prawideł szkolarskich. Przed dwudziestu laty nie ośmieliłby się nikt tutaj odczytać poematu cudzoziemskiego, tragedjy Szekspira naprzykład; bo trzeba mu byłoby pierwej wiedzieć, do jakiej szkoły słuchacze należą: czy są romantykami, czy klasykami, czy trzymają się Boileau. Szczęściem, publiczność pod tym względem uczyniła postęp i mogliśmy już z katedry czytać utwory ślepych dziadów serbskich i pastuchów litewskich.

Teraz poruszamy przedmiot daleko ważniejszy, przedmiot, w którym zbiegają się wszystkie interesa, wszystkie zagadnienia naszej epoki: nie możemy przyjąć pola, jakie nam podają doktryny i dok-

trynerowie Zachodu. Pismo, którego tytuł wymieniłem, wypowiada wojnę wszystkim doktrynom, wszystkim układom rozumowym. Bo i cóż to jest doktryna, co doktryner?

Od ścisłego oznamionowania doktryny zależy więcej, aniżeli może mniemamy. Owóż, patrzmy, co znaczy szukać prawdy, a co doktrynować. Wszelka prawda nowa wymaga po człowieku nowego podniesienia się do niej; wszelka prawda nowa, to jest wszelka częśćka życia nowego, wyzywa człowieka do ofiary z części życia dawnego. Nie można podnieść się wyżej, nie opuściwszy szczybla niższego, albo nie będąc gwałtem z niego wyrwanym. Wszystko, co zwiastuje przyszłość, odrywa nas od przeszłości; i dlategoż każda prawda rodzi się w bólu, każda prawda zadaje ból; dlategoż każda prawda nie żyje i nie utrzymuje się inaczej, jak tylko pracą, która także jest bolem, cierpieniem.

Ewangelja porównała prawdę do tych talentów¹⁾, których nie możemy utrzymać, nie pracując na pomnożenie ich dorobkiem.

Jakże doktryna postępuje sobie, i co to jest doktryner? Doktryner jest to człowiek, który chce skazać prawdę na bezpłodność, bo chce uwolnić nas od wszelkiej pracy. Skoro czujemy się szczęśliwi i dumni z osiągnięcia jakiej prawdy, doktryna zaraz przychodzi nam mówić: nie macie potrzeby pracować więcej, zdobyliście już wszystko, przy świetle tego jednego promyka możecie iść do końca świata; pozostaje wam tylko cieszyć się skarbem, utrzymać nabytek i umieć go urządzić: cała rzecz jest już w ręku, chodzi tylko o wydoskonalenie szczegółów, specjalności. Doktryna podaje formuły.

Zwodnicza ta mowa ujmuje człowieka i pomału wyciąga z niego całe życie. Tym to porządkiem, po apostołach i cudotwórcach następują teologowie i kazuiści, a wtedy przychodzi nawet do utrzymywania, że cuda i dary Ducha, jedyny dowód jego bytu, są już niepotrzebne więcej dla ludzkości, że ludzkość ma w podręcznych zbiorach teologii wszystko, co tylko jej przeznaczono wiedzieć o ziemi i niebie, o teraźniejszym i przyszłym świecie.

Tym to porządkiem, po wielkich prawodawcach następują prawnicy i adwokaci ze swojemi formułami i wyrażeniami, ukutemi raz na zawsze. Tym porządkiem, po wielkich wojownikach, po mężach natchnionych, zajmują miejsce ludzie nauczający, że pokój przedewszystkiem, że każdy u siebie i dla siebie. Przyjście tego rodzaju ludzi jest prawie zawsze znakiem upadku ducha ludzkiego. Tak kończył się świat grecki i tak kończy się świat zachodni.

¹⁾ Tu: starożytna miara pieniężna.

Doktryna łatwo się przyjmuje, bo nie naraża ducha na żaden koszt, nie wymaga po nim żadnej ofiary z miłości własnej. Doktryner powiada ci: Dowiesz się wielkich, pięknych rzeczy, staniesz się mądrym i potężnym, a nie będziesz obowiązany poświęcić, nawet w czemkolwiek zmienić twoich przekonań. Każdy tedy, trzymając na stronie swój egoizm obwarowany, rad udaje się po wiedzę, pewien, że ją otrzyma i, otrzymawszy, obróci na dogodzenie sobie.

Zachód dusi się w swoich doktrynach. Gdyby plemię, występujące teraz na scenę świata, nie miało nic więcej zrobić, tylko dorzucić nową książkę do nieprzebrnionych stosów książek, tylko dodać nowy system do niezliczonych systemów, które was obarczają, przybywałoby z niczem, poczynaloby od tego, na czem zwykle się kończy.

Ale tak nie jest. Plemię to nie przyjmuje żadnego z waszych systemów i samo żadnego nastęczać wam nie myśli. Najkoszowniejszy i najdojrzały owoc, spadający z drzewa żywota tego rodu, nie ma nic wspólnego z tem, co pospolicie podają wam pod postacią wyrobów filozoficznych i literackich.

Płód, wzięty przeze mnie za przedmiot pracy, wynika z tej górnej krainy, którą filozofowie w języku swoim nazywają intuicją. Krainę tę filozof polski, Cieszkowski, wskazał za jedyne źródło wszelkiej prawdy spodziewanej; do tegoż przyszedł i filozof amerykański, Emerson.

Żeby wszakże wznieść się w tę krainę, żeby się w niej rozgościć jak w ojczyźnie, żeby mową pospolitą oddawać śmiało najwyższe, najświętsze powzięcia duchowe, muszę zrobić uroczystą odezwę do uczucia francuskiego mojej publiczności, do jej ducha drgającego łatwo.

Skoro się to uczucie obudzi, ujrzycie, że się wam nie przynosi nic nowego. Trzeba tylko, żeby genjusz francuski wszedł w samego siebie. Jest to genjusz, najwięcej dobywający ze swojego wnętrza. Wchodzenie w siebie, łatwe chwytnie tego, co każda chwila nastęcza i co z każdej chwili wyciągnąć można, czyni genjusz francuski tak samodzielnym. Niechaj was nie uwodzi doktryna raz wraz prawiąca o *specjalnościach*, jakgdyby przeznaczeniem młodzieży dzisiejszej nie było nic więcej, tylko udoskonalać drobiazgowo szczegóły przemysłu. Nikt bardziej od nas nie unosi się nad cudami, jakie przemysł wyrabia, nad tą jego niezmierną siłą, która musi opanować ziemię; ale idzie tu o coś daleko ważniejszego; idzie o to, kto zgarnie w swoją dłoń te wszystkie ogromne środki

przemysłowe, jaki duch obejmie rządy globu? Arsenaly nie mają opinji, służą na użytek każdemu zdobywcy. Duchy narodów są teraz w walce. Przy kim zostanie zwycięstwo, przy kim panowanie, a zatem i władza kierowania po swojemu temi wszystkimi narzędziami siły materialnej? Czy duch Anglji albo Rosji, czy duch Francji będzie nam rozkazywał? Francja powinna myśleć o tem; ona jest powołana rozwiązać ważne to zagadnienie. Francuzi! jakież to ma być ten duch potężny, któremu dostaną się w zarząd te wszystkie drogi, maszyny, okręty?

Ludy północne nie proszą was o inżynierów, nie żądają od was machin. Młodzi francuska! Północ nie rozstaje się z tem przekonaniem, że Francuz jest reprezentantem myśli szlachealnych, uczuć liberalnych, jest reprezentantem ruchu. To jedno tylko zapewnia wam poważanie u niej, to jedno sprawuje, że się jej oczy i nadzieje obracają ku wam. Co poeta rzymski wyrzekł do swoich spółrodaków, upominając ich, aby Grekom zostawili sztuki i rzemiosła, a pamiętali, że ich rzeczą jest rządzić: *Imperio regere Romane mento*, tego nie przestaniemy powtarzać genjuszowi francuskiemu. Tajemnica waszej potęgi, którą powinniście odzyskać, jeżeli nie chcecie jej zrzec się, leży w waszym duchu; a wszystkie doktryny bez wyjątku, wszystkie systemy godzą tylko na to, żeby was wyciągnąć z tej świątyni i poprowadzić na manowce szczegółów i drobnostek.

Cały zbiór materialnych sił przemysłu wpadał zawsze pod władzę tego, kto potrafi rozwiązać główne zadanie ludzkości.

Centurjon rzymski, nieumiejętny i nieokrzesany, ale dumny, bo reprezentował rozwiązanie najwyższej kwestji politycznej za czasów starożytnych, kazał wołać do siebie uczniów najślawniejszych mechaników i geometrów greckich, uczniów Archimeda, Euklidesa, i kijem napędzał ich, żeby mu wytykali drogi, robili maszyny. Z miast przepysznych, których zwaliska są jeszcze dzisiaj podziwem, zabierał architektów etruskich i kijem zmuszał, żeby budowali świątynie, stawili bramy triumfalne w Rzymie; bo miał on nabyte prawo rozkazywania i rządzenia, prawo najwyższe, które daje się tylko w nagrodę temu, kto poświęcił wszystko, aby wznieść się do wysokości, z której można widzieć rozwiązanie zagadki swojego czasu.

W was Francuzach jest coś z tego ducha rzymskiego. Zarzucają wam lekceważenie specjalności; wzruszają ramionami na to, że u was częstokroć odrazu wychodzi na ministra taki, co nie strawił życia przy biurze; mają wam za złe, że powierzacie dowództwo

armji generałom, nie wysłym ze szkół wojskowych. Słusznie jednak tak robicie. Jesteście wierni genjuszowi narodowemu; bo znacie, że na powiedzenie słowa, stosownego do okoliczności i chwili, trzeba więcej siły i mocy, aniżeli na wbicie sobie w głowę wszystkich manualów kameralistyki¹⁾ austriackiej i pruskiej. Wiedzieć przytem, że tylko na tej drodze zapału i wewnętrznego poczucia ród słowiański będzie mógł porozumieć się z Francją przysłą. Słowiańszczyzna zna waszych poetów, waszych mowców i waszych wojowników; niepotrzebni jej na nic wasi encyklopedyści, wasi, jak ich nazywacie, ludzie specjali. Powtarzam, że tylko na tej jedynej drodze potrafimy porozumieć się z sobą. Nie przynosimy wam nic nowego.

Przytoczę tu przykład, jaki mamy na człowieku najpraktyczniejszym w starożytności pogańskiej, na największym taktyku greckim, na Xenofontie. Xenofont, jak wiadomo, nie był nigdy wojskowym, znajdował się przypadkiem pośród dziesięciu tysięcy, otoczonych przez nieprzyjaciół w głębi Azji. Jakże się to stało, że nagle jednego poranku obudził się z gotowym planem wybawienia tego wojska, został jego wodzem i wykonał ów sławny odwrót, zadziwiający strategików dzisiejszych? Sam on to nam opowiada. „Miałem sen, mówi, zrozumiałem, co znaczył, i pobiegłem natychmiast do naczelnika i żołnierzy. W natchnieniu, otrzymanem przez ten znak z nieba, przełożyłem im, co trzeba czynić. Zrobili mnie swoim wodzem“. Jednej chwili Xenofont ujrzał swoje powołanie, poznał swoje obowiązki, odrazu wyuczył się sztuki naczelnego wodza.

Tym sposobem także wasi wielcy ludzie wieków średnich i nowożytnych, tym sposobem niektórzy dyplomaci za czasów Konwencji, tym sposobem Napoleon, nabywali znajomości spraw całej Europy i całego świata.

Nie sądzcie, żeby te środki sztuczne, które zdają się teraz ułatwiać stosunki między państwami, zbliżały narody jedne do drugich. Bynajmniej; duch tylko może je zbliżyć. Nigdy ludy nie były bardziej, jak dzisiaj, pooddzielane, porozkruszone, poróżnione moralnie.

Dam wam tego dowód historyczny. W owych wiekach, które nazywamy barbarzyńskimi, jeden z waszych monarchów, Karol Wielki, siedząc w swojej stolicy nad Renem, zaprzętał się bez ustanku sprawami ludów, mieszkających nad Odrą i Wisłą. Są traktaty, zawarte między niektórymi ich pokoleniami a Francją: możecie

¹⁾ Podręczników prawniczych.

je widzieć w waszych kronikach średniowiekowych. Znał on nawet szczegóły domowego urzędzenia się tych ludów, znał, o co się kłóciły z sobą. Pytamże się, czy wasi dzisiejsi politycy i dyplomaci, przy pomocy kart geograficznych i doniesień, dostarczonych przez posłów, wiedzą tyle o tamtych stronach, ile Karol Wielki wiedział? Odpowiedź łatwa, bo miarą świadomości dyplomacji jest przewaga polityczna, a wpływ wasz na Północy jest żaden. Tenże sam Karol Wielki, patrząc jednego razu na ocean i widząc zdaleka snujących się kilka łódek normandzkich, zalał się łzami wobec zdumionych dworzan, którzy nie mogli zgadnąć, skądby ten nagły smutek pochodził. Łódki te były wzniewami nadchodzącej strasznej napaści, która miała wkrótce zaburzyć pokój Francji, i w mgnieniu oka cesarz przewidział całą groźbę tego niebezpieczeństwa.

Skądże on brał tę wiedzę i tę moc, co mu nadawały działalność sięgającą tak daleko? Oto wchodził głęboko w samego siebie i tam czerpał siłę do wzniesienia się w górę. Największy z waszych, i największy ze wszystkich wojowników, kiedy go zapytano, od czego zależy zwycięstwo, odpowiadał, że od iskry moralnej, od tej chwili wewnętrznego poczucia, którą on nazywał iskrą moralną. Wszystko tedy, cokolwiek wielkiego i pięknego macie w waszych dziejach, zwraca was w krainę intuicji, to jest w krainę wewnętrzną ducha.

W naszych stronach rolniczych wiadomo to z doświadczenia, że gatunki zboża po pewnym przeciągu lat zwodzą się i nędznieją, a wtedy żeby je odnowić, trzeba sprowadzić nasienie z krainy, która ma to do siebie, że wydaje zawsze ziarno zdrowe i bujne.

Ziemia, często tu przez nas wspominana, ziemia, wedle słów poetów naszych, kopytami zryta, ciałami poległych utłuszczona, kośćmi ich zasiana, jest tą krainą męczeńską, mającą przywilej dostarczania zboża na zasiew okolicom najlepiej uprawnym.

W świecie duchów podobnie jest kraina tajemnicza, do której trzeba udawać się po to ziarno nasienne, z któregooby można rozplenić moc, życie i wiedzę. Ku tej to krainie powołują was wyroby ducha słowiańskiego.

My Słowianie nie mamy nic więcej nad świeższą pamięć krainy, z którejśmy przyszli, krainy, z której wszyscy ludzie przychodzą, krainy, będącej mieszkaniem ducha. Przybywszy ostatni na scenę tego świata, pamiętamy jeszcze całe rozpołożenie naszej ojczyzny duchowej; i jeżeli uznacie nas za braci, my doprowadzimy was do poznania naszego Ojca wspólnego, do poznania Jego domu.

Tak nazywam tę krainę wewnętrzną, tę sferę niewidomą, dobrze znaną filozofom starożytnym, Pytagorasowi, Platonowi; dobrze znaną

ludowi stron naszych, który duchem ciągle w niej przebywa; nie-mniej znaną i waszym mężom wielkim, ale zdawna opuszczoną już i zaniechaną przez doktrynerów i systematyków zachodnich.

Zbieram w jedno, com powiedział. Odzywałem się do waszego pobłażania i współczucia, bo znam trudność, jaką będziemy mieli w przebyciu tej niezmiernej przepaści, co leży między martwymi doktrynami dzisiejszych czasów, a ową krainą, z której płynie życie i prawda. Przepaść tę można tylko przesadzić jednym skokiem.

Uczulem to, że pisma wymienionego powyżej nie mogę wam czytać, jak książki zwyczajnej, że nie mogę go czytać inaczej, jak tylko w podniesieniu się do najwyższego szczybla sfery filozoficznej i religijnej. Nim zaś przystąpię do tego, trzeba, abym pierwej wskazał wam warunki, którym koniecznie poddać się powinien, kto szczerze szuka prawdy.

Pierwszym z tych warunków jest pozbycie się zupełne wszystkiego, co nas rozrywa, co nas wwdzi na manowce doktryny dzisiejszej: wyzwolenie się całkowite z więzów wszelkich doktryn i z jarzma doktrynerów.

W takim tylko usposobieniu ducha da się pojąć słowo, wydo-byte sposobem zgoła niepodobnym do tych wszystkich, jakimi dziś zwyczajnie ludzie chcą znaleźć prawdę. Człowiek starej epoki szuka prawdy z pychą, otwiera każdą książkę z uśmiechem wzgardliwym, i łowi w niej to tylko, co nie obraża jego miłości własnej, a nade-wszystko, co go nie obowiązuje do niczego, nie wyzywa do odważenia się na nic, nie wymaga po nim żadnej ofiary. Prawda dla niego powinna być dogodną, — łatwą, zalotnicą. Ale na niwach, gdzie nasz lud ma siedlisko, wszystkie szczątki prawdy nabywają się w pocie ducha. Tam mieszkają miliony ludu znanego całemu światu, ludu, będącego starszym ludów europejskich, starszym wszystkich ludów cywilizowanych, miliony Izraela, który z głębi swych bożnic nie przestaje od wieków wołać krzykiem, z jakim nic w porównanie iść nie może, jakiego zapomniało już plemię człowiecze; a jeżeli jest co takiego, co może prawdę ściągnąć z wyż na ziemię, to zapewne nie są bez skutku te wniebogłosy, w których człowiek skupia i wystrzela całe swe życie. Mielizby ci nieboracy, przez tyle set lat stale jękiem i płaczem żebrzący o prawdę, mniej być pewni jej osiągnięcia, niżeli uczeni, spokojnie zagrzebani w książkach, albo ludzie, czerpający światło z pism dziennikarskich. Na niwach naszych żyją miliony ludu włościańskiego, który pod razami batoga i brzemieniem ucisku, zgięty ku ziemi, pracą jego użyźnianej, nie przestaje wdychać o pomoc do Boga. Pomocy

tej wzywają i wszystkie wznioślejsze umysły Zachodu; starają się ją znaleźć nawet doktrynery, sami nie wiedząc o tem. Ziemia potrzebuje ratunku. Epoce nowej potrzeba nowego udziału prawdy powszechnej.

Teraz zostawuję wam samym sąd, gdzieby najwłaściwiej ta prawda zjawić się mogła, i jakiby był najpewniejszy sposób jej osiągnięcia. Słowa, które mamy wam powierzyć, są owocem długiej i bolesnej pracy narodowej, podajemy je z głębokim przekonaniem, że jest w nich promień, mający oświecić teraźniejszość i przyszłość. Potężny genjusz ludów zachodnich znajduje się teraz w położeniu wędrowca, któremu trzeba tylko mgnienia błyskawicy, żeby ujrzał swoją drogę.

c) Rok czwarty, lekcja 12 (30 kwietnia 1844).

Barbarzyństwo. — Postęp. — *Człowiek wieczny*. — Syn Człowieczy i Człowiek, przeznaczony dzieło jego w epoce teraźniejszej prowadzić dalej. — Życie narodowe i rodzinne. — Jedyny sposób pracowania dla szczęścia narodów i rodzin, sposobienie ich, aby znalazły i uznały *Ideal*.

Kraje, które wam skreślałem, plemiona, których opowiadałem historję, według przyjętego sposobu widzenia rzeczy, noszą nazwisko barbarzyńskich.

Spółczenstwa cywilizowane u kresu swego rozwinięcia się nazywają barbarzyńskim każdy lud nowy. Przyjęliśmy bez ogródek to nazwisko: istotnie, jesteśmy barbarzyńcami epoki teraźniejszej. Barbarzyństwo z ziemi naszej rozlewało się po Europie: wszystkie ludy znane niegdyś pod nazwiskiem barbarzyńców, przechodziły naszą ziemię i naszą historję ojczystą; zdeptawszy dopiero Słowiańszczyznę, spadały one na Galję, na Hiszpanję, na Zachód cały. Dzieje nasze zatem bardziej, niż jakiegokolwiek inne, związane są z dziejami barbarzyńców.

Wy tłumaczyliśmy niektóre tajemnice ich wędrowek; pozostaje nam teraz powiedzieć cokolwiek o ich wpływie na Europę, sprostować w tym względzie wielki błąd historyków zachodnich. Rozprawa ta wprowadzi nas znowu na główną kwestję naszą.

Jest powszechne mniemanie, że barbarzyńcy w wieku V przewali chód postępowy ducha ludzkiego, wstrzymali pęd wyobraźni, zniszczyli nauki, odepchnęli ludzkość napowrót w ciemnotę. Historycy dodają wszakże, że się też i im coś należy, że odświeżyli oni i odmłodzili plemiona zachodnie. Zdaniem tych historyków, najścia barbarzyńców nie miały innego zbawiennego skutku prócz pomieszenia krwi plemion.

Do takich to niskich widoków ściągnięto jedną z najważniejszych kwestyj historycznych; tak po bydłecemu zapatrywano się na myśl Opatrzności, która wiodła barbarzyńców na Zachód.

Gdyby miano prawdziwe pojęcie postępu, potrafiłoby dostrzec lepiej rządzenie opatrne w napływie ludów. Zapomocą tego pojęcia łatwo jest widzieć, że ludzkość europejska nie cofała się nigdy, że w postępie jej duchowym nie było nigdy przerw gwałtownych.

Co w nas jest postępującego ciągle, to nasz człowiek wewnętrzny, nasz duch. Postęp, jakśmy już mówili, nie zależy na czem innym, jak na rozwijaniu się naszego jestestwa wewnętrznego, na jego zbliżaniu się ku Bogu. Jesteśmy w postępie, kiedy czujemy się być mocniejszymi, bo to dowodzi, żeśmy bliżsi Boga, który jest wszechmocnością; jesteśmy w postępie, kiedy czujemy się być lepszymi, a tem samem zbliżonymi bardziej do najwyższej dobroci; jesteśmy w postępie, kiedy nam jaśniej i szczęśliwiej, jako połączonym ściślej ze źródłem światła i szczęścia.

Owoż, jeżeli podług takiego pojęcia postępu ocenimy stan duchowy poddanych państwa rzymskiego i ludów im obcych, w wieku V da się widzieć, z czyjej strony był postęp, a z czyjej nieruchomość, barbarzyństwo prawdziwe.

Czułże się być w postępie ten duch rzymsko-grecki, który, rządząc natenczas państwem ogromnem, posiadając przemysłowe i wojenne środki cywilizacji wielowiecznej, drżał przed garstkami barbarzyńców ladajako zbrojnych, zostawił im otwarte pole, zamykał się w twierdzach; kiedy przeciwnie, genjusz wandalski, zerwawszy się ze stepów Północy, przelatywał konno puszcze Niemiec, warowne grody Galji, góry Hiszpanji i opierał się aż w Afryce?

Tegoż czasu, łódki morskich łupieżców północnych zapuszczały się daleko na ocean, a Rzymianie, panowie flot porządných, zapominali odkryć, przez swoich przodków porobionych na morzach. Źródło, skąd wychodzą wielkie czyny bohaterskie i wielkie odkrycia sciencey, jest jedno: źródło to wyschło już było w państwie rzymskiem, a poczynano wytryskać wśród barbarzyństwa. Z łona barbarzyństwa powstawali wtedy prawie wszyscy wielcy święci, apostołowie chrześcijaństwa, słudzy czynni Słowa.

Grecy i Rzymianie nie mieli już sił do tej służby. Nie byli już oni zdolni wydać tego słowa, w którym jest człowiek cały. Słowo Greka albo Rzymianina, nawet w sprawach życia cywilnego, nie miało tej wagi, co słowo Burgunda albo Franka. Barbarzyńcy potwarzali sobie: „Ein Wort, ein Mann“ — słowo to człowiek. Słowo

i Słowianin są to dwa wyrazy z jednego. Takich to ludzi potrzeba było chrystjanizmowi do ożywienia ducha w świecie ówczesnym.

Duch natenczas, jak w życiu politycznym i społecznym, tak też i w literaturze był wygasły. Literatura była tylko sztuką gry w wyrazy.

Jeden z pisarzy łacińskich tamtej epoki narzeka gorzko na trudność pielęgnowania muz klasycznych wśród barbarzyńców. Znajdował się on na ich uczcie gotyckiej i opowiada, jak go raził szorstki głos barda burgundzkiego. Pisarz ten i bard, obadwaj poeci, siedząc u jednego stołu, byli doskonałym obrazem, pierwszy upadku, drugi prawdziwego postępu. Łacinnik pisał wiersze dla rozrywki beczynnych swoich czytelników, Burgund śpiewał dla natchnienia swoich słuchaczy do wielkich czynów.

Czy literatura europejska narodów cywilizowanych nie przyszła czasem do stanu, w jakim była grecka i rzymska wieku piątego? Niektórzy pisarze zachodni tak już sądzą o niej. Co pewna, to, że książki, najwięcej krążące po ręku, bardzo mało wpływają na postępkę czytelników i rzadko kiedy są prawdziwym wyrazem uczuć swoich autorów.

Polska w ciężkim doświadczeniu narodowym poznała pierwsza, że słowo europejskie straciło już wszelką wagę polityczną. Naród ten w zapasach z groźnym nieprzyjacielem miał za sobą wszystkie książki, wszystkie dzienniki, wszystkie wymowne usta Europy, a cała ta niezliczona armja posiłkowa nie sprowadziła żadnego czynu. Słowo, które powinno być źródłem i wytryskiem życia narodowego, było tylko jego echem, echem kłamliwym.

Po takim doświadczeniu niemasz czego się jeszcze oglądać. Ludzie myślący i poeci polscy przeczuwali, co z tego wyniknie i ocenili, ile na tem polegać można. Poszło im w obrzydzenie, cokolwiek tylko trąci książką, cokolwiek tylko zakrawa na system. Jeden z tych poetów, filozof i żołnierz¹⁾, daje następne pożegnanie książkom, odzywając się do filozofów:

Niechaj mol życie nędzne w starych księgach pędzi,
 Niech się w kartę zbutwiają z ciekawością wżera,
 Moja ręka naprózno tysiąc ksiąg otwiera
 I waży doświadczenia z tysiącznych narzędzi.
 Któż jak ja z potem czoła męczył się i czytał?
 Dziś gdym narówni z wami, gdybym się zapytał,
 Czegoście nauczyli i co sami znacie,
 Wstydyby wam czoło, serca i rozum wypalił,
 Jeśli wstyd znacie jeszcze.

¹⁾ Stefan Garczyński.

Temu ostatniemu wykrzykowi literatury polskiej odpowiada echo na drugiej półkuli ziemi, w Ameryce. Tam Emerson podobnie ogłasza wojnę świętą przeciwko ludziom książkowym i systemowym, odpycha precz ten świat sztuczny, zepsuty i zbutwiały, w którym nie możemy zobaczyć naszej przyszłości, w którym się nawet przeszłość nasza nie odbija. Oto są własne jego słowa:

„Nie zewnątrz nas szukajmy wiedzy naszych dziejów; nauczmy się wyczytywać je w nas samych. Historia powinna przestać być szpargałem: potrzeba koniecznie wygrzebać się ze szpargałów. Historia powinna chodzić wcielona w każdym człowieku prawym i mądrym. Nie wyliczaj mi książek, któreś przeczytał: daj mi uczuć, z jakiego wieku jesteś, wiele wieków przeżyłeś, złóż mi w tobie samym świadectwo żywe, do jakiej epoki doszedłeś; a ja podług tego naznaczę ci miejsce. Muszę zobaczyć w człowieku przeszłość całą: w jego dzieciństwie wiek złoty, drzewo wiadomości dobrego i złego, wyprawę Argonautów, powołanie Abrahama, zbudowanie Kościoła; w jego młodości przyjsie Chrystusa, wieki średnie, odkrycie Ameryki i t. d. Jeśliś jeszcze nie odbył twojej wojny krzyżowej i twojej rewolucji francuskiej, spiesz się, bo inaczej nie będziesz mógł należeć do pokolenia dzisiejszego“.

Zbudować swój Kościół i odbyć swoją wojnę krzyżową, to nie przeczytać historję budowania Kościoła i wojen w Ziemi Świętej.

Wiek XVIII nazartował się dowoli z waszych potężnych mężów wieków średnich, z nieuctwa Karola Wielkiego, Godfreda de Bouillon, Bohémonda¹⁾, którzy zaledwo umieli czytać i pisać. I nad jakiemż to książkami mieli oni siedzieć? Czy z Witruwjusza albo Wegecjusza powinni byli uczyć się stawiać twierdze, sprawiać szyki do boju?²⁾ Czy w jakim starym pergaminie greckim potrzeba im było szukać sposobu robienia ognia gregorjańskiego? Ci ludzie, którzy czuli w swoich piersiach drgającą całą erę nową, którzy jednym słowem, jednym skinieniem ręki poruszali całe państwa, mieliż bawić się czytaniem woluminowych opowiadań Liwjusza, albo przewlekłych mów Cycerona? Oni czuli się być wymowniejszymi od wszystkich mowców starożytnych i większymi poetami od samego Homera: oni realizowali poezję, powychodzili na bohaterów poezji.

Ktokolwiek uważa, co teraz dzieje się na świecie, postrzeże, że ta sama potrzeba wielkich rzeczy, to samo pragnienie wielkich przedsięwzięć i czynów obudza się we wszystkich sercach.

¹⁾ Mowa zapewne o Bohémondzie II, rycerzu normandzkim i królu Antiochji w w. XIII. — ²⁾ Witruwjusz, autor słynnego traktatu o architekturze (I w. przed Chr.), Wegecjusz — traktatu o sztuce wojskowej (IV w. po Chr.).

W ludzie ta potrzeba, ta żądza nie ustawała nigdy; dzisiaj gotowszy on, niż kiedykolwiek, odpowiedzieć na wezwanie. Z tego względu lud francuski jest jeszcze barbarzyńskim.

Wasi publicyści nazywają go takim. Mógłbym wymienić książki, przytoczyć dzienniki, w których są dowodzenia, jak jeszcze jesteście daleko od ideału cywilizacji materialistowskiej. Ile to wam jeszcze brakuje systemów dróg żelaznych, filozofji i instytucyj specjalnych, żebyście mogli stanąć narówni z Anglją i Prusami. Publicyści ci poglądną z przerażeniem na to, że tak mała garstka ludzi, wedle nich ucywilizowanych, stanowi tę powierzchnię, pod którą, jak oni mówią, huczy barbarzyństwo ludowe, grożące każdej chwili przerwaniem tamy i zalewem tego, co u nich nazywa się krajem cywilizowanym, czyli legalnym. Tym tedy sposobem, my barbarzyńcy Słowianie znajdujemy się być braćmi ludu francuskiego i uznanymi za takich przez publicystów waszych. Raduję się z tego; bo na tem braterstwie zasadzamy nadzieje nasze.

To uporczywe barbarzyństwo w ludzie francuskim pochodzi z przyczyn najgłębszych w jego naturze. Mówiliśmy, że duch francuski jest intuicyjnym, *dobywa wszystko z siebie*. Czuje się on być wyższym nad wszelką drobiazgowość, szczegółowość, specjalność, systematyczność.

Ciągle i niezbędnie usiłuje on osiągnąć *natychmiast, całkiem, wszędzie*.

Grecy prędko ulegli zepsuciu cywilizacji materialnej i zupełnie zewnętrznej, prędko potem sami zepsuli Rzymian. Były czasy, kiedy wielkie miasta greckie i włoskie służyły tylko za pole do popisu sofistom i kuglarzom. Ludność zbiegała się tam dla słuchania, jak rozprawiali Epikurejczycy i Cynicy, jak ten lub ów uczony czytał akademicką rozprawę o piękności Heleny, deklamował mowę na pochwałę, kogo? — na pochwałę *muchy!* (Lucjan dla podobnego audytorjum napisał pochwałę *muchy*)¹⁾. Oto czem się zajmował duch narodów cywilizowanych czwartego i piątego wieku.

Lud francuski nigdy nie wdawał się w spory nominalistów i realistów, nie trzymał z Arystotelesem albo Gassendim, nie obchodziły go również sprzeczki Eklektyków i zwolenników Hegla²⁾. Pod wzglę-

¹⁾ Lucjan z Samosaty (w. II po Chr.), autor *Rozmów zmarłych*, tłumaczonych przez Krasickiego. — ²⁾ Nominaliści i realisci — w średniowieczu wiedli spór filozoficzny o to, czy idee ogólne są tylko pojęciami (nazwami), czy też mają być realny; Gassendi (w. XVII), filozof-materialista, przeciwnik nauki Arystoteles'a; Eklektycy — tu zwolennicy Cousin'a, filozofa francuskiego I połowy w. XIX; Hegel — filozof niemiecki tegoż czasu.

dem filozoficznym i literackim był zawsze barbarzyńskim, zawsze młodzieńczym i świeżym. Dlatego to Francja nie postarzała jako naród i nie ma co lękać się nachodu barbarzyństwa obcego.

Duch słowiański ma tę samą naturę i tę samą dążność, co i duch francuski. Niektórzy z waszych myślicieli już to dostrzegli, między innymi Józef de Maistre¹⁾. Duch francuski i słowiański rozwijają się jednak w kierunku różnym.

Francuski, przyjąwszy chrystjanizm, natychmiast go stosował, starał się wprowadzić w stosunki życia społecznego, podbić za jego pomocą ziemię, stać się wolniejszym na ziemi. Stąd to pochodzi ta jego swoboda, to uczucie własnej godności, a nadewszystko ten ruch ciągły, zwany *duchem rewolucyjnym*, który odznacza Francuza od jego sąsiadów.

Słowianin, daleko później zostawszy chrześcijaninem, nie potrafił jeszcze wyrobić w sobie tyle ognia świętego; trzyma się wprawdzie wiernie swojej religji, ale nie wyciągnął z niej żadnej korzyści ziemskiej; a za tem cóż poszło? — Cierpi i znosi.

I jeden i drugi wszakże nie znaleźli dotąd spoczynku na ziemi. Ani w przemyśle, ani w filozofji duch francuski ulgnąć nie mógł. Żaden rząd nie dokazał także zadowolenia ducha słowiańskiego. Obudwu im potrzeba prawdy, i nie będą mogli spocząć, aż tylko w prawdzie, wystarczającej na wszystkie wymagania ich ducha. Jeden rusza się, jej szukając, drugi oczekuje, a tymczasem pozwala przemijać nad sobą wszelkim rządóm, niezdolnym zapewnić mu szczęśliwości ziemskiej, bo szczęśliwość ta jest nierozłączną ze zbawieniem wiecznym.

- Cóż to więc są te dwa ludy? Są to dwa bieguny jednej siły, dwa ramiona jednego genjuszu, przeznaczone działać razem, dla spełnienia jednego posłannictwa religijnego i politycznego.

Posłannictwo to maluje się już nam emblematycznie w tym rodzaju czci u obudwóch ludów, który nazwę czcią domową. Każda cześć, nim stanie się publiczną, długo pierwiej jest strzeżona w domach prywatnych. Chcesz widzieć zaród czci nowej? Idź na poddasza do mieszkań rzemieślników, zwiedź chałupy wieśniacze we Francji i w Polsce, a obaczysz, jakie tam obrazy, jakie emblemata, jakie imiona są przedmiotem pobożności narodowej. Oto naprzód Chrystus na krzyżu, wyraz i treść całej przeszłości, potem wizerunek Napoleona, symbol mocy, a obok niego portret marszałka wojsk francuskich Poniatowskiego, przedstawiający uosobienie ślubu dwóch narodów.

¹⁾ Współczesny Mickiewiczowi myśliciel, piszący w duchu religijnym.

Oba więc te dwa narody mają jedną religję polityczną, jedne bóstwa, jednych patronów. Symbol ostateczny, który połączy je znowu, musi być także narodowym dla obu.

W dniu, kiedy ten symbol, zarysowany już na sumieniu wielu, objawi się, jako słowo narodowe, w dniu, kiedy emblemata, uświęcone już czią ludu, zabłysną na sztandarze chrześcijaństwa, w dniu tym, jesteśmy tego pewni, ci wszyscy, co stoją już pod bronią w duchu, gotowi do ruszenia naprzód, znajdują się razem.

Religia, dopóki była poczuwana głęboko i jawiona potężnie, nie wzywała ludzi do czego innego, jak tylko także, żeby posuwali się naprzód, wstępowali wyżej. Posuwać się i wstępować, to treść wszystkich zalecań nauki chrześcijańskiej. Dalej tedy, żołnierze przyszłości! idźcie ciągle, wstępujcie bezustanku, i lata waszego życia, wieki trwania waszych narodów, epoki Kościoła, uważajcie jako szczeble, prowadzące was wgórę.

Doktorowie Kościoła powiedzieli, że każdy chrześcijanin w ciągu swego życia powinien przejść wszystkie epoki historii kościelnej, powinien tę historję skupić w sobie. Emerson, zgodny co do tego z doktorami chrześcijańskimi, wzywa nas, abyśmy skupili w sobie historję polityczną naszych narodów i, uzupełniwszy ją, rozpoczęli rozdział nowy.

Na pięćdziesiąt lat przed Emersonem, jeden poeta polski, Krasicki, schwycił był to samo pojęcie przechodzenia ducha pojedynczego przez mnóstwo form i rozwinął je w powieści historycznej¹⁾. Powieść ta zawiera historję istności urojonej, człowieka nieumierającego nigdy, który jest czemś nakształt *Błakającego się Żyda*²⁾, tylko więcej zajmującym od niego: bo ten, obarczony wiecznie tem samem przekleństwem i dręczony tą samą zgryzotą sumienia, zawsze jest jednaki, człowiek zaś Krasickiego, mając sposób odmładzania się co lat sto, zmienia dowolnie swoją narodowość, i jest to Chińczykiem, to Kartagińczykiem, to Rzymianinem, to nakoniec Polakiem. Taką koleją przeżył on wiele wieków i wiele narodów, cieszył się i cierpiał z niemi. Przypuśćmy, gdyby ten człowiek był jeszcze na świecie, jakążby ojczyznę obrał sobie, jaki przyjąłby system filozoficzny, jakiejby oddał się idei?

To pytanie my możemy zadać nam samym. Idzie tu o zasadę naszego życia religijnego i moralnego, a zatem o nasze zbawienie, we wszystkich znaczeniach tego wyrazu. Każdy z nas ma prawo rzecz tyczącą się jego zbawienia rozważać, stawiając się jako *człowiek wieczny*.

¹⁾ P. t. *Historja na dwie księgi podzielona* (1779). — ²⁾ Romansu Eugenjusza Sue (1844).

Idzie wam o wasze zbawienie? — powiedzą doktorowie Kościoła urzędowego — alboż nie wiadomo, jak je osiągnąć? módlcie się, rozmyślajcie, spowiadajcie się. Na to człowiek wieczny mógłby odpowiedzieć, że już czternaście wieków, jak pełni to wszystko, a jednak jeszcze nie został zbawiony. Wtedy możeby mu radzono przedsięwziąć rodzaj życia doskonalszy. Jaki tam świątobliwy trapistą¹⁾ rzekłby mu: zamknij się w klasztorze, albo też idź na pustynię, pokutuj, oderwij się zupełnie od ziemi, a będziesz w niebie. — I to już robiłem, mój ojciec — odpowiedziałby znowu człowiek wieczny. — Tysiąc trzysta lat temu umarłem na górze Karmelu²⁾, kanonizowano mnie po śmierci, a mimo to nie mam jeszcze nieba. Całe życie powtarzałem w modlitwie Pańskiej: Przyjdź królestwo Twoje, a widzę, zem nic nie uczynił, aby przyszło. — A, boś się wziął nie do swojego, — powiedzą mu — twoja rzecz działać: działaj, walcz, idź z krzyżem pomiędzy niewiernych. — Robiłem to: byłem ja Francuzem, jednym z tych, co u nóg św. Ludwika pomarli na piaskach afrykańskich³⁾, a otm znowu na ziemi, która, jak mnie się zdaje, podobniejsza dziś do piekła, aniżeli natenczas była. Cóż teraz pozostaje nam czynić?

Nie wiem, jakąby na to dał odpowiedź Kościół urzędowy człowiekowi wiecznemu. W razie milczenia ze strony Kościoła, nie brak reformatorów świeckich, gotowych służyć radami. Od nich możemy usłyszeć, że ponieważ religja nie dotrzymuje swoich obietnic, to znak, że niezdolna uczynić im zadość; że niemasz już co oglądać się na religję, że człowiek wieczny w swoim całym żywocie tysiącoletnim mylił się ciągle. Zbawić się — powiedzą — nie jest to uciec z placu, ale zwyciężyć. Bohater zbawia się, zbawiając wojsko. Kościół Chrystusowy nie uczył nas szukać zbawienia w ten sposób, odwołajmy się więc do *rozumu ludzkiego*. — Jeżeli Bóg nam nie pomaga, wezwijmy w pomoc naszych braci, ludzkość całą; zrobmy rewolucję polityczną. — Robiłem ją — panowie moi — odpowie i tym człowiek nieśmiertelny — robiłem niedawno. Czyż mię nie poznajecie? Ja zasiadałem w Konwencji obok Robespiera i Dantona. W imię tych właśnie idei, o których mówicie, my wprowadziliśmy wielkie i piękne reformy; ale to nie zaspokoilo ani ludu, ani filozofów, bo znowu słyszę o innych projektach reform, o innych systemach. Kiedy stracono nadzieję dostać się do nieba, poczęto obiecywać zmiany społeczne, mające ziemię uczynić niebem. Nim to nastąpi, każą nam czekać bezczynnie; a tymczasem życie moje ubiega, nagli mnie do działania. Co mam robić?

¹⁾ Zakonnik surowej reguły. — ²⁾ T. j. jako zakonnik tamtejszego klasztoru. —

³⁾ W walce z sultanem Egiptu o posiadanie Ziemi św. (w. XIII).

Żeby to pytanie rozwiązać w duchu i rozwiązanie jego zrealizować na ziemi, istotnie trzeba postawić się na miejscu człowieka wiecznego: trzeba uczuć się członkiem swego Kościoła, synem swego narodu, potomkiem odpowiedzialnym za wszystkich swoich przodków w rodzinie duchowej i doczesnej: trzeba być dziedzicem wszystkich przymiotów, wszystkich cnót, jakie naddziadowie nasi nabyli w pocie czoła i w ofiarach krwawych; trzeba całą przeszłość religijną i polityczną ścisnąć w jedno ognisko, zamienić w jedną płonącą gwiazdę i ogień ten utrzymać na ołtarzu swego ducha, aby, cokolwiek w historii było świętego, prawdziwego i wielkiego, znalazło się u nas, jako ziarno usiewne, jako żywotność, jako siła. Takim był Syn Człowieczy, takim musi być Człowiek, przeznaczony dzieło jego prowadzić dalej w epoce teraźniejszej. Człowiek ten będzie powinien mieć żarliwość apostołów, poświęcenie się męczenników, prostotę mnichów, śmiałość rewolucjonistów 93-go, męstwo niezachwiane i piorunującą odwagę żołnierzy wielkiej armji francuskiej, a genjusz ich wodza. Oto są rysy człowieka ideału naszej epoki; oto czem trzeba być, żeby otworzyć epoką nową, żeby ośmielić się Francuzom i Polakom rzec: Za mną!

Powołanie tych, którzy zechcą iść za nim, jest bardzo trudne, wymaga najcięższej z ofiar, oliary ducha.

Za Chrystusa, ludziom, garnącym się do niego, ciężko było robić ofiarę ze swoich dóbr ziemskich, ze swoich bogactw. O jednym z nich, bardzo bogobojnym i głęboko wzruszonym słowami Mesjasza, święty Mateusz powiada: odszedł smutny, albowiem miał majątności wiele.

Dzisiaj majątnościami, najdroższymi dla ludzi, najtrudniejszymi do ofiarowania, są ich dobra, ich nabytki umysłowe. Pozyskana sława, utworzony przez się albo przyjęty jaki system, natłogowie ulubiona formuła — to ziemie, to dziedzictwa, to skarby zakłète człowieka cywilizowanego. Oto całe swoje życie duchowe w to włożył, żeby zrobić sobie głośnie imię, ukuć tę lub ową teorię; on ma tylko to jedno — a tu mu powiadają, że nic z tego! Prędeż odda cały majątek ziemski, zrzecze się wszystkich swoich bogactw materialnych, niżeliby miał odstąpić najdrobniejszej formuły swego filozoficznego albo socjalnego systemu. „Oszańcowali się — mówi o takich Śniadecki, powtarzając za Humem¹⁾, — oszańcowali się płataniną głogu i ciernia na obronę swojej słabości, a spędzeni z otwartego pola, uciekają jako złoczyńcy do lasu słów niezrozu-

¹⁾ Dawid Hume (w. XVIII), jeden z twórców empirycznej filozofji angielskiej, której zwolennikiem był Jan Śniadecki.

miałych i ciemnych, szukając w nich ucieczki. Żeby ich stamtąd wyparować, niemasz innego sposobu, jak chyba ogień podłożyć“.

Nikt nie będzie podkładał ognia pod te szańce, nie będzie palił ksiązek; ale spodziewamy się, że biblioteki przestaną być tak uczęszczane, skoro życie publiczne stanie się bardziej uczącem. Oświata narodowa wynika z wielkich wypadków w narodzie i szerzy się sama przez się podaniem żywem. Naród nieinaczej nabywa oświecenia w religji, w polityce, w moralności, jak tylko zapomocą wielkich przykładów. Potrzeba mu do tego wielkich czynów, a zatem wielkich ludzi. Przez cały ciąg wieków średnich mieszczenie i chłopci kształcili się moralnie słuchaniem opowiadań żywotów świętych i dzieł rycerskich, wzruszaniem się przykładami ofiary, męstwa, szlachetności. To mieszczanina i chłopca, pierwwej, nim wystąpił na pole bitew zeszłego wieku, uczyniło wewnątrz rycerzem i bohaterem.

Tylko ten rodzaj oświaty wpływa istotnie na moralność życia domowego. Skarżą się teraz na rozprzężenie rodzin, na bezrząd domowy. Kobieta, powiadają, zostaje zawsze pod kierunkiem księży i odbiera wychowanie przeciwne męzowskiemu: niemasz harmonji w pożyciu, niemasz spólności celu w dążeniu duchowym, niemasz zgody. To złe domowe jest niczem więcej, jak następstwem ogólnego złego; skoro cel dążności narodowej zniknął, życie domowe tem samem musiało pójść na rozdroże.

W wiekach średnich kobieta w swojej sypialni modliła się za tę samą sprawę, za jaką mąż walczył na polu bitwy, i była pewną, że tem pomagała mężowi. Byli więc potrzebni jedno drugiemu; mierząc do jednego celu, służąc jednej sprawie, czuli się być w spólce duchowej. Dzieci zachowywały żywą pamięć rodziców zmarłych: prosiły matki o wsparcie, jak świętej, uczyły się dziejów ojca, czerpały z nich naukę polityczną i wojskową.

W Polsce tak jeszcze jest dotychczas. Polka wchodzi do spisków patriotycznych, dzieli z mężem wygnanie na Sybir, niekiedy siada na koń w obronę kraju. Tam życie rodzinne zasila się jeszcze wielkiem życiem narodowym; we wszystkich innych krajach tego już niemasz. Niechaj nikt nie mówi, że to przez przywiązanie do przeszłości, albo przez niechęć zajęcia się rzeczami ważnymi dzisiaj kobieta ucieka się pod opiekę księdzowską. W pierwszych czasach chrześcijaństwa nie zrażała kobiet ważność rzeczy, zajmujących chrześcijan, i nie trzymały się upornie rad kapłanów pogańskich. Wtedy czucie ich dało im odgadnąć wyższe i mocniejsze życie w religji chrześcijańskiej; teraz toż samo czucie ostrzega, że nie mają

niczego spodziewać się po systemach filozoficznych i socjalnych: wolą więc ludzi przeszłości, niż ludzi systemowych, mniej wartych, niż umarli, bo jeszcze żyć nie zaczęli. Prawdę mówiąc, oni istotnie nie żyją, to ich systemy żyją tylko.

Jakież, proszę, rzeczywiste życie może jawić człowiek, który przeszedł całkiem w pojęcie oderwane?

Ci, co utrzymują, że ludzkości nie potrzeba już cudów, narodom bohaterów, rodzinom świętych opiekuńczych, niechże u siebie kosztują owoców swoich doktryn materialistowskich, formuł prawdziwie bezdusznego świata. Wygnawszy ze swojego domu świętych i bohaterów, ojciec rodziny postrzeże się sam wśród niej obcym, nie będzie miał co powiedzieć żonie, dzieciom, służącym. Duch kobiety, jak i duch człowieka prostego, przy jakichkolwiek bądź zatrudnieniach powszednich potrzebuje czasem odetchnąć swobodnie wielkiem życiem narodowym. Życie to wydają i utrzymują wielkie czyny. Możnaż myśleć, że kobieta porzuci swój *Złoty ottarzyk*, opuści kazanie, żeby pójść słuchać narad spekulacyjnych, projektów przemysłowych, mów akademickich; albo że lud zrzecze się czci wielkich ludzi dla oddawania chwały pięknym teorjom?

Dosyć, żeby filozof zastanowił się nad tem, co się dzieje w jego rodzinie, a pozna, jak podobne wymagania są daremne. Nie tym to sposobem oderwać kobietę i lud od przeszłości. Jeden tylko jest środek pokonać przeszłość, a to ten: postawić przeciw niej terażniejszość równie rzeczywistą, a razem daleko potężniejszą i świetniejszą; na miejsce ideału czasów pierwotnego Kościoła i wieków średnich wprowadzić ideał czasów nowożytnych.

Podnosić ludzi ku Bogu, budzić w nich uczucie wielkich rzeczy, popychać ich do wielkich i wzniosłych czynów — to jedyny środek pracowania dla szczęścia narodów i rodzin; to, krótko mówiąc, sposób gotowania ich, aby potrafiły znaleźć i uznać ten *Ideał*.

2. Z korespondencji.

a) Do Bohdana Zaleskiego.

Lozanna, 7 stycznia 1840 roku.

A przecież *tandem aliquando*¹⁾ przysłałeś choć parę piosenek. Muza Ci zapłać! Tem lepiej mi się te pieśni wydały śród chłodów i mgły łacińskiej, środkiem których brnę a brnę²⁾. Ale i bez tego arcypiękne. *Biedbiada*, przegrawka wyśmienicie wykonocypowana, i żebym

¹⁾ Wreszcie kiedyś. — ²⁾ Aluzja do wykładów literatury łacińskiej w Akademii lozańskiej.

teraz wiersze pisał, tobym ci konceptu zazdrościł. Nieraz ją sobie śpiewam i mam zamiar kiedyś do niej muzykę zrobić. Ma się rozumieć, jak będę miał pieniądze, i literaturę i książki porzucę, na wsi osiądę i będę muzyki komponował. Zamiar dawny, tylko że nikt a nikt w mój talent muzyczny nie wierzy. Obaczmy, kto ma rację. Mam w tym względzie, jak Słowacki powiada, zapas ironji na całą publiczność. Ale, ale, Twój ów wiersz senny, dziwna to, dziwna i arcydziwna rzecz. Bo uważ, że ja kiedyś w sierpniu czy we wrześniu napisałem albo rzuciłem na papier kilkadziesiąt wierszy w celu robienia pierwszej części *Dziadów!* Owóż rzecz też sama: chłopiec tuła się między mogiłami. Tylko u mnie fantastyczniej, bo śpi, a chórem nad nim nucą i piołuny siwe, i lebioda, i ślimaki, etc. Inspiracja mnie opuściła i przestałem pisać. Twój ułamek aż mnie nastraszył, tak jest ładny. Kto wie, czy Ty teraz nas nie okradasz przez sen z wszelkiej poezji? Kto wie, czy mocą teraz silniejszą nie ciągniesz do siebie całego ciepła i światła poetycznego? I widzisz, dlaczego my nie piszemy. Bądźcie zdrowi. Nowego Roku Wam winszuję. Józefa ściskam. Nic do mnie nie napisałeś o Waszej rodzinie. Jak tam im dzieje się w kraju?

Adam.

b) Do generała Skrzyneckiego w Brukseli.

Paryż, wielka środa, 23 marca 1842 r.

Rue d'Amsterdam 1.

Mój Jenerale!

Książd Aleksander Jełowicki był w tych dniach u mnie i czytał mi listy, któreś pisał do niego i gdzie jest wyraźnie do mnie jemu dane polecenie. W tem poleceniu widzę dowód Twojej szczególnej ku mnie życzliwości.

Moja wiara w słowa Andrzeja jest skutkiem całego mojego życia, wszystkich moich usposobień i prac duchowych. Ktoby czytał pisma moje, przekonałby się o tem. Nie wspomnę o drobnych, w młodości rzuconych w świat pieśniach (*Romantyczność, Oda do młodości*), późniejsze dzieła, a mianowicie *Księgi pielgrzymstwa* i *Dziadów IV* część świadczą, że to, co się dzieje, przeczuwał. Wszyscy, którzy mię znają, wiedzą, że nigdy o swoich poezjach nie mówię i siebie nie cytuję, ale w rzeczy tak ważnej muszę na stronę usunąć wszelkie względy taktyki światowej. Wiem, że w podobnych rzeczach umiesz myśleć, znasz ich ważność, więc Ci powiem, że publicznie i wyraźnie Andrzeja tu emigrantom przepowiedziałem. W roku przeszłym kilkadziesiąt Polaków dawało mi ucztę, czułem się w wielkiem podniesieniu ducha i powiedziałem im, że „wszyscy

są na złych drogach, że ich rozumowania, zabiegi nigdzie nie doprowadzą, że jeżeli Bóg zlituje się nad nami, to przyśle człowieka, który będzie dla nas *prawem żywym*, którego słowa, czyny i gesta będą artykułami⁴. Nie pamiętam słów poezji, ale ta była ich treść, zaklinałem, żeby ją pamiętali! Wielu już zapomniało. Zan Stefan (którego widziałeś, Jenerale), kiedy przyszedł nazajutrz do mnie, powiedział mi ze smutkiem głębokim, że gdyby mi wówczas nie przerwano, wielkoby rzecz oznajmił, ale już nie byłem nazajutrz w stanie podnieść się do tej wysokości. Przerwano mnie wówczas, jedni protestowali w imię rozumu, drudzy myśleli, że mówiłem o księciu Czartoryskim, kiedy wołałem, że tylko z takiego *męża przeznaczenia mogą wyjść kapłani, królowie i hetmani*. Około owego czasu, w miesiącu grudniu (dnia nie pamiętam), kiedy oglądałem przygotowania do egzekwii Napoleona, miałem w biały dzień widzenie: widziałem człowieka z głębi kraju jadącego wózkiem jednokonnym w biedzie, po błocie i mgle, i uczułem, że *ten* człowiek wiezie wielkość! wielkie rzeczy! Nie brałem tego za widzenie prorockie, ale za nadzwyczaj żywy obraz poetycki, chciałem go opowiedzieć, ale postrzegłem niepodobieństwo do prawdy, dałem pokój. Po poznaniu się z Andrzejem nieprędko dowiedziałem się o szczegółach jego podróży i uznałem prawdę widzenia. Nie będę Ci więcej świadectw i dowodów przywodził, wiele jest osobistych i drugim ludziom trudnych do wierzenia. Widzisz, że mię Andrzej nie ludził historjami o swojej osobie, i że dla mnie obojętną jest rzeczą, czy on sam widzi duchy, czy kto za niego. O to nawet nigdy go nie pytałem. A jeszcze obojętniejsze są różne krążące o nim wieści, coraz inne, jedne drugim przeciwne, a zawsze im ludzie równie wierzą! Widzisz także, że uzdrowienie mojej żony nie było powodem mojej wiary. Jeszcze żona moja była w domu chorych, a już na słowo Andrzeja (który jej nie widział był) ogłosiłem krewnym, że będzie zdrowa. Wziąłem ją wbrew zdaniu lekarzy, niewzruszony ich zakłęciami; bo zaręczali, że ją trzeba będzie zaraz z użyciem gwałtu napowrót zamknąć. Wziąłem żonę w zupełnym pomieszaniu, w kanikułę, w gorąco i w czasie burzy. Tegoż dnia odzyskała przytomność. Dotąd jest zdrowa i coraz pewniejsza zdrowia na przyszłość. Uzdrowieniu mojej żony towarzyszyły *okoliczności cudowne*. Opisywać je byłoby długo. Bogu wiadomo, że prawdę piszę. Wracam dziś z rekolekcij, które odbyłem u księży jezuitów, i po spowiedzi i po przyjęciu Przenajświętszego Sakramentu to piszę.

Weźmij ten list za dowód głębokiej i szczerzej mojej dla Ciebie zyczliwości. Twój sługa
Adam Mickiewicz.

c) Do Pani Konstancji Wodpol¹⁾.

(Październik 1851 r.).

List Twój z Kissingen odebrałem w Havre, gdzie bawiłem kilka tygodni dla kąpieli morskich. Zdrów jestem, jak nigdy, i wszyscy u mnie zdrowi. Cieszę się, że masz się lepiej, a ciągle jedno Ci śpiewam i proszę, żebyś o tem ciągle pamiętała, że Twoje zdrowie najwięcej zależy od Ciebie, od Twego wewnętrznego życia. Im poczujesz się wewnątrz krzepszą, żywszą i silniejszą, tem ci będzie lepiej na ciele. Ale to wewnętrzne życie nie zależy na tem, żeby wiele myśli przepędzać przez głowę i plątać się różnemi zamiarami. Trzeba mieć cel zawsze. Tym celem jest dla Ciebie podniesienie się do *żywej wiary*, że wszystko, co nam się zdarza, jest na nasze dobro, że będzie lepiej na świecie i że my do tego lepszego musimy w naszej części przyczynić się. Wszelki kłopot i bieda na to dane, żeby je zwyciężyć. Uciec na nic się nie przyda, jest to samo, co, broń złożywszy, emigrować. Zwycięstwo, o którym mówię, nie w tem jest, aby rozdąsać się, odeprzeć kłopot gniewem, albo odsunąć go jako zadanie trudne do rozwiązania. Staraj się o to, żeby wszelką biedę tak rozważyć jak interes i postanowić zgóry, w jaki sposób postąpić się ma. W każdym podobnym zdarzeniu dowodem zwycięstwa Twojego będzie, jeśli poczujesz się spokojną w duszy i nawet wesołą. Staraj się, proszę, każdego dnia z rana myśl i uczucie zaraz podnieść nad wszystkie trudności i nie dawaj sercu i duszy pokoju, aż póki nie doznasz ulgi i pociechy wewnętrznej. To jest prawdziwe uzbrojenie i nakarmienie żołnierza. Potem można już działać. Ulgi zaś i pociechy nie doznasz inaczej, jak zagłębiając się w skruchę, ale nie faryzejską, słowną, tylko prawdziwą skruchę żołnierską. Pamiętaj, że kto przegrał, *zawsze winien*. Jeśli nam nie wiedzie się, powinniśmy dochodzić naprzód, o ile my sami temu przyczyną. A potem dopiero zewnętrzne okoliczności rozważajmy. Ty, kochana Pani, urodziłaś się w czasie i w społeczeństwie, które nie miały innego celu, tylko przepodróżować życie, ile można wygodnie. Ku temu byłaś wychowana. Mając w duszy czucia żywsze i instynkt wyższego, lepszego, porywałaś się i upadałaś, błąkałaś się. Każde dziecko, kiedy próbuje chodzić, naprzód musi padać i plątać się. Więc nie trzeba przeszłością trapić się nadto, ale należy koniecznie wciąż ją rozbierać, aby dojrzeć, gdzie, jaki błąd lub wysłuppek wyszedł, z jakiego niedostatku lub złej woli. Podobna rozważa, godząc nas z Opatrzności rozrządzeniem, uspokaja nas,

¹⁾ Z domu Łubieńskiej, poznanej w r. 1831 w Wielkopolsce.

a razem daje siłę. Wtenczas zapominasz o wielu drobnych troskach, mając na celu jedno to: aby w czemś ku dobru wspólnemu przyczynić się, a jeśli to nam nie jedno, to przynajmniej skorzystać o tyle z życia, aby w czemś lepszym i wyższym zejść ze świata. Bo po tem życiu taką nam dadzą ojczyznę i rodzinę, na jaką zasłużymy. Wcześniej tam róbmy przyjaciół, i stamtąd bierze się siła do działania tu w teraźniejszej ojczyźnie.

Piszę Tobie, jak widzisz, to, co nieraz mówiłem i czego prawdę uznałaś. Zachowaj to u siebie i złóż w myśli. Oby Ci to było pociechą. Twój zycziwy

Adam.

d) Do Pani Konstancji Wodpol.

Paryż, styczeń 1852.

Byłem w tych dniach chory i dlatego nie odpisałem zaraz. Teraz już jestem prawie zdrow. Wszyscy u mnie też zdrowi.

Pisemko Twoje ostatnie ma swoją wartość, bo tam wiele jest rzeczy własnych, z własnego uczucia płynących. Ile razy dusza porusza się sama, zawsze wyda głos, idący do dusz bliźnich, i ten głos zawsze zachowa swoją siłę i cechę. Ale uczucie Twoje w tem pisemku jest oddane słowami często obcemi, naciągnionemi, zmienionemi, słowem *niemieckiem*. Styl jest *ciężki*. Dobry styl czyli po prostu dobra właściwa *mowa* jest ta, która najbardziej zbliża się do *mowy*, do *rozmowy*, a nawet wszystkie zwroty pisma, szczególnie kiedy się rozprawia o rzeczach poważnych, wyższych, powinny prostotą i szczerotą wchodzić w tok rozmowy prostodusznej, prostoserdecznej. To, co piszemy o rzeczach Bożych lub ojczystych, powinno być zrozumiałe dla każdego, kto kocha Boga i ojczyznę, a zatem dla pokojowej, dla ekonomy, dla stangreta (czy, jak u was mówią, fornała) nawet. Nie idzie tu o to, aby sposób mówienia zniżać, zbłaźniać, skarczemniać. Wszakże pieśni pobożne i wiele pieśni ludowych nie mają nic zestawionego, wszakże katechizm jest prosty, ale razem poważny. Owóż trzeba brać wzór z katechizmu i pieśni ludu i dawnych naszych kronikarzy (Strykowskiego, Bielskiego), a mianowicie Skargi. Kto chce pisać, powinien też czytać, mianowicie mówić, a mimowolnie słuchać. Sposób i tok i ciąg rozmowy między ludźmi, zajętymi rzeczą chociażby małą, może służyć. Kochana Pani! Nie wiem, jak Ci przeszedł rok dawny i zaczął się nowy. Wiem, czego życzymy sobie nawzajem, a trzeba też z naszej strony starać się, ażeby przychylnie życzenia drugich mogły się uiszczyć przez nas samych.

Dziękuję Tobie za Twoją stałą pamięć. Listy odebrałem.

Twój zycziwy przyjaciel

Adam Mickiewicz.

JULJUSZ SŁOWACKI (1809—1849).

Z listów do matki ¹⁾.

a)

Bajrut ²⁾, 1837 r. 17 lutego.

Najdroższa moja! Trzy miesiące upłynęło i pół, jak posłałem ci ostatnią wiadomość o sobie z Aleksandrii. Ciągłe w podróży, zawsze daleki miast portowych, w kraju, w którym niema regularnej poczty, nie było mi podobna prędzej uspokoić ciebie, moja droga, i teraz mam nadzieję, że list ten zapomocą mojego towarzysza podróży, który się zbliża do Konstantynopola, dojdzie rąk twoich i całą niespokojność zakończy. Ale ja kiedyż o tobie wiedzieć będę? Sześć miesięcy włóczę się, jak warjat, po świecie, widziałem tyle rzeczy, że nie pojmuję, jak oczy moje mogły wydołać zmysłowi wzroku. Czułem wiele, byłem wesół, zachwycony, płakałem, miałem całe dni pełne dumań, całe miesiące pełne roztargnienia, i dwie wielkie niespokojności: to jest niepokój o ciebie, i drugą niespokojność, że się ty o mnie troskać musisz. Zaczynając ten list, jestem prawdziwie, jak człowiek powracający z dalekiej podróży, który ścisną za rękę, patrzy w twarz i nic mówić nie może, ale czeka, aż chwila spokojniejsza nadejdzie, aby zaczął opowiadanie.

Uważam już podróż moją za skończoną prawie. Zwiedziłem Grecję, Egipt, Syryję, Palestynę i przybyłem do miasta portowego Bajrut, skąd ruszę prosto do Włoch. Czekam tylko, aż piękny czas nadejdzie i podróż morską zupełnie bezpieczną uczyni. Więc przez miesiąc lub dwa zamierzam udać się do klasztoru Bet-chesz-Ban. Tam będę pędził życie samotne, do szwajcarskiego podobne, towarzystwem mojem będą zakonnicy ormiańscy i jeden malarz rzymianin, który do kościoła maluje obrazy. Miejsce, które obrałem na odpoczynek, jest jedno z najładniejszych w Syryji. Spodziewam się, że mi bardzo będzie przyjemnie spędzić trochę czasu w zaciszy na rozmyślanie, bo chociaż podróż ta bardzo mnie zajęła, nieraz tęskniłem za spoczynkiem i spokojnością domku w Pâquis ³⁾. Pomimo wielu niewygód i złych przepraw, zdrowie moje służy mi przewybornie, i kiedy mój towarzysz, silniejszy stokroć odemnie, nie mógł uniknąć lekkiego zapalenia oczu na łódce nilowej, ja zupełnie ob-

¹⁾ „Listy Juljusza Słowackiego. Z autografów poety wydał po raz pierwszy Leopold Méyet“. Tom II (Lwów 1899). — ²⁾ Miasto portowe w Azji Mniejszej. — ³⁾ Przedmieście Genewy, gdzie mieszkał Słowacki w okresie pisania *Kordjana*.

szedłem się bez lekarstw, jakich nam dostarczał pewny nasz rodak, doktor w Kairze. Dziesięć dni ciągłej stoly wytrzymałem, na koniu, ciągle wędrując ku Jerozolimie.

Ale o tem wszystkiem napiszę ci, moja droga, obszernie w drugim listku, któren cię trochę później dojdzie; ten zaś niech cię tylko uspokoi o mnie, bo prawdziwie, że niema się czego lękać wschodnich krajów. Klima najpiękniejsze, wreszcie wszelkie niebezpieczne przeprawy już przebyte, pieniędzy mi wystarcza, mam kilku znajomych w tych stronach, nawet jednego księdza rodaka, który mi do klasztoru towarzyszyć będzie.

O! droga moja! żebym to ja za trzy miesiące we Florencji zastał świeży list od ciebie, żebyś ty zdrowa była, tak, jak o to prosiłem Boga, całą noc czuwając przy grobie Chrystusa, i o wiele innych rzeczy prosiłem Boga, ale o nic dla siebie. Moja droga, do której ja z różnych stron świata ciągle wracałem myślą, chcąc się z tobą podzielić każdym widokiem, każdym wrażeniem, dla czego ty nie możesz być choć przez kilka chwil ze mną, teraz, w tej chwili... abym mógł płakać, położywszy twarz na rękach twoich... Spokojności! Byłem nad jeziorem, gdzie niegdyś Chrystus z taką spokojną pokazywał się twarzą, choć bardzo cierpiał w głębi serca.

Bądź zdrowa! Uściskaj ode mnie Sylkę i Fila¹⁾, jeżeli już są przy tobie...
Twój Juljusz.

Ten listek przez Smyrnę, drugi zaraz przez Konstantynopol piszę do ciebie, droga!

Wstaję z rana, towarzysz mój przychodzi mi powiedzieć, że pisał, aby ten list przez umyślnego kozaka był wyprawiony, mówiąc, że kiedyśmy oba mogli na koniu jechać przez dwa miesiące, to kozaków już odtąd, tłuczących się na siodle, żalować nie trzeba. Mam więc jeszcze trochę czasu pogawędzić z wami, i zacząć opowiadanie podróży, które w drugim liście zakończę.

Dnia 28 października przybyłem łódką do Kairu. Pyszne miasto, piramidy zdaleka widać było, pełno lasów palmowych, całe przedmieście w ogrodach.

Na drugi dzień po przybyciu do Kairu odbyłem podróż do piramid. Oba²⁾ byliśmy na małych osiołkach i dziwnie na tem stworzeniu maleńcy wydawali się przy olbrzymich gmachach granitowych. Piramidy jednak nie tak mnie zadziwiły ogromem. Beduini

¹⁾ T. j. Hersylę i Teofila, członków rodziny. — ²⁾ T. j. autor z towarzyszem podróży, Zenonem Brzozowskim.

w białych płaszczach zbiegli się zewsząd, aby nam służyć za przewodników, i biorąc nas za ręce, wciągali przez ciemne, granitem wykładane korytarze aż do małych pokoików, we wnętrzu piramidy będących, w których stały dwie niegdyś, dziś tylko jedna granitowa trumna. Wyszedszy z ciemnych piramid, zacząłem się drzeć po kamieniach aż na ich szczyt, wciągany zawsze za ręce od dwóch Arabów. Byłem na szczycie najwyższej piramidy. Cudowny widok! Szczyt Faulhornu¹⁾, kopuła Świętego Piotra, Wezuwjusz, piramidy, było to dla mnie, jak najwyższe gałęzki na drzewie, na których ja, biedny płaszek wędrujący, siadałem na chwilę, aby odetchnąć. Widziałem więc piramidy, ale za to straciłem obraz, który sobie o nich moja imaginacja tworzyła.

W Kairze uliczki małe, mnóstwo sklepów. Przed wyjazdem z tego miasta pokazano mi w sklepie biały płaszczyk z wełny, robiony w Tunisie, a zwany *burnus*. Wybrawszy najcieńszy, jaki tylko był na wschodzie, kupiłem go dla ciebie, droga moja, myśląc, że ci dobrze będzie obwinąć się w niego, jak w lekkie i miękkie prześcieradło, i tak leżeć na twojej maleńkiej kanapce. Mój towarzysz obiecał mi, że cię ten płaszczyk tunetański dojdzie. Drugi taki płaszcz, ale gruby i pospolity, okrywał mnie jadącego na koniu, a w Jeruzalem nadawał mi postać krzyżaka.

Widziałem targ niewolników i ładną jedną Abisynkę, za którą dawano już 1000 fr.

6 listopada, wzięwszy na miesiąc łódkę z ośmiu marynarzami, którzy zupełnie byli na nasze rozkazy, jak niewolnicy, puściliśmy się Nilem ku pierwszej katarakcie, szukając spotkać się²⁾ z dwoma Hołyńskimi, którzy, nie doczekawszy się, puścili się przed nami w tę drogę... Śliczna podróż! Rysowałem wiele, słowa bowiem były niedostateczne do wydania wszystkiego, co uderzało w oczy. Mnóstwo żórawi, lecących po błękitnie, mnóstwo innych ptaków wodnych, chmury gołębi, unoszące się nad wioskami, wioseczki z ziemi bite, najczęściej w lasach palmowych stojące, czasem ogromne skały i sępy wielkości człowieka, siedzące o zachodzie słońca na górach, nareszcie przy Siut³⁾ pierwszy krokodyl, leżący na piasku, dla którego porwaliśmy się od stołu, aby mu się zbliżka przypatrzeć: wszystko to tworzy teraz w imaginacji sen bardzo piękny.

Spotkaliśmy Hołyńskich w Denderze. Także była to wielka przyjemność obaczyć ich pawilon na łódce, spotkać ich, pójść razem do przepysznego kościoła w Denderze, obaczyć ruinę, o jakiej się

¹⁾ W górach szwajcarskich. — ²⁾ T. j. spotkania się. — ³⁾ Miasto na lewym brzegu Nilu.

nawet wyobrażenia nie miało. Kościół ten zaledwo się ruiną nazwać może, tak jest cały, tak piękny.

Na drugi dzień pożegnaliśmy Hołyńskich, którzy się już po odbytej podróży do Kairu wracali, i pojechaliśmy sami do katarakty.

Opisać wszystkich wam gmachów niepodobna, wojaż¹⁾ jaki lepiej to uczyni, jak list krótki.

Mnie miło było polować na piaskach, rysować szkice pomników, chatki, dumać i myśleć o tem, że jestem w Egipcie.

Przyjechawszy do katarakty, wzięliśmy na dzień jeden osiołki i ruszyliśmy, objeżdżając Nil, do Nubji, aby widzieć wysepkę Philae. Śliczne miejsce, śliczne ruiny. Imieniny twoje, droga moja, o których bardzo pamiętałem, przepędziłem na Nilu, zbliżając się do Tebów. Ruiny tego miasta przechodzą wszystko ogromem. Ale najbardziej mi się podobała statua Memnona i druga statua przy niej stojąca. Widziałem je o wschodzie i o zachodzie słońca; są to olbrzymy granitowe, wysokości domu trzypiętrowego, siedzący cicho na ogromnym polu, twarzami obróceniu na wschód. Na nodze Memnona znajdują się rzymskie napisy. Jeden z tych, przed wiekami zmarłych wojażerów, napisał na granicie: „*słyszę Memnona*“, i słowa te, w czasie teraźniejszym napisane, a o tak dalekiej świadczące przeszłości, dziwnie zasmucają biednego człowieka. Osiołka brałszy, zwiedzając Tebów ruiny. Za osiołkiem moim biegła piechotą właścicielka jego, bardzo ładna bronzowa dziewczynka, która umiała tylko jedno słowo, nibyto włoskie: *mangeria*, i z litosną minką o takie „*mangerie*“²⁾ upominała się. Widziałem Arabów, którzy konno usiadłszy na łopacie, przepływają Nil, nie bojąc się krokodyłów.

Oprócz jednej burzy nilowej, podróż tę odprawiłem z wszelkiem bezpieczeństwem. Konsul mój otrzymał mi firman³⁾ baszy, który z największem uszanowaniem Arabi odczytywali. D. 10 listopada, to jest po trzydziestokilkudniowej podróży na Nilu, wróciliśmy do Kairu, gdzieśmy zastali kilku rodaków, już dawniej znajomych, oraz Hołyńskich.

Pięć dni przepędziliśmy znowu w tem mieście i potem, wsiadłszy na wielbłąda, kupiwszy sobie namiot, z dwoma służącymi i Beduinami, puściliśmy się przez pustynię z Kairu do Gazy. Nie wystawisz sobie, droga, jak to dziwnie wsiadać na klęczącego wielbłąda, jak się to trzeba trzymać siodła, kiedy wielbłąd się podnosi i trzy razy rzuca człowieka w różne strony, wstając na nogi. Lecz jeszcze nieprzyjemniej jest siedzieć na nim, kiedy klęka, zdaje się, że się

¹⁾ T. j. książkowy opis podróży. — ²⁾ T. j. coś do jedzenia. — ³⁾ Rozkaz, list żelazny dla podróznego na Wschodzie.

dom pod człowiekiem wali. Wielbłądy, idąc drogą, pasą się wonnym tamaryntem¹⁾, i Beduini pędzili nas, jak pasącą się trzodę. Życie takie i podróż taka ma dziwny powab... Czas był najpiękniejszy.

Pierwszą noc spaliśmy w grobowcu świętego tureckiego. Była to mała, biała kapliczka z kopułką, święty nieboszczyk leżał po jednej stronie, my po drugiej. Cienki mur nas przedzielał, w którym były dwa okienka, i przez te mieliśmy ze ś. p. komunikację. Wielbłądy leżały wieńcem koło ognia przed grobowcem, nad tą kapliczką rosnę wielkie czarne drzewo, w którym całą noc śpiewał puszczek. Potem co wieczora rozbijaliśmy nasz podróżny namiot, przez ośm dni bowiem jedną tylko widzieliśmy wioszczkę. Małe różne wydarzenia takiej podróży stają się bardzo znacznymi i urozmaicają ją dziwnie. Czy to kilka gazeli skaczących po stepie, czy ślad hieny, czy spotkanie karawany, czy widok samotnego Beduina, który ze swoim wielbłądem przebywa pustynie i obok naszych ogniów swój ogień rozkłada, — nic z tych rzeczy nie jest obojętnem. Zachody słońca pyszne, krzaki cierniowe, palące się lekkim płomieniem, jak koronki brabanckie, słowem, przyjemna podróż w pustyni; ażeśmy przybyli do El-Arish, gdzie trzeba było siedzieć pod namiotami dni 12 kwarantanny.

Ale o tem i o dalszej podróży w następującym listku. Teraz jeszcze raz całuję cię serdecznie, droga moja, i proszę bardzo cię o list do Florencji, bo za trzy miesiące będę tam, a jeszcze lepiej, żebyś mogła drugi list do Livorno napisać, gdzie mi go do kwarantanny przyniosą. Tak, proszę cię, droga, napisz do Livorno *poste-restante*, i to nie bardzo spaźniając.

b)

Paryż, maja 1845 r.

Najdroższa moja! Chciałbym skąd dostać teraz melancholji, którą wiem, że ty lubisz, a która gdzieś ode mnie i ze mnie zupełnie uciekła. Duch mój obrócił się cały twarzą naprzód... w pracy, którą ma z ludźmi, zakochał się, a żadna kochanka nie jest tak piękną, jak to uczucie wewnętrzne, które coraz dalej prowadzi, nie do fantastycznych niebios, ani do kościelnych aniołów, ale do prawdziwej doskonałości przyszłego żywota. Jakże ja ci, droga, wytłumaczę ten wzrost nagły i to odmienione we mnie pojęcie naszego życia na ziemi... jakże ci dam uczuć te powiewy ogniste z niewidzialnego świata, które do mnie przylatują?... Módl się, droga moja, stojąc

¹⁾ Dzik rosnąca w tamtych stronach roślina (powidnik).

prosto przed Bogiem, i wierz mi, że są rzeczy, o których myśleć nawet dawniej nie umieliśmy. Gdy ci piszę tak, to lękam się znów, że mnie weźmiesz za warjata, albo za człowieka, co księdzem myśli zostać... Raz na zawsze odpędź te myśli od siebie... Natury, którą mi dał Bóg, nie wyrzeknę się, z drogi nie zejdem, nie odmienić się chcę, ale rosnać; moce, które są we mnie, poznałem i tych przed nikim z zupełną niewolą nie ugnę, przed nikim żywym. Jedyną nędzą moją i boleścią jest to, że ludzie, których ja dawniej wielkimi i pięknymi sądziłem, ciągle i coraz bardziej upadają, a nikt nowy nie przyjdzie, coby mi ich stratę zastąpił; codzień prawie czekam, czy się nie otworzą drzwi moje i czy twarz jaka nowej piękności nie błysnie mi słońcem rozweselenia; bo to niepodobna, aby mi nigdy za życia mego Bóg nie pozwolił ujrzeć prawdziwą piękność na ziemi, serce, rozweselone mocą i dobrocią, szlachetność świętą i niezmienną... Wołajże ze mną razem, droga moja, aby mi takie braterstwo przyszło dopomóc, bo teraz, choć powierzchownie nie sam, to rzeczywiście powiedzieć mogę, że samotny jestem... Serce zaś moje, na prawdziwe uczucia ludzkiej boleści otworzone, pęka się codziennie, nawet patrząc na nieznanym ludzi nieszczęścia... W tym miesiącu, dziwnym zbiegiem chorób, trzy razy śmierć weszła do domu, w którym mieszkam, i zaczerniła go... Ostatni zaś raz wszedłszy zabrała ładną, czternastoletnią panienkę... której rodziców okna o pięć kroków są przed moimi oknami... oko w oko się patrzą na siebie... Ojciec, siodlarz dość bogaty, i matka, oboje uczciwi nadzwyczaj ludzie, ale, jak zwyczajnie teraz Francuzi, bez żadnej wyższej duchowej wiary, a w poczciwości jednej świętej cel żywota zakładając, wychowali to dziecko z nadzwyczajną troskliwością, nigdy nie wypuszczali na ulicę, nigdy nie otworzyli jej serca żadną egzaltacją... U nas dziewczyna tego wieku (a wyrosła, jak łania, i ładna była) kochałaby się już idealnie w jakim zdaleka widzianym chłopcu, bo u nas wszystko gra w ludziach, żyje, płomieni się, a czy źle, czy dobrze, zawsze rusza się i wybucha; tu przeciwnie, nigdy jeszcze nie widziałem zakochanej panny; czekają, aż pójda zamąż, a i wtenczas jeszcze nie kochają się, ale się bałamuca... Otóż moja sąsiadka, która tydzień temu zdrowa była i kwitnąca, jak róża... nagle krwią uderzona w głowę, ciałem tem, strasznie wyniosłem w moc, w pięć dni zabita... poszła na cmentarz... W tymże samym czasie syn popadł się pod los, to jest losem naznaczony na żołnierza, i oto dwa ciche pokoiki, w które ja mimowolnie, jedząc obiad w pierwszym moim pokoju, przez okno patrzeć muszę, puste teraz, wymiecione nieszczęściem... przez dwoje śred-

niego wieku cnotliwych ludzi zamieszkane, czarne okna mają, które chyba już rozjaśni świętość Chrystusa...

Opisuję ci to, abyś ty, droga, tak, jak ja, z wielkim ubolewaniem i miłością uniosła się sercem, niby gołębica, do Boga... nad nieszczęściem ludzkim górując, ale nie przez obojętność ani twardość serca... ale przez lot wysoki... Oto duch tej dziewczyny odeszedł z ziemi niczego nie nauczony, nigdy nie cierpiał, miłości żadnej, nawet ludzkiej nie poznał, o Bogu słyszał mało; w ostatniej nawet godzinie żadna świętość nie pokazała mu się na ziemi... Miesięcznej mu hostji nie pokazano... gromnice, jak gwiazdy i ognie, nie pokazały się w ciemnym powietrzu ostatecznego oczu zamglenia... lotu mu żadnego nie dano. Gdzież ona jest?... co teraz robi? gdzie się znów widzialnie objawi? o czym pamiętać będzie?... czy wdzięczną jest tym rodzicom, że ją w takie ciało śliczne ubrali byli i, ubrawszy, o ubiorze myśleli, a nie zapytali, czego chce? nie wydobyli z niej ostatecznego dźwięku, który może był cudownej mocy i piękności? Może nawet dlatego odeszła, że gniewała się na nierobotę dusza ta? że chciała czynić, a sposobiono ją do tego, aby, spoczywając, starała się być szczęśliwą? Nad nią więc ani chwili nie ubolewałem, droga moja, owszem, rozweseliłem się w duchu, myśląc, jakie być musiało tej duszy rozweselenie, gdy się wolną i pracującą duszą ujrzała... Ale nad rodzicami głęboko i głęboko cierpiałem... że takiej nauki potrzebowali... że tego odebrania dziecięcia Bóg się winnym względem nich uczuł, a to dlatego, że ich kochał pocziwych... Przez taką pracę, jak widzisz, i przez takie nieszczęścia przechodzą duchy nasze!... Przez okna moje i przez oczy moje patrzę na tę historję duchów, której świat jeszcze nie rozumie... z uczuciem Nieśmiertelności widzę wszystko, jakby się w kryształowych ciałach odbywało, a wszystko jest dobre i piękne, chociaż smutne, dopókiśmy smutku warci.

Tą historją, sądzę, że cię wprowadziłem do domku mego i dałem ci uczuć powietrze, które w nim panuje... Cichość jakaś święta, pełna uwagi, na świat zwróconej, ale nie bez też dla świata, ani bez modlitwy za umarłymi, bom i część tej nocy, gdy ta dziewczyna umarła tak blisko leżała, przepędził, modląc się... i czytając głośno ewangelję z tą myślą, że dla ducha jej słuchającego czytam... Wystaw sobie tę ciszę, która wtenczas u mnie panowała... i zobacz światło świecy mojej i usłysz głos mój poważny, jak głos którego z dawnych ojców moich, i otwórz i przeczytaj który z najspokojniejszych rozdziałów Ewangelji po polsku, a będziesz miała najwyraźniejszy obraz teraźniejszego ducha mego.

List twój ostatni pełen smutnych nowin... Wieść o chorobie Pawła¹⁾ była mi powodem wielu uczuć, podobnych tym, które oto wyżej zgon panny we mnie obudził... któż więcej, jak on, doznał cichego pokoju na ziemi?... Jego mieszkanie w ogromnym i echo-wym gmachu, ten milczący tłum duchów, który był w książkach i milionem szepczących głosów otaczał go... ta tęcza gwoździków, którą on karmił spokojne oczy swoje... Nareszcie najwyższy Anioł milczenia, ta rozumowa rozważa, która panowała nad uczuciami jego... to wszystko, a tak długo na ziemi trwające, prawie bez żadnej zmiany, teraz... może już zakończone!... Milczenie wielkie rozbite, jak dzwon pęknięty!...

Wybijajmy się więc duchem, droga moja, z pod tych cielesnych uciszeń, które odejmują prawdziwą siłę duchowi naszemu... i czynią, że podobny głupcowi, zawsze rozpoczyna na nowo tę pracę swoją, przeplataną mękami, nie będąc nigdy mocniejszy nad to, co go czyni nieszczęśliwym. W ostatnim odlocie ducha naszego poczujmy siłę większą, niż była przed rozpoczęciem pracy, a nie oszuka nas Bóg sprawiedliwy...

Niech za nami zostaną rzeczy ukochane wprawdzie, ale do których już nie tęskniliśmy tak, jak do jedynych rzeczy, z których mogła mieć szczęście dusza nasza... przyszłą moc ducha naszego ukochajmy... Te sny, które, mówisz, że schodzą do ciebie i mocniej się czuć dają... dowodzą mi, że odzyskujesz związek z prawdziwym światem duchów, którego my jesteśmy członkami, a czasem tylko narzędziami nic nie wiedzącymi... Takim narzędziem byłem długo ja sam, narzędziem wichrów i tęczy niewidzialnych, teraz dopiero rządzony przez Najwyższą Sakramentalną siłę Chrystusa... Czy ty zrozumiesz to wszystko?... Sądzę, że, rozczuliwszy się tem, co piszę o umarłych i umierających, zrozumiesz... Jaśniej tłumaczyć się nie mogę, to tylko wiedz, że nie imaginacją rządzon jestem, ale rzetelną siłą, tak wielką, iż zaledwo to pojąć mogą zmysły moje... Proszę cię, wiarę miej, bo na tem wszystka moc nasza leży, a wierz mi, a tyś uwierzyć w to powinna, boś mię w łonie swoim niegdyś czuła, wierz więc, że się czuję w łonie Nieśmiertelnej natury Słowa... a nic ci nie piszę z zimnej myśli i z utworzenia rozumowego, ale wszystko z prawdy wewnętrznej... Ściskam ciebie i całuję, zdrów jestem i nie wiem, czy kto jest w głębi duszy szczęśliwszym odemnie.

Jul.

¹⁾ Jarkowskiego, bibliotekarza Liceum Krzemienieckiego.

ZYGMUNT KRASIŃSKI (1812—1859).

Z listów do Adama Potockiego¹⁾.

a)

1838, 17 sierpnia, Opinogóra.

Drogi Adasiu! W narodach, w ludzkości, jak w człowieku pojedynczym, wiek dzieciństwa i pierwszej młodości jest wyobraźni wiekiem — ona wtedy góruje i wszystkie sprawy Ducha przyobleka zmysłowości barwami. Symbole — jest to idea, w kształt dotkliwy²⁾ ubrana. Dążność symbolizowania wszystkiego słabieje w miarę postępu ludzkości. Coraz bardziej staramy się odrywać kryjące go zasłony, ale w pierwszych wiekach historii to, co dzisiaj wydaje się czytającemu prawie dziecinnem i bajecznem, było naturalną bardzo wynikinością stanu rzeczy i umysłu ludzkiego. W pamięci narodowej zachowywało się pasmo rozlicznych bardzo zdarzeń pod postacią jednego bohatera, pod imieniem jednego człowieka. Wszystko, co minęło, a wycisnęło silne wrażenie, z następstwem dni jednych po drugich coraz bardziej tracąc na znamionach swoich ludzkich, coraz błędniej obwijając się w mgły wspomnienia i uroki dawności, stawało się bogiem tym lub owym, mitem lub powieścią, pełną fantazji. Tak samo i w duszy człowieka nieraz pamięć dziwnie cudownymi farbami maluje chwile, w których teraźniejszość nie tak boską była. Czemże cały politeizm, jeśli nie szeregiem zdarzeń odwiecznych, na ziemi zaszyłych, a do nieba przez umysł ludzki wzniezionych? Zresztą uważaj, iż ciągle do tego dąży Duch ludzkości, by w sobie samym odkryć coś Boskiego, a to odkrywszy, nową z tego gwiazdę lepi i zatyka na niebieskich stropach. Teraz my starzy, my prozatory, my, dźwigający na naszych barkach sześcioro tysięcy lat dzieje, nazwiemy takie odkrycie, taką siłą nową, imieniem zasady, prawdy, cnoty, piękności etc. etc., ale pierwiastkowi³⁾ ludzie, wszystko żywiej czując, z naturą wewnętrzną Ducha mniej, a z zewnętrzną ciała lepiej obznajomieni, takie uczucia, myśli, siły materjalnemi ubierali kształty; na wzór gwiazd, rozsypanych po niebie, bóstwa rozsypywali po przestrzeni; z każdego stulecia, zawierającego w sobie wiele zdarzeń, jedną wielką figurę boską lub bohaterką wykuwali, bo właśnie to jest rzeczą pierwiastkowej poezji, by wszystkiemu Indywidualność nadawać i, jeśli tak mogę wy-

¹⁾ Adam Potocki, późniejszy szwagier poety, w okresie tej korespondencji młodziemiec 17-letni; wedł. wyd. z r. 1922. — ²⁾ T. j. dotykalny. — ³⁾ T. j. pierwotni.

rzec, człowieczyć Boga i ród ludzki, pojmować wszystko pod obrazem pojedynczej istoty. My przeciwnie po doświadczeniach wielu postępujemy — my indywidualność człowieka poświęcamy Bogu i ludzkości. My Duch jeden, wielki, ogólny, wszystko zawierający, a zatem żadnym kształtem niemogący być ograniczony, wyznajem za najwyższą Istotę, za początek i koniec wszystkiego. Jemu na ofiarę bijem kształty świata i nasze własne. Dlatego nam, czasem zupełnie w odwrotnym kierunku postępującym, nie do uwierzenia mogą się wydać pomysły, wiary i sposoby działania starożytności. Tyle na obronę Micheleta¹⁾. Zresztą przyznam tobie, że nieraz uczeni, a szczególnie filolodzy, po nici dochodząc kłębka, dziwnie się gmatwiają i na przestarzałych słowach budują ogromne piramidy, które lada wierzyk rozchwiewać potrafi. Co jest doskonale opisane w Michelecie, to walka dwóch stronnictw, która historję rzymską bardziej stanowi, niż zewnętrzne podboje, bo jest treścią serca rzymskiego, charakteru rzymskiego ukrytą sprężyną. Dalej z nieporównaną biegłością autor wykazuje, jak się na Rzym obróciły własne jego namiętności, jak Kapitol napełnił się cudzemi bogi i ludźmi, jak wreszcie Azja i Grecja moralnie podbiły tego, który ich materialnie był zawojował. Historia Rzymu jest historją świata całego. Z niej wnioski na wszystkie czasy ciągnąć można. W historii katolicyzmu mnóstwo jest rzymskich, starożytnych sił — taka sama walka dwóch stronnictw, takie samo zwycięstwo Jednowładztwa, takie samo zepsucie nareszcie. Ale zdaje się, że coś nieśmiertelnego Opatrzność wlała w te wzgórzów siedem²⁾. Jak tylko padają czyjeś pałace lub świątynie, na nich zaraz drugie równie potężne, cień rzucające na ziemię całą się podnoszą. Niema końca Rzymowi — pójdź po gruzach jego: ujrzysz Kapitol niepodobny do siebie, zwalany błotem, znizony nie wiem o piętr wiele, obnażony ze złotego dachu, z marmurowych wschodów — ale zato na drugim końcu miasta Ś-go Piotra kościół stoi! Czytaj więc i odczytuj dzieje tej ogromnej materialnej i duchowej potęgi, Rzymem zwanej; potem, gdy je zrozumiesz, reszta dziejów łatwo ci pójdzie. Świat nasz dzisiejszy cały wynika z chrześcijaństwa, osiadłego na gruzach Rzymu. Rzym Grecję pochłonił — Duch chrześcijaństwa Rzym zagarnął; przydad do tego plemiona północne, które przed Krzyżem padły na kolana, a będziesz miał nas samych, dzieci filozofji greckiej, religji Chrystusa i kodeksu rzymskiego. Przeczytaj jeszcze, proszę ciebie,

¹⁾ T. j. na obronę poglądów Micheleta, znakomitego ówczesnego historyka francuskiego, którego dzieło lekturę zalecał Krasiński swemu adresatowi. — ²⁾ Na których stoi Rzym.

Montesquieu: „Grandeur et décadence des Romains“, wyborne, krótkie dzieło. Przeczytaj także Tocqueville: „Sur l'Amérique“¹⁾. Nikt od Montesquieu i Tacyta takim stylem związłym i wcinającym się w samą iściznę rzeczy nie pisał.

Teraz o czem innym. Dzięki ci składam szczerze za twoje dobre i wrzące serce. Nie pisałem do ciebie o moim przyjeździe, bo to było wówczas jeszcze bardzo niepewnem. Teraz pewnem jest, że na zimę z ojcem do Włoch pojedę, ale czy przez Wiedeń przejeżdżać będę, to nie wiem, a choćbym w oktobrzu tam wpadł na tydzień, to i tak ciebie nie zastanę. Napisz słówko do murgrabiego domu²⁾ na wszelki przypadek, by wydał mi paczkę, którą zostawił pod opieką twoją, jeśli będę przejeżdżał w nieobecności twojej, a co mi będzie potrzeba, z niej wybrawszy, znów resztę zostawię.

Doskonale pojmuję twoje marzenie przy muzyce „Normy“³⁾. O, mój Boże! ileż ja takich miałem i one może były jedynym szczęściem mojem na ziemi; ale nie folguj im zanadto, bo zapadniesz we wstręt i niesmak do rzeczywistego świata, a gdy raz taki wstręt powźmiesz, wszelkiego działania władza umorzona w tobie zostanie. Na tem siła i zacność człowieka zależy, by nie mniej umiał myśleć, jak wykonywać. Rozkoszy zadość może się stać w marzeniu; cnotcie, poczciwości, obowiązkowi — tylko w pracy i działaniu. Nie powiem, iż to łatwo przychodzi, owszem, utrzymuję, iż nic trudniejszego, ale też i nic wznioślejszego nie masz. Znać, iż nie samo marzenie, iż nie sama myśl jest trybem i przeznaczeniem świata, kiedy Bóg swoje myśli ubrał w rzeczywistość, kiedy stworzył je dotkliwie. Otóż im bardziej człowiek zbliża się do Boga, tem szerzej posiada władzę przerabiania myśli swoich w rzeczywistość, wcielania ich w widomy skutek. Ta harmonja między pomysłem a czynem wielkie dusze i charaktery stanowi — bo uważaj, że myśl, choćby najwznioślejsza, dopóki krąży w tobie, jest tylko egoizmem. Dopiero kiedy się udzielisz drugim lub z niej coś cnotliwego, dobroczynnego lub pięknego utworzysz dla drugich, staje się miłością, udziałem, wspólnością, prawdziwym ruchem i życiem. Marzenie zaś zwykle połączone bywa z lenistwem, podobnem do owej nieruchomości, któraby człowieka ogarnęła, gdyby ujrzał nagle coś nadzwyczaj pięknego lub usłyszał anielską muzykę — wszak prawda, lękałbyś się ją przerwać? Otóż kto ducha przyzwyczai

¹⁾ „Wielkość i upadek Rzymian“ Montesquieu, sławnego pisarza francuskiego XVIII w., autora głośnego dzieła o „Duchu praw“. — Tocqueville, publicysta i polityk francuski, współczesny Krasińskiemu, autor dzieła „Demokracja w Ameryce“. — ²⁾ T. j. dozorczy pałacowego. — ³⁾ Popularnej wówczas opery Belliniego.

ciągle do takich dźwięków, kto ciągle lęka się, by się nie rozwiął, ten z oporem będzie szedł, kiedy przyjdzie mu iść, ten nieraz poświęci zewnętrzne dobro drugich tej wewnętrznej, własnej rozkoszy.

Nieba rzadko się dotykaj. Wtedy ono będzie siłą dla ciebie; ale jeśli zechcesz każdą chwilę przerobić na niebo, wcześniej lub później spalisz się na popiół, tak, jak Semele, ujrawszy Jowisza¹⁾. Oto jest mit starożytny, pełen znaczenia. To, co mówię, ze szczerego przekonania. Doznałem tego na sobie samym — czara marzeń otruła mnie boską słodyczą swoją. Bądź szczęśliwszy odemnie. Umiarkowanie pij z niej — a ona zbawi ciebie, nie zabije. A ile razy się jej dotkniesz, niech pośród wywołanych cieni i moja postać stanie przed tobą, postać człowieka, któryby chciał cię obronić od wszelkiego zepsucia i zbytku, który przedewszystkiem pragnie zacności twojej, potem rozumu, wreszcie szczęścia dla ciebie. Szczęściem na końcu położył, bo na niem nie zależy godność człowieka. Ta zaś może obejść się bez szczęścia w danym razie, a szczęście, jeśli bez niej się obchodzi, to zowie się podłością; przenoszę więc cnotę i rozum nad szczęście. Lecz myślę, że kto posiada pierwsze dwa dary, mniej dba o trzecie. Zdołał on je w sobie samym wyrobić. Jednakowoż niech los sypie na ciebie wszystko, co szczęśliwe, niech cię twój Anioł-stróż broni od pobocznych nawet przykrości. Myśl ciągle, marz czasem, kiedy już bardzo ci smutno, ale nie wpadaj nigdy w owe niepomiarkowane żarty i rubasności, które są tylko zwiastunkami przyszłych „spleenów“²⁾, a szkodzą powadze, o której zachowanie nawet w codziennem życiu człowiek zawsze dbać powinien. Nie uwierzysz, od wielu złych ludzi bronić się można, ile niebezpieczeństw uniknąć samą tylko powagą. Powaga — jest to nieprzełamana zbroja moralna, a nieszczęściem, świat często bywa polem walki.

Zygmunt Krasiński.

b)

8 września, Opinogóra, 1838.

Drogi Adasiu! Proszę cię, zaklinam cię, nie męcz się o to, że uzewnętrznisz myśli swoich nie możesz. Tem lepiej; miasto w słowa, one przejdą w czyny. Kiedyś stał na brzegu parowu i patrzył w górę śnieżną, kiedy widok cię natchnął, kiedyś porwał za papier i ołówek, nie byłeś jeszcze poetą, ale nim byłeś, zaprawdę ci mówię, byłeś nim w całej rozciągłości tego słowa, kiedyś kartkę wyrwał

¹⁾ Która splonęła od niebieskiego ognia, gdy w pełnym jego blasku — zadość czyniąc jej prośbie — ukazał jej się Jowisz. — ²⁾ = tyle, co stanów apatii, nastrojów nudy.

z albumu i, jak kłębek śniegu, puścił w przestrzenie, śnieg do śniegu rzucając, jak niegdyś ów pierwszy Abdank złoto do złota¹⁾. Rozważ sam, co się stało w tobie; pojąłeś duchem ideał piękności wyżej nad wszystkie ziemskie wyrazy. Zdjęła cię wzniosła pogarda, poświęciłeś spadłe z ust twoich słowa-myśli twojej duszy żyjącej. Tem samem przyznałeś sobie samemu, głębiom umysłu własnego coś wyższego, coś nieskończonego. Lubię cię i kocham w tej chwili, boś w tej chwili wolny był wszelkiej miłości własnej i przeto prawdziwie wzniosły, poetyczny byłeś. Czyn twój był poezją! nie żałuj więc kilku śmiertelnych, znikomych okresów. Dziękuj Bogu, że ci pozwolił czuć piękność, rozlaną w stworzeniu. Czy sądzisz, że choć jeden poeta wolny był od uczucia, które tobą powodowało? Czy myślisz, że w sercu największego poety niema zakątka strutego goryczą, pochodzącą z przeświadczenia, że nigdy pieśń jego żadna nie dorównała jego natchnieniom? Spójrzaj na nich wszystkich — na licu i w dziejach każdego odkryjesz ten brak równowagi między ich myślą a ich dziełami, między tem, co Bóg w nich zatknął, a tem, co oni wyrobili z tego, między Ideą a jej wcieleniem. Z tej przyczyny robak wieczny zalega im serce. Życie ich całe bywa dysonansem, żądaniem bez miary, któremu nigdy nie staje się zadość, — miłością niewidomej kochanki, o której ukazanie modlą się napróżno. Stąd wcześniej starzeją, stąd niedługo żyją, a dni ich pełne troski i cierpień. Stąd jeszcze bywa, że nieraz słabiej w sławotycznych chwilach, że zapadają w letarg bezczynności, kiedy działać trzeba. Groźni w pieśniach, wśród niebezpieczeństw rzeczywistości pokornymi bywają. Umieć zarazem śpiewać i działać, umieć strunę lutni przemienić na łuku cięciwę, rzadko im się udało. Tyrteusz, Camoens, Milton, a za naszych czasów Byron i Körner wydolali temu²⁾. Wśród tylu innych, oni jedni tylko! O, mój drogi! Wierz mi, większa jest poezja w wypełnieniu jednego obowiązku, niż w napisaniu dziesięciu poematów. Cnotliwym być — jest to całą duszę swoją przemienić na poemat. Napisać poemat — jest to tylko część Ducha własnego ubrać znikomie w ładną szatę piękności i cnoty. Ale dojść tysiącem walk i boleści do zwycięstwa nad sobą,

¹⁾ Gdy cesarz Henryk V, chcąc olśnić swem bogactwem i może uwieść posła od Bolesława Krzywoustego, rycerza herbu Abdank, kazał przed nim otworzyć złota skrzynię, ten miał zdjąć z palca drogocenny pierścień i wrzucić go do skrzyni ze słowami: „Niech złoto idzie do złota, my Polacy wolimy żelazo“. — ²⁾ Nazwiska poetów, którzy zasłynęli również jako działacze, a niektórzy z nich służyli dla idei przypieczętowali śmiercią: pisarz grecki Tyrteusz miał zginąć, z pieśnią na ustach prowadząc rodaków do walki, Byron umarł, gdy niósł pomoc wyzwolającym się Grecykom, a poeta niemiecki Körner poległ w wojnach napoleońskich.

ale duszę własną tak wyszlachetnić, żeby ciągle i wszędzie podobną była do pieśni żywej, brzmiącej, akordowej, i czuć, że we własnych piersiach nosimy harmonję, niezależną od dzikich wrzasków zewnętrznego świata, czuć, że my sami siebie napisali i na wdzięczne podzielili spadki i wzniosłymi ubrali kształtami — oto rym dopiero anielski, oto poezja, którą może ziemia odepchnie nieraz, ale która w niebie spamiętaną będzie! Takiej ci życzę. Nastrajaj się do niej i gotuj, a tamta, zewnętrzna, sama z siebie przyjdzie. Nie staraj się jej sprowadzać i zmuszać w danej chwili, w której czujesz najwyższe natchnienie namiętności. Ona rzadko wtedy zstępuje. Ona potrzebuje pewnego spokoju ducha, a wśród tego spokoju wspomnienia burzy — pisać się nigdy nie da w uniesieniu. Do pisania trzeba dwóch rzeczy — wpływu, wywartego przez uniesienia, i sztuki. Sztuka zaś wymaga pewnej ochłody, pewnej spokojności. Kiedy grzmot na ostatnich kończynach widnokręgu, uchodząc, jeszcze się odzywa, wtedy pisz — ale nie kiedy piorun prostopadle uderza cię w serce! Piękność, natchnienie potęgi i rozkosze Ducha najwyższe są niebieskim objawem. Pisanie, wyrobienie, układ, rym są mechanizmem ziemskim — a wiesz, że ziemia jest tylko cieniem, jest tylko wspomnieniem niebios!

Gdy ten list odbierzesz, zapewne już będziesz zpowrotem. Mam nadzieję, że zdrowie twojej Babki się polepszy, a troski twojej Matki się ukoją tem samem. Bądź łaskaw, złóż jej moje najszczerze, najtkliwsze uszanowania. Nieraz przypominam sobie pacierz, dany mi przez nią u drogi mojej początku. Bóg widzi, że mnie nie ochronił od wielu smutków, ale niech Bóg jej za niego zapłaci. Słaby jestem i na oczy, i na duszy. Nieraz, jeżdżąc¹⁾ przez te ogromne pola, równe stępom, przyjdiesz mi na pamięć, twoje uniesienie za stępami mi się przypomina, i zdaleka zasylam ci w milczeniu życzeń tysiące nakształt błogostawieństwa. Niechaj ci lepiej będzie, niż mnie jest. Wstępujesz w życie — możesz, jeśli zechcesz i Bóg ci pomoże, dostąpić najwyższego szczybla ludzkiej godności. Możesz być cnotliwym, wiele dobra rozdać bliźnim, masz żartki rozum, ostry dowcip, wrzące czucie — pracą możesz te dary niebios wywyższyć i podnieść do genialności. Tylko przyzwyczajaj się do pogardzania rozkoszą i zbytkami, a zawsze bądź gotów do wspańności — pamiętaj na to, że ziemskie dobro jest złudzeniem, dopóki przez niego szczęścia drugich nie zapewnimy. Dopiero ono wtedy wraca do nas. Póki zaś w rękę naszym, póty jest słowem

¹⁾ T. j. gdy jeżdżę..

bez znaczenia i próżnością próżności. Lecz na to, by go użyć święcie i sprawiedliwie, trzeba wielkiego rozumu — bo hojność i szcudroblliwość bez rozgarnienia, bez doskonałego pojęcia, w co bić należy i komu i czemu pomagać, jest tylko błyskotką, podobną do sztucznych ogni, co wśród nocy udają słońce, aż pękną — i nie wiedzieć, kędy się podziały. Zachowaj całą czystość młodocianego zapału, a unikniesz osłabienia, które nieraz następuje po nim. Wyobraźnia twoja niech ci służy za światło do rozjaśnienia przedmiotów, a niechaj się nigdy w płomień piekieł nie przemieni. I wierz dotego, że masz przyjaciela. Niech cię Bóg strzeże i prowadzi. Z. K.

BRONISŁAW FERDYNAND TRENTOWSKI (1808—1869).

Z dzieła pod tytułem „Chowanna, czyli System Pedagogiki Narodowej“ (1842).

Wychowanie wszystkości w istocie młodzieńca,
pierwsze filozoficzne prawidło.

Na sławnej górze Etnie w Sycylii, gdzie się przed czasy gnieździe miały olbrzymy, znajduje się dziki kasztan nadzwyczajnej wielkości. Drzewo to ma mieć pień przeszło sto sześćdziesiąt stóp gruby, a jego konary, okryte rzęsistem liściem i kwieciem, przedstawiają, wedle opisów i powieści, las cały. Lud mówi, że kasztan ten od czasów potopu ciągle, choć powoli, rośnie. W istocie twego wychowańca znajdziesz większe nierównie drzewo całej boskości, całej natury i całego człowieczeństwa. Ty jesteś dobroczynnym słońcem względem niego; pod promieniami twego światłego i ciepłego wzroku ma drzewo to rozgałęzić się wielką dąbrową, zazielenić akermaniskim stępem i ubielić kwiatu oceanem. — Wedle powyższego prawidła, masz wszystkie zarody ciała, duszy i jaźni¹⁾ twego wychowańca rozwijać: masz każdej jego zdolności i każdemu usposobieniu pomocniczą podać rękę; każde uczucie w nim ogniem świętym rozpalić; masz cały zasiew nieba i błogich nadziei, w nim leżący, jako pilny ogrodnik, deszczową wodą pilności twej polewać i pielęgnować; masz ogród wszystkości w jego rdzeniu żyjącej rozgrodzić; parkiem rozległym kwiecia i owocu najpiękniejszego pod

¹⁾ = osobowości, indywidualności.

słońcem uczynić. Ale niedość na tem. Działki twe masz także wychować do wszystkiego! — W prawidle tem zawarta jest empiryczna¹⁾ pedagogika — — ze wszystkimi twierdzeniami i przeczeniami, z całym niewyczerpanem bogactwem! Rzecz jednak przychodzi tu do swej umiejętnej słonecznej pełni i staje się bezwzględna, szczytną. Jaka potęga w tych kilku wyrazach: rozwijaj wszystko boskości, natury i człowieczeństwa w twym wychowańcu! Jest to pierwsze filozoficzne Chowanny naszej prawidło. Jasne jest, jak dzień, krótkie, jak boskie czystej i tajemnej miłości spojrzenie, pełne złota słonecznego, jak kopalnie Indostanu w światła koronie na głowie Feba! — —

I cóżby godziło się nareszcie w człowieku bez rozwikłania zostawić? Cóż jest tak maluczkie, tak niewiele znaczące, tak nikczemne, co by mogło zalec w nas odłogiem? Czyli podobna znaleźć w najpiękniejszym wianku całego boskiego jawu, ręką ojca Boga i matki natury uplecionego, w ostatnim i najdoskonalszym arcydziele wszechmocności, coś takiego, co by nie było już w sobie samem doskonałością, co by naszego trudu nie nagrodziło hojnie za swe przebudzenie i przeistoczenie w dzielność, za swe rozkwitnienie rzeczywistości narcyzem? Czyliż wiemy, ku czemu młode bóstwo ziemi wszystkie swe siły później obróci? Wieszczy nasz najznakomitszy pieje: „Jedna tylko iskra jest w człowieku; raz tylko w młodocianym zapala się wieku. Czasem ją tylko oddech Minerwy roznieci. Wtenczas nad ziemskie plemiona powstaje mędrzec i gwiazda Platona w długie wieki wieków świeci. Iskrę tę jeśli duma rozżarzy w pochodnie, wtenczas zagrzmie bohater, pnie się do szkarłatu przez wielkie cnoty i przez większe zbrodnie, i z pastuszego kija robi berło świata, albo skinieniem oka stare trony wali. Czasem tę iskrę oko niebianki zapali; wtenczas trawi się w sobie, świeci sama sobie, jako lampa w rzymskim grobie“²⁾. Jedna iskierka zapali się później w twym wychowańcu, a wszystkie inne będą żywiołem wielkiego jej płomienia. Ty jednak dziś nie wiesz, która to iskierka; nie zdołasz jej zatem ani naprzód w pożar zamienić, ani raz na zawsze nogą zdeptać. To nie w twojej, ale w Boga mocy. Poddmuchuj tedy wszystkie iskierki tchnieniem twem zarówno. Już niejeden urodził się kmieciem i miał pedagogiem swym kmiecia. Genjusz własny przecież wyniósł go nad stan i wychowanie, i został sławnym wodzem, poetą, filozofem. Niejeden także, mając najlepsze wychowanie, zmarniał, skoro iskierka jego nigdy ku niebu

¹⁾ Doświadczalna. — ²⁾ *Dziadów* cz. IV.

silnym nie buchła płomieniem. — Ani jednostronnie, ani wielostronnie, ale wszechstronnie masz wychowywać młodego człowieka. Resztę zostaw jemu samemu i Bogu! — —

Każdy czas bez wyjątku jest niebezpieczny i grozi nam burzą; jest Wezuwjustem, z którego bucha dym kłębam. Kto ma oczy historyka i filozofa, ten się o tem głęboko przekonał. Biada tronowi, na którym siedzi omacnica¹⁾. Każde dalsze ludzkości rozwikłanie jest mniejszą lub większą rewolucją. Nie usypiaj swobodnie, ale idź z czasem i bądź gotów na wszystko. — Przyszłość pokryta jest mgły ścianą kilkaset mil grubą, której ani przejrzeć, ani światłem swem rozpędzić niepodobna. Dlatego bądźmy zawsze na czatach. O, gdyby tylko rok jeden, tylko pół roku wolno nam było widzieć naprzód! Zostalibyśmy bez uczenia się filozofji najwyższymi mędrkami, bogami samymi i nie popełnialibyśmy codziennie tyle niesłychanych błędów, z których nigdy wprowadzie naprzód, ale zawsze później, gdy już się stało i wszystkie okoliczności wiadome, nawet każdy żak szkolny się śmieje. Tu niknie wszelka rozumu i matematycznego kalkulu potęga; tu niema żadnej pewnej asekuracji przeciw nocnemu i niespodziewanemu pożarowi. Co stanie się kiedyś z naszego wychowańca? Niewiadomo. Jaki los we drzwi jego zakłata? Niewiadomo. Rozwijaj tedy wszystko jego bosko-człowieczej natury, żeby mógł wszystkim na świecie zostać i zdolnym być do wszystkiego, czyli wychowuj go wszechstronnie! Rozwikłanie wszystkości młodej człowieczej istoty i wszechstronne jej wychowanie potrzeba przecież należycie zrozumieć. Wychowuj człowieka do wszystkiego na świecie, tylko nie do złego. Złe bowiem nie należy do wszystkości, bo jest właśnie jej ograniczeniem, a więc mordercą. Im więcej złego w człowieku, tem bardziej ograniczona jest jego wszystkość, t. j. jego istota, jego bóstwo. Budź przeto dobre usposobienia wszystkie w twym wychowańcu, lecz mijaj zdaleka jego skłonność do złego. Skłonność ta niechaj śpi ciągle, niech wśród uspienia straci swe siły i obumrze! — Jean Paul²⁾ tłumaczy się w tym punkcie następnym sposobem: „Wicież wy naprzód, jak bogi lub proroki, czyli ten mały chłopczyca, co oto różę rozskubuje i ścina głowy makówkom, nie opuści zczasem swej korsycznej³⁾ ustroni i nie zagrzmie w zaburzonej części świata jako straszliwy Bóg wojny, igrając tak z nawałnicą i gromem, jak dziś z piłką; czyli on wtedy druzgotać narody lub też w nich siać i pleć będzie? — — Czyli ten genjusz samodzielny i prawodawca przy-

¹⁾ Ćma, także zjawa, widmo, straszidło. — ²⁾ Jean Paul (Richter), pisarz niemiecki okresu romantycznego. — ³⁾ T. j. na Korsyce, niby Napoleon.

szły świata pod wodzą anioła lub szatana dziś stoi, nie jest to za-
prawdę rzeczą mniejszej wagi, niż pytanie, czyli lepiej dać go pod
berło jakiego uczonego profesora uniwersytetu lub też pod porządek
króla prostaka“.

AUGUST CIESZKOWSKI (1814—1894).

Z dzieła p. t. „Ojciec nasz“ (Tom I, 1848).

Rozdzwięk chwili obecnej znamieniem światowego
Przesilenia. — Ojciec nasz jako Testament Chrystusowy.

Święty Boże! cóż się dzieje w świecie? Jakże uroczy, jakże
obrzydliwie razem! Zewsząd prawda się wykluwa, a kłamstwo prze-
maga wszędy. — Stroi się jakby na gody, przy pogrzebowem ła-
niu głodzonych lub mordowanych narodów. — Morze Rozkoszy —
i ocean Cierpienia; a przy rozkoszy nuda, — rozpacz przy cierpie-
niu! — Powołani obsiedli rozpustne życia biesiady — a niepowo-
łanym przekazali zgrzytanie zębów na ziemi — a w ziemi wspólne
grobowisko, — bo mędrcy tego świata wyrzekli, że dla nich u stołu
żywoła nie stało już nakrycia. — W sprawach publicznych pry-
wata — w prywatnych zakatała. — Próżność się święci, a cnota próż-
nuje. — Świeckie ramię zwzszeteczniało — duchowne zgrzybiało. —
Bożego słowa każdy używa — albo nadużywa, — ale nikt w niem
nie żyje, ni ono nie żyje w nikim. — Braterstwo ludzi i ludów się
głosi — a Kainowe zbrodnie przeszły od ludzi do ludów! Tu postę-
p występkami — ówdzie występek postępkami! tu życie silne a nik-
czemne, ówdzie konanie nikczemne a silne. — A to życie pozorne,
bo już zarazone śmiercią; — a tamto śmierć pozorna, bo już za-
płodniona życiem!

Oto przed nami nieprzypuszczane cuda przemysłu, — oto niedo-
myślane skarby nauki, — oto rosnące wciąż ślady olbrzymiej a go-
rączkowej pracy; — oto zbytki, o jakich nigdy Sybarytom się nie
śniło, — oto siły, jakich nawet wyobraźnia bajecznym Tytanom
przypisać nie śmiała! — A przy tem wszystkiem Lud i Ludy
łakną — pragną — i jęczą wzdychaniem niewymownem! — Na cóż
się to wszystko zdało? Do czegoż to prowadzi? — Cóż opatrzyła
nauka uczonych, — cóż zarobiła praca robotników, — co zakupiło
złoto bogaczy, — co wywalczyło bohaterstwo narodów, — cóż ob-
myły nareszcie lzy tyłu pokoleń? — Święty Boże! cóż się dzieje
w świecie?

Dzieje się po raz drugi to, co raz dopiero odbyło się w histo-
rii, — ale co już więcej się nie powtórzy, póki ludzkość ludzkością:
rodu ludzkiego wtóre Przesilenie. Świat stary umiera, — a nowy
się rodzi; świat trzeci nastaje!

Byćżeż to może? — Nasz świat pełen otuchy — w żywotne
soki bogaty — w zasoby odwieczne uzbrojony — w drogi swoje
zadużany, — ów świat tak silny, że sił swoich chępliwie naduży-
wać zdolen, — tak uczony, że już ani wierzy, ani nawet wątpi, —
tak uczciwy z rachuby, — o ile uczciwość popłaca, — tak pewien
siebie, że aż obojętny, — miałżeby już ustępować przed nowym
światem w tej właśnie chwili, kiedy się sam zabiera tak wygodnie
u siebie się rozgościć?

Pomnijcie na ostatek dni starego Rzymu, na jego wiekową po-
tęgę i dzielność, — na legiony jego nieprzewyciężone, — na praw
jego zwarte sklepienie, — na wszystko złoto przez niego zdobyte,
na wszystko zboże, spływające corocznie ze śpichlerzów świata ca-
łego, by karmić jego obywateli, tych panów świata, — na jego drogi
i wodociągi, — na jego trudy i igrzyska, — na Fortunę Rzymską
wreszcie, której żadna ani przedtem ani potem nie sprostała, —
i powiedzcie sami: — kiedy takie słońce zaszło, jakieżby zająć nie
mogło?... Pomnijcie też na Baltazarowe biesiady i na przerywające
je przestrogi! Pomnijcie nareszcie na wyraźne przestrogi Zbawi-
ciela, — na dni Noego i „na dni Lotowe“. Wszakci i wtenczas lu-
dzie „jedli, pili, żenili się i zamąż wydawali... kupowali i sprzeda-
wali, sadzili i budowali“... i ufali w siebie „aż do dnia onego, w któ-
rym Noe wszedł do Korabii“... albo Loth wyszedł z Sodomy¹⁾. —
Pomnijcie więc i czuwajcie!

Miałżeby świat nasz zasłużyć na los Rzymu, albo na los Go-
mory? Miałżeby znowu potop jaki, — potop krwi albo ciemnoty
osromocić naszą ziemię?

O, nie! — Potopu już nie będzie „na skażenie ziemi“²⁾. Mogą
być klęski — mogą być powodzie — jeśli je sami rozpuścicie;
a wtedy, jako ślepe uragany, porwać mogą ludzi złej i dobrej woli —
lecz ani ludów ani ludzkości nie dosięgną one. A zapobiec im —
od was samych zależy. — Bo spojrzycie — wszakże wykształca
się już różnobarwna tęczą ludzkości, ów znak ostatniego i wiecznego
przymierza, — znak Spokoju i Pocieszenia! — Patrzcie — a do-
myślcie się dróg i środków Pańskich!...

Wszakże już nie Słabi, jak dawniej — ale Przemozni wołają
o Pokój: — Wszakże już nie gołębnice, ale sępy niosą gałązkę

¹⁾ Mat. XXIV. — Luc. XVII. — (p. a.). — ²⁾ Gen. IX, II. — Isai LIV, 9. — (p. a.).

oliwną; — a wszakże już nie sępy, ale gołębnice zaprawiają się do walki! — Cóż to znaczy? — Oto że ludzie, którzy snąć za własnym tylko uganiają się zyskiem — pracują dla Ludów; oto że Ludy, które snąć za własną tylko miłością rzucają się w katusze — pracują dla Ludzkości!...

Widzimy... i płaczemy nad niemi; — bo oto tamci gubią się bezmierną chciwością, a oto ci gubią się bezmiernem poświęceniem! — A chociaż ani chciwość jednych, ani poświęcenie drugich nie mają spełznąć daremnie, to jednak żal nam słodkich cierpień tych — i gorzkich rozkoszy tamtych!...

I żal nam onych, którzy żadnej rozkoszy ducha dotąd nie zaznawszy — przecież cierpienia wiekuistego domyślać się już czynają.

O! wybaw, wybaw nas, Panie! wybaw Ludzi i Ludy — wybaw Lud i Ludzkość!

Zbawienie Ludzi i Ludów — Ludu i Ludzkości — dziś od nich samych i od nich tylko zawisło. — Ustał czas Łaski — nastął czas Zasługi. — Dokonało się Miłosierdzie, powstaje Zadośćuczynienie. — Minęła chwila daremnych darów, — nadeszła chwila obliczenia się. — Wszak przekazanych *talentów* było dosyć, — policzmy, co przyniosły. — Biada zakupującym — chwała zarabiającym.

Póki Ludzkość była dziecięciem, póty wychowywała się pod pieczą orędowników lub różdżką ochmistrzów, — dziś dostępując pełnoletności i sił swoich długo doświadczwszy, niechże ich wolno użyje, — niech żyje o własnem życiu, niech sama *sprawi* sobie *Ziemię Obiecaną*.

O, biedni my i słabi, mimo wszechbogactw i sił naszych! O, nieradni my i niedzielni, mimo doświadczeń i wszelkiej wprawy naszej! — Mamyż więc sami jąć się dzieła, któremu dotąd nie sprostały wieki, mimo natchnionych Boga posłańców? Gdzież mądrość — gdzież hart ducha po temu? — Tylko zamęt w umysłach — czczość w sercach — niedołęstwo w charakterach! — Zdołamyż biedne sieroty odbyć ten straszny przepływ ze starego świata ku nowemu o własnych wioślach i żaglach — bez gwiazdy — bez magnesu — bez sternika?

Sternikiem waszym Chrystus, — magnesem bratnia miłość jego, — przewodnią gwiazdą święta modlitwa, którą wam przekazał. — W tej to modlitwie zawarł On wszystko, *czego wam nadal potrzeba*, — w niej wskazał wam wszystko, do czego dotąd mieliście *dążyć*, do czego się sposobić, a co dziś właśnie przy spełnieniu czasów, pojąć i osiągnąć macie. — Wszakże on przyrzekł, od-

chodząc do Ojca, iż nie zostawi was sierotami, a czuwając nad wami do dziś dnia niebieskim okiem swoim, obmyślił wam od początku, a zostawił w pamięci waszej *zapis* przyszłego Dziedzictwa na czas pełnoletności waszej.

Ta poświęcona Chrystusowa, — ten wieczny Testament jego, — ten pomnik zostawiony, aby wskazywał wam drogę do bezpiecznej Przystani, — jest ostatnim wyrazem szeregu Objawień Bożych dla Rodu ludzkiego, jest dopełnieniem i spełnieniem wszelkich poprzednich objawień; — jest *Objawieniem Objawienia!*

Dwie epoki zna dotąd Historja. — Chrystus ich Przesileniem. — Znaczenie trzech ostatnich wieków. — Zadatki Przyszłości.

Zapatrując się na całkowite pasmo upłynionych Dziejów, spoglądając, że Ludzkość w postępie historii swojej *dwie* dopiero *stanowcze* przebiegła *Epoki*. — Liczne są wprawdzie przemiany i stanowiska, które w szeregu wieków dotąd przebyła, lecz wszystkie te przemiany i stanowiska do *dwóch* głównych Epok sprowadzić się i dwoma wręcz przeciwnymi kierunkami oznaczyć się dadzą. — Dwóch tych Epok punktem granicznym i zwrotnym jest: — CHRYSTUS. — On jest ogniskiem dotychczasowych dziejów, równikiem ich dotąd odkrytych Stref. — Wszystko, co *przed Nim*, do Niego się ściąga, — wszystko, co *po Nim*, z Niego wychodzi... On więc jest przesileniem Historji.

Jakoż wśród mnóstwa zaszytych do dziś dnia w potoku dziejów przemian i roztrząśnień, jedno tylko przemienienie Świata za stanowcze, — za całkowite, — za absolutne poczytać można: a tem jest nadejście Chrześcijaństwa. O tem jednym przemienieniu mógł wieszcz pogański zaśpiewać:

„Magnus ab integro saeculorum nascitur ordo“¹⁾.

I w samej istocie wszystko *nowem się stało*. — Bo i Myśl, i Natura, i Duch ludzkości zupełnej uległy rewolucji; wstrząsł się Ród ludzki w zasadach swoich i nowe zupełnie rozpoczął życie. — Z nową nauką i nowe ludy wyszły na widownię dziejów; — idealnie i realnie przemienił się świat (*praeterit figura mundi*)²⁾; — czas i przestrzeń przeobraziły się; — historycznie i geograficznie, obyczajowo i religijnie — nowy porządek wieków, nowy stan rzeczy się począł.

¹⁾ Virgil: Eclog. IV (p. a.). „Z całości wieków nowy ład się rodzi“. — ²⁾ „Przemija postać świata“.

Uczuła też Ludzkość doskonale, że przez Chrystusowe Narodzenie nastąpiło jej samej *Odrodzenie*, — wskutek czego zmianą Chronologii swojej nowe to narodzenie świata, nowy ten porządek wieków nazaczyła.

A nowa ta rachuba czasu trwa już blisko wieków dwadzieścia, i żadna chwila, aż do naszych niemal czasów, nie pokusiła się o jej przerwanie. — Ale i ta świeża pokusa spetła na niczem. — I słusznie, — bo czasy jeszcze nie były spełnione.

O niem jednym mógł Nauczyciel chrześcijański zawołać:

„*Stare przeszło! Spójrzycie, oto wszystko nowem się stało*“¹⁾.

A tak, gdy nam przychodzi wskazać pewien rok lub pewną chwilę w zamroczony upłynionych wieków, — mierzymy odległość tej chwili od onego ogniska dziejów, — i znakiem *przed* lub *po* Chrystusie oznaczamy jej stanowisko w czasie.

Zwykłe dziejopisarstwo uznaje wprawdzie stanowczy odskok dwóch tych Epok świata, — owych dwóch światów, których rozdział stanowi Chrystus; bo któżby takiej oczywistości nie dojrzał? Lecz popelnia przytem błąd wielki, przypuszczając nadto Epokę trzecią, jakoby już od kilku wieków rozpoczętą, którą dziejami nowożytnymi nazywa. Jakkolwiek przeważne są wypadki i postępy Ludzkości, w XV i XVI wieku ery chrześcijańskiej nastąpione, — to przecież żadną miarą porównać się nie dadzą do Postępu i Odstępu, sprawionego nastaniem Chrześcijaństwa. — Nie stanowiąc zaś tak olbrzymiego przesilenia we wszystkich żywiołach Ludzkości, jak to, które drugą Ery Świata wszczęło, nie mogą też rościć prawa do otwarcia *trzeciej* jego Ery. Owszem, owe trzy ostatnie stulecia, tak zwaną epokę nowożytną składające, są dopiero *stawaniem się odpowiedniego przesilenia*, — gotowaniem się do niego, — a więc dopiero *ujściem średnich wieków* i *przechodem w ostatnie wieki*, ale jeszcze nie tychże rozpoczęciem. — Podrzędny ów okres w porównaniu do wielkich Er świata jest właśnie istnem *dopełnieniem średnich wieków*, — najwyższym ich owocem i dojrzaniem ich własnych żywiołów. — Poprzednie tej Ery okresy były dopiero wiekami wzrostu i zakwitu; ostatni zaś okres był czasem owocowania tego świata. — Lecz im bardziej dojrzewały owoce, tem też bardziej obrywać się i opadać zaczynały. Stąd przy obfitości tego okresu, jego charakter zaprzeczny, niszczący, rewolucyjny.

Jakoż, trzy te stulecia objawiają nam trzy reformy, które są trzema rewolucjami: Religijną, Naukową i Polityczną. Aliści reformy

¹⁾ II, Corinth. V. 17. (p. a.).

i rewolucje nie są jeszcze założeniem nowej budowy, są dopiero obaleniem lub przeistoczeniem starej.

Poniekąd wprawdzie były one *restitutiones in integrum*¹⁾, poniekąd znowu uwolnieniem przygłuszonych zarodków, poniekąd nareszcie zebraniem materiałów do nowej budowy; pod temi więc względami działanie ich było twierdzące, — ale przedewszystkiem i nadewszystko, znaczenie ich było zaprzeczne. One zniosły to, co się już rozpadać zaczynało, i stanowczy ogłosiły wyrok temu, co się już samo przesądziło.

A ostatnia z owych trzech rewolucyj, zwana pospolicie francuską, acz równem prawem Europejską i Światową zwaćby się mogła, albowiem jej wpływ i skutki aż do krain przeciwnożnych doszły, — (podobna w tem do owych kosmiczno-magnetycznych burz, które, acz tylko u bieguna objawiają się w kształcie krwawej zorzy i od tegoż bieguna przybierają nazwisko, przecież po całym globie rozciągają jednoczesne wstrząśnienie, — wprawiając w szaleństwo igły dotąd normalne, odejmując im nieraz ich siłę, a magnetyzując natomiast obojętne dotąd kruszce); — owa tedy społeczna burza była stanowczem i jednoczesnem wstrząśnieniem wszelkich posad dotychczasowego Świata. Zaiste, rewolucja ta, widząc dzielność swoją i czując się na siłach, mogła się łącno omylić na sobie i na przeznaczeniu swoim, — mogła się za purpurową jutrzenkę dnia nowego poczytać, acz w istocie była dopiero krwawym starem słońca zachodem. Ta rewolucja stanowczo *Średnie wieki rozwiązała*, ale *Nowych wieków* jeszcze nie *zawiązała*. Dlatego też, skoro pokusiła się o zmianę Chronologii, skoro zaczęła od siebie liczyć nową Ery świata, stara era niebawem zadała jej kłamstwo — i dotychczasowy kalendarz przywróciła. A sama rewolucja przez ostatniego Wyobraziciela swego zrzekła się zaszczytu otworzenia nowej Ery świata, bo ani obalenie, ani wstrząśnienie, ani nawet stopienie za nową budowę poczytać się nie może. I jak pierwszy Cezar stał się granicznym słupem dla pierwszej Ery świata, tak też drugi Cezar dla drugiej. Nad świeżym grobem obydwóch zejść dopiero mogło nowe dla ludzkości słońce.

Bezwątpienia, przy owem obaleniu przysporzyła Rewolucja niemało materiałów do nowego Dzieła i odkryła też niemało zakopanych skarbów pod zwaliskami runącego Średnich wieków gmachu. Dzięki jej za to! Ludzkość skarbów owych i materiałów użyć nadal potrafi, ale rozgościć się stanowczo w sprawionych przez nią rozwaliskach, jakkolwiek dzielny budowniczy usiłował uporządkować

¹⁾ Przywróceniem stanu pierwotnego.

takowe, było jej niepodobna. Wymaga wprawdzie Ludzkość nowego Przybytku, — rewolucja zaś ciągłe ubytki, ciągłe spustoszenia, ciągłe walki, jeśli nie wewnętrzne, to zewnętrzne, niósł ją w ofierze. Nie dziw tedy, jeśli ją *zmordowała*, ani też nie dziw, jeśli po niej chwilki spoczynku zapagnęła. Otóż w tej chwilce spoczynku, ale czujnego, — oddychamy i wzdychamy obecnie. — Zdartego dachu zaiste nie żałuje Ludzkość, bo już był zemszały, ale też pod tymczasowym szalasem długo wytrzymać nie zdoła. Do dziś dnia Ród ludzki rachuje się z siłami swojemi, — przysparza ich sobie — i wraz z planem nowego świata, bilans starego ustanawia.

Ów tedy okres, który tyle olbrzymich *środków* odkrył i przysporzył, aby doprowadzić Ludzkość do właściwego jej celu, aby ją usposobić do nowego stanu, ów okres, który przed kilku wiekami z prochem, drukiem i magnesową igłą na świat wystąpił, — a dziś z parą, żelaznemi kolejami i elektromagnetyzmem dokonywa biegu swego, jest wprawdzie *przejściem* ze Średnich Wieków w Nowe Wieki, przygotowaniem dróg Pańskich i wstępem do tego Nowego Stanu, — ale jeszcze nie jego *Nastaniem*. I dlatego to epoka, w której właśnie żyjemy, jest tak *krytyczną a nieorganiczną*. Ona kusi się o organizację, ale jej jeszcze nie domaga, — ona stroi się ciągle, ale nie trzyma stroju.

Atoli przysporzone te *środki* nie spełzną daremnie. Sama ich obecność jest rękojmią dostąpienia celu. Wszakże niedarmo krzyżują się ludzie i myśli, — uczucia i potrzeby po nieznanym dotąd Rodowi ludzkiemu kolejach; wszakże niedarmo wiążą się z sobą ludy moralnemi i materjalnemi węzły; wszakże niedarmo Czas i Przestrzeń widomie nikną; wszakże niedarmo wzmaga się umysłowe i przemysłowe narodów obcowanie. Wszakże *oczywiście solidaryzuje się* Ludzkość — wszak dojrzewa i owłada siłami, których dotąd nie domyślała się. Maluczko więc, — a znów spojrzycie, — a stare przejdzie i wszystko nowem się stanie, — i Nowy Wieków otworzy się szereg.

Starożytność i Chrześcijaństwo jako przesłanki przyszłych wieków. — Zadanie III Epoki, wysnute ze stosunku dwóch pierwszych. — Adam. — Chrystus. — Paraklet.

Jeśli tak jest — o czem niebawem ze wszęch względów się przekonamy, to żywot Ludzkości do dziś dnia na dwa stanowcze Oddziały rozpada się i do dziś dnia *dwie tylko* główne Epoki liczy: Epokę Starożytną i Średnie Wieki. Prawdziwa zaś Epoka Nowo-

żytna, ów *trzeci* stanowczy przedział jej całego żywota, jest dopiero jej Przyszłości zadaniem i może być dopiero dotychczasowych założeń *wypadkiem*.

Jakież się mają do siebie te dwie stanowcze Ery dotąd przebytych dziejów: Era Przedchrześcijańska i Era Chrześcijańska? Jakiż wzajemny stosunek tych dwóch światów, które mimo oczywiście odrębności ich *stanów*, są przecież istnemi Boga *Postanowieniami* (*diathekaj*)? A następnie, jakiż z ich stosunku wypada wniosek dla Przyszłości Rodu ludzkiego? Czyli, jakież być może Nowych Wieków przeznaczenie?

Dwie te Epoki, w istotnych piętach swoich ujrzone, są sobie *wręcz przeciwne*, a jednak dialektycznie sobie odpowiednie, — czyli mają się do siebie jak *pozycja* do *negacji*, — jak *thesis* do *antithesis*, — jak Byt do Myśli, jak Świat do Zaświata.

Co za wniosek stąd wypada dla Epoki Trzeciej, to wnet ujrzymy, skoro tylko bliżej *przesłanki* poznamy.

Jako bezpośrednia pozycja, Świat Starożytny czyli Przedchrześcijański, w całości swojej objęty, był pierwszym stanem czyli *momentem* świata, był stanem *przyrodzonych* stosunków, preradzających się i wyradzających z siebie wedle naturalnego trybu. Był to świat *Bytu*, — znajdujący się w stanie *rodzonym*, bezpośrednio danym, a rozwijający się nadal wedle praw również danych i zastanych, — słowem był to okres życia Rodu ludzkiego w *Stanie Natury*.

Stan Natury, we właściwym znaczeniu tego nadużywanego wyrażenia, jest właśnie owym stanem, w którym wszelki Duch zrazu *się znajduje*, w którym bezwiednie dopiero tkwią jego potęgi, lecz którego przeznaczeniem jest z samego Ducha własną pracą się wykluć, własnym postępowaniem wyrósć, własnym trudem się wydobyć i samego siebie zdobyć, aby nakoniec własnym czynem, *sobą* (*osobą*) zostać, odpowiednich sobie celów dostąpić i właściwego sobie używać Żywota.

Stan natury przeto, — nie ów urojony (hipotetyczny), o którym filozofowie przeszłego wieku marzyli, wymyśliwszy go sobie dla potrzeby i na podstawie swoich jednostronnych teoryj, ale ów stan rzeczywisty pierwotnego życia człowieczeństwa, ów stan *bezpośredni, bierny i zależny*, w przyrodzonych stosunkach zawarty, zabytkami i podaniami wszech Ludów poświadczony, panował ciągle nad Rodem ludzkim, pomimo jego postępowego uduchowiania się, przez wszystkie szczeble starożytnego świata. Różneć są wprawdzie postacie tego panowania, daleka jest zaiste praktyczna energia Rzymian lub plastyczna fantazja Greków od ślepo-substancjalnego

czucia wschodnich ludów, a przecież są to *powinowate* z sobą stany, nacechowane jeszcze mniej więcej głębokiem pograżeniem Ducha w żywiołach Natury, w sferze zmysłu i bezpośredniego Czucia, a przeciwnie do stanu społeczeństwa w Epoce Chrześcijańskiej najmniejszego już nie mające powinowactwa.

Panowanie to przyrodzonych żywiołów trwało ciągle przez całą Epokę Natury, ale też powoli *mijało*, począwszy od pierwszej chwili poczucia się człowieka na świecie, aż do chwili stanowczego *oderwania się jego od świata*. To stanowcze zaś oderwanie zrzuciło dopiero Chrześcijaństwo. Ono przyniosło właśnie absolutną negację i abnegację danego Świata, a tem samem dotychczasowy bieg dziejów stanowczo przerwało, przyrodzone siły świata roztrzaskało, postać jego przeobraziło, — i świat *drugi*, świat *Myśli*, naprzeciw pierwszemu wystawiło; — który to świat nowy miał trwać znowu i walczyć ciągle z pierwotnym światem Bytu, dopóki by nareszcie *trzeci świat Czynu*, ich wzajemnego Zjednoczenia nie przyniósł, i wzajemnych domagalności obudwu nie dopełnił.

Otóż pierwszy ziemski a *rodzimy* człowiek, od którego liczyć się zaczyna bezpośrednio poczucie się Ducha ludzkiego w świecie, nazywa się w *Tradycji*: ADAM, — ów zaś drugi *niebieski* a *odrodzony* człowiek, od którego liczy się pośrednie oderwanie człowieka od świata, nazywa się w *Historji*: CHRYSYDUS¹⁾. Między temi dwoma punktami, między ziemiorodnym a nieborodnym człowiekiem, rozbudza się dopiero duch ludzki ze Snu Natury, duchową udzielność swoją powoli ustala — i nieskończoną istotę swoją odkrywa, aż nareszcie, odkrywszy takową stanowczo przez drugiego Adama, wstępuje zupełnie w samego siebie, a tem samem występuje z zewnętrznego świata, — zbawia się przez śmierć i cierpienie, rozdziera świat i samego siebie, i walczy tak z sobą, jak ze światem przez całą Erę świata, aby się znowu *następnie*, po całym żywocie trudu i rozdarcia, *ukoić*, aby się tak z sobą samym, jako też ze światem na nowo, ale już świadomie i czynnie skojarzyć, aby nareszcie trzeci sobie właściwy *Żywot Ducha* rozpocząć, a to przez trzeciego Adama, — zwanego w *Objawieniu*: PARAKLETEM²⁾.

W tych to trzech kierunkach Pograżenia, Oderwania i Skojarzenia, w tych to trzech stanowiskach Adama, Chrystusa i Parakleta, w trzech nareszcie bożych imionach Ojca, Syna i Ducha świętego, zawiera się cała historia Ludzkości.

¹⁾ Nader głębokie i *brzemienne* stosunków tych pojęcie u Pawła św. w rozdziale XV pierwszego listu do Koryntjan (p. a). — ²⁾ Pocieszyciel, Orędownik, Duch Św., według ewangelji św. Jana obiecany przez Chrystusa.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI (1812—1887).

O powołaniu literackiem¹⁾.

W jednej z tych chwil znużenia i wątpliwości, które przychodzą nie wiedzieć skąd i dlaczego, i wszelką siłę odbierają człowiekowi, bo mu wszelką odejmują wiarę, siedziałem u wygasłego komina w jakimś zdrętwieniu moralnem, rzuciwszy czytana książkę i myślałem biegnąc w przeszłość.

Wróciłem pamięcią do lat moich młodych, zazdroszcząc sobie tej chęci gorącej, tego zapału niemożonego, z jakim u zarania żywota rzuciłem całą przyszłość w zapasy umysłowe, w niewdzięczną pracę głowy i pióra. Z dzisiejszego stanowiska ta odwaga wydała mi się niemal niepojętą śmiesznością; nie umiałem sobie wytłumaczyć, jak się to stało. Wszystkie wpływy, jakim uległem, dziecinne wrażenia, kierunek późniejszy, nie mogły mi dostatecznie rozwiązać zagadki — niepojętej. A jednak życie to papierowe, suche, ciężkie, przeplatane rzadkimi chwilami pociechy, a często żółcią pojone, było istotnie ofiarą wówczas, gdy obok niego inne, spokojne, ciche, ustronne, postawić zależało od woli. Cóż parło i zmuszało, żeby się rzucić tą drogą, od której odstręczali wszyscy?

Nie próżność pewnie i chęć stania się głośnym, bo iluz upokorzeniami okupić było potrzeba jedno ciekawie niezycielwe wejście, jedną szydersko-łaskawą wzmiankę? A co kłopotów na tej drodze, a ile na niej postrachu i bólesci.

Wy, coście, jak ja, tego chleba pracy skosztowali w pocie czoła i w pocie serca, powiedzcie mi i wytłumaczcie, co was do obrania niewdzięcznego zawodu skłoniło, co wam szeptało w kolebce o koniecznem męczeństwie i koniecznem przeznaczeniu, co pchnęło w drogę boju i poświęcenia?

Może mi lepiej mnie samego wytłumaczcie, możecie podsluchali wyraźniej do was od kolebki mówiący głos tajemniczy: tą, a nie inną pójdziecie drogą!...

Dumą jest, powiecie mi, wierzyć w postannictwo swoje. O nie, pokorą, panowie. Jakkolwiek maluczkie ono, zatarte, drobne, pozbawia przecie woli i samoistności, jak skoro jest postannictwem nie-

¹⁾ Z książki „Gawędy o literaturze i sztuce“ (1857); w skróceniu.

odwołanem; myśmy z niem wyrobnicy na niwie wielkiego pana, zmuszeni pańszczyzną odrobić!...

Dopieka nam skwar południa, potem oblewa się czoło, mdleją ręce, myśl zamiera znużona, zataczają się nogi, ale dnia dopracować potrzeba na pańskim zagonie, choć jutro nikt nie powie nawet, którą kopę, jaką bródzde polateś łzą i potem swoim. Nieznani pracownicy, przyniósłszy siłę naszą w ofierze, pójdziemy spocząć, nie wiedząc sami, cośmy zrobili...

My jedni tutaj zostaniem bezpłatni...

Z równym genjuszem, z talentami równemi, losy nasze niejednakowe. Ten odśpiewał pieśń swoją wśród ciszy, i przesłuchały jej tłumy, ów wyjęczał duszę wśród gwaru, i niczyjego ucha nie doszły słowa jego; tamtemu sąsiad podchwycił tajemnicę i rzucił ją za swoją, poparłszy głosem donośnym, innego zdusili sąsiedzi... Na stu robotników w tej winnicy, jeden może pogrobowe weźmie wieńce, a dziewięćdziesięciu dziewięciu zamrą odepchnięci lub wyśmiani...

Cóż więc nas pędzi tą drogą i pełnym pyłu a błota gościńcem? Czemu nie wabi nas cicha chata, stojąca na ustroniu, szumiący las, domowa strzecha i byt inny? Czemu oplwani i wyszydzeni ciśniemy się mimo wszystko, mimo wszystkich, do niedosyć widnego celu? Nie jestli to zagadką?...

Dlaczego, ledwieśmy się z tego snu rozbudzili, poza którym ciemności i nieznane światy, już czujemy, co nas czeka? W dzieciństwie bawim się już krzyżem przyszłości i uśmiechamy do cierniów, co skroń oplotą...

Pamiętam, było nas wielu... rówieśników, równie młodych i równie na jedne wystawionych wpływy, jednego słuchających głosu. Czemu on nie przemówił do piersi tamtych, a uwiązał w naszej tylko? Dlaczego budził w nas jakby wspomnienie jakiegoś nakazu, jakby gdzieś już usłyszane wprzód myśli? Czemu na widok zbudowanej książki drgało w nas serce dziecięce, jak na widok motyla i kwiatu, a biała karta jątrzyła chętką rzucenia niedojrzałej myśli, i świat widomy o jakimś nieznanym mówił świecie?

Nie wierzę w przeznaczenie, a jednak... rozumiem postannictwa i patrzę i pojmuję, jak nas kilku z liczby większej, co się zrazu rzuciła drogą otwartą, wytrwaliśmy sami do ostatka. Trzymało nas coś innego niż próżność, niż upór lub nałóg, bobyśmy dawno upadli...

Teraz, spojrzawszy za siebie, obliczywszy straty, pojawiwszy ofiary i chwyciwszy za serce, musimy poddać się myśli, że coś nas do pracy zwołało i pańszczyznę tę odbyć musiało. Cóżemy wyrobili

sobie w końcu? Ciekawości trochę, nieprzyjaźni wiele, sąd błahy i niesprawiedliwy najczęściej, imię wątpliwe, zapomnienie niezawodne. A zato chwila dawnego życia jak nam gorzko spłynęła, to Bóg chyba jeden policzy...

Tyle ofiar, a skutek niewidoczny... Kazano nam skopać grzędę, obleliśmy ją znużeniem naszym, a co na niej przyszłość zasieje i kto z niej plon zbierze... nie wiemy.

I stęknąć nam utrapionym nie wolno, bo śmiać się będą wypaśli brzuchacze z boleści naszej i powiedzą nam: macie sławę wy pięciomilową, wy drudzy piętnasto-, wy inni trzydziesto. Na ulicy pokazują was palcami, litografują wasze fizjognomje, czegoż możecie więcej pożądać? A że was szarpia po książkach, i depczą was nadchodzący po piętach, to słuszna, boście i wy dla poprzedników nie byli lepsi, a niejednego ukąsili...

Dzieje się tedy tak, że dawszy nam trzy grosze owe, wypychają już nas za drzwi, jako dostatecznie i nad zasługi opłaconych, zapomniawszy, że my im daliśmy życie...

Zresztą, czegoż to wymagać więcej możemy, i co nam świat dać może? Nie jemu to praca nasza, ale postannictwu większemu odpowiedziała. Ktoś inny nam kazał, pchnął i żywot nasz wyznaczył na tej ścieżce.

Tak jest. A jednak przyszło zwątpienie i usiadło u wygaśniętego komina, i patrzy na mnie oczyma zbladłemi, i grozi mi ręką drżącą, i poziewa, i trzęsie się od chłodu, i trupa swą twarzą mi urąga, i pyta mnie, com zrobił, i depcze kartki podarte kościstymi nogami, których pożyczło od śmierci?

— Coś zrobił? powiada... nic! nic! nic! a życie zmarniało, a strułeś je sobie, a grzechy twoje zaszczepiłeś drugim, a słowo złe jadem poszło i trucizną, choć dobre wiatry rozwiały? Połowa tych kartek, nad którymi bezsenne trawiłeś nocy, już pochwycone burzą, zginęły w otchłani, drugą połową wiatr po gościńcach miota, reszta pójdzie za niemi.

I słowo twoje nie było twojem słowem, nie. Mówiłeś, jak dziecko, za panią matką pacierz, co ci szeptał duch wieku, co cię okrężało i latało w powietrzu, nie wynalazłeś nic, nie stworzyłeś nic, nie zbudowałeś nic, ani przyłożyłeś się do niczego, nie masz zasługi żadnej...

A życie stracone, a począc go drugi raz nie można. Tak, życie stracone... przegrana stawka... to pewna... szczęśliwi gracze pochwycili ją między siebie; a jednak, gdyby drugi raz życie rozpoczynać przyszło, możebym powtórnie ten sam błąd popełnił...

Niepojęta! niepojęta czy słabość ludzka, czy wola boża!

Któż wie zresztą, czyśmy byli powołani, czy głos zgóry był echem odbitem i przystyszał się słabemu uchu i dziecinnemu sercu. Widzimy obok siebie tych, co idą, dźwigając ciężary dobrowolne, nie rozumiejąc, dokąd ich pędzi pielgrzymka... padających wśród drogi, bezsilnych, powracających, milczących, zrażonych, którzy pół życia tylko przynieśli w bezużytecznej ofierze... i o sobie wątpimy...

Jedni powychodzili upojeni natchnieniem, a powracają złamani wątpliwością, inni od pierwszego ciosu cofnęli się z przekleństwem nazad, ci przez dumę zamilkli, bo królować chcieli, tamci popychają cudzą taczkę, bo się na swoją nie zebrali. Jakże nie wątpić? jakże nie powiedzieć tym, co zrana wstając, wesóło garną się do roboty: czekajcie słońca i wyglądajcie głosu.

Boć nie każdemu przeznaczono iść tą drogą i tak boleć i tak zginąć. Nie my większą mamy zasługę, ale ci, co spełnili pokornie posłannictwo swoje, czy ono zależało na tarzaniu się w złocie, czy na dźwiganu pokruszonej bryły kamienia.

Słuchajcie więc głosu wewnętrznego, nie głosu próżności, i nie sądzicie, że pióro, umaczane w atramencie, kreślące próżne słowa, uczyniło was wielkimi lub od prostego wyrobnika lepszymi...

Jeśli na dnie serca niema u was prawdy, którą potrzebujecie wyrzec i dla którejbyście umrzeć gotowi, otwarte wam drogi czynu, bogatsze od drogi myśli, łatwiejsze od nich, a do jednego wiodące celu.

W maluczkiej chatce pokorna niewiasta, wychowująca dzieci w bojaźni bożej, w cnocie i poczciwości, azali nie więcej warta od nadętego pisarza, który cudze głupstwa swojemi słowy powtórzył? A ten wieśniak, co wam daje chleb powszedni, sam go prawie nie mając, azali nie wyprzedzi owego mecenasa, który okruszyny swojego stołu daje pochlebcom literatom, zato, że go jaśniewielmożnym bratem swoim nazywają?...

Czyn, nie słowo, stanowi wartość człowieka, lecz bywa słowo czynem i bywa czczem słowem, a ci, co pięknemi słowy całe życie się zabawiają, są jak dzieci, których do pracy napędzić nie można.

Wiek nasz cały przeszedł w słowa, i przesadzono ich wartość. Zasypani jesteśmy papierami i próżnemi wyrazami, a zapomnieliśmy, że w innym życiu, przy ogólnym obrachunku z dnia roboty, nie pytają nas, jak to ktoś dobrze powiedział, cośmy umieli, ale cośmy uczynili.

Wiek nasz z tego względu jest na drodze fałszu. Wszystko, co

prowadzi do dobrego, dobrem jest, i słowo także; ale słodkie słowo, do niczego nie wiodące, na cóż się przydało?

W młodem sercu i głowie pełno uczuć i myśli, zarodków idei i uczynków. Bóg tam je włożył nie na to, żebyśmy, grzechocząc niemi, bawili się, jak dzieci, dźwiękiem, który wydają, ale żebyśmy z nich wysnuli życie nasze przyszłe. Tymczasem przeciwnie się dzieje. Powołani i niepowołani z zabawki czynią sobie życie, i śpiewają za chleb powszedni pieśni karczemne dla ubawienia tłumy.

O wielkiem powołaniu i kapłaństwie pisarzy, któż dziś nie wie? Myśl ta znalazła się w ustach wszystkich właśnie w chwili, gdy jest najmniej kapłanów i powołanych, gdy wszyscy sądzą się być namaszczeni do nauczania, lub szczerzej mówiąc, do zabawiania.

Stąd już dziś Niemcy przemieniły się w stos papieru i bibuły, i codzień wzrastająca liczba ksiąg zaleje literaturę doprowadzeniem jej do ostateczności i przerostu chorobliwego.

Całe życie poświęciwszy temu powołaniu, dziwno zapewne, że widzę w niem niebezpieczeństwo, i grzechów mając wyżej głowy, na oczy je drugim wymiatam. Ale prawda przedewszystkiem, a chodzi mi głównie nie o powstrzymanie od pisania, bo w literaturze dziś i języku cały możliwy żywot nasz; ale o wprowadzenie myśli zbawiennej, że słowo niczem jest, jeśli nie jest czynem i jeśli mu czyn nie towarzyszy, niczem, jeśli się nie zgadza z życiem, niczem, jeśli oderwane od niego i nie mające z niem związku. Jeżeli nauczyciel kraju i narodu nie wyświęci się wprzód ukształceniem własnem i czynem do powołania swojego, na cóż się zda to słowo, któremu żywot jego poświadczać nie będzie? — —

Porównaj żywoty a ocenisz najpewniej wartość pisarzy. W dworaku z powołania najmniej będzie siły, w rozpustniku najwięcej czczonego dowcipu, którym, jak dzieci kawałkiem papieru, można rozmaite sztuki pokazywać, kapucyna i łódkę, nożyce i krzyż, ale w rzeczy to świstek gałgana tylko. Ten to nieszczęsny dowcip najwięcej ludzi obałamuca. Bóg udziela go często swoim działkom i czeladce, ale częściej szatan namaszcza nim sługi wierne. Broń obosieczna, różnobarwne znamię; całą jego wartością, że siecze i rżnie w napa-dzie, by mu kłaśnięto...

Dowcip więcej może światu złego zrobić, niż natchnienie dobrego. Ludzie boją się go jak strasydła wróble, i często palą mu ofiary przekonania nawet, byle nie paść pod ostrze jego...

Naturaliści postrzegają, zdaje mi się, że zwierzęta, które łzów nie mają, śmiać się umieją. Człowiek, jak jednej z najstraszniejszych kłęsk, obawia się szyderstwa, choć szydzić tak łatwo.

Na myśl się nigdy nie zdobędzie głupiec. Znam dowcipnych bardzo ludzi, a jednak zresztą najzupełniej głupich. Nie jest to więc tak niechybnem znamięm rozumu i wyższości, jakby się zdawać mogło.

Nic smutniejszego zresztą nad człowieka, który, jak kuglarz z kubkiem i gątkami, chodzi całe życie z dowcipem pod pachą i sztuki pokazuje.

Nad to nie widzę już większego upodlenia, prócz sprzedajności umysłowej tych ludzi, co bez żadnego przekonania są na usługi wszystkich. Sceptycyzm i indyferentyzm czyni im równem, cokolwiek przed sobą mają, dowodzić będą za i przeciw, dla korzyści, dla przyjaźni, dla fantazji.

Dzięki Bogu jeszcze tak sprzedajnych pisarzy nie mamy, ale iluż zato bez silnego przekonania i jasno oznaczonego celu, ilu, co literaturę mają za igraszkę, szermierstwo, zabawę, popis lub sposób wytłumaczenia niedołęstwa swojego.

Oto w zadymionej izbie lichej kawiarni, po której się parę zręcznych dziewcząt uśmiechnionych uwija wśród wrzawy i rozmów, pisku lada jakiej muzyki, i stukotu kul bilardowych, i brzęku szklanic bawara, blada twarz młodego człowieka, zjedzonego zawczesną rozpustą... Z oczów nie ogień poezji, ale blask upojenia mu patrzy, usta uśmiechają się głupawo, ręka dźwiga kij bilardowy, przyszedł tu zrana, wyjdzie, gdy zamkną kawiarnię, pocałunkiem nieczystym kończąc dzień, poczęty ziewaniem. Chciałem się litować nad upadkiem człowieka, wstrzymano mnie: to wielki poeta!

Cóż go do tego stanu przywiódło? czy rozpacz i brak wiary?... Nie, rozpusta i próżnowanie...

A jednak spójrz na to czoło, tak ślicznie ręką bożą wytoczone, zmieściłaby się w niem myśl... Był w piersi ogień... była iskra w tym człowieku, zalał ją, nieszczęśliwy, i zgasił... i dymią pogorzeliśka.

Chcicie, bym skłonił głowę przed poetą?

Nie! nie! stokroć nie! Poeci po pijanemu nie włóczą się po brukach miejskich, nie tarzają po rynsztokach, nie spoczywają po spelunkach. To ludzie kontemplacji, miłośnicy natury, asceci, pustelnicy, marzyciele, mistycy, a gdzie w życiu takiej istoty godzina poezji?

Piękne słowo, słowo gorzkie, z oburzeniem wyrzeczone przeciw drugim, nie stanowi poezji, choć brzmi napozór jej dźwiękiem... Wino i bawar mogły być dobrem źródłem poezji dla pogan, ale nie dla nas. Nam świętego upojenia, nam innego napoju potrzeba... Do-

syć tej zółci i octu, które kosztujemy codziennie, dosyć boleści naszej, która nas upoić powinna...

Innemu Bóg dał szaloną fantazję i ruchliwą wyobraźnię. Nie pyta, na co jej użyje, nie zakreślił sobie drogi i celu, pochwyił formy, wiekowi ulubione, i błaznuje przed tłumem... prawi koszałki opałki... Jednakże, jakby mimowolnie cześć oddawał prawdzie, kilka wielkich fraz i słów włożył do kieszeni, i kiedy niekiedy posypuje niemi pisma swoje... Braterstwo! postęp! miłość kraju! i tak dalej. Za paszportem tych frazesów przejeżdżają i absurdy, i obscena¹⁾, i lichota, i próżnota.

W dodatku pisarz ten z niezachwianą powagą prawi o posłanictwie swoim, i karci tych, co mu winnej czci nie oddają... Dziś z brata drze pasy i szyje z nich powieść pod pozorem, że brata poprawić potrzeba, jutro z kobiecej słabości zrobi dramat, tajemnice winy cudzej a niepoczciwości swojej wlokąc na deski i pokazując je za pieniądze świata...

Żaden kuglarz na Elizejskich polach w Paryżu tyle nie prawi o sobie, co on. Posłuchajcie go: Gdzie tylko był, działał się cuda dokoła, on dawał nauki wszystkim, on rej wiódł, gdzie zawitał; zawracał głowy niewiastom, wskrzeszał umarłych, nawracał niewiernych, umie wszystkie języki, odkrył tajemnicę stworzenia, i z Panem Bogiem gadał poufale w jego gabinecie...

Ludzie się śmieją i czytają, on się z nich śmieje i pisze. O! nie upokarzającą to komedia! nie wstydze mu wyprawiać te sztuki łamane dla obalamucenia i zabawki tłumy...

Nie nazywajcie mi go pisarzem, nie mianujcie poetą. Spójrzcie na godnych imienia tego ludzi wybranych, i wstyd was za profanację tego imienia ogarnie...

Ale otóż i ogień wygasł na kominie, i z dumań czarniejszy jeszcze smutek, większe jeszcze zwątpienie na duszy... Widzę tych, których znam do głębi, uznanych przez współczesnych, postrzegam obok poczciwych, w ciszy nie mogących dobyć głosu... i nie pojmuję woli Bożej, dającej rozgłos niegodnym, siłę szalonym, a spychającej wierną czeladź swoją.

Ale to bluźnierstwo! nie! nie! Wola Boża wiedzie wszystko ku dobremu celowi... Ci kuglarze muszą jakąś myśl cudzą roznosić po świecie i zasiewać powoli, a cichego pracownika, bolejącego zapoznaniem i szyderstwem, właśnie boleść usposabia, podbudza i kształci... Jeszcze rok, dwa, i ci histryjonowie²⁾ rozsypią się w proch, a pieśń

¹⁾ Nieprzyzwoitości. — ²⁾ Komedjanci.

poety wypłytnie majestatycznie, i w zebraniu ducha słuchać jej będą. Nie pierwszy to raz w historii literatury sąd współczesnych mylny, wieńce zdobywają najczęściej ci, którzy pochlebiają namiętnościom czasowym, błędom i upodobaniom epoki; mnóstwo utworów utrzymuje się nie wartością swoją istotną, tylko związkiem jakimś z zaprzątnieniami chwilowemi. Sąd następców jest dlatego sprawiedliwszy, że już nań nie wpływa nic ubocznego, nic mimowolnie farbującego wyroki nasze; nie patrzy on chwili, w której słowo wyrzeczone zostało, ale je ceni na szali prawdy bezwzględnej.

Wiele może w kosztach okrucich, pozostałych po nakarmieniu stuleciów, zostanie niesłusznie odrzuconych kartek i zabytych¹⁾ słów wielkich, wiele imion zgaśnie, choćby świecić powinny, ale cóż imiona, co sława człowieka! Wypowiedzieli prawdę, szczęśliwi, jeśli zapieczętowali ją krwią i życiem swoim, to dosyć, nagroda ich nie z tego świata.

JÓZEF SUPIŃSKI (1804—1893).

O pracy²⁾.

Pomijając kaleki, żebraków rozpróżnowanych i ludzi zepsutych, nawykłych z młodu, skutkiem złego wychowania, do wygod, które jakby czarodziejskim wpływem ścielą się same pod ich stopy; — ludzi, na których tem większa cięży wina, im silniejszemi są ich środki zużytecznienia się dla siebie i dla narodu; pomijając, mówię, małą ilość tych niezdrowych narostów, każdy człowiek krząta się około siebie, swoich i swojego; każdy wypełnia pewne w towarzystwie³⁾ obowiązki, czy zajęcie jego odnosi się do osób trzecich; czy do rzeczy, które mu w wielkim dziale społecznym na własność przypadły; czy wreszcie do tych, które dopiero starannością jego powstać mają.

Praca jest przeznaczeniem człowieka bez względu na jego stanowisko i zasoby, jakie posiada. Człowiek w stanie pierwotnym, jak zwierzę przechowujące wiecznie ten stan pierwotny, tylko troskliwością, staraniem, trudem utrzymać mógł życie napół zwierzęce; — kto w urobionej społeczności, w towarzystwie już oblitującym w środki zaspokojenia potrzeb jego, a nawet jego wykwiłtych przyjemności,

¹⁾ = zapomnianych. — ²⁾ Z dzieła „Szkoła polska gospodarstwa społecznego“ (1861); przedruk z wydania III Pism. — ³⁾ = społeczeństwie.

używa ich, nie przyłożywszy do nich sił własnych; kto przeto bez troskliwości, starania i trudu spotrzebowuje w towarzystwie, czegoby nie miał poza niem; — ten niewątpliwie żyje cudzą troskliwością, cudzem staraniem, cudzym trudem, bez względu, czy te starania i te trudy odbywają się dziś, pod okiem jego, czy są nabytkiem po zgastych pokoleniach. Kto żyje wygodnie i przyjemnie bez żadnego zajęcia, jeżeli bez zajęcia przyjemnie żyć można, tego nazywamy próżniakiem, człowiekiem próżnym jak dzwon, wyrazem pogardliwym, który stosujemy bezwzględnie do panów możnych, czerpiących w zasobach przodków, i do żebraków spodlonych, czerpiących w kieszeni przechodniów.

Praca jest środkiem, a nie celem; i nigdy nie stanie się celem, mimo rozumowania ludzi uczuciowych, chcących podnieść godność człowieka, odsuwając go od stanu przyrodzonego. Idę do ogrodu, by zerwać kilka gruszek. Przypadek zdarzył, że wiatr strącił ich kilkanaście na trawnik, otaczający drzewo. Podejmuję z nich kilka, wybierając co najlepsze, i przez myśl mi nawet nie przejdzie wdrapywać się na drzewo po zrywanie innych dlatego jedynie, aby podjąć pracę, której uniknąć mogłem szczęśliwym trafem. Zapytuję pseudomoralistów i pseudo-psychologów, czy który z nich postąpiłby tu inaczej? Skutek pracy, a nie praca, zaspokaja nasze potrzeby, przyjemnia nasze życie, kształci umysł, podnosi godność naszą. Praca jest trudem, mozolem, któremu człowiek poddaje się przez konieczność lub przez rozum; a który zrzuca z siebie, ile razy konieczność, rozum, sumienie i sąd publiczny nie zmuszają go do dźwigania wspólnego ciężaru.

Niedojrzałość dziecięcia i zepsucie człowieka dojrzałego budzą w nich wstręt do pracy; — niedojrzałość ludu i zepsucie narodów dojrzałych utrzymują w nich zamiłowanie próżniactwa; — niedojrzałe dziecię i człowiek zepsuty żyją troskliwością lub łaską innych; lud niedojrzały i zepsuty naród nie znajdują troskliwych i dobroczyńców. Lud taki schodzi do stanu niemal pierwotnego, lub wydobyć się z niego nie umie: — stany wyższe zmuszają go do pracy dla siebie, a pogardzając ludem, pogardzają pracą.

Praca była zaszczytnym obowiązkiem, gdy wielcy wielkiego Rzymu obrońcy kierowali sami pługiem i sochą; stała się upodleniem, gdy trzody niewolników zaczęły karcić próżniaczących panów; — zamożność, zdobyta pracą, wiodła do cnót poświęceń; mienie, nabyte trudem obcym, sprowadziło zepsucie i upadek. Ostatnie pojęcia Rzymu przeszły w schedzie na późniejsze ludy; one zrodziły wiele cierpień; ich odległem a nieprzewidzianem następ-

stwem są w części ostatnie dziejów naszych okresy. Człowiek wolny w Rzymie wstydził się pracy, bo ona stała się rzeczą niewolników; człowiek wolny w Antyllach wstydzi się jej dotąd, bo ona jest udziałem murzynów; — ona musiała stać się udziałem samego ludu, gdzie ludzie wolni wstydzieli się jej za przykładem Greków i Rzymian.

Praca, powtórzmy, sama w sobie nie ma ponęty; — ona przechodzi w odrazę, gdy jej towarzyszy przemoc i ciemienie; praca uciemżona, przymusowa, przeistacza się w cierpienia, niewolę. Lud pracowity w Meksyku i Peru, bo dzieła i życie jego dowodziły tego, unikał pracy, stał się leniwym, zaniedbał wszystko, gdy Hiszpanie do pracy przymuszały go zaczęli; — nieprzełamany wstręt do pracy pojawił się w Anglo-Saksonach po zaborze ich kraju przez Normanów; — ustawy Francji, Niemiec, Polski, uchwalone przez szlachtę dla przymuszania ludu wiejskiego do pracowitości, stawały się coraz ostrzejszemi w miarę, jak ich ostrość ludy te coraz leniwszemi czyniła. Do nas ten stosunek przeszedł najpóźniej, i u nas ustał najpóźniej, lub trwa dotąd, a trwa nie z naszej winy; dlatego też Niemcy, nie chcąc pamiętać tego, co było wszędzie, kładą na karb natury słowiańskiej skutki i wpływy dziejów starożytnych, a nawet własne przykłady.

Z tej samej jeszcze przyczyny, że praca jako środek nie ma powabu, przejście od pracowitości do nałogów przeciwnych jest łatwym i szybkim; — powrót do niej, powrót do porządku, zapobiegliwości i zamięłowania środków, wiodących do lepszego bytu, poważania i oświaty, jest wszędzie trudnym i powolnym; trudnym w ludziach pojedynczych, stokroć trudniejszym w narodzie całym, bo byt dobry, poważanie i oświata nie mogą smakować tym, którzy ich nie zakosztowali. Że mimo to lud, zniechęcony przemocą, może przecież stać się pracowitym ludem, tego udowodniać nie potrzeba, bo tego dowodem jest połowa dzisiejszej Europy; — że lud nawet dziki jest zdolnym przeistoczyć naturę swoją dość szybko, to widzimy w krótkim trwaniu państwa Paragwaju; — wreszcie, że żadne wpływy, żadne przykłady, i żadne urządzenia nie obudzą pracowitości, gdzie trwa uciemżenie, o tem nas przekonywa opłakany ciągle stan Irlandji.

Jak praca jest tylko środkiem, tak pracowitość tylko skutkiem być może; skutkiem naprzód niezachwianej i nieograniczonej własności mienia i pracy; dalej skutkiem moralności i oświaty. I naodwrot, skutkiem ich braku jest brak uczucia potrzeb; potrzeby ludzkie wiążą się i zahaczają jedne o drugie; one narastają w miarę, jak coraz większą jest ilość tych, któreśmy sobie już przyswoili. Co

wczoraj było zbyt cennym lub obojętnym, staje się nam dziś niezbędnym; dlatego pierwsze potrzeby powstają z wolna i z trudnością, ostatnie lecą niekiedy za szybko i za łatwo. Zaczem, obudzenie w ludzi potrzeby jednej, powszechnej, najwięcej w jego usposobienie i jego stan dojrzałości trafiającej, ale potrzeby rzetelnej a moralnej, obudza w nim szereg potrzeb i cnót innych. Goździe i siekiery, dostarczone przez Holendrów półdzikim mieszkańcom dziś pracowitych kolonij, były pierwszym rozbudzeniem ich śpiącego jeszcze ducha; były początkiem dziś rozgałęzionych żądań u ludzi, którzy może nie byliby nigdy o nich pomyśleli. — —

Życie powszechne to ruch powszechny; a ruch powszechny to powszechna praca, to wielka, potężna, nieustająca *przyrodzona praca*.

W towarzystwie ludzkim praca, ciężąca na jednostkach, a od której zawisło istnienie tych jednostek, nie jest wynalazkiem ludzkim, ani ciężarem, narzuconym przez towarzystwo pojedynczym członkom; — ona nie jest następstwem stanu społecznego, ale owszem stan społeczny między ludźmi jest następstwem i dziełem pracy ludzkiej, tak jak stan wspólności, jak wzajemna zależność, jak skojarzenie w jedną całość części, składających świat powszechny, są następstwem *wielkiej, powszechnej, przyrodzonej pracy*. Nieustający ruch ziemi jako bryły, ruch otaczającego ją powietrza, ruch wód na jej powierzchni są życiem lub warunkiem życia, są pracą przyrodzoną całości zbiorowej. Drzewo, krzew, trawka, zasilające swój organizm ssaniem z powietrza i ziemi, z wilgoci, gazów i kruszców, pracują, by utrzymać swoje życie po kres przeznaczony im prawem przyrodzonym. Ich praca jest często wielkiem wyęczeniem, jest naprężoną walką przeciw miejscowym przeszkodom i trudnościom, pod przewagą których niekiedy długo boją, którym często ulec muszą przedwcześnie. Któż nie wie, jakie wysilenia czynią niekiedy rośliny, by korzenie swoje precisnąć pomiędzy skały, które też łupią i rozsadzają. Któż nie przyzna, że zwierzę dziki, szukający pożywienia, szczególnie w nieprzyjaznych roku porach, przebywa trudy, mozoły; wykonywa pracę przyrodzoną, bo przelaną w organizm jego prawem przyrodzonym, bez której istniećby nie mógł, a której człowiek społeczny jużby nie podolał, przez którą przecież przejść musiał człowiek pierwotny. Człowiek pierwotny poddał się był zapewne prawu temu, nie myśląc o niem i nie narzekając na nie; — człowiek społeczny nazywa pracę ciężarem, boleje, że musi pracować, złorzeczy towarzystwu, które z obowiązku tego zwolnić go nie może, bo on jest albo człowiekiem zepsutym, albo członkiem, niepojmującym

organizmu stowarzyszenia, do którego należy i któremu wyłącznie winien, że praca jego przestała być pracą ludzi pierwotnych i zwierząt, żyjących wiecznie w stanie pierwotnym. Jakże wielką przysługę uczyniliby towarzystwu ci, których wyłącznym zatrudnieniem i powołaniem jest czuwać nad stroną moralną ludu, gdy mu wyjaśniali te wielkie a proste prawdy, na których przecież opierają się wszelkie towarzyskie cnoty i stosunki. Lecz czyż ludzie ci pojmują je sami?

Praca przyrodzona jest środkiem istnienia wszechrzeczy w stanie przyrodzonym, pierwotnym; — stan przyrodzony, pierwotny, istnieje *darmo* w całości i w częściach; zaczem, tem, co istnieje *darmo*, jest nie tylko materia, ale jeszcze jej własności, jej ruchy, jej *przyrodzona praca*. Ruch wody, odbywający się bez naszego udziału z ziemi ku obłokom, osuszający pola i drogi nasze, ruch wody z obłoków ku ziemi, polewający nasze zasiewy; jej ruch z miejsc wyższych na niższe, któremu poddaje się młyńskie koło; — rozwijanie się drzewa, trawy i zboża; — mnożenie się i dojrzewanie zwierząt, są pracą przyrodzoną, której żadna sztuka nie zastąpi, która się odbywa cudowną organizmu potęgą, której nikt nie kupuje, bo jej nikt nie ma na sprzedaż.

W przyrodzie, gdzie nic nie spoczywa, niema przedmiotu, miejsca i chwili, w którychby dostrzec można pracy przyrodzonej ustanie, zawieszenie, — ona się odbywa tam nawet, gdzie już nie doszło życie organiczne. Właściwości żelaza, jego spójność i gibkość, równie jak jego rozkład, są jeszcze pracy przyrodzonej wynikiem; — wynikłościami pracy przyrodzonej są przeto wszystkie ciała *właściwości*. Palność drzewa i torfu, parowanie cieczy wystawionej na działanie ciepła; odłączanie się wysokoku od mączki i wody; ciężenie siekiery, osadzonej na długim trzonie; obracanie się kół wozowych podług praw i tarcia dźwigni, są to rozliczne właściwości ciał, powstające skutkiem nieprzerwanego działania przyrody całej, a stające się nawzajem działaniem, przedłużeniem przyrodzonego działania, skoro ruch uboczny, skierowany przez człowieka, obudzi w nich tę ich wrodzoną właściwość, tę działalność.

Prawdy te, może najogólniejsze ze wszystkich, dostrzegli ludzie najwcześniej na drodze empiryzmu; — nauki ujęły je w karby, wytłumaczyły, a posuwając coraz dalej ich zrozumienie, czynią człowieka coraz potężniejszym władcą przyrody całej. Kij w ręku pierwszych ludzi, chcących poruszyć ziemię, był zapewne jedynym ich pracy ułatwieniem; pług, ciągniony końmi lub parą, zastąpił dziś ich dawne mozoły. Właściwe użycie i skierowanie *właściwości*

drzewa, żelaza, konia, wody, ognia są użyciem i skierowaniem *pracy przyrodzonej* ku własnym człowieka celom i potrzebom.

Rzetelny postęp człowieczeństwa jest ciągle posuwanie się ludzi na tej drodze, jest coraz jaśniejsze widzenie świata, w którym żyją; coraz rozleglejsze i coraz głębsze poznawanie praw, właściwości i sił jego; a czego bezpośredni następstwem jest *wyręczenie pracy ludzkiej przyrodzoną pracą*; jest zaprzęgnięcie przyrody do robót ludzkich, jej skierowanie do ludzkich celów, — przyrody, istniejącej *darmo* w materji, działającej *darmo* przez siły i właściwości ciał pojedynczych, *pracującej darmo* zawsze, wszędzie i ciągle. Najmuje robotnika, któremu polecam przeloczyć pewną ilość dużych kamieni z jednego miejsca na drugie. On schyla się, próbuje i widzi, że ręce jego są za słabe; — by wykonać, co mu poleciłem, bierze drąg i nim podważa jeden kamień po drugim. Przejdź byle przez myśl robotnikowi temu zażądać odemnie zapłaty za to, że w świecie bożym siła do ciężaru jest w stosunku prostym ich odległości od podpory?

Im człowiek więcej odsuwa się od czasów, w których kij był jego jedynym narzędziem, tem więcej staje się człowiekiem, stworzonym na obraz i podobieństwo boże; człowiekiem, którego przyrodzoną potęgą jest myśl, pojęcie, rozum; — on, zaprzęgając przyrodę do robót swoich, zostawia jej, co jest jej; sam wydziela się ciągle z jej łona, wznosząc się coraz wyżej ponad poziom, gdzie wszystko inne istnieje bez własnej myśli, wiedzy i woli. Wzmaganie się oświaty, nowe spostrzeżenia, odkrycia, wynalazki to rosnące człowieka panowanie w reszcie przyrody; to środki zastąpienia się przyrodą istniejącą *darmo*; to oszczędzenie pracy ludzkiej, czasu i nakładu; — to umniejszenie środków do otrzymania tych samych skutków, lub spotęgowanie skutków przy tych samych środkach; to rozpościeranie się świata ludzkiego w świecie powszechnym, a przenoszenie w świat ludzki *darmości* świata powszechnego; to wreszcie zmniejszenie mozołów przy dawnym bycie, lub podniesienie bytu, myśli i godności przy dawnym wysileniach i mozołach. —

Użyteczność przyrodzona nie ma wartości; zaczem, użyteczność, powstająca łącznie udziałem pracy ludzkiej i pracy przyrodzonej, czyli z połączenia sił ludzkich i sił istniejących *darmo*, tem mniejszą mieć będzie wartość, im większym był udział przyrodzonej pracy; im w tej złożonej potędze większą była część tego, co jest bezpośredniem Boga dziełem. Czyli, określając inaczej to samo założenie: praca człowieka, jego usługa, użyteczność, wypracowana

przez niego, tem mniejszą będą mieć wartość i cenę, im człowiek, podejmujący tę pracę, tę usługę, tę użyteczność społeczną, większe znajdzie ułatwienia w ich dokonaniu. I naodwrot: to, co człowiek robi, nabędzie tem większej wartości i ceny, im on na większe natrafi trudności; a właściwie, im mniej znajdzie w przyrodzie ułatwień, pomocy, wyręczenia. Skutkiem dwóch powyższych, w odwrotnych kierunkach działających wpływów, jedne wyroby, lubo wielce użyteczne, schodzą do cen graniczących z darmością; inne, małej użyteczności, sięgają cen olbrzymich.

Gdyby zboże, którem Podole karmi w latach trudniejszych zachodnie i północne części krajów naszych, przenoszonym być musiało na barkach lub w garściach, cena jego spadłaby niestychanie na Podolu, a na zachodzie doszłaby wysokości bajecznej. Cena zboża tego zmniejszałaby się w miarę, jak jego dostawa, jak ta robota, przechodziłaby z barków na wózki ręczne, dźwigające cztery piąte ciężaru, a z tych na wozy, ciągnięte przez konie. Przypuszczając, że niema przyczyn, wpływających w kierunku odwrotnym na cenę zboża w ogólności, cena ta zmniejszy się jeszcze na zachodzie, gdy z nadejściem zimy wóz, tonący w błocie, zastąpiony będzie saniami, lub w miejsce drogi prywatnej i krętej stanie gościniec bity i wyprostowany; — ona się zmniejszy więcej jeszcze, gdy gościniec bity zastąpią żelazna kolej lub kanały spławne. Niema dojrzałego człowieka, chłopca, piekarza, przekupki, którzyby o szczegółach tych nie wiedzieli; lecz jakże małą jest ilość osób, któreby chciały zadać sobie pracę szukania pierwszych przyczyn tego pojawu. Ekonomia polityczna nie tłumaczy ich także, bo w jej wykład nie wchodzi darmość świata powszechnego. Przeniesienie w garściach zboża z Podola do ziem zachodnich lub północnych byłoby wyłącznie pracą ludzką, mogącą dojść ceny bajecznej; jego dowóz kanałem lub żelazną koleją jest połączeniem sił ludzkich i sił przyrodzonych; jest skutkiem pracy złożonej, w której praca przyrodzona, fizyczne ciało właściwości są już ogromnie przemagającą częścią, a częścią istniejącą darmo we wszechświecie, służącą darmo wszechrzeczy, zastępującą ludzkie mozoły, ile razy człowiek, zubożony wiedzą rzetelną, do robót swoich przyrodę zaprzac umie.

Jakże cudownem, a nieprzetłamanem jest praw przyrodzonych działanie! Człowiek przywłaszczyc sobie nie może tego, co Bóg przeznaczył dla wszystkich; — to, co jest darmo w przewiezieniu zboża na zachód, obraca się na korzyść tych, którzy je na zachodzie spożywają, otrzymując je często po cenie o połowę niższej od tej, jakąby dać musieli za miejscowe, gdyby nie nadeszło obce i nie

zniżyło ceny miejscowego. Gdy zaś wzmaganie się *zasobu społecznego*, zatem postęp nauk i narost pracy oszczędzonej, pojawiającej się zrazu w wozach i koniach, dalej w kanałach i kolejach, podają coraz nowe działalności środki, wiodą do coraz nowych odkryć, wynalazków i przedsięwzięć; a każdy nowy środek skuteczniejszy od poprzedniego, jest nowem wyręczeniem pracy ludzkiej przyrodzoną pracą: — przeto dzieła ludzkie i dary przyrody, przystępne niegdyś tylko wybranym, rozpościerać się muszą nieustannie, schodzić coraz niżej, stawać się coraz powszedniejszemi, a tem samem wznosić ku górze upośledzone niegdyś społeczne pokłady, i urzeczywistniać stopniowo na ziemi wpływem prawd bożych równość zapowiedzianą w obliczu Boga.

Rzecz dziwna: im kto jest zagorzalszym niwelatorem, tem zapamiętałej odpycha i poniża naukę, wiodącą absolutnie do celów, których on sam szuka, które chce narzucić słowem, a które na tej drodze przyjąć się nie chcą i przyjąć się nie mogą. Nauka gospodarstwa społecznego to nauka wiodąca do swobód, do wolności, do oświaty, do cywilizacji, równości i narodowej potęgi: — bez niej możecie świat zburzyć, ale nowego postawić nie zdołacie! Gospodarstwo społeczne, i tylko ono, wykrywa tajemne źródła postępu; ono tylko wytłumaczyć wam zdoła, dlaczego czeladź rzemieślnicza żyje dziś lepiej, niż żyli króle za czasów Homera, i wie więcej, niż wiedzieli starożytni panowie; ono wam powie, że istnienie darmo świata powszechnego szerzy się wśród ludzkiego świata; że użyteczność przyrodzona, *dar Boga, bogactwo*, przechodzi na własność wszystkich; — użyteczność wypracowana, wartość społeczna, zmniejsza się z dniem każdym; — świat ludzki wraża w świat przyrodzony; świat przyrodzony przechodzi pod panowanie ludzkiego świata.

Czytamy rozprawy, słyszymy głosy, dopominające się o pracę dla ludu; o pracę dla pracy, tak, jak pewni uczeni chcą, by sztuka istniała dla sztuki. Biorąc środek za cel, rozwijają oni na tej drodze teorie, wspierające niekiedy ich osobiste wpływy i widoki. Praca, zajęcie, trud są zapewne niezbędną częścią organizmu naszego w świecie, istniejącym pracą powszechną wszystkich w skład jego wchodzących istot; — one są prócz tego, i przez to właśnie, warunkiem naszej moralności i naszych cnót towarzyskich. Lecz to zajęcie, ta praca, wnoszą się ku coraz wyższym sferom, a to w miarę jak człowiek zrzucić może z siebie trudy niższe, zatem to, co go trzymało na poziomie świata fizycznego. Byłoby nieszczęściem, zapytuje Garnier¹⁾, gdyby chleb rósł gotowy na polach, nie-

¹⁾ Ekonomista francuski wieku oświecenia.

wymagających ludzkiej uprawy? Przelanie na siły przyrodzone wszystkiego, co jest trudem mechanicznym, zatem utrzymanie darmo tego, co przez nie dokonaniem być może, było usiłowaniem pierwszych ludzi i jest dążnością świata wykształconego.

Świat powszechny, przejmując ciągle pod wpływem ludzkiej przewagi kształt sztuczny, postać ludzką w kierunku ludzkiej użyteczności, nie przestaje przez to istnieć darmo. To, co w nim ułożyło się po myśli i woli człowieka, staje się miejscowem kraju *bogactwem*, dogodnością, korzyścią, a nie zasobem społecznym, zbierającym ludzką wiedzę i czysto ludzką pracę. Zasób ludzki nie służy darmo nikomu, bo nie powstał darmo; bogactwo przyrodzone, przyrodzona praca, będą wiecznie służyć darmo, bo one nie wejdą w zakres zasobu społecznego. Ich rosnąca usługa w świecie ludzkim wiedzie nas ku ideałowi doskonałości, której nigdy nie osiągniemy, ku której przecież zbliżamy się ciągle, bo wiedza ludzka szerzy się ciągle w przestrzeniach bez granic i posuwa nas ku doskonałości bez granic.

KAROL SZAJNOCHA (1818—1868).

Ze Szkiców historycznych.

Jak Ruś polszczała.

Opowiemy tu jeden z ciekawych przykładów ustalania się obżądku, narzecza i obyczajów polskich na Rusi w wieku XVI.

Wtedy do najzamożniejszych okolic czerwonoruskich, czyli ówczesnego województwa ruskiego, liczyła się starodawna ziemia chełmska nad Bugiem. Kiedy jeszcze wschodnio-południowe strony Rusi Czerwonej bezludną od Tatarów leżały pustką, a tylko zachodnio-północne pogranicze ku Polsce coraz gęstszą ludnością i bujniejszą zakwitało uprawą: wówczas nasza nadbużańska kraina chełmska należała do najpiękniejszych okolic w tem pograniczu, słynęła szeroko łtmem swojej ludności, bezprzykładną gdzie niegdzie żyznością gleby, najskrzętniejszem może na całą Polskę gospodarstwem rolniczem.

Dowodem tego między innemi sejmikowa uchwała szlachty chełmskiej w r. 1477, regulująca z wielką dokładnością stosunki i obowiązki poddańcze w całej ziemi — najdawniejszy tego rodzaju

pomnik ustawodawczy w całej Koronie, lubo prawie zupełnie przepominany dotychczas.

Owoż ta przednia z ówczesnych krain czerwonoruskich poniosła w pierwszych latach XVI wieku ciężki uszczerbek w starodawnej wierze i obyczajach miejscowych. Wielka część mieszkańców przeszła na obrządek łaciński, kościół ruski doznał znacznego uszczuplenia nie tylko w liczbie swoich wyznawców, ale i w dotychczasowych dostatkach ziemskich.

Dnia 20 października r. 1533 wyszło rozporządzenie królewskie, mocą którego trzy dawne wsie ruskiego władcyctwa, czyli biskupstwa w Chełmie, odjęte zostały władcyce chełmskiemu Iwaškowi, a nadane łacińskim biskupom chełmskim. „Na prośby niektórych doradców poddanych naszych“, czytamy w pomienionym dekrete króla Zygmunta, „tudzież mając na względzie, iż prawie wszyscy poddani w powiecie chełmskim, mianowicie znaczniejsi ze stanu rycerskiego, nawrócili się już za łaską Bożą z obrządku greckiego, czyli ruskiego, do jedności z kościołem rzymskim... postanowiliśmy z nadmienionej przyczyny, jako też dla wielu innych powodów, odjąć przerzeczonemu władcyctwu wsie Czesin i Strzyżowice z folwarkiem Skurdejowcem, i one rzeczywiście odejmujemy temuż władcyctwu, nadając je kościołowi i biskupstwu chełmskiemu“ — rozumie się obrządku łacińskiego.

Dowiedziawszy się tak, co się stało w ziemi chełmskiej około r. 1533, dowiedzmy się jeszcze, jak się to stało? Usłyszawszy o znamienitym akcie spolszczenia pewnej części Rusi w tym czasie, obaczmy teraz w jednym z bliżej znanych szczegółów tego aktu, jakim sposobem polszczała Ruś?

Przywiedzione tu postanowienie królewskie z dnia 20 października r. 1533 prawi, iż około tego czasu wielu ze szlachty przyjęło obrządek rzymski, a szczęśliwym przypadkiem dochował się zapiszek pamiętnikowy o jednej z tych nowonawróconych rodzin szlacheckich, kreślący ręką najbliższego krewnego ciekawą historję jej nawrócenia, a tem samem jedną z kart historji spolszczenia Rusi. Podaje ten zapiszek następującą wiadomość o spolszczonej wówczas rodzinie ruskiej.

Był w ziemi chełmskiej starodawny dom szlachecki klejnotu Korczak, czysto miejscowej krwi, mimo przyjęte od wieku szlachectwo polskie całą duszą ruskiej wierze, ruskiemu obyczajowi, ruskim koligacjom oddany. Od dziedzicznej wsi Wereszczyn w okolicy Hrubieszowa, nazywano potomków tego domu Wereszczyńskimi, a w pierwszych latach wieku XVI siedział na Wereszczynie nie-

odrodny następca przodków, pan Fedory Wereszczyński, krew z krwi i kość z kości najżarliwszych starowierców ruszczyzny.

Zgodnie z takim usposobieniem pojął on także małżonkę, łącząc się z domem panów Sosnowskich z Sosnowic klejnotu Nałęcz. Był to bowiem dom nietylko podobnie ruski z pochodzenia i obyczaju, ale w nierównie większym jeszcze u pobożnej Rusi zaszczycie, niż sami panowie Wereszczyńscy. Dodawał mu tego blasku rodzony brat pani Fedorowej z Wereszczyzna, Iwan Sosnowski, naczelnik całego kościoła ruskiego ziemi chełmskiej i stron przyległych, ów właśnie biskup grecki Iwaśko, za którego rządów władztwo chełmskie pozbawione zostało trzech wsi intratnych. A że książę władyka — jak go powszechnie u Rusi zwano — często w gościnie przesiadywał u swojej siostry i wielu innymi znakami okazywał przychyłność jej domowi, niemały przeto zaszczyt spływał stąd na oboje małżonków Wereszczyńskich.

Ale jak żadna chwala światowa nie obejdzie się bez pewnej skazy upokorzenia, tak i znamienitość domu wereszczyńskiego w oczach starowiernej ludności chełmskiej poniosła niemały uszczerbek w ostatnich czasach. Drugi bowiem rodzony brat pani Fedorowej z Wereszczyzna, niegdyś Hrehory, a teraz Grzegorz Sosnowski, przeszedł już w późniejszym wieku na obrządek łaciński, stał się przykładnym kapłanem tego wyznania, a nawet, jak to u nowonawróconych bywa, gorliwym rozkrzewiaczem wiary rzymskiej na Rusi.

Sama rodzina nie wiedziała dokładnie, co było przyczyną tak ważnej zmiany w życiu Grzegorza. Jedyne tyle w owym zapisku familijnym podano, iż rodzice jego usilnie odradzali mu przejścia na wiarę rzymską, że jednak Hrehory uparł się w swoim postanowieniu i że mu odtąd fortunnie wiodło się w świecie. Skoro bowiem dojrzały już młodzieniec obeznał się z pismem łacińskim, wziął go pod swoją opiekę łaciński biskup chełmski Jakób Buczacki, także nowonawrócony wyznawca rzymski, dopomógł mu do osiągnięcia kapłaństwa, nadał kapłanowi najpierw kanonję przy łacińskiej katedrze chełmskiej, a następnie prelaturę oficjalną tegoż kościoła¹⁾. Nie brakło przytem łaski i faworów ze strony sąsiadów polskich, z pomiędzy których zaprzyjaźnili się z księdzem Grzegorzem zwłaszcza panowie Gniewoszowie z powiatu radomskiego i w znak swoich względów życzliwych dali mu nieubogą plebanję w dziedzicznej wsi Oleksowie nad Wisłą, z wolnością wyręczania się zastępcą niższego rzędu.

¹⁾ T. j. wyższy urząd duchowny, z przywiązaniem doń samodzielnie, stałymi funkcjami, w przeciwieństwie do urzędu zastępczego lub tytularnego.

Rezydował więc ksiądz oficjał¹⁾ Sosnowski przy swoim kościele i biskupie, t. j. nie w samym Chełmie, gdzie kapituła łacińska nie mogła dogodnego mieć pomieszkania, lecz w nowszym, ale już bardzo zamożnym i głównie przez Polaków zamieszkanem miasteczku Krasnymstawie. Ceniony tam od swoich kolegów i współwierców łacińskich, nie stracił ksiądz oficjał dalszej życzliwości rodziny, zjeżdżał niekiedy do kniazia władyki w Chełmie, a osobiście siostrę w Wereszczyźnie nawiedzać lubił. Mieszkając nawet o wiele bliżej Wereszczyzna, niż książę władyka²⁾ w swojej znacznie odleglejszej stolicy chełmskiej, mógł brat łaciński daleko częściej od greckiego nawiedzać siostrę i z jakąś osobiwszą troskliwością zaglądał raz po raz w progę jej domu.

Pan Fedory Wereszczyński z przywiązania do żony nie sprzeciwiał się otwarcie tym odwiedzinom, ale w głębi duszy przejmowały go one zawsze niesmakiem. Owszem każda nowa obecność księdza oficjała w Wereszczyźnie podrażniała jego dawną niechęć ku wyznawcom nauki rzymskiej, czyniła go coraz twardszym Rusinem.

Z tej przyczyny zerwał on nawet wszelkie związki z sąsiednią szlachtą polską, wzgardził wszelkimi urządami ziemskimi i, jedynie zarządem gospodarstwa zajęty, otoczył się ponurą samotnością w swym Wereszczyźnie. Nareszcie, nie przypuszczając dla chrześcijan rzymskich, t. j. dla wszystkich w ogólności Polaków, innego na tamtym świecie losu nad piekło, nie nazywał żadnego Polaka inaczej jak „piekielnikiem“ — „biesowym Lachem“.

Zato Ignął pan Fedory tem przychylniej ku ruskiemu szwagrowi z Chełma. Książę władyka brał coraz przeważniejszy udział we wszystkich sprawach rodziny wereszczyńskiej. On też przewodniczyć miał losom przyszłego jej potomka, którego niebo jakoś długo odmawiało państwu Fedorym. Skoro jednak wysłuchane zostaną modły rodziców i przyjdzie na świat upragniony dziedzic Wereszczynowi, przyrzekł książę władyka ochrzcić go własną ręką w starodawny obrządek ruski, dać mu w dojrzałych latach staranne wychowanie przy swoim boku, zająć się całkowicie jego fortuną i przyszłością.

Nie uszło to uwagi księdza oficjała z Krasnegostawu i w najwyższym stopniu sprzeciwiało się jego zamiarom. On sam bowiem umyślił ochrzcić chrztem łacińskim spodziewaną dziecinę i wychować ją na pociechę kościołowi rzymskiemu, byle niebo jak najprędzej pobłogosławiło nią siostrze.

¹⁾ T. j. pomocnik biskupa, wykonywający sędowniczą jego władzę. — ²⁾ Tytuł, objaśniony wcześniej w tekście przez samego autora.

Ponieważ ojciec dziecięcia nigdyby na to dobrowolnie był nie zezwolił, przeto musiał ksiądz oficjał ukrywać się starannie ze swoim planem, ale nie zdołał utaić go całkowicie. Postrzegło się na nim baczne oko kniazia władyki i, śledząc odtąd jak najpilniej zabiegów brata, wyglądało z podwójną niecierpliwością pożądaną nowiny o synu w Wereszczynie.

Jeszcze tam o żadnym potomku nie wiadomo, a już osobliwszym zbiegiem okoliczności dwaj najbliżsi i najzyczliwsi mu krewni, dwaj różni wiarą bracia rodzeni, dwaj przeciwnych obrządków apostołowie, jak najgorętszym współzawodnictwem walczyli o przyszłość, o wiarę tego potomka.

Wtem urodził się w istocie syn w Wereszczynie. Uszczęśliwiony ojciec wyprawił czempredziej wiadomość o tem do Chełma. Za dni kilka miał zjechać stamtąd przysły opiekun i dobrodziej dziecięcia i greckim chrztem siostrzeńca rozpocząć dzieło opieki. Jakoż prędzej, niż się można było spodziewać, ozwał się turkot zajeżdżającej przed dwór wereszczyński kolasy i wysiadł z niej w istocie wuj dziecięcia, ale nie kniaz władyka z Chełma, tylko ksiądz oficjał z Krasnegostawu. Bliższa z tego miejsca droga do Wereszczyna pozwoliła mu ubiec władykę w domu państwa Fedorych i spełnić tam bardzo ważny w następstwach swoich czyn, o którym najstosowniej będzie dowiedzieć się z ust samejże rodziny wereszczyńskiej. Opowiada więc nasz zapisek pamiętnikowy — opowiada syn o wypadkach przy narodzeniu własnego ojca — z ujmującą szczerotą zygmunto-wskiej polszczyzny, co następuje.

„Skoro ksiądz oficjał dowiedział się, że siostra jego syna powiła, nim się JM. ksiądz władyka wybrał z domu, ksiądz oficjał, przyjechawszy wskok rzekomo względem nawiedzenia w połogu siostry swej, a upatrzawszy czas, niemowlętko wziął potajemnie z kolebki z tymi, z którymi się już był na to nagotował, wnet ochrzcił go i dał mu imię Andrzej“.

„Sprawiwszy tę zbawienną robotę, ujechał co najrychlej, uchodząc mierzączki¹⁾ od rodziców tego to dzieciątka, a najwięcej też uchodząc mierzączki jego miłości kniazia władyki chełmskiego, brata swego rodzonego, który też już był wyjechał na to, jakoby był dzieciątko ono ochrzcił przez się na wiarę grecką“.

„Ksiądz władyka gdy przyjechał, a o ochrzczonej się już dziecięciu dowiedział, uczynił wielki hałas w domu. Jakoż i rodzice byli bardzo przeciwni tej uczynności księdza oficjałowej, ale iż wi-

¹⁾ Obrzydzenia, niechęci.

dzieli, iż co już było stało, rozstać się nie miało, dali pokój. Zaczem już ono dziecię w mniejszej wadze było u rodziców swych, a najwięcej u księdza władyki chełmskiego, i zgola nie chciał o niem już nic wiedzieć. Naostatek i rodzice wiódł na to, jakoby w niem bynajmniej nie korzystali¹⁾. Jakoż ojca przywiódł do tego, że się w niem bynajmniej nie kochał, lamentując często a gęsto na oficjała, że to dziecię prawie biesowym Lachem uczynił“.

„Wszakoz matka miła naostatek już o to nic nie dbała, ale wszystko to Panu Bogu miłemu polecała, przycytując²⁾ to z wolej więcej być miłego Pana Boga i z przejrzenia jego świętego. Przetoż zawždy o tem obmyślała, jakoby powinności macierzyńskiej dosyć uczyniła, już piastowała, już kołysała, już żywiła. A gdy mu było już ośm lat, o diaka mu się starała, jakoby go hramoty ruskiej nauczył. Jakoż władyka chełmski na żądanie siostry swej wziął go był przedsię do siebie, u którego się uczył hramoty dwie lecie“.

„Ksiądz oficjał bał się dziwnie o to, by go zaś jako ksiądz władyka nie zbłaźnił na grecką wiarę. Począł u siebie rozbierać, że i chrzest miał mu co mało pomóc, gdzieby na wierze jako szwan-kował, ponieważ, prawi, iż w ludziach dorosłych chrzest bez wiary a wiara bez chrztu nie mają żadnej wagi ani mocy w sobie, przeto zasadził intencją swoją na tem, jakoby go od księdza władyki wyważyć mógł. Jakoż tego dokazał. Albowiem skoro jedno przyjechał do księdza władyki, wezwawszy do siebie Andrzeja na osobne miejsce, namowami wdzięcznymi wnet go ucackał, że za księdzem oficjałem nazajutrz piechotą z kursorem z Chełma do Krasnegostawu przybieżał“.

„Od tegoż czasu już nietylko u ojca swego, ale i u księdza władyki bardzo spadł z talerza, że już ani ojciec, ani ksiądz władyka nie przypuszczali go więcej na oczy swoje. Ale ksiądz oficjał, jako mu był przyczyną do niechęci rodziców i przyjaciół inszych jego, że był wypadł nietylko z łaski, ale i z myśli ich: tak zasię starał się o tem pilnie, jakoby mu poczciwe wychowanie dał, któreby mu czasu swego było pogardą sowitą takich szkód, odniesionych przez rodziców swych nieprzyjaźń“.

„Do tego, aby snadnie przyjść mógł, dał mu w Krasnymstawie preceptora według myśli swej. Jedno, że był tępego dowcipu, bardzo się o to ksiądz oficjał frasował. Co on, bacząc intencje wuja swego, tępego dowcipu swego nieudatność pilnością nagradzał, naturę niepotężną ustawicznością kierując. Zaczem przedsię przyszedł, że

¹⁾ „Korzystać w czym“ znaczyło dawniej tyle, co: ważyć co sobie, interesować się czem; „nie korzystać w czym“ — mało o co stać. — ²⁾ = przypisując.

i *ingenium*¹⁾ swe wypolerował i wuja swego ku większej miłości przeciw sobie wzbudził“.

„Tak, iż ksiądz oficjał, pobaczywszy niemały w naukach profekt²⁾, pragnął tego po nim, jakoby został kapłanem. A to w ten sposób czynił, aby mu spuściwszy prowenta³⁾ wszystkie swoje i sam wstąpić mógł do klasztoru sieciechowskiego. Przeto, gdy mu już było 19 lat, pilnie go namawiał, jakoby wziął pierwsze święcenie“.

Nie urywa się wprawdzie na tem nasz zapisek pamiętnikowy, opowiadający jeszcze przez kilka stronic dalsze losy rodziny — lecz urywa się pasmo tak szczęśliwie dotąd ziszczających się zamysłów księdza oficjała Grzegorza. Siostrzeniec Andrzej nie czuł powołania do stanu duchownego i tylko z posłuszeństwa stosował się do życzeń wuja. Skoro też ksiądz Grzegorz w tym właśnie czasie zeszedł ze świata, pośpieszył 19-letni kleryk zdjęć sukienkę duchowną i osiadł tymczasowie na gospodarstwie w plebanji oleksowskiej. Pozostawili mu ją z przyjaźni panowie Gniewoszowie z za Wisły, a dzięki uprzejmości innych przyjaciół polskich, otworzyły się Andrzejowi w niespodziewanie krótkim czasie wcale odmienne widoki w świecie

Wpobliżu Oleksowa leżała wioska Jaroszyn, własność staropolskiego domu państwa Jarowskich herbu Rawicz, rodziców kilkorga nadobnych dzieci. Temiż właśnie czasy wróciła do domu z wychowania w klasztorze lubelskim 13-letnia córeczka Anna, którą pobożna rodzina jak najprędzem zamężciem ochronić chciała od pokus świata. Polscy przyjaciele Andrzeja doradzali mu upaść do nóg rodzicom o rękę panny Anny i piękny za nią posag; a gdy młodzian z ochotą zezwolił na to, bogobojne jego wychowanie zjednało mu pomyślnie w Jaroszynie przyjęcie. Jeszcze tego samego roku stanął niespełna dwudziestoletni nowożeniec z trzynastoletnią oblubienicą u stóp ołtarza.

Był to rok sławnej bitwy pod Obertynem. Niepokojny gospodar wołoski Petryło opanował przed kilku miesiącami Pokucie i ściślejsz, niż którykolwiek z poprzednich gospodarów, pobratany z pogaństwem ottomańskim, wzbudzał obawę coraz niebezpieczniejszych zamachów. Wszyskta szlachta ziem ruskich na hasło sławnego Jana z Tarnowa stanęła do odporu. Komu tylko o dobre imię chodziło, zwłaszcza zaś, kto młodem władał ramieniem, przywdziewał pancierz ku obronie kraju, ruszał w kilka, kilkanaście koni ku obozowi polskiemu.

Natenczas i w młodym Wereszczyńskim ocknęła się iskra ambicji. Odstrychnąwszy się swoim polskim wychowaniem i oze-

nieniem od całej reszty rodziny, wystąpiwszy tem z dawnej pokątności prowincjonalnej na widownię szerszych stosunków obywatelskich, należało jakąś znamienitą zasługą rozpocząć zawód. Wyprawa przeciw Wołoszynowi dogodną ku temu nastęrczała okazję. Lubo więc Andrzej nigdy później marsowych nie okazał skłonności, przyszło zaraz po ożenieniu z orężem w rękę dać się poznać ojczyźnie.

Ani trzynastoletnia żona, ani rodzice żony nie mieli nic przeciw temu. Pośpieszono owszem z wyliczeniem posagu, aby rychlej i świetniej do obozu wyprawić zięcia. Wystąpił też Andrzej z niezwykłą na swój mierny stanik okazałością, bo z pocztm dwunastu wybornie uzbrojonego żołnierza i odpowiednią liczbą ciurów i wozów. Jakby miała chorągiew senatorska, ciągnął hufiec dwunastu Andrzejowych rycerzy, on sam trzynasty na czele, z uciechą i podziwieniem ludzi, ku obozowi hetmana pod Obertynem.

Już w kilka miesięcy po weselu stał Andrzej na polu walki, a tuż po wejściu do okopów wypadła bitwa stanowcza. Na szczęście dla Polski i Andrzeja kierował nią wielki Tarnowski, więc była to wielka wygrana, jedyna w swoim rodzaju wygrana obertyńska, chwala pamiętnego dnia 22 sierpnia 1531. Polska zastynęła szeroko nowem zwycięstwem i pozbyła na długie lata niebezpieczeństw wołoskich; Andrzejowi i większej części rycerstwa koronnego, dzięki mądrym rozporządzeniom wodza, ani włos z głowy nie spadł.

Bardzo szczipłą stratę poległych wynagrodziło sobie wojsko polskie bogatą nawiązką w skarbach rozbitego obozu wołoskiego, w ustąpionych rycerstwu przez hetmana upominkach króla Zygmunta, w mnogich darach i łaskach królewskich samemu wojsku.

Dostało się tych plonów zwycięstwa i młodemu Wereszczyńskiemu. Wrócił z niedługiej wojny bogatszy, niż był wyjechał. Nietylko wszystkie wydatki na wyprawę odzyskane zostały, ale przybył jeszcze spory zapasik pieniędzy i kosztowności, zdobytych do zagospodarowania się w nowym domu. Zawitał w nim dostatek, uśmiechała się mu życzliwość i cześć u ludzi; jednego tylko brakowało szczęśliwemu Lachowi z Wereszczyzna — błogosławieństwa ojca i matki. Zaledwie Andrzej teraz uścielił sobie gniazdo rodzinne, zatęskniło mu serce do tej pociechy i przed wszelkimi innymi staraniami o dalszy dorobek w świecie postanowił nawiedzić z żoną dawno niewidziane progi ojczyste.

Aby jawnie okazać, iż nic innego, jak tylko prośba o błogosławieństwo zamiarem jest odwiedzin, wybrał się Andrzej do Wereszczyzna bardzo strojno, dworno i bogato. Cały dwór wereszczyński zdumiewał się na przybycie tak wspaniale wjeżdżających we wrota

¹⁾ *Ingenium* = zdolności, „dowcip“. — ²⁾ Postęp. — ³⁾ Dochody.

gości. Rodzicom pochlebiała zamożność syna i nie było też powodu odmawiać mu życzliwego przyjęcia. Z widocznym więc zadowoleniem obojej strony nastąpiło powitanie polskich dzieci z ruskimi rodzicami. Stary ojciec ofuknął się jeszcze raz i drugi z dawnym wstrętem przeciw „Lachom biesowym“, lecz dobroć matki i pokorna uprzejmość synowej łagodziły szorstkość jego uprzedzeń, a kilka dni dalszej gościny przekonały ostatecznie o pożytku obecności synowskiej w domu rodzinnym.

Gniewne uchylene się pana Fedorego z Wereszczyna od zwykłych stosunków z sąsiadami przyniosło niemałą szkodę sprawom domowym. Poszły w zapomnienie dawne związki przyjaźni, a nie przybywało nowych przyjaciół. Zaczęli owszem nastawać przeciwnicy, z którymi niebawem przyszło do niezgody, do swarów o granicę, do procesów o większą część posiadłości. Nawyknięcie do samowolności w ścianach domowych odejmowało ochotę i uzdolnienie do niezbędnych zabiegów po trybunałach, a wraz z niedostatkami przyjaźni ku poradzie i wsparciu dojmował także niedostatek środków do ponoszenia coraz uciążliwszych kosztów sądowych. W chwili przybycia syna znalazł się pan Fedory zagrożony ruiną całego mienia.

Spostrzegł to wkrótce Andrzej i wciągnął ojca nieznacznie w rozmowę o interesach. Łatwo było z niej poznać, iż tylko nieporadność starego domatora w tak ciężkie zawikłanie przywiodła sprawy. Ośmielił się tedy Andrzej wskazać nietrudny sposób naprawienia wielu szkód przeszłych i przyszłych, a gdy zaprojektowana rada synowska okazała się ojcu zbyt uciążliwą do wykonania jej osobiście, podjął się Andrzej spełnić ją w ojca imieniu i natychmiast jak najszczęśliwiej jedną i drugą sprawę załatwił. To nie tylko przedłużyło odwiedziny synowskie, lecz owszem wywołało życzenie w ojcu, aby obrotny młodzian podobnie resztę interesów ukończył. Syn z radością przyjął wolę ojcowską i oto, zamiast pożegnania się z rodzicami, nastąpiła niebawem instalacja Andrzeja w zarząd całego ojczystego majątku.

Pod sterem młodego gospodarza wszystko zmieniło się w Wereszczynie. Wzięły koniec zatargi procesowe, uskromili się przeciwnicy niespokojniejsi, nastąpiły znowu przyjazne stosunki z sąsiadami. Najpierwej otworzono wrota członkom rodziny, a że teraz rodzinę wereszczyńską składali zarówno ruscy krewni Andrzeja, jak i polscy krewni jego małżonki, więc zaczęły gościć w Wereszczynie domy polskie i ruskie, oswajali się z sobą Lachowie i Rusini. Z każdym dniem łagodniał pan Fedory dla swoich niegdyś „biesowych

Lachów“, zagęszczały się ich odwiedziny w domu Andrzeja. Nakoniec za dalszym oswojeniem się starca z obyczajami lackimi stał się Wereszczyn domem zupełnie polskim, w którym oboje rodzice Andrzejowi długo jeszcze w zgodzie i miłości z Lachami żyli. Powszecznie od Lachów i Rusinów lubiony, Andrzej posiadał zczasem znamienite urzędy ziemskie, był najprzód komornikiem, a następnie podsędkiem chełmskim, a jeden z jego synów, imieniem Józef, został nawet duchownym senatorem w Koronie. Tento biskup kijowski Wereszczyński, założyciel nowego Wereszczyna na Ukrainie, jeden z najpoważniejszych pisarzy swojego czasu, skreślił ów pamiątniczek o spolszczeniu swojego rodu i załączył go przy kazaniu na pogrzebie ojcowskim.

Jednocześnie z takim przeistoczeniem rodziny Wereszczyńskich w r. 1532 spolszczało też wiele innych rodzin ruskich w tych stronach. „Wszyscy poddani nasi w powiecie chełmskim — mówi król Zygmunt I r. 1532 w owym dekreście uszczuplenia biskupstwa greckiego w Chełmie — mianowicie znaczniejsi z stanu rycerskiego, nawrócili się już za łaską Bożą od wiary greckiej, czyli ruskiej, do jedności z kościołem rzymskim“. A ponieważ z tej przyczyny ubyło wyznawców kościołowi ruskiemu, powiększyła się zaś liczba wyznawców kościoła łacińskiego, przeto jak owym nowonawróconym łacinnikom, tak i samemu królowi Zygmuntowi słuszną zdało się rzeczą ująć część dochodów mniej teraz potrzebnemu kościołowi ruskiemu, a z bogacić nią potrzebniejsze obecnie świątynie polskie. Ojcowie wyposażali założone niegdyś dla siebie cerkwie ruskie, synowie mniemali się upoważnionymi do zmiany rozporządzeń ojcowskich według swoich potrzeb dzisiejszych i sami królowi Zygmuntowi doradzili ów akt uszczuplenia władcy w Chełmie.

Był to akt bolesny dla cerkwi ruskiej, ale dla kogoż i z czyjegoż powodu przyszedł on ostatecznie do skutku? Nie samaż Ruś dobrowolnym przyjmowaniem łaciny i tak gorliwym następnym szerzeniem jej we własnych rodzinach zubożyła w ten sposób starodawną świątynię chełmską? Osobliwszem zrzędzeniem losu władcy, któremu akt pomieniony odjął znaczną część posiadłości, a kapłan obrządku łacińskiego, który najwięcej do tego uszczerbku się przyczynił — byli to bracia rodzeni. Rusin Rusina, brat brata z ziemi wyzuwa: bo tu nie o pokrewieństwo, nie o polską lub ruską narodowość walczących idzie, ale o przekonanie, o wiarę, do których żadna przemoc światowa nie zdołałaby obudzić w nas zapału, żaden ucisk Polaków byłby nie zniewolił Rusinów, gdyby one swoim własnym światłem nie otworzyły sobie ich serc.

Przejście wielu rodzin ruskich na obrządek łaciński było znakomitym aktem spolszczenia Rusi — ale widzimyż w całym zdaniu jakikolwiek ślad ucisku ze strony polskiej? Wniesiony przez Polaków obrządek sam sobie oświecześnie umysły jednał, a wobec ustaw i swobód polskich równy był w XVI wieku Rusin Lachowi. Właśnie w porze i w pobliżu opowiedzianych tu zdarzeń otrzymała Ruś chełmska stanowczy tego dowód.

Jak siedziba władcyków greckich Chełm uchodziła za główne miasto ruskie w powiecie chełmskim, tak głównym miastem polskiem była siedziba łacińskich biskupów chełmskich Krasnystaw, założony przez króla polskiego Kazimierza Wielkiego, zamieszkały przeważnie od Polaków, słynny wówczas z zamożności w całej Koronie. Owoż kiedy pod sam pobyt Andrzeja w Krasnymstawie u łacińskiego wuja Grzegorza wybuchły tam rozterki między liczniejszym mieszczaństwem polskiem a mniej liczną ludnością ruską, przyszło do wykluczenia Rusinów od głównych urzędów miejskich. Wtedy mieszczanie ruscy udali się z prośbą do króla, aby im przyznano równość obywatelską z mieszczaństwem polskiem, a król Zygmunt I, wbrew przeważnej liczbie Polaków zadość czyniąc Rusinom, przyznał im zupełne prawo do piastowania urzędów.

„Powziąwszy wiadomość“, opiewa między innymi dotyczący dekret królewski z r. 1523, „iż w pomienionem mieście naszym Krasnymstawie znajduje się wiele mieszkańców przerzeczonego¹⁾ obrzędu ruskiego, odznaczających się dostatkami, przemysłem, obyczajnością i cnotami wszelkimi, którzy też wiernością, zachowaniem i uszanowaniem dla nas okazali się godnymi względów naszych i ciężary cywilne za równo z innymi mieszkańcami pomienionego miasta ponoszą; oznajmujemy, iż mieszkańcy krasnostawscy obrządku ruskiego do urzędów cywilnych, t. j. do radzieictwa i ławnikowstwa, przedstawianymi i obieranymi być mogą“.

Oprócz moralnej przewagi obrządku i niewymownej dla wszystkich sąsiednich ludów ponęty swobód polskich, dopomagała dziełu spolszczenia Rusi chyba owa serdeczna, hojna, skora do wszelkich usług braterskość, jaką Polacy w XVI wieku jednali sobie wziętość powszechną. Niosąc z sobą swobody polityczne, wnosili oni także wszędzie ludzkość pożycia, gotowość do pomocy, towarzyskość, wesołość i, pociągając niemi zwłaszcza młodzieńczą połowę ludności nowych prowincyj swoich, ujęli tem podobnie rodzinę wereszczyńską. Polska rodzina Gniewoszków obdarzyła Andrzeja intratą plebanji oleksowskiej, w polskim domu państwa Jarowskich znalazł on

¹⁾ = pierwszej wspomnianego.

z łatwością żonę i posag, polscy krewniacy żony wyforytowali go na urzędy, dopełnili jego karjery obywatelskiej.

„Niematą uciechą zjęci byli rodzice Andrzejowi“ — mówi w dalszym ciągu ów urywek pamiętnikowy — „ciesząc się z tego, że pięknie a ozdobnie przez nakładu rodziców swoich staniczek swój wiódł, jakoteż z szczęśliwych postępów syna, że się Lachowi we wszystkim fortunnie powodziło“. Zaiste fortunnie dzięki ludzkości Lachów — czemużby i cały dom wereszczyński z resztą sąsiadów ruskich nie miał być pobratać się z Lachami — spolszczyć przy Lachach?

Takim to wzajemnym pociąganiem, wzajemną zyczliwością polszczała Ruś. Jak bratnie korzenie jednego drzewa, zdążyły ku sobie, spletały się ze sobą żywioł ruski z żywiołem laskim, aby spólnymi siłami wydać z siebie jedno drzewo olbrzymie, jeden naród potężny. Jak drzewo następnie mnogimi konary wystrzela wgórę, tak i naród tysiącem pomniejszych rodzin rozrasta się i wieńczy; a pomiędzy rodowemi gałęzmi Polski w złotych jej wiekach nie pierwszemiz cnotą, zasługami i chwałą były właśnie rodziny, które z ruskiego korzenia, na ruskim gruncie, owszem z naszej poszczególnej gleby chełmskiej urosły? Toć to najstawniejsze imiona i domy polskie w wiekach XVI i XVII, owi Zamojscy, Żółkiewscy, Sobiescy, to wszystko domy ruskie, odrośle chełmskie, ze starego Zamościa w ziemi chełmskiej, ze starej Żółkwi w chełmskiem, z chełmskiej Woli Sobieskiej.

Widząc tak najpiękniejsze kwiaty polszczyzny z ruskich wykwiatające soków, widząc później, jak dwoma jedynymi domami krajowemi, którym dano było ozdobić domy ruskie, — nasi chełmscy Sobiescy i pobliscy Chełmowi Wiśniowieccy, moglibyśmy przejść teraz do przedstawienia rzeczy w świetle odwrotnem, odsłonić drugą stronę pięknego zawsze obrazu tej odwiecznej spólności bratniej i zacząć, jak tu kończymy: polszczała Ruś — ruszczała Polska.

ANTONI MAŁECKI (1821—1913).

Z dzieła „Juljusz Słowacki“ (1867).

Lechici i Wenedzi w tragedji Słowackiego¹⁾.

Główny pomysł Juljusza co do zawiązku narodu naszego i zgadzania i nie zgadzania się z tradycją, przekazaną o tem przez kronikarzy. Zgadza się z nią w głównej rzeczy — rozmiąja w szczegółach.

¹⁾ Według wydania 3-go.

Poeta nasz, idąc w szczegółowym rozprowadzeniu odnośnych okoliczności wbrew ich podaniom i po większej części wbrew też rezultatom ostatnich historyków, stworzył jednakże świat, który w sobie ogólną historyczną prawdę zamyka i nie tylko z poetyckiego, lecz i z historycznego punktu widzenia ostatecznie odpowiada obiegowym wtedy powszechnie o genezie naszej pojęciom. Bo że porządek rzeczy lechicki, jakkolwiek co do rodu nieobcy, cywilizacyjnie był czemś odrębnym w słowiaństwie: temu i historia nie przeczy. Że ten porządek zajął tu miejsce dawniejszych, może odmiennych czysto słowiańskich stosunków: tego nauczają i dzieje. W tento jedynie też sposób mógł się tu począć ten żywioł polski, który pod wszelkim względem zawiera w sobie więcej, aniżeli w sobie mieszczą żywioły reszty rozsiadłego na niezmiernych przestrzeniach tu i ówdzie słowiaństwa. Historyczna krytyka nie dawała wtedy pewnej konkluzji, kiedy i jak te lechickie pierwiastki przybyły między Słowian, osiadłych ponad Gopłem i Wisłą. Leleweł, niezmiernie chwiejny w tym punkcie, to uważa w Lechach odcień tylko społeczny, zresztą miejscowy, to ich znowu gotów był prowadzić z za Dunaju do Czech, a stąd nad Wartę. Bielowski¹⁾ wywodził Polan od Daków, czyli Traków, zatem z południa. Maciejowski²⁾ od Swewów, więc z zachodu. Szajnocha od Skandynawów, zatem z północy. Nie brak na takich, którzy ten odłam plemienia przyprowadzili wprost z kolebki całego naszego szczepu, z za Kaukazu, zatem ze wschodu... Te różnice mniemań są tedy. Ale że nastąpiło jakieś z zewnątrz wszczęcie latorośli nieco odrębnej w pień miejscowego zaludnienia z dawniejszych czasów: na to się prawie wszyscy pisali, jakby na fakt dowiedziony, a tradycja odwieczna o przyjsciu Lecha w te strony także to przypuszczenie potwierdza.

Jednakże historia tradycyjna pojmuje to przybycie nowych żywiołów na ziemię naszą w formie napływu. Przypuszcza napływ idei wyższej, organizacji odrębnej, może też wreszcie nawet i rasy obcej, lecz w taki sposób, że bez wielkiego oporu potrafiła tu dokonać swego domieszania się do miejscowych zasobów, i choć nad niemi wzięła przewagę, a następnie i panowanie, to jednak raczej sama się do nich przystosowała i rozplynęła w ludności, którą napotkała w tych okolicach, niż żeby ją miała w sposób gwałtowny wyprzeć albo wytępić.

Nasz poeta w tym punkcie zupełnie odstąpił od wyobrażeń utartych. Przedstawia on tę stosunków przemianę jako podbój, jako

¹⁾ Historyk polski XIX w. — ²⁾ Uczony badacz historii prawa i literatury w w. XIX.

krwawe zetknięcie się dwóch przeciwnych sobie pierwiastków, co większa, jako bój dwóch całkiem różnych plemion, o śmierć prowadzony lub życie w dosłownem słowa tego znaczeniu. Przedstawia przyjscie Lechitów jako zagładę zupełną dawniejszej tych okolic ludności — na korzyść przybyłej rasy. I wziął sobie właśnie to konanie ustępującego z historii i pokonanego plemienia za główny przedmiot tragedji. Żywioł lechicki, zwycięski, dopiero poczynający tu życie — odgrywa w niej rolę drugorzędną. Prawdziwym bohaterem dramatu jest to ostatnie pokolenie Słowian czyli „Wenedów“ nadgoplańskich, które po długim i rozgłośnem niegdyś istnieniu w rozległych kraju swego granicach, legło pod rolandowym Lecha i rycerzy jego orężem. Jest to zatem *per excellentiam*¹⁾ tragedia idei, tragedia narodu i społeczeństwa całego — nie osób pojedynczych.

Sztuka się poczyna samym początkiem najazdu. Widzimy tu wprawdzie odrazu króla Wenedów, toż obu jego synów w niewoli u Lecha, który już prawie władnie tym krajem; ale ten wielki obrót rzeczy sprawiła jedna bitwa, pierwsze już starcie.

„Cóż myślisz, starcze, o ludach zachodnich?
Wczora ty byłeś panem tej krainy:
Dzisiaj do ciebie nie należy głowa,
Która rządziła wczoraj temi ludy“.

Od tych słów, włożonych w usta Lechowi do pokonanego Derwida, już się poczyna akt pierwszy.

W poprzedzającym akt ten Prologu, którego czas przypada właśnie na chwilę owej bitwy stanowczej, chociaż się takowa toczy opodal gdzieś poza sceną, daje autor kilka zarysów, charakteryzujących położenie dziejowe. Dowiadujemy się, że Wenedzi skazani są na zagładę, że ciąży nad nimi jakaś klątwa, z przyczyny której upaść i zginąć muszą.

„Przekleństwo, przekleństwo, przekleństwo!
Ojczyzna nasza kona — i na wieki
Widzę umarłą...“
— „Na ziemi i w niebie
Lud nasz przeklęty — o, biada nam, biada!“

Słowa te wypowiadają Roza Weneda, starsza córka Derwida, będąca wróżką, — i harfiarze, którym jako kapłanom narodowym odchylona jest zasłona przyszłych przeznaczeń ojczyzny. Lecz nie oni sami posiadają tę świadomość przyszłości. Myśl ta, jak miazmat trujący, zdaje się przesiąkać całą atmosferę obrazu; odzywa

¹⁾ W całym znaczeniu wyrazu.

się ciągle, przez cały tok dramatu, jak echo jakie złowieszce. Uczucie to zbliżającego się końca ciąży ołowiem na wszystkich osobach, biorących udział w tej ostatniej walce z najeźdźcami...

Poeta nie tłumaczy ani powodów, ani bliższych okoliczności owego przekleństwa, rzuconego na cały szczerp Wenedów. Można by go tu prawie posądzać o wprowadzenie jakiegoś ślepego fatalizmu. Tem bardziej zaś przypuszczenie czegoś podobnego w tym dramacie mogłoby się zdawać narazie uzasadnionem, że nie widzimy w Lechitach, którzy wszędzie zwyciężają Wenedów, żadnej nad nimi wyższości. Przeciwnie, jest to rasa jakaś i fizycznie karłowata i duchowo napiętnowana jakimiś oznakami małości, skłonna do nikczemnych okrucieństw, daleka od wszystkiego, coby znamionowało wyższą naturę, rasa niekiedy prawdziwie popełniająca nawet obrzydliwości. Wszakże sam Lech, patrząc na rosłe ciała, na dumne postawy swoich jeńców, zakutyh w pęta, mówi do żony:

„Gwinono, patrzaj, jaki to lud rosły!...
Ja komar — i krew z niego wycodziłem
I wycisnąłem w rękę jak cytrynę!...”

Ściągając rzecz do jednego z synów Derwida, dodaje jeszcze:

„Że ja maleńki, to on mną pogardza,
A wiem, że mego miecza nie udźwignie!”

Zdawałoby się, z tych chętnych słów wnosząc, że za tę drobność zewnętrzną ciała natura wynagrodziła Lechitów nietylko tęgością nadzwyczajną sił fizycznych, ale może i mocą duchową, rozumem, wielkością serca? Gdzie tam! Żona Lechowa, Skandynawka z rodu, bynajmniej nie powzięła takich wyobrażeń ani o mężu, ani o jego orszaku. Zręczność w boju — tę im przyznaje, ale prócz tego — niczego więcej.

„O, jak rycerze ci są łatwowierni!
Najmniejsze kłamstwo, a już ich oszuka.
A choć szychową nie zobaczą, nie chcą
Wyciągnąć z kłębka — jedni przez lenistwo,
Drudzy, widzący w tem może pożytek
Albo zabawę: i tak oszukani
Fałszu krzewinie rosnać pozwalają!”

Podnosząc tedy w ich charakterze lenistwo, prywatę i lekkomyślność, jako główne znamiona, zamyka Gwinona w dalszych wierszach ten sąd swój o całym rodzie Lechitów wyrzeczeniem niekoniecznie dla nich pochlebny, że to „lud głupi, z rąk rycerskich, ale z głów

niemyślących“ złożony, który, jeżeli ona go w opiekę swoją nie weźmie — przy lada burzy rozpaść się musi.

Na to samo wychodzi, co w swój znowu sposób i przy innej okoliczności o tej rasie wypowiada pocieszny i głupowaty Śláz, kiedy go ktoś w przytomności Wenedów za Lechitę ogłosił.

„Cóż to? Czy mi z oczu
Patrzy gburostwo, pijaństwo, obzarstwo,
Siedem śmiertelnych grzechów, gust do wrzasku,
Do ukwaszonych ogórków, do herbów?
Zwyczał przysięgać in „verba magistri“ —
Owczarstwo — czy to wszystko mam na twarzy?
Jeśli tak, wodą mię zlejcie gorącą —
Niechaj oblezie ze mnie pierwsza skóra“.

Co dotąd przytoczono, wystarczy, ażebyśmy pozwolili sobie już w tem miejscu rzucić nawiasową uwagę, że widocznie przydzielił tu Słowacki Lechitom te wszystkie właściwości, które się później okazały przywarami polskiego społeczeństwa, mianowicie w czasach upadku. Przywary te wytykają i teraz jeszcze umysły, satyrycznie usposobione polskim szlachcom, rozumiejąc przez wyraz ten nie sam tylko zwykły ogół mniej światłej masy wyższego społeczeństwa naszego...

Lech sam to prototyp powyższych ułomności. Łączy on w sobie dziwne sprzeczności charakteru. Przy bohaterskich nieraz zapędach, przy błyskliwych powodzeniach oręża — słaby to duch, podległy lada wrażeniu, słowem, pospolita natura! Daje wpływać na siebie, bez wyboru, bez różnicy, wszystkim, lada komu, kto go tylko otacza. Dopuszcza się co krok dziwnych, nieraz prawdziwie pociesznych niekonsekwencyj (naprzykład przez cały ciąg aktu drugiego i trzeciego, gdzie chodzi albo o dotrzymanie obietnicy, danej Lilli Wenedzie co do uwolnienia jej ojca, albo też o narażenie się na gniew krzykliwej a tyranizującej go małżonki). Słowem, jest to prawdziwie nieodrodny, jak się sam autor w przedmowie do poematu wyraził, „praszczur Sobieskiego“ — przy silnej ręce, a moljerowskiej w domu słabości. „Kontusz mu włożyć i buty czerwone, gdy wróci z piorunowej walki, siarką cuchnący i krwią obłany po szyję. Kontusz mu włożyć i żupan! niechaj panuje — bez jutra!”

Otóż zdawaćby się mogło, że skoro z takim wrogiem mieli do czynienia Wenedzi, to chyba ślepy jakiś fatalizm winiłby o to trzeba, gdyby zagłada ich plemienia na korzyść ich najeźdźców miała rzeczywiście już tak koniecznie być nieuchronną. Przecież słuszność jest po stronie tych, co bronią swojej ojczyzny. Przewagą liczebną

także przewyższają Wenedzi nieskończenie Lechitów. Przymioty szczerpawego ich charakteru zmuszają w dramacie często nietylko do uznania, ale i do współczucia. Sam Gwalbert święty, człowiek obcego pochodzenia, zatem bezstronny, wprowadzony przez autora na scenę jako typ zbliżającego się i do tych już krajów chrześcijaństwa, oddaje im świadectwo, „że to był dobry lud, choć niechrześcijański“. Dlaczegoż tedy Opatrzność czy wreszcie szczęście samo łaskawszem byłoby miało dla Lecha i jego wojów, którzy równie, jak Wenedzi, nie są jeszcze chrześcijanami, aniżeli dla tej ludności, spokojnie mieszkającej u siebie? Jeżeli z tego powodu, że to pokolenie obciążone przekleństwem: to kto je niem obarczył? za jakie wykroczenia? przed czym trybunałem?

Na te wszystkie pytania niema w dziele odpowiedzi gotowej; ale całe przeprowadzenie i ostateczna katastrofa tragedji staje za wymowne rozwiązanie całej tu poruszonej zagadki. Przekleństwo Wenedów wynika z nich samych. Jest to tylko symboliczny wyraz, malujący wewnętrzny stan ducha tego narodu. Wenedom zabrakło zupełnie na duchowej sile żywotnej, tak niezbędnej do istnienia cięłom zbiorowym. Stracili wiarę w siebie, stracili serce. Odbiegło ich przekonanie, że potrafią się oprzeć nawet wrogowi, który, w stal zakuty od stóp do głowy, poprzedzony sławą nabytą, przyszedł zabrać im ich odziedziczone siedziby. Trzymają jeszcze w rękach harfy, których cudotwórcza muzyka grała ich ojcom niegdyś triumfalne hasła do zwycięstw: ale z tych dźwięków uleciał duch, dający siłę zwycięstwa, a pozostały tylko głuche i puste brzęki. Tych brząków oni już sami nie rozumieją! Pozostały im wróżby, na których budują wszystko, a którym jednak sami nie dowierzają. Poczucie tego duchowego upadku udzieliło się całemu ich pokoleniu. Nikt z nich w przyszłość dalszą nie wierzy; nikt nie ma woli żądać jej i wzmóc ją — nawet wbrew wszystkiemu, co onej przeczy. I to jest owo przekleństwo, dla którego muszą ustąpić z widowni.

Wzwyżność Lechitów na tem właśnie polega, że lubo oni, jak się powiedziało, podlegają tylu rozlicznym ułomnościom i niedostąkom moralnym, lubo nieliczni do tego stopnia, że się garstką tylko wydają w porównaniu z tysiącami Wenedów, lubo cięłom od nich mniejsi i słabsi: ufają w siły swoje i gwiazdę swoją i mają serce do boju.

Wśród wyrzutów, które nieraz w dramacie czyni Lechowi wyniosła jego małżonka: że dwa razy już utracił kraje prawie podbite, że się dał bratu Czechowi tak łatwowiernie oszukać, że mu już pozostała tylko jeszcze garstka rycerzy, że nie pamięta o losie

dzieci i t. p., zmuszona ona jest jednakże powiedzieć mu i te słowa, nie będące naganą, a tłumaczące naszą zagadkę:

„Ty zawsze ufasz w szczęście i odwagę
I w tę gorącość krwi, co ciebie rzuca
W niebezpieczeństwo“.

A Roza Weneda, kiedy opowiada swoje widzenie w przededniu walki, mającej ostatecznie rozstrzygnąć o istnieniu lub nieistnieniu narodu: to w zupełnie innem świetle malować musi zachowanie się i usposobienie swoich Wenedów. Widziała ich w liczbie kilkunastu tysięcy, ale z wybladłemi twarzami, w grobowem milczeniu zajmujących miejsca na przyszłym poboju. Widziała ich w duchu swoim, jeszcze w przededniu bitwy, jako tam stali uszykowani do boju:

„Równi, zimni, biali jako groby,
Miecz je walił, gdy piorun był niemy,
Czarem walił piorun i miecz razem“.

Powiada, że kiedy, chcąc się przekonać, co się dzieje w pierśiach tych zwątpieniem zatrutych ludzi, zajrzała do wnętrza kilku z tych bohaterów walki jutrzejszej: to znalazła u jednego, „że w nim serce zbladło i tak trzęsło się jak liść olchowy“; w piersi drugiego znalazła zamiast serca — kłębek robaków. A gdy rozdarła pierś trzecią i spojrzała w nią: — to była pusta! nie było w niej niczego miasto serca. I nie zazierała już dalej wróżka natchniona do serc ludzkich w swoim narodzie, bo już wiedziała wszystko...

KS. WALERJAN KALINKA (1826—1886).

Przedmowa do „Ostatnich lat panowania Stanisława Augusta“ (1868).

Dzieło niniejsze, którego tom pierwszy czytelnikom podajemy, złożone z dokumentów dotąd nieznanych, dostarczyć może wiele światła do historii upadku Polski; objąć ma bowiem szereg zdarzeń, nierozzerwalnym ciągiem po sobie idących, od zjazdu Kaniowskiego aż do ostatniego podziału. Ważność tych pism czytelnik osądzi, spostrzegłszy, z czyjej wyszły ręki; są to korespondencje Stanisława Augusta, Katarzyny II i wielu najcelniejszych osób w Polsce i Rosji naówczas żyjących; świadectwa tem szacowniejsze, że nie są opowiadaniem ułożonem po czasie, ale, związane z życiem politycznym

narodu, przedstawiają dokładnie myśl, zamiar i charakter piszących i działających razem. Jest więc ta publikacja znacznym nabytkiem historycznym i dla nauki korzyść przyniesie.

Ale inaczej może wypaść odpowiedź w umyśle niejednego czytelnika, jeśli stawi sobie pytanie, czyli druk dokumentów, wyjaśniających przyczyny upadku państwa polskiego, w dzisiejszej chwili równie jest korzystny pod względem moralnym, i politycznym, jak nim jest niewątpliwie pod względem naukowym. Nad tem pytaniem zastanowić się tutaj musimy tem więcej, żeśmy i sami długo je w sumieniu wazyli, i że od ludzi, których wysoko cenimy, z którymi łączy nas wiele wspólnych przekonań i uczuć i wiele lat wspólnej poświęconych pracy, słyszeliśmy zdania naszemu przeciwnie. Sądzimy, żeśmy winni sobie, a bardziej jeszcze tym, których rady z żalem słuchać nie mogliśmy, iżby wyraźnie powiedziane były powody, dla których te dokumenty ogłaszamy.

Ostatniem słowem świadectw historycznych, które z tej epoki były lub będą jeszcze ogłoszone, jest: że upadku swego Polacy sami są sprawcami i że nieszczęścia, które na nas spadły wówczas lub później, zasłużoną są przez naród pokutą. Ta prawda, aczkolwiek bolesna i wobec nieprzyjaciół naszych tak upokarzająca, była już nieraz powiedziana; ale powtórzona dzisiaj, w chwili największego ucisku, jakiego naród doznał od dziesięciu wieków, nie na rozumowaniu pisarza oparta, ale nasuwająca się sama w dokumentach niewątpliwych i swą jasnością aż rażących, nabiera większego nierównie znaczenia i głośniejszem staje się wyznaniem. I te właśnie okoliczności, przydające wagi takiemu wyznaniu, były powodem zarzutów, które nas dochodziły i które zapewne jeszcze się odezwą.

„Szczery i zupełny obraz Polski pod koniec XVIII wieku (mówiono nam) może być pożyteczny jedynie dla tych, którzy tak gorąco pragną naszą przeszłość zbeczczyć i złamać nas widokiem naszych błędów; dostarczy broni przeciwko nam, a ich usprawiedliwi i stanie się (wedle pospolitego wyrażenia) wodą na ich młyn. Nie wszystkie prawdy można powiedzieć, nie każdy je zniesie i nie w każdym czasie; a jeśli przyznanie się do grzechów, w skrytości ducha czynione, człowieka podwyższa, to jawne z nich oskarżenie się, prócz tego, że nigdy szczerem nie będzie, graniczy z bezwstydem i złością być może. Dziś naród potrzebuje wiary w siebie, nadziei w przyszłość i wyrozumiałej dla wszystkich miłości, z wieków minionych nie jad gryzący, ale kojący balsam dziejopisowie dobywać powinni, a kłoby dowiódł, że upadku naszego przyczyną były

własne i to wszystkich grzechy, ten odejście narodowi wszelką otuchę, ten go w oczach własnych zdepcę i poniży, ten go doprowadzi do rozpacz. Jesteśmy jakoby dzieci, których matka śmiertelną złożona chorobą. Choćby ta choroba z jej uchybień powstała, czyż to czas w tych uchybieniach się rozpatrywać? Czyż samo uczucie synowskie nie nakaze raczej odwrócić od nich oczu, a o to tylko starać się, aby jej życie utrzymać? Rozbiór przeszłości trucizną będzie, a nie lekarstwem; odłóżmy go do chwili wyzdrowienia. Wówczas on będzie pożądanym, a nawet koniecznym, aby ustrzec od powtórnej niemocy; dziś tylko matkę dobieje! A wreszcie próżnem jest staraniem i czczą pretensją chcieć dzisiaj całą wykrywać prawdę. Jakiegokolwiek mogą być wagi ogłoszone dokumenty, więcej ich pozostanie w ukryciu, czekając właściwszej do druku pory. Zabraknie więc w tym procesie aktów, i to najważniejszych może — i sąd taki, w miejsce wiernego przedstawienia przeszłości, stworzy tylko jeden więcej obraz żółciowy i fantastyczny!“

„Przy rozdarciu wewnętrznym, jakie w społeczności naszej panuje, książka podobna — mówiono nam z innej strony — stać się może nie nauką i upomnieniem, lecz źródłem kwasów i niechęci, otwartą kopalnią dla ducha stronniczego, który z luźnych dokumentów i oderwanych ustępów wyprowadzi wnioski, o jakich wydawca nie myślał. Wykazanie grzechów rodzin dawniej naczelnych posłuży za nowe do walki zarzewie i utrudni, może nawet niepodobną uczyni pracę publiczną dzisiejszym potomkom. Znajdą się ludzie, o jakich w partjach politycznych nietrudno, których głównym nieraz bodźcem w działaniu była zazdrość do swoich. Tacy pochwyć skwapliwie płamiące wspomnienia i w oczy je rzucą tym, którym dorównać nie mogą. A tak ostatniem słowem tej pracy może być skandal publiczny!... Lecz niedość na tem, zawiść możnych ku sobie, dziś szczęśliwie przygasa, odżyje nanowo, i ci, co tak zacnie podali sobie ręce w niektórych ziemiach polskich, rozejdą się po dawnemu, na swoje i kraju nieszczęście. Tylko wyższe prawdziwie dusze czują się powołane wielkimi cnotami odbudowywać swe imię; większość ze zwyczajnych składa się ludzi, wznowiony obraz zeszlowiecznych plam odstręczy ich, zniechęci, do nieczynności sprowadzi, a może jeszcze w obce obozy przerwuci. Dość już podobnych strąt mieliśmy w latach dawniejszych; nie godzi się ich dzisiaj pomnażać i z pola służby narodowej spędzać choćby najlżejszych pracowników! Jeżeli zaś przeciwnie, wypadkiem studjów będzie, że nie kilkanaście historycznych rodzin, jak dotąd mniej więcej utrzymywano, ale cała klasa, niegdyś w narodzie wszechwładna, przy-

czyną była naszej zguby, to ów wyrzut bolesny w tych właśnie ugodzi, których obecnie najbardziej ściga wróg zawzięty. Było pożytecznem, koniecznem nawet przypominać jej błędy w czasie, kiedy ta klasa używała i nadużywała całej pełni swych praw. Można jeszcze zrozumieć i później rzucane na nią pociski, dopóki dłużnikiem była niższych warstw narodu. Ale dzisiaj, gdy jak Łazarz odarta, nie wie, co jej pozwoła z ojczyściej dochować spuścizny; gdy ze starych szlachty polskiej przywilejów jeden tylko pozostał przywilej męczeństwa; gdy dawną swą odkupując wyłączość, zdobywa ona blisko już od wieku własnem cierpieniem coraz to nowe obrońców narodowych rzesze: dzisiaj nie tylko roztropność, ale wdzięczność sama nakazywałaby powinna jej stare i nowe zasługi podnosić, a epokę skończoną i grzechy skończone jednym zresztą pokryć przebaczeniem!

Takie uwagi i zarzuty dochodziły nas w czasie, kiedy ta książka przygotowywała się do druku. Zbytecznem może dodać, że znajdowały w pisaćym te słowa echo donośne i zaostzały przykrość tych studjów, dość już z siebie bolesnych. Trudno rozbiierać na zimno, z czem dusza zrosła od kolebki. Trudno też było ukryć przed sobą, że niejedno z tych wspomnień, które na nowo wydobywamy, zrani dotkliwie jakieś serce szlachetne, co może tajemny już ślub z Bogiem uczyniło i dobrowolną pokutą grzechy swych dziadów odpłaca!... A jednak po walkach wewnętrznych i długich namysłach przyszliśmy do przekonania, że dokumenty wszystkie, skoro niewątpliwe i skoro służą do wyświecenia prawdy historycznej, drukować nie tylko można, ale i potrzeba.

Wyliczając powody, na których oparliśmy to nasze mniemanie, może nie od rzeczy będzie przypomnieć nasamprzód, do czego doprowadził system przeciwny i dążność tak długo u nas panująca zakrywania błędów, a podnoszenia nad miarę naszych cnót i zasług. Był czas, gdy pod bolesnem wrażeniem upadku Rzeczypospolitej, naród, świeżym widokiem własnego nierządu zmęczony, przygnieciony słuszną naganą całej zachodniej Europy, zwątpił o sobie, o swym patryjotyzmie, o swoim nawet męstwie wojennem, i w własnych przedewszystkiem oczach potrzebował się odrodzić. Stąd, gdy jedni na zachodzie, obok Francuzów, starą szablą polskiej odzyskiwali chwałę, drudzy widokiem dawnej mądrości i zacności narodu usiłowali go pokrzepić. Wówczas to Czacki układał swą książkę o polskich i litewskich prawach, aby pokazać, że w naszym prawodawstwie była niejedna rozumna usługa, którą możemy się chlubić; wówczas Niemcewicz swem piórem malowniczym opisywał dzieje

Zygmunta III, aby przypomnieć, że i my także czemś byliśmy¹⁾; wówczas też poważne grono uczonych mężów, rozbierając między siebie historję szczęśliwszych Polski epok, pominęło z umysłu dzieje wieku XVIII. Ale szukając w przeszłości pokrzepienia, mężowie ci ani przed sobą, ani przed narodem nie ukrywali ciężkich błędów i nierozumu, co świetność minionych wieków splamiły. — Historia, pisał kilkana laty wprzód Naruszewicz, ma ten przywilej, że umarli mogą mówić prawdę, żyjący słuchać jej bez urazy; Czacki płakał, dyktując swe uwagi nad życiem ostatniego z Jagiellończyków, i w każdej podobnie książce ówczesnej, dawną opisującej potęgę, obok wytrawności sądu z głęboką nauką połączoną, czuć ból zany a stłumiony, że tyle niegdyś cnót, tyle wysileń, tyle wreszcie zasobów — wszystko tak marny wzięło koniec; żeśmy mogli być wielkim narodem, lecz dobrowolnie, zamiast wielkości, przodkowie nasi zostawili swym wnukom poszarpaną dziedzinę. Wszakże wkrótce potem wyszły z pamięci te przestrogi. Jak po stracie drogiej nam osoby (że tu zacytuję słowa niedawno powiedziane), rychło ginie pamięć jej wad, a w duszy zostaje tylko żal niewysłowiony, tak i przeszłość nasza okazała nam się kochanką idealną, zakrwawioną, białym śmierci całunem okrytą. W jednej chwili zrodziła się nowa szkoła historyczna, której mistrzami byli odąd poeci, słuchaczami dusze rozdarte boleścią. Przeniesiona do historii poezja krytyce już nie dawała przystępu i złym musiała być doradcą w nauce, której odwiecznym warunkiem jest: sine ira et studio²⁾. Zawsze tylko przed oczy stawiając wielkie wspomnienia, a na epokę upadku rzucając zasłonę, owa poezja historyczna w coraz to wyższe, „nadeuropejskie“ cnoty ubierać nas zaczęła, coraz to fantastyczniejsze naszej przeszłości nadawać kształty, kolory i blaski, aż skończyła na bluźnierstwie, zowiąc nas „Chrystusem narodów“³⁾. Słyszano i powtarzano takie zdania, że nie mogąc z całym światem wytrzymać zbrodni spółnictwa, sama święta i niepokalana, Polska w wieku XVIII dobrowolnie zstąpiła do grobu. „Kto sam się bóstwi na świecie, rzekł poeta, ten na odwrót swego szалу, odczłowiecza się pomału“. Tak i my, podniósłszy zasługę narodu ponad wszelką miarę słuszności i rozsądku, bo aż do ubóstwienia własnego, póty nie zatrzymaliśmy się na tej drodze, dopóki nie zostały usprawiedliwione wszystkie

¹⁾ Tad. Czacki, założyciel Liceum Krzemienieckiego, napisał dwutomowe dzieło „O litewskich i polskich prawach“. J. U. Niemcewicz jest m. i. autorem trzypomowego dzieła historycznego „Dzieje panowania Zygmunta III“. — ²⁾ Bez niechęci i bez przychylności. — ³⁾ „Nadeuropejskie cnoty“ etc. — aluzje do „Psalmsów przyszłości“ i „Przedświutu“ Zygmunta Krasieńskiego.

nasze błędy, wszystkie instytucje, któremi państwo upadło, te właśnie instytucje, które naród, doświadczeniem ostrzeżony, sam pod koniec wieku zeszłego potępił najmocniej i stanowczo odrzucił. Dość przypomnieć, że i liberum veto i elekcja królów, swawola szlachty i niemoc trybunałów kryminalnych, która w dawnej Rzeczypospolitej bezkarność, a z nią nowe nadużycia rodziła, znalazły swych apologistów. Za hasłem przez wielkich mistrzów danem, którzy w historii zamiast prawdy, rzeczywistości szukali ideału, znaleźli się niższego rzędu prozą i wierszem pisarze, którzy wielkość i szczytność, a priori¹⁾ przyjęte, tam nawet ukazywać poczęli, gdzie ich najmniej być mogło. Bez krytyki politycznej, bez studjów, bez zaglądania do krajowych źródeł, bez porównania dziejów naszych z obcemi, tworzone teorie szkołą się stały zarozumienia i zamętu wszelkich politycznych pojęć; sięgały nawet poza politykę, dotknęły najgłębszych moralnych i religijnych zasad. Bo gdy jedni twierdzili, że Polska jest „Chrystusem narodów“, drudzy z tem większą śmiałością twierdzić mogli, że jej powołaniem jest uzupełnić, wydoskonalić i na nowo objawić Chrześcijaństwo.

Atoli dodać należy, że i wymagania polityczne upadłej sprawy, a mianowicie potrzeba bronienia jej przed cudzoziemcami, zwłaszcza przed Zachodem, przyczyniały się niemało do rozszerzenia i utrwalenia wpośród nas sądów historycznych, jeśli nie tak rażących swoją przesadą, to niemniej zgubnych w ostatecznym wypadku. Było i jest dążnością naszą przekonać obcych, że naród polski nie tylko dzisiaj godzien jest niepodległości, ale zawsze był jej godzien, i że jak teraz dosyć ma sił, aby ją odzyskać, tak w przeszłości stracił ją dopiero po największych dla jej obrony ofiarach i pod przemocą wrogów trzykroć silniejszych. A jeśli, pomimo to, trzykrotne nasze próby, by odbudować państwo niepodległe, nie doprowadziły nigdy do celu, nie stało się to bynajmniej skutkiem niemocy narodu lub politycznej jego niedojrzałości, ale z winy rządów zagranicznych, które nas zawiodły w naszych nadziejach, albo też, i najczęściej, z winy człowieka lub kilku ludzi, którym w danej chwili powierzyliśmy nasze losy. — Tego rodzaju obrony i rozumowania, gorliwie po każdej kłęsce powtarzane, choć w Europie nie przed wieloma zapewne nas usprawiedliwiły, nas zato przekonywały najzupełniej; zaczęliśmy dumni ze swych poświęceń i ze swego heroizmu, musieliśmy czempredzej dla każdej epoki wyszukiwać kozła ofiarnego i na niego złożyć przyczyny wszystkich niepowodzeń i grzechy ogólne. — Lecz były inne donośniejsze skutki tych

¹⁾ Zgóry.

naszych obrończych wywodów. „Ponieważ naród był i jest silny i do pełni życia politycznego już gotów, ponieważ jak przed upadkiem Rzpltej, tak i później w każdym powstaniu dawał niezaprzeczone dowody swej dojrzałości, mocy i wytrwania, ponieważ jedynie niedołęstwem lub zdradą kilku ludzi zatrzymany został w niewoli: nic przeto nie przeszkadza, aby zerwał się na nową próbę odzyskania swej niepodległości od chwili, gdy znajdzie się człowiek prawdziwie wyższy, zdolny nim kierować, zdolny korzystać z jego entuzjazmu“. Któryż młodzieniec, zaczynający konspirację i przygotowujący powstanie, nie sądzi się być takim właśnie dla narodu mężem przeznaczenia?...

I tak, gdy ciągle brzmiały też same pochwały, ciągle też same powtarzaliśmy błędy i, zanim znikły ślady jednego spustoszenia, już nowe na przyszłość zasiewaliśmy burze! Zaprawdę, w tem naszym gospodarstwie narodowym podobni jesteśmy do człowieka, co układając swój budżet, nie tylko niewątpliwe, ale i spodziewane dochody jak najwyżej naznacza, a nie chce wcale spisać swoich długów, ani przewidzieć wydatków: i cóż dziwnego, że nim rok upłynie, spolka go niedobór i że co rok część jego majątku przejdzie w obce ręce? Tak i nas od lat stu spotyka wciąż polityczny niedobór, a nie inna podobno tego przyczyna, jak ta, że, wielbiąc zapał, męstwo i ofiarność narodu, ujemnym jego stronom przypatrzeć się nie chcemy.

Lecz mówią nam: Dość będzie czasu na ten rachunek niemiły, gdy wyzdrowieje matka ukochana, dziś śmiertelnie chora! — Namby się przeciwnie zdawało: rachunek ten, wówczas nam mało przydatny, dzisiaj jest koniecznym. Bo jakże matka ma wyzdrowieć, jeśli jej choroby nie znamy i lękamy się jej poznać.

Jak wydobędziemy się z tej ciemnoty, w którą zabrnęliśmy, kiedy brak odwagi otworzyć oczy? Tylko szczere w sobie samym rozpatrzenie się może nas ostrzec skutecznie i, co najpilniejsza, nowym stratom zapobieży. Tylko prawda od złudzeń nas uchroni i od rozczarowania; ona jedna da siłę potrzebną do walki z nieprzyjacielem i silniejszą od niego pokusą. A tym, co tak bardzo dla narodu lękali się prawdy i ostrożnie, w niepostrzeżonych w swej maleńkości dozach, radzili jej choremu udzielać, odpowiemy, że właśnie ta osobliwsza homeopatja, przez naszych moralistów używana, może była przyczyną, że naród dotąd jest chory.

Ale (zapytują nas) jakież wrażenie zrobi ta prawda, z taką szorstkością wypowiedziana, dla wielu osobiście nieprzyjemna, dla wszystkich bolesna? Ażaliż nie zrazi, nie zniechęci i już bardzo nieszcze-

śliwych do rozpaczy nie przywiedzie? Ażaliż godzi się dodawać otuchy wrogom Polski widokiem dawnego jej zepsucia?

Odpowiadając na te pytania, przedewszystkiem zaprzeczyc musimy, żeby jakiegobądź Polaka można dziś jeszcze od polskości odstęrczyć czy widokiem plam, jakie ciążą na jego przodkach, czy też bardziej upokarzającym wyznaniem, że naród przy wadach, które miał w wieku przeszłym, nie mógł się ostać jako państwo niepodległe. Bezwątpienia, musiał ciężko przeboleć każdy, kto się o tem przeświadczył, ale nikt dlatego nie mniej czuł się Polakiem, mniej obowiązany służyć Ojczyźnie. Nikt już dzisiaj z polskości wyzuc się nie zechce, nikt, choćby chciał, nie potrafi. Silniejsza ona, niż my sami, trwalsza od naszej słabości lub rozpaczy, w złej czy dobrej żyje doli, i stuletnią już blisko pokutą coraz bardziej się hartuje. Jeżeli dawniej można było słyszeć o Polakach, którzy przechodzili na Niemców, Francuzów, a nawet i Rosjan — choć i tacy przy schyłku życia tęsknem wejrzeniem znowu się ku Ojczyźnie zwracali — to z każdym, które przybywa, ćwierćwieczem, owa odmiana czy apostazja staje się coraz mniej podobną. Gdziekolwiek jesteśmy: w kraju czy za krajem, w Polsce czy na Sybirze, wszędzie musimy być i pozostać Polakami: tak głęboko na dnie naszej duszy osadził Bóg uczucie polskości! A w takim usposobieniu narodu polskiego niewątpliwem, niezachwianem i któremu żaden człowiek sumienny nie zaprzeczy, czy nie jest rzeczą pożądaną rozpatrzeć się w naszych błędach, i w ich nieustannie bijącym źródle, w wadach naszego charakteru: rozpatrzeć się spokojnie, bez fałszywej a tak zgubnej dla nas samych litości? I czyż studjum to może być obojętne, albo i szkodliwe? Jeżeli przed podobnym z sobą samym rachunkiem cofały się poprzednie pokolenia, to nasze od nich nie-szczęśliwsze, albo w swej wierności zaciętsze, może go odbyć z pożytkiem. Żelazo długim wypróbowane ogniem wytrzyma uderzenia, którychby krucha nie zniosta ruda — i jeszcze twardszem się staje, I czy doprawdy względ na Moskali ma nas wstrzymywać? Mybyśmy przeciwnie myśleli, że nagłcem jest odjąć nieprzyjaciółom triumf, że to oni dopiero ukazują nasze błędy i ze ślepoty naszej mają nas wyleczyć. W owym sporze odwiecznym Polski z Moskwą jak całe prawo mają za sobą, tak potrzeba, aby prawdę całą stawiali przy sobie Polacy, choćby to w chwilową miało się zmienić niekorzyść i chwilowe przynieść poniżenie. Wykrycie prawdy nie odmieni zresztą naszego z nimi stosunku. Jak Moskwa nie odstąpi naszych ziem, choćbyśmy ją przekonali, że do nich prawa nie ma żadnego, tak i my nie wyrzeczemy się naszych uczuć, przekonani,

naszych praw, cierpień, nadziei i całego duchowego jestestwa, choć dobrowolnie jej przyznamy, że Bóg użył jej za narzędzie do wymierzenia zasłużonej kary. Nikt się tu nie cofnie, nie zachwieje, nie wyprze swej roli, ani my, ani oni: my w pracy nad sobą i pokutniczem skupieniu czekając, aż przyjdzie Pańskie miłosierdzie; oni dumni, aż Bóg skruszy różgę, gdy się stanie niepotrzebną!

Z tej więc strony nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, choćby cała prawda o przeszłości była poznana. Ważniejszym wydaje się nam zarzut, że ogłoszenie dokumentów zeszlowiecznych pomnoży rozstrój w społeczeństwie polskiem. Gdyby w istocie tak być miało, bez wahania i na długo odłożylibyśmy całą pracę naszą. Bo lepiej nie znać przeszłości, niż przez nią przyszłość zamącać, bo próżną jest wszelka budowa, i nanic się nie zda wszelki materiał tam, gdzie między robotnikami niema harmonji i pokoju; bo wreszcie najgorsząby to było dla narodu wróżbą, gdybyśmy ze studjów nad historją upadku Rzeczypospolitej, zamiast upamiętania, mieli wynosić pochop do wzajemnych skarg na siebie. A i tutaj trzeźwy pogląd do innych wniosków doprowadzi niewątpliwie. Jak w całej Europie trudno byłoby znaleźć jakąś rodzinę świetniejszą, w którejby dziejach nie było przymroku — a to jej nie przeszkadza odbierać od ludzi czci, na jaką obecnie zasługuje — tak i u nas, choć wiele imion przyćmił wiek XVIII, niemasz dzięki Bogu żadnego, któreby w naszym stuleciu nie odświeżało się i nie podnosiło pracą dzisiejszych potomków. Więc jak śmieszna byłoby rzeczą bez zasług osobistych szukać dla siebie uznania w moc wątpliwej po dziadach spuścizny, tak równie śmieszne byłoby, a nawet niecnem bez win osobistych potępiać ludzi, którzy krajowi służą poczciwie. Doprawdy, niemasz na kogo cisnąć kamieniem! A jeszczeby godziło się zapytać, kto może ciskać, kto jest tak czysty? Nic pospolitszego, jak zarzuty przedajności; nietylko w książkach, ale i na ulicy spotkać się z nimi można; bo też od połowy XVII wieku mnóstwo najpierwszych dygnitarzy dotkniętych było tą zarazą. Ale nie sądzimy, żeby u nas przodków drugiego mógł ktoś obciążać tą winą, sam swobodny i z podniesionem czołem; bo niekoniecznie niewinnym był ten, o kim milczy historja. Znane są, to prawda, imiona ludzi, którzy swe sumienie sprzedawali za krocie; lecz nic dziwnego, że żaden ślad nie pozostał o tych, których kupowano za łyżkę strawy, za kilka talarów. A było takich, jak wiadomo, bardzo wielu: historja każdego rokoszu i każdej nieledwie konfederacji mogłaby na to dostarczyć dowodów. Więc potępiając grzechy przeszłości, nikt z nas

zapomnieć nie może, że na każdego mniej więcej jednaka spada za nie odpowiedzialność.

Błędem jest wreszcie mniemanie, iżby przedajność była tak przeważną naszych nieszczęść przyczyną. Zbyt niska to zbrodnia, i przy najmniejszym moralnym podniesieniu prędko się naród z niej otrząsa i staje się niedostępnym dla wpływów tak nikczemnych. Nie jest też prawdą, żeby u nas tylko była ona tak rozpowszechnioną. Przedawali się obcy Niemcy i Anglicy; przedajniejszymi byli od nas Szwedzi, a w Rosji dziś jeszcze przekupstwo panuje tak wielkie, jakiego w Polsce nie było nigdy, nawet za najgorszych czasów. Nie upadły jednak te państwa; muszą więc być insze, głębsze przyczyny złego, które nas obaliło. Historycy, którzy tych przyczyn wciąż szukają w przedajności, którzy ten zarzut nieustannie, a z pewną uciechą podnoszą, świadczą tylko o sobie — że nic więcej nie powiemy — iż sami ani dziejów, ani spraw publicznych, ani serca ludzkiego nie rozumieją.

Źródłem naszej niemocy politycznej, a zatem i głównym, jeśli nie wyłącznym powodem upadku były (wspomnieliśmy to już wyżej i każda karta niniejszej książki świadczy o tem wyraźnie) owe rozliczne niedostatki charakteru narodowego, które, całej klasie wówczas rządzącej właściwe, znajdowały swój typ skończony w tylu głośnych pyszałkach, od Zborowskiego i Zebrzydowskiego począwszy, a skończywszy na ostatnich Rzeczypospolitej hetmanach. W różnych czasach i w różnych ludziach ten sam charakter u nas się powtarza i już przez to samo zasługuje na rozbiór uważny. A nie powiemy, żeby to były studia należące jedynie do przeszłości, albo żeby się tyczyły jednej tylko klasy, dawniejszej szlachty; owszem, historyk sumienny wciąż musi sobie stawiać pytanie, azali te wady, które przez wieki grób pod stopami naszej Ojczyzny kopały, dziś jeszcze nie utrudniają jej odrodzenia? Było to zasługą szlachty polskiej, że swą gorącą miłość Ojczyzny, swą rycerskość i do ofiar gotowość umiała przelać, wśród walki pogrobowej, w inne warstwy narodu; i widzimy też od lat zgórą sześćdziesięciu z tych warstw podnoszące się bez przerwy postaci tak wysokie, że najczystszy typom polskiego niegdyś szlachectwa w niczem nie ustępują. Każdy dziesięć lat ich przymnażał, w każdej wojnie ich widziano, i dzisiaj na każdym polu służby publicznej jest ich tak wiele i tak zacnych, że nikomu już na myśl nie przyjdzie odróżnić: tyś syn szlachecki, a tyś miejski! Ale, szczepiąc cnoty swoje w klasach niższych, szlachta polska zaszczepiła także swoje wady. Te w mniejszych rozmiarach i przy zmienionych okolicznościach znajdują dziś wy-

obrazicieli z niejednej miary dawniejszym podobnych. Każdy ruch narodowy wyrzuca teraz, z niższych czy wyższych klas, cały szereg nowych ludzi; a patrząc na nich, rzekłbyś, że to z grobu powstałe antenaty, znane tak dobrze choć bez karmazynu pyszałki, którym tylko pola i środków brakuje, by po staremu wszystkie zebrania publiczne swoją osobą zapełniać, zagłuszać, by w całym kraju na swoją rękę zawiązywać konfederacje, by w swym kącie powiatowym o całej decydować Rzeczypospolitej! Rzadko w którym narodzie, mimo klęsk i strasznych odmian, dochowała się, jak u nas, taka przez długie pokolenia jednostajność usposobień: co się działo w XVII i XVIII stuleciu, to i dzisiaj bezmała powtórzyłby się mogło — gdyby nie ostrzegały: sumienie i przeszłość! Kto więc chce rzucić potępienie na przestępców z wieków minionych, niech je rzuca: ale zarazem niech przyłoży rękę do własnej piersi i posłucha, azali w niej się nie odezwą podobne dawnym rokoszowej pychy drgania! Jeśli przeto po wszystkie czasy i dla wszystkich ludzi nauka przeszłości uważana była za najlepszą mistrzynię, to u nas epoka tak bliska, jak koniec Rzeczypospolitej, najsilniejszą powinnaby być przestroga dla nas i dla naszych następców, najwięcej dostarczyć wątku do badań i rozmyślań: *Mutato nomine de te docet — historia!*¹⁾

Przestroga dla spótczesnych i dla następców, oto — w ostatecznym zestawieniu wielostronnych względów i rozumowań — powód stanowczy, dla którego pragnęliśmy widzieć ogłoszony jak najpełniejszy zbiór świadectw historycznych z czasów naszego upadku; powód zdaniem naszym tak ważny, że wobec niego prawie z oczu uchodzą wszystkie niedogodności, jakkolwiek niezaprzeczone i w podobnych publikacjach nieuniknione. Poznacie prawdę, mówi Pismo, a prawda was wyswobodzi! I gdyby w istocie był w narodzie naszym wstręt tak powszechny do szczerego w swej przeszłości rozpatrzenia się, wtedy dopiero możnaby już rozpaczać, bo wtedyby należało zwątpić o jego życiu i wyswobodzeniu. Zdrowych to organizmów jest cechą, że łakną prawdy, i że tylko odrodziły się i podniosły narody, które prawdę sobie mówić pozwalały: Włosi, których od początku bieżącego stulecia tacy mężowie jak Alfieri, Azeglio, a przedewszystkiem Cezar Balbo gromili ostro za ich gnuśność, rozwiążość, bezcelowość życia, polityczne fantazje i miękczący artyzm; Niemcy, którzy siebie tak twardo potępiali, że nawet w swej bogatej literaturze dowód własnej widzieli słabości, i którym pisarze

¹⁾ „Jeśli zmienić imiona (osób działających), (to się okaże, że to) o tobie poucza historia“.

jak Schlosser, Menzel, Gervinus, Hausser, wyrzucali głośno brak patriotyzmu, brak zmysłu politycznego, życie czysto naukowe, wygodne, przy lampie i w ciszy rodzinnej prowadzone, wreszcie zbytnią przed wielkimi uniżoność i biurokracją¹⁾. A któż sobie powiedział tyle słów gorzkich, co Anglicy podczas ostatniej wojny wschodniej, że już dalszych nie sięgamy epok? Ci nawet z tego sztychli — co każdy naród u siebie szanuje — z własnego wojska, i za wzór dla siebie stawiali odwiecznych współzawodników, Francuzów. I kiedy te narody, w cierpkiej prawdzie na każdą niemoc szukając lekarstwa, nie obawiały się uchodzić za lichsze nawet i słabsze, niż były niemi w istocie, my tylko jedni, wspinając się na paluszkach wzdętej pychy, własną, od nikogo nie przyznaną pojąc się chwałą, głosiłiśmy siebie narodem wybranym, a każde choć najlżejsze upomnienie straszne odrzucaliśmy słowem: Brzydki ptak, co własne swe gniazdo kala! Jakby prawda kalać mogła! jakby upojenie było siłą! Jakby sąd surowy o sobie nie przynosił zaszczytu i jakby nie ten dopiero w oczach drugiego się poniżał, co sobie przyznawał cnoty, których nie posiada!

Ogłaszając dokumenta w niniejszym tomie zawarte, chcieliśmy ułatwić ich zrozumienie czytelnikowi, mniej z szczegółami historycznymi obeznanemu, i poprzedziliśmy je wstępem, obejmującym epokę Stanisława Augusta, od jego wyboru aż do zjazdu kaniowskiego. W tym wstępie nie mieliśmy zamiaru zkolei wszystkich opowiadać faktów, ograniczyliśmy się raczej na krytycznym ocenieniu ważniejszych; przytem staraliśmy się zaznaczyć tak dobrze zachowanie się każdego z osobna rządu zagranicznego w stosunkach z Polską, jak postępowanie ówczesnego rządu polskiego i opozycji. Pilnując się źródeł, byliśmy nieraz zmuszeni odstąpić w tej pracy od przyjętych po dziś dzień sądów i wyobrażeń. Znadto wszakże nam wiadomo, jak trudno jest przy źródłach tak niedostatecznych, przy namiętnościach wzburzonych i interesach tak z sobą krzyżujących się, dotrzeć do istoty rzeczy, abyśmy z całą pewnością na własnych polegali sądach i nie mieli przypuścić, że one niejednej odmianie ulegną. Za to tylko możemy zaręczyć, żeśmy wszędzie i dla wszystkich szukali prawdy.

¹⁾ Allieri, znakomity dramaturg i satyryk włoski XVIII w.; Azeglio i Balbo — włoscy pisarze i mężowie stanu XIX w.; Schlosser, Menzel, Gervinus, Hausser — niemieccy historycy tegoż wieku

STANISŁAW TARNOWSKI (1837—1917).

O „Ślubach panieńskich“¹⁾.

Czy komedia jest, czy może być poezją? Nie ta fantastyczna naturalnie, w której wróżki i księżęta z bajek spacerują po zaczerpniętych ogrodach, gdzie Arjel śpiewa nad głową Fernanda, Tytania kłóci się z Oberonem, a Puck niezgrabny po raz pierwszy w życiu rozkochuje w Helenie Ateńczyka, ale nie tego, co trzeba²⁾: ta jest poezją, nikt jej tego, przynajmniej dotąd, nie przeczył. Ale ta rzeczywista i powszednia, której bohater wygląda, żyje, jak my wszyscy, mógłby być naszym sąsiadem, przyjacielem, bratem, bohaterka podobna do naszych sióstr i kuzynek, a rzecz dzieje się nie w państwie wrózek i czarów, ale na wsi pod Sandomierzem, Lublinem, Przemyślem, Poznaniem lub Berdyczowem, lub w salonie paryskim czy warszawskim, ale takim, jak wszystkie? Rzadko, rzadko, niestety! Jest w codziennej powszedniości naszego życia i w żartobliwej, drwiącej naturze komedji coś, co poezji przeszkadza, ideał robi nieprawdopodobnym, zabija natchnienie, nie pozwala na styl poetyczny. Stąd to poeci i krytycy, nadęci własną powagą, patrzą zgóry na komedję, nie pozwalają jej pokazywać się na Parnasie i jednej z dziewięciu Muz, biednej Talji, każą stać za drzwiami, jako niegodnej. Czy to słusznie? — — Bo Talja, prawda, czasem się zapomina, czasem lubi złe towarzystwo, poniewiera się po małych teatrzykach, miewa takie dziwne pomysły, że niktby się w niej nie domyślił Muzy i bogini. Przecież czasem, jak młody weneccjanin np. wykradnie piękną żydówkę i w noc księżycową rozmawia z nią o muzyce³⁾, Talja miewa natchnienia, którychby jej pozazdrościć mogła nawet wzniosła Polihymnja⁴⁾. Ale to Szekspir; to komedia także, choć trochę przynajmniej, czarodziejska. Ale w tej prawdziwie społecznej i potocznej? Kto wie, czasem. Cóż może być prozaiczniejszego na świecie, jak Bawarczyk i monachijski bursz, a przecież jest pewien Fantasio; dependent od notariusza także nie bywa zwykle otoczony poetyczną aureolą, a jednak jest pewien Fortunio...⁵⁾. Ale to także inna kategoria, to Musset, to kapryśna

¹⁾ Z dziełka „Komedje Aleksandra hr. Fredry“ (trzy odczyty publiczne, wygłoszone w Warszawie w r. 1876). — ²⁾ Mowa o sytuacjach i osobach z komedji Szekspira „Burza“ i „Sen nocy letniej“. — ³⁾ Sytuacja z „Kupca weneckiego“ Szekspira. — ⁴⁾ Polihymnja to muza poezji lirycznej, gdy Talja — muza komedji. — ⁵⁾ Mowa o bohaterach komedji znakomitego francuskiego poety romantycznego Musseta.

fantazja, która tylko rzeczywistość udaje, to poezja przebrana za komedję. A chodzi o prawdziwą. Gdzie w komedji prawdziwej od Arystofanesa do Sheridan'a i od Moljera do Sardou, gdzie jest poezja? ¹⁾)

Gdzie? Tam, gdzie bez lirycznych dygresyj, bez pretensji i bez zamiaru może stworzenia czegoś poetycznego, bez sytuacji bardzo zajmujących, owszem, w najprostszych i najpotoczniejszych, autor umiał figurom swoim nadać tyle wdzięku, że one są nie tylko żywe i zabawne, jak często w komedjach, ale i ładne; gdzie młody chłopiec w swoim trzpiotostwie taki miły, taki figlarny, taki wesół i dowcipny, że wszystkie kobiety za nim przepadają, wszyscy chłopcy mu zazdroszczą, a w swoim uczuciu tak porywający, taki śmiały i taki pewny, że kiedy o nim mówi, robi się miękko na sercu; i znowu chłopcy zazdroszczą, a zazdroszczą i panie i panny tej, która takie oświadczenie słyszała; gdzie młoda dziewczyna, „czysta jak śnieżek, co świeżo poproszy“, świeża jak kwiatek, prosta jak dziecko, ciekawa jak Ewa tego uczucia, które po raz pierwszy „westchnąć ją przymusi“, przyjmuje je z takim szlachetnym i niemylnym instynktem kobiecej godności; gdzie w jakimś wiejskim dworze pod Lublinem między balem „Pod złotą papugą“, płaczkami burami starego wujaszka i poważnymi morałami matki przedzie się romans zwyczajny i prosty, ale ładny, jak najładniejsza idylla: — w *Ślubach panieńskich*.

I to cały sekret. Pytamy się nieraz, dziwimy się, dlaczego one podobają nam się tak bardzo, dlaczego sto razy widziane za setnym nie tracą nic na uroku. To nie skutkiem akcji bardzo bogatej i efektownej, jak w *Weselu Figara* ²⁾), nie skutkiem charakterów bardzo potężnych i głębokich, jak w *Tartuffie* lub *Mizantropie*; nie skutkiem błyszczącego dowcipu, bo niema go tu więcej, niż w innych sztukach Fredry; ale skutkiem tego, że w tej parze kochanków jest wdzięk nieśmiertelny młodości. A wdzięk, kiedy dochodzi wysokiego stopnia, staje się poezją. Cóż to jest ten wdzięk w kobiecie, którego nikt określić nie umie, a o którym wszyscy mówią, że znaczy więcej, niż piękność? To jest w duszy, w sercu, w wyobraźni tej kobiety poezja, która przebija przez jej słowa, ruchy, wyraz twarzy i otacza ją kręgiem czaru, któremu poddać się musi, kto w niego wstąpił. Co jest ta władza, ten wpływ, jaki wywierają czasem mężczyźni na drugich mężczyzn? To nie wyższość rozumu,

¹⁾ Sheridan — angielski autor dramatyczny z końca w. XVIII, Sardou — komedjopisarz francuski drugiej połowy w. XIX. — ²⁾ Sławnej komedji Beaumarchais'go (druga połowa XVIII w.).

nie tylko siła woli, w takim razie Fryderyk byłby tak samo ludzi podbijał i fanatyzował, jak Napoleon, — ale jakiś pociąg magnetyczny, jakiś dar działania na wyobraźnię, właściwy tylko ludziom, którzy naprawdę poetyczni są. Urok ten mężczyźni, jak i wdzięk wielu kobiet, może być szkodliwym, niebezpiecznym, na złe użytym; wszystko to prawda, ale gdzie on jest, tam musi być jakiś promień poezji w osobistości, która go wywiera.

Otóż z kreacjami wyobraźni jest podobnie. Jeżeli one nie bawią tylko lub śmieszą, ale się podobają tak, że chciałoby się je lubić, że się do nich czuje sympatję, jak do żywych ludzi, że każde ich uczucie lub wrażenie odbija się podobnym w naszym własnym sercu, że kiedy im dobrze, to nam miło, a kiedy im smutno, to myśmy płakać gotowi: wtedy rzecz niezawodna, w tych kreacjach jest poezja.

W komedji, prawda, jest takich bardzo mało, zwłaszcza mało między kochankami. Te figury, o które właśnie chodzi i które z natury rzeczy w moc swego uczucia i położenia powinny być najbardziej zajmujące, — jak na złość, są najczęściej blade, sztywne, mdłe, konwencjonalne i nudne. Gdzie jest w komedji, z wyjątkiem naturalnie Szekspira i z wyjątkiem Musseta, para kochanków tak ładna, jak Gustaw i Aniela? Nie u Moljera, ani Beaumarchais'go. Figaro i Zuzanna ¹⁾) mają daleko więcej dowcipu, niż Gustaw i Aniela, ale żeby samą swoją miłością tylko tak zajmowali i tak się podobali, to nie. Alcest i Celimena ²⁾) całą swoją wartość i cały swój wdzięk niepospolity zresztą biorą stąd właśnie, że nie są parą zakochanych. Miłość prosta, wzajemna, pocziwa, szczęśliwa, któraby bez przeszkód i perypetyj szła prosto do ołtarza, a zdołała sobą tak zająć, tak całą sztukę zapełnić, to istotnie w komedjach trafiać się nie zwykło, a postaci, podobnych do Gustawa i Anieli, takich ładnych typów młodości i miłości wogóle niewiele jest w literaturze. Nieledwie łatwiej o takie w życiu, jak w sztuce. Dziewczyna miła i urocza, sympatyczny chłopiec, to na świecie, dzięki Bogu, spotyka się dość często. Ale w utworach wyobraźni bohater, który jest tylko dobrym, miłym chłopcem i niczem więcej, bohaterka taka sama, oboje zwyczajni, a przecież poetyczni, to bardzo rzadkie, i, w naszej literaturze przynajmniej, drugą taką parę kochanków, zupełnie inną, ale, jak ta, pełną wdzięku w codziennej zwyczajności natury i położenia, spotkać można tylko wysoko ponad komedją, tak wysoko, że już wyżej niema nic w naszej poezji, w *Panu Tadeuszu*.

¹⁾ Z „Wesela Figara“. — ²⁾ Z moljerowskiego „Mizantropa“.

A więc nie pytajmy, dlaczego nam się *Śluby* tak podobają: to cała a przynajmniej główna przyczyna. Są inne, pomniejsze, jest doskonały i zabawny Radost, jest śliczna Klara; ale to wszystko nie byłoby zrobiło ze *Ślubów* najulubieńszej ze wszystkich komedyj polskich, gdyby nie było podniesione poetycznym wdziękiem Anieli i Gustawa.

Wujaszek, matka, starzy przyjaciele, ułożyli projekt małżeński, sprowadzili kawalera, żeby pannę zobaczyć. Kawaler, dzieciak jeszcze wielki, pomimo swoich lat dwudziestuczterech lub pięciu, ma się trochę za Cezara i myśli, że dość mu będzie przyjść i pokazać się, żeby zwyciężyć. Panna widzi to dobrze, oburza się, przyjmuje jego i jego starania z niezmienną, a co więcej nawet, przez jakiś czas z nieudaną obojętnością. Młodzieniec, tem zdziwiony, zaczyna na nią uważać, zadawać sobie pracę, nadarmo. Zdziwiony coraz bardziej, upiera się przy swoim, musi zwyciężyć, nie przez upór i miłość własną tylko, ale już i przez coś więcej. Już on poznał, że to głowa, co myśli, wyobraźnia, która ma swoje marzenia, wola, która ma swoje żądania. Poznał, że ta, którą uważał za tuzinkową istotę, to nie lalka, ale dusza, i kocha. A ona, kiedy usłyszała słowa prawdziwego uczucia, choć nie do siebie niby zwrócone, uwierzyła i zaczęła kochać także. Oto cała ich historia najprostsza, najwyczejniejsza na świecie. Ale jak ładna, z jakim wdziękiem, z jaką znajomością ludzkich uczuć, z jakim delikatnem cieniowaniem przeprowadza autor swoich bohaterów od obojętności, lekceważącej z jednej strony, podejrzewającej ze strony drugiej, aż do miłości! Ta gra uczuć, to ich stopniowanie, ta walka miłości i woli męskiej z kobiecą stanowi właściwą treść i największy powab sztuki.

Czy są w niej błędy? Bardzo małe. Ekspozycja jest nieco za długa, skoro intryga zawiązuje się dopiero w końcu drugiego aktu (sc. VII, monolog Gustawa): ale któż się spostrzeże, że jest tak, kto ma czas i uwagę o tem myśleć, patrząc na Gustawa, wracającego z nocnej wyprawy, na uroczyste śluby panien, na desperację Radosta, albo słuchając wzajemnych przytyków Gustawa i Klary. Podstęp Gustawa, podstawa całej dalszej akcji, niedość może wyraźnie oznaczony w kilku wierszach monologu, które, w graniu zwłaszcza, łatwo mogłyby ująć uwagi widza. Zakończenie znowu idzie może za prędko nawspak zawiązaniu, które postępuje zbyt pomału; w piątym akcie zmierza wszystko do końca przyspieszonym pędem, i byłoby może lepiej, żeby eksplikacja Radosta z panią Dobrońską np. odbywała się na scenie, albo żeby scena ostatnia trwała cokolwiek dłużej, była więcej rozwiniętą: ale to rzeczy małe;

a zresztą co tam wytknąć można? Chyba jakieś drobne zaniedbania w wierszach. Nie mógł np. Gustaw powiedzieć Anieli, że go od ułożonego związku „mniej zamiar, więcej wstręt oddała“: tego nigdy mężczyzna kobiecie nie powie, nawet kiedy do niej wstręt czuje, cóż dopiero... Zastąpić to wyrażenie innem lepszem było bardzo łatwo, tylko autor nie uważał, nie zastanowił się. Oto podobno wszystkie grzechy *Ślubów*, z dodaniem jednego jeszcze, ale ten jest większy. Kontrast czulego Albina z trzpiotem Gustawem, prawo przeciwieństw, mocą którego lgną do siebie natury najbardziej odległe (Albin do Klary), wymyślone jest dobrze. Ale w wykonaniu Albin jest chybiony. Sentymentalność jego jest tak przesadzoną, tak śmieszną, że z nią on ani Klarze, ani żadnej innej podobać się nie mógł. Tymczasem autor chciał czego innego, chciał, żeby Albin Klarę gniewał, karcił, niecierpliwiał, a przecież, na złość jej woli i naturze, żeby ją pociągał, żeby to prześladowanie, to niemiłosierne znęcanie się nad nim było z jej strony zemstą za to, że mimo jej woli mógł i śmiał jej się podobać. Sytuacja taka byłaby śliczna, ale z takim Albinem nie jest prawdopodobna. Mężczyzna, który prawi ciągle o swoich łzach i chce od kochanki, żeby z nim „kwiliła“, jest za śmieszny, i przekonany o zbrodnię mazgajstwa¹⁾, która podług kobiecego kodeksu nigdy darowaną być nie może, skazany będzie na śmierć w stanie kawalerskim. Wprawdzie Klara idzie za niego niby ze strachu tylko, ale kiedy strach minął, ona się nie cofa; widać, że pod strachem była i ochota: mówi zresztą wyraźnie, że „kochać go musi“. To należało usprawiedliwić, a usprawiedliwić było można, tylko robiąc Albina mniej śmiesznym i dając mu choć trochę tego sympatycznego wdzięku, jaki autor zlał tak na Gustawa, Anielę i Klarę.

Ci troje są nieporównani. Klara ze swoim ostrym językiem, zawsze gotowa do odpowiedzi, dzielna w ataku, nieustraszona w odparciu, a nawet kiedy jest zmuszona do odwrotu, cofająca się w porządku, kiedy kapituluje, to ze wszystkimi honorami; Klara,

Co rzadko spocząć, rzadziej milczeć zdoła,
Sprzeczną z układu, z natury wesoła,

jest z familji wielkiej Beatrice z *Much ado about nothing*²⁾, a jej wojna na dowcip z Gustawem przypomina wojnę tamtej z Benedyktem. Że Fredro nie znał Beatrice, to można przypuszczać napewno. Znajomość Szekspira właściwie ledwo się u nas zaczynała,

¹⁾ T. j. skoro mu dowiedziano tę zbrodnię. — ²⁾ „Wiele hałasu o nic“ — komedia Szekspira; Beatrice i Benedykt — jej bohaterowie.

kiedy on pisał *Śluby*, ograniczała się do kilku co najwięcej sztuk najświetniejszych; nie zdaje się zresztą, żeby nasz autor z wielkiem zamiłowaniem czytywał był Szekspira. Ale że te dwa charaktery są podobne, to pewna, i to najpochlebniejsza pochwała, jaką Klarze oddać można. Zbliżyć się do takiej kreacji, jak Beatrice, nie znając jej, mieć tyle fantazji, tyle dowcipu, tyle życia, żeby aż do niej być podobną, w niczem jej nie naśladować: to sztuka, której można powinszować autorowi i jego kreacji. Od pierwszej chwili, kiedy się zjawia na scenie, jak fajerwerk wesołości i dowcipu, nie podupada, nie słabnie nigdy: zabawna, kiedy naucza Anielę, że

Do przyszłości duch każdej przykuty,
Żyje dla nieba, kocha dla pokuty,

pusta, kiedy powtarza, co „babunia jej śpiewała“, nielitościwa, kiedy drwi z Gustawa, paradna, kiedy zgorszona i oburzona woła: „I jakże ma być porządek na świecie“, kiedy mężczyźni chcą rządzić; najładniejsza jest dopiero wtedy, kiedy się łąsi Gustawowi, szuka Albina, Radostowi depcze po nogach, a Anieli tłumaczy, że jedna powinna złamać śluby, żeby choć druga mogła ich dotrzymać. Klara w kłopotach, w strachu, Klara pobita, tak przewyższa samą siebie, że każdy, ktoby taką spotkał, mógłby sobie mówić: „aj, strach! trzymaj się, Albinie!“

Która z nich ładniejsza? Klara ze swoim charakterem śmiałym i ze swoim świetnym dowcipem na pierwszy rzut oka olśni bardziej, zrobi więcej efektu. Była też zapewne łatwiejsza do odmalowania. Aniele spokojniejsza, poważniejsza, uważająca na każde swoje słowo, nie ma tak błyszczącego pozoru. A jako trudność: co może być trudniejszego, jak stworzyć taki typ panny, jak być powinna, a nie zrobić jej ani pedantką, ani trusią ze spuszczonej oczyma i zasznurowanymi ustami, ani zbyt naiwną, ani sztywnie godną, tylko właśnie w każdym słowie, w każdym ruchu taką, jaką być powinna, taką, jaką każdyby chciał, żeby była jego siostra albo córka. Aniele jest w całym znaczeniu słowa porządna panna; Klara także jest bardzo porządna, ale jest trochę kozak: Aniele jest bez restrykcji¹⁾ i zupełnie taka, jak potrzeba. Ale dlatego właśnie, że nie ma żadnych dodatków, że ma postawę tak spokojną i cichą, na pierwszy rzut oka przy Klarze może się wydać indywidualnością cokolwiek bierną i bladą, mogła była nawet taką być, gdyby nie jej wdzięk kobiecy; gdyby nie to uczucie, które w niej rośnie, a wyraża się tak mimowolnie a tak ładnie; gdyby nie ta ciekawość

¹⁾ Bez zastrzeżeń.

urocza, z jaką ona o miłości myśli, gdyby nie te naiwności cudowne, które czasem jej sekret zdradzają, gdyby nie ta godność prosta i nieświadomość siebie, z jaką ona odczuwa pierwsze oświadczenie Gustawa; gdyby nie zdziwienie nieprzyjemne, z jakim się dowiaduje, że to miłość ku innej osobie; gdyby nie ten popęd serca tak młody, tak dziewczęcy, tak łatwowierny, za którym idąc, chce pomagać w tej sprawie; gdyby nie to, że na propozycję Gustawa odpowiada nawet nie oburzona, tylko zdziwiona: „co, takie listy jabym pisać miała?“ i gdyby nie to, że ten list pisze, i gdyby nie to, że go przed matką chowa... *Ange par l'amour, enfant par la foi, femme par le coeur et poète par les rêves c'est une polonaise*¹⁾ — mówi francuski autor; możnaby dodać: to Aniele, i jedno byłoby prawdą, jak drugie, bo z pewnością jest ona jednym z najwierniejszych i najładniejszych typów polskiego dziewczęcia, z którego kiedyś zrobi się kobieta, *homme par le cerveau, vieillard par l'expérience*, czasem i *démon par la fantaisie*, ale częściej: *géant par l'esperance et mère par la douleur*²⁾.

A ten list i scena, która go poprzedza (akt IV), co za prześliczny duet miłosny! Już to Aniele to imię szczęśliwe w naszej poezji, a Aniele mają w niej szczególne jeszcze szczęście do listów. Bohaterka *Beniowskiego* pisze z głowy najpiękniejszy, jaki być może³⁾; ta pisze pod dyktowaniem tylko, i nie pisze nawet, ledwie go zaczyna, ale jaką ma scenę! Jest i komedia w tej scenie, i to komedia najwyższa, najwykwintniejsza, jak być może, np., kiedy Gustaw, zawoławszy w uniesieniu: „kocham cię nad życie“, miarkuje się i dodaje: „pisz z łaski swojej“, a biedna Aniele, która już była zapomniała, że to nie do niej, pyta smutno, co ma pisać dalej. Ale co za wdzięk komedji, co za wdzięk poetyczny, co za śpiew miłości, kiedy Gustaw uczy Anielę wymawiać ten wyraz, którego Wallenrod nauczył Aldonę, albo, kiedy wpaja w nią wiarę, że „są dusze dla siebie stworzone“, albo, kiedy maluje to, co,

Kiedy polot myśli

Obraz nam szczęścia czasami zakreśli,

staje zawsze na pierwszym miejscu w tym obrazie⁴⁾. Mężczyzna mówi tem śmieiej, tem goręcej; kobieta tem śmieiej słucha, że

¹⁾ Anioł w miłości, prawa jak dziecko, sercem kobieta, a poeta w marzeniach — to Polka. — ²⁾ O męskim rozumie, o doświadczeniu starca..., z wyobraźnią demona..., mocna, jak olbrzym, nadzieją, wielka w cierpieniu, jak matka. — ³⁾ „Beniowski“, pieśń IV, w. 289—376; o liście tym pisze sam poeta, że „w niebo rwał i w piekło spychał“. — ⁴⁾ T. j. kiedy maluje miłość (akt IV, sc. III, w. 148—166).

niby o innej: on szczęśliwy tę chwilę obecną odbywa, jak żeby¹⁾ próbę szczęścia przyszłego, kiedy jej wprost będzie mógł powtórzyć to samo, czuje razem rozkosz, którą ma, i przeczucie tej, której się spodziewa; u niej dusza się otwiera, jak kwiat pod promieniem słońca, pod wrażeniem tych słów, których nie byłaby chciała słuchać, gdyby były do niej wprost wymierzone. Jak ślicznie wyglądają: ona z piórem w ręku, on schylony nad jej głową, mówiący rzeczy, których ona do siebie nie bierze, i korzystający z tego, że ona nie widzi, żeby na nią patrzeć z rozczuleniem, z uniesieniem. Z wyjątkiem Musseta niema nigdzie ładniejszej sceny miłosnej w komedji. A Gustaw? Gustaw jest najmilszy trzpiot i najładniejszy kochanek w polskim teatrze (nie mówi się naturalnie o poważnych bohaterach dramatów Słowackiego). Filut, pieszczoch, zepsute dziecko ze stryjaszkiem, fanfaron z pannami, jak długo nie kocha; od chwili, kiedy kochać zaczął, zmienia się, dojrzewa, i z miłego fircyka robi się mężczyzna, który chce i wie, czego chce, i czuje swoją siłę. Wesołości, dowcipu, żywości nie traci, ale nabiera takiej pewności siebie, takiej równowagi, takiej wyższości wobec Anieli i Klary, że żadna już nie śmie z niego żartować, że jedna go kocha, a druga, co dziwniejsza, słucha, choć nie kocha. Wyszedł na człowieka w przeciągu tych kilku godzin. A z jaką wymową, z jaką siłą umie „wycisnąć swoich uczuć piętno“ na sercu Anieli, jak umie i rozkochać i być zakochanym, jaki jest przytem mądry w postępowaniu z Anielą, jaki dowcipny z Klarą, jaką ma filuterję i kokieterję z Radostem: nie dziw, że wie, co to magnetyzm, bo działa magnetycznie na wszystko, co się do niego zbliży, — od Anieli aż do czytelnika.

Gdyby Albin, w swoim rodzaju sentymentalnym, miał choć cokolwiek tego wdzięku, jaki ma w swoim Gustaw, i był tak do niego dobraną parą, jak jest Klara dla Anieli, *Śluby panięskie* byłyby doskonałością. Albin, choć bardzo zabawny, choć się go lubi takim, jak jest, — jest achillesową piętą sztuki. Ale Achilles, pomimo pięty, był pierwszym z Greków, *Śluby*, pomimo tego, co im zarzucić można, są pierwszą z polskich komedyj. A komedja, która przy bardzo dobrej budowie, przy prostej, ale bardzo żywej i doskonale prowadzonej akcji, przy humorze najweselszym i najświetniejszym dowcipie, ma charakter skreślony z wielką psychologiczną prawdą: taka komedja spełniła swoje zadanie; odpowiedziała wszystkiemu, czego od niej żądać można. A jeżeli nadto ma coś więcej jeszcze,

jeżeli jej postacie są wiernymi a pięknymi typami natury tego narodu, do którego należą; jeżeli w powszedniości swojego położenia i mierze przeciętnej swoich natur mają niezwyčajny urok poetyczny; jeżeli każda z nich jest nie wielkim i patetycznym, ale wdzięcznym i sympatycznym ideałem: wtedy komedja daje już więcej, niż winna, dotrzymuje więcej, niż obiecuje, wtedy wkracza już w sferę poezji i przestaje być ładną lub bardzo ładną, co zwykle bywa ostatnim kresem jej ambicji i możności, a ma prawo nazywać się — piękną.

JULJAN KLACZKO (1823 — 1906).

Z książki „Rzym i Odrodzenie“¹⁾.

Pod sklepieniem kaplicy Sykstyńskiej²⁾.

„Dzięki postawie, w jakiej maluję, dostałem już wola, a brzuch mój brody dotyka. Im wyżej wznoszę ją ku niebu, tem więcej mój opuszcza się ku ramionom, a pędzel kapiący zrobił z mej twarzy pyszną różnobarwną mozaikę. Nogi już mi w żołądek weszły, a oczy nie widzą, dokąd kierują kroki. Mój umysł wydaje sądy fałszywe i dziwaczne: zgięta strzelba nie trafi do celu... Brońże, przyjacielu, mego talentu i honoru, gdyż oba zwiędły. Już wytrzymać w tem miejscu nie mogę — nie moją rzeczą jest malarstwo“. Taki sonet komiczno-posępny posłał Michał-Anioł do Jana da Pistoia w chwili zniechęcenia i złego humoru; a wiele chwil takich przeżył pod sklepieniem Sykstyń... Źle ustawione rusztowanie malarz czem prędzej zrzucić kazał i zastąpić budową niezmiernie mądrze obmyślaną. „Zbudował most rozmiarów samej kaplicy, na tej estradzie ustawił kilka wież ruchomych różnych wymiarów, które pozwalały mu dosięgnąć sklepienia w każdym miejscu, a sklepienie to miało nierówną wysokość. Ponieważ okna znajdowały się pod mostem, musiał obmyślić sposób, aby światło do niego dochodziło; musiał też znaleźć sposób łatwego zdjęcia desek, aby móc zdołu oceniać swą pracę“³⁾. Zaledwie rozłożył się w swej napowietrznej pracowni (październik 1508 r.), już chciał wszystko porzucić — jakaś pleśń szczególna pokryła pierwszy szkic, malowany na sklepieniu — i sądził, że wszystko stracone. Pobiegł do papieża: „Wasza

¹⁾ Zamiast „jakgdyby“ (indywidualna osobliwość stylu Tarnowskiego).

¹⁾ Oryginał francuski (1893); przekład polski Antoniny Morzkowskiej. — ²⁾ W skróceniu. — ³⁾ Heath Wilson, *Life of Michel-Angelo*, str. 119 (p. a.).

Świątobliwość widzi, że nie jestem malarzem¹. Papież wysłał natychmiast na miejsce budowniczego da San Gallo, który przekonał się z łatwością, że wilgoć nadzwyczajna świeżo otynkowanego muru była jedyną przyczyną ztego. Może z tego powodu Buonarrotti znieawidził swoich pomocników, *frescanti* tokańskich¹).

Sprowadził sobie bowiem do Rzymu całą grupę artystów florenckich, mniej lub więcej znanych: Granacciego, z którym od dzieciństwa był w przyjaźni, Bugiardiniego, Jacopo di Sandro, Indaco, Agnolo di Donino, Aristotila, i zawarł z nimi formalną umowę: mieli mu pomagać w malowaniu murów, w robocie, którą przedsięwziął. Wielka naiwność towarzyszy nieraz wielkim genjuszom. Michał-Anioł naiwnym był bezwątpienia, sądząc, że jego sztuka lub charakter zniosą jakichkolwiek współpracowników. Pewnego dnia (styczeń 1509 r.) *frescanti* znaleźli drzwi od kaplicy zamknięte, jak również mieszkanie malarza: pomyśleli tedy, że najlepiej zrobią, gdy powrócą do Florencji.

Mistrz wyrzekł się odtąd wszelkiej pomocy: przywiązał się do swego dzieła z tą mieszaniną zapału i zniechęcenia, które nadają tak ciekawy i wzruszający charakter tej epoce jego życia. Zaczyna od końca, od *Potopu*, i maluje w kierunku odwrotnym od tego, w którym oglądamy jego malowidła: idzie od wschodu ku zachodowi, od wejścia do ołtarza. Maluje sekcjami, szerokimi pasami, które jednocześnie obejmują część sufitu i pochyłości bocznych. W miarę posuwania się roboty artysta nabiera swobody i śmiałości aż do rozpętania: postaci dekoracyjne obszernej kompozycji, początkowo symetryczne, w miarę spokojne, później drgają ruchem, wstrząśnieniem gwałtownem. — —

Po trzech latach pracy zawziętej, gorączkowej, o czym świadczy sonet pisany do Jana da Pistoia oraz listy do rodziny wysyłane, sklepienie właściwe było prawie skończone, pozostały tylko lunety i trójkąty (*Przodkowie Chrystusa*)². Wtedy właśnie katastrofa bolońska³) przywiodła papieża Juliusza II zpowrotem do Rzymu, po dziesięciu miesiącach nieobecności w tym mieście. Wczorajsze klęski i groźne niebezpieczeństwa nie przeszkodziły papieżowi do natychmiastowego zajęcia się sprawami artystycznymi. Pozował więc Rafałowi do ostatniego fresku w Kołnacie *della Segnatura*, której wspaniałość pragnął pokazać światu.

¹) *Frescanti* — po włosku = malarze fresków. — ²) Lunety — półkoliste płaszczyzny nad oknami; trójkąty — powyżej lunet (na załączonej reprodukcji trójkąty są widoczne, lunety — niewidoczne); między trójkątami — sławne postacie Proroków i Sybill. — ³) T. j. utrata Bolonji, którą był przedtem zdobył papież.

A gdyby pokazać też światu Sykstyne? Część jej przynajmniej... przez kilka dni jedynie... z okazji jakiejś wielkiej uroczystości religijnej?...

Znając usposobienie Michała-Anioła, dziwić się można, że ustąpił fantazji papieża, że kazał rozebrać ów „most“, potrzebny jeszcze do dalszej pracy. Może nie śmiał odmówić papieżowi, którego los tak doświadczał w tej chwili, który zdawał się być bliskim zgonu; może też do tej powolności przyczyniła się chęćka zaćmienia Rafała i jego Komnaty. Dość, że dnia 15 sierpnia 1511 r. Paris de Grassis mógł zanotować, co następuje: „Wigilja i Święto Wniebowzięcia N. M. P.: Papież zapragnął wysłuchać niesporów i mszy świętej w wielkiej kaplicy pałatyńskiej. Jest to kaplica pod wezwaniem Wniebowzięcia N. M. P., papież przybył tu z nabożności, a także dla obejrzenia malowidła, świeżo odsłoniętego“... Przez dni następne cały Rzym tłoczył się do kaplicy pałatyńskiej (t. j. Sykstyńskiej).

Przypuszczam, że zwiedzających musiało odrazu uderzać w tem olbrzymiem dziele zastosowanie postaci ludzkich do celów tak wielorakich i różnorodnych. Świat Michała-Anioła znał tylko jedno panowanie człowieka, wykluczające wszystkie inne królestwa natury. Człowiek pochłaniał i zastępował tu wszystkie zjawiska wszechświata. Niema tu nigdzie ani nieba, ani widnokregu, ani krajobrazu, ani pomnika architektonicznego; nic, tylko postać ludzka wszelkiej barwy: ciała, bronzu, marmuru i ze wszelkimi wyrazami, tu jako wcielenie idei najbardziej transcendentalnych¹), tam jako prosty motyw podstawy, lub motyw ornamentacji i arabeski. Człowiek-Bóg w Jehowie, człowiek-Duch w Prorokach i Sybillach, człowiek-bohater w osobach biblijnych, człowiek-roślina w kolosach pełzających i wspinających się wzdłuż okien, człowiek-kamień w *putti* jednobarwnych, w pacholętach-karjatydach, człowiek-kroksztyn w *ignudi*, zapomocą girland i szarf podtrzymujących olbrzymie medaljony²). Postać ludzka była zawsze dla Buonarrotiego kształtem absolutnym, jedynym środkiem do wyrażenia wszystkiego i w każdej okoliczności.

Niemniej nadzwyczajnem wydawać się musiało staranne unikanie ogółu typów, symbolów, emblematów, konwencjonalizmów sztuki chrześcijańskiej — takich, jakie rozwinęły się przez długie wieki pod ręką tylu znakomitych mistrzów. Michał-Anioł maluje

¹) Tu tyle co nadzmysłowych. — ²) Prorocy i Sybille — postacie siedzące, umieszczone pomiędzy bocznymi trójkątnymi obrazami (zob. reprodukcję): z obu stron każdej z nich — po parze pacholąt (*putti*); nad nimi, po czterech rogach każdego z głównych obrazów, niby kroksztyny (t. j. wsporniki, tramy wystające z muru) — nadzy młodzieńcy (*ignudi*). Karjatyda — posąg podtrzymujący belkowanie.

aniołów bez skrzydeł, świętych bez aureoli, Boga-Ojca bez korony i kuli ziemskiej. Rzuca draperje fantastyczne, niepodobne do kostjumu idealnego lub ubrania realistycznego szkół dawnych. Michał-Anioł odrzucał wielkie dziedzictwo przeszłości, nie istniał, zda się, dla niego drogocenny skarbiec wierzeń, legend i pomysłów, zgromadzony w ciągu wieków; jego natchnienia, jego modele przekraczały zakres znany jego poprzednikom, brał je z nieznanymi mglistych sfer, dając początek sztuce, która wyzywała wszystkie przyjęte zwyczaje, wszystkie uświęcone tradycje.

Sztuka to szczególna, dumna, arbitralna, wyłączająca zupełnie piękność, wdzięk, miłe wrażenie, dbała jedynie o kolosalność, patos, nagość! Przez zamiłowanie do nagości nie dał wieńca z liści figowych parze wygnanej z Raju; kolosalność stała się tu udziałem nie tylko proroków i bohaterów, lecz także postaci drugorzędnych, nawet czysto dekoracyjnych. Mały wogóle istnieje związek między postawą, gestami patetycznymi osób a ich charakterem lub czynnością. Skąd np. ten gniew na twarzy Ezechjela, lub ten skręt gwałtowny, niemożliwy prawie w Sybilli libijskiej?¹⁾ Skąd to napięcie, te kontorsje u młodzieńców herkulesowej postawy — *ignudi*, skoro wysilali się jedynie na niesienie wieńca? Mantegna²⁾, Rafael użyłby tutaj wdzięcznych genjuszów; malarz starożytny dałby piękną kobietę długowłosą... *Putti* (pacholęta) podtrzymują olbrzymie architrawy marmurowe, atleci unoszą wieńce z kwiatów?³⁾ czyż nie było to wyzwanie, rzucone ogólnemu porządkowi rzeczy? A draperja, która tak rzadko modeluje się na kształtach ciała, na jego ruchach, na tej samej postaci nadęta i ściśnięta: miejscami ściśle przylega, miejscami jest jakby wiatrem porwana! Większość tych olbrzymów w tak dziwnych postawach utrzymać się mogła w równowadze dzięki jedynie najśmielszej fikcji; każdy z nich, gdyby wstał i krok postąpił, zatrzęsłoby światem, rozsadził ramy natury!

Dla widza niema tu zresztą żadnych uwzględnień: artysta nie dba o wrażenie ogólne, o skrócenia perspektywiczne, chociaż malowidło zawieszono tak wysoko, choć w wielu miejscach nie można go dojrzeć gołym okiem. Natomiast widzimy tu pyszne, choć dziwaczne urozmaicenie powierzchni zapomocą symulowanej architek-

¹⁾ Prorok Ezechjel — to (zob. na reprodukcji) trzecia od lewej strony siedząca postać na dole, poniżej Stworzenia Ewy; Sybilla libijska to pierwsza od prawej strony postać na górze, ponad Pierwszym Dniem Stworzenia Świata. — ²⁾ Jeden z poprzedników Michała-Anioła w malarstwie. — ³⁾ Architrawy — belki poprzeczne; tu — (zob. reprodukcję) właściwie olbrzymie gzymsy, na których umieszczone są siedziska owych atletycznych *ignudi* z girlandami i szarfami.

tury i dekoracji fantazyjnej, lecz jedna i druga mogły tylko powiększyć już i tak wielki zamęt zmysłów. Sceny historyczne na sklepieniu rozwijały się poziomo w nierównej skali, rozdzielone łukami nieznaną świątyni, ozdobione polichromją drgających posągów. W monotonnej serji wnęk stały na pochyłości sklepienia kolosy odosobnione, a karjatydy w postaci rozbawionych dzieciaków tworzyły najdziwniejszy kontrast z obrzeżeniem ciężkim, masywnym, które spoczywało na ich barkach. Jakaż to wreszcie olbrzymia wystawa kształtów ludzkich, jakaż obfitość tych *putti* i *ignudi*, jakież lekceważenie złotego prawidła starożytności, że należy siać ręką, nie workiem!

Nie możnaby się było dziwić tym, którzy zwiedzali kaplicę w 1511 r., gdyby, porównyując dzieło Michała-Anioła z Komnatami Rafaela, nie odczuli jego piękności, gdyby nawet przyjęło je okrzykiem oburzenia. Lecz powstał jedynie okrzyk zachwyty, a Rafael był jednym z pierwszych czcicieli. Oznajmił, iż składa dzięki Stwórcy, że żyje jednocześnie z Michałem-Aniołem, i poszedł jego śladem, malując drugą Komnatę. Bo też była w tem nieśmiertelnem dziele potęga nieprzeparta. Bo każdy rozumiał instynktownie, że daremnie byłoby przykładać miarę do niezmiernego i pytać o przyczynę końcową — Nieskończoności. Bo z wysokości tego sklepienia, niby z drugiego krzaku gorejącego, Duch-genjusz twórczy — odzywał się głosem grzmotu!

Dla poprzedników Michała-Anioła Stary Testament był przede wszystkim wdzięcznym zbiorem bajek cudownych, których treść tak urozmaicona, naiwna, a czasem tak świecka, pozwalała odпочać po wielkiej epopei ewangelicznej, jej scenach posępnych i wrzuszających.

Nieśmiertelny uczeń Perugina¹⁾ (około 1519 roku) streści w tym kierunku, jak w tylu innych, pracę dawnych mistrzów, wysiłki wieków minionych i da im wyraz najwyższej harmonji. Cała serja zachwycających idyll, wyjętych ze Starego Testamentu, pięćdziesiąt obrazów pełnych wdzięku, świeżości, wytworności — taką będzie znakomita dekoracja, zwana *Biblią Rafaela w loggii* drugiego piętra Watykanu²⁾. Wręcz odmienna jest *Biblija* Buonarottiego w kaplicy Sykstyńskiej. Odrzucił idyllę i zastąpił ją dramatem religijnym, ogromnem misterjum, ożywionem pałacem tchnieniem Savonaroli. Misterjum obejmuje niebo i ziemię, daje jakby w skróceniu historje

¹⁾ Rafael. — ²⁾ Loggia — odkryty z jednego boku krużganek.

świętą, całą serję scen-wizyj — od pierwszego dnia stworzenia do wcielenia Słowa — od Jehowy do Jezusa...

Pierwszy dzień świata dał artyście natchnienie do obrazu nieporównanej śmiałości, bo cóż śmielszego nad pomysł oddania próżni i uwidocznienia ciemni nicości?... „Temat przenosi nas w czasy przedstworzenia¹⁾. Świat jeszcze nie istnieje. Co mówię? — jeszcze nie istnieje ani czas, ani przestrzeń. Z głębi ciemnej, matowej, niby z mgły gęstej, wynurza się postać przepyszna, jakby załęczniona, jakby zadziwiona swą samotnością. Głowa, biust, ramię — oto wszystko. To Bóg, który wynurzył się z chaosu, wyjrzał z głębi nieskończoności, przebył fale milczenia, wypływa teraz na powierzchnię nocy, patrzy i za chwilę wypowie: *Fiat lux*“.

Obraz następny przedstawia nam Boga Stwórcę. Wznosi ramiona i dwa „ciała świecące błyszczą na widnokręgu“, dłoń opuszcza i oto ziemia pokrywa się zieloną trawą, drzewami owocowymi. Bóg jest obecny i daleki jednocześnie: w jednym i tym samym fresku widzimy Go z przodu i z boku; na prawo ukazuje się w pełni i wyrazistości kształtów mistrzowskich, a na lewo znika nam w gwałtownym skurczu wielkiego wiru. Nawet orszak aniołów cofa się olśniony, zmieszany tym nagłym wybuchem wszechmocy Bożej. Takim jest Jehowa w oczach proroków hebrajskich. „Jehowa to burza grzmiąca, wybuch nawałnicy, ogień, który pali, wiatr, który przechodzi“. Ale jest on też *Słowem*, które później postara się objaśnić Faust Goethego. „Słowo? prędzej myśl, lepiej potęga, lub jeszcze lepiej: czyn“. Myśl, potęga, wola — wszystko to czytamy w tej przepysznej postaci: sztuka nie zdołała stworzyć majestatyczniejszego obrazu Ojca wiecznego. Chęć bierze zastosować do niej wyrazy, wypowiedziane przez starożytnego autora o Jowiszu Fidjasza: „którego piękność zda się zwiększać pobożność ludu, tak majestat dzieła dorównywa majestatowi Boga...“²⁾. Tylko u Fidjasza ten Bóg, według starożytnych, był upostaciowaniem pogody i spokoju; u Michała Anioła jest *ruchem i czynem*.

Jest też *dobrocią*, nie zapominajmy o tem; widzimy to najwyraźniej w trzecim, ostatnim obrazie, w którym patrzy On na dzieło skończone i błogosławi je, *benedixitque dicens: Crescite et multiplicamini...*³⁾. Idzie ku nam z głębi widnokręgu, przechodzi z wolna w przestrzeni ze wzrokiem spuszczonej ku ziemi, z rękoma szeroko rozwartymi. Jest to zawsze typ Jehowy, z głową potężną, czołem prze-

¹⁾ Emil Montegut, *Philosophie de la Sixtine* (*Revue des Deux Mondes* z 15 lutego 1870 r.) (p. a.). — ²⁾ Quintilianus, *Institutio oratoria*, XII, 10 (p. a.). — ³⁾ I błogosławił, mówiąc: Wzrastajcie i rozmnażajcie się.

ciętem zmarszczką poprzeczną, głęboką, którą widzimy również na słynnej masce z Otricoli, lecz tu rysy jakby złagodniały pod wpływem miłosierdzia rozlanego na twarzy, przez którą, zda się, prześwieca płomień hojności¹⁾. Aniołowie, tak wzruszeni, niespokojni w poprzednich obrazach, płyną teraz spokojnie, pogodnie pod ochroną Stwórcy, niby pod olbrzymim żaglem okrętu. Ani jednej chmury na niebie, ani jednej zmarszczki na widnokręgu; uważny wszechświat wstrzymał oddech, by lepiej usłyszeć słowo miłości i łaski. *Andante* słodkie i melodyjne kończy symfonię Stworzenia, której dwie pierwsze części przejęte są ruchem tak ognistym, tak potężnym²⁾.

Tutaj zaznaczyć trzeba, że dziewięć obrazów sufitu — cztery większe i pięć mniejszych — tworzy trzy oddzielne grupy, trzy kompozycje obszerne, trójdzielne: *Stworzenie Świata, Raj, Potop*. Jest to trylogja w tryptykach, a kolejno idące po sobie krótkie i długie *panneaux* ożywiają niby rytmem muzycznym cały ten szereg malowideł zaczerpniętych z ksiąg *Genezy*³⁾.

Słowo jeszcze o aniołach towarzyszących Jehowie, które odnajdziemy też w otoczeniu Proroków i Sybill. Nie przypominają wcale posłów nadziemskich o szerokich skrzydłach, długich szatach, pendzla Giotta lub Giovanni da Fiesole; nie mają też nic wspólnego z „dzieciakami przestworza“ Rafaela lub Tycjana. Bez skrzydeł, bez draperji, mają członki silne, wyraz twarzy prawie zawsze poważny, a nieraz surowy. —

Drugi tryptyk stropu ukazuje nam Boga przywołującego do życia człowieka, którego z gliny urobił. *Et inspiravit in faciem eius spiraculum vitae*, mówi Biblia⁴⁾. Dla artystów średniowiecznych jednym z najtrudniejszych problemów było owo „tchnienie życia“. W mozaice, w przedsionku św. Marka w Wenecji, Bóg zawiesza na szyi Adama skrzydlatą *Psyche* nagą i niezaprzecznie klasyczną⁵⁾; w Monreale⁶⁾ promień świetlany wychodzi z ust Przedwiecznego i dotyka ust naszego wspólnego protoplasty. Artyści włoscy z wieku czternastego i piętnastego, mniej naiwni, nie znają już tych śmiałości dziecięcych i trzymają się motywów dość bladych, mglistych, które stają się wkońcu formułą konwencjonalną. W dzwonnicy Giotta⁷⁾, w słynnych portalach Jacopo della Quercia i Ghibertiego⁸⁾, we freskach Pietro di Puccio na cmentarzu w Pizie i u Paola Ucello we

¹⁾ Mowa o popiersiu antycznym Jowisza, znalezionem w Otricoli pod Rzymem. —

²⁾ *Andante* (w muzyce) — spokojnie, powolnie. — ³⁾ *Panneau* — malowidło ściennie. Tryptyk — trzy zespolone obrazy. — ⁴⁾ „I natchnął w oblicze jego duch żywota“. (Wujek). — ⁵⁾ *Psyche* = dusza. — ⁶⁾ Na Sycylii. — ⁷⁾ Przy katedrze florenckiej. —

⁸⁾ T. j. na płaskorzeźbach ich dłota, zdobiących podwoje *Baptisterium* florenckiego.

florenckim *Chiostro verde*¹⁾, Bóg, lekko pochylony nad bezwładnym ciałem Adama, ma go ożywić błogosławiącym ruchem lub też dotknięciem ręki; na malowidle cmentarza pizańskiego chwytą nawet obie ręce swego tworu, jakgdyby chciał go podnieść i silnie na nogach postawić. W tej to epoce nieśmiałego, a już tradycyjnego traktowania tego trudnego przedmiotu zajaśniał wielki pomysł Michała-Anioła niezrównanej oryginalności i potęgi. Z wysokości nieba, otoczony rojem aniołów — widzów chciwych wielkiego aktu, schodzi Jehowa do syna ziemi, jakby kołysany powiewem łagodnym, rytmicznym; jego ramię wyciągnięte ożywia i przyciąga magnetycznie członki Adama, a palec wskazujący używa mu iskierki życia... Sztuka nie zna, nie pozna może nigdy cudowniejszego natchnienia. Wyras *elektryczność* wymówiono już nieraz, widząc niby prąd, wywołany zetknięciem końców dwóch palców; pytano się nawet, czy rozegzaltowane objawienie artysty nie wyprzedziło o parę stuleci wiedzy Galvaniego i Volty. Może byłoby bardziej na miejscu przypomnieć tu sobie hymn kościelny, niezmiernie dawny; artysta znał go bezwątpienia:

*Veni, creator Spiritus,
Dextrae Dei tu digitus,
Accende lumen sensibus!...²⁾*

Co nas jednak najwięcej zadziwia, co nas porusza w tem dziele, to ów ton bolesny, który je przenika, ów smutek gnębiący, który do duszy spływa. Powaga, troska cechują postać Przedwiecznego, rysy jego wyrażają litość tajemniczą, współczucie tajone, lecz silne! Wie, niestety! przez jakie próby, przez jakie nędze przejdzie glina, którą ożywił; a człowiek — i on także ma gorzkie przeczucie... W chwili magicznego przebudzenia niema radości w synu ziemi, żaden płomień nie świeci w oczach otwartych po raz pierwszy: w ruchu widnieje prędzej boleść, w członkach zgnębienie, we wzroku tępy jakby niema wymówka. Ciało oparte ciężko na lewym ramieniu, prawa noga boleśnie skurczona. Adam Michała-Anioła ma tę postawę, którą artysta raz jeszcze powtórzy w *Jutrzence* w mauzoleum Medyceuszów, tak znużoną, tak przejmującą bólem, że zdaje się, iż protoplasta rodu ludzkiego ma w duszy okrzyk Hioba: „Czemu dałeś światłość nędzarzom? Czemu dałeś światłość człowiekowi, którego droga skryta jest, a którego otoczyłeś ciemnościami?“ Ponury,

¹⁾ W „Zielonym klasztorze“, przy kościele S. Maria Novella. — ²⁾ Przybądź, Duchu stworzycielu, Ty, coś jest *palcem* prawicy bożej, zażegnij zmysłom światłość!

rozpaczny podkład geniuszu Buonarottiego występuje może najsilniej w tem nieśmiertelnem dziele.

Ciekawy kontrast w tej tragedji naszego pochodzenia daje kobieta Ewa, która odczuwa radość życia i za nie składa dzięki Bogu. Wytryska z ciała Adama zachwycona i zachwycająca. Jej silne członki, ciało jaśniejące świeżością i zdrowiem, włosy spływające po plecach i piersi — cała postać uosabia siłę i piękność wieków pierwotnych. Nie jest to tylko piękna dziewczyna, lecz, jak słusznie zauważono, „prababka wspaniale zbudowana dla miłości i macierzyństwa, pierwsza małżonka i pierwsza matka“.

Tem więcej wzrusza jej postawa pokorna, wdzięczna i uwielbiająca Stwórcę, Jehowę, który w tej chwili jest przedewszystkiem ojcem. Sam jest teraz, znikł orszak aniołów, stoi obok syna ziemi uspiętego i towarzyszki, którą mu dał przed chwilą; gestem spokojnym, życzliwym zda się pouczać Ewę o pobytku w Edenie...

Pomiędzy patetycznymi scenami stworzenia Adama i jego upadku obraz stworzenia Ewy sprawia poniekąd wrażenie idylli i daje nam niby przelotny rzut oka na raj tak szybko utracony. Utracony przez winę kobiety, przez winę tej Ewy, pięknej, lecz złowróźbnej! W Biblii i na obrazach Masolina, Masaccia, Rafaela wina to naiwna, grzech prostej ciekawości. „Widząc tedy niewiasta, iż dobre było drzewo ku jedzeniu, a wdzięczne na wejrzeniu, a pożądlive dla nabycia umiejętności, wzięła z owocu jego i jadła; dała też i mężowi swemu, który z nią był, i on też jadł“. Michał-Anioł rozszerzył opowieść, pogłębił i przyciemnił obraz z wolą wyraźną, prawie okrutną, powiedzmy prawdę: z nienawiścią do kobiet.

Pod drzewem wiadomości, po którym wije się wąż kusiciel, przysiadła Ewa gorączkowo poruszona. Jej ciało nie ma już dziewiczego blasku pierwszego dnia — spaliło ją palące tchnienie żądz, usta ma zaciśnięte, wzrok szczególnie ostry. Przed chwilą namówiła męża, który, stojąc poza nią, przygina gałąź, aby pochwycić owoc zakazany, lecz jednocześnie gad szatański cichaczem podsuwa niewieście ten owoc i ona chwytą go ukradkiem. Scena grzechu pierwotnego, przedstawiona w sposób tak niezwykły (o ile wiem, nawet jedynie tu spotkany), wykazuje widoczną chęć zwiększenia winy kobiety, zaznaczenia jej porozumienia się ze złem, z szatanem, a dalszy ciąg obrazu daje nam to poznać jeszcze wyraźniej. Ów dalszy ciąg to straszne wygnanie: Adam, mimo wszystko, ma postawę pełną godności, dumy — postawę spiorunowanego Tytana; jego towarzyszka, schylona, z ręką zanurzoną we włosach, ze spoj-

zeniem ukośnem, niepewnem, idzie obok niego krokiem chwiejnym, trochę kocim. — —

Trzeci tryptyk i ostatni różni się od dwóch poprzednich proporcją postaci, ich stosunkiem uderzającej małości; trudno temu przeczyć, że nagła zmiana skali na sporej części sklepienia źle odbija od całości dzieła. — —

Pomimo drobniejszych rozmiarów fresk Potopu jest niemniej pomysłem mistrzowskim, w grupach tak rozmaitych, tak dramatycznych. Otworzyły się upusty niebieskie: „każde żywe jestestwo umrze, wszystko, co jest na ziemi, będzie zniszczone“. Na wyżynach, zagrożonych jednocześnie przez wody, zgóry spadające, przez fale, które wznoszą się coraz wyżej, mnóstwo istot obłąkanych z przerażenia szuka schronienia, które jest tylko mirażem zwodniczym.

Na lewo widać wybrzeże jałowe, które wkrótce zaleje woda, a przy niem tratwę, na którą rzucają się nieszczęśnicy różnej płci i wszelkiego wieku. Jakiś młodzieniec czepia się rozpaczliwie pnia drzewa, którym już wichur silnie potrząsa; przepyszna para ludzi, spleciona uściskiem konwulsyjnym, zdaje się patrzeć z zazdrością na szczęśliwego posiadacza drzewa; ku niemu również bieży matka z małym dzieciątkiem na ręku, które nieświadome uśmiecha się niewinnie, drugie, starsze dziecko otacza biodra matki drżącymi rękoma. Inna matka upadła na ziemię bez sił, bez myśli; nie patrzy nawet na malca, który płacze boleśnie, stojąc za nią. Piękny, silny mężczyzna stara się wydostać na suchą ziemię; niesie na barkach żonę, zahipnotyzowaną, zda się, widokiem bałwanów, które ścigają ich, wściekłe, nieubłagane, pędząc przed sobą tłum, obarczony worami, naczyniami i narzędziami: biedni ludzie, którzy wśród tego kataklizmu pragną jeszcze uratować swoje nędzne mienie!

Na prawo stoi skała, o którą bije morze, i tu rozgrywają się sceny niemniej tragiczne. Główną uwagę zwraca grupa złożona z czterech osób: starzec z długą białą brodą i młoda obok niego kobieta wyciągają rozpaczliwie ramiona ku człowiekowi, walczącemu odważnie z falami, wydzierającym mu jego ciężar drogocenny. Człowiek zdołał wyratować młodzieniaszka, lecz wyratowany jest już trupem, a obojętność, apatja osób, które schroniły się również na skałę, zatopione we własnej niedoli, podnosi jeszcze tragizm widoku. Najstraszniejsze wrażenie sprawia jednak epizod w środkowej części obrazu na drugim planie. Tu nieszczęśliwi schronili się na łódkę; lada chwila zatopi ją rozszalały żywioł, a oni odpychają z całych sił nieszczęsnych, którzy próbują przyczepić się do łodzi, z wściekłością rzucają się na intruzów, biją ich, chwytają ich za

gardła, jakaś kobieta uderza w nich olbrzymią głownią — krwawem światłem wybucha tu egoizm dziki zagrożonego życia, brutalność instynktu samozachowawczego. Reszta obrazu odpowiada tym epizodom: wszystko mówi o klęsce niezmiernie, o wszechziemskim zniszczeniu. Tylko w górze, w głębi, ponad łodzią piekielną, rysuje się bezkształtna masa na tle nieba przerzniętego długimi błyskawicami — to Arka. W niej zapowiedź odrodzenia świata, lecz ta kolebka nowego życia daje wrażenie ogromnego grobowca, tyle ponurego nastroju, tyle tajemniczości w widmie korabia, „oblanego wewnątrz i zewnątrz smołą“. Ale jest jeden punkt świetlany niby srebrzysta gwiazda: gołąb z rozpostartymi skrzydłami. Jest-że to posłannik Noego czy gołąb św. Ducha?

— Jak pan sądzisz — zapytał mnie pewnego dnia w kaplicy Sykstyńskiej pan M., sekretarz ambasady, znany w całym Rzymie z dowcipu i z paradoksów — czy Michał-Anioł miał słusność, dając tu początek plafonu z malowidłami historycznymi, które torturują zarówno artystów, jak i publiczność? — Niech mówią, co chcą, od dzieła sztuki wymagam przede wszystkim, abym mógł patrzeć na nie bez cierpień fizycznych, a konia z rżędem dam temu, kto potrafi używać widoku tych plafonów i kopuł bez bólu w stawach. W Galerji Rospigliosi zdobyto się przynajmniej na lustro pod freskiem Guida. Pomysł to dziwaczny może, lecz miłosierny, nie potrzebujemy przynajmniej patrzeć w górę. Gdyby mnie zaszczycono tytułem mistrza ceremonji Jego Świątobliwości, kazałbym położyć na posadzce olbrzymie doskonałe zwierciadło, co uwolniłoby nas od śmieszności noszenia w ręku podłużnego lusterka lub zadzierania brody wyżej nosa, aby pochwycić wzrokiem *disjecta membra gigantomachji*¹⁾, rozwieszanej nad naszymi głowami. Ileż razy w tej kaplicy powtarzałem wiersz tegoż Buonarottiego do Jana da Pistoia: *l'ho già fatto gozzo in questo stento!*...²⁾

Istotnie, zgodzić się na to trzeba: sufit Sykstyński, jak zresztą każdy plafon, pokryty wielkimi scenami historycznymi, ma w sobie coś wymuszonego, sztucznego, co staje w sprzeczności z warunkami normalnymi, ze słusznymi wymaganiami oka ludzkiego. Malowidła z *Genezy* powinny właściwie stać na poziomie widza; z mimowolnem niezadowolaniem widzimy je ułożone poziomo nad naszymi głowami na bajecznej wysokości. Widz musi przybrać postawę bardzo nużącą i uciążliwą, musi przytem posługiwać się ciągle

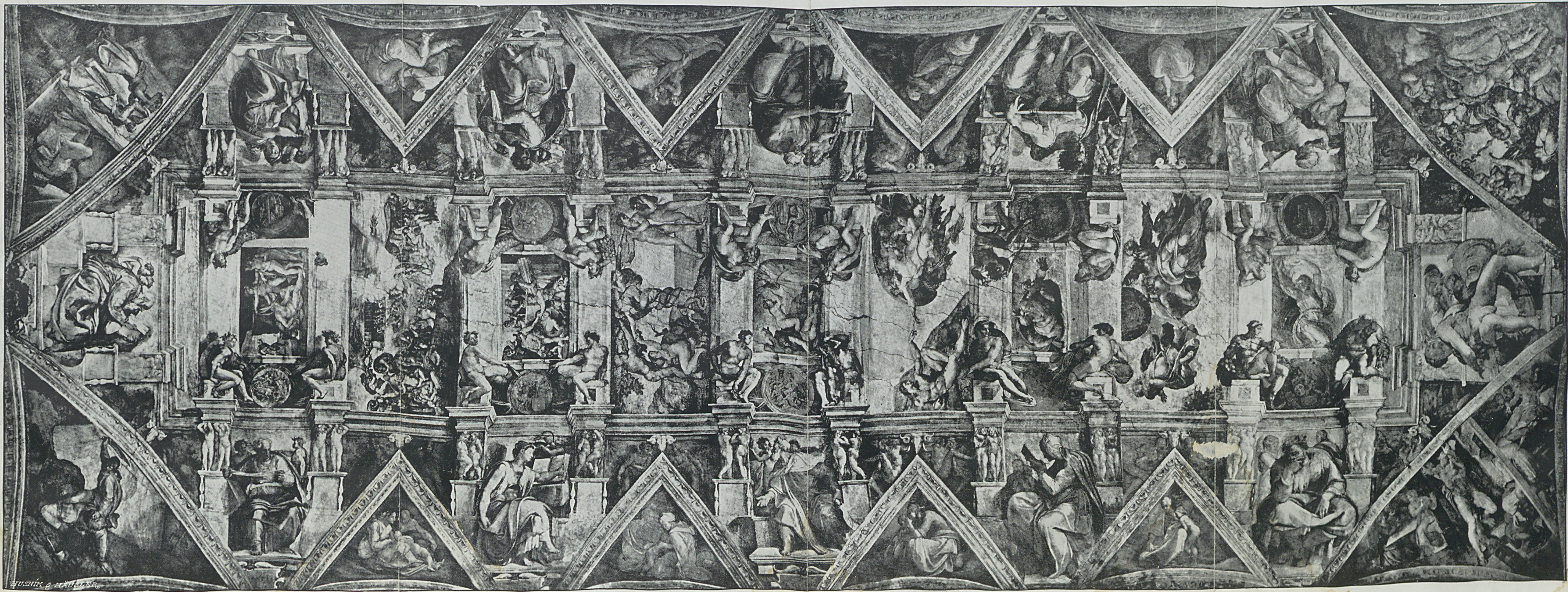
¹⁾ Rozrzucone członki walki olbrzymów. — ²⁾ Dorobiłem się już wola w tej udręce!

lornetką niezawsze wystarczającą, przytem minie kilka godzin, zanim zdoła rozpatrzeć się w scenach dramatu o „stu różnych aktach“, dodam — o stu urozmaiceniach; mam tu na myśli część dekoracyjną, która tyle miejsca zabiera w dziele Buonarottiego i gmatwa je w sposób szczególny.

Ciało ludzkie jest jedynym motywem tej dekoracji, co stanowi jej wielką oryginalność. Niema tu wcale tych rysunków branych z geometrii, z roślinności, tych arabesek, grotesków, które w malowidłach dawnych mistrzów pozwalały odpocząć oku i na plan pierwszy wydobywały główny temat. Na miejscu tych „ozdób zwyczajnych“, jak je trochę lekceważąco nazywa Michał-Anioł w liście do Fattucciego, mamy tu szeregi nieprzerwane obrzeżeń, karjatyd, posągów koloru bronzu, ciał *en grissaille*¹⁾, obiegających trójkąty okien, niby wijące się rośliny. Na dwunastu płytach zaśniedziałego bronzu mamy dwadzieścia cztery kolosy *en camaïeu*²⁾. Potem czterdzieści *putti*, skupionych parami, podtrzymuje, zamiast karjatyd, pilastry wnęków, w których umieszczeni są Prorocy i Sybille. Wyżej zaś dwudziestu młodzieńców nagich — sławnych *ignudi* — trzyma w ręku wieńce z liści dębowych (drzewo Roverów)³⁾ z wielkimi medaljonami z bronzu. Nakoniec dziesięć *putti* barwnych umieszczono jeszcze na dole między lunetami okien; one to podtrzymują napisy. Wszystkie obrzeżenia, karjatydy, posągi wykonane są z mistrzostwem nieporównanem, szczególnie w nagich młodzieńcach ciało ludzkie posiada piękno, blask nieznanym od czasów Lisippa i Praksytelesa⁴⁾. *Ignudi* uosabiają wybornie życie w całym jego rozkwicie, młodość w całej krasie i świeżości! A jednak i na ich czole jest piętno smutku i boleści, piętno nieodłączne od Buonarottiego.

Prześliczne są te postaci dekoracyjne; niemniej przyznać trzeba, że głuszą sceny historyczne plafonu. Uwaga rozstrzela się, przechodząc od ram do treści obrazu, i nie może zatrzymać się na jakimś stałym punkcie. Czyż zresztą istotnie widzimy ramy przed sobą? W miarę zbliżania się naszego do wielkiego ołtarza, *putti* i *ignudi* zdają się ożywać i poruszać niespokojnie. Widz staje zmieszany, niepewny, zapytując się, czy te prześliczne pacholęta, przepyszni młodzieńcy mają tylko znaczenie ornamentacyjne? Czy nie biorą udziału w akcji dramatu? — — Dla przeciętnego widza ta mnogość posągów ożywionych i karjatyd ruchliwych staje się wirem nieopisanym...

¹⁾ W tonie szarym. — ²⁾ W jednej barwie. — ³⁾ Herb rodu, z którego pochodził papież Julusz. — ⁴⁾ Rzeźbiarze starożytnej Grecji.



WUSNIK & H. KUJAWA

~~Państwowe Zakłady Kształcenia
NAUCZYCIELI
KURSY PEDAGOGICZNE, LK i PEDAGOGICZNE
GIMNAZJUM KOEDUKACYJNE, SZKOŁA ĆWICZEN
W RADOMIU~~

Lecz jakim prawem żądamy od Michała-Anioła, aby nam zdał rachunek ze swego dzieła? Jak Jehowa, jest tem, czem jest — stworzył swój świat we wszechpotędze swej woli niezgłębionej. My powinniśmy schylić czoło i „położyć rękę na ustach“, jak to uczynił Hiob szalony, gdy chciał dysputę wieść z Bogiem.

„Któż to jest, co zaciemnia radę Bożą mowami nieroztropnemi? ¹⁾ Gdzieżeś był, kiedym ja zakładał grunty ziemi? Któż uczynił rozmierzenie jej, albo kto sznur nad nią rozciągnął? Izażeś przyszedł aż do źródeł morskich, a po dnie przepaści przechodziłeś się? Azaż odkryte są tobie bramy śmierci, bramy cienia śmierci widziałeś? Izali wywiedziesz gwiazdy południowe czasu swego, albo Wóz niebieski z gwiazdami jego powiedziesz? Izali możesz wypuścić błyskawice, aby przyszły i rzekły: Otośmy!“

Tak powiedział Pan Hiobowi z wichru. Zatem odpowiedział Hiob i rzekł: „Otom ja lichy, cóż ci mam odpowiedzieć? Rękę moją położę na usta moje. Mówiłem raz i drugi, ale więcej nie odpowiem i nic więcej nie przydam“.

J Ó Z E F S Z U J S K I (1835—1883).

Z Pism politycznych.

Dawna rzeczpospolita a jej pogrobowce.

(Prelekcja, 1871).

Są wypadki w dziejach ludzkości i narodów, które zdają się przepaścią oddzielać przeszłość od przyszłości, historyczne wczoraj od dzisiaj historycznego. Mogą one być najrozmaitszej natury. Mogą to być wielkie kataklizmy polityczne, sprowadzone obcą przemocą, mogą być wielkie wstrząśnienia społeczne, w których zwycięska idea gruchocze ręką potężną zabytki przeszłości, zrywa z nią i od siebie nowy świat rozpocząć pragnie.

Takim wielkim wypadkiem była np. rewolucja francuska 1789. Francuzi sami, mówi trafnie A. Toqueville ²⁾, czynili wszelkie możliwe wysilenia, aby się tą rewolucją odciąć od przeszłości, aby z tej epoki nie wziąć nic w nową, o nowych ideach epokę. Do dziś dnia, tak dla wielu Francuzów, jak dla wielu ludzi innej narodowości wogóle, jest rewolucja francuska ową rogatką, poza którą całą prze-

¹⁾ Hiob roz. XXXVIII w. 1—5, roz. XXXIX w. 32—35 (p. a.). — ²⁾ Aleksy Toqueville, autor dzieła *l'Ancien régime et la Révolution*.

szłość ludzkości jako zakazany i szkodliwy towar zostawić należy. Pomimo tego, twierdzi Toqueville, mniej się to Francuzom udało, niż się spodziewali. Cały tom swego gruntownego dzieła poświęca on wykazaniu, co ze starej Francji do nowej przeszło, wykazaniu, że przeszło wiele złego, a wiele dobrego pozostało. Nie wdając się dalej w ten przedmiot, tylko dla przykładu tu przytoczony, wspomnimy tylko jedno, że ową centralizację monarchiczną, doprowadzoną do zenitu w słowie *l'état c'est moi*¹⁾, przeniosła epoka porewolucyjna z osoby króla na stolicę swoją, i że odtąd, niezawodnie na szkodę Francji, Paryż mógł to hasło o sobie powiedzieć.

Czem dla Francji była rewolucja 1789, tem dla nas były dwa wypadki: jeden chlubę nam przynoszący, drugi boleści narodowej nieustanną przyczyną będący: reforma 3 maja i podział rzeczypospolitej. W reformie 3 maja usiłował szlachecki naród przez zacnych i cnotliwych reprezentantów swoich, z poświęceniem i zaparciem się siebie, w dziejach bezprzykładnem, odciąć się od burzliwej i anarchicznej rzeczypospolitej, którą opieką zdradziecką osłaniała Rosja; usiłował wysileniem wielkiem obalić mądrymi i zbawiennymi ustawami to wszystko, co jego niemocy i hańby przyczyną się stawało. Pragnął sprawić przełom wewnętrzny w samym sobie, a jeżeli spóźnie szlachcic francuski, wśród notablów i w pierwszych *états généraux* zasiadający, przyznawał wieśniakowi prawa człowieka i określał²⁾ wszechwładne *l'état c'est moi* królewskie, to szlachcic polski, zasiadający na sejmie czteroletnim, był może jeszcze szlachetniejszym, bo wracając też prawa człowieka, określał spóźnie wszechwładzę własną, wypotęgowaną do *liberum veto* — przywróceniem powagi władzy monarchicznej.

Niestety, jak zacnemu Ludwikowi XVI nie pomogły szczytne zasady zgromadzenia narodowego, tak rzeczypospolitej nie pomogła ustawa 3 maja. Na szafocie ruchu rewolucyjnego padła głowa króla z bożej łaski — a spóźnie prawie Prusy i Rosja pochwiliowały rzeczpospolitą drugim podziałem.

Jak mocarstwa rozbiorowe dokładały starań, ażeby żywot części podzielonych odciąć od wspomnień dawnej rzeczypospolitej, jak od króla, umierającego na komornem w Petersbugu, aż do ubożego podsędka lub wojskiego jednym zamachem zapadło wszystko w wielki grób zniszczenia politycznego, jak wśród głuszy śmiertelnej, której już nie rozrywał gwar sejmików, sądów, trybunałów, konfederacji, zabrzmiała obca mowa obcych administratorów na tej

¹⁾ „Państwo to ja!“ (słowa Ludwika XIV). — ²⁾ T. j. ograniczał.

ziemi, jakich użyto środków, abyśmy zapomnieli, czem byli ojcowie nasi, — mówić nie będziemy, bo nie to jest przedmiotem dzisiejszej pogadanki historycznej. Wiemy wszyscy, że udało się wiele, bardzo wiele, aby podbój mechaniczny uczynić podbojem *de facto*; wiemy, jak uszczuplono granice nasze, wiemy, na ilu to punktach ponieśliśmy porażki to od wyższej cywilizacji zachodnich sąsiadów, to od eksterminacyjnej gwałtowności wschodu: ale wiemy także, że w nędzy i upadku, w zamęcie politycznym i społecznym, pozostała, a nawet udzieliła się większej masie pamięć tego, czem byliśmy.

Musimy także wyróżnić dzisiejsze przedstawienie nasze od tego, co zwykle jako odrodzenie pojmowano. Mógłby nas łatwo spotkać zarzut, że podejmujemy robotę niepotrzebną — bo oto daleko już wyszliśmy w wyobrażeniach naszych poza konstytucję trzeciego maja, bo potępiiliśmy w teorii anarchję rzeczypospolitej i rządy szlacheckie, bo żyjemy w epoce, gdzie lud już uwłaszczone, czego nie uczyniła konstytucja 3 maja. Musimy zatem powiedzieć, że konstytucji 3 maja nie bierzemy tutaj jako zbiór takich lub owakich artykułów, nie wchodzimy w jej braki wobec dzisiejszych wyobrażeń politycznych i społecznych: ale bierzemy ją jako fakt, jako czyn dźwignięcia się z wieloletniego złego, jako czyn, który stanowił epokę w moralnem, ale nie stworzył już nowego porządku rzeczy w politycznym życiu narodu, bo temu podział przeszkodził. Właśnie dlatego, że temu podział przeszkodził, że nie było narodowi danem wprowadzić w życie rzeczywiste wielkiego faktu dźwignięcia się, nie może być jego historia dalsza braną ze stanowiska politycznego, ale ze stanowiska moralnego: nie ze stanowiska teorii, które wprowadzał, ale praktyki, którą potrafił stworzyć w narodzie.

To stawia kwestję dzisiejszą na zupełnie innym gruncie. Podnosząc kilka powszechnie znanych i uznanych przyczyn upadku rzeczypospolitej, przyczyn nie w instytucjach samych, ale w usposobieniu narodu spoczywających, będziemy się starali zwrócić uwagę na analogiczne objawy w dzisiejszem życiu. Objawy te brać będziemy z życia, któremu rozwijać się wolno, z epok historii naszej porozbiorowej, w których nadanie wolności konstytucyjnych lub zwolnienie ucisku pozwalały społeczeństwu okazać, o ile się zmieniło, o ile organicznem się stało lub nie stało, o ile się odbiło od dawnej anarchji lub nie. Gdzie żelazna ręka despotyzmu gniecie, społeczeństwo odpornie się koncentruje, tam tej diagnozy czynić nie można: wolność jest tym probierzem, który sędzić dozwala o sile społeczeństw, o ich dojrzałości do samodzielnego bytu.

Inne dzisiaj pytanie zajmować nas będzie, a tem jest: o ile ów testament umierającej Rzeczypospolitej, konstytucja 3 maja, stała się zaporą dla złego, które doprowadziło do podziału; o ile udało się nam w życiu naszym porozbiorowym utrzymać i wzmocnić dzieło odrodzenia z dawnych błędów, o ile umieliśmy być ekspiatorami win naszych ojców bez uronienia kapitału dobrego, który nam przekazali. Pytanie obszerne, wyczerpać się niedające; musimy zatem szczerze wyznać, że chcemy tylko potrącić myśli świątelnego zgromadzenia w kierunku, który nam się nadzwyczaj zbawionym wydaje.

Otóż jedną z najpowszechniej uznanych wad dawnej Rzeczypospolitej jest jej bezrząd, anarchja. Nie pochodziła ona z braku organów rządu, nie pochodziła z braku instytucji sprawiedliwości — owszem pochłubić się możemy w teorii, że nie mieliśmy biurokracji, a mieliśmy urzędników, opatrzonych szerokimi atrybucjami do różnej władzy; mieliśmy piękną instytucję sądów wybieralnych, wyrobioną na najpiękniejszych zasadach; mieliśmy cały poczet dygnitarzy i urzędników, którzy gdyby byli funkcjonowali, nie byłoby bezrządu. Bezrząd nasz zatem nie był winą instytucji, ale był winą zatracenia pojęcia rządu i władzy, winą upadku poszanowania prawa w narodzie. Na tę utratę pojęcia rządu i poszanowania prawa składały się długie wieki, przyczyniła się zaś niezawodnie wadliwość politycznych urzędów. Naród szlachecki, zdobywszy sobie od czasów wolnej elekcji pełność praw, udzielną w całym słowa tego znaczeniu, pozostawił w ręce królewskiej rozdawnictwo urzędów i królewszczyzn, niebacznym, że przez to funkcje rządowe, funkcje egzekucji uczynił narzędziem politycznym w ręku króla. Król, odarty z władzy, chwycił się tego jedyne go środka, aby ją odzyskać; naród, powierzając je królowi w nadziei, że łatwiej u króla jak u samego siebie dosłużyć się nagrody i chleba, odrazu najistotniejszym funkcjom społeczeństwa, rządowi, ufność swoją wypowiedział. Najszkodliwsza rzecz, jaka się w państwie stać może, jest podanie na wolę politycznej walki sprawiedliwości, porządku i bezpieczeństwa. To stało się w Polsce. Król nie pytał starosty, co on umie, ale co on myśli; szlachta nie pytała, co on robić powinien, ale co on znaczy. Urzędnik wobec dworu jak i narodu tracił swoją konieczną neutralność, a że naród był silniejszym, stał się bojaźliwym wobec niego lub jego możnych. Prawo gięło się i kurczyło wedle tego, do kogo zastosowaniem być miało. P. Łaszcz chodził w płaszczu podbitym banicjami, a p. Wołodkowicz, gdy Panie Kochanku marszałkował trybunałowi litew-

skiemu, pozwał p. Przeździeckiego o zgubiony w jego dobrach kańczug i rękawicę¹⁾.

Dalekie to rzeczy, o których dzisiaj słuchamy jak o dziwach. A przecież zajrzyjmy we własną pierś, w tajniki usposobienia naszego, czy co bardziej zachwianem ujrzymy, jak pojęcie rządu, pojęcie o jego warunkach i potrzebie? Czy nie pozostał nam wstręt do wszystkiego, co się urzędem nazywa? a nie mówimy tu o władzach rządu, pod którym jesteśmy, ale o tych, na których utworzenie sami wpływamy. Czy nie pojmujemy naszych instytucyj autonomicznych zbyt często jako obowiązanych przedewszystkiem do zwolnienia rygoru prawa, podczas gdy powinniśmy od nich żądać najskrupulatniejszego onegoż wykonania, i okazywać im najsumienniejsze postuszeństwo dlatego, że są naszymi? Czy nie sądzimy ich z punktu widzenia czysto politycznego? Czy nie pytamy raczej, co on myśli, jak co on umie — co on znaczy, jak co on robi? Czyli politycznego charakteru nie uważamy za jedyną kwalifikację? Czy nie głęboko wrodożem jest u nas przeświadczenie, że podołamy wszystkiemu z kilkoma teoretycznymi ogólnikami w głowie, że byle być dobrej wedle nas opinji, to żaden portfel²⁾ nie jest zbyt trudnym? „Nie święci garnki lepią“ jest niedarmo polskiem przysłowiem; a polskie prowincje, wolniej oddychające, ojczyznę owych ubocznych sposobów agitacji i protekcji, któremi się ma zastąpić główny warunek: kwalifikację. Czyli kumulacja³⁾ urzędów, dygnitarstw, nie jest dotąd naszą polską chorobą, czyż nie jest chorobą pojmowanie urzędów jako nagrody zasług, nie jako długi do zasług? Czy inna jest przyczyna tego smutnego a niezaprzeczonego niestety faktu, że u nas do prawdziwej pracy organicznej dotąd nie przyszło? Jeżeli każdemu usiłowaniu, każdej pracy patrzy z nerwową niecierpliwością na ręce myśl polityczna, lub co gorzej, sprzeczne myśli polityczne; jeżeli ta myśl nie pozwala, aby kapłan był przedewszystkiem kapłanem, urzędnik urzędnikiem, nauczyciel nauczycielem; jeżeli jego praca nie jest mierzona wedle tego, co ona buduje, ale wedle tego, czy ona tem budowaniem stosuje się dokładnie do zakreślonego przez jedno lub drugie stronnictwo polityczne planu; jeżeli wedle tego dopiero doznaje uznania, a w przeciwnym razie zawsze potępienia — jakże spodziewać się, aby wśród społeczeństwa rozdzielonego mogła powstać działalność, której istotą jest właśnie odłączenie od polityki

¹⁾ O Radziwille - Panie Kochanku i jego „bandzie albeńskiej“ (do której należeli Łaszcz i Wołodkowicz), zobacz w *Pamiętnikach Soplicy* Rzewuskiego. — ²⁾ *Dom.*: ministerjalny. — ³⁾ = łączenie w ręku jednej osoby.

dnia, jest usiłowanie pozostawienia śladów niespożytych na każdą przyszłość i na każdą ewentualność? Nie! niestety, jak rzeczpospolita nie mogła odzyskać utraconego pojęcia rządu, tak my z pominięciem tradycji 3 maja, której towarzyszyły pełne zapału usiłowania około reformy edukacji, około reform społecznych, my nie możemy się zdobyć dotąd na odzyskanie utraconego pojęcia o gospodarstwie narodowym. Wierni zasadzie „starosta albo kapucyn“ nie możemy się zdobyć na odzyskanie instynktu rządu naszym małym kapitalikiem, bo jak ojcowie nasi widzieli w rządzie plac walki o zasady polityczne, nie znosili władzy i zgubili rząd, myśląc, że to ich uratuje od despotyzmu, — tak my widzimy w każdej pracy człowieka i pracy społeczeństwa walkę o formę naszego przyszłego bytu, niepomni, że forma się zmienić nie może, jeżeli bytu nie będzie — a byt to praca, zgoda, poradność, oświata, dobrobyt powszechny. I nie doczekamy się tej pracy, póki do tego zawieszenia broni nie przyjdzie; póki każdy ambitny przyszły przywódca polityczny nie będzie ciągnął jak prosty szeregowy wozu publicznego interesu, zagrzęźłego w tem błocie bezpłodnych walk politycznych; dopóki nie zmniejszy się liczba komendantów, a nie powiększy liczba prostych robotników.

Przejdźmy do innej, także powszechnie uznanej przyczyny upadku Rzeczypospolitej. Jest nią upadek odwagi cywilnej, tej najpierwszej z cnót, któremi stoją republikańskie organizmy. Przez dwa wieki tak mało jej przykładów, że artykuł ten niezbędny w niesłychanie małej dozie chyba istniał w apteczce naszych ojców. Przez dwa wieki zaledwie kilka nieśmiałych głosów przeciw *liberum veto*, przez dwa wieki zaledwie jeden szlachcic, miecznik Jabłonowski, który wystąpiwszy przeciw niemu, śmiercią z aprehenzji¹⁾ przypłacił, tak szarpanym był i prześladowanym. A nie było to skutkiem niewiedomości, że *liberum veto* jest zgubne. Narzeka na nie szlachcic w zagrodzie domowej, śpiewa przeciw niemu Kochowski:

Bóg z niczego świat stworzył, ale i my
Tem słowem „Nie pozwalam“ Polskę obalimy.

O Sicińskim chodzą głuche wieści, że go ziemia wyrzuca, żaden z pisarzy nie śmie usprawiedliwiać tych, co chodzą jego torem. A przecież utrzymuje się ta potwora, znajduje chwalców, mistyków politycznych, którzy ją wynoszą, a nie znajduje szeregu ludzi, coby przeciw niej w imię dobra publicznego powstałi. Dlaczego? bo nie było odwagi cywilnej, bo *liberum veto* utrzymywały względy na

¹⁾ T. j. zbytnio wzięwszy sobie do serca...

stronnictwa i ludzi, bo szlachcic, narzekając na nie w domu, milczał na sejmiku, bo pan, gotów sprzymierzyć się z królem na obalenie go drogą uboczną, mienił się publicznie obrońcą złotej wolności. Gdzie zaś niema odwagi cywilnej, tam zaczyna w społeczeństwie panować fałsz urzędowy, fałsz kłamiący rzeczywistości położeniu, fałsz, którego pomnikiem są owe szumne mowy posłów, wynoszących pod niebiosa stan Rzeczypospolitej, gdy była już zajezdną karczmą wojsk Fryderyka i Rosji, fałsz, któremu świadczą drukowane panegiryki, sfałszowana historia, fałsz, który doprowadza nad kraniec przepaści i wpycha w nią, bo ją zasypuje różami...

Czyliśmy się dzisiaj poprawili pod tym względem? Nie! twierdzą śmiało, że nie. Na odwadze wyznawstwa, na gotowości cierpienia nam nie zbywa, ale to nie odwaga cywilna. Jeżeli galerja gorąco usposobiona, do klaskania gotowe ręce trzymająca, jeżeli dziennikarze, zacinający już pióra do pochwalnego artykułu, patrzą na nas, jakże chętnie puszczamy się w zawód publiczny, jakże chętnie przemawiamy w myśl galerji i w myśl dziennikarzy! Ale jeżeli przyjdzie zgryźć twarde orzech niepopularności, jeżeli przyjdzie wypowiedzieć to, co się w cztery oczy często mówi, wtedy znajdują się trudności, że z opinią trzeba ostrożnie, że dziennikarstwo to siła nie do pogardzenia, że się nie jest bocianem, aby się świat czyściło. I dlatego to i my mamy fałsz urzędowy o naszym stanie i o naszym położeniu, dlatego, toby porównał to, czem się mienimy a czem jesteśmy, co chcemy a co możemy, co głosimy a cośmy zrobili, do smutnych przyszedłby rezultatów. O co u nas najtrudniej, to o prawdziwy, spokojny obraz naszego położenia i stanu kraju; czemu się najtrudniej docisnąć na zielony stolik naszej polityki, to owym sprawom piekącym, gwałtownym, których załatwienia domaga się tysiące faktów, tysiące ujemnych stron naszego społeczeństwa, a które nie mogą się zdobyć na wymowne i śmiałe wypowiedzenie: Za pozwoleniem! o nas przedewszystkiem myśleć należy! Stąd też u nas brak dotąd tej zdrowej, spokojnej opinji, przyjmującej z uznaniem rezultat produkcyjnej pracy skądkolwiek; stąd służebnictwo jej frakcjom, które bądźto wywiesiły otwarcie sztandar pewnych teoryj, bądź zgubniejsze i podstępniejsze, ukrywają je pod pokupną etykietą interesów narodowych. Rdzeniem zdrowej opinji publicznej jest cywilna odwaga jednostek; gdzie tej niema, społeczeństwo zatacza się z ostateczności w ostateczność, robi, czego nie chce, mówi, czego nie myśli, dzieje się też z nim to i owo, ale nie jest panem swego położenia.

Wyłączność jednego stanu, stanu szlacheckiego, liczoną bywa

między najwალniejsze przyczyny upadku dawnej Rzeczypospolitej. W istocie, stan ten, jak był twórcą wielkiej cywilizacyjnej wędrówki na Ruś i Litwę, twórcą federacji, zwycięzcą na tyłu polach chwały, jak wyrobione przezeń poczucie się narodowe jest dotąd walną, niepokonaną siłą naszą — tak przez skostnienie i zamknięcie się w granicach własnych, przez podbicie kolejne wszystkich innych, jako króla, arystokracji, duchowieństwa, przez wykluczenie i ekonomiczne zniszczenie chłopca i mieszczanina, przez schłopienie kozaka, dojść musiał do tej hipertrofji¹⁾, która sprowadza śmierć: a że Rzeczpospolita stała się właściwie jedną szlachecką rodziną, państwo zbiorem interesów szlacheckich, że państwo pochłoniętem zostało przez społeczeństwo, sprowadzić musiała śmierć moralną szlachty — śmierć Rzeczypospolitej i państwa. Ta śmierć moralna nastąpiła wtedy, gdy szlachta dosięgła zenitu swoich praw, gdy się uczuła jedną i jedyką, gdy z ruchliwej stała się zachowawczą, z dobijającej się używającą. Równość, wolność, braterstwo to najrzeczywistsze hasła szlachty polskiej, chociaż naturalnie w zakresie kasty. Demokracja to jej hasło, chociaż znowu w zakresie kasty. Czapkuje ona w ostatnich dwóch stuleciach wielkiemu panu, ale dopokąd jej pochlebia, dopokąd jawnie wyznaje, że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie. Kocha i szanuje księdza, ale dopóki jej prawdy nie mówi, jak ksiądz Skarga. Podnosi ona króla, ale dopóki reformy nie chce, choćby najpotrzebniejszej. Szanuje uczonego, ale dopóki jej panegiryki pisze, jak Biezanowski²⁾. Słowem, demokracja szlachecka ostatnich dwóch wieków ma wszystkie cechy zniewieściłości i ospałości, właściwe upadającym społecznościom. Nie znosi ona tej naturalnej, koniecznej, wszędzie się objawiającej arystokracji, bez której społeczeństwo umiera, arystokracji ducha, arystokracji rozumu, arystokracji wiedzy. Niwelacja umysłowa jej hasłem, skutkiem nędza w edukacji, w literaturze, w ludziach politycznych. Wychowanie współczesne było u niej dlatego tak niezmiernie popularne, że wypuszczało ze szkół ludzi wedle jednego szablonu, nie mądrzejszych i nie głupszych, jak wszyscy inni. Zagranica dlatego była tak wstrętną, bo budziła ze snu, bo patrzeć kazała. Marja Gonzaga³⁾ dlatego tak znienawidzoną, bo grupowała około dworu swego nietylko polityczną reformę, ale reformę w gustach i zamiłowaniach. Zdaje się, jakby szlachta, zdobywszy już wszystko, zapragnęła jeszcze jednego, bo pragnąć czegoś koniecznie i człowiek, i społeczeństwo musi, zapragnęła zrównania umysłów

1) = przerostu. — 2) Poeta i dziejopis XVII w. — 3) T. j. Marja Ludwika.

do jednego strychulca. Skapryszona przesytem, dawała ona premjum za głupotę, junactwo, burzliwość, nienawidziła i wytrącała rozumnych. Zamordowała nienawiścią swoją Ossolińskiego i Kisiela, wiozła w triumfie na sejm przeciwnika ich barbarzyńcę, który oczy kozakom wylupywać kazał, ale pił, jadł i kochał się z bracią szlachtą, a mówił: *Calamitas patriae una lamentatio Jeremiae*¹⁾ — Jeremiego Wiśniowieckiego. Nie chciała Kondeusza i wołała: *Non est cum Deo, qui est cum Condeo*²⁾, nienawidziła mądrego Prażmowskiego³⁾, a wybierając króla po abdykacji Jana Kazimierza, mniemała, że ją duch święty natchnął, gdy obrała najbiedniejszego z biednych, ks. M. Wiśniowieckiego! Zaledwie Sobieski z niepopularnego stał się popularnym, jużci zabito go nienawiścią i niewdzięcznością, gdy rządzić zamyślał. August, o dziwo, król, który się z postronnymi układał o rozdrapanie Polski — był kochanym przez szlachtę, bo — bo łamał podkowy i pił wybornie! Leszczyński chłodną tylko wykształconych posiadał sympatię — Poniatowskiemu uczoneść szkodziła niezmiernie — Czartoryscy znienawidzeni, bo statyści⁴⁾ — Panie Kochanku, starosta Kaniowski⁵⁾ — popularni bohaterowie. — Czyliż trzeba więcej przykładów! Te wystarczą, aby wykazać, że gdzie demokracja przechodzi aż w namiętność niwelacji umysłowej, gdzie tak się staje zazdrośną i bojaźliwą o siebie, iż niepokoi ją nawet wiedza, drażni do namiętności nawet wyższość umysłowa, gdzie kamieniuje się prawdę i rozum, gdzie wynagradza się i zaufaniem otacza głupotę i przewrotność: tam ludzie, choćby zdolni, nie pomogą — tam wszystko stracone. Zamazała też w Polsce robotę rozumu nie zdrada, bo zdrada nie znajdzie współników w mądrym społeczeństwie — ale głupota bez granic, która oddawała się nadziei, że wolną Rzeczpospolitą oszczędzać będą ci, co dotąd szanowali ją jako dojrzewającą do zguby!

Na szlachtę dzisiaj od lat czterdziestu bij-zabij! Za kilka lat po przeprowadzeniu różnych emancypacyj potrzeba będzie pomyśleć o emancypacji tych nieszczęśliwych istot, których ojcowie mieli przywilej szlachectwa; dać im np. certyfikat, że za upadek Rzeczypospolitej nie będą odpowiadali. Mamy tymczasem, nie ubliżając w niczem powszechnie znanym demokratycznym zasadom, pewien rodzaj demokracji, podobniuteńki do tej antedyluwjalnej⁶⁾ szlachec-

1) Nieszczęście ojczyzny to jedyna skarga Jeremiego. — 2) Nie jest z Bogiem, kto jest z Kondeuszem. — 3) Prymasa, zwolennika kandydata francuskiego na tron polski (o stosunku szlachty do niego por. pamiętniki Paska pod r. 1669). — 4) T. j. politycy, mężowie stanu. — 5) Mikołaj Potocki (por. o nim ostatni rozdział *Pamiętek Soplisy Rzewuskiego*). — 6) Tu tyleż, co „przedpotopowej“.

kiej ze szkół jezuickich, i bodaj czy nie mamy — będę się starał dowieść — żyłki niwelacyjnej w społeczeństwie. A naprzód, aby iść koleją, czy nie uważamy, że u nas w bardzo wielu sferach społecznych jedynym marzeniem jest przestać być tem, czem się na pożytek społeczeństwa jest, a zacząć być tem, na co się codziennie gada, t. j. czemś nakształt szlachcica. Pańskość jest jedynym owych sfer marzeniem. Dążenie to zaczyna się od przekupek Szczepańskiego placu¹⁾, które się obrażają, gdy się im nie mówi: Pani! Zaczyna się od wiościanina, który usamowolniony, na gruntach właściciela większego pracować i doli swej poprawić nie chce, a ciągnie się przez resztę społeczeństwa. Poczucia godności własnego stanu w społeczeństwie mało, każdy jest na wylocie do „państwa“. Jakże wyborne chwycił tę słabość społeczeństwa naszego Ąnczyc w *Chłopach arystokratach*, a Bałucki w *Polowaniu na męża!*²⁾ Nie jest ona małej wagi, bo dopóki tego poczucia nie będzie, będzie ciągle fałszywy apetyt — będzie pogardzona szlachecka pańskość jedynym Eldorado społecznym, a tarcie i kwas społeczny nie ustaną³⁾.

Ale niedosyć na tem. Narzekamy, że nie mamy ludzi, że u nas ludziom ostać się nie dają, że postawieni dzisiaj fetysze jutro dostają pałką i gruchocą się w kawałki. Dlaczego? Zdolności u nas nie brak, czasy ciasnoty szlacheckiej oświaty minęły, otworem stoją szkoły, uniwersytet, zawód publiczny, życie parlamentarne. Znaleźliby się ludzie, ale ludziom brak społeczeństwa, jak ptakowi powietrza. Zdrowe społeczeństwa z figurantów robią ludzi, chore z ludzi figurantów. Zdrowe umieją użyć każdego, chore nie dadzą nikomu nic zrobić. Bo zdrowe społeczeństwa ciężą wagą opinii publicznej na usługach swoich, zostają z nimi w ustawicznym związku, wymieniają uczucia i myśli; chorym dosyć, aby ktoś stanął dzisiaj, aby jutro stać się względem niego podejrzliwym, pojutrze potępić i mieszać z błotem.

Tak jest, szlachty już dzisiaj niema, szlachectwo jest żółta łątka na plecach, jaką żydzi na znak podejrzania i niechęci społeczeństwa nosili; ale grasuje w społeczeństwie demokracja fałszywa rzeczypospolitej i jej duch niwelacyjny. Mniejsza już o to, że razi arystokracja imienia; razi tak często, tak wyraźnie arystokracja ducha. Jest pewne zakłęte koło, które przeszedłszy, staje się człowiek podejrzany, dumny, arystokrata, mniejsza o to, czy on szlachcic czy nie; a dostaje człowiek ten nieszczęśliwy epitet, nie za to, że

¹⁾ W Krakowie. — ²⁾ Ąnczyc (zm. 1883) — poeta i dramaturg, autor popularnego poematu *Tyrteusz*; Bałucki (zm. 1901) — wybitny komedjopis (*Grube ryby*, *Dom otwarty* etc.). — ³⁾ Eldorado, legendowy kraj złota.

przestał być demokratą, nie za to, że przestał kochać społeczeństwo, ale za to, że przestał być zrozumiałym komuś, który go rozumieć nie może lub nie chce, którego myśli inną biegną koleją.

Stąd bezwładność ludzi, stąd bezpłodność ich pracy, stąd koteryje i koteryjki, stąd koła wzajemnej admiracji, stąd brak dyskusji, starcia zdań, a natomiast kłótnia i kwas w społeczeństwie. Każdy czuje się powołany do sądzenia wszystkiego i wszystkich, nie chcąc szanować nikogo, nie chcąc zaufać nikomu. Nikt nie chce dowiedzieć się od nikogo o niczem, ale chce sądzić wszystko, nie znając rzeczy, nie wysłuchawszy stanu sprawy. Każdy się uprzedza, nikt wyrozumieć nie chce. Nikt nie chce przypuścić, aby praca, doświadczenie, miłość kraju, dowodnie stwierdzona, dawała komu prawo do przywództwa; *veto!* bo mnie tam niema. Nikt nie chce przypuścić, aby umiarkowańsze zdanie nie było dowodem chłodu serca, aby zimniejsze zapatrywanie się na rzeczy zmieścić się mogło przy równem ciepłe miłości. Z tem, co się ma, ze zdaniem nieudolnym, niewyrobionem, idzie się bić i depopularyzować zdanie wytrawne i poważne, bo dlaczegoż do licha zdanie nie ma być lepszem, kiedy serce pełne patriotyzmu! Myśli inaczej, to nie czuje jak ja: nie mogę go rozumieć, nie chcę go! Jest to najstraszniejszy rak naszego społeczeństwa, najstraszliwszy spadek po dawnej rzeczypospolitej.

W takim stanie rzeczy, wobec dążenia demokracji szlacheckiej do niwelacji umysłowej, jeden tylko środek wiódł do opanowania umysłów: demagogja. Jest to ostatni stopień życia rzeczypospolitych, które przyprowadza do tyranji lub rozbicia. Gdzie rzeczpospolita nie pozwoli się ostać arystokracji ducha, rozumu, cnoty, gdzie cześcią nie otacza tych, którzy niemi celują, ale ich kamieniuje, gdzie się w ludziach swoich nie czuje, tam powstaje panowanie złej wiary, tam ludzie, dążący do władzy, muszą mówić inaczej, jak myślą, aby uczynić to, czego chcą. Kto nie chce ani arystokracji rodu, ani arystokracji ducha, musi mieć arystokrację popularności. Musi dać panować nad sobą tym, którzy chodzą w jego szacie, którzy mówią, co on mówi, walczą, za co on walczyć pragnie, którzy mu służą — podobnie jak niedołęga i egoista, który, odepchnąwszy rodzinę, staje się ofiarą pochlebcy. W Polsce stało się to, jak się stało w Atenach; po Peryklesach nastąpiły herbowe Kleony, szczujące szlachtę na króla, na władzę, prowadzące własną politykę, zawierające przymierza z ludźmi *ejusdem farinae*¹⁾ lub toczące

¹⁾ „Z tej samej maki“.

z nimi wojny. Rodzili się oni z samej natury położenia, z natury stanowiska, które zajmowali. Dobrodusznymi kochali szlachtę i szlachcili się, jak Panie Kochanku; mniej dobrodusznymi poili ją, aby się z niej natrzęsać; ambitni marzyli o koronie lub o stanowisku, samejże koronie groźnym. Rozpadła się rzeczpospolita na królestwa możliwych, wobec których sam król był tylko jednym z uczestników władzy. Obce wpływy potrzebowały sięgnąć ręką, aby ją rozbić, i mimo wysiłków ostatnich, rozbiły.

Miałbyż dzisiaj, gdy niwelacja demokratyczna pozostała, wyginąć ród oligarchów demagogów? O oligarchach przeczytać się można w wielu gazetach, które trzymają społeczeństwo w ciągłym strachu przed potworami wsteczności w mitrach książęcych i koronach o dziewięciu pałeczkach!¹⁾ Tymczasem nie da się to jakoś zastosować. Chcąc być oligarchą w znaczeniu dawnej Rzeczypospolitej, trzeba być popularnym, a jużcić o popularności mowy tu być nie może. Ale dajmy na to, że te sfery zachowały wpływ na pewne warstwy społeczeństwa, że wielu ludzi u nas nie chce się obawiać ich, gdy co robią, uważając to za małoduszność, a dzielą tylko niechęć ku tym, co nic nie robią — czyżby nie było w naszym społeczeństwie potęg nowej kreacji, sposobów zajęcia tego samego groźnego stanowiska, jakie dawniej możni zajmowali panowie? Czy niema u nas potęg, które, odzywając się do popularnych instynktów, mają w rękę dobre imię i cześć człowieka, które ciężą potężną dłoń na wszystkich funkcjach życia publicznego? Pełnia życia neutralizuje te potęgi zagranicą, zaprzęga je w służbę publicznego dobra; u nas w ostatnim szczególnie czasie wykluczyły one prawie wszystkie inne objawy życia — a raczej niemi życie zastąpić się dało. I dlatego to życzyliby należało, aby potęgi te, siłą swoją tak groźne, towarzyszyły objawom życia, ale go nie zastępowały!

Z drażliwej tej kwestji przechodzimy raz jeszcze po rys charakterystyczny z dziejów dawnej Rzeczypospolitej, nad którym nam się bliżej zastanowić wypadnie. Nie jest on przyczyną upadku, ale jest jego symptomem. Gdzie życia brak, gdzie brak prawdziwego ruchu, gdzie brak ducha reformy, gdzie brak postępu — tam się zaczyna zasklepianie w teorii, budowanie karcianych domków systematów, przestrzeganie, aby teoria i systemat w niczem naruszonym nie został. *Noli me tangere*²⁾, mówi takie społeczeństwo, jak ów warjat o szklanym żołądkiem. Są świętości, których ruszać nie

¹⁾ T. j. hrabiowskich. — ²⁾ Nie waz się mię dotykać.

wolno, są rzeczy, nad którymi dyskusji niema. Nasi przodkowie, postacie poważne, a większą częścią rumiane i okrągłe, zdają się na pierwszy rzut oka nie podlegać temu zamięłowaniu teorii, temu zamięłowaniu w budowaniu systematów, temu ciągnięciu wszystkiego do zasady. A jednak przeciwnie rzecz się miała. Przodkowie nasi budowali swój system wolności, swoją teorię polityczną i społeczną ze spokojem, z jakim niemiecki filozof budował systemy filozoficzne, albo Archimedes dowodził swego twierdzenia. Wśród wojen Jana Kazimierza, wśród najazdu Polski ze stron wszystkich, pisał p. Andrzej Maksymilian Fredro, że Polska dopóty tylko istnieć będzie, dopóki fortec mieć nie będzie, dopóki pospolite ruszenie będzie jej główną siłą, dopóki elekcje i *liberum veto* istnieć nie przestaną. Wśród oplakanego stanu w pierwszych latach Stanisława Augusta, dowodził Wielhorski na sejmie 1766 r., że Polska nie zginie, że jej potencje upaść nie dadzą, dopóki będzie słaba, bo mocna zagroziłaby *aequilibrium*¹⁾ europejskiemu. Doświadczając codziennie okropnych skutków elekcji i *liberum veto*, podniesiono jedno i drugie do narodowego dogmatu, uczyniono nietykalnymi zasadami! Formę Rzeczypospolitej miano za absolutną doskonałość, wobec której urządzenie innych krajów, jako niewolnych, tylko na polowanie zasługują. Słowem, nasi przodkowie byli największymi teoretykami świata, bo, dostając codziennie ciężki za teorię, nie chcieli jej w niczem uszczuplić lub zmodyfikować.

Wielkością konstytucji 3-go maja było właśnie to, że odstąpiła od teorii, że odstąpiła od tego ślepego bałwochwalstwa systematu Rzeczypospolitej; wielkością, że z teorii przodków nie przeszła do innej, z zagranicy żywcem przywiezionej lub jako przeciwieństwo dawnego stanu rzeczy ukutej, ale że umiała praktycznie wziąć ze starego, co było dobre, a odrzucić, co złe, przejąc z zagranicy, co było dobre, a nie naśladować jej; że wyszła gotowa, samorodna, praktyczna, jak Minerwa z głowy Jowisza.

Pokolenie pogrobowe, gdy już zabrakło generacji, ożywionej twórczym i praktycznym duchem 3-go maja, gdy minęły pierwsze dni Księstwa Warszawskiego i Królestwa, pokolenie to, ograniczone do teorii, nabrało też wszystkich wad teoretyków, odciętych od rzeczywistego życia, poddanych omyłkom w najprostszym arytmetycznym rachunku. Nadzieje obcej pomocy i wiara, że myśl zastąpi środki, że idea zastąpi siłę, jednakie tu, jak w czasach dawnej Rzeczypospolitej.

¹⁾ Równowaga.

Po wielkich i ciężko okupionych upadkach, dzisiaj, bodaj czy nie idziemy jeszcze dalej; idziemy do zaślepienia, że teoria zastąpi praktykę, że dosyć wyznawać, rozszerzać liberalne zasady, że dosyć w imieniu tych zasad opanowywać życie narodu, aby zagadkę bytu rozwiązać — że dosyć sprowadzić z zagranicy to lub owo uniwersalne lekarstwo, aby społeczeństwo postawić na nogi. Po epoce dogmatycznej, w której pod anatematem¹⁾ złego patrioty nie wolno było wystąpić przeciw idei, w jakiegokolwiek była ręce, wstępować zaczynamy w epokę, w której mamy uwierzyć, że zasada doprowadzi nas do celu; a że zasad kilka, mamy więc spychać jedną drugą. Co przewidywał wielki poeta²⁾, zdaje się zbliżać i zbliży się nieuchronnie, jeżeli skutek czyto szczęśliwych okoliczności, czy skutek dłuższego obtarcia się ludzi o siebie, nie obudzi się to, co wszystkie teorie i zasady poddaje pod komendę potrzeby praktycznej, co nie pozwala czekać na dobro jednej lub drugiej zasady, aż do czasu, gdy ona zwycięży, ale każe im pracować obok siebie dla powiększenia siły, oświaty i dobrobytu społeczeństwa. Zasady mogą być wyższe i bywają wyższe, niż cele społeczeństwa, niż cele narodu, bo zasady nie są wytworem narodowości, ale ludzkości; ale dopóki naród nie stracił racji bytu, dopóki dba o zachowanie swojej indywidualności, nie może on żadnej, najbardziej szanowanej zasadzie pozwolić na bezwzględne gospodarstwo, musi być artystą-twórcą, który do celów swoich, do celu tworzenia siebie samego, do celu postępu i doskonalenia się wewnętrznego, dlatego, aby mógł służyć w świecie wszystkiemu, co wielkie i święte, aby mógł połączyć swoją prawicę swoją na szali zadań świata położyć, aby mógł być świadomym czynnikiem w walce zasad świata, aby mógł dać świadectwo prawdzie — do celów tych, mówię, ma wolność używania barw wedle swej myśli własnej, wedle tego rodzimego ideału, dla którego go Bóg z powodzi ludów powołał.

I tutaj czas nam zakończyć bolesną wędrówkę przez przeszłość i terażniejszość podniesieniem kilku prawd, które ogrzać nas powinny. A naprzód wypowiedzieć musimy to, co najlepiej ugruntowaliśmy wykładem naszym, że spuścizna dawnej Rzeczypospolitej a z nią i obowiązek ekspiacji dawnych wad i grzechów nie ciąży na pewnych warstwach społeczeństwa, ale na całym świadomym sobie narodzie, że wszyscy jesteśmy pogrobowcami dawnej Rzeczypospolitej, bogaci i ubodzy, wykształceni i mniej wykształceni, zrównani jednym losem i obdzieleni równą odpowiedzialnością. Kto

¹⁾ Kłątwa. — ²⁾ W *Nieboskiej Komedji*.

wszedł w nasze życie, ten przejął dziewięć wieków jego historii, ten się dostał w tę atmosferę, w której zarówno mógł zaczerpnąć epidemicznego wyziewu złego, jak powietrza, wiejącego od husarskich naszych chorągwi, od błogosławionej ciszy naszego polskiego ziemiańskiego życia. I jak mu w piersiach do żywszego bicia serce porusza dzwon Zygmunta, widok Wawelu, tak wślizgnąć się w jego duszę może duch Zebrzydowskiego i Kmity, duch anarchji i nieszczęścia. Taki jest związek pokoleń w narodzie, jak skłonności złych i dobrych w życiu człowieka; od niego zależy, czy pokona złe a poda wolę swoją dobrym, lub przeciwnie. I nie na zmianie teoryj, zasad, wyobrażeń polega wyzbycie się złego a przyjęcie dobrego, nie na wyparciu się szlacheckich tradycyji lub pojęć dawnej Rzeczypospolitej, które dzisiaj nie mają związku z życiem, nie na szukaniu źdźbła w oku nieboszczyków lub ich potomków — ale na tem głębokiem wejściu w siebie i porachowaniu się z sobą, czy złe nie wróciło w innej formie, czy nie opanowało nas pod kształtem zmienionym. Bo potęgą złego jest właśnie jego zdolność do maskarady, jego zdolność wywoływania tychże samych skutków innemi środkami: bo złe nigdy i nigdzie pokonanem być nie może zmianą teoryj, ale pozbyciem się go w praktyce, nigdzie samem przyjęciem innych form, ale wyrobieniem z siebie i w sobie innej treści.

Gdyby mnie zaś zapytano, jaka droga do tego wyrobienia innej treści, skąd ją wziąć i jak ją stworzyć, jak uniknąć recydyw, jak utrzymać społeczeństwo na pochyłości, po której się toczy, wskazałbym, aby nie powtarzać zbyt często a nadaremnie powtarzanych rzeczy, jak: praca, nauka, moralne odrodzenie jednostek — wskazałbym, mówię, staranie się ustawne, namiętne o ducha krytycznego, tak względem samego siebie, jak względem objawów codziennego życia w społeczeństwie. Wskazując to dążenie, jako jedynie zbawcze, wbrew tym, którzy nas teorjami i zasadami chcą zbawiać, żądam rzeczy najtrudniejszej, jakiej żądać można, bo przetworzenia, odrodzenia narodu!

Polacy, jeden z najmłodszych narodów europejskich, ducha krytycznego nigdy nie mieli. Mieli oni, jak to już Kromer¹⁾ wybornie ich charakteryzuje, wielkie zdolności, łatwość nabycia wiedzy i poprzestawanie na tej łatwości. Chwyтали się z równą niekrytycznością obcych nowinek, jak niekrytycznie wprowadzali nowe instytucje, nie usuwając starych, budując np. w całym znaczeniu tego słowa Rzeczpospolitą, a zostawiając, przez zamięłowanie tradycyji, cały aparat mo-

¹⁾ Marcin Kromer w dziele *Polonia* (1577).

narchiczny. Wszystko było u nich doraźne, raptowne, namiętne. Otóż jako ratunku żądam namiętnego chwycenia się krytycznego kierunku, żądam tej wielkiej ambicji, aby zwyciężyć wady narodowego charakteru, pozbyć się narodowej właściwości, która jest zabójczą; żądam, aby cały zapał młody, cała miłość ojczyzny po raz ostatni uniosła pokolenie nasze w sferę, która już nie potrzebuje zapału, bo ma męską dojrzałość, która zastępuje zapał zimną krwią, z jaką świadome dzieją się czyny!

Kierunek krytyczny, wniesiony w nasze społeczeństwo, a wniesie go tylko praca i nauka, sam jeden zdolny stać się rozjemcą wszystkich sporów, wszystkich walk, a naturalnym łącznikiem ludzi. Zastosowany do jednostek, obudzi zatracone pojęcie odpowiedzialności słowa i czynu; zastosowany do społeczeństwa, skończy epokę, w której przez serce do głowy trafiano. Przychwyci on wpół drogi każdą wadę narodową, każde słowo bez treści, każdą ambicję bez kwalifikacji. Zachowawczy z natury, nie wyrzuci dla zasady rzeczywistego kapitału narodowego; rewolucyjny, a raczej reformistyczny z celu, nie pozwoli się ostać fałszywej monecie. A kryterjum to samo, co dawniej, tylko że pierwej było w sercu, teraz przenieść je trzeba do głowy!

Na wielkiej widowni chrześcijańskich dziejów postawił Bóg narody, które wyposażył rozmaicie, jedne duchem krytycznym, drugie wielkimi natchnieniami i porywami ducha. Ta różnorodność ich wyposażenia kładła pomiędzy nimi nienawiść i pobudzała do walki. Anglja i Hiszpanja, Francja i Niemcy, Polska i Moskwa. Od kolebki widna ta różnica. W obronie wiary i idei walczy Polska, w obronie wiary i idei walczy Francja. Krytyczny duch reformacji nie przyjmuje się we Francji i Polsce: rozum nie umie u nich pokryć tej pełni ducha, która napełnia ich pierś, a absolutyzm Ludwika, despotyzm jednostki szlacheckiej znoszą te narody dla punktu honoru, który w nich widzą. W walce z narodami, które w sobie, nie poza sobą, cel najwyższy ujrzały, które od pierwszej chwili bytu mechaniczną zaborczość lub gospodarzę w domu za najwyższy cel postawiły, które wytworzyły ideał państwa, jak Niemcy, ideał wolnych instytucyj, jak Anglja, ideał despotyzmu narodowego, jak Rosja — w walce tej nierównej ducha z rozumem, zapału z wolą, honoru z obowiązkowością, upadły kolejno Hiszpanja, Polska i Francja, i stoimy dzisiaj na wielkim cmentarzu nie tylko naszego żywota, ale i żywotów nam pokrewnych, stoimy dzisiaj w pobitym katolickim obozie, którego najwyższa głowa, ów ideowy szczyt świata, pozbawiona została władzy monarchicznej w imię ironicznej zasady: siła

przed prawem, duch niechaj żyje samym duchem! Losy tych narodów ciemna przysłania przyszłość: to atoli zdaje się prawdopodobnem, że walka tą samą bronią, co pierwej, będzie na długi czas niemożnością lub samobójstwem. Muszą one przejść ciężką próbę, nie aby poddać się i uznać wyższość przeciwników, ale aby znaleźć formę dla tego, co dotąd roztrącało formy, dla tego ducha, który nie pozwolił im się ustawić do harmonji, do jakiej racjonalni ustawili się przeciwnicy. Rola ich nieskończona; ale drogą do przyszłej roli jest przejście nie idei, ale metody, którą przeciwnicy doszli do zwycięstwa.

PIOTR CHMIEŁOWSKI (1848 — 1904).

Przekonania i dążności pozytywistów warszawskich¹⁾.

I.

Jeżeli pod wielu względami podobne są do siebie czasy, następujące po roku 1831 i 1864, to podobieństwo to pod względem literackim sprowadza się do najmniejszych rozmiarów. Po roku 1864 niema tego rozłamu piśmiennictwa na dwa odrębne niejako światy, z których jeden jaśnieje wszystkimi blaskami poezji, a drugi bardzo powoli i nader mozolnie się zapełnia produkcjami umysłowemi, do których społeczeństwo w podobnym czasie nie czuje wielkiego pociągu. Jakkolwiek bowiem wielu utalentowanych ludzi kraj opuściło, to jednakże pomiędzy nimi jedna tylko rzeczywista znakomitość się znajdowała, t. j. Józef Ignacy Kraszewski; a nadto z bardzo nielicznymi wyjątkami wszyscy oni ogłaszali swe pisma w kraju; stali się zatem siłą dla niego na pół tylko straconą, o tyle, że nie mogli częstokroć społeczeństwa swego obserwować zbliska, a przez to pozbawiali się tej znajomości bieżących interesów, która każdemu utworowi piśmienniczemu, w jego wpływie na czytelników, nadzwyczaj silnie pomaga.

Zatamowanie ruchu literackiego w kraju nie przedstawiło się tak jaskrawo, jak po roku 1831: — wszystkie pisma dawniej istniejące wychodziły w dalszym ciągu, — a było ich sporo: w Warszawie pięć dzienników, czternaście tygodników, jeden miesięcznik i jedno pismo zbiorowe. — —

¹⁾ Pierwsze cztery (skrócone) rozdziały książki „Zarys literatury polskiej z ostatnich lat szesnastu“ (1881).

Przed rokiem 1830 wydawanie czasopism pozostawało w ręku literatów, którzy nie szukali w tem zajęciu zysków; autorowie pisali bezinteresownie i o honorarjach nie marzyli; nic więc dziwnego, że gdy owych bardziej przedsiębiorczych literatów zabrakło, pisma musiały przestać wychodzić, a autorowie, nic na tem nie tracąc, nie czuli nieodzownej potrzeby czasowych wydawnictw. Obecnie wydawnictwa te dostały się przeważnie w ręce przemysłowców, którzy, uważając je za interes, oczywiście dbali o to, ażeby interes ten nie zmarniał; podtrzymywali go więc i wtedy nawet, gdy czasy były ciężkie, a pisma nie przynosiły zysków dawniejszych. Jednocześnie jednak nie należy zapominać, że ilość czasopism i ich rozpowszechnienie, jeżeli nie świadczy o stopniu oświaty w kraju, to w każdym razie daje nam poznać doniosłość jej promieni; wskazuje, jakie i jak wielkie warstwy społeczne z jej dobrodziejstw korzystają. Powstanie wyliczonych powyżej czasopism może być dostatecznym dowodem, że potrzeba czytania wzmogła się znacznie, że popyt na pracę umysłową nietylko nie ustawał, ale zwiększał się ciągle; przedsiębiorcy bowiem nie ryzykowaliby swego kapitału na rzecz, nie mającą pokupu. Rozumie się, że nie wchodzę na teraz w treść i wartość wewnętrzną tych wydawnictw, ani też nie myślę bynajmniej twierdzić, jakoby ówczesna liczba czasopism była zupełnie odpowiednią ilości liczebnej narodu; chciałem tylko przez zestawienie kilku cyfr stwierdzić fakt wyższości tego okresu literatury naszej nad bezpośrednio poprzedzającym pod względem rozpowszechnienia czasopism, a zatem i chęci do czytania. Jest to więc *względne* jedynie, a nie *bezwzględne* oznaczenie wartości tej chwili literackiej, chwili zbyt ważnej w dziejach naszego społeczeństwa, ażeby ją można bez bliższej rozwagi pominąć. Jeżeli w ogólności takie zwiększenie się liczby czasopism zwróciłyby uwagę w każdym czasie, w każdej dobie rozwoju, to tem bardziej zastanowić nas powinno w tej tak niepospolicie zawichrzanej chwili, która do pracy cichej na polu piśmiennictwa zachęcać się nie zdawała, przedstawiając myśli i działalność ogółu zadania zarówno trudne do rozwikłania, jak tem bardziej do przeprowadzenia ich w praktyce życia.

Nastąpił wielki przewrót w stosunkach ekonomicznych i społecznych. Reforma, która w innych krajach Europy dokonała się oddawna, a nawet w innych częściach byłej rzeczypospolitej również od lat dwudziestu skuteczną została, dla Rusi, Litwy i Królestwa w tej dopiero urzeczywistniła się chwili. W teorii, będąca życzeniem ludzi postępowych już od wieku niemal, wielokrotnie roztrząsana i rozwijana, dopiero wtedy znalazła swój wyraz prak-

tyczny, nie taki zapewne, jakiego większość inteligencji sobie życzyła, ale taki, jaki zgóry został wskazany. Jak ostatnia prawie weszła Polska w koło narodów europejskich za pośrednictwem religii, tak na ostatku w przeważnej swej części pozbyła się resztek średniowiecznego ustroju społecznego. Chłop został nietylko człowiekiem, nietylko właścicielem, ale i obywatelem kraju.

Reforma ta, która pod względem społecznym ostatecznie upodobniła nasze stosunki ze stosunkami europejskimi, która otworzyła dalekie widnokręgi dla całych milionów i na nowej niejako podstawie gmach przyszłości narodowej osadziła, wywołała bezpośrednio przewrót ekonomiczny, najprędzej uczuć się dający. Dawne pańszczyźniane gospodarstwo musiało ustąpić miejsca folwarcz-nemu, co zmuszało dawnych właścicieli, w wygodnym zazwyczaj *farniente*¹⁾ pogrążonych, do przyłożenia pracy osobistej, do oszczędności i oględności pewnej, pod groźbą wywłaszczenia. Ta groźba, połączona w okolicach kresowych z innego rodzaju wywłaszczeniem, wysunąć musiała oczywiście na plan pierwszy kwestję utrzymania bytu materialnego i szukania środków, ku temu celowi skutecznie prowadzących.

Umiejętna uprawa roli stać się naturalnie musiała dla ziemian warunkiem niezbędnym do wybrnięcia z niezbyt świetnych interesów finansowych, w jakich pozostawali dawniej, ufną w pracę przymusową tych, co teraz młodszymi ich braćmi prawnie zostali. Atoli, obok racjonalniejszego chodzenia około roli, trzeba było uznać znaczenie i potęgę przemysłu i kapitału; nie można było gardzić jednym, a lekceważyć drugiego; należało się pozbywać coraz prędzej przesądów szlacheckich o swojej wyższości i o swoim dostojństwie, lecz jąc się pracy oburącz, a z łokciem i wagą pogodzić się, uszanować w nich przedstawicielstwo podobnejże pracy, która miała odtąd w zupełności zastąpić dawny przywilej.

Przemysł, który szybszy i bogatszy swój rozwój w kraju datuje od roku 1850, t. j. od czasu zniesienia granicy celnej między Cesarstwem a Królestwem, znalazłszy otwarty rynek na Wschód, wzmagał się z każdym rokiem, zwłaszcza, gdy komunikacja kolejowa większą siecią dróg ziemię naszą pokrywać zaczęła. Do jednej dawniej istniejącej kolei²⁾ przybywa w Królestwie w tym przeciągu czasu cztery inne i sprawiają, że Warszawa staje się nader ważnym punktem, w którym, jeżeli nie gromadzi się, to w każdym razie istnieje łącznik handlu zachodniego ze wschodnim. Wprawdzie

¹⁾ Po włosku = „nic nierobienie“, próżnowanie, nieróbstwo. — ²⁾ Warszawsko-wiedeńskiej.

przemysł nasz w znacznej części znajduje się w ręku Niemców, którzy niejednokrotnie wcale po polsku nie umieją; to przecież wpływ jego na kraj nie umniejsza się przez to, i jeżeli jeszcze niezbyt liczne wywołuje współzawodnictwo ze strony krajowców, to obudza przynajmniej samowiedzę jego potrzeby. — —

Takie położenie rzeczy, zmuszające do ścisłego rachowania się z praktycznymi wymaganiami życia, nie mogło pozostać bez wpływu na uczucia i przekonania ogółu, na program jego postępowania, na jego poglądy co do przeszłości i terażniejszości. Życie gorączkowe, marnujące się z jednej strony w lekkomyślnych albo i bezmyślnych nawet hulankach, a z drugiej w bezowocnych wysiłkach, nie mogło już być nadal ideałem ludzi, którzy byt swój zagrożonym widzieli. Hasło tedy pracy organicznej drobnej, powolnej, ale wytrwałej i ciągłej, jako punkt wyjścia i jako środek pożytecznego zużytkowania sił wytwórczych, zastąpiło dawniejsze godło wulkanicznych wybuchów albo życiowej apatii. Ani wymuskany, wypolerowany salonowiec, ani wiecznie wzdychający i niezadowolony wieszcz, ani galwanizujący się wiecznie wielkimi i świętymi intencjami, ale zaślepiiony w postępowaniu młodzieniec, lecz człowiek pracowity, dzielący swój czas na długą, bardzo długą pracę i skromny odpoczynek, stał się przedmiotem, jeżeli nie uwielbień i pochwał, to przynajmniej życzeń i pragnień. Do tej pracy powołani zostali nie tylko mężczyźni, ale i kobiety, których położenie materialne zmuszało do zaprzestania roli lalek salonowych lub istot „zapożyczonych“, a wzięcia się natomiast do roboty, do wywalczenia sobie samodzielności.

A gdy sobie przypominano bezpośrednią przyczynę tych smutnych stosunków materialnych, gdy coraz bliżej nadchodziła przykra rocznica stuletnia¹⁾: zwrócono się ku przeszłości już nie z tem bałwochwalczem uwielbieniem, które nie umie rozpoznać tego, co prawdziwie wielkie i piękne, od tego, co jedynie przesąd lub miłość własna za takie poczytywać lubi, — ale z poszukiwaniem powodów nieszczęść naszych i upadku politycznego, ażeby w ich rozważaniu doszukać się istotnego źródła klęsk i niepowodzeń, którychby na przyszłość unikać należało²⁾. Uporczywe zrzucanie z siebie wszelkiej winy, praktykowane ciągle za czasów dawniejszych, nie mogło teraz znaleźć posłuchu i uważaniem być zaczęło za jeden ze środ-

¹⁾ T. j. rocznica utraty niepodległości (charakterystyczny tu styl autorów, zmuszonych pisać pod jarzmem cenzury rosyjskiej). — ²⁾ Por. na ten temat — zamieszczone tu przedtem rozprawki ówczesnych historyków t. zw. „szkoły krakowskiej“, Kalinki i Szujskiego.

ków odurzających, któremi ukołysane umysły nie miały dosyć energii, aby śmiało, po męsku zajrzeć w oczy złemu i stanowczem postanowieniem zerwać się do pracy nad sobą, do wykorzenia z pomiędzy społeczeństwa tych chwastów, co rozwój roślin pożytecznych przytłumiały.

Te dążności, wywołane praktyką życiową, mające zatem twardy grunt pod nogami, nabrały nowego znaczenia i zabarwiły się inaczej, gdy na nie padło światło nauki współczesnej. Otwarcie Szkoły Głównej w Warszawie miało pod tym względem nadzwyczaj potężną doniosłość, zarówno przez bezpośrednie działanie kilku dzielnych i znakomitych profesorów, jak niemniej przez oddziaływanie pośrednie, właściwe każdej instytucji naukowej. W kraju, który przez lat blisko 30 pozbawiony był wyższego zakładu naukowego, musiał oczywiście panować pewien mrok w zakresie umiejętności; zdobycze nauki zachodniej nie dostawały się do niego wcale, albo nadzwyczaj późno, i to w formie jak najbardziej popularnej, a niekiedy tendencyjnie skrzywionej. Założenie Akademii medyko-chirurgicznej w 1857 r. rozwijało umysły w jednym przynajmniej kierunku praktycznym i do życia tak nieodbicie potrzebnym; założenie Szkoły Przygotowawczej (r. 1861) rozszerzyło ten zakres, wprowadzając wyższe pojęcie nauk humanitarnych i budząc zapał w licznych szeregach młodzieży, która naprawdę tłumnie zapełniała audytorja, spragniona wiedzy, co dawniej tak trudno zdobywać się dawała. Szkoła Główna (r. 1862) odziedziczyła już i to zainteresowanie się nauką i ten zapał młodzieży; a rozszerzający się zakres wykładów z każdym rokiem wytwarzał tę atmosferę naukową w społeczeństwie, co sama nie stanowi wprowadzie nauki, ale ją ułatwia, zachęca i pobudza do niej. Boć oczywiście każdy wyższy zakład naukowy, gromadząc w swych murach grono młodzieży, staje się zarazem rozsądnikiem wiedzy na daleko szersze koła, gdyż każdy ma rodzinę i znajomych, z którymi dzieli swe wiadomości, zwłaszcza gdy te, jak wśród ówczesnego położenia, miały cały urok rzeczy nowych. Z tego zbiornika rozchodziły się ożywcze prądy na inteligentną część społeczeństwa i wyrwały ją choć trochę z powszednich mało znaczących stosunków. Z małego miasta Warszawa stała się znowu, jak po roku 1818, miastem wielkiem, zainteresowaniem nauką; a to usposobienie stolicy udzielało się i prowincji.

Pierwsze coprawda pokolenie, wychowane przez Szkołę Główną, poszło utorowanemi już dawno gościńcami; oddało się uprawie poezji, drukując różne zbiorki wierszy, mniej lub więcej udatnych, pod mniej lub więcej romantycznymi tytułami. W wierszach tych, za-

równy strona myślowa, jak i forma, była poprostu spadkiem, odziedziczonym po bezpośrednio poprzedzającym okresie rozwoju; nie świeża tu jeszcze żadna nowa dążność, nie znać tu jeszcze wpływu umiejętności. Ale druga już koleja generacja wychowawców poczuła na sobie wybitny wpływ ducha nowego, który bił z nowej instytucji. Powoli, bardzo powoli dowiadywała się ona o świetnych zdobyczach nauki nowożytnej lub o potężnych prądach, nurtujących w umysłowości europejskiej. Nie wprost wielką rzeką komunikacyjną, ale pobocznymi strumykami dopływały do niej wiadomości o tem, co ówczasie cały Zachód w pewien stan gorączkowy wprowadzało. Ze wstępnej prelekcji Henryka Struvego dowiedziała się młodzież, że poza granicami kraju od lat już kilkunastu huczała burza materializmu, którą wzniesili Moleschott, Vogt i Büchner, a o której u nas do tej pory ni słycho nie było.

Z teorjami Comte'a spotykamy się wprawdzie już w roku 1844 w dziele Adrijana Krzyżanowskiego p. n. *Dawna Polska*; ale wiadomość ta przebrzmiała tak dalece, że nawet wydawca drugiej edycji tego dzieła w lat kilka o tym fakcie nic a nic nie wiedział. — — Dopiero obszerna rozprawa ks. Franciszka Krupińskiego p. t. *Szkola pozytywna*, pomieszczona w *Bibliotece Warszawskiej* r. 1868, zaznajomiła myślących czytelników z nowym rodzajem filozofii, która, chociaż we Francji oddawna już znana, w tym jednakże czasie na nowo stała się przedmiotem rozbiórów z powodu dzieł o niej napisanych przez Littré'go i Stuarta Milla. — —

Te były główne czynniki, obudzające myśl krytyczną młodzieży, która z konieczności musiała zadać sobie pytanie: w jakim też stosunku znajduje się oświata naszego kraju do oświaty Zachodu? Naturalnie, dokładnego o tem pojęcia młodzież mieć nie mogła; ale wiedziała tyle, że zagranicą oddawna znane są i rozpowszechniane takie prawdy lub teorje, o jakich przewodnicy dotychczasowi umysłowości naszej nie wiedzieli; że za granicą rozbierają się zagadnienia niezmiernej doniosłości religijnej, filozoficznej, społecznej, ekonomicznej, gdy tymczasem u nas kwilono na przebrzmiałą nutę że zagranicą poddawano wszystkie myśli i wszystkie stosunki ludzkie ścisłej analizie, surowej krytyce, gdy u nas ciągle jeszcze powoływano się na tradycyjne powagi; że słowem, zagranicą nauka, umiejętność trzymały berło w państwie umysłowym, gdy u nas hołdowano płacziwemu rozmarzeniu lub namiętym a ślepym wybuchom. Takie ryczałtowe zestawienie stosunków własnych z zagranicznymi nie mogło w śmielszych i energiczniejszych umysłach nie sprawić bolesnego wrażenia, nie mogło oczywiście zakryć tej prawdy,

że od r. 1831 przystaliśmy w tyle za Europą zachodnią i to pod każdym względem, zarówno rolniczym, jak przemysłowym, zarówno naukowym, jak literackim. Najwięcej atoli raził uczącą się młodzież zastój w umiejętności, zastój pojęć w społeczeństwie. Jak w ciele ludzkim osłabienie krążenia krwi powoduje ciężkie niemoce, tak w narodzie załamane krążenie pojęć niezdołnym go czyni do życia umysłowego. Z wielkim zapałem do nauki, z sercem gorącym a rozsądkiem krytycznym, z niemałą dozą zarozumiałości i zuchwalstwa młodzieńczego, dla którego trudności nie istnieją, bo czuje w sobie siłę tysiąckrotną, wystąpili co dzielniejsi do walki z istniejącym stanem literatury, chcąc go zmieniać, przerabiać, reformować, ufni, że zwycięstwo na ich przechyli się stronę, gdyż walczyli w imię „nauki“, tej władczyni umysłowej czasów naszych.

I tak — z wpływów ekonomiczno-społecznych i naukowych zarysowało się położenie, które porównywano do owego obudzenia się ducha poezji romantycznej w trzecim dziesiątku naszego stulecia, które jednak o wiele słuszniej zestawić można z prądem reformatorskim w wieku XVIII.

Jak naówczas, tak i teraz, wystąpiono w imię światła przeciw obskurantyzmowi, w imię tolerancji przekonań przeciw ślepego dogmatyzmowi, w imię postępu przeciw zastojowi. Jak wówczas, tak i teraz, poglądy nowe, reformatorskie pojawiały się stopniowo, występowały nader umiarkowanie względem istniejących i wiekami utrwalonych nie tyle przekonań, ile nałogów myślowych; radykalne doktryny albo nie miały zwolenników wcale, albo tak nielicznych, a raczej odosobnionych, że oni bardzo mały wpływ na społeczeństwo wywierać mogli. Jak wówczas, tak i teraz, to, co było u nas najdrażliwszem zawsze — kwestja religijna — została z dyskusji niemal usunięta, a krytyka jawna, otwarta, tyczyła się nie dogmatów, ale obrządków zewnętrznych i duchowieństwa. Jak wówczas, tak i teraz, względy na okoliczności zewnętrzne, z bytem kraju związane, hamowały zbyt zapalczywe i za daleko sięgające zapędy, poskramiały zbyt ostre wycieczki przeciw niektórym przynajmniej stronom życia społecznego.

Nic atoli w dziejach się nie powtarza. Jeżeli zatem w ruchu współczesnym upatrujemy podobieństwa do prądu reformatorskiego w „wieku oświeconym“, to nie możemy zamknąć oczu na bardzo poważne różnice, zarówno pod względem idei, jak osób, co ją głosiły. W „wieku oświecenia“ głównymi rozpowszechnicielami nowych myśli byli księża, — rzecz to całkiem naturalna, wyjaśniająca się ówczesnym stanem rzeczypospolitej, gdzie duchowni jego repre-

zentowali oświatę *en masse*¹⁾. Obecnie nastąpiły już nowe wyzwoliny umysłowe z pod przewagi duchowieństwa; idee nowe rozposzechniają ludzie świeccy, a jeżeli wśród zwolenników i propagatorów nowego życia duchowego znajdują się księża, to stanowią nader nieliczne wyjątki. Ale co ważniejsza od kwestji osób, to sama treść poglądów, o które walka się toczy. Prawda, że tak samo, jak w wieku XVIII, wystąpiono pod sztandarem wiedzy; ale wiedza dzisiejsza a wiedza zeszlowieczna to dwa stany rzeczy, nie całkiem różne wprawdzie, lecz wielce od siebie odległe. Suchy racjonalizm „wieku oświecenia“ w krytyce swojej kierował się przede wszystkim zdrowym jedynie rozsądkiem, a zdrowy rozsądek, jak wiadomo, nie starczy na wszystko. Zdrowy rozsądek umie być bardzo jasnym, wielce nieraz dowcipnym przewodnikiem po krainie przeszłości i życia obecnego; lecz nie potrafi zbadać głębokich tajników, zarówno religij, jak i sztuki, zarówno natury, jak społeczeństwa; nie zrozumie i nie oceni należycie ani mitów, które będzie chciał tłumaczyć alegorycznie albo śmiać się z nich zechce, ani średnich wieków, które ryczałtem potępi; nie wzniesie się do tej przedmiotowości, jaka potrzebna jest przy ocenie dziejów, ale wszystko osądzi według jednego szablonu; nie zdobędzie się na wszechstronność, koniecznie potrzebną przy rozpatrywaniu różnych usposobień ludzkich, ale je wszystkie do jednego mianownika sprowadzi; nie przejmie się głęboką poezją uczuć serdecznych a rzewnych albo wizyj mglistych i fantastycznych, bo śmiech, tak licujący z jego naturą, niedaleko mu się zapuścić dozwoli w krainy duszy ludzkiej... Nie napróżno też po tym wieku racjonalizmu nastąpiło świetne oddziaływanie promieni uczucia i blasków wyobraźni w poezji romantycznej; nie napróżno rozgrzały się serca i zapaliły fantazje. Wiedza dzisiejsza daleko szersze obejmuje widnokręgi, gdyż oko jej z jednej strony rozjaśniało się potężnym wiekowym rozwojem ducha, a z drugiej zaostrzyło się za pośrednictwem wielkiego czynnika, jakim jest doświadczenie, eksperyment...

A jak już sam nastrój ogólny jest inny, tak też i treść idei nowych przedstawia się odmiennie. Nie idzie tu teraz o reformy polityczne, gdyż te nie mają racji bytu; nie idzie o reformy szkolne, gdyż te również z pod dyskusji praktycznej się wymykają; nie idzie nawet o reformy literackie, gdyż styl i język nie uległy skażeniu, co więcej, — nawet w kwestjach wychowania ludu, który przyszedł do samoistności w obywatelstwie, sporu zasadniczego bynajmniej niema; rzecz cała obraca się w sferach inteligentnych, a kwestja

¹⁾ Jako całość.

sporna dotyczy środków, jakich używać potrzeba, ażeby w walce o byt nie zginąć, lecz owszem przekazać potomkom dziedzictwo ze znacznym dorobkiem. Jeżeli mówię o środkach, to mam na uwadze głównie środki umysłowe: cały zakres duchowych czynników, które życie narodu podtrzymują. Walka w tym względzie toczy się nie przeciw przesądom i zabobonom, z których otrząsnęliśmy się w wieku XVIII, ale przeciw fałszywemu albo rutynicznemu pojmowaniu dróg życia społecznego.

Nie myślę bynajmniej przeceniać obecnego stanu tej walki. Jakkolwiek upłynęło już lat piętnaście, jesteśmy właściwie w jej początkach dopiero, — zwycięstwo nie przechyliło się ani na jedną, ani na drugą stronę i trudno nawet przewidzieć chwilę, w którejby coś stanowczego zająć mogło. Trzeba zatem przypatrzeć się dwu walczącym obozom, które słusznie przezwano starym i młodym, chociaż bowiem i w jednym i w drugim znajdują się ludzie różnego wieku, świeższe żywioły, z postępem europejskim idące, bądź co bądź młodymi nazwać można.

Ażeby sobie jasno, o ile można, przedstawić sytuację, zapoznajmy się najprzód z temi siłami, które młodzi, wchodząc na arenę działania piśmienniczego, już byli zastali.

II.

Minął już był dawno okres wielkiej poezji naszej. Mistrzowie jej: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński pokładli się do grobu; współuczestnicy, niepospolitym obdarzeni talentem, albo milczeli zupełnie, jak Aleksander Fredro (zmarły 1876), albo przemawiali, choć bardzo rzadko, głosem niezrozumiałym już dla współczesnego czytelnika, jak zmarły tegoż roku Goszczyński w urywku z poematu *Bogarodzica*, jak Bohdan Zaleski we *Wieszczem Oratorjum*. — —

Atoli nietylko przedstawiciele i współuczestnicy wielkiej poezji nie wywierali na społeczeństwo potężnego, żywego i ciągle odnawiającego się wpływu, ale nadto i ta drużyna, co zbierała pokłosie po wspaniałem zniwie, co dożyła, że tak powiem, jesieni naszej poezji, przerywa twórczość swoją albo też nie umie utrzymać liry w drżących dłoniach. Lirnik litewski, Ludwik Kondratowicz, umiera (r. 1862), lirnik mazowiecki, Teofil Lenartowicz, żyje wprawdzie i śpiewa dotychczas, równocześnie rzeźbiarstwem się zajmując, lecz to, co drukuje, nie ma w sobie tego uroku i tego powabu, któryby nieprzeparcie ku sobie pociągał, coby serca i umysły zniewalał. — — Wszędzie wprawdzie znajdują się wiersze ładne, miłutkie, ale nawet i pod tym względem czuje się jakaś maniera, jakieś

powtarzanie siebie samego i form, dawniej przez siebie stworzonych. — —

I z tej zatem drużyny nie dolatywał żaden głos śmiały i piękny, coby, zrozumiałwszy nowe potrzeby życia, siłą zdobytego dawniej imienia, tem skuteczniej do serc, spragnionych prawdy i postępu, przemówił. Ci, co zamilkli, rzekli się dobrowolnie wszelkiego wpływu na społeczeństwo; ci, co przemawiali jeszcze, zwracali się do szczupłego grona słuchaczy, chwalcących wszystko, co z ich ust wychodziło. A mimo to czasopisma drukowały niezmierną ilość wierszyków; zbiory poezyj pojawiały się także dość często. Dostarczali ich poeci i wierszokleci młodszego od tamtych i najmłodszego pokolenia, co, przyswoiwszy sobie udatną formę zewnętrzną i posiłkując się frazeologią romantyczną, mniej lub więcej szczęśliwie z uczuciami swemi się popisywali. Pomiędzy tymi przedstawicielami najnowszego okresu poezji naszej znajdowali się bezwątpienia ludzie niemałych zdolności poetyckich, choć prawdziwie twórczego talentu w najwyższym znaczeniu tego wyrazu nie posiadali. — —

Jeżeli jednak już u tych poetów napotykało się dużo rzeczy przestarzałych, dużo niepotrzebnego rozmarzenia, dużo ckliwej rozpacz; to cóż powiedzieć o całej litanji imion chrzestnych, któremi podznaczone były wiersze, pełne afektowanego smutku, pełne melancholijnych zachwyty dla róży, lilji, a nawet chabru... Wylewano potoki łez, przeklinano świat siarczyście, rozpaczano, truto się... a jednak widziało się później twarz poety uśmiechniętą i rześwą, słowo swobodne i lekkie na ustach. Były to męczeństwa teatralne, rozpacz udane, bo naśladowane tylko zewnątrz ze Słowackiego, Heinego lub Musseta.

Słowem — okres poetyczny sam się dobijał tym fałszem, jaki pomiędzy życiem a słowem poety coraz częściej się uwydatniał, i tym brakiem twórczej siły, co się na nowe tematy zdobyć nie potrafiła, ale tysiącrotnie już ośpiewane jeszcze raz ubierała w królewską szatę poezji.

Było tedy rzeczą całkiem naturalną, że młodzież, pragnąca prawdy, pracująca w imię nauki, mająca przed sobą ważne zagadnienia życia, na które płacz i narzekanie nic pomóc nie mogły, zwróciła się przedewszystkiem przeciw tym egotycznym wylewom zbyt rozżalonych marzycieli, co jękiem tylko przemawiać zwykli.

Istniało naówczas w Warszawie, założone w roku 1866 przez Adama Wiślickiego, piśmko p. t. *Przegląd tygodniowy*.

Skromne rozmiarami, nie miało z początku żadnej wyraźnej barwy i to tak dalece, że pisarze ściśle religijnego sposobu myśle-

nia pomieszczali tu swe prace narówni z młodymi propagatorami materializmu Büchnera. Odznaczało się ono jedną bardzo ważną cechą, a mianowicie: wielką ruchliwością; nie dbając o wyczerpanie kwestji, o studia gruntowne, muskało wszystkie sprawy, zacieka-wiało, pobudzało do mówienia o nich. Nadto redaktor miał wielką zdolność wynajdywania i skupiania koło siebie sił młodych, rzutkich, choć niewyrobionych, które w piśmie jego mogły się wypróbować, ponieważ miały swobodne pole do swego rozwoju. O ile inne czasopisma utrudniały przystęp do siebie, stawiając wymagania, na które młodzież niejednokrotnie zgodzić się nie mogła, o tyle w *Przeglądzie tygodniowym* wypisać się było można dowoli, byle krótko a jędrnie.

Otóż pod koniec roku 1867 pojawił się tu artykuł: *Groch na ścianę*, będący niejako hasłem tej pierwszej fazy w opozycji sił młodych względem istniejącego stanu rzeczy w literaturze. Opozycja ta z samego początku objawiła się przedewszystkiem przeciwko chwastem zarosłej niwie liryki naszej i biczykiem sarkazmu wypląsała z wyobraźni mniemanych poetów ich mniemane męczarnie, ich bezsensowe zachwyty dla róż, lilij i chabrow. „Ach, ileż to razy — czytamy tu — odbywałem Dantejską wędrówkę po kręgach rymu, chcąc się spotkać z myślą... ileż razy rzewnemi spłakałem się łzami nad sonetem do białej róży; jakże nazięblem wśród ranków, biegając za gwiazdy w sukience, utkanej z zorzy... Ale szczytem mojej męczarni były wieszczce płody pseudonimów i kobiet. Czuli śpiewacy róży, makolągwy i gila: Florjanie, Zbigniewie, boskie Liljany, Wandy, Aniele i Adele!... wy, co karmicie się lazurem i esencją liljową, czemuż musiałem z wami cierpieć? Prze-bóg, wy jesteście uosobionemi ranami, karjatydami schylonemi pod brzemieniem nieszczęścia, źródłami sączącemi łzy milionów! Wasza wielka pierś rozdartą od ramienia po żebra, wasze oczy zapatrzone poza kręgi gwiazd; komety zniszczenia świecą wam nad głową, a buchacie ogniem piekielnych czeluści, jak lawą wrzące piersi Wezuwjusza“. Po tem sarkastycznym zagajeniu następuje wykazanie na paru przykładach całej nedorzeczności kłamanego cierpienia i całej nędzoty bezsensowych rymów. „Czem jest pieśń bez myśli, uczucie bez jasnego widzenia rzeczy, serce bez stałego i niewzruszonego charakteru? A możnaż nazwać potęgą pieśni nabój wyszukanych wyrazów, jakimi częstokroć zapoznani genjusze bombardują do twierdzy zdrowego rozsądku, zbrojnej w baterje, ulane z twardego i niczem nieprzebitego sensu... Zaprawdę powiadamy wam, natchnieni wieszczce, iż nadto widoczne są sposoby tworzenia

waszych fantasmagoryj, abyśmy jeszcze mogli stanąć wobec nich jako spektatorowie. Bo i cóż wy potraficie nadzwyczajnego? Potrzeba wam przekleństwa: bierzecie piorun, potrzeba nienawiści: wzywacie węży, krokodyli, lampartów, gotowi jesteście wszystkie *mammalia, amphibia, insecta*¹⁾, a nawet cały układ Cuviera wezwać do unicestwienia jednego indywiduum, które po takim zbałożeniu rymami wygląda, jak oparzona kura... Wkońcu autor zwraca się do poetów ze słowem poważnym, kreśląc w najogólniejszym zarysie charakter wieku obecnego: „Wiek XIX nie jest wcale wiekiem cierpiących i zachwyconych trubadurów; jego poezję stanowi ciągły postęp, ciągła dążność do zajęcia takiego stanowiska wobec praw przyrody i ludzkości, aby w jak największym zakresie urzeczywistniał dla siebie wszystko, cokolwiek myśl jego podyktuje do wykonania... A wy, poeci, cóż tej ludzkości dajecie? wiarę, siłę ideału? Czyście służkami pańskimi, co torują nowe drogi?... Nie, na takie rzeczy nie macie czasu — wy cierpicie!...” (*Przeł. tygodn.* 1867, Nr. 49).

Artykuł ten był wyrazem przekonań dość licznego kółka młodzieży, które nie przestało odtąd domagać się od poezji i beletrystyki wogóle zrozumienia zadań współczesnych, podejmowania kwestyj żywotnych, a porzucenia zblakłych już dekoracyj romantycznych, mających ustąpić prawdzie. — —

Tak śmiało, a nawet zuchwale, przemawiało grono młodzieży, które przekonane było, że poezja i beletrystyka, z powodu nadmiernego rozpowszechnienia a bardzo wielkiej nieużyteczności, wymaga prędkiej i stanowczej reformy, skąpania w nurcie myśli zdrowych, mogących wlać w jej żyły nowe życie i przemienić ją na istotny czynnik produkcji społecznej. Dążnościom tym sprzyjało usposobienie ogółu, ze wstrętem odwracającego się od poezji, czyto wskutek gonienia wyłącznie za dobrobytem materialnym i pogrążenia się w uciechach czysto zmysłowych, — co bywało najczęściej, — czy też dlatego, że nie widziano w poezji tych czynników, które w życiu codziennym na pierwszy plan weszły: zamiast marzeń i ślepych porywów — ciągła mrówcza praca. Niektórzy też poeci, pod naciskiem takiego usposobienia, porzucili, choć na chwilę tylko, mdłe narzekania i zaczęli śpiewać hymny na cześć spracowanych, biedzących się w pocie czoła. — —

Tymczasem rzeczywiście romantyzm, którego ostatni epigonowie tak smutnie zaprezentowali się publiczności, tracił coraz bardziej kredyt i w krainę przeszłości się zasuwał. Zauważono, że ta *prawda*

¹⁾ Ssaki, płazy, owady.

życia, o którą się upominał w początkach swego wystąpienia na scenę, znikła w mgłach fantastycznych, w pogoni za nadzwyczajnymi, nawet monstualnymi pomysłami; że *uczucie*, którem potężnie chwycił za serca współczesnych, przemieniło się u naśladowców w komedję cierpień i smutków; że *fantazja*, która tak świetnie załadniła panteon poezji w wielkich dziełach mistrzów, ożywiając abstrakcyjne jego sale, przez poprzedników wzniesione, zawładnęła potem słabym rozumem i urojania swoje za natchnienia z nieba podawać chciała. W tej krytyce romantyzmu niektórzy zaszli nawet za daleko, jak mianowicie Franciszek Krupiński w artykule: *Romantyzm i jego skutki* (*Ateneum* 1876), ponieważ, zestawiając treść utworów nowszej poezji naszej ze smutnymi wypadkami rzeczywistości, obwiniali poezję o to, że stała się przyczyną nieszczęść samych, że idealizowała samych nedorzeczných zapaleńców, same wichrowate głowy, same błahe lub zbrodnicze czyny. W tej napaści krytyk nie tylko nie odróżnił odrębnych faz romantyki naszej, — przez co na jednej ławie pomieścił winnych z niewinnymi, — ale nadto zjawiska społeczne nader złożone chciał tłumaczyć zapomocą jednej przyczyny — egzaltowanej poezji. Zaznaczyć tu wypada, że ta gwałtowna wycieczka przeciwko całemu świetnemu okresowi twórczości naszej nie wyszła bynajmniej z grona owej młodzieży, co napadała na poezję lichą, ale czciła twórczość prawdziwą i widziała już u nas, w *Panu Tadeuszu*, brzask nowej epoki poetyckiej, w której poezja opierać się ma na zjawiskach rzeczywistości, na odtwarzaniu artystycznym ludzi i wypadków tak, jak się one przedstawiają zdrowemu, poetycznie, choć trzeźwo patrzącemu oku. Już w tym poemacie dostrzegali oni początek *realnego* w twórczości kierunku, który jest jedynym odpowiednim dzisiejszym usposobieniem i dążnościom. Teorja ta powstała z rozważania literatur obcych i przyczyniła się w znacznej części do wytworzenia działalności twórczej u nas.

Bądź co bądź, jeżeli owa śmiała, a nawet zuchwała krytyka nie wyrugowała całkowicie nędznych produkcji, to niewątpliwie zmniejszyła ich liczbę. Trudno bezwątpienia wymagać, ażeby młodzieniec lub panienka, nacytawszy się różnych poezyj i wierszy, nie zapragnęli tworzyć sami; byłoby to chcieć zniszczyć instynkt naśladowczy w człowieku, — i teraz więc, jak dawniej, pisze się mnóstwo wierszydeł, co zresztą nie jest rzeczą bardzo szkodliwą samo przez się; staje się zaś szkodliwą, gdy tę skłonność podbudza łatwość druku i zachęta. Otóż pod tym względem widzimy obecnie bardzo wyraźny zwrot ku lepszemu. Pisma nasze obecnie niepo-

równanie mniej drukują poezyj, aniżeli przed laty piętnastu; można powiedzieć, że dziś tyleż wierszyków zostaje w koszu redakcyjnym, ile ich poprzednio czytelnikom podawano; a to już zysk wielki.

Zanim jednak doszło do tego, toczyła się walka w innym kierunku, a i ona do wywołania powyżej zaznaczonego skutku nie mało się przyczyniła.

III.

Od krytyki poezji łatwy dosyć był krok do krytyki wszelkiej powagi, zarówno literackiej, jak i społecznej. Jeżeli to, co najwyższą czią otaczano dotychczas w literaturze, z powodu niedołęstwa lub niepożyteczności zakwestjonowanem zostało w niezbyt sławnych, „zapoznanych“ wieszczach, to sama się przez się nastęczała uwaga: czy i wśród „powszechnie uznanych“ pisarzy nie znajdują się tacy, którzy postęp społeczeństwa opóźniają przeważnym wpływem swoim na masy. Począwszy od największych, jacy wówczas istnieli, a skończywszy na niegłośnych wcale, wszyscy niemal pisarze przeszli wtedy przez różgi krytyczne, któremi ich młodzież, ufna w siebie i przekonana prawie, że od niej się dopiero nowa, świetna era literacka datuje, niemiłosiernie plażyła.

I w tej sprawie również *Przegląd tygodniowy* kupił około siebie młode i zwawe siły. Wprawdzie opozycja względem powag zaczęła się już była dawniej, mianowicie na polu lingwistyki, ale głosy opozycyjne były odosobnione, musiały szukać ucieczki w oddzielnych broszurach, ażeby swobodnie się wywnętrzyć, — pisma bowiem dla takich „napaści“ zamykały swe szpalty. Dopiero *Przegląd tygodniowy*, dosyć rzutki od samego początku i chętnie zajmujący się krytyką literacką, dał możność skondensowania się głosom owym i wywierania przez to wpływu nieustannego. Grono ówczesnych współpracowników, pomiędzy którymi najwydatniejsze miejsce zajmowali: Józef Kotarbiński, Julian Ochorowicz, a wreszcie najzdolniejszy, najostrzejszym stylem władający Aleksander Świętochowski, nie potrzebowało się oglądać na nic w swoich sądach o literaturze. Nie mając stosunków pomiędzy literatami, nie napraszali się nikomu, żyli zdala od nich, zajmując się nauką, nie szukali niczyjej protekcji, nie schlebiali żadnej powadze, która rej w Warszawie wodziła; stąd też słowa tej młodzieży były bezwzględne, ostre, surowe, nie rachujące się z żadnymi konwenansowemi przepisami, — stąd nieraz szorstkie, a nawet grubiańskie. —

Prasa warszawska i jej przodownicy najczęstszych i najdotkliw-

szych pocisków stawali się celem. „Pominąwszy, że wiele tego rodzaju publikacyj — pisano tu o prasie — podejmowanych jest u nas z zamiarem prostej handlowej spekulacji; pominąwszy powtarzające się zbyt często fakty tandety literackiej, ważniejszym i zgubniejszym jest obraz nieruchomości, zastoju chińskiego, ślepego uporu do zasad raz przyjętych, chociażby te zasady dawno przez cały świat za niedorzeczne uznane były... Znaczna część naszej prasy, zamknąwszy raz furtkę dla nowych przekonań, spogląda na nie z litością, bezpieczna poza murem swego niedołęznego zasklepienia. Niedosć na tem, — żadne z tych pism nie podniosło się nawet do tego stanowiska, ażeby zaprezentować sobą jakiś odrębny kierunek, — wszystkie one mają też same podstawy, też same cele, tenże sam charakter“. (*Przegl. tygod.* 1871, Nr. 16). Patrząc na zjawiska tej prasy, *Przegląd* chłostał jej zawziętą politykomanję i aktoromanję, a jej współpracowników biczował w charakterystycznie zatytułowanych artykułach: *Nule, Pasorzyty literackie, Pleśń społeczna i literacka*.

Nie przestając na krytykach i artykułach okolicznościowych, *Przegląd* tworzy z początkiem 1871 roku nową rubrykę w swych szpaltach, p. n. *Echa warszawskie*, w których bronią ironji, humoru, satyry i sarkazmu stara się „wystrzeliwać maruderów po kątach“ i ułatwić krążenie nowych idei w społeczeństwie, o którym się wyraził: „Ziarno nasienia jodły, zarzucone wiatrem na wierzchołek stromej skały lub na szczyt niebotycznej wieży i rozrastające się na twardym kamieniu w bujny krzew, może tylko iść w porównanie z losami ziarn nauki, kielkujących tu i ówdzie na kamienistym gruncie naszego społeczeństwa“. W tych *Echach* odzywały się nawet najdrobniejsze grzeszki prasy perjodycznej i podlegały zręcznej, dowcipnie zjadliwej szykanie, w której celował mianowicie Aleksander Świętochowski. Jeżeli strzały z dział grubszego kalibru gniewały dotkniętych autorów, to deszcz pocisków z wiatrówki¹⁾ przeprowadzał wielkich i małych reprezentantów prasy do tej irytacji chwilowej, lecz ciągle się powtarzającej, która dotkliwszą nieraz bywa od jednorazowego, choćby silnego ciosu. To też, jeżeli dawniej oburzano się niekiedy na artykuły *Przeglądu*, nie zaszczycano go przecież odpowiedziami, polemiką, chcąc zapewne metodą pitagorejską²⁾ zażegnać licho; ale teraz prażona nieustannie prasa warszawska nie mogła wysiedzieć spokojnie; rozdrażnienie jej wzrastało z każdym numerem *Przeglądu*, przynoszącym *Echa* niepocziwe,

¹⁾ Strzelby dziecinnej, pukawki. — ²⁾ T. j. przemilczania.

które każde jej głupstwo w lot chwytają i powtarzając kilkakrotnie — w karykaturę straszną przemieniają. Chociaż śmiano się niby z „niedowarzonych“ słów *Przeglądu*, z chciwością przecież brano każdy numer, bo się zawsze spodziewano jakiejś niespodzianki. I ci, co przed laty trzema z lekceważeniem patrzyli na niepozorne gronko młodzieży i nie raczyli nawet o niej mówić w pismach, ujrzeli się teraz obsaczeni dokoła, zaatakowani z różnych stron; powaga ich ucierpiała znacznie w opinii pewnej części ogółu, która się zwróciła ku żwawym napastnikom. *Przegląd* zyskiwał coraz więcej czytelników, stawał się siłą społeczną, której już ignorować nie było można. Interesował, zaciekawiał, dawał do wszystkiego przyprawę z soli nieraz istotnie attyckiej i pieprzu, który niejednemu podniebieniu lepiej od soli, choćby attyckiej, smakuje¹⁾. Zaczęło więc przebąkiwać po cichu o nowej falandze pisarzy, nie zgadzających się ze starszymi braćmi po piórze, owszem, wojowniczo względem nich usposobionej. Zrobiono z uśmiechem uwagę, że ta falanga twardo stoi przy swoich sztandarach, że nie umie gramatyki i że idzie *ławą*. W uwagach tych, robionych przez najbardziej, a przynajmniej najczęściej dotykanego redaktora *Kurjera Warszawskiego*, nie było oczywiście słów uznania, owszem znać było rozdrażnienie wielkie i nieprzyjaźń. To wywołało manifest ze strony młodych, który kategorycznie zestawiał dwa przeciwne sobie prądy.

Manifest ten, napisany w ostatnim kwartale r. 1871 przez Aleksandra Świętochowskiego, w samym już tytule mieścił zaznaczenie odrębnego stanowiska, osobnego stronnictwa. Nosił on napis: *My i Wy*, a był zarówno skargą na niechętnie przyjęcie nowego grona pisarzy przez starszych braci, jak i wypowiedzeniem im zawziętej walki: „Wy wszyscy, którym już tylko siwizna i zmarszczki pozostały na obronę zdań własnych, pamiętajcież, na Boga, że i słońce ma swoje południe. Czyż chcecie swój zachód przeciągnąć dlatego, ażeby wschód jak najpóźniej nastąpił? Czyż jeszcze będziecie się upominać o to, że niesprawiedliwie potępiamy was? Czyż kiedy wy, jako ludzie rozważni, doświadczeni, chłodniejsi, wystąpiliście do nas, już nie mówię ze słowami pochwały, ale przynajmniej szczerzej sympatji i zgody? Czyż w działaniu naszym uznaliście nas jako cyfrę, którą wciągnąć należało w rachunek ogólny? Czyż uznaliście w nas ludzi, którzy chcą i są zdolni pracować obok z wami? Nic nie zrobiliście z tego wszystkiego, a skarżycie się teraz, żeśmy się sami o swoje upomnieli, źle mówię, — żeśmy się wam pamiętać kazali.

¹⁾ Sól attycka = dowcip wykwintny, t. j. taki, jaki właściwy był dawnym Ateńczykom.

Przypuściwszy, że wasza rola jeszcze nie skończona, dlaczegoście nam wszelkiej zaprzeczali? Czy myślicie, żeście wy tylko zaarendowali honor, miłość dobra, poczucie piękna? Czy sądzicie, że młodej piersi wszystko to obce, że serce nasze nie drga, imaginacja się nie zapala, umysł nie poddaje, a z oczu łzy nie płyną, że nie cierpim, nie kochamy, — a tylko nienawidzimy, płwając na wszystko szyderczo?... Rezerwując sobie swobodę zdania, nam odmówiliście prawa głosu. I dziś skarżycie się, że usta wygłaszają na was tu nowe wyroki? Smutna kolej, smutna chwila rachunku z tymi, którym się zawsze istnienia zaprzeczało. *Gdybyście byli odrazu coś ustąpili* ze swojej wielkości, gdybyście zgodzili się na to, że i nam wolno przyjąć udział w zadaniach, któreście dotąd sami spełniali, — bylibyśmy dotąd lepiej sobie znajomi; możebyście nauczyli się bezstronności, zapału, ruchu, śmiałości pragnień, a my skorzystali z waszej pomocy i doświadczenia“.

W skardze tej mieści się bardzo dużo historycznej prawdy, chociaż wypowiedzianej w sposób zbyt osobisty. Istotnie, gdyby przewodnicy czasopiśmiennictwa stanęli byli na wysokości zadania chwili, gdyby wzięli byli w swe ręce i opanowali budzący się ruch postępowy, zapoznając się gruntownie z tem, co młodzież wiedziała tylko po wierzchu i z nazwiska tylko: — cały przebieg nowej walki pojęć poszedłby innym trybem, odbyłby się o wiele spokojniej, oszczędziłby wielu ludziom przykrego błąkania się po manowcach myśli i uchroniłby społeczeństwo, choć w części, od chaosu wyobrażeń, jaki w niem panuje. Ale niestety, ówczesni przewodnicy piśmiennictwa sami dowiadywali się zazwyczaj od młodzieży dopiero o zdobyczach wiedzy tegoczesnej — i choćby chcieli, nie byliby w możności ująć ruchu w karby. Rzecz więc poszła na ostre. Młodzież lekceważona, posądzana o prywatne zawiści, chociaż ich w przeważnej części mieć nie mogła, gdyż nie znała osobiście osób krytykowanych, zawrzała gniewem i impetycznie do tych powag się odezwała; ciągle akcentując to, że im *dobrych chęci nie zaprzecza*, że wierzy w ich pragnienie służenia dobru publicznemu. Ale przyznawszy to, nie mogła się powstrzymać od wyrażenia słów odwetu:

„Widzimy, że was siły opuściły, jesteście sterani pracą i wiekiem, wzrok się wasz stępił na widoki nowe, zmysł stracił poczucie nowych potrzeb, leniwa myśl pozbawiona życia kręci się tylko w kółku dawnych celów, a świeżych rozpoznać nie umie... Całe nieszczęście w tem, że, przeciągnąwszy swój zawód zbyt długo, obok stracił zyskaliście jeszcze wadę natogu — przewodniczenia innym. To was w każdym razie nie tyle broni, ile szkodliwymi i nieużytecz-

nymi czyni. Ustąpcie więc z drogi wszyscy, którzy ją tylko zawalać możecie; inni dopędzajcie tych, którzy od was prędzej biegną... Bo o cóż najbardziej chodzić powinno każdemu, przyjmującemu na siebie obowiązek przewodniczenia drugim w sferze ducha? Naturalnie, jeżeli tu mamy na myśli swoje społeczeństwo, każdy starać się powinien przedewszystkiem o wywołanie wogóle jak najwięcej sił umysłowych, o przyspieszenie pory jego dojrzałości, o pobudzenie go do pracy, nauki, zrozumienia swego położenia i swoich zadań. Pytamy się: co wyście w tej mierze zrobili, — wy opiekunowie sentymentalnych powieści i zagważdżającej mózgi polityki? Czy to takie mają być tytuły waszej zasługi, takie dowody, które nas mają przekonać o waszej wielkości?“

Najdotkliwiej atoli draśnięci zostali nie starzy już kierownicy prasy, ale ci młodzi jej współpracownicy, co w *Kurjerze* zwłaszcza i pismach tygodniowych, pisząc drobne wiadomości lub fejetony, zezem patrzyli na krzającą się około rozpowszechnienia nowych dążeń... Nazwano ich dawniej *pasorzytami* literackimi, a teraz w manifeście potracono ich niemal z pogardą: „Może nam ktoś powie, że nie szanujemy nawet młodszego pokolenia? Prawda, poco *próżniaki* i *niedotęgi* mają wycierać napróżno kąty w dziennikach i, nie dając nic literaturze, marnować czas, który dałby się zużytkować w kierunku jakiegoż znacznego zajęcia? Czyż i młodzieńczość ma wywoływać w naszym przekonaniu jakieś skrupuły? Zanadto dobrze wiemy, ile takiego tolerowanego zamłodu niedotęstwa kryje się pod łysinami dzisiejszych potentatów, ażebyśmy jeszcze innych do tego zachęcać mieli. Metryka ani nas do ludzi zbliża, ani od nich oddala, tylko prawdziwa wartość ku nim pociąga“. (*Przegląd tygodniowy* 1871, Nr. 44).

Tym sposobem rozpoczęła się walka między starymi i młodymi. Okres przygotowawczy skończył się, rozpoczęła się walka o zasady. — —

Jest to wybitnym znamieniem tej fazy rozwoju duchowego, że tylko najogólniejsze zasady, najabstrakcyjniejsze poglądy były silną stroną umysłów młodych, którym ani doświadczenie życiowe, ani nauka dobrze przetrawiona nie dały jeszcze treści do form już gotowych. Domagali się oni od przedstawicieli prasy silnie wyrobionych przekonań — ale sami mieli właściwie jedno tylko niewzruszone, o zdobycie którego ludzkość wieki całe walczyła, t. j. wołali o swobodę rozbiórę wszystkich zjawisk, o swobodę badania wszystkich przedmiotów, o swobodę krytyki wszechstronnej i bezwzględnej, bez oglądania się na żadne powagi.

A tymczasem, wypowiedziawszy walkę, trzeba było wystąpić jawnie, z jasno sformułowanymi przekonaniami, potrzeba było pokazać swój program. Do wypełnienia tego zadania, do skupienia na chwilę różnorodnych kierunków myśli przez wynalezienie takiego systemu, któryby całość zjawisk wszechświata w sobie obejmował i dawał rozwiązanie zawitych zagadnień, posłużył pozytywizm, z którego zasadami bojownicy postępu tymczasem, choć powierzchownie tylko, się zapoznawali.

IV.

— — Trzeba wiedzieć, że jak zwolennicy naszej romantyczności, w pierwszych już latach jej rozwoju, uważali jej nazwę za całkiem niewłaściwą dla nowej poezji, tak też i zwolennicy pozytywizmu niejednokrotnie mówili sobie, że wyraz ten nie przedstawia właściwych cech kierunku myśli, w jakim postępowali. Dlaczegoż wyraz ten jednak przyjęli? Poprostu dlatego, że nie znaleźli lepszego, odpowiedniejszego; a że pozytywizmem na nowo zaczęto się zajmować we Francji i Anglii, sądzili, że należy przyjąć na siebie nazwę pozytywistów, jako *nom de guerre*¹⁾. Co przyjęli i czego się trzymali w teorii Comte'a, to była zasada, że filozofja musi się opierać na wynikach nauk specjalnych, musi być ich zsumowaniem i uogólnieniem. A że nauki od czasów działalności Comte'a²⁾, znacznie się w badaniach posunęły, więc też i jego uogólnienia musiały ulec zmianom, nieraz bardzo stanowczym. „Dla pozytywistów — pisano naówczas — powagą jest tylko badacz naukowy, o ile się zajmuje rozpatrywaniem szczegółów nauki, jego specjalność stanowiącej. Co stwierdzone zostało doświadczeniem, to stanowi zasługę i tytuł do nazwy powagi. Wszelkie zaś uogólnienia, jakie stąd wyciągnąć się dadzą, liczą się już na karb osobistości ich autora; mogą być słuszne lub fałszywe, ale w niczem pozytywisty nie obowiązują. Pozytywistą można pozostawać nawet wtedy, gdy się ktoś nie zgadza ze szczegółowymi uogólnieniami czyto samego Comte'a, czy też innego filozofa z tego kierunku. Każdy odpowiada tu za siebie i błędy jednego nie dadzą się przepisać na stronę pasywów samej nauki pozytywnej. I to stanowi właśnie całą potęgę i wieczną żywotność pozytywizmu. Nie lęka się on ani swoich wyznawców, ani swoich wrogów. O własnej sile, a raczej o sile wszystkich ludzi, zgłębiających naukę, dąży do zdobycia prawdy, ufny w nieomylny zwycięstwo. Porażka jednego jego ucznia nie zachwiewa jego podstaw;

¹⁾ = imię bojowe. — ²⁾ 1798—1857.

wyjęcie jednej cegielki nie rujnuje całego gmachu. To, co jest osobistem, przemija; co dobrem ogólnem — zostaje i trwa“. Tyle co do strony teoretycznej; co się tyczy praktycznej, oto jak wykładano naówczas znaczenie pozytywizmu: „Opierając moralność swoją na pogodzeniu interesu osobistego z interesami ogólnymi, pozytywizm nie tylko nie usunął surowych obowiązków względem ogółu, lecz owszem — pierwszy wygłosił i uzasadnił pojęcie tych obowiązków. Jeżeli potrzeba oddać część, a nawet całość swego interesu na korzyść ogólną, to się nazywa w pozytywizmie nie poświęceniem, lecz spełnieniem właśnie obowiązku. Zdarzają się bowiem i takie okoliczności, w których człowiek działa w interesie dobra ogólnego, nie zważając na swój własny interes, ani na swoje sympatje, nie mając większej wyrozumiałości dla siebie lub dla swoich przyjaciół, niż dla każdego innego człowieka, myśląc tylko o pożytku wspólnym, jaki spłynie z jego czynu dla samego społeczeństwa, teraz czy później. I wówczas robi to bez hałaśliwych wykrzykników, nie przybierając bolejącej miny ofiary, nie namaszczając swych skroni chryzmatem nadludzkiego poświęcenia“.

Wtedy to teoria Darwina, ekonomika społeczna, dążności praktyczne do podniesienia dobrobytu kraju, uprawa nauk przyrodniczych i technicznych weszły do hasła, jako składowe części pozytywizmu, i były temi przedmiotami, któremi się najchętniej młodzież zajmowała, usiłując pociągnąć ku sobie światłą część publiczności. „Nigdy nie widziano — wołali pozytywiści — aby naród ubogi, niezasobny w zapasy materialne, pozbawiony dobrodziejstw szeroko rozwiniętego przemysłu i handlu, doszedł do wysokiego wykształcenia, wydał z łona swego znakomitych uczonych, artystów, poetów. I naodwrot, wzrost nauk i sztuk ma się w stosunku prostym do wzrostu dobrobytu materialnego. Mogą się naturalnie pojawić wyjątki w zakresie jednostek, ale nigdy w zakresie grup społecznych... Nauki specjalne oddają niezaprzeczone usługi materialnemu rozwojowi społeczeństwa; pozytywizm, na tych warunkach budujący swoje uogólnienia, popierać musi również i ich rezultaty: czyni to świadomie z przewidywaniem wszystkich możliwych skutków. Uznaje razem z innymi, że nabytki duchowe ludzkości są najwyższą jej chwałą i najwznioślejszą cechą; nie może przecież uznać, że nabytki te dadzą się zdobyć bez podstawy materialnej. Jeżeli zapatrywanie się to jest fałszywe, pozytywizm nie ma racji bytu; jeżeli zaś jest prawdziwe, okazuje się on jedynym świadomym celem przewodnikiem w krainie myślenia i działania. W naszych czasach, w któ-

rych zakwestjonowano tyle prawd, w których *codzień nowy jakiś przewrót w myśleniu czuć się daje*, rozstrzygnięcie powyższego dylematu jest rzeczą niemałej wagi. Lekceważąco zbywać go niepodobna; drwinami nikt tu nic nie dokaże; bo nie jest to ani urojenie szkolarskiej fanfaronady, ani też szumowiny wrzątku myśli społecznej, ale przekonanie, które wszystkimi porami wciska się do organizmu duchowego, wołając o urzeczywistnienie. Jeżeli czujemy, że masy coraz bardziej interesują się własnymi sprawami, musimy zgodzić się na wniosek, że nie czas przykrywać światła korcem. Od początku bowiem życia historycznego masy staczają głównie walkę o dwie rzeczy zasadnicze: o coraz większy krąg światła wiedzy i o coraz obszerniejszy zakres samoistnej działalności. Prawie aż do najnowszych czasów nieporównanie liczniejsza cyfra ludności w krajach, mieniących się cywilizowanymi, była odsunięta od dobrodziejstw nauki i od praw samoistności. Dziś nawet istnieje jeszcze przekonanie, że *oświata* nie wszystkim wychodzi na zdrowie, że *samodzielna czynność* prowadzi nieukształconych lub półukształconych na bezdroża demoralizacji. Pozytywizm pragnąłby znieść zapórę, odgradzającą uprzywilejowanych od upośledzonych, i to za pośrednictwem poprostu — nauki; chciałby rozpowszechnić do najszerszych granic tę myśl, że oświata dla wszystkich jest konieczna, zbawienna; że jedynie samoistna działalność mas może przynieść skutki najpożądane. Oczywiście nie może liczyć na poparcie ze strony uprzywilejowanych, którzy, korzystając z zapewnionej sobie cieplej wygody, ruszać się z miejsca nie myślą. Zwraca się więc do mas, rachując na świeże ich siły i na bezstronne umysły. Kto pragnie oświaty *dla wszystkich*, ten zapewne nie własny swój interes ma na pierwszym planie i prędzej czy później musi zyskać dla siebie szacunek“.

Dla nadania sobie pewnej powagi, wykazując, że już w przeszłości u nas z podobnego stanowiska na rzeczy filozoficzne patrzano, obrano sobie za krajowego patrona Jana Śniadeckiego, który otwierał „erę sumiennej pracy filozoficznej, szukającej nie popisu, lecz pozytywnych rezultatów“. Chcąc zaś uniknąć zarzutu zacieśnienia się w pewnym, ściśle określonym kółku systematu, pozytywiści mówili, że, popularyzując wyniki badań naukowych, nie lekceważą i nie potępiają zgóry ani jednego objawu, jaki życie „ze sobą przynosi“. (*Pozytywizm i pozytywiści*, Niwa 1873, Nr. 29).

Oióż tak mniej więcej pojmowany pozytywizm użyty został na sztandar, około którego kupiło się grono młodzieży, nazywanej i nazywanej pozytywistami. —

JULJAN OCHOROWICZ (1850—1917).

O twórczości poetyckiej ze stanowiska psychologji (1877)¹⁾.

Poezja liryczna należy do najpopularniejszych działów sztuki. Równie dostępna dla różnych stopni rozwoju umysłowego, jak muzyka lub malarstwo, a łatwiej i jeszcze zrozumialej przemawiająca do duszy, była liryka zawsze wyrazem ludzkich cierpień i radości, echem życia i wspomnień, zapowiedzią nowych uczuć i pragnień. Ci zaś, którzy tę potrzebę duchową ludzkości zaspakajali, cieszyli się zawsze uznaniem, nie tylko gorącym, ale i stosunkowo długotrwałym — może nawet dłuższem ci, którzy przy mniejszym talencie umieli się lepiej dostrajać do wymagań duszy tłum prostotą niewybrednej formy. Niemniej jednak i w niższych i w wyższych dziedzinach twórczości głos powszechny przypisywał im „natchnienie z nieba“. Nikt nigdy nie utrzymywał, że można „nauczyć się być poetą“ — wierzone tylko, że można wykształcić lub zaniedbać „dar z bożej łaski“. Trzeba było urodzić się poetą. Coprawda, jak we wszystkim, tak i tutaj, życie nie zna stanowczych granic i bywało zawsze więcej powołanych, niż wybranych. Z ludzi wybitnych mało kto nie pisał wierszy w młodości — pewna doza poezji musiała tkwić w duszy każdego z tych młodzieńców, którzy do czegoś wielkiego dojść mieli, ponieważ nie co innego, tylko tchnienie pewnej wrodzonej poezji dawało im siłę do wzniesienia się ponad życie powszednie, w jakimkolwiek kierunku, i wytrwałość w poszukiwaniu celów wyższych. Potem, ten młodzieńczy wyraz nadmiaru sił lepszych, rwących się do czynu i do sławy, w jednych zanikał, ustępując miejsca innym, głębszym z natury lub prozaiczniejszym aspiracjom; u innych, mniej licznych, rozkwitał i dochodził do pełnego rozwoju, zaścianając inne kierunki i uzdolnienia i tworząc już tylko poetów.

O tych właśnie mówić mamy, a celem naszym będzie uprzytomnienie sobie tych swoistych różnic psychologicznych, niezbędnych i wystarczających dla stworzenia poety, różnic, rzucających pewne światło na warunki twórczości poetyckiej. Ponętne, ale niełatwe zadanie. Wymaga bowiem sondowania tych głębin duszy ludzkiej, które zazwyczaj nie dopuszczają światła dziennego, a oświetlone, migocą tysiącem barw, niełatwych do ujęcia i określenia.

¹⁾ Według drugiego, poprawionego wydania („Liryczna twórczość poetów“); w skróceniu.

„Oko ducha — mówi Wiktor Hugo — nie może znaleźć nigdzie więcej blasków, więcej cieniów, niż w człowieku“... „Znam widok wspanialszy, niż morze — jest nim niebo; znam widok wspanialszy, niż niebo — jest nim wnętrze duszy ludzkiej“.

Wielki poeta powiedział prawdę. Wszakże to wszystko, co w nauce i sztuce podziwiamy, jest dziełem tej duchowej pracowni, do której wstęp mają: ksiądz, poeta i... psycholog. Niechże więc i nam wolno będzie zajrzeć w to tajemnicze źródło wielkich słów, z których mają powstawać wielkie czyny, a przynajmniej wielkie wzruszenia...

* * *

Pierwszym warunkiem organizacji poetyckiej jest odpowiednio spotęgowana *wrażliwość*.

Nazywamy nią zdolność przyrodzoną, której się nie nabywa, lecz odziedzicza, zdolność łatwego ulegania pobudzeniom zewnętrznym. Wszystkim wiadomo, czem są osoby tak zwane nerwowe, które łada szmer niespodziany o drzenie przyprawia, w których powietrze przed burzą, naładowane elektrycznością, obudza niepokój, którym łada silniejsze wrażenie szkodzić może, rozstrajając nerwy, a nawet prowadząc chorobę. Lecz czy takie usposobienie nerwowe zawsze stanowi jeden ze składników poetyckiej organizacji? Bynajmniej. Istnieje bardzo wiele osób nerwowych, u których nawet śladu weny poetyckiej nie spotykamy, a natomiast wielu pierwszorzędnych poetów nie ulega wcale okrzykom nerwowym, gdy ktoś pięścią w stół uderzy, albo gdy wiatr zawieje w kominie. Widocznie więc, jeśli *wrażliwość* jest jednym z warunków natury poetyckiej, to nie w tem ogólnem znaczeniu nerwowej pobudliwości. *Wrażliwość* poety musi mieć specjalny charakter.

Zobaczmyż, jakim on będzie?

Poeci zasługują nieraz na nazwę zimnych i obojętnych, ponieważ niezawsze dają poznać to, co czują. Widocznie więc *wrażliwość* ich ma charakter głębszy; ale nie jest to głębokość trwała. Jeżeli z jednej strony istnieją ludzie nerwowi, których *wrażliwość* jest tylko powierzchowną, jeżeli z drugiej strony istnieją inni, którzy, przy braku pozorów, wchłaniają w siebie wrażenia, aby je bardzo długo, skrycie, w głębi duszy przechowywać, pozwalając im tam nurtować i trwać bez poczucia potrzeby wylania się w jakikolwiek bądź sposób, to ani taka *wrażliwość* zewnętrzna, powierzchowna, ani taka głęboka, lecz utajona i trwała, nie jest właściwym przymiotem poetów. Pierwsza byłaby zbyt lotna, dorywcza i gadatliwa, druga zbyt stała, monotonna lub niema.

Wrażliwość poety musi być głęboka, ale zarazem zmienna, „co on czuje, inni uczuć chcieliby daremnie“, ale też on czuje szybciej, bo różnorodniej. Rzeczy i ludzie, wypadki i wspomnienia, wszystko to silniej wnika w jego serce, wyciskając swe piętno, ale nie to piętno martwe, bierne, które do podziwu tylko prowadzi, lecz żywe, ruchliwe, które, jak kameleon, mieni się i zaciera, aby nowe do życia powołać. — —

Poeci oddają nam wrażenia, których im świat dostarczył, oddają nam często czystsze i wspanialsze, a ta wymiana, to pośrednictwo jest pasmem przeobrażeń wewnętrznych, wzbogacających ogół, wyczerpujących poetę. Głębokość a zarazem zmienność owego „wielkiego czucia“ trafnie maluje Wiszniewski w swoich „Charakterach rozumów ludzkich“¹⁾: „Człowiek z genjuszem ma mocniejsze od innych czucie, które za każdą myślą z szybkością błyskawicy aż do głębi serca dochodzi... Wszystko, co go otacza, mocniejsze na nim czyni wrażenie; każda większa myśl zapala go i unosi. Najmniejsze słówko pochwycone przeobraża się w nim szybko na myśl i uczucie, sięga aż do dna duszy, krąży z szybkością błyskawicy, wszystkie tajniki umysłu i serca przebiega, obudza roje myśli i rozliczne uczucia, wprawia w ruch wszystkie siły umysłu i, jak wetknięty kij w wielkie mrowisko, długie i nieprzewidziane w całej duszy jego sprawia wzburzenie“...

Porównanie nieco grube, ale dobitne. Autor mówi jeszcze w innym miejscu o wrażliwości poetyckiej: „Opisując rzeczy świata otaczającego, poeta okazuje rysy i kształty, które przed okiem naszym zawsze wymykały się, i odsłania przymioty, okoliczności i stosunki, około których tysiąc razy krążyliśmy, a nigdy ich nie dostrzegli. W zwierciadle jego duszy wszystko innych nabiera wymiarów, zdumiewa, zachwyca i porywa“.

Nie jest to więc owo pospolite spotęgowanie wrażliwości, nie jest to owa czysto zmysłowa pobudliwość, lecz raczej pobudliwość wyższego rzędu, nie tak łatwo w grę wchodząca, wybredniejsza, duchowa, którą Małeckci nazywa „poetycznym na świat spojrzeniem“, a którą zwykle mianem estetycznego poczucia określają. Jeśli więc Brodziński odsądza od miana poety tego, „czyje ucho nieskłonnie do Apolla dźwięku“, to zaraz dodaje, że chodzi tu o wrażliwość głębszą, niż ta, którą posiadać może ucho, że chodzi tu o tego, „komu nie drży o serce głos czarownej struny“, i o tym ma prawo powiedzieć, że „nie zna drogi do serca, obce mu są kraje, w których skrzętna bogini błogie sny podaje“.

Z naszych poetów Mickiewicz i Słowacki w wysokim stopniu posiadali tę prawdziwie poetycką wrażliwość; śmiem nawet twierdzić, że u Słowackiego była ona żywsza, bujniejsza, choć zato i kapryśniejsza zarazem. Słusznie mówi Małeckci, że „przed jego okiem widne były wszystkie tęczowe barwy poezji, rozlanej po rozłogach życia ziemskiego. Najniklejsze, najtajniejsze objawy jej przytomności pomiędzy nami mówią do jego wyobraźni: jesteśmy! Gdzie wzrok zwyczajnego usposobienia nie widzi nic, jak pospolite kształty żywota, gdzie ucho najczulsze nie słyszy, jak tylko rytm powszedniego toku wydarzeń, Słowacki tam umie dopatrzeć i dosłuchać się jakby ostatnich westchnień tęsknych tej melodji, która w poranku dziejów ludzkości była regulatorem życia na ziemi, a dziś już prawie zupełnie się wyniosła z obszarów bytu rzeczywistego. To też, za dotknięciem jego ręki, przemienia mu się wszystko jakby w jakiś eter powiewny“.

Błyskotliwość jego wrażliwości, a zarazem większa jej moc, sprawiały tę nadmierną podatność na wrażenia, tę bezustanną walkę wewnętrzną, wynajdywanie udręczeń w najprzyjaźniejszych nawet warunkach, wreszcie tę szorstkość obejścia, którą Słowacki dzielił z wielu innymi poetami, a która mu tak łatwo narażała i zniechęcała ludzi. Dumny odrębnością i wyższością swego uczucia, nie mógł zmusić innych do podążania za jego wrażeniami i wiecznie czuć musiał pewien rozbrat pomiędzy własnym sercem a jego prozaicznym otoczeniem. Dziecięciem jeszcze budził trwogę w sercu matki na widok burz wewnętrznych, które się w bladej jego twarzy odbijały —

i myśląc o synu,
Nie śmiała wyrzec: Niech się dzieje wola Boga!
Bo w czarnych oczach dziecka płomień gorączkowy,
Przedwcześnie zapalony, trawił młode życie...

A później, równie przedwcześnie dojrzały uczuciem, żądał wzajemności takiej, jakiej znaleźć nie mógł, i upokorzony, z „sercem jak kryształ w setne porytem skazy“ wszystkie uczucia swojego skarby „ognistej wyobraźni rzucił na pożarcie“. I nie dziw, że wyobraźnia ta pod wpływem tylu głębokich i jaskrawych wrażeń „w złote rozkwitała farby i kładła się, jak tęcza, na ksiąg białej karcie“.

Wrażliwość Mickiewicza o wiele była spokojniejsza. Umiał on lepiej od Słowackiego panować nad wpływami wrażeń, a błyski jego wyobraźni długo kryły się w głębi duszy, za chmurami marzeń, zanim przybrane w czyste i miarowe kształty, ukazały się ludziom spokojne, pełne i harmonijne. „Wszystko takem napisał,

¹⁾ Michał Wiszniewski, uczony polski pierwszej połowy XIX w.

jak tu do was gadam“, mówił poeta sam o sobie. On nie wybuchał jak wulkan, lecz jak słońce oświecał. I tylko część tych jasnych promieni rozsiewała jego wola wśród ludzi. Choć „czuł za milion“, w pieśniach zawarł tylko tyle uczucia, „ile krwi ludzie dojrzeć mogli w jego twarzy“. Reszta została w sercu. I jeśli Słowacki wołał w uniesieniu:

„Kto chce w pioruny wstąpić i w błyskanie,
„I śnić to, co ja śnię — niech przy mnie stanie“,

to Mickiewicz w spokoju swym wymagał więcej:

„Chcę mnie zrozumieć¹⁾, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie“.

Wymagał zbyt wiele — bo rozumieli go wszyscy — ale to pewna, że takiego wylania uczuć, wylania w tak świetnej formie, z takim olbrzymiem bogactwem „duszy rwanej w kawały“ i rzucanej nam na strawę duchową — że takiej formy poetyckiej, jaką władał Słowacki, mógłby mu nawet Mickiewicz pozazdrościć. I dosyć było stanąć przy nim, ażeby ujrzeć te pioruny i to błyskanie, które duch jego wokoło siebie rozsypywał — a rozsypując, cierpiał. Burza, jaką czuł w sobie, huczała i w pieśniach jego — Mickiewicz przeciwnie, w pierw ją w sercu tłumiał, zanim do braci przemówił.

Gdy mnie spokojnym zowią dzieci świata,
Burzliwą duszę kryję przed ich okiem,
I obojętna duma, jak mgły szata,
Wnętrzną pioruny pozłaca obłokiem:
I tylko w nocy — cicho — na Twe łono
Wylewam burzę we łzy roztopioną.

(Rozmowa Wieczorna).

Tak roztopiona burza nie straszyla ludzi, budziła tylko poczucie wyższości. Wzrok jego, nie będąc groźną przestroga dla matki, umiał przecież ujmować ludzi siłą spokojnego a głębokiego uczucia. „Wejrzenie Mickiewicza — mówi jeden z bliższych jego znajomych — było przeciągłe, długie, raczej rozważne, niż przenikające. Kiedy kogo słuchał, raptem dziwną błyskała iskrą, kiedy zabierał się do odpowiedzi, zdawało się, że wszystko wtedy, co widział lub słyszał, w jedno zbierało się ognisko; a ile razy w rozmowie z kimś obcym myślą jaką był uderzony, czynił nagle zwrot sam do siebie, podnosił głowę, oko się mgłą okrywało i, przez czas jakiś nieruchome, pokazywało się po chwili, jakby ogniem i życiem do własnego wnętrza było zwrócone“. — —

¹⁾ U Mick. „sądzić“.

Ale nawet najlepiej rozwinięta wrażliwość, zarówno ogólnie zmysłowa, jak i czysto estetyczna, nie wystarczyłaby nigdy pocie do zebrania tych wszystkich *wrażań*, które w skład jego fantazji wejść muszą, jeżeli ma się stać mistrzem, panującym nad sercami ludzi. Wrażliwość zmysłowa daje tylko powierzchowne świata odbicie, daje tylko zapas bardzo różnorodnego materiału, ale nie sięga głębiej, nie sięga do najbogatszego źródła poezji: do serc ludzkich. Wprawdzie wrażliwość estetyczna przebiera ten różnorodny materiał, wybiera co lepsze i przydatniejsze, wprawdzie umie ona odczuć nawet to, co dla wrażliwości zmysłowej jest niedostępnem, ale będzie to zawsze tylko zebranie form, objawów, pozorów, nie zaś treści wewnętrznej, która ożywia dusze pokrewnych nam istot: uczuć, marzeń, pragnień, namiętności. Chcąc ten szacowny materiał osiąść, poeta musi posiadać inną wrażliwość, któraby mu pozwoliła odczuwać stany duchowe wesela, żalu, rozpacz, miłości, przerażenia, upojenia lub przygnębienia u innych istot, nie tylko te, których sam doświadcza, ale i inne, bezpośrednio dla niego niedostępne. Takie odczuwanie różnorodnych obcych stanów duchowych, bez którego nie byłoby prawdy w osobach i przejściach moralnych, odtwarzanych przez poetę, nazwałbym „współczuciem psychologicznem“. Jest ono rozszerzeniem doświadczenia własnego, jest drogą do serc innych, jest więc dla poety skarbem nieocenionym i niezbydnym.

Dziwimy się, jakim sposobem taki Schiller w dziewiętnastym roku życia mógł napisać *Zbójców*; jakim sposobem mógł tak poznać serce ludzkie w demonicznych jego wybuchach, równie jak w idealnej miłości. Przez jaką cudowną władzę powieściopisarz, który nie był zbrodniarzem, który nawet nigdy nie widział spełniającej się zbrodni, umie jednak malować ją z tak uderzającą prawdą?... Wszystko to tłumaczy nam psychologiczne współczucie. Powieściopisarz lub dramaturg nie doświadczył nigdy uczuć idącego na śmierć zbrodniarza, ale czuł żal i obawę, wstyd i niepokój, gdy nieraz, dzieckiem jeszcze będąc, obciążony jakimś grzechem dziecinny, stawał przed ojcem karzącym i gniewnym... Nie był złodziejem — ale czuł, jak mu serce silniej uderzało, gdy chciał komuś figla wyplatać. Nie był matką, której dziecko umiera z głodu, ale czuł boleść i smutek, gdy najmilsze jego dzieło sponiewierał zjadliwy krytyk...¹⁾

Jednym słowem zdolność odczuwania różnorodnych stanów du-

¹⁾ Porównaj rozprawę moją „O metodzie badań psychologicznych“, Warszawa 1869 (p. a.).

chowych na podstawie własnych przeżyć może poecie otworzyć wrota do wszelkich tajemnic ducha, jeśli tylko ma serce i umie „patrzeć w serce“.

A nie jest to bynajmniej zdolność pospolita. Tysiące ludzi czują, co im dolega, a nie czują, nie pojmują nawet tego, co dolega innym. Czuć i współczuć — są to dwie rzeczy bardzo różne, choć jedna wypływa z drugiej. Ale i współczucie może być podwójne: tego, o którym mówię, nie należy mieszać ze współczuciem moralnym, pospolicie *litością* nazywanem.

Inna rzecz jest współczuć czyjejs nędzy lub boleści poczuciem moralnym, które prowadzi do ofiary, do jałmużny, ubolewań, pociechy, a inna współczuć psychologicznie, przedmiotowo, dla samej potrzeby poznania i odczucia. W tym razie poeta jest tylko psychologiem intuicyjnym, termometrem cudzych uniesień.

Dlatego to tak często w życiu doznajemy zawodu, gdy poznamy bliżej poetę, którego cudowne, rzewne, miłością ogółu natchnione pieśni zachwyciły naszą duszę. Sądziliśmy, że i w człowieku, tak jak w pismach, znajdziemy wylanie serdeczne, gotowość do usług, do współczucia przynajmniej, jaką nam pisma jego przewidywać pozwalały — a tymczasem poznajemy człowieka chłodnego i szorstkiego, który nas odpycha kapryśnym obejściem, który się zapala i unosi, ale tylko dla utworów swej fantazji. — —

Uczucia poetów są głębokie, wstrząsające, wyraziste, ale — ulotne, jeśli zaś bywają stałe, to tylko wtedy, gdy przedmiot drogi widziany jest z oddalenia przez pryzmat *wspomnień* i marzeń.

Ale bo też wspomnienia są materialem *par excellence*¹⁾ poetycznym. Rzeczywistość chwili obecnej ma zawsze zbyt ostre zarysy, zbyt wiele prozaicznej przymieszki, ażeby mogła wprost wejść w skład poetycznego arsenału artysty. Dopiero, gdy przez zacieranie i zlewanie się wyobrażeń, pospolite rysy znikają, piękniejsze występują w mgłę eterycznej, poetyczne drobiazgi żyją i tętnią i świecą, a prozaiczne akcesoria jak plewy odpadają od ziarna pamięci, wtedy myśl poety prowadzi nas coraz dalej „smugiem fał“ i płyniemy swobodnie ponad rzeczywistością „w ciszę — jasność — w błękit — w dal“.

Wód zwierciadła, gór widziadła,
Ziemia, niebo, jeden kraj!
Rzeczywistość się pomału
W świat przemienia ideału,
W sen ze srebra i kryształu.

(Kraśiński).

¹⁾ = w całym znaczeniu tego wyrazu.

Tak samo zidealizowania i zatarcia jaskrawych cech potrzebują *uczucia i wzruszenia* życiowe poety. Gdy miłość jest w pełni rozwoju, gdy poeta przejęty gniewem, nienawiścią, rozpaczą lub innym jakim uczuciem, wówczas dopiero zbiera się *materiał* dla twórczości, o samej twórczości jeszcze niema mowy, ona potrzebuje uspokojenia, ciszy, oddalenia, perspektywy, uroku wspomnień.

„W chwili natchnienia człowiek nic nie tworzy,
Śpiewa dopiero, gdy natchnienie znika“.

* * *

Wszystkie te cechy i rodzaje wrażliwości i uczuciowości sprawiają, że poeta w tem samym otoczeniu, co inni, żyjąc, znajduje dla siebie więcej, znajduje to, czego inni nie widzą, czuje to, czego inni nie czują.

To, o co nie pytaj ludzi,
O czym im się nie śni —
Dla mnie w sercu nocą budzi
Najwspanialsze pieśni —

mówi Goethe. Niestłuchanie drobne wpływy wystarczają do obudzenia całego łańcucha poetycznych skojarzeń w umyśle prawdziwego poety.

Wszystko doń przemawia: promień słońca, „deszczyk perłowy“, „wietrzyk, co w liściach szeleści“ — mówią mu dźwięcznymi słowy:

Coś o cudach natury
Coś o świata wielkości,
O Bogu, o miłości.

A silne, poetyckie wrażenie, raz doznane, pozostaje w myśli i siłą żywszej, niż u innych, pamięci wzruszeń wchodzi w skład późniejszych utworów poetycznych.

Weźmy przykład.

W powieści Wajdeloty z *Konrada Wallenroda* znajduje się między innymi taki ustęp:

Rwałem kwiaty ojczyste, a czarodziejska ich wonia
Tchnęła w duszę jakoweś dawne i ciemne wspomnienia.
Upojony tą wonią, zdało się, że dziecinniałem,
Że w ogrodzie rodziców z braćmi biegałem małemi.

Otóż geneza tego ustępu była następująca: „Raz będąc w Wędziagole, niedaleko Kowna — Mickiewicz poczuł w ogrodzie jakiś zapach, którego sam rozeznać nie mógł (a był to zapach krokosu), ale który tak mu przypomniał rodzicielski ogródek w Nowogródku,

że wrażenie, jakiego doznał, dotąd jeszcze (pisze to Odyniec) żywo pamięta¹⁾.

A oto inny przykład z listów Słowackiego, który sam o sobie powiedział:

Do rymu nigdy sensu nie naginam:
Nie tworzę prawie nic — lecz przypominam.

„Ponieważ o wszystkich czynnościach donosić ci zamierzyłem, otóż donoszę ci, mamó, że teraz zajęty jestem pisaniem nowej tragedji o *Wallasie*, szkockim rycerzu. Wiesz, co mię do niej przywiodło? Długo myślałem, jaki w dziejach różnych narodów najczystszy jest bohater i z najpiękniejszą duszą; przypomniało mi się, że niegdyś, w dzieciństwie, kiedyś mnie, mamó, do uczenia się francuskiego języka zachęcała, mówiłaś mi: „Poznasz życie Wallasa“. *Samo imię Wallas uderzyło magnetycznie moją imaginację*. Wystawiłem sobie coś podobnego do burzy, która wali lasy. Nie mogę zdać sprawy z tego wrażenia, ale czuję je dotąd. W kilka lat potem czytałem romans: *Les chefs écossais*. Mama wtenczas grałaś na fortepianie smutnego niemieckiego walca. Smutne wrażenie romansu tak się pomieszało z tą muzyką, że dzisiaj przez walc tylko romans widzę, jak we mgle. Teraz w różnych historjach poznałem się z rzeczywistym Wallasem. Już w tragedji nie romansowo, ale w historycznej prawdzie maluję tego człowieka; ale układając tragedję i pisząc ją teraz, często wstaję od stolika i idę do fortepianu i gram tego samego walca, aby koloryt wspomnień smutkiem napełnił moje karty²⁾).

Tak to panowie poeci wyzyskują wrażenia dzieciństwa — sztucznie wywołują w sobie smutek, aby nas rozrzewnić. — —

* *

Z późniejszych wpływów najwięcej treści dostarczają poetom książki przeczytane. One to wprowadzają młodzieńca w tę atmosferę duchową, której poeta, czy chce, czy nie chce, musi być wyrazem, zarówno w uległości, jak w opozycji.

Mierne talenty pod ich wpływem stają się wprost naśladowcami — wyższe wzbogacają tylko treść własnej fantazji.

Ale myliby się, ktoby sądził, że genjusz przynajmniej wolnym jest od naśladowstwa, a nawet od prostych plagiatów. Ludzie, których my dziś uważamy za jednostki wyjątkowe, za życia nie

¹⁾ Listy z podróży A. E. Odyńca 1875, II, 33 (p. a.); krokos — roślina, zwana także szafranem. — ²⁾ Listy Juliusza Słowackiego do matki (1830—1835), Lwów 1875, str. 131 (p. a.). Wallace — szermierz wolności szkockiej z w. XIII.

przedstawiali się całkiem odrębnie, mieli cały orszak współczesnych talentów, kosztem których wyrosli i z którymi nieraz bardzo wiele mieliby rachunków. Tylko, że my o tamtych zapominamy, a tych ponad tło powszednie wynosimy.

Dowody naśladowstwa znaleźć można w każdej historji literatury, zestawiającej prace poetów. Ale dla nas najciekawsze są te drobne a mimowolne plagjaty i przeróbki, które poeta popełniać musi — w zdaniach, porównaniach i zwrotach, a które oczywiście tem mniej są widoczne, im większy talent mamy przed sobą. U poetów pierwszorzędnych nie rażą one tak, jak u autorów miernych.

Znaną jest z podania historycznego odpowiedź Spartan, gdy im Persowie grozili zakryciem słońca chmurą strzał: „Tem lepiej, będziemy walczyli w cieniu“. Wspomnienie to widocznie podsunęło się pod myśl Słowackiemu, gdy, nicując ten zwrot, pisze w *Lilli Wenedzie*: „Mówią, że walka będzie oświecona błyskawicami. Dobrze, będzie widno“.

Najczęściej poeta czuje w pamięci tylko rytm i konstrukcję deklamacyjną wiersza, a popęd twórczy obudza w nim rysy sprzeczne — na tej samej kanwie.

Oto przykład:

O, wy niscy, o, wy ciemni
I okrutni i nikczemni!
Wy przewiedle w nicość dusze,
Bez ducha Faryzeusze!
i t. d. (Kraśiński).

O, wy maluczcy, o, wy drobni
I powołani i sposobni
Do tej ogromnej, wiecznej sprawy,
Która tu nie dla marnej sławy,
Lecz dla długości prawd łańcucha,
Przez ducha dzieje się dla ducha.
(Ujejski).

U talentów średnich spotykamy częściej już nietylko reminiscencje rytmu i formy, ale wprost całych zwrotów, np.:

Sto lat mijało, jak zakon krzyżowy
We krwi pogaństwa północnego brodził.
(Mickiewicz).

Tysiąc wieków mijało, jak człowieka plemię
Codzień świeżemi trupy zasilalo ziemię.
(Żmichowska).

albo: Świat ten cmentarzem z łez, ze krwi i błota —
Świat ten jest wieczna każdemu Golgota.

(Kraśiński).

... Co w oczach jego tak piękna, bo złota
A w oczach bożych garść łez, krwi i błota!

(Żmichowska).

Często wreszcie poeta mimowolnie sam siebie naśladuje, powtarzając własne zwroty, te mianowicie, których siłę lub wdzięk czuł mocniej niż innych, a trafia się to głównie w utworach, zbliżonych do siebie czasem powstania.

Np. u Słowackiego:

Ach, ona była domu mego panią,
Ona, jak jaśni aniele obrońce... i t. d.

(Ojciec zadzumionych).

Ach, ona była jak białe łabędzie,
Była jeziora błękitnego panią... i t. d.

(W Szwajcarii).

Wielki Szekspir zapożyczał się wszędzie, gdzie tylko mógł; co-prawda umiał on dobrze użyć tych pożyczek!

„Suma jego pożyczek poetyckich (mówi Emerson), daje się wyciągnąć z pracowitych obliczeń Malona, nad 1, 2 i 3 częścią *Henryka VI* dokonanych. Wypada z nich, iż na 6043 wiersze jest 1771 napisanych przez pisarza, poprzedzającego Szekspira, 2373 skreślonych na tle poprzedników, a tylko 1899 wierszy należy doń jako własność osobista¹⁾.”

Co do pomysłów, to olbrzymia ich część należy do tradycji, nie zaś do samego poety. A dodajmy do tego wpływy niedrukowanych, lecz od przyjaciół i znajomych pochodzących zwrotów, myśli i ich kombinacji, których dziś sprawdzić niepodobna.

Ale kto zna psychologiczne prawa, rządzące fantazją ludzką — ten się tak głębokiej i ścisłej zależności od otoczenia dziwić nie będzie. Fantazja nie może stworzyć nowego tonu, ani nowej barwy, ani żadnego istotnie nowego wyrażenia, ona może tylko kombinować te, które z zewnątrz odbiera, tworzyć z nich nowe zestawienia, przeplatać nowsze dawniejszemi, osobiste cudzemi i właśnie w tej

¹⁾ Emerson. Przedstawiciele ludzkości, tłumaczył Józef Siellawa. Warszawa 1871, str. 164. Winienem jednak dodać, że „Henryk VI” jest najmniej oryginalnym z dzieł Szekspira; w innych stosunek wypadłby nierównie korzystniej dla autora (p. a.). Emerson, znakomity filozof amerykański w. XIX, na którego często się powołuje Mickiewicz (por. tu w przytoczonych wykładach paryskich poety).

przeróbce artystycznej, w tym mozajkowym, harmonijnym układzie leży siła geniuszu.

Talen mierny naśladuje tylko, geniusz przetwarza i przeobraża — ale żaden z nich nie stwarza.

Wielcy poeci są wielkimi nie dlatego, żeby mieli wrywać się i uchylać z pod wpływów otoczenia, epoki, lecz dlatego, że właśnie najlepiej umieli ten wpływ ześrodkować, tę treść przyswoić sobie i przetworzyć artystycznie, że umieli wypowiedzieć to, co wielu miało w duszy, dać wyrazistą formę temu, co ludziom w głowach majaczyło i niejasno budziło się w sercach.

„Artysta — mówi Hipolit Taine — uważany wraz ze wszystkimi dziełami, jakie stworzył, czyli, że tak powiemy, z całym swym dziełem, nie jest odosobniony. Istnieje także pewna całość, którą on jest objęty, całość większa, niż on sam; całością tą jest szkoła lub rodzina, grupa artystów tego samego kraju i tej samej epoki, do której on należy. Naprzykład, wokół Szekspira, który na pierwszy rzut oka wydaje się cudem spadłym z nieba, aerolitem¹⁾ z innego świata, znajdujemy kilkunastu utalentowanych dramaturgów, jak Webster, Ford, Massinger, Marlowe, Ben Jonson, Flechter i Beaumont, którzy pisali w tym samym stylu i w tym samym duchu, co on. Ich sztuki mają też same charakterystyczne cechy, znajdujemy u nich też same postacie gwałtowne i straszne, te same rozwiązania krwawe i nieprzewidziane, te same gwałtowne i niepohamowane namiętności, ten sam styl dziwaczny, niezwykle a świetny, to samo wyborne i pełne poezji poczucie i oddanie wsi i krajobrazu, te same typy kobiet żywo czujących i kochających głęboko²⁾.”

Dzieło wielkiego poety jest też jednocześnie dziełem epoki — wypadkową bardzo wielu wpływów i zewnętrznej, i wewnętrznej natury.

Lecz trzeba przyznać, że te ostatnie o wiele są silniejsze.

Poeta, któryby wszystko czerpał z zewnątrz, nie mógłby być twórcą pierwszorzędny, jeżeli więc powiadać, że geniusze nawet wiele zawdzięczają otoczeniu i czytaniu, to jednak nie myślimy zapominać o tem, że tłem dla tej treści obcej, gruntem, na który ona pada, jest i być musi — własne życie.

Serce, co jako zegar jednako wciąż drgało,
Będzie znaki, nie będzie życia wskazywało.

¹⁾ = meteorolit, kamień z meteoru. — ²⁾ H. Taine. Filozofja sztuk pięknych, przekład I. z K. S. Warszawa, 1868, str. 2 (p. a.). Dzieło to, w nowszym przekładzie A. Sygietyńskiego p. t. Filozofja sztuki — godne jak najgorętszego polecenia!

Musi więc poeta żyć pełną piersią, doświadczyć doli i niedoli, „sny błogie opłacać życiem przepłakanem“ — „jak Dant za życia przechodzić przez piekło“.

Brodziński słusznie mówi:

Człowiek jest dla poety najpierwsza nauka;
Nie zna go, kto po księgach, po tworach go szuka.

Trzeba samemu doświadczyć, ażeby słowem w drugich podobne uczucia rozbudzić. Trzeba doświadczać jak poeta — jak psycholog rozumieć, — prawda, że zwykle owo zrozumienie praw duszy ludzkiej jest raczej instynktowem, bezwiednem, ale jest i być musi. — —

* * *

Jakimże sposobem poeta tak wiele efektów nagromadza, tak wiele treści pod obrazy swe podkłada?

Czy on to wszystko świadomie obmyślać potrzebuje?

Bynajmniej; poeta nie jest w możności przewidzenia tego wszystkiego, co słowa jego w duszy czytelnika obudzą; a nieraz nawet budzą one myśli obce jego własnym intencjom.

Widocznie więc udział świadomej rozważki nie stanowi jeszcze o całej twórczości; poeta nie zastanawia się nad wszystkimi wyrazami i zwrotami, jakich w pisaniu używa, on tylko przejmuje się przedmiotem, uprzytomnia sobie punkty główne, a reszty dokona za niego — *fantazja*.

Fantazja — to właściwe imię siły, bez której nie byłoby poezji. Nie pomoże wrażliwość, nie pomoże żywa pamięć, nie wystarczy poczucie estetyczne i współczucie psychologiczne, gdy brak fantazji.

Wszystko, co z pominięciem tej czarodziejki przemawia tylko do uczucia albo tylko do rozumu, będzie kantyczką, rozprawą albo kazaniem, nie będzie poezją.

Onato wprowadza do sztuki ten pierwiastek nadzmysłowy, ten pierwiastek prawdziwie poetyczny, który jej nadaje lotność, bujność, eteryczność.

Jeśli mamy wierzyć poetom, czasy czarów i zaklęć nie minęły jeszcze. Istnieje bowiem dotychczas „najpotężniejsza z czarodziejek ziemi“. W szacie z blasków i barw zachodzącego słońca, z gwiazdą srebrzystą na czole, rozsypuje dokoła siebie urok ów, którym dusza ludzka z rozkoszą ulega:

Do niej szalenie drży młodość radosna,
Z nią się nadzieja wiecznie zaprzyjaźnia,
U niej poezja tęczy swe krosna.
— Tą czarodziejką cóż jest? — *Wyobraźnia*.

Wyobraźnia ta, a ściślej mówiąc *fantazja*, posiada najpotężniejsze na ziemi magiczne zwierciadło, w którym

co kto pragnie, ujrzy za kryształem:
Skarby, co nigdy nie giną; sumienia,
Co nigdy drogą nie zdążają błędną;
Serca, gdzie stałość nigdy się nie zmienia,
Róże i laury, co nigdy nie więdną;
I wszystko, wszystko, co jest doskonałem,
Bo to zwierciadło zwie się: *ideałem!*

(*Deotyma*)¹).

To, czego nam dostarczają *wrażliwość* i *pamięć*, to tylko kamyczki kolorowe do tej mozaiki duchowej, jaką *fantazja* układa.

Skądżeby powstała *Boska* i *Nieboska komedja*, *Dziady*, *Anelli*, *Irydjon*, gdyby nie ten cudowny dar fantazji, mocą którego nasz „świat rzeczywisty tysiąc innych rodzi“?

Przypatrzmy się bliżej tej potędze.

Jeżeli pamięć jest martwą wyobraźnią, to *fantazja* jest wyobraźnią w stanie czynnym.

Wrażenia, pochodzące z otoczenia, od przyrody, od ludzi, z książek, z własnych przeżyć wreszcie, pozostają w umyśle pod postacią wyobrażeń, zawsze powiązanych ze sobą, zawsze zlewających się częściowo, już to na zasadzie tego, że współcześnie powstały, już też, że miały w sobie jakieś pierwiastki wspólne czy w prostym podobieństwie, czy w kontraście.

Gdyby cały ten bogaty materiał pozostawał w umyśle tak, jak powstał, mielibyśmy wierną pamięć i zdolność żywego przedstawienia sobie wrażeń dawniejszych — nic więcej.

Lecz nowe wpływy, nowe wrażenia wciskają się między ogniwa dawnych, przyłączają się do nich, zlewają, rozrywają i przesuwają — a w tej ruchliwej czynności pomagają im i wpływy wewnętrznych, uczuciowych pobudzeń i wreszcie sama lotna natura obrazów myślowych, z których żaden nie może trwać czas dłuższy bez zmiany, lecz musi słabnąć, zacierać się, mieszać z innymi, jeśli go pierwotna pobudka zmysłowa na nowo nie ożywi i nie wyosobni.

Stądto powstaje owa bezustanna gra widziadeł, którą nazywamy *fantazją senną*, jeśli się odbywa całkiem luźnie i beładnie — a *fantazją poetycką*, jeśli kombinacjom przewodniczy jeden układ główny, jedna nić przewodnia — rozumowa.

¹) Pseudonim Jadwigi Łuszczewskiej, głośnej w swoim czasie poetki warszawskiej z drugiej połowy XIX w.

Fantazja więc poetycka będzie stała pośrodku między myśleniem sennem, czyli marzeniem — a myśleniem ścisłym, czyli rozumowaniem.

Różni je tylko stosunek wyobrażeń do pojęć, obrazów do wyrazów, różny stopień szybkości, różna łatwość zmian i różny stosunek do rzeczywistości.

Fantazja senna bowiem miesza i przekształca rzeczy tak, że odbiera im wszelki prawidłowy układ zależności w czasie i przestrzeni, tymczasem fantazja poetycka układu tego naturalnego nie niweczy, nadaje mu tylko inny charakter.

To, co poeta w życiu doświadczył, wplata się jako treść do jego obrazów, przyczem jednak niema chaosu, jak w czysto sennem następstwie wyobrażeń, lecz jest jakgdyby skupianie się okruchów życia około magnesu, którym jest panująca postać, idea, uczucie.

Na obraz poetycki jednej osoby może się składać bardzo wiele rysów, dojrzanych u bardzo wielu osób i w różnych czasach.

Nieraz dla stworzenia jednej tkanki powieściowej wszystkie epoki życia poety przynoszą swą daninę jego fantazji i tylko takim kosztem ideały dorastać mogą do wyżyn poezji, nie odrywając się całkiem od ziemi. — —

* * *

Przez długi czas utrzymywało się mniemanie, że twórczość poetycka jest darem nieziemskim, a więc wyłamującym się z pod praw przyrodzonych natury ludzkiej i jej duchowego rozwoju.

Według tego poglądu twórczość może być tylko odczuwana, nie zaś pojmowana; genjusz, jak mówił Libelt, da się tylko „podziwiać, ale nie ogarnąć“¹⁾.

Pojmując rzecz w ten sposób, miano oczywiście na myśli nie ten niezaprzeczony wpływ wrażliwości i żywej pamięci, które się odziedzicza, nie ów wpływ poczucia estetycznego i psychologicznego, które w części przynajmniej nabyć można, i nie ten wpływ zewnętrznych wrażeń, otoczenia, książek, przyrody i ludzi, który poecie dostarcza materiału dla fantazji — tego wszystkiego nie miano na myśli, raz dlatego, że są to rzeczy zbyt proste i naturalne, a po wtóre i co więcej, że wcale się temi warunkami nie zajmowano; nie rozbiegano ich tak, jak się to dziś czyni, fizjologicznie i psychologicznie, poprostu nie uczuwano potrzeby badania takich drobiazków — mówiło się, że twórczość jest dziełem genjuszu, genjusz zaś darem nieba i na tem koniec.

¹⁾ Karol Libelt, filozof polski XIX w., autor m. i. sławnej rozprawy „O miłości ojczyzny“; główne jego dzieło wymienia dalej sam Ochorowicz.

Że jednak i w świecie ducha wszystko mieć musi swoją przyczynę, spytajmy: *dlaczego tak było?*

Była i w tem przyczyna psychologiczna, a mianowicie następująca.

Do liczby warunków twórczości, któreśmy powyżej przebiegli, należy jeszcze jeden, dotychczas przez nas nieporuszony — warunek, w istocie bardzo estetycznej natury i który mógł dać powód do wiary w nadnaturalność procesu twórczego. Jest nim: *natchnienie*.

„Natchnienie, jak mówi Schiller, to niespodzianka dla duszy ludzkiej, dar szczęścia, który spada z nieba“. I oto dlaczego całą twórczość poetycką, jako dzieło natchnienia, kojarzono z pojęciem owego ognia, który Prometeusz aż z nieba ściągać musiał na ziemię.

„Natchnienie — mówił Libelt — to wyraz wielkiego znaczenia, znajdujący się we wszystkich językach i we wszystkich świadczący znaczeniem swoim o bezpośrednim związku Boga z człowiekiem. Wyraz, pochodzący z czasów, kiedy ludy ten związek czuć i pojmować umiały — ale w następnych wiekach panowania samowładnego rozumu wyraz sponiewierany i wymieciony z dziedziny filozofji idealnej i materjalnej — zostawiony samemu mistykom i zaledwie potem jeszcze przyznawany. Wyraz ten wróci do swojego pierwotnego znaczenia i odbuduje nową filozofję — filozofję twórczą, filozofję czynu“¹⁾.

Czy to pobożne życzenie naszego wielkiego estetyka spełni się — nie tu miejsce rozstrzygać — zwróćmy się raczej do określenia, jakie daje natchnieniu:

„Natchnienie — mówi on trafnie — jest tym stanem nadzwyczajnym ducha w nas, co siłę twórczą fantazji wywołuje i ogniem niebieskim rozpala“.

Jest to jednak omówienie tylko — a nam trzeba dokładniej poznać, jakie są zwyczajne składniki tego nadzwyczajnego stanu ducha, jego cechy i przyczyny.

W tym celu przypatrzmy mu się bliżej.

Przedewszystkiem cechą natchnienia jest *mimowolność*, czyli niezależność od woli naszej. „Doszedłem do tego, mówi Goethe, że muszę właściwy mi talent poetycki jako dzieło natury uważać, a to tem więcej, że wszystko skłania mnie do pojmowania przyrody zewnętrznej, jako przedmiotu tamtej. Przejawianie się tego poetyckiego daru mogło być wprawdzie pobudzane i kierowane — ale najradośniejszej i najbogaciej objawiał się on mimowolnie, a nawet wbrew mojej woli“.

²⁾ Estetyka, czyli umnictwo piękne (1849) (p. a.).

O poezjach wogóle możnaby powiedzieć, że nie poeta je tworzy, że one same tworzą się w duszy jego. O Lafontaine'ie ktoś powiedział, że pisał bajki tak, jak grusza rodzi gruszki.

„My tylko, mówi Goethe, układamy stos drzewa i staramy się, ażeby było suche; a gdy przyjdzie odpowiednia pora, ono samo się zapala, wprawiając nas w zdumienie“.

„Dziś — pisze Schiller — nie chciał mi się duch (natchnienia) pokazać, chociaż wychodziłem na jego spotkanie, napróżno przebiegając wszystkie szpalery mego ogrodu“. A Forster¹⁾ dodaje: „Nie pierwszy to raz, wtedy właśnie, gdy wielcy artyści usilnie wszystkie swe siły wyteżają, nie udaje im się wymuszone dzieło ich ducha. Zdobyte fantazji są darem jednej boskiej chwili“.

Na pytanie, czy idei szuka się, czy też tylko znajduje, Gutzkow²⁾ odpowiada: „Szukam wykonania, ale znajduję pobudki. Przy wykonaniu rozum pomagać musi. Znalezienie zależy od przypadkowego pobudzenia. Mógłbym ten stan porównać z patrzeniem w niebo podczas pogodnej nocy, gdy nagle błysk odrywa się od sklepienia i zdaje się spadać. Dobre poezje są jak gwiazdy spadające“.

Drugą cechą natchnienia, do pewnego stopnia z pierwszej wynikającą, jest jego *ulotność*. Jako wyjątkowe podniecenie fantazji, rzadko trwa ono dłużej i znika, podobnie jak przyszło, pod wpływem pierwszej lepszej pobudki. Goethe opowiada, że nieraz, gdy w nocnych marzeniach ożywiła się jego fantazja, chwytał za ołówek i notował na kartce cisnące się wyrazy, a czynił to z takim pośpiechem, że jeśli kartkę znalazł leżącą ukośnie, to jej nie prostował, tylko pisał krzywo, ażeby żadnym ubocznym ruchem nie rozwiązać ulotnych pomysłów. Wyznaje również, że wolał pisać ołówkiem, niż piórem, bo skrzywienie tego ostatniego było nieraz wystarczającym, żeby rozerwać uwagę.

W istocie, jeżeli przy każdej produkcji umysłowej potrzebna jest zupełna swoboda i spokój, jeżeli wejście obojętnej osoby może nam odebrać ochotę do dalszego zwykłego pisania — to o ileż więcej przeszkadzać muszą wszelkie uboczne wrażenia w takiej pracy, w której najlotniejsze pierwiastki fantazji układają się w nowe, niespodziane kombinacje i gdzie od jednego trafnego wyrazu zależy nieraz udanie się kompozycji.

To też po większej części poeci żądają samotności i Goethe powiada, że bez niej nigdy nic nie mógł stworzyć. Najlepiej zaś tę ulotność natchnienia znają muzycy, którym trudniej zapamiętać

¹⁾ Uczony niemiecki w. XVIII. — ²⁾ Niemiecki pisarz dramatyczny w. XIX, autor cieszącej się trwałym powodzeniem sztuki „Urjel Acosta“.

motyw oryginalnie w danej chwili pomyślany, ponieważ brak mu tych wielostronnych ogniw asocjacji w treści i w rymach.

Już z poprzedniego wynika, że natchnienie *jest zależnem od warunków zewnętrznych*. — —

Niemniej zależnem jest natchnienie od czasu. Pewne pory roku, lub nawet dnia więcej sprzyjają twórczości, inne mniej — a niema pod tym względem prawa ogólnego, bo warunki zewnętrzne dają tylko ziarno, którego rozkwit zależy od gruntu, a więc od przyrodzonej indywidualności autora. Goethe w listach do Schillera skarży się nieraz na długie zaniedbanie go przez Muzy. „Zaledwie ślady jakiejś twórczości odczuwam obecnie w sobie, jednakże będę jeszcze jakiś czas cierpliwym, z nadzieją, że najbliższe chwile będą lepsze“.

Ze swej strony Schiller tak pisze w liście do Rheinwalda: „Teraz, drogi przyjacielu, zaczną się wkrótce najwspanialsze chwile, w których jaskółki ukazują się na niebie, a wrażenia do mojej piersi wracają. Z jakimże pragnieniem oczekuję jej!“ — „Zapowiedź wiosny prawdziwie orzeźwiła mnie, na moje zajęcia, które bardzo tego potrzebowały, zlewając nowe życie. Mimo całej naszej wystawianej samodzielności, jakże bardzo jesteśmy z siłami natury związani i czemże jest ta nasza woła, gdy jej natura pomocy odmówi. Nad czem przez pięć tygodni szperałem, tego jeden łagodny błysk słońca przez trzy dni w mej duszy dokonał; wprowadzie mogła moja dotychczasowa wytrwałość rozwój ten przygotować, ale sam rozkwit przyniosło mi niewątpliwie słońce wiosenne“.

Słowacki przeciwnie, oczekiwał raczej jesiennej i zimowej pory, jako zwiastującej mu szybszy polot natchnienia. W listach jego do matki czytamy między innymi: „Tej zimy zamyślam pisać i pisać, jestem jak góra w połogu; prawdziwie nie wiem, jaka jest organizacja we mnie, że się tak w pewnych epokach ożywia myślami, przepełnia, wylewa, i znów potem jestem jak Turek przez pół roku po wytrzeźwieniu się z opjum — zupełnie zimny i prozaiczny“. — —

Zresztą, jeżeli która władza duszy, to najkapryśniejsza z nich, fantazja, zależy przedewszystkiem od temperamentu i charakteru jednostkowego — a choć nie przestaje podlegać ogólnym prawom przeobrażeń, wydaje jednak tyle różnorodnych modyfikacji, że tylko statystyka bardzo rozległa mogłaby zatrzeć piętno małych liczb na korzyść wielkich.

W tych zawsze *ogólnych* zarysach, o ile one objąć się dają, pozostaje prawdą, że przez lirykę dopiero wznosi się twórczość do dramatu i powieści, a przez dramat powieść zniża się do gawędy;

pozostaje prawdą i to także, że droga do gościńca wiedzy ścisłej prowadzi przez łąki i gaje fantazji, że Pascal jako matematyk i filozof¹⁾, Decandolle jako botanik²⁾, Ampère jako fizyk³⁾, Rousseau jako socjolog i filozof, zaczęli od... pisania *wierszy*.

I nic dziwnego; kto nie pisał wierszy w młodości, nie może być dobrym pisarzem; co więcej, kto w ten sposób nie przejawiał swojej fantazji, gdy był młodzieńcem, ten jej nie znajdzie na starość.

A bez fantazji ani matematyka, ani nauki przyrodnicze, ani nawet filozofja obejść się nie mogą.

Genjusz rozumu jest dzieckiem genjusza fantazji.

Dlaczego? Czyżby rozum sam przez się nie mógł tworzyć rzeczy wielkich?

Bezwątpienia nie.

Wbrew wszelkim teorjom etycznym, które każą rozumowi, jako takiemu, tworzyć czyny i panować nad niemi — jest on do tego najzupełniej, ale to najzupełniej niezdolny. Tylko *uczucia*, tylko *namiętności*, tylko popędy pobudzają człowieka do czynu, nie pojęcia, idee, abstrakcje. Namiętność niskiego rzędu może być pokonana przez namiętność szlachetną, uczucie duchowe może przeważać nad uczuciem zmysłowym, ale nie myśl, jako myśl, nie rozumowanie, jako rozumowanie.

Tem mniej zaś pobudzać może umysł do *twórczości artystycznej* idea, która wstydzi się tego, że jest tylko firmą dla *uczuc*.

Rola idei w życiu jednostki jest równie pozorna, jak rola dyplomacji w życiu narodów. Zdaje nam się, że dyplomaci tworzą wojnę lub pokój, a tymczasem tworzą ją uczucia, potrzeby, skłonności, namiętności mas. Rozum wobec temperamentu, potrzeb i usposobienia jednostki, dyplomacja wobec charakteru, potrzeb i obecnego nastroju narodów, to tylko forma, często blada, bardzo często fałszywa — właściwej treści. Siła czynu nie jest siłą rozumowania; światło, oświecające maszynę, nie jest siłą jej ruchu, chociaż ono dopiero ruch ten widocznym czyni — i nawet słońce nie dlatego porusza ziemię, że ją *oświeca*. A rozum oświeca tylko, nie rozgrzewa, nie pobudza, nie tworzy; — i prędzej senne marzenie wpłynie na postępowanie człowieka, niż chłodne rozumowanie — bo w marzeniu jest składnik żywszy od idei — *uczucie*.

Fantazja jest dlatego twórczą władzą, że w niej treść *wyobrażalną* porządkują uczucia, a nie sama siła zależności logicznych.

¹⁾ Znamięty pisarz francuski XVII w., autor sławnych „Myśli”. — ²⁾ Szwajcar, twórca geografji botanicznej (pierwsza połowa w. XIX). — ³⁾ Matematyk i fizyk francuski pocz. XIX w., odkrywca zasadniczego prawa elektrodynamiki.

I tu właśnie dochodzimy do wyznaczenia nowej cechy, wyróżniającej natchnienie od mniej bujnych stanów ducha. Cechą tą jest: *udział uczuć*.

Stan fantazji, zwany natchnieniem, powstaje wtedy, gdy kolizja lub szybkie po sobie następstwo dwóch uczuć wstrząsną organizmem — gdy nim wstrząsną, nie naruszając jednak równowagi.

Najczęściej skutek ten wywołuje wrażenie przyjemne, uczuciowe, padające na grunt uczuć smutnych. Melancholja prowadziła do apatii, ale wiadomość o powodzeniu, oklaski, pochlebstwa, serdeczne objawy życzliwości dają jej siłę twórczą, której nie stworzą tam, gdzie nie było smutku, gdzie nie było posępnych, samotnych marzeń, cierpienia.

Rzadziej odwrotna kolizja budzi twórczość — gdy mianowicie wśród wesela, powodzenia spokojnego, sympatii, padną na ich grunt wrażenia zawiści, szyderstwa, urągania, ale i wtedy silniejsze duchy zrywają się do lotu, właśnie mocą poczucia kontrastu. Niepowodzenie staje się motorem współzawodnictwa, szlachetnej emulacji, podobnie jak powodzenie — bo i tu, gdzie chodzi o wyjątkowo bujny stan fantazji, tak jak wogóle w twórczości poetyckiej, źródło jej natchnień jest podwójne: zarówno w zadowoleniu z dodatnich form życia, jak i w niezadowoleniu z ujemnych.

Ale mylą się dawni estetycy, dając przewagę tym ostatnim. Myli się jeszcze Deschanel¹⁾, mówiąc, że marzymy *tylko* o tem, czego nie mamy, że „ideał nasz jest *zawsze* dalekim od nas“, bo wszakże poeta, ubóstwiający swą kochankę, głoszący sławę rodzinnej broni po zwycięstwie, wracający do ojczyzny po tułactwie i witany otwartymi ramiony, może równie gorąco zamaryć, równie gorącą pieśń stworzyć, jak wówczas, gdy z serca jego wyrывa się okrzyk zwątpienia, tęsknoty, rozpacz.

Przyznawać przewagę pobudkom negatywnym, mówić, że wyłącznym źródłem poezji jest niezadowolenie z życia, jest to nie znać natury ludzkiej.

To, co przewodniczy wszystkim czynom człowieka, nie nazywa się wstrętem do cierpień, lecz *dążeniem do szczęścia*. Siła ta jest z natury dodatnią, nie ujemną. Odporność negacji jest konsekwencją twierdzenia, nie zaś odwrotnie.

I w sztuce człowiek tworzy dlatego, że znajduje zadowolenie, a potem dopiero pobudza go do twórczości niezadowolenie. Jeśli powiedziałem wyżej, że artysta nie czułby potrzeby do tworzenia

¹⁾ Francuski krytyk literacki w. XIX.

ideałów, gdyby wokoło siebie tylko ideały znajdował — to również należałoby powiedzieć, że nie czułby potrzeby tworzenia ideałów, gdyby żadnych wokoło siebie nie znajdował.

Dopiero dwa te zdania, razem wzięte, objawiają całkowitą prawdę. Tylko więc z zastrzeżeniem możemy uznać słuszność następujących uwag Saint-Marc Girardin'a¹⁾: „Imaginacja kocha to i szuka przedewszystkiem tego, czego niema. Gdy wojna domowa wstrząsa i zakrwawia społeczeństwo, imaginacja chętnie tworzy idylle, głosi pokój i cnotę. Gdy przeciwnie, społeczeństwo uspokaja się i odpoczywa, imaginacja nabiera gustu do zbrodni. Jest ona jak ów kupiec Horacego: „wysławia spokój nadbrzeżny, gdy burza huczy na morzu; kocha się w falach i gromach, gdy okręt wrócił do przystani“.

W tej formie zdanie jest zbyt stanowcze i wolałbym użyć raczej innego zwrotu dla podobnej myśli w duchu tego, co pani George Sand²⁾ powiedziała. *La petite Fadette*, pisana pod tchnieniem strasznych dni czerwcowych 1848, zawiera między innymi taki ustęp: „W czasach, kiedy złe wynika z tego, że ludzie nie znają się i nie nawidzą, powołaniem artysty jest opiewanie łagodności, zaufania, przyjaźni i przypominanie w ten sposób zatwardziałym i zgnębnym, że obyczaje czyste, uczucia tkliwe, że dawna sprawiedliwość są jeszcze lub są jeszcze możliwe na tym świecie“.

Kolizja uczuć, powodująca wyjątkowe podniecenie fantazji, mimo tego, że składniki jej są różnorodne, w wyniku swym *jest zawsze przyjemna*.

I to stanowi dalszą charakterystyczną cechę natchnienia, która jednak może się wydać dziwną, po tem, cośmy wyżej powiedzieli.

Jeśli na tle smutnego usposobienia poety, pod wpływem wrażeń, zadowolniających jego miłość własną, obudzą się uczucia przyjemne, to nic dziwnego, że uczucia te przez kontrast wydadzą się jeszcze silniejszymi, ale jakim sposobem z przeciwnego wypadku może wyniknąć ten sam rezultat?

Otóż tę trudność wyjaśnia nam następująca okoliczność:

Wrażenia przykre, trafiające na usposobienie wesołe, tylko wtedy wywołują natchnienie, jeśli, równie jak poprzednie, działają na miłość własną i jeśli ta miłość, przybierająca tutaj postać wiary w siebie, poczucia talentu, jest dość silna, ażeby nietylko nie ugiąć się pod naciskiem wzruszenia przykrego, ale owszem znaleźć w niem bodziec do energiczniejszego przejawu. A skoro tylko nastąpi podniecenie działalności umysłowej i wprawienie w ruch fantazji, to taki

¹⁾ Francuskiego krytyka literackiego w. XIX. — ²⁾ Sławna powieściopisarka francuska okresu romantycznego.

stan będzie i musi być przyjemnym — bo *każde podniecenie funkcji bez naruszenia ogólnej równowagi rodzi przyjemność*.

Na teito zasadzie ostateczny wynik zmieszania się uczuć przyjemnych z przykreimi, podniecając siły woli i fantazji — staje się źródłem zadowolenia, które artyście nieraz najcięższą dolę osładza. A zadowolenie to wzrasta w miarę szczęśliwego rozwijania się procesu twórczości; tu bowiem poeta znajduje to, czego mu życie dać nie może, znajduje zaspokojenie swoich indywidualnych pragnień estetycznych, wzmocnienie wiary w siebie; co chwila czegoś szuka i co chwila coś znajduje, niespodzianie, często jakby przez błysk jakiś czarodziejski pokonywa przeszkody, ogląda i podziwia nową kombinację, tem więcej, iż czuje, że to jego własny utwór, dziecie jego ducha.

Jest w twórczości poetyckiej rodzaj macierzyńskiego uczucia, tem zrozumialszego, że duch rodzi w rozkoszy, podczas gdy ciało w boleści.

O! anieli czuć nie mogą,
Co ja czuję w tej godzinie!

woła Krasieński — a Deotyma w Sonetach do oblubieńca wypowiada swój zachwyt temi słowy:

O, jakże serce takich godzin czeka!
O, nieba! czemuż tak rzadkie są chwile,
W których natchnienie nawiedza człowieka?

Jest to zresztą uczucie, towarzyszące każdej pracy umysłowej twórczej, szczerzej, swobodnej a gorącej, niezależnie od wartości produkcji.

„Z przyjemności czysto umysłowych, jakie znam, najsilniejszą jest ta, która towarzyszy twórczości literackiej“. „Do najmilszych chwil w mojem życiu liczę te, w których swobodnie i z zapalem rozmyślałem nad nową jaką pracą: chód wtedy stawał się przyspieszonym, czułem, jak mnie coś unosiło lub wstrzymywało nagle, gdy na jaką wątpliwość natrafił; policzki rozgrzewały się, serce biło silniej i wszystkie mięśnie mniej lub więcej wyraźnie pracowały w takt z myślami“¹⁾.

Moore w pamiętnikach swoich o Byronie powiedział, że niema takiego szczęścia na ziemi, któreby się porównać dało z tem uczuciem, jakiego doznaje człowiek w chwili tworzenia nowego pomysłu, że ta kreacja umysłowa jest najwyższym szczyblem rozkoszy inte-

¹⁾ Z dziennika psychologa przez J. Ochorowicza, Warszawa 1876, str. 222 (p. a.).

lektualnej, rozkoszy prawdziwie boskiej. Rodzi tę rozkosz natchnienie, będące samo przez się najwyższym uczuciem w człowieku¹⁾.

Ale nie na tem koniec właściwości natchnienia. Sięgnąwszy nieco głębiej, znajdziemy nową cechę, która nadto ułatwi nam zrozumienie poprzednich. Tą cechą jest udział *skojarzeń bezwiednych*. One to tłumaczą nam w znacznej części mimowolność natchnienia, czyli jego niezależność od woli, a natomiast tak wielką zależność od niedostrzegalnych wpływów miejsca i czasu i od utajonego wpływu uczuć.

Rozebrawszy składniki natchnienia, możemy nawet wprost powiedzieć, że bez udziału wyobrażeń bezwiednych byłoby ono niemożliwym.

Każde wyobrażenie, ażeby być świadomem, potrzebuje na to pewnego czasu, i wrażenia, zbyt szybko po sobie następujące, nie mogą wytworzyć odrębnych wyobrażeń świadomych — a tak samo jak przy tworzeniu, tak i przy odtwarzaniu się wyobrażeń, jeżeli szeregi ich przebiegają zbyt szybko, wyobrażenia słabsze, bledsze zacierają się wzajemnie, a natomiast te, które są silniejsze (wskutek ożywienia ich przez odpowiednie wrażenia) występują jaśniej i wyraziściej.

Już to wogóle, jak np. przy objawach *uwagi*, jeżeli czynność umysłowa potęguje się w jednym kierunku, to musi słabnąć w drugim, ponieważ czynność fizjologiczna podniecona opanowuje cały mózg, nie dopuszczając innych, obcych, budzących się czynności do zupełnego przejawu. Tu zaś mamy właśnie taki przypadek, że wyobrażenia przepływają szybciej (stąd ich *ulotność*) i zarazem występują silniej (stąd ich *wyrazistość*, niekiedy dochodząca do halucynacji). Jeżeli zaś wyobrażenia przepływają szybciej i pewna ich liczba jest spotęgowaną — to tem samem dla innych nie pozostanie dość czasu, ażeby się stały świadomymi i te pozostaną bezwiedne.

Symbolicznie możemy to sobie tak przedstawić:

Przypuśćmy, że w spokojnym stanie pewnego umysłu przepływają przezeń głównie dwa łańcuchy skojarzeń, z których jeden przedstawimy sobie literami, drugi liczbami. Gdyby ten przebieg pozostał normalny, t. j. gdyby na każde wyobrażenie mógł być czas odpowiedni, to łańcuchy te przedstawiłyby się w tej formie:

A, B, C, D, E, F, G, H, I, K i t. d.
1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10 i t. d.

¹⁾ Libelt. Estetyka. Petersburg 1854. Tom I, str. 28 (p. a.).

Tymczasem wskutek tego, że fantazja jest podniecona (przez uczucia i wrażenia uczuciowe), łańcuch ten przepływa szybciej. Teoretycznie mógłby być wówczas taki skutek, że *wszystkie* wyobrażenia przepływałyby szybciej, a tem samem, posiadając mniej czasu, byłyby też wszystkie zarówno mniej jasne. Lecz praktycznie taki wypadek jest niemożliwy, ponieważ szybszy ruch ma miejsce tylko przy podnieceniu fantazji, podniecenie zaś jest możliwe tylko przy współdziałaniu wrażeń uczuciowych, a wrażenia uczuciowe nie mogą dotyczyć odrazu wszystkich wyobrażeń, dążących do reprodukcji, lecz tylko pewnej ich części. Poecie przypomina się salon, w którym poznał kochankę, i to wspomnienie rozrzuca go; obraz kochanki staje jasno przed oczyma duszy, niemal słyszy jej słowa, czuje dotknięcie ręki — a tymczasem skojarzone z temi wyobrażeniami na zasadzie współczesności wyobrażenia mnóstwa innych osób i ich rozmów, chociaż wdzierają się do świadomości przez związek mechaniczny, ale są odtrącane i schodzą na plan drugi, trzeci i t. d.

Wskutek więc wpływu uczuć i podniecenia fantazji, łańcuchy wyobrażeń przedstawiają się tak:

A, b, c, D, e, F, G, h, i, K i t. d.
1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10 i t. d.,

to znaczy, że, o ile wyobrażenia, będące w związku z wrażeniami uczuciowymi i uczuciami, zyskują na jasności, o tyle reszta straci; a jeśli ta strata będzie znaczniejsza, wówczas wyobrażenia przejściowe staną się bezwiednymi, czyli dla świadomości będą równe zeru:

A . . . D . F, G . . . K
. 2, 3 . 5 . . 8, 9 .

W ten tylko sposób fantazja może tworzyć *nowe* zestawienia, nowe kombinacje i to nam objaśnia zarówno oryginalność jej produkcji, jak i wrażenie *niespodzianki* dla poety, który, nie mogąc odczuć tajemniczych ogniw barwistego łańcucha swoich marzeń, przypisuje ich treść natchnieniu z zewnątrz, promieniowi światła, spadającego z nieba.

„Prawdziwy poeta, mówi Maudsley¹⁾, ma świadomość tylko wyrazów — myśli zaś z tajemniczej głębi wypływają“. Ale zdanie to jest słusznem tylko w części. Nie można rozdzielać w ten sposób myśli i wyrazów; zarówno bowiem jedne, jak drugie, mogą być świadome lub bezwiedne. To tylko jest pewnem, że w chwili twór-

¹⁾ Psycholog angielski drugiej połowy w. XIX.

czego natchnienia *A* może się znaleźć niespodzianie obok *D* i czy to będzie wyraz czy obraz, poeta uczuje jego nowość, jego niespodziewaność, ponieważ ogniów przejściowych: *b*, *c*, czuć nie może.

A tymczasem, ponieważ w całym tym mechanizmie, zamiast pospolitych sprężyn powszedniego życia i towarzyskich, powierzchownych nałogów, występują siły głębsze, bo na przyrodzonych prawach natury ludzkiej, na całożyciowym doświadczeniu oparte, a poczuciem ideału rozbudzone, od wszelkich konwencjonalnych formułek wolne, nic więc dziwnego, że takimi siłami kierowana myśl poety tworzy rzeczy wielkie, wzniosłe, głębokie.

„Tak w życiu, jak w sztuce, mówi Libelt, to właśnie jest najwznioślejsze i najpotężniejsze, o czym człowiek w chwili działania i tworzenia *nie wie*. Ktoby chciał wielkość, wzniosłość lub piękność stworzyć, nie stworzy jej, bo ona się sama tworzy“. A na innym miejscu dodaje: „Czem w przyrodzeniu jest działanie praw natury, w zwierzętach działanie instynktowe, tem w sztukmistrzu¹⁾ jest działanie genjusza: samotwórczością, bez poprzedniej wiedzy i woli“. Te bowiem wyobrażenia, które pozostają bezwiednymi, dla świadomości tylko nie istnieją, w gruncie zaś rzeczy nietylko istnieją, ale nawet najczynniejszą w twórczości rolę odgrywają. W kombinacji *G*, *h*, *i*, *K*, — *K* nie byłoby przyszło do świadomości, gdyby nie *h*, *i*, które je, kosztem własnej indywidualności do bytu powołały, sprawiając, że po *G* nastąpiło *K*, nie zaś *A* lub *F* — że więc mimo nowości kombinacji nie przewrócono porządku zjawisk.

Nie należy też zapominać, że o olbrzymiej większości naszych czynów stanowią czynniki bezwiedne. Przejawy świadomości są tylko drobnymi gwiazdkami, rozsypanymi na ciemnym tle nocy, owo zaś tło bezwiedne jest niezbędną podstawą dla przejawów świadomości — one na niej dopiero wyosobnić się i rozwinąć mogą. Mechanizm dziedziczny, nałogi, przyzwyczajenia i wprawy nabyte, mimowolne utajone asocjacje, niedostrzegalnie drobne, lecz ciągle czynne wrażenia — owe *perceptions imperceptibles* Leibniza²⁾ — wszystko to było już i działało tam, gdzie się zaczęły przejawiać wyższe stopnie świadomości — a genjusz tkwi właśnie nie w tem, co człowiek jasną, lecz mozolną drogą rozumowania zdobędzie, ale w tem, co ów ciemny mechanizm drogą intuicji do świadomych kombinacji dorzuci.

„Szekspir — mówi Carlyle³⁾ — jest tem, cobym mógł nazwać

¹⁾ T. j. w artyście. — ²⁾ „Postrzeżenia niepostrzegalne“; Leibniz, wybitny filozof niemiecki w. XVII. — ³⁾ W sławnej książce „Bohaterowie. Cześć bohaterów i pierwiastek bohaterstwa w historii“ (przekład polski, 1892).

bezwiednym rozumem, mieści się w nim bowiem nierównie więcej dobrego, aniżeli się sam spodziewał. Jego dramaty są produktami natury, tak głębokimi, jak ona. Jest to najwyższą nagrodą przyrody dla prostej, prawdziwej, wielkiej duszy, że sama ona jest częścią tej przyrody. Dzieła takiego człowieka, chociażby nie wiem ile świadomą, przemyślaną pracą osiągnął, wyrastają w nim bezwiednie z nieznannej głębi, jak wyrasta dąb z głębi ziemi, jak samowolnie góry i wody powstają“.

Wspomniałem już, że wyobrażenia, które w podniosłym stanie umysłu kosztem innych dochodzą do świadomości, są wyjątkowo jasne i *wyraziste*. A są to bardzo często te wyobrażenia, które w stanie normalnym rzadko dochodziły do świadomości, ponieważ były tłumione przez inne, obce im, a dla nas w codziennym życiu ważniejsze pobudki.

Tak np. typy ludzi, z którymi żyjemy, ich przyzwyczajenia, gesty, brzmienie głosu i t. p. cechy, wszystko to wskutek częstości powtarzania i podrzędnego znaczenia dla naszych stosunków życiowych bywa prześlepiane lub zapomniane; tymczasem w chwili twórczego podniecenia myśli, u powieściopisarza, w chwili, kiedy umysł nie jest zasypywany codziennymi wrażeniami — szczegóły te budzą się do życia i nieraz autor bezwiednie odtwarza typy znajome albo też kombinuje jeden z drugim, nie spostrzegając, że materiał do tego bierze z własnego, machinalnego doświadczenia.

W chwili natchnienia, podobnie jak w marzeniu sennem, budzą się wyraziście najbardziej typowe cechy charakterów, i powieściopisarz lub dramaturg daje nam obrazy głęboko, prawdziwie psychologiczne — chociażby o psychologii, o prawach, rządzących uczuciami i charakterami, najmniejszego w świadomości swej nie miał pojęcia.

Tę właściwość fantazji w marzeniu ściśle twórczem, zarówno jak i w marzeniu sennem, bezładnem, trafnie maluje Jan Paweł Richter¹⁾ w przypisku do jednego ze swoich listów *O marzeniach*:

„Sen jest mimowolną twórczością poetycką i świadczy o tem, że poeta cielesnym swym mózgiem więcej pracuje, niż człowiek pospolity. Dlaczego nikt się dotychczas nie dziwi temu, że w owych *scènes détachées*²⁾ marzenia sennego, jak Szekspir jaki, nadaje osobom, o których marzy, najwłaściwszą im mowę, najwyrazistsze charakterystyczne dla nich wyrazy i zwroty, albo raczej, że one mu te swoje właściwości poddają? Podobnie prawdziwy poeta i przy

¹⁾ Pisarz niemiecki okresu romantycznego. — ²⁾ Luźne sceny.

pisaniu jest słuchaczem, nie zaś nauczycielem języka swoich bohaterów, to znaczy, że nie on układa ich mowy na podstawie pracowicie wyuczonych stylistyki ludzkich charakterów, lecz tylko przysłuchuje się im, przygląda się im żywo, podobnie jak we śnie, i wówczas słyszy je. Spostrzeżenie Victora¹⁾, że wymarzony przeciwnik czynił mu często cięższe zarzuty, niż krytyk prawdziwy, potwierdzają obserwacje dramaturgów, którzy przed natchnieniem w żaden sposób nie mogliby być suflerami trupy swoich bohaterów, podczas gdy w natchnieniu tak łatwo stają się autorami ich roli. Że figury snów naszych nieraz zadziwiają nas swymi odpowiedziami, chociaż sami je im nadajemy — jest rzeczą naturalną; i na jawie myśli, które niby wysileniem umysłowym sprowadzamy, wyskakują nagle, jak iskry; lecz we śnie brak nam świadomości tego wysiłku, musimy więc tę myśl wraz z wysiłkiem przypisać wymarzonej postaci²⁾.

Wyrazistość wyobrażeń w procesie natchnienia staje się nieraz tak wielką, że przechodzi formalnie w halucynację. Autor poprostu widzi przed sobą osoby, których akcję opisuje, słyszy ich głosy, czuje dotknięcie, jakby na jawie. Halucynacje są wogóle bardzo wspólne u ludzi z wyższą fantazją³⁾; zachodzi jednak pewna różnica pomiędzy halucynacją chorobliwą a artystyczną; ta ostatnia nie jest nigdy tak silną, uporczywą i narzucającą się, jak pierwsza, a przytem jako podniecenie fantazji, nie przechodzące granic równowagi, nie jest nigdy przykrą, lecz owszem, przyjemną.

Gustaw Flaubert tak się wyraża w liście do Taine'a: „Nie bierz pan za jedno wewnętrzne widzenia artysty z widzeniem człowieka, który naprawdę halucynacji podlega. Znam doskonale oba te stany — między nimi leży przepaść. We właściwej halucynacji doznajemy zawsze strachu, czujemy, że osobistość nasza wymyka się nam, zdaje nam się, że zamieramy; w widzeniu poetycznym przeciwnie, doznajemy radości, coś jakby w nas wchodziło; ale i to prawda, że nie wiemy, gdzie się znajdujemy. Częstokroć widzenie powstaje powoli, cząstka po cząstce, jak różne części ustawianej dekoracji; ale często też jest ono nagle, ulotne, jak halucynacje senne. Przemyka ci się przed oczyma coś, co powinienesz rącho pochwycić⁴⁾”.

Wyrazistość obrazów fantazji wzrasta wraz ze stopniem jej pod-

¹⁾ Zapewne bohatera pocytywnej naówczas powieści „L'enfant de la forêt”. —

²⁾ Patrz w tym względzie dzieła Griesingera, Lélut, Brière de Boissmont, Taine'a, Szatkowskiego, Szokalskiego i t. p. — Ustęp Griesingera cytowany jest u Chmielowskiego: „Geneza fantazji”, str. 50 (p. a.). — ³⁾ Taine, *De l'intelligence*, I. 471 (p. a.). Gustaw Flaubert — znakomity powieściopisarz francuski XIX w.

niecenia, ale jednocześnie też coraz bardziej zatracą się między nimi związki logiczne, i poeta tworzy koncepcje szalone, chaotyczne, przerażające wrażliwych czytelników, a dla mniej wrażliwych niedostępne. Tu dopiero genjusz przechodzi prawdziwą próbę ognia. Nadmierna bujność i wyrazistość obrazów stanie się tylko nierozsądną i śmieszną — albo też mimo całego rozkiełznania fantazji poety zdoła utrzymać się w granicach toru poetyckiego, budząc uczucie grozy, wzniosłości, ogromu, przerażenia, potęgi.

Taką cechę noszą na sobie najszałeńsze i najmniej zrozumiałe strofy Słowackiego. Oto przykład:

Wtenczas tę walkę we mnie Bóg wnatrzył;
 We mnie krzyk, we mnie blask i mieczów rznięcie,
 We mnie się obłok zakrwawiony kurzył,
 We mnie szło z pola trupów ducha wzięcie...
 A jam zacierpiał jak szatan — i stchórzył,
 W iskrze duchowej niby w diamencie
 Mając boleści różnych tajemnice,
 Kolory, krzyki, jęki, błyskawice.

.....
 Na moim sercu, jak na złotej tarczy
 Sto dzid się łamie i sto mieczów kruszy,
 I sto utkwionych strzał boleśnie warczy,
 I sto aniołów upada bez duszy,
 Myśląc, że serce za wszystko wystarczy,
 Wszystko uzbroi sobą — wszystko wzruszy.
 A ja co? Anioł na dnie mgieł czerwonych,
 Pan niewidzialnych duchów — brat szalonych...

.....
 Znowu stchórzony, i sam — a już nisko,
 Uczulem, że się w czemś zwiniełem płacę,
 Że oczom moim ciemno — nogom ślisko,
 A do ucieczki ciągną chęci ręce.
 Wszedłem na jakieś straszne widowisko,
 Gdzie trupie resztki, druciane opończe
 Nadeptał mój duch i przejął się trwogą,
 Czując, że własne kości ruszył nogą.

(Król Duch).

Mimo niejasności myśli, mimo tylu dzikich niemożliwości, mimo całego szalu, jaki w tych i wielu innych ustępach majaczy — jest w tem majaczeniu taka wyrazistość obrazów, taka potęga słowa, że nikomu nie przyjdzie na myśl szydzić z tych genialnych niedorzeczności i choć może wolelibyśmy, żeby Słowacki był usłuchał rady Krasińskiego, który mu pisał: „Granit rzuć pod twoje tęcze” —

niemniej jednak nawet w tej aberacji poetyckiej, nawet w tych halucynacjach, musimy uczcić potężnego ducha, którego język

z słonecznej miłości był wzięty,
 Nią złoty... gdy się zniżał, malowany —
 Lecz cały wielki, otwarty, natchnięty,
 I nie mówiony, lecz z ducha błyskany.

A gdybyśmy się zapytali, skąd ten urok, nawet w niedorzecznych wybuchach fantazji, to i na to sam poeta dałby nam najlepszą odpowiedź. On nas porywa mimo swego szału, ponieważ pod tą wyrazistością halunacyjną,

pod tym grzmiotem, pod temi kolory
 Jest dziwna, smętna praca; bo to nie to,
 Że różne z myśli leją się upiory,
 Że z pełną jestem wymyśleń kaletą:
 Ale wierzajcie... żem rymu podpory
 Podłożył sercem — a to moje veto
 Przeciw fałszowi; gdy je duch mój rzuca,
 To więcej mnie to kosztuje — niż pluca...

(Beniowski).

Ten ostatni wiersz naprowadza nam na myśl ostatnią i zarazem bardzo smutną właściwość natchnienia.

Twórczość poetycka, będąca życiem dla duszy poety, bywa często śmiertelnym wrogiem jego ciała. Wytężona praca fantazji, w której „rymu podpory podłożone są sercem“, w której artysta czynny jest nie piórem, pendzlem lub dłotem, ale całą siłą wrażliwej swej i miękkiej natury, całym życiem, całą duszą — twórczość taka, zwłaszcza jeśli jej towarzyszą zbyt częste chwile szału, chwile, w których huraganowi uczuć sprzecznych, walce idei, marzeń i rzeczywistości, pozwala przejść przez swoje serce, kiedy w duszę swą przejmują „krzyk i blask i mieczów rznięcie“, „kolory, jęki i błyskawice“, to pamięć takich przejść i przelewanie ich na papier

Niweczy ciało gorzej niżli praca,
 Niż nędza, która wnętrzości wyjada,
 Niż przyjaźń, która zdradą się odplaca.

Tu już nie obojętne idee, ale wzruszenia i namiętności wchodzą w grę i cały organizm przetrawiają, szarpiają, rozstrajają i wycieńczają nadmierną twórczością:

Im człowiek silniej wznieca ducha płomień,
 Tem się w nim prędzej spali drzewo życia.

Wszystko musi być zrównoważone na świecie. Najwyższe zadowolenia najdrożej też opłacać trzeba.

Artyści są to najrozrzutniejsi ludzie pod słońcem; choćby najwięcej wzięli, jeszcze więcej dają — a to „więcej“, złożone z najlepszych sił ciała i duszy, z promieni ideału i z krwi serdecznej, jeśli ożywia tłumy — jakże często zabija jednostki! — —

BOLESŁAW PRUS (1847—1912).

1. Z Kronik tygodniowych.

a) Rzut oka na Ujazdów¹⁾.

Od czasu jak jeden z moich przyjaciół został mianowany doktorem filozofji... pływania po piasku, przekonałem się, że najznakomitszą humorystką jest samo życie i że dla skromnego oficjalisty z *Kurjera* celem marzeń powinno być tylko: dokładne kopjowanie życia. Z tego powodu w tem, co powiem niżej, znajdziecie tylko fotografie rzeczy widzianych, ani zaś słówka przesady lub własnego konceptu.

Ludowe igrzyska znane już były starożytnej Grecji. Odbywały się one pod odkrytem, wiecznie lazurowym niebem, na ziemi prawdopodobnie suchej, wśród róż, cyprysów, laurów, dębów i drzew oliwnych. Podczas uroczystości tych świętowała cała Grecja i z całej też Grecji zbiegał się na nie lud w najlepsze swoje szaty ubrany. Lud ten niełatwo było zabawić, a trudniej jeszcze zachwycić. Na każdej ulicy miasta spotykał on posągi boskiej piękności, rzeźbione dłotem Fidjaszów. Świątynie, senat, a nawet domy prywatne wznosili genialni architekci, których napróżno chcieliby naśladować a nawet zrozumieć dzisiejsi budowniczowie pierwszej i drugiej klasy. W teatrach widywał lud tragedje Sofoklesa lub komedje Arystofanesa, które na wieki budzić będą podziw miłośników sztuki scenicznej. Na rynkach słuchał filozofów, od których uczą się filozofowie dzisiejsi, albo mówców, których ognista wymowa popychała go do zwycięstw.

Otóż i ten lud miewał swoje zabawy, a nawet zapalał się niemi. Co kilka lat, wśród stutysięcznego tłumu, młodzież i dziewice greckie popisywały się zręcznością i siłą. Jedni rzucali olbrzymie metalowe kręgi ub trafiali włóczniami do celu. Inni ścigali się pieszo lub konno. Atleci z różnych krańców Grecji wywalczali pierwszeń-

¹⁾ *Kurjer Warszawski* z 3 kwietnia 1877 r. — W owych czasach na polu Ujazdówkiem w Warszawie (gdzie dziś park) urządzano co Wielkanoc zabawy ludowe.

stwo dla swych rodzinnych miast, powalając na ziemię przeciwników, przed którymi lwy uciekały. Jeszcze inni, przy odgłosie harf, improwizowali pieśni na cześć bohaterów i przypominali Grecji jej wielkość. Zwycięzca otrzymywał w nagrodę oklask zgromadzonego ludu i wieniec laurowy, a imię jego, choć nie wydrukowane w żadnym piśmie perjodycznym, od pokolenia do pokolenia przechodziło.

Na Ujazdowie niema dębów, ani drzew oliwnych, ani laurów; jest tylko trawka, na którą się nawet kozy nie łakomią, jest lud ubrany w świąteczne szaty, a nad nim niebo, które dla rozmaitości sypie śnieżek lub spłókuje go deszczukiem.

Zamiast dwukołowych wozów toczą się dorożki i żółte omnibusy za cenę umiarkowaną. Błoto na drodze jest tak gęste, jak krem w dziesięciogroszowych ciastkach.

W alejach Ujazdowskich widzimy wilgotną ławeczkę, a na niej parę małżonków: dwudziestoletniego męża i pięćdziesięcioletnią żonę. Pocciwcy ci idą zdaleka, zapewne z Pragi; chcąc zatem nadwątlone siły pokrzepić i przygotować duszę do uszlachetniających wrażeń, rozwiązują czerwoną chustkę i jedzą ukrytą w niej babę tudzież kielbasę. Najadłszy się, jak tego uroczystość chwili wymagała, mąż uciera nos w jeden róg chustki, żona w drugi, poczem, zawiązawszy starannie wszystkie cztery rogi, idą na plac z resztą kielbasy.

O kilkadziesiąt kroków dalej trzy osoby płci męskiej i dwie żeńskiej siedzą na murawie, narażając się tym sposobem na jedną z tysięcy chorób, które jutro mogą ich nazwiska na szpitalnej liście zamieścić. Ponieważ zaś w tej chwili zaczyna znowu padać śnieg, zabierają się więc z powrotem do domu, nieciekawi nawet tego, co się na placu igrzysk dzieje.

W tem miejscu słyhać już łoskot, przypominający pobijanie beczek: to liczne orkiestry regulują klepki w głowach warszawskiemu ludowi.

Jeszcze dalej, tuż obok straganu z wodą sodową, pomarańczami „fałszowanemi zapomocą krwi“ i mnóstwem innych rzeczy smacznych, widzimy grupę, złożoną z kilku osób. Ojciec w cylindrze przytrzymuje główkę kilkuletniemu cherubinkowi w kurteczce... Biedny mały, padł ofiarą zimnego mięsa, ciast i... huśtawki.

Na placu igrzysk znajdujemy hojnie rozrzucone dzieła z zakresu wszystkich sztuk pięknych. Obrzydłe piwiarnie i hecarnie, sklecone z kilkunastu tarcic, paru łokci płótna i odrobiny powrozów, reprezentują architekturę. Szylidy z mówiącą głową, — z pewną liczbą błaznów, wyginających się na drabinach i drągach, a wreszcie — obraz Turka z karabinem, który chce zabić Turka z pałaszem, —

reprezentują malarstwo. Wypchany paw, tudzież żółte konie, czerwone lwy i kozy, tak odrapane, że aż się słabo robi, reprezentują karuzelową rzeźbę; kałarynki zaś, co pięć kroków grający inny taniec, wrzaskliwe trąby, klarnety i bębny, przy akompaniamencie szmeru tłumów i trzasku policzków, które sobie wymierzają szopowi artyści, — stanowią muzykę. Serce i umysł mają co używać i w czem wybierać!

Na dworze jest chłód listopadowy, mimo to widzimy amatorów, jedzących bardzo popularne lody. Kto zaś chce się rozgrzać albo posilić, ten idzie do budy, gdzie sprzedają piwo, herbatę, a nawet coś do jedzenia, wszystko w gatunku przednim.

Dla zamącenia doreszty już i tak dość słabych inteligencji obywatelskich pobudowano: karuzele, młyny djabelskie i huśtawki. Pierwsze w kierunku płaszczyzny poziomej, a drugie i trzecie w kierunku pionowej, przyprawiają amatorów o nudności, po kilka groszy za porcję.

Są tu jeszcze: dwie panoramy stałe, jedna panorameczka przenośna, gabinet figur woskowych i teatry ludowe. W jednym z nich tańczą dość zabawne marjonetki, a magik, nazwany „młodym Pinetim“, popisuje się zręcznością. Młodzieniec ten, rumiany i tego zbudowany, wygląda w swoim czarnym fraku, jakby go psu z gardła wyciągnęło; jest jednak dość wymowny i szczególniej biegły w sztuce tasowania kart.

W największym teatrzyku przedstawia się coś z gimnastyki i „Zampa rozbójnik“ z tragedji¹⁾. Publiczność, złożona z rzemieślników, sług, żołnierzy i uczniów gimnazjum, chętnie bije brawo młodziutkim artystom, którzy prezentują się tak, jakby tylko popasali na Ujazdowie w drodze z ochrony do osad rolnych. Biedacy ci okazują dość pospolite sztuki gimnastyczne; jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę to, iż przedstawienie odbywa się co pół godziny, pojmujemy łatwo, że każdy z malców owych, wieszając się na trapezie albo tylko wywracając kozły, naraża się na śmierć, a przynajmniej na złamanie nogi lub ręki.

Podróżnicy dziwy opowiadają o muzyce i teatrach chińskich. Co do mnie, po przepędzeniu małej godzinki w naszych teatrzykach ludowych, doszedłem do wniosku, że my przynajmniej nie mamy czego Chińczykom zazdrościć. Muzyka złożona z trąb i klarnetów jest rzeczywiście straszna; artyści wogóle dobrzy, — po twarzach ich jednak i rękach łatwo poznać, że deszcz spłókał nie tylko ubra-

¹⁾ Właściwie była to w swoim czasie popularna opera komiczna, której libretto bohaterem legendarny rozbójnik neapolitański, rodzaj Rinaldiniego.

nia i wino, ale nawet mydło ze słupów¹⁾. Warszawa dlatego przez te parę dni wyglądała czyściej, że biedacy ci wyjechali na Ujazdów.

W Niemczech każdy zwykły śmiertelnik pokazałby prawie te same sztuki gimnastyczne, które my podziwiamy. W Czechach kilku pierwszych lepszych oberwańców utworzyłoby nieskończenie lepszą orkiestrę od tej, która nam uszy rozdziera. Włoch lub pełen smaku robotnik paryski nie spojrzalby bez obrzydzenia na malowidła, które nas zachwycają. W Anglii znowu i Ameryce każdy człowiek od urodzenia do śmierci waży się co roku; u nas „waga osobowa“ stanowi zabawkę równie kosztowną i bezmyślną jak inne.

A z jakichże to drobnych, mizernych i jakby schorowanych ludzi składa się ten tłum wielotysięczny! Żołnierze, przesuający się między nimi, wyglądają jak najedzone Herkulesy przy zgłodniałych Pigmejczykach. Majątkowy zaś stan zebranej tu publiczności określa się tem najlepiej, że nic tu jakoś o kradzieżach nie słyhać. Jaki taki może i sięgnie ręką do cudzej kieszeni, lecz zapewne wnet ją cofa, przekonawszy się, że jest nietylko pusta, ale nawet dziurawa.

Bywały i w Grecji igrzyska ludowe, ale chyba nie takie jak u nas. To też z pośród mas gromadzących się na nie wyrastali: Solony, Likurgi, Leonidasy, Sokratesy, Peryklesy i cała armja ludzi, którzy dziś widać są już zbyt liczni dla świata. Co do mnie chciałbym być przynajmniej ślepym jak Homer. Nie widziałbym wówczas ani tego nieba, które nas darzy śniegiem, ani błota, w którym lgniemy po kostki, ani tych ludzi, którzy wznoszą się nad tłum tylko dzięki huśtawkom i słupom i w nagrodę swych zasług zamiast laurowego wieńca — otrzymują stare spodnie.

Kto zatem chce, niech się cieszy igrzyskami ludowymi na Ujazdowie.

b) Wieża paryska²⁾.

Wiadomo, że w roku 1889 ma odbyć się wystawa powszechna w Paryżu. Celem zaś zwabienia największej liczby widzów, których już przestały zaciekawiać zwykłe wystawy, Francuzi wymyślili szczególnego rodzaju przynętę, mianowicie wieżę — aż na 300 metrów wysoką.

Wieża będzie zbudowana ze sztab żelaznych w taki mniej więcej sposób, jak kratowe mosty na Wiśle. Będzie też najwyższym budynkiem, jaki kiedykolwiek dźwignęła ludzka ręka. Cud świata —

¹⁾ Mowa o słupach, posmarowanych mydłem, mającym utrudnić wdrapanie się na ich szczyt, gdzie szczęśliwy współzawodnik znajdował tłumoczek z ubraniem i butelką wina. — ²⁾ *Kurjer Warszawski* z dn. 28 lutego 1887 r.

olbrzymie piramidy egipskie wyglądać mają obok niej jak stado cieląt obok słonia.

Dosyć powiedzieć, że gdyby owa wieża, po wybudowaniu jej w Paryżu, przewróciła się w Warszawie, zajęłaby prawie całą długość Saskiego Placu od ulicy Wierzbowej do Królewskiej, a może i dalej.

Dbając o zadowolenie czytelników redakcja uprosiła swego naczelnego korespondenta w Paryżu, ażeby nadesłał bliższe szczegóły, dotyczące 300-metrowej wieży. Wieży jeszcze niema, nawet fundamentów pod nią nie wykopano i wogóle napewno niewiadomo, czy kiedykolwiek będzie na świecie. Niemniej jednak nasz naczelnny korespondent rozesłał swoich oficjalistów po całym Paryżu, z surowym rozkazem, ażeby 300-metrową wieżę koniecznie znaleźli, a przynajmniej ażeby dokładnie opisali wszystko, co z niej widać.

No, i wieża znalazła się; jeden z naszych reporterów był na niej i oto co zobaczył.

Jest nas trzech na szczycie: ja, naczelnny architekt i wartownik uzbrojony w potężną lunetę, przez którą widać nietylko cały glob ziemski, ale jeszcze wszystko to, co się na nim działo i dźwignąć może.

Zaiste, obszerny widnokrąg do obserwacji. Na zachód pienia się z głuchym szumem fale Atlantyku, na południe błyszczą spokojne zwierciadło morza Śródziemnego, a za niem czernieją wybrzeża Afryki, wreszcie od północy i wschodu rozciąga się europejski półwysep, przyrośnięty do Azji jak olbrzymia huba do dębu.

Wicher dmie wściekły i w różne strony chwieje wierzchołkiem 300-metrowej wieży. To przypomina mi owe szczęśliwe lata, kiedy w parku łażeniowskim wdrapywałem się na szczyty drzew wybierać młode wrony.

Ponieważ było bardzo zimno, skosztowaliśmy więc (z naczelnym architektem) po kropelce konjaku.

— Co pan tu robisz? — zapytałem patrzącego w lunetę wartownika.

— Śledzę, czy Niemcy nie przekraczają francuskiej granicy — odparł wartownik.

Prosiłem go, ażeby mi pozwolił popatrzeć w czarodziejską lunetę. Wartownik obrzucił mnie groźnym spojrzeniem i odpowiedział, że — jako czuwający nad bezpieczeństwem kraju, jako pojmujący swoje obowiązki żołnierz i obywatel, wreszcie jako człowiek honorowy, za żadne skarby świata uczynić tego nie może. Musieliśmy aż dwa razy przepić do niego konjakiem i jeszcze ofiarować mu niezaczętą butelkę, zanim o tyle się udobruchał, że, stłumiwszy donośny głos obowiązku, pozwolił mi używać lunety w sposób, jaki mi się podoba, byłem jej tylko nie połknął.

Wicher jeszcze mocniej zakolysał szczytem wieży, a nam zrobiło się zimno. Skosztowaliśmy więc po odrobinie konjaku: ja, architekt i wartownik. Architekt zamyślił się, wartownik jednym okiem patrzył w niebo, drugim w ocean Atlantycki, a mnie — ogarnęła wielka rzewność.

— Pokaż-że mi pan moich ukochanych ziomeków, kiedy już mamy taką cudowną lunetę — rzekłem do architekta.

Nastawił szkła i skierował czarodziejskie narzędzie na plac wystawy.

Zobaczyłem tam trzy pracujące grupy ludzi: 100 Francuzów, 100 Niemców i 100 nadwiślańczyków. Każda z tych grup miała wzniesć osobny budynek z dużych brył ciosowych, za których ustawienie płacono im franka od sztuki.

Niemcy i Francuzi natychmiast wybrali sobie po pięciu dyrektorów i wzięli się do roboty. Polacy, z początku wszyscy chcieli być dyrektorami, o co nawet pobili się i rozbiegli. Dopiero, gdy im głód dokuczył, zeszli się znowu i, zapytawszy o radę Francuzów, Niemców, przechodniów lub gapiów, wybrali sobie dyrektorów ledwie wówczas, gdy pod francuskim i niemieckim budynkiem już stały fundamenty.

Ułożono się też o system wynagradzania.

W grupie francuskiej i niemieckiej każde 100 franków zarobionych dzielono w następujący sposób:

Na utrzymanie dyrekcji szło 25 fr., na oszczędność 25 fr., a pozostałe 50 fr. dzielono między wszystkich — po 25 centymów na osobę.

W grupie polskiej również płacono po 25 cent. jednej osobie. Ta jednak była oryginalność, że dyrektorowie brali 50 fr., a na oszczędność nie odkładano nic.

Pracowano też bardzo rozmaicie w tych grupach. Mocne i flegmatyczne Niemcy przenosiły odrazu po 12 kamieni, robiąc na godzinę pięć obrotów. Drobni, ale ruchliwi Francuzi dźwigali tylko po 6 kamieni, ale robili na godzinę po dziesięć obrotów. Polacy zaś, wygłodzeni przez poprzednią awanturę, nosili tylko po 8 kamieni i robili po sześć obrotów na godzinę.

W końcu 10-ciu godzin interes tak się przedstawiał:

Każdy Francuz i Niemiec zarobił po 3 franki; prócz tego każdy dyrektor dostał 30 franków i na każdą grupę przypadało po 150 fr. oszczędności. Polacy zaś zarobili na osobę po 2 fr. 40 cent., a oszczędności nie mieli żadnych, ale ich dyrektorzy otrzymali po 46 fr. na osobę.

W czasie wypoczynku, Niemcy za oszczędzone pieniądze kupili grochowych kiszek, beczkę piwa i nasycili się tak, że każdemu z nich przybyło po pięć funtów wagi. Francuzi wypili wina, zaką-

sili czekoladą i sprowadzili sobie teatr, który mocno podtrzymywał wrodzoną żywość ich ducha. Polacy zaś niebardzo syci poszli spać, ale za to dyrektorowie ich wyprawili sobie bal polski, który podziwiano w całym Paryżu.

Na drugi dzień jeden z dyrektorów francuskich, wracając z maskarady, wpadł na myśl zbudowania maszyny, która zastępowała pracę 100 ludzi. Współcześnie pięciu dyrektorów niemieckich, przestudjowawszy Euklidesa i Archimedesesa, wysmażyli plan maszyny, która zastępowała pracę 90 ludzi. Ale dyrektorowie polscy, zmęczeni tańcem, spali coś do południa i dopiero ku wieczorowi jeden z nich wynalazł nową figurę mazura, a drugi bardzo misterne łóżko składane, z którego można było zrobić karabin i fortepian, bez możliwości jednak grania na fortepianie, strzelania z karabinu i sypiania na łóżku.

To też w ciągu następnych dni zarobki Francuzów podwoiły się, Niemców prawieże się podwoiły, a Polaków zostały te same. W miesiąc później gmach budowany przez Francuzów jaśniał pięknnością, Niemców imponował siłą i niezgrabnością, a polski, ledwie zaczęty, począł się rozwalać. Pracujący bowiem, straciwszy chęć do roboty, wymyślali dyrektorom, a dyrektorzy, wiedząc, że na budownictwie już nic nie zyskają, utworzyli balet i postanowili objeżdżać Europę.

Widok ten — pisze nasz paryski korespondent — napełnił mnie wielkim żalem. Odepchnąłem precz lunetę; a że wicher dął coraz mocniej, chwiejąc na wszystkie strony wieżę, i mróz ścisnął coraz dokuczliwszy, wypiliśmy więc po kropelce konjaku: ja, naczelny architekt i wartownik.

Żal mój przemienił się teraz w gniew.

— Niech djabli porwą pańską lunetę! — krzyknąłem do wartownika. — Pokazuje rzeczy głupie i niegodziwe!...

— Przecież nie ona temu winna — odparł coraz pochmurniejszy architekt.

Wartownik nie odpowiedział nic; zajęty był śpiewaniem Marsyljanki.

— Wiem, — mówiłem do architekta — że moi rodacy, osobliwie rzuceni na obczyznę, nie mogą dorównać ani wam, ani Niemcom. Każdy z was nie byłby lepszy w podobnym położeniu. Zato w domu, u siebie, robią co mogą i chyba niegorzej od was.

— Wątpię to ludność — rzekł architekt — i powinno być dużo pracować nad swoją higieną i dietetyką.

— Bądź pan o to spokojny — odparłem. — Mamy w Warszawie

tylu lekarzy, że już tworzy się u nas lekarski proletarijat, a młodzi medycy wyjeżdżają za gubernatorów.

— Zobaczmy jednak, jaki ci ludzie mają wpływ na wasz ogół — rzekł architekt i począł kierować lunetę ku Warszawie.

Ze smutkiem wyznać muszę, że towarzysz mój nieodrazu znalazł Warszawę. Szukał jej kolejno w Turcji, Węgrzech i w Niemczech i, dopiero przypomniawszy sobie ze Strabona¹⁾, czy innego starożytnego geografa, kierunek Wisły — z wielką biedą trafił akurat za wolskie rogatki.

Spojrzałem w okular i — włosy stanęły mi na głowie. Zobaczyłem bowiem nad zamarznąłą glinianką jakiegoś człowieka, który, wyrąbawszy lód, unurzał kilka razy w przerębli towarzyszącą mu kobietę... Błada twarz i mdłe ruchy unurzonej nasunęły mi myśl, że musi to być osoba chora.

— Warjat czy morderca?... — spytałem przerażony, tem bardziej, gdym spostrzegł, że wykąpana kobieta upadła na ziemię, a z jej przymkniętych oczu i nagle zmienionych rysów można było poznać, iż umarła.

Tajemnicę tej łaźni wyjaśnił mi w kilka dni wasz *Kurjer*. Z rubryki policyjnych wypadków dowiedziałem się, że pewien mąż, z porady znachorki, dla przywrócenia sił chorej żonie, wykąpał ją w gliniance...

Współczucie moje dla biednej kobiety było tak wielkie, że m trząst się z zimna. A ponieważ wicher coraz gwałtowniej trząst wieżą, wypiliśmy więc po odrobinie konjaku: ja i architekt. Wartownikowi, który już gadał coś przez sen, musieliśmy gwałtem otwierać usta i przez zaciśnięte zęby wlewać płyn rozgrzewający.

— Jestem pewny, żeś pan w Warszawie nie zobaczył nic pocieszającego — rzekł architekt.

— Djabła warta pańska luneta!... — mruknąłem.

— Ależ ona pokazuje tylko to, co jest²⁾.

2. Z książki „Najogólniejsze ideały życiowe“ (1901).

a) Rola krytyki (literackiej). Sztuka czytania.

Krytyka jest, a raczej powinna być, jakby gałęzią przyrodnictwa, która przedewszystkiem zajmuje się: klasyfikacją, anatomją, fizjologją, higieną i patologją utworów literatury pięknej.

¹⁾ Geograf grecki I w. po Chr. — ²⁾ Zob. obszerniejszy wybór Kronik Prusa w książce p. t. „Wojtusie“, ułożonej przez Ludwika Włodka.

Krytyka dobra znakomicie potęguje użyteczność literackich utworów.

Większa część nawet ukształconych ludzi czytuje książki nie dbale. Przypominają oni podróżnego, który las albo górę ogląda zdaleka i dostrzega tylko ogólne ich zarysy. Tymczasem lasy, góry i... książki mieszczą w sobie mnóstwo widoków, które należałoby oglądać każdy z osobna, dla poznania jego cech charakterystycznych, ich różnorodności, jedności, harmonji, słowem — ich piękna.

Otóż zwykły czytelnik najczęściej nie widzi tych szczegółów, dopóki nie wskaże ich i wiedzę swoją nie oświetli zdolny krytyk.

Z tego powodu, jeżeli piękny utwór można porównać do kopalni, a czytelnika do niezbyt pilnego kopacza, to dobry krytyk jest owym inżynierem, który kopalnię przecina korytarzami i we wszystkich kierunkach robi ją dostępną. I oto dla czego mówimy, że krytyka dobra pomnaża użyteczność literatury.

Może się myśleć, lecz zdaje mi się, że gdyby u nas ukazał się genialny krytyk, cała literatura polska, poczynawszy od „*Bogarodzicy*“ aż do utworów Sienkiewicza, przedstawiłaby się w nowej postaci, z nowym życiem.

Zaznaczywszy doniosłość krytyki, trzeba wspomnieć o innym, napozór nieskończenie skromniejszym czynniku, który jednak potęguje użyteczność literatury.

Jest nim *sztuka umiejętnego czytania*, zwana inaczej — deklamacją.

Opowiadał mi pewien autor (tacy chyba powinni znać swoje dzieła), że gdy raz jeden z jego utworów przeczytał mu artysta dramatyczny, ów autor ostupiał ze zdumienia. Wypowiedziany przez człowieka umiającego czytać, utwór literacki nabrał wypukłości, barw, ruchu, charakterów... Nie była to już zapisana kartka papieru, — ale kawałek żywego świata...

Taką jest czarodziejska potęga sztuki czytania, jednej z najprostszych, jakie istnieją. Trzeba sobie tylko wyrobić głos, zniżyć go i podwyższać, odpowiednio dzielić frazesy — i umiejętnie oddychać.

Sztuka ta u nas nietylko jest nieznaną, ale nawet nie posiadamy do niej choćby najogólniejszych wskazówek, ujętych w formę podręcznika¹⁾.

Jestem pewny, że podobna książeczka licznych znalazłaby u nas nabywców, a w dodatku upowszechnienie jej prawideł dałoby początek prześlizgłej zabawie: zbiorowemu czytaniu.

W tym celu schodzi się kilka osób, umiających dobrze czytać,

¹⁾ Dzisiaj istnieje *Podręcznik sztuki czytania*, napisany przez Juljusza Tennera (1917).

biorą jakiegoś dramatycznego autora np. Sofoklesa, Eschylosa, Szekspira, dzielą między siebie role i czytają...

Kółek takich wiele jest w Niemczech i dzięki im najskromniejsze mieszkanko prywatne zamienia się w prawdziwą świątynię sztuki. Ile tam rodzi się pięknych obrazów, uczuć, myśli, a jak szlachetnie sam słuchacz, który przynajmniej raz na tydzień przepędza kilka godzin w towarzystwie najwznieślijszych dusz, jakie wydała ludzkość!...

Coprawda, my od podobnych wniebowzięć jesteśmy podwójnie zabezpieczeni. Nietylko przez nieumiejętność czytania, lecz i przez szeroką uprawę gry karcianej.

Cóż to za okropny stan społeczeństwa, w którym najtęższe umysły zużywają się przy fortelach karcianych! I czy w podobnych warunkach może rozwinąć się duch przedsiębiorczości, czy mogą powstawać odległe cele, wielostronne plany, nowe sposoby i energiczne ich wykonywanie?...

b) Charaktery narodowe.

W każdym człowieku grają mniej więcej wszystkie władze duszy: tak Myśl, jak Uczucie, jak Wola; lecz w tej grze jedna władza odzywa się częściej od innych. Podobnie z Ideałami. Każdy człowiek w ciągu życia dba o Szczęście, Użyteczność i Doskonałość, lecz znowu — jeden z tych ideałów odzywa się głośniejsz, niż inne. A toż samo zjawisko powtarza się i wśród całych narodów. W każdym narodzie są ludzie pobożni i bezbożni, uczeni i ciemni, sybaryci i nędzarze. Niemniej jednak w każdym narodzie jedna jakaś gromada charakterów czy też kilka — wybija się nad inne i nadaje pewien ton charakterowi narodowemu.

Panowanie takiej gromady trwa przez jedno lub kilka pokoleń, a potem słabnie i ustępuje miejsca jakiemuś innemu panowaniu. Tak np. we Francji wysuwały się naprzód grona charakterów już to religijnych, państwowych, wojowniczych, to znowu ateuszowskich, rewolucyjnych i tonących w użyciu. Choć w każdej epoce naród ten odznaczył się żywym uczuciem i niezwykle ruchliwą wyobraźnią.

Zdaje się, że w naszym wieku narodem najbogatszym w rozmaite charaktery, a jednocześnie najbardziej zrównoważonym są — Anglicy i Szkoci. Ich niedościgniona pracowitość, a przy niej chęć użycia, ich sporty i ich wiedza naukowa są znane całemu światu. Obok tego Anglicy posiadają w najwyższym stopniu instynkt rządu, dzięki czemu jeden człowiek bez trudu może tam kierować tysią-

cami, nawet ulicznych przechodniów. Podobnie mają oni potężne instynkty społeczne, czego dowodzą niezliczone stowarzyszenia albo np. instytucje filantropijne. A czy potrzebuję wspominać o ich filozofach, poetach, o ich bohaterskich wojownikach, albo o ich głębokim uczuciu religijnem, które sprawia, że nawet wielcy uczeni zajmują się tam kwestją nieśmiertelności duszy, co np. u nas wyszło zupełnie z mody?

Z tych przyczyn Anglicy i Szkoci są bodajże najpierwszymi narodami świata, nad którym dopóty będą górowali, dopóki nie zmarują swoich nadzwyczajnych przymiotów.

Następne miejsce po Anglikach i Szkotach, zdaje się, że należy do Niemców. Niemcy są narodem wielkim pod każdym względem i smutek mnie ogarnia, ile razy moi ziomkowie lekceważą ich. Od Niemców przedewszystkiem musimy się uczyć i uczyć, choć szkoła to bardzo nieprzyjemna; inaczej nie tylko nie zwyciężymy ich, ale sami możemy dostać okropne cięgi.

Na nieszczęście czy szczęście wśród Niemców naszej epoki, obok potężnego rozwoju pracy, instynktów państwowych i społecznych, bodajże mocno zachwiała się filozofja, religijność i — wszechludzkie uczucia, których brak nikomu nie pozwoli wysunąć się na czoło ludzkości. — —

Narodowość czysto polska, po wyłączeniu z niej obcych pierwiastków, składa się jakby z dwu słoików: ludu i inteligencji.

Charakter naszego ludu jest normalny, lecz nierozwinięty. Chłop posiada dosyć proporcji między Myślą, Uczuciem i Wolą, lecz władze te znajdują się dopiero na szczeblach najniższych. Ma on bystre zmysły, sprawne organy biologiczne, zdrowe kości i mięśnie. Umie robić proste spostrzeżenia, nie jest nadwrażliwym, nie ma pamięci przeładowanej frazesami...

Słowem — jest to nieco zagłodzony, lecz zdrowy, uczciwy i zdolny barbarzyńca, który jeszcze nie dorósł do Idei panujących, ani nawet — do Twórczości duchowej. Wymownym dowodem braku twórczości jest — zasklepienie się w pracach wyłącznie wiejskich, brak ducha inicjatywy, brak nawet sztuki stosowanej do ozdabiania sprzętów i naczyń, którą już posiadają zupełnie dzikie plemiona.

Wszystko to jednak lud nasz może zdobyć, przy dobrobycie i przy reformatorskiej pracy przedewszystkiem — w łonie klas inteligentnych.

Nasze bowiem klasy oświecone stanowczo muszą zreformować swój własny charakter, co jest sprawą zupełnie możliwą, a bez czego będzie z nami coraz gorzej.

Bo jakież jest dzisiejszy charakter naszej inteligencji?

Oto panującą władzą duszy — jest Uczucie, a panującym Ideałem — Szczęście. Stąd zaś najwyższą Ideą dla nas jest — Użycie!...

Nasze niedole wypływają wprost z wadliwego charakteru. Naszą narodową trójcę stanowią: Uczucie, Szczęście, Użycie, a tymczasem świat wymaga innej trójcy: Woli, Użyteczności — i Pracy!

Neograniczone panowanie w nas Uczucia sprawia to, że posiadamy dość silne choć nierozwinięte popędy religijne i jakie-takie Instynkty społeczne. Panowanie zaś Ideału Szczęścia — robi nas bardzo pochopnymi do różnych sportów i — daje nam niejake zdolności do sztuk pięknych.

Z rozpanoszenia się Uczuć i nieokiełznanego popędu do Szczęścia wynikają w dalszym ciągu: nadwrażliwość, idealne poglądy na świat, nieustanne wahanie się między wybuchami radości i rozpacz, pociąg do bezgranicznej swobody, jaka nigdy nie istniała w życiu, i — stanowczo za wielki rozwój indywidualizmu.

Ten nieszczęsny niepohamowany indywidualizm, urodzony z przywilejów ongi szlacheckich, do dziś dnia robi nas Polaków niezdołnymi do porządnej pracy zbiorowej. Wiecznie powtarza się śpiewka: „Dwa dragany, a cztery kapitany“...

Dzięki wiekowemu zaniedbaniu Myśli nie posiadamy np. pociągu do Filozofji: owszem, naszymi bogami są ludzie, którzy z niej żartowali. Instynkty zaś naukowe dopiero w ostatniem pokoleniu rozbudziły się, poto, ażeby w końcu XIX wieku ulec nowemu zachwianiu!...

Nareszcie brak Woli robi nas bardzo podrzędnymi pracownikami w rodzinie ludów europejskich.

Jest to okropny stan, lecz — jeszcze nie rozpaczliwy. Naród nasz bowiem zwolna leczy się i rozwija, czego dowodem jest fakt, że — już mamy świadomość naszej choroby i mówimy o niej spokojnie.

Oto jak wygląda gmach polskiej duszy: wszystkie cegły zużyto na zbudowanie Uczucia, lecz i w niem brakuje najwyższego piętra, t. j. wielkich namiętności. Zato najniższe piętra są zbyt dobrze rozwinięte: gust do jedzenia, picia, palenia tytoniu i t. d. Nad niemi górują tylko popędy płciowe, które, przynajmniej w literaturze, wzniosły się do wysokości uczuć filozoficznych i religijnych.

Za czasów „Pana Tadeusza“ Polak umiał bawić się, jeść, pić i urządzać zajazdy, a przytem kochał się czerstwo, po gospodarstwu. Dzisiejszy zaś Polak wszystkie swoje ideały, przynajmniej we współczesnych romansach, umieszcza pod — parasolką.

Gdyby tak dalej poszło, — bohaterami następnego pokolenia mogliby być tylko ludzie chorzy na rozmiękczenie mózgu lub inne erotyczne niemoce.

Po roku 1863 zaczęło się w naszym narodzie budzenie Myśli, zapomocą — „filozofji pozytywnej“, „młodej prasy“ i t. d.¹⁾

Zdawałoby się, że pokolenie, następujące po naszym, zacznie budzić w narodzie trzecią i najważniejszą władzę duszy — Wolę.

I właśnie, kiedy zgóry cieszymy się tym szczęśliwym zwrotem, wystąpiła reakcja na stronę — Uczuć!...

Nowy ten obłęd społeczny przypomina dolę mrówki, która, wspiąwszy się po śliskiej powierzchni nieco wgórę, zmęczona — stacza się znowu nadół.

Prawdziwa kara Boska za jakieś jeszcze nieodpokutowane grzechy.

Wymienię kilka przykładów, ażeby wskazać, jak dalece wśród nas jest zaniedbana władza woli.

U nas dziecko nieco zamożniejszej rodziny wzrasta w tem pojęciu, że praca fizyczna jest nieszczęściem, jeżeli nie hańbą. Synowi, który nie lubi się uczyć rozmaitych gramatyk, ojciec grozi, że: „będziesz musiał ciężko na chleb pracować...“ Gdy zaś chłopak jest wielkim próżniakiem, wówczas stroskany ojciec mówi: „Gałganie, będziesz buty czyścić“.

Poczciewicz nie słyszał, że np. w angielskich internatach nawet młode książętko z obowiązku czyści buty nietylko sobie, ale i starszemu koledze, o ile ten ma nad nim władzę „bursza“ nad „fuksem“.

U nas tylko bardzo ubogie rodziny nie wyręczają się w codziennych zajęciach — sługami. W Niemczech i Francji rodziny wcale zamożne obchodzą się bez stałej służki. W pewnem miasteczku szwajcarskiem wynajmowałem za 20 franków na miesiąc pokoik, którego właścicielka sama zamiatała i słała łóżko u mnie. Była to zaś pani krociowa. I bynajmniej nie robiła tego przez skąpstwo, lecz ze zwyczaju, przez nałóg do pracy.

Oslabienie woli wśród klas inteligentnych miewa formy niekiedy komiczne. Ileż to razy właściciel 100-włótkowego majątku wzywa do siebie „Moszka“, który nie ma całych butów, i z ufnością w powodzenie operacji poleca — wydobyć skąd kilkaset rublii. No, i „Moszek“ nietylko nie waha się załatwić interesu, ale nawet znajduje kredyt tam, gdzie pan go już wyczerpał...

Bardzo często przyczyną powodzeń „Moszka“ jest to, że „Moszek“ natychmiast siada do biedki i, bez względu na mrozy czy

¹⁾ Zob. tu o tem wcześniej: w studjum Chmielowskiego.

słotę, jedzie szukać pieniędzy. Podczas gdy panu, nawet w najpiękniejszy dzień, nie chce się podźwignąć z kanapy...

Co to znaczy? — „Znaczy, że żyd zawsze musi szachrować, bez względu na pogodę“ — odpowiedzą jedni. — Na Boga, dajcie już pokój tego rodzaju „wyjaśnieniom“... bo tu chodzi o przyszłość narodu. „Moszek“ dlatego szuka pieniędzy i znajduje, bo jest energiczniejszy od pana, który zużył siły na polowaniu albo przy kartach... Ten zasadniczy fakt leży na dnie wszystkich zwycięstw, jakie nad nami odnoszą żydzi, że: oni działają, a my czekamy, oni mają, a my nie mamy energii. Gdy zaś do energii jednostek dodamy *solidarność* ogółu, dopiero wówczas zrozumiemy: na czym polega niebezpieczeństwo kwestji żydowskiej u nas.

Prawie to samo powiedzieć można o stosunkach między żywiołem polskim a Prusakami: biją oni nas zapomocą większej energii jednostek, zapomocą zorganizowania się w porządne związki społeczne, a nareszcie — zapomocą rozleglejszej oświaty i głębszej bezporównania wiedzy.

Bardzo przepraszam, ale gorzkie te prawdy muszą być wypowiedziane w języku polskim, jeżeli nasza inteligencja nie ma ostatecznie zmarnieć wśród jałowych narzekañ na cały świat. My będziemy narzekali, a niewdzięczny świat będzie ciągle szedł naprzód, robiąc z niedołęgami wszystko, co mu się podoba.

c) Wiara w przywileje.

My, Polacy, mamy szpetną wadę, z której jak najprędzej trzeba się wyleczyć. U nas — syn i wnuk szlachcica i bogacza wciąż myśli, że ma jakieś specjalne przywileje w społeczeństwie, że ma prawo być bogatym, choćby dookoła niego żyli sami nędzarze. Ten sam błąd tkwi w całym społeczeństwie, które wyobraża sobie, że świat jest jego dłużnikiem, i że, ponieważ Polacy jakiś czas bronili chrześcijaństwa, więc — z tego powodu na wieki wieków muszą posiadać jakieś przywileje...

Inni pracują, zdobywają, suszą sobie mózgi, targują się, umawiają, płacą... a ty, Polaku, tylko korzystaj ze swych przywilejów, które przodkowie zdobyli pod Wiedniem czy Somosierrą.

Ocknijcie się, ludzie zahipnotyzowani... Na świecie niema żadnego przywileju, a wy tem bardziej nie posiadacie żadnego. Światem rządzi prawo, że „najużyteczniejsi i najdoskonalsi przetrwają słabych i niedoskonałych“, więc i wy nieustannie musicie starać się o siły i doskonałość. Musicie pracować, jak inni, suszyć mózgi, jak inni, umawiać się i za wszystko płacić, jak inni, jeżeli nie drożej, aniżeli inni.

Życie to wyścig. Kto choć na chwilę zatrzyma się, sądząc, że przeszedł bardzo wiele i że mu się należy wypoczynek, ten zostanie bez miłosierdzia wyścigniętym. Musimy zatem ciągle iść naprzód, nie tylko na własnych nogach, bez żadnego podparcia, ale jeszcze — musimy dźwigać dodatkowe ciężary. Biada tym, którzy padną zmęczeni... Każdy naród jest Robinsonem na wyspie. Gdy sam nie wyrobi sobie warunków bytu, musi zginąć.

Niepokonana energia w pracy, głęboka mądrość, niezachwiany porządek — oto zalety, które społeczeństwu dają możliwość potęgowania sił życiowych, dają im prawo do istnienia, czyli — do szczęścia. Kto chce bawić się, odpoczywać albo wzdychać, niech od razu idzie do szlachtuza... Świat należy tylko do dzielnych ludzi; dla niedołęgów niema na nim miejsca, a gdyby nawet było jeszcze jakie, to wkrótce go zabraknie. Jest już bowiem coraz trudniej nie tylko o chleb, ale nawet o powietrze...

Wiem ja, że słowa te brzmią twardo dla ludzi, u których piękny wiersz albo muzyczna kompozycja znaczy tyle, co wygrana bitwa, a bezporównania więcej, aniżeli porządny sklep lub warsztat. Ale ja nie dla nich piszę te uwagi, nie dla tych, u których największym wynalazkiem jest nowa suknia, najważniejszym aktem społecznym — bal albo wyścigi, a najwyższym celem życia... pozyskanie miłości jakiejś „pięknej i niewinnej dziewicy“...

Piszę dla tych, którzy już rozumieją, że naród sam musi budować swoją przyszłość, a tylko szukają najogólniejszego planu tej budowy.

HENRYK SIENKIEWICZ (1846 — 1916).

Słowacki-Helios ¹⁾.

Niegdyś, przed laty już, zdarzyło mi się, że przyjechawszy morzem o pierwszym brzasku do Pireus, nie podążyłem do pobliskich Aten koleją, ale nająłem powóz, albowiem z powozu można lepiej niż z wagonu podziwiać wschód słońca na równinie altyckiej. Zanim wyruszyliśmy z portu, brzask zmienił się na świt. Od strony Eubei wstała jutrenka, — ta sama „rózanopalca“, którą ongi podziwiał Homer — i tak samo po tysiącach lat młoda i cudna. Roz-

¹⁾ Artykuł, napisany w r. 1909, dla uczczenia setnej rocznicy urodzin Słowackiego, przedrukowany z Nr. 1 „Kurjera Warszawskiego“ t. r. — Sens zastosowanego tu słowa „helios“ (po grecku — słońce) wyjaśni się w tekście.

legły oliwnik, ciągnący się między wybrzeżem a miastem, zbudził się jakby ze snu w jej promieniach, a przede mną, w nawpót błękitnej, nawpót perłowej oddali zajaśniał w górze Akropol.

Ujrzałem go po raz pierwszy w życiu i wyznaję, iż mało widziałem tak niezapomnianych widoków. Ściany Propylei, Erechtejonu i boskie w swej niedoścignionej harmonji kolumny Partenonu — widne jak na dłoni — poczęły się maścić i maić wszystkimi barwami, jakie zawiera w sobie zorza poranna. Szmaragdy, opal, szafiry i rubiny, zanurzone w ogólnej różowej toni, jęły grać, migotać, mienić się, mieszać, nasuwać lekko jedno na drugie, zbiegać się w zagłębieniach marmuru i rozbiegać się na szerszych jego płaszczyznach. Był to poprostu hejnał tonów jasnych, radosnych, jakby świeżo wykąpanych w Archipelagu, a wskutek tego niestychanie rzeźwych i przezroczych. Zdawało się, że zręby ścian, architrawy i kolumny wycięte zostały, nie z ciężkiego, kamiennego tworzywa, nie z marmuru, ale z różanego i tęczowego światła¹⁾. Trwało zaś to dopóty, dopóki nie weszło słońce i nie pogrzyżyło równiny, miasta i Akropolu w powszechnej złotej topieli.

I oto, ilekroć zdarzyło mi się później czytać Słowackiego, lub myśleć o nim, tylekroć to wspomnienie stawało mi jak żywe przed oczyma. Język polski poetycki, najbardziej uprawny i najdawniej rozwinięty ze wszystkich słowiańskich, podobny był do tych odbarwionych przez czas świątyń, wznoszących się do dziś nad Ate-nami. Miał majestat marmuru i wagę spiżu; posiadał ład architektoniczny i plastykę rzeźbiarską w wysokim stopniu, brakło mu jednak w takim samym stosunku koloru, tak jak, naprzykład, brakuje go łacinie, na której się urabiał i w której również pierwiastek architektoniczny i rzeźbiarski przeważa nad malarskim. Dopiero od narodzin wielkiej trójcy poetów stał się jakby cud. Oto poezja nasza, nie straciwszy nic z poprzednich przymiotów, rozświeciła się odrazu blaskami zórz i zapłonęła żarem słońca. A stało się to tak bez przejść, bez stopniowań i tak nagle, że sama ta nagłość zjawiska powinna była zwrócić baczniejszą uwagę badaczy. Nie mówiąc już o języku dawniejszej doby, dość jest porównać język poetów z epoki stanisławowskiej i późniejszej z językiem Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, aby spostrzec, że jest między nimi taka różnica, jaka zachodzi między krajobrazem, widzianym przy szarem jednostajnym świetle chmurnego dnia, a krajobrazem, w którym drgają w najwyższym natężeniu wszystkie barwy istniejące w naturze.

¹⁾ Architrawy — belki poprzeczne, podtrzymujące dach.

Owóż, można naprzykład twierdzić, że siąg skrzydeł Słowackiego był mniejszy, niż Mickiewicza, lub, że głąb myśli Krasińskiego była bardziej otchłanna, niepodobna jednak zaprzeczyć, że między trzema, on właśnie był najświetniejszym iluminatorem¹⁾. I to jest pierwsza cecha jego wielkości, a zarazem potężniejsza, niż się na pierwszy rzut oka wydaje. Zrównoważyć w języku żywioły architektoniczne i rzeźbiarskie z malarskimi, być dla niego słońcem, księżycem, zorzą i tęczą, dać mu barwy kwiatów i drogich kamieni, mógł tylko prawdziwie wielki i genialny poeta. Wynikły z tego i dalsze niezmiernej wagi następstwa. Istnieją w naturze zjawiska tak czysto świetlane, a w człowieku rozmaite stany duszy, rozmaite pojęcia, uczucia i poczucia tak subtelne, tak uduchowione i widziadłowe, że mogą być w poezji oddane tylko — jeśli tak rzecz można — zapomocą barwnych i przezroczych promieni. *Anelli*, *Król-Duch*, niektóre ustępy z *Beniowskiego* lub poemat *W Szwajcarji* nie mogły być napisane językiem, którym pisał Krasicki, Trembecki, a po nich Osiński — nietylko dlatego, że treść tego rodzaju nie istniała w uczuciu i wyobraźni tych pisarzy, ale i dlatego, że w samym języku nie było na to dość promiennego materiału. Stworzył go w najwyższej mierze dopiero Słowacki, a stworzywszy, zdobył dla poezji moc wyrażania tego, czego przed nim wyrazić nie była w stanie, rozwinął ogromnie jej pojemność i rozciągnął jej psychologiczne granice niemal do nieskończoności.

Jako przykład, pozwolę sobie przytoczyć po raz wtóry poemat *W Szwajcarji*, a to dlatego, że występuje w nim jeszcze inny, lubo pokrewny poprzednim przymiot, którego dawniejszy poetycki język nie posiadał. Nie chodzi tu już o samą tylko barwę. Wiadomo, że z marmuru nie można kować, a ze spiżu nie można odlewać rzeczy zbyt wiotkich, co zaś do metali wogóle, jedno tylko złoto daje się rozciągać w nić ledwie widzialną dla oka. Taką rozciągliwość dał językowi Słowacki. Czytając *W Szwajcarji*, otrzymujemy wrażenia marzeń, smutków i nastrojów tak nieuchwytnych, a nawet nikłych, że prawie niema dla nich dźwięków i wyrazów w mowie ludzkiej. A jednak nić złota ciągnie się coraz cieńsza, i słowa snują się lekkie, powiewne, utworzone jakby tylko z tęsknoty i woni nocnych kwiatów, cichsze od wyplakanych w samotności łez, senniejsze od snu, mniej materialne od westchnień.

Chwilami zdaje się, że to są czary! — Mówiąc bez żadnej przesady i bez chęci wynoszenia polskiego języka nad inne, nieraz zadawałem sobie pytanie: czy w tych innych znalazłaby się dość

¹⁾ T. j. mistrzem barw i światła w obrazach.

subtelna osnowa dla poematu utkanego z tak cienkich nitek? I nie wiem. — Odpowiedź wypadła przecząco może dlatego, że wszystkie przekłady, jakie trafiło mi się czytać, były zmaterjalizowaniem i pogrubieniem tej pajęczej tkaniny.

Ale natomiast tem potężniejszym świadectwem rozległości genjuszu jest to, że ten sam człowiek, który w owej przedziwnej sielance potrafił być współzawodnikiem Arachny, umiał również, gdy tak mu kazało natchnienie i wola, huczeć jak grzmot, razić słowem jak piorunem, wstrząsać ziemią jak tytan Seismos, lub staczać skały z gór, aby następnie wykuwać z nich ogromne, podobne do szekspirowskich, postacie¹⁾.

Jest rzeczą zdumiewającą, że przy całej swej niepojętej twórczości językowej, Słowacki, chociaż jest królem i władcą mowy „rozokolonej“ prawie bez granic, jednakże nie nadużywa wyrażenia. Styl jego nie przelewa się przez krańce idei, nie przygłusza jej, nie zatapia, ale ją uwypukla i wzmacnia. Na ten genialny artystyczny umiar zwracać należy uwagę, szczególnie dziś, gdy literatura polska, tracąc prostotę, stacza się częściowo po stromej pochyłości ku nieznośnemu barokowi i gdy na każdą najmarniejszą myśl używa się dziesięć razy tyle wyrazów, ile trzeba, a w dodatku wyrazów jaskrawych i wrzaskliwych jak stado papug, a wykrzywiających się jak małpy. — W Słowackim niemasz logorei²⁾. On wie, że co innego jest hurkot i zgrzyt młyna, a co innego mąka, z której wypieka się chleb. A dalej: jego główne pomysły, jego idee przewodnie, mogą być w niektórych poematach ukryte jakby za chmurami, tajemnicze i nieprzystępne dla umysłu zwykłego czytelnika, natomiast każde jego zdanie, każdy pojedynczy wyraz ma wprawdzie często własność tęczowania, jaką posiadają diamenty, ale zarazem i ich przejrzystość.

Przytem w poezji Słowackiego, obok piorunowych zygzaków, obok beładnych, potarganych szczytów, wyrzuconych w górę jakby przez wybuch wulkanu, istnieje i prawdziwie olimpijska prostolinijność. Jego człowiek wije się, miota i skręca jak Laokoon, wówczas, gdy opaszą go węże bólu, rozpaczy lub namiętności, ale gdy poeta, naprzykład, mówi:

„W gajach, gdzie księżyc przez drzewa oliwne
Przełąda blade jak słońce sumienia,
„Chodziłem z tobą jak dwie mary dziwne,
„Jedna z marmuru, a druga z promienia.

1) Seismos — niby tytan, mieszkający pod skorupą ziemską. 2) Czczygo gadulstwa.

„Skrzydła nam wiatru nie były przeciwnie
„I nie ruszały włosów ni odzienia,
„Między kolumny na niebie się kręśląc
„Staliśmy — jak dwa sny — oboje myśląc...

— to otrzymujemy wrażenie nie tylko ciszy i spokoju, ale zarazem czysto rysunkowe wrażenie linii do tego stopnia prostych i oględnych, iż zdaje nam się, że mamy przed sobą jeden z obrazów zmarłego niedawno Puvis'a de Chavannes, które są ostatniem słowem elizejskiej ciszy, spokoju i oględnej w wykonaniu prostoty¹⁾.

Lecz czego w Słowackim niema? Postanowiłem mówić przeważnie o jego języku, trudno jednak nie pochylić głowy i przed łabędzią czystością jego idei — i przede wszystkim, przed tą wielką i głęboką miłością ojczyzny, która czyni poetę podobnym do pochodni płonącej na jej ołtarzu, albo do trybularza u stóp jej krzyża²⁾.

Wszystko to razem wzięte tworzy poprostu ogrom. Pisano już o Słowackim całe tomy, które wszelako nie mogły go pomieścić i nie poruszyły wszystkich strun jego harfy. Tem bardziej nie może temu podołać doraźny, o kilkudziesięciu wierszach artykuł. Muszę jednakże jeszcze powiedzieć, że to, co dziś uważa się za nowe sposoby, nowe nastroje i nowe „dreszcze“ najmłodszej muzy, to zasadniczo, w stanie mniej lub więcej rozwiniętym, znajduje się już w utworach Słowackiego. Przesilono tylko jego właściwości. Z niezliczonych żywiołów jego poezji porobiono osobne chorągwie, i jak niegdyś monarchję Aleksandra Wielkiego, tak i jego olbrzymie państwo rozdzielono na pojedyncze kraje. Nie Słowackiego wina, że kwitną tylko niektóre, w innych zaś panuje chaos, mrok i barokowa anarchja, albowiem epigonowie dziedziczą zwykle tylko wady genjuszów.

Słowacki był wzniosłym, czystym jak kryształ poetą, wielkim, słonecznym twórcą nowych blasków w poezji, ale i twórcą dusz. Postacie stworzone przez niego, tak jak postacie Szekspira, stanowią legion. Była też i w nim sama świadomość własnej potęgi. Wypowiedział to nawet otwarcie w *Beniowskim*, mówiąc o napisie, jaki powinien być położony na jego pomniku³⁾. Jakoż miał pełne prawo powtórzyć za Horacym: *Exegi monumentum aere perennius...*⁴⁾ Ale ten pomnik wznosi się dotychczas tylko w naszych sercach — kiedyż stanie w naszej stolicy?...

¹⁾ Puvis de Chavannes, znakomity malarz francuski XIX w., twórca fresków o treści antycznej w paryskim Panteonie. — ²⁾ Trybularz — ręczna kadzielnica kościelna. — ³⁾ „Beniowski“, pieśń II, w. 97 i nast. — ⁴⁾ „Wzniosłem (sobie) pomnik trwalszy od spiżu...“ (początek sławnej ody Horacego).

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

(ur. 1849).

1. Z fejletonów „Liberum veto“.

Kosmopolityzm¹⁾.

— A jednakże — zauważył mój bardzo młody i bardzo rozumny gość — wszyscy twórcy religii, wszyscy wielcy reformatorowie byli kosmopolitami.

— Naprzód — nie. Cywilizacja nie jest Minerwą, która wyskoczyła gotowa z głowy grecko-rzymskiego Jowisza i później przyjęła chrześcijaństwo, lecz jest to tkanina, którą ludzkość snuje powoli i mozolnie od chwili zjawienia się swojego na ziemi, czyli od niepamiętnych lat. My wobec niej zachowujemy się jak dorobkiewiczze majątków i tytułów, którzy liczą historję swoich rodów odłąd, kiedy zostali bogatymi szlachcicami. Tymczasem przed tym ciągiem dziejów, który nazywamy cywilizacją, a nawet w pierwszych jego epokach, występowali znakomici mistrze plemion i narodów, którzy dla nich wyłącznie tworzyli te religie i prawidła życia szczęśliwego. Powtórę, chociaż nowsi reformatorowie byli rzeczywiście kosmopolitami, to nie dowodzi wcale, ażeby ich wyznawcy i czciciele zajmowali to stanowisko.

— Nie rozumiem różnicy.

— Bardzo prosta. Obecny stan naszej kultury nie sprzyja już istnieniu oderwanych od całości i zamkniętych w sobie grup ludzkich, któreby, opanowawszy kawał ziemi i kawał nieba, myślały tylko o własnym życiu i poddawały je pod moc własnych bogów, nie troszczących się wcale o resztę ludzi i zrzekających się nad nimi wszelkiej władzy. Systematy religijne średnich i nowszych wieków zaczęły obejmować całą ziemię i całe niebo — stanęły na gruncie powszechności. Zarówno Mahomet, jak Luter lub Kalwin, nie myśleli wcale o wierze dla Arabów lub Niemców, lecz pragnęli swoją nauką ogarnąć i zbawić cały świat, byli kosmopolitami. Ale nie każdy człowiek jest wodzem i mistrzem, jak nie każda planeta jest słońcem. Wokoło słońca krążą ciała niebieskie, utrzymywane siłą jego przyciągania i oświetlone jego promieniami, ale nadto obracają się naokoło własnej osi. Podobnie ciała społeczne, krążące

¹⁾ Tygodnik „Prawda“ z dnia 10 grudnia 1898 r. — (Fragmenty młodzieńczej publicystyki Świętochowskiego zob. w tych Wypisach wcześniej: w rozdziale III studjum Chmielowskiego o pozytywistach warszawskich).

około idei szczęścia powszechnego, przyciągane ku niej siłą ciężenia i oblane jej światłem, odbywają jeszcze ruch około osi szczęścia własnego. I ten to ostatni ruch jest najgłówniejszym dla każdej cząsteczki ciała niebieskiego i społecznego.

— Czemu?

— Bo taka jest natura ich przeznaczeń. Ludzie genialni, wielcy reformatorowie mają w swym duchu odpowiednią potęgę do prowadzenia ludzkości ku powszechnemu dobru; miliony zaś osobników zwyczajnych posiadają zaledwie tyle siły, ile potrzeba dla pożytecznego działania w pewnym ograniczonym kole. Wyobraźmy jakikolwiek z nielicznych ułamków rodu ludzkiego: rolnika, kupca, nauczyciela i t. d., — przy największym wytężeniu swych uzdolnień może on co najwyżej uszczęśliwić swoją rodzinę, przyjaciół, znajomych i złożyć jakąś drobną ofiarę na ołtarzu pomyślności społecznej. Przypuśćmy, że ten skromny człowiek zechce nagle zbawiać świat: cóż on może zdziałać w tym kierunku? Może usypać górę słów, która na szalach dobra powszechnego nie zaważy nawet ziarnkiem piasku. Jeżeli tedy reformatorzy, prorocy, apostołowie, wielcy wodzowie i mistrze byli kosmopolitami, to rozumiemy ich w tej roli, bo oni wytykali drogi pochodzenia ludzkości, chociaż żaden z nich nie zdołał opanować całej; ale jeżeli na kosmopolitycznego konia wsiądzie pierwszy lepszy ochotnik, który najbliższemu swemu otoczeniu nie umie oddać najzwyczajniejszych usług — to daje on z siebie widowisko bardzo śmiesznej parady. Tkwi w tych popisach dużo mimowolnego humoru lub chorobliwego wynaturzenia. Taki dobroczyńca świata, który spokojnie przypatruje się obrazom niedoli u siebie w domu, a natomiast wzrusza się nieszczęściem istot cierpiących na drugiej półkuli — jest zabawnym frazesowiczem lub zwyrodniałym fanatykiem. Nikt nie dźwignie swemi ramionami wszystkich nieszczęść ludzkich, każdy może unieść zaledwie ich cząstkę. A czemuż to dla kosmopolity z Warszawy ma być ważniejszą cząstką nad Tamizą, niż nad Wisłą? Dlaczegoż on nie podejmuje zadań, leżących blisko niego, które spełnić może czynem, tylko sięga po odległe, które zdoła jedynie obrzucić słowem? To rozczulanie się nad głodem w Indjach, nad powodziami w Chinach, nad nędzą we Włoszech lub Hiszpanji, podczas gdy tuż obok bieda woła daremnie o ratunek, jest czemś tak niedorzecznym i warjackim, że doprawdy trudno uwierzyć w szczerłość podobnego sentymentalizmu. Każde cierpienie jest godnem wzruszeń naszego serca, gdziekolwiek powstaje, ale nie każde nakłada na nas obowiązki czynnego miłosierdzia. Spełnijmy te, które leżą w obrębie naszych bez-

pośrednich stosunków i działalności — to wystarczy, a nie podróżujmy po całym globie z naszą litością, bo ona nikomu nie sprawi ulgi.

— Zgodzi się pan jednak na to, że sami reformatorowie nie mogą dokonać zbratania ludzkości, i że wskazana przez nich spójnia musi być spleciona z tysiąca nici przez ich wyznawców. Wódz daje plan bitwy, ale nie on zwycięża, tylko jego wojsko.

— A dlaczego ono wykonywa jego plan i zwycięża? Dlatego, że każdy żołnierz spełnia zadania w zakresie swego stanowiska. Wyobraź pan sobie, że ten żołnierz, zamiast strzelać i słuchać komendy, rozmyślałby nad taktyką całej wojny, a zamiast nieść pomoc rannym obok niego towarzyszą, ubolewałby nad padającymi w rozgrywającej się równocześnie innej bitwie o tysiąc mil odległej. Coby to było?

— Prawda, trudno wszakże przepisywać każdemu człowiekowi ramy, w jakich ma zawrzeć swe myśli i uczucia. Są ludzie, którzy nie należą do olbrzymów i biegu życia ani na włos nie zwrócą, mimo to, jak reformatorowie i hetmani postępu, rozmyślają ciągle o szczęściu całej ludzkości i odczuwają jej cierpienia.

— Niech to robią, jeśli konieczność wewnętrzna zmusza ich umysł do błędzenia po tych szlakach. Ale prócz szczerego marzycielstwa, istnieje podobna do niego moda, próżność, która ściąga daleko więcej zwolenników. Ci mniemają, że kto prawi o jednej wsi, wart mniej, niż ten, kto prawi o gminie; kto zajęty jest gminą, niegodzien jest równać się z orędownikami powiatu, gubernji, narodu, państwa, części świata i t. d., a rozumie się, najwyższą godność posiadają patronowie całej ludzkości. Cóż im szkodzi sięgnąć odrazu po ten najdostojniejszy tytuł? Tak się z nim dumnie noszą, tak zgóry patrzą na ów mizerny motłoch, który nie rości sobie pretensji do zbawicielstwa świata. A gdyby jeszcze odkryto istoty człowiecze na Marsie, tam również pośpiesziliby ze swemi sympatjami. Aby jak najdalej od miejsca, na którym mogliby rozwinąć pożyteczną działalność. Naturalnie losy ludzkości nic a nic nie zyskają na opiece tych jej dobroczyńców, jeżeli do korzyści nie zaliczymy deklamatorstwa. Tonie ono w koszach i szafach redakcyjnych, czeka miłosiernego przypadku na półkach księgarskich, na motylach skrzydłach świstków oblatuje przez kilka dni koła czytelników, wybucha w zebraniach i nazajutrz milknie, a świat toczy się zwykłą koleją, dopóki go jakaś wielka siła na inną nie zwróci. Czy jedyną szkodą jest tu tylko zmarnowanie pewnej sumy energii, która mogłaby być użytą w pracy owocnej? Nie, dołącza się bowiem jeszcze zły wpływ na myśli, uczucia i dążenia większych lub mniejszych o-

czeń, które nie puszczają i nie gonią kosmopolitycznych laławców, ale zniechęcają się do działalności altruistycznej wogóle. Człowiek najłatwiej daje się namawiać do samolubstwa. Więc gdy słyszy hasła, padające z wysokich szczytów frazeologii, że jego zaścianek niewart starań, a jego najbliżsi bracia niegodni poświęceń, i gdy z drugiej strony nie ma chęci do mesjanizmu, zamyka się w swojej skorupie egoistycznej i żyje tylko jej dobrem. Zczasem społeczeństwo rozmnaża się w marzycieli, deklamatorów, samolubów, a ubożeje w tych, którzy wytwarzają świeżą krew dla jego organizmu¹⁾.

2. Nad uczczonym grobem²⁾.

Żadna literatura nie ma i mieć nie może słońca, około którego krążą i od którego otrzymują światło wszystkie inne planety; żadna też nie miała nigdy i mieć nie będzie ani jednego dnia, w którym to słońce zgasiłoby wszystkie jej gwiazdy. Każda jest i pozostanie firmamentem, na którym one błyszczą podczas wiekuistej nocy.

Żadna literatura nie ma jednego boga, wobec którego ludzie zwyczajni są pobożnymi czcicielami, a niezwykajni — otaczającym go orszakiem świętych; każda posiada wiele potężnych duchów, różniących się między sobą tylko rodzajem i stopniem mocy.

Żadna literatura nie jest królestwem z wszechwładnym i uprzywilejowanym monarchą; wszystkie są republikami, rządzonemi przez genialnych dostojników.

Jeżeli pomimo to w uwielbieniach dla znakomitych pisarzy nazywamy ich słońcami, bogami i monarchami, jest to objaw szlachetnej chęci wyrażenia podziwu i wdzięczności w najwyższych tytułach. Ta wszakże znana intencja osiąga niepożądany skutek. Najzłośliwsza zniewaga tak nie obniży wartości wielkiego człowieka, jak bałwochwalstwo, które w umysłach niezahipnotyzowanych wywołuje reakcję przeciwną swemu zamiarowi. Bo w najbardziej olśniewającym świetle sztucznem nie okaże się on tak wielkim, jak w naturalnem świetle prawdy. To też w obecnem wspomnieniu o Reymoncie strzec się będę chwalczej przesady, ażeby go nią nie zmniejszyć.

Rzecz dziwna: dla odnalezienia w ziemi drobnych grudek złota lub diamentu ludzie biegną w dalekie kraje, skazują się na walkę i niedostatek, poświęcają życie, a dla wydobywania genjuszu, który uważają za najcenniejszy klejnot, żałują małego trudu. Każde społeczeństwo jest mniej lub więcej bogatą kopalnią tych klejnotów

¹⁾ Podpisane: *Posel Prawdy*. — ²⁾ Druk. w *Tygodniku Ilustrowanym*, r. 1926, numer poświęcony pamięci zmarłego autora *Chłopów*.

i żadne nie stara się odnaleźć, oszlifować i oprawić. Pomimo wielokrotnych usiłowań nie udało mi się zawiązać towarzystwa, wyłającego i kształcącego w Polsce młodych genjuszów, których mnóstwo marnieje w niedostatku i zaniedbaniu, a które otoczone opieką stworzyłyby wielki skarb nie tylko narodowy, ale ogólnoludzki. Tymczasem gdybym zapewnił, że o tysiąc mil znaleźć można 100 funtów platyny, natychmiast znalazłaby się gromada chętnych do tej wyprawy. Nie przestawałem jednak poszukiwać tych najpiękniejszych kryształów ducha. Miałem do tego sposobność w skromnym zakresie jako redaktor. Ile w nadesłanych rękopisach przesyłałem i przemyłem piasku, ile zbadałem rud jałowych, może mieć wyobrażenie tylko ten, który taką robotę wykonał. Wynagrodziło mnie za nią kilka szczęśliwych odnalezień, które weszły do skarbca literatury.

Przed trzydziestu kilku laty zjawił się w redakcji *Prawdy* skromny młodzieniec z rękopisem nowelki. Przeczytałem ją i dostrzegłem talent oryginalnego blasku. Przybyłemu nazajutrz oświadczyłem, że nie tylko ją wydrukuję, ale usilnie zachęcam go do dalszej pracy. Z treści zaś jego powiastki zaczerpnąłem pobudkę do takiej rady.

— Czy jesteś pan wierzącym, czy niewierzącym, złóż się z jakąkolwiek kompanją, idącą do Częstochowy, i opisz nastrój jej uczuć.

Usłuchał i z tego powstała jego przepiękna *Pielgrzymka*. Szybko potem rozwinął wielkie skrzydła i zaczął wzbijać się coraz wyżej. Obserwowałem z uwagą i podziwem wszystkie jego loty aż do ostatniego.

Jeszcze Sienkiewicz ogarniał swą czarodziejską władzą cały naród czytający, gdy tuż pod zajęty przez niego szczytem stanęli z wawrzynowemi wieńcami na promieniejących głowach — Żeromski i Reymont. Obaj znakomici powieściopisarze, ale odmienni. Pierwszy, rozmiłowany w nędzach i cierpieniach, wydobywający z życia tragedje istniejące i nieistniejące, napełniający dusze ludzkie bólem rzeczywistym i urojonym, mieszający urąganie ze współczuciem, nastrajający serca na tony wstrętu i rozpacz, dla którego społeczność była zbiorem tortur dla niewinnych i piekłem dla bezgrzesznych, jej niemilkący chór splotem jęków i złorzeczeń. Jedyńm jego uśmiechem była ironja. Po przeczytaniu jego powieści nie chciało się żyć, lub nie wiedziasto się, jak żyć. W swoich olśniewających obrazach wiązał ludzi rzeczywistych z dziwotworami, układając z nich zagadki charakterów i stosunków. Czasem znowu pędził przez kilkadziesiąt stron na wichrowych rumakach przepysznej

prozy, które pod nim padały, które ciągle zmieniał i któremi trącał wszystko, co rosło i kwitło, runawszy na ostatniej stronie bez zdradzenia tajemnicy, dokąd dążył. Raz lamentujący Hiob, to znowu zgorzkniały Salomon, w dziesięć wyrazów wsączający piołunowe krople, a w jeden nadzwyczajną słodycz. Jego medytacje powieściowe podobne są do różańców z pięknie rzeźbionych ziaren pieprzowych, przedzielanych paciorkami brylantowemi. Całkiem przeciwnie Reymont. Kochanek ziemi ojczystej, pieści się z nią ciągle najczulej; poławiacz morza ludu wiejskiego, zanurza się w jego głęboką toń i wynosi z jej dna nieznanne prześliczne perły; szczerzy przyjaciel człowieka, potracając mistrzowskiem dotknięciem najsłabsze struny jego duszy, wydobywał z nich radosne i rzewne dźwięki; z najsmutniejszych dramatów wysączca radość życia. Nad jego obrazami, nawet malowanemi krwią i łzami, rozpięte jest niebo słoneczne. Pamiętaliśmy i uważaliśmy za niedoścignione mickiewiczowskie opisy widoków natury. Zdawało nam się, że już nikt tak nie odtworzy w słowach wschodu słońca lub wiru wiatrów przed burzą. U Reymonta takich obrazów znajdujemy setki, równie pięknych. „Kwietniowy dzień dźwignął się leniwie z legowisk mroków i mgieł, jako ten parob, któren legł spracowany, a nie wywczasowawszy się do cna, zrywać się ano musi nadedniem... Cichość była jeszcze całkiem drętwa, tyle jeno, co rosy kapaly rześiście z drzew pośpionych w macie nieprzejrzany... Ostatnie gwiazdy gasty kiej oczy, śpiączką morzone. Na wschodzie zaś jako zarzewie, roztlewające z pod ostygłych popiołów, jęły się rozżarzać zorze czerwone“... Albo: „Nadchodziła zima. Jeszcze się barowała z jesienią i porykujący tłukła po sinych dalach, jako zwierz srogi a głodny, że niewiada było, kiej przeprze i skoczy i lutemi kłami weźre się w świat... Jeszcze przechodziły dnie osłupiałe, chorością sine, ckne, stękliwe, oropiałe i lamentem przejęte... Jeszcze noce były jesienne, osłęple, głuche, zamętne a pełne strzępów mgieł i brzasków gwiazd pomarłych“...

Pospolici, a często i niepospolici pisarze widzą w życiu przede wszystkim zapamiętałą walkę i słyszą ostre rozdźwięki. Reymont przeciwnie — i to jest jeden z głównych rysów jego umysłu — widzi zgodę i słyszy harmonję. We wsi, w której się rozsnuwa wątek *Chłopów*, występują wszystkie objawy niskich instynktów, wszystkie sploty nienawiści, zazdrości, brutalstwa, pochłonnego egoizmu, jakie się składają na zwykły obraz życia polskiej wsi. A jednakże po przeczytaniu tej powieści, pełnej kłótni, bijatyk, krwawych starć, ordynarnych słów i występnych czynów, doznajemy

wrażenia, że w łonie tej wsi bije tętno zdrowia, zacności, dobroci, zgody. Wielki artysta umie tak cudownie zestrajać najostrzejsze rozdźwięki i najdziksze wrzaski, że z nich powstaje dziwna harmonja.

Wyobraźmy sobie, jakimi słowami byłaby zapisana karta powieści innego autora, przedstawiająca proboszcza wiejskiego, który, odmawiając na polu pacierze, przerywa je uwagami gospodarczemi i powoli wpędza swe konie w cudzą koniczynę.

Byłby to nieszczęśnik, wychłostany szyderstwem lub potępieniem. A tymczasem z pod pióra Reymonta wyszła jedna z najsympatyczniejszych i najjaśniejszych postaci, jakie w tym rodzaju stworzyła literatura powieściowa. Takimi prześwieconymi postaciami są chciwcy, zawadzający, pijacy, cudzołożnice, uwodziciele i t. d., w których Reymont odnajduje pierwiastki szlachetne. To nie bosiaci i nierządnicę Gorkiego¹⁾, to nie okazy zwyrodniałe i rozwścieklone w nędzy, to — ludzie, mieszańcy dobrego i złego z przewagą dobrego.

Nie ujmie to wcale chwały Reymontowi, gdy powiem, że jego mistrzostwo objawiało się tylko w utworach na tle życia ludu wiejskiego. Trzeba jednak rozwiać złudzenie i sprostować omyłkę często wyrażanego mniemania, że chłopci zachwycają się *Chłopami* reymontowskiemi. Bynajmniej. Kto badał upodobania czytelników tej sfery, przekonał się, że oni nie lubią utworów, odbijających własne ich życie. Zbyt łakną wiedzy, ażeby rozkoszować się książkami, które ich niczego nie uczą, i zbyt ciemni, ażeby ocenić arcyzm największego arcydzieła. To też, gdy wszyscy zaczytują się szlacheczkami powieściami Sienkiewicza, rzadko biorą do ręki Reymonta. To też jego epopeja chłopska odślania całą swą pięknoscą tylko czytelnikom inteligentnym, którzy dziś w niej widzą wspaniałe malowidło rzeczywistości żyjącej, a kiedyś widzieć będą zamarłej.

W tej dziedzinie twórczości obok Reymonta stoją skądinąd talenty wielkie — Sienkiewicz, Prus, Konopnicka, ale pod tym względem równać się z nim nie mogą. On jeden odtworzył prawdziwą duszę chłopca, bieg jego myśli, rozwój uczuć, upodobania, dążenia, język, polegający nie na mazurzeniu lub przetykaniu mowy zwyczajnej wyrazami ludowemi, ale na osobliwym słowniku, szczególnych zwrotach, kombinacjach logicznych i składniowych. Gdy odzywa się Balcer²⁾, słyszymy przebranego w sukmanę retora, gdy się odzywa Boryna — słyszymy wszystkich chłopów polskich. W tym arcyzmie był Reymont niezrównany, niedościgniony, najwyższy,

¹⁾ Współczesnego rosyjskiego pisarza. — ²⁾ Bohater poematu Konopnickiej *Pan Balcer w Brazylii*.

a przez tę swoją wielkość w literaturze naszej, a może i powszechniej — sam jeden.

Z wiedzą o jego podziwianych i kochanych dziełach, z pamięcią o jego wielkich przymiotach wielotysięczny orszak odprowadził go do grobu w żalu, w szczerym i głębokim żalu.

STANISŁAW SZCZEPANOWSKI (1846—1900).

Z książki: „Nędza Galicji w cyfrach i program energicznego rozwoju gospodarstwa krajowego“ (1888)¹⁾.

Konkluzje.

(Wyjątki).

Mogliśmy zginąć przed stu laty! Przewrotność, ciemnota i rozpusta jak morze rozlały się po całym kraju — zaledwie tu i ówdzie wynosiły się jednostki, które w ogólnym rozprężeniu i zepsuciu przechowały zarodki życia narodowego. Nierówna walka szlachetnej mniejszości przeciwko najeźdźcom była raczej instynktem bezwiednym, aniżeli ruchem świadomym swego celu i obliczającym swe siły. Ale nigdy bardziej znikoma mniejszość większych cudów nie dokonała. Wszystko, co było tylko niejasnym instynktem, to w naszej literaturze przyszło do samowiedzy. Podczas kiedy dawniej najlepsze chęci, najszczytniejsze poświęcenia marnowały się z braku jasnego kierunku, teraz cel i środki do jego osiągnięcia są jasno wytknięte. Każdy, kto ma oczy, może widzieć, każdy, kto ma uszy, może słyszeć.

Nawet okres od ostatniego powstania nie przeszedł bezużytecznie. Nasza literatura, najszczytniejsza z wszystkich, cierpiała na jeden fatalny błąd, który narazie udaremnił wszystkie jej dobre wpływy. Powoływała ona do podniesienia serc i ducha, do bohaterstwa, ale pole do okazania tego bohaterstwa widziała tylko w walce politycznej. Górnołotną swą pogardą dla życia codziennego i dla zwyczajnych stosunków społecznych odwracała ludzi od pracy około tych podstaw życia społecznego, bez których najszczytniejsze zamiary na nic się nie przydadzą. Tworzyła sprzysiężonych i powstańców,

¹⁾ Według drugiego wydania.

a nie obywateli. Tak, jak klasztory częstokroć działały demoralizująco na społeczeństwo, usuwając z szeregu czynnych obywateli i zamykając w murach klasztornych wszystkich tych, którzyby mogli się stać wzorem szlachetnego postępowania w życiu codziennym i społecznym — tak nasze spiski i powstania tworzyły wzory podniosłości charakteru i bohaterstwa, ale ogałacały społeczeństwo pracujące i zarobkujące ze szlachetniejszych żywności i pozostawiały je na pastwę brudnych ambicyjek i przewrotnych dążeń.

Usuńmy ten jeden błąd, a nasza literatura stanie się najszczytniejszą ewangelją przyszłych obowiązków ludzkości. Przenieśmy na pole usiłowań społecznych, na pole walki o byt choć część tego bohaterstwa, któreśmy okazali w walce o niepodległość, a staniemy się niezwykłymi. To jest bądźmy Polakami nie tylko w chwili, w której trąby wzywają do boju, ale przez całe życie, każdego dnia, w wykonaniu wszystkich obowiązków społecznych, w najpospolitszym czynieniu życia codziennego.

Zaczęłam obraz nędzy Galicji od obrazu nędzy ekonomicznej. Ale ten ohydny obraz materialnego ubóstwa, gnuśności, lekkomyślności i zepsucia jest tylko odbiciem równie ohydny obrazu naszej nędzy moralnej. Nie tylko dusza chorzeje w chorobie ciała, ale i odwrotnie, ciało się staje chorobą, jeżeli dusza jest chorą. Jak pewno, że każde słowo się staje ciałem, tak pewno upadek materialny zawsze jest skutkiem upadku duchowego i moralnego.

Niema też odrodzenia ekonomicznego bez odrodzenia moralnego! Jak nasza nędza nam spowszedniała, jak zubożyliśmy na jej objawy, tak, że nam się dziwnym wydaje, jeżeli ją kto za coś niezwykłego, anormalnego uważa — tak też spowszedniał nam upadek moralny, zubożyliśmy na te wszystkie objawy lekkomyślności i zepsucia, które nas zewsząd otaczają. Ażeby należycie wyobrazić sobie ogrom naszej nędzy, trzeba mieć osobiste doświadczenie krajów zamożnych. Ażeby należycie zrozumieć uniwersalność naszego upadku moralnego, trzeba było żyć w społeczeństwie zdrowym. Pod każdym względem, czyto prawdomówności, czyto pracowitości, obowiązkowości, oszczędności i wykształcenia, przeciętna u Polaka jest niższą od przeciętnej u innych narodów europejskich. Trzeba mieć do czynienia z cudzoziemcami, z innymi narodami, ażeby się przekonać, jak często się trzeba wstydzić tego, że się jest Polakiem, rumienić się za podłość, chciwość, niegodziwość i głupotę współczesników. Na co nam się przyda zasiew bohaterski, jeżeli typu, wyrobionego w nielicznej garści obrońców Ojczyzny, nie upowszechni-

nimy, jeżeli nie zrobimy ogólnym typem narodowym, co już się stało typem wybranych jednostek.

Dlatego też w rozprawie nad nędzą ekonomiczną musiałem rozbiór środków zaradczych zacząć od odrodzenia moralnego. Wszystko inne — okoliczności mogą nam utrudnić, nawet udaremnić, tego nam nikt nie udaremni. Jeżeli tylko sami chcemy, to celu musimy dopiąć, choćby legjony Bismarka były sto razy potężniejsze, choćby się cały świat spiknął przeciwko nam.

Gdyby obecny stan moralny Galicji miał być niezmiennym, to nie wartoby było poruszać jakiegokolwiek śmielszego programu, a tym mniej wartoby odważać się na jego wykonanie. Prawie cała siła umysłowa kraju zwróciła się do samobójczej krytyki tak zbiorowych usiłowań, jak i osobistych zabiegów. Im kto jest u nas zdolniejszym, tym dosadniej potrafi wykazać, że w Galicji nie warto nic przedsięwziąć, i że nic się udać nie może, i że bez zmiany warunków, niezależnych od naszej woli, cały kraj niechybnie do ostatecznej ruiny zdążyć musi, i że nawet wyjątkowe przykłady powodzenia są raczej pozorem i błagą, aniżeli oparte na rzetelnych podstawach. Ten pesymistyczny i sceptyczny stan opinii publicznej jest jedną z głównych przyczyn trudności wydzwignięcia się z naszej biedy. To nie nastrój ducha, ale rozstrój. Niewiara tak samo, jak wiara, przetwarza całe społeczeństwo na swój obraz. To też społeczeństwo galicyjskie przedstawia się raczej, jako kupa rozbitków okrętowych, ratujących się każdy na własną rękę, aniżeli jako załoga statku, wspólnie i mężnie sterująca wśród burzy z pełnym zaufaniem do bicia do przystani.

Liczmy się z faktami!

We wojnie ekonomicznej tak samo wiele zależy na nastroju, jak we wojnie rzeczywistej, w której od pierwszego Napoleona wszyscy wiedzą, że *la morale* jest głównym czynnikiem, pozwalającym korzystać w całej pełni ze środków materialnych, a częstokroć zastępującym je.

Jeżeli jaki naród potrzebuje tej *morale*, tego nastroju, to właśnie Polacy. Bo też niema narodu, który się w ten sam magiczny prawie sposób przemienia i podnosi pod wpływem odpowiedniego nastroju. Historia nasza staje się niezrozumiałą bez uwzględnienia tej właściwości rasowej.

Wychowany od najwcześniejszych lat na matematyce i na naukach przyrodzonych, mając od dwudziestu pięciu lat ciągle do czynienia z cyrklem, wagą i cyframi, pracując usilnie, żeby się pozbyć

wszelkich próżności narodowych, złudzeń patriotycznych, skory do niemiłosiernej krytyki usterek własnego społeczeństwa, przeszedłszy dawno już przez cały ogień krańcowego skeptycyzmu, czuję, ile razy się zbliżam do tego przedmiotu, że wkraczam w krainę cudów. Umiejętności nowożytne dawno już rozwiały wszelkie przypuszczenia o cudach materialnych. Nigdzie i nigdy nie skonstatowano najmniejszego zбочenia od nieubłaganych praw natury. Wszystko, co tylko jest materialnem, albo już zostało zważonem, zmierzonom i obrachowanem, albo z postępowaniem nauki będzie zważone, zmierzone i obrachowane. Ale głębi serca i sumienia ludzkiego nikt jeszcze nie zmierzył. We woli ludzkiej tkwi wieczny zarodek cudów. Mianowicie stosuje się to do Polaka. Nic bardziej uderzającego w naszej historii, jak ta dziwna siła psychologiczna w naszej rasie, ten niewyczerpany zapas elastyczności czy też elektryczności w naszym charakterze, tem bardziej niewyczerpany, im większe klęski na nas spadają. Prawie zrozumiałem się staję, że poeta tego narodu mógł powiedzieć: „Mierz siły na zamiary, nie zamiar podług sił“. Nie można prawie zawiele żądać od Polaka. Jak skarbiec Fortunatusa¹⁾ tem pełniejszym się staję, im więcej się z niego czerpie, tak Polak tem więcej działa, im więcej się od niego wymaga. Dotychczas w całej naszej historii było tylko dwóch ludzi, którzy umieli skorzystać z tego skarbcza. Obaj byli obcy: Batory i Napoleon. „Wiele więc Polaków zostało, książę, przy tobie?“ — pyta Napoleon Poniatowskiego przy odwróceniu z Lipska. „Razem najwięcej 800 ludzi“. — „To dobrze, 800 Polaków to znaczy tyle, co 8.000 innych żołnierzy“. I Napoleon nie zawiódł się — znaczyło też tyle. Kto chce poznać, wiele bohaterstwa i poświęcenia tkwi w naturze polskiej, ten znajdzie na to niezbité dowody w kampanjach napoleońskich. I przecie to nie były jednostki odosobnione, ale cały naród. Wszystkie warstwy społeczne: szlachta, lud i mieszczaństwo. W roku 1812 Księstwo Warszawskie wystawiło 100.000 ludu do boju, nowe wysilenia nastąpiły w roku 1813. Działo się to wszystko na najszerzej widowni, przed oczyma całej Europy. Niechaj kto czyta nasze tysiączne pamiętniki, odnoszące się do tych czasów, niechaj kto przejrzy we Falkowskiego „Obrazach z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce“ opis odwrotu z Moskwy, kiedy Polacy byli jedyni, którzy przyprowadzili wszystkie swoje armaty i wszystkie swoje chorągwie, — lub opis walk w Niemczech w roku 1813, lub we Francji w roku 1814, kiedy każdy generał francuski starał się mieć

¹⁾ Popularnego bohatera średniowiecznej powieści fantastycznej.

choć kilku oficerów polskich, przyłączonych do swojego oddziału, na przykład bohaterstwa i poświęcenia, — a największy krytyk, największy skeptyk musi przyjść co najmniej do przekonania, że człowiek w człowieka, pojedynczo i zbiorowo nie ustępujemy pod względem hartu duszy i podniosłości charakteru żadnemu narodowi na świecie.

To mimowolne poczucie wyższości, które się znajduje u każdego Polaka, objawia się na każdym kroku w naszej historii, tak w naszych zwycięstwach, jak i w naszych klęskach. We większej części naszych walk zawsze uderza dysproporcja sił, zawsze garstka walecznych wobec liczebnej przemocy, zawsze zwycięstwo energii i ducha nad ślepią liczbą i siłą materialną. Kiedyż my się kiedy liczyli, kiedyż największa przemoc materialna zastraszała Polaka? Ale stąd też ten fatalny brak obrachowania, odróżnienia tego, co możliwe, od tego, co niemożliwe, wiara w zwycięską siłę zapału i poświęcenia, a nieumiejętność cierpliwego i wytrwałego przygotowania tych materialnych podstaw działania, bez których poświęcenie jest tylko próżnem marnowaniem najszlachetniejszych sił narodowych.

To mimowolne poczucie wyższości znajduje się w równej mierze u naszych najbardziej zwątpiałych pesymistów. Każdy z nich czuje tę siłę w samym sobie i gryzie się brakiem poparcia przez otoczenie. Ale każdy ma to przekonanie, że gdyby Polacy byli tem, czem być powinni, czemby być mogli, toby podotali każdemu zadaniu.

Niema pospolitszej i grubszej myłki, jak ta, która przypuszcza, że rozwój sił ekonomicznych jest wyłącznie wpływem egoizmu, łakomstwa i chciwości. Jest to pogląd zaszczipiony w naszej literaturze przez bezmyślne powtarzanie starożytnych autorów i zastosowanie do świata nowożytnego maksym stoików greckich i rzymskich. Gdyby tak było, jakiż to rozkwit ekonomiczny powinienby być u nas panować od dwudziestu lat! Gdyby rozwój gospodarstwa krajowego miał tylko zależeć od egoizmu, łakomstwa i chciwości, od braku skrupułów i sumienia, od przewyciężenia wrodzonej szlachetności polskiej, tośmy z pewnością w tym okresie przyswoili sobie w niezwykłej mierze te siły ekonomiczne i prześcignęli nietylko szczepy aryjskie, ale i semickie w tych przymiotach! Kompletność nawrócenia się do nowej wiary nic nie pozostawia do życzenia. Wyrzekliśmy się do szczętu wszystkich naszych mrzonek i szaleństw. Paulus nie różnił się bardziej od Saula, jak terażniejszy trzeźwy, praktyczny, polsko mówiący Galicjanin od dawnego, niepraktycznego Polaka, marzyciela i rewolucjonisty.

Ale gdzie zniwo, gdzie bogate plony tych cennych sił ekonomicznych, tego gwałtu, zadanego naturze polskiej?

Chciwość i łakomstwo mogą prowadzić do lichwy, do gry giełdowej, do stolika z kartami, do polowania za posagami, za synekurami, do sprzedawania nazwiska na parawan brudnych interesów; ale przynigdy do rozwoju ekonomicznego.

Rozwój ekonomiczny nigdzie na świecie jeszcze się nie pojawił bez współdziałania przynajmniej — rzetelności, uczciwości, pracowitości i umiejętności, bez użycia lub przynajmniej nadużycia sił zdrowych i dodatnich. Dlatego też w społeczeństwie chorem, zepsutem i zgangrenowanym, nie brak egoizmu, ale brak tych rzetelnych i zdrowych podstaw, bez których o rozwoju sił ekonomicznych mowy być nie może.

Dlatego też każdy okres rozwoju ekonomicznego zawsze był zarazem okresem twórczości i energii. Przedsiębiorczość wcale nie jest naturalnym wynikiem chciwości i łakomstwa, chociaż może być niekiedy podsycana przez te namiętności. Ale oprócz tego wymaga jeszcze odwagi, śmiałości, wiedzy i umiejętności.

Hiszpanie, którzy zdobyli Amerykę w wieku szesnastym, byli chciwymi i okrutnymi, ale zarazem śmiałymi i odważnymi. Awanturnicy angielscy, którzy za królowej Elżbiety oddawali się polowaniu na niewolników murzyńskich i srebronośne galery hiszpańskie, byli nieludzkimi, ale awanturniczość ich przybierała rozmiary bohaterskie. Tak samo Holendrzy w okresie bohaterskim swej historii utworzyli państwo kolonjalne, a w osiemnastym wieku już nie umieli nic innego robić, jak tylko królom i cesarzom europejskim na lichwę pożyczać. To nie samo tylko łakomstwo pociągnęło akcjonariuszów francuskich za Lessepsem¹⁾ do Suezu lub do kanału Panama, ale urok wielkiej myśli. To nietylko chciwość stworzyła państwo kolonjalne angielskie, handel i przemysł angielski, ale zamiłowanie w pracy twórczej, to upodobanie w przewyciężaniu trudności, które się również pojawia w ich wycieczkach na szczyty gór Alpejskich lub Himalajskich, w ich polowaniach na lwy w Afryce, tygrysy w Indjach, w tych tysiącznych ekscentrycznościach, które Anglik popełnia, ażeby móc powiedzieć, że dokazał czegoś, czego żaden człowiek przed nim nie dokazał. Ale u Anglików, Francuzów i Holendrów wiedza i twórczość bynajmniej nie wyklucza egoizmu. Przeciwnie, zwykle przymioty te łączą się i nawzajem się potęgują. Typem człowieka w społeczeństwach zachodnich zawsze jeszcze jest to zwierzę drapieżne,

¹⁾ Inicjatorem i twórcą kanału sueskiego, a współtwórcą panamskiego.

żądne krwi lub ofiar ludzkich. Rozbój publiczny dawno ustał, ale cały rozwój ekonomiczny pod doktryną wolnego handlu to tylko rozbój pod formami legalnemi. Najszlachetniejsze pojęcie rozboju ekonomicznego jeszcze panuje u Anglików: „a free field, fair play and no favour, and devil take the hindmost“ (pole wolne i równe dla wszystkich bez faworu, a niechaj djabli biorą tego, kto w wyścigu pozostanie ostatnim). Zawsze zwierzęta drapieżne, ale przynajmniej szlachetne, jak lwy. U innych szczepów natomiast daje się odkryć cała skala mniej szlachetnych zwierząt drapieżnych, od hien i tygrysów do lisów i wilków. Ale przy całej niższości sprzężyn moralnych, nigdzie nie było rozwoju ekonomicznego bez odwagi i wiedzy. — —

Ale tego połączenia egoizmu z odwagą i wiedzą u Polaków nigdy nie spotkać. Żaden z naszych rozbójników społecznych nie rozbijał ani na tak wielką skalę, ani tak umiejętnie, jak rozbójnicy w społeczeństwach zagranicznych. Nie brakowało i nie brakuje na dobrych chęciach, ale Polak już z natury nie jest zwierzęciem drapieżnym. Wyzuwszy się z wrodzonych poczuc obywatelskich, wyzuwa się zarazem z wszystkiego, co stanowi potęgę człowieka. Wiedza i odwaga, która gdzie indziej towarzyszy egoizmowi, u nas wyklucza go, i w narodzie polskim zawsze się tylko pojawia w związku z podniosłością charakteru i z wyrobionem poczuciem obywatelskim. — — Stąd też mimowolny wstręt wpływowych warstw narodu do samej nazwy rozwoju ekonomicznego, jako równającej się zmaterializowaniu społeczeństwa.

Z tej przyczyny też usiłowałem wykazać, że nietylko pobudki egoizmu, ale najszlachetniejsze pobudki obywatelskie przemawiają u nas za skupieniem wszystkich sił na tem polu. Dlatego starałem się wykazać, jak u nas niemoc ekonomiczna wyrobiła niemoc polityczną, a brak wytrwałości i umiejętności w pracy ekonomicznej doprowadził do zależności majątkowej i do upadku samodzielności i charakterów. Jeżeli była kiedy walka święta, to jest nią walka ekonomiczna o ziemię rodzinną, walka o godność, tak niezbitnie wymagającą niezależności majątkowej. Ta walka może być skuteczna tylko za współdziałaniem wszystkich najszlachetniejszych sił narodowych, do której się każdy przyczynić powinien słowem, piórem lub czynem, przykładem lub posłuszeństwem, oszczędnością, wytrwałością i pracowitością.

ROMAN DMOWSKI (ur. 1864).

Z książki „Myśli nowoczesnego Polaka“ (1904).

Charakter narodowy.

Na to, żeby żyć w pełni życiem nowoczesnym, żeby wydawać z siebie tyle, ile w obecnych warunkach wydawać musi zarówno jednostka, jak i społeczeństwo, żeby tem samem dzielnie współzawodniczyć z innymi narodami a sobie lepszą zgotować przyszłość, nam brak nie tylko dostatecznej kultury, nie tylko odpowiedniego wychowania, ale wprost brak nam pewnych zalet charakteru.

Za mało się zastanawiamy nad sobą pod tym względem i zamało siebie znamy; z drugiej strony podróżujemy mało i podróżujemy nieumiejętnie, skutkiem czego nie znamy innych narodów. Nie wiemy tedy, co stanowi naszą niższość i co może stanowić wyższość we współzawodnictwie dzisiejszego życia międzynarodowego.

Mamy wprawdzie niejasne poczucie wad naszego charakteru, poczucie będące częstokroć źródłem zupełnego zwątpienia o przyszłości naszej, ale gdy przychodzi do wyraźnego określenia rzeczy, zadawaliśmy się zwykle ogólnikami, nie próbując ściślej tych wad określić, ani zdać sobie sprawy, skąd się one wzięły, o ile są powszechne i o ile trwałe.

Reakcja popowstaniowa objawiła się u nas między innymi w wybujałej samokrytyce. Dwie szkoły naraz, stańczycy krakowscy i pozytywiści warszawscy, każda po swojemu zaczęły odzierać duszę narodu z pięknych szat, w które ją miłość i fantazja ustroiła, wykazywać, żeśmy marniejsi od innych, że pierwszym naszym zadaniem poprawić, zreformować swój charakter, wytępić wady narodowe, nauczyć się od obcych tego, co stanowi ich zalety. Reakcja ta ma się obecnie ku końcowi, ale myśl, wdrożona przez nią, jeszcze w danym kierunku pracuje. Tymczasem już zaczyna występować na widownię nowe pokolenie, wnoszące wiarę w siły, zdolności, zalety narodowe, której nawet towarzyszy częstokroć dążność do idealizowania charakteru polskiego, nie tylko usiłująca zachować i rozwinąć naszą duchową odrębność, ale stawiająca typ polski ponad inne. Gdy z jednej strony jeszcze się mówi o potrzebie niemal pozbycia się swego charakteru i przyswojenia sobie innego, z drugiej wynosi się wysoko zdolności i charakter polski jako wyjątkowe

¹⁾ Według wydania trzeciego (1907).



Jan Matejko: Stefan Batory pod Pskowem.



Jan Matejko: Hołd pruski.

i mówi się tylko o potrzebie wzmocnienia i rozwinięcia tego, co stanowi naszą narodową indywidualność.

Wogóle z kwestją polskiego charakteru narodowego nie możemy sobie poradzić. Nie wiemy, czy jest on naszą plagą, czy naszym skarbem, czy być dumnymi z niego, czy się go wstydzić. Mówimy, żeśmy wyjątkowo silni indywidualiści a jednocześnie przyznajemy, że z nas słabe charaktery; podkreślamy, że Polak zanadto jest sobą, ażeby mógł działać wspólnie, w organizacji, innym znów razem narzekamy, że nam trzeba przymusu, ostrogi, lub, mówiąc ordynarnie, bata, bo inaczej gnuśniejemy; jedni powiadają, że mamy bardzo wyraźny, stały, od wieków się niezmienny charakter narodowy, inni, że go wcale nie mamy...

Jak się w tym labiryncie nie zgubić? jak wybrnąć z tego chaosu sprzeczności, które się zjawiają przy ocenie wszystkich niemal stron naszego charakteru? Bo czyż np. nie słyszymy, żeśmy narodem najwięcej miłującym wolność i jednocześnie, że nikt tak jak my nie umie się upokarzać, uginać karku pod jarzmo? żeśmy narodem najbardziej rycerskim i — wyjątkowymi tchórzami? żeśmy najgorętsi patrioci i — najłatwiej zdradzamy sprawę publiczną dla prywaty?...

Kwestja charakteru narodowego nie jest zagadnieniem czysto literackim, obojętnem dla życiowych praktyków, dla działaczy. Chcąc zbudować cośkolwiek stałego — czy będzie szło o program działania w jakiejkolwiek dziedzinie, czy o budowę jakiejś instytucji szerszego znaczenia, czy wreszcie o samoistną budowę państwa, do której właściwie przygotowaniem jest wszelka prawdziwie narodowa działalność — musimy zawsze i przede wszystkim liczyć się z charakterem narodowym, ze zdolnościami i właściwościami moralnymi naszej rasy, inaczej bowiem organizacja nie będzie funkcjonowała zdrowo, a nawet samo jej istnienie długie nie będzie.

Co to jest polski charakter narodowy?...

Gdy się mówi o charakterze Niemców, Francuzów, Anglików, poszukuje się znamion wspólnych członkom różnych warstw danego narodu i zbiór tych za charakter narodowy się uważa. Obok tego rozróżnia się typy społeczne, stanowe w każdym narodzie. Mówiąc o wspólnych Francuzom wszystkich stanów właściwościach charakteru, nie zapominamy, że typ francuskiego *bourgeois* jest ogromnie daleki od typu francuskiego szlachcica. U nas tę rzecz bierze się inaczej. U nas za charakter narodowy przyjmuje się charakter szlachcica polskiego — bo szlachta prawie wyłącznie doniedawna stanowiła naród — miesza się przytem typ stanowy z typem narodowym i uważa się za podstawowe właściwości charakteru polskiego to, co

się wytworzyło w jednej warstwie społecznej, pod wpływem specjalnych warunków jej bytu i co ze zmianą tych warunków jest skazane na szybką zagładę.

Warunki, w których wyrósł i psychicznie się wykończył typ szlachcica polskiego, były tak odmienne od wszelkich innych w cywilizowanym świecie, że charakter jego musiał stać się czemś ogromnie różnym od wszystkiego, co gdzie indziej spotykamy. Ale wielkim błędem jest uważać znamiona charakteru, które powstały dzięki tym specjalnym warunkom, za podstawowe właściwości naszej rasy. Warunki te znikły, a w następstwie znika powoli i typ przez nie wytworzony; nigdy się one na naszej ziemi nie powtórzą, więc i typ nigdy się nie odrodzi.

Szlachta polska była zupełnie odmiennym tworem społecznym od szlachty innych narodów. Powołana do zorganizowania i utrzymania państwa na kresach cywilizacji, w kraju, w którym europejskie życie ekonomiczne i jego środowiska — miasta były zaledwie w początkach rozwoju, uzyskała szlachta niepodzielną władzę. Pomógł jej do tego fakt, że w dobie dziejowej, kiedy się ważyły losy żywiołu mieszczańskiego w Polsce, ostatni, pochodzący przeważnie z obczyzny, z Niemiec, nie był jeszcze dość spolszczony, dość zespolony z krajem, ażeby czuć się silnie w swoich prawach i objawiać szersze aspiracje polityczne. Z tej władzy skorzystała szlachta dla powstrzymania rozwoju miast i doprowadzenia ich do ostatecznej ruiny. Byłoby to w normalnych warunkach na długi czas niemożliwe, bo wzrastająca wytwórczość kraju, jego stosunki handlowe ze Wschodem i Zachodem musiałyby czasami pociągnąć za sobą wzrost siły stanu mieszczańskiego. Polska wszakże miała liczny i niesłychanie szybko w ostatnich stuleciach rzeczypospolitej wzrastający żywioł, gotowy stać się surogatem mieszczaństwa, nie aspirującym do władzy politycznej, do żadnego wpływu na losy państwa. Żywiołem tym byli żydzi. Tylko dzięki im, przy ich pomocy szlachta zdolna była zrujnować zupełnie miasta, pozbyć się w nich współzawodnika politycznego i zapewnić sobie do końca wyłączne, niepodzielne w rzeczypospolitej rządy. W tem istnieniu licznej ludności żydowskiej, nie poczuwającej się do żadnej wspólności z narodem, stąd pozbawionej wszelkich aspiracji politycznych, a dążącej jedynie do materialnego wyzyskania kraju i jego ludności, leżało najważniejsze w końcu źródło oryginalności stosunków Polski historycznej. Dzięki żydom Polska została narodem szla-

¹⁾ Znaki autorskie.

checkim do połowy XIX stulecia, a nawet dłużej, bo jest nim dziś jeszcze w pewnej mierze; gdyby nie oni, pełniąc opłataną przez nich funkcję społeczne część ludności polskiej byłaby się zorganizowała, jako współzawodnicząca ze szlachtą siła polityczna, jako stan trzeci, który tak doniosłą rolę w rozwoju społeczeństw europejskich odegrał i stał się głównym czynnikiem nowoczesnego życia społecznego. Gdyby nie oni, wystąpienie na widownię mieszczaństwa w dobie Sejmu Czteroletniego byłoby zjawiskiem bezporównania potężniejszym, o ileby nie nastąpiło znacznie wcześniej.

Pociągnęło to za sobą skutki, które zadecydowały o losach państwa polskiego.

Zostaliśmy społeczeństwem niekompletnem: cała gałąź doniosłych, najbardziej skomplikowanych funkcji ekonomicznych przeszła w ręce żywiołu, do społeczeństwa nie należącego. Losy zaś narodu i państwa spoczęły w rękach jednej warstwy, która sama znalazła się w warunkach egzotycznych, nie wymagających wysiłku do utrzymania się przy władzy i przywileju. To właśnie zadecydowało o typie psychicznym szlachcica polskiego, typie, według którego zwykliśmy określać nasz charakter narodowy.

Jakkolwiek często można słyszeć zdanie, że charakter narodowy jest czemś stałym, co przez wieki całe nie ulega zmianom, rzeczywistość zaprzecza temu jak najwyraźniej. Przedewszystkiem narody dzisiejsze nie składają się z jednolitego materiału rasowego, a różne składniki rasowe danego narodu w różnych warunkach społecznych mogą zmieniać swą rolę i stopień wpływu społecznego, wyciskając przez to silniejsze lub słabsze piętno na charakterze narodowym. Francuz np. dzisiejszy jest pod wielu względami zaprzeczeniem tych pojęć, które nam o charakterze narodowym francuskim przekazali nasi ojcowie. Oni sobie wyrabiali te pojęcia wtedy, kiedy ton życia francuskiemu nadawała szlachta, potem zaś przyszła rewolucja, która szlachtę zmiotła z widowni, a na jej miejsce wysunęła inne warstwy, różniące się od niej nie tylko rolą społeczną, ale pochodzeniem, rasą; szlachta bowiem na ogromnym obszarze Francji była żywiołem napływowym, przedstawiającym nawet typ fizyczny zupełnie odmienny od reszty ludności.

Pomijając zresztą wielkie przewroty, zmieniające się stopniowo warunki społeczne mogą mniej lub więcej sprzyjać zdobywaniu przewagi przez ten składnik ludności, który posiada wrodzone przyrodzone, uzdalniające go do wybicia się nawierzchni w danych warunkach. W społeczeństwie, jak w przyrodzie, odbywa się dobór, wpływający z mniejszej lub większej zdolności do życia rozmaitych

typów rasowych. Nasz naród wcale nie jest jednolitszy rasowo od innych: pierwiastki słowiańskie mieszają się w nim z pokaźną przymieszką germańskich różnego pochodzenia, od górno-niemieckich do skandynawskich, fińskich w ogromnej liczbie, litewskich, tatarskich, mongolskich i t. d.; dawniej w mniejszym stopniu istniała, a świeżo w większym przybyła przymieszka żydowska. Pierwiastki te, skutkiem tego, żeśmy młodsi historycznie i żeśmy żyli mniej skomplikowanym życiem ekonomicznym, o wiele mniej się zamalgamowały, niż w społeczeństwach zachodnich, skutkiem czego mniej nawet od tamtych jesteśmy jednolici. Olóż pierwiastki, które dawniej były przygłuszone, dzisiaj mogą w sprzyjających warunkach nawierzch wypływać, a przez to wyciskać silniejsze piętno na charakterze narodowym. Czyż kto zaprzeczy, że w dzisiejszym typie życia ekonomicznego i w obecnym momencie ekonomicznego rozwoju łatwiej od innych zdobywają sobie byt u nas ludzie z przymieszką krwi niemieckiej lub żydowskiej? Wprawdzie główna przyczyna może tu leżeć w pochodzeniu ze szczepów, mających wyższą tresurę ekonomiczną, niż polski, ale coś trzeba też położyć na karb zdolności rasowych.

Z drugiej strony warunki społeczne muszą wywierać wychowawczy wpływ na charakter narodu, urabiając go nawet w jednostkach w tym lub innym kierunku. W miarę też przekształcania się typu życia społecznego musi się i charakter narodowy odpowiednio przekształcić.

W naszym charakterze narodowym, a właściwie w tem, co za nasz charakter narodowy uważamy, wiele możemy zrozumieć, zastanowiwszy się głębiej nad wpływem warunków życia szlachcica polskiego na jego typ psychiczny.

Jak rozwój organiczny polega na coraz ściślejszem uzależnianiu wzajemnem tkanek, organów i składających je komórek, tak rozwój społeczeństwa prowadzi do coraz ściślejszej zależności wzajemnej poszczególnych warstw i składających je jednostek. Im społeczeństwo więcej posunięte jest w rozwoju, im więcej jest społeczeństwem, tem mniej jednostka w stosunku do innych członków społeczeństwa jest, czem chce być, a tem więcej, czem być musi. Nie trzeba się tem martwić, bo ten przymus społeczny prowadzi do poddania szablonowi bardziej powierzchownych sfer życia duchowego jednostki, nie naruszając głębszej istoty ducha, i tam, gdzie ona jest silna, ułatwia tylko rozwój jej indywidualnej odrębności na wyższych szczeblach. Anglicy np. są społeczeństwem, w którym przymus społeczny, a stąd sformalizowanie zewnętrznej strony ży-

cia jest najsilniejsze, a jednocześnie nigdzie nie spotykamy tak silnych jak w Anglii indywidualności duchowych.

W społeczeństwie szlacheckiem w Polsce wzajemne uzależnienie jednostek było niesłychanie słabe, tak słabe, że nie było to w całym tego słowa znaczeniu społeczeństwo. Dzięki przelaniu całej sfery funkcji społecznych pierwszorzędnej wagi na żywioł obcy, żadnymi węzłami moralnymi z resztą ludności nie związany, to społeczeństwo szlacheckie znakomicie izolowało się od reszty narodu i w niezwalczanym przez nikogo przywileju wytworzyło sobie warunki egzystencji wprost cieplarnianej, prowadzonej bez współzawodnictwa, bez walki, bez wyłężania energii, bez zużytkowania zalet osobistych, bez narażania się na zgubę przez wady i słabości własne. Los przeciętnego szlachcica nie zależał zupełnie od jego zdolności i właściwości charakteru, był on tak obwarowany przywilejem i normą życia, że osobiste przymioty bardzo mało o nim decydowały: mógł on być genjuszem i kretynem, mógł być człowiekiem chrystusowej moralności i nikczemnikiem, mógł być wcieleniem energii i klasycznym niedołągą, wkońcu nawet, w okresie upadku mógł być równie dobrze tchórzem, jak rycerzem — zawsze mógł według normy szlacheckiej żyć i zachować swe moralne stanowisko wśród braci-szlachty, bo przez to samo, że był szlachcicem, był członkiem rodziny.

Tak też było. Obok człowieka światłego przez miedzę siedział ignorant, obok cnotliwego — podły, obok dzielnego — tchórz i niedołąga; często jeden i drugi zajmowali równe wśród braci-szlachty stanowisko, jednemu i drugiemu jednakowo się powodziło. Porównajmy to położenie społeczne z położeniem np. kupca. Ten nie może być głupi, ale i nie wolno mu być zbyt wyrafinowanym umysłowo; nie może być nieuczciwym, ale też źleby wyszedł, gdyby był idealistą; nie może być niedołążnym, ale też zgubiłaby go energia, rozpierająca pewne ramy. Jednym słowem, ten musi być czemś, podczas gdy szlachcic polski bardzo mało musiał, a przeważnie był, czem chciał. Chciał siedzieć w księgach — to siedział, chciał gardzić sztuką czytania i pisania — mógł gardzić; chciał być dobroczyńcą swego otoczenia — to był, chciał być jego plagą — mógł także; chciał życie oddać za ojczyznę — to je oddał, chciał ją zdradzić — to zdradzał. W Polsce jak kto chce — mówiło przysłowie.

I tu leży tajemnica naszego indywidualizmu, którym, zdaje się, zanadto się szcycimy, obejmując nim wszelką dowolność, kapryśność, fantazję, która hula, gdy nie znajduje przeszkody. Przecież

ten szlachcic polski z ostatnich czasów rzeczypospolitej i z okresu porozbiorowego, przy całej swej bujnej indywidualności, był dzieckiem, istotą bez charakteru, łamiącą się, a raczej gnącą pod lada naciskiem. W swej duchowej indywidualności był to olbrzym, ale olbrzym w rodzaju dronta, owego ptaka z rodziny gołębiej, który wyrósł w olbrzyma dzięki temu, że w swej siedzibie na wyspach oceanu nie miał współzawodnictwa, że nikt mu nie przeszkadzał bujać. Gatunek dronta po odkryciu wysp, ze zjawieniem się człowieka szybko bardzo wyginął; typ szlachcica polskiego z przejściem kraju w nowoczesne normy życia w większości także już ustąpił z pola, a w resztkach swych ciągle ginie bezpowrotnie.

Szlachcic polski, zwłaszcza w ostatnich wiekach istnienia rzeczypospolitej, nie miał swego odpowiednika w żadnym ze społeczeństw europejskich. Tam położenie szlachty było odmienne: inny był stosunek do reszty społeczeństwa, inny do władzy królewskiej, inne prawa, inne obowiązki względem państwa, inne wreszcie warunki życia ekonomicznego. Tam musiał on walczyć o to, co chciał mieć, musiał bronić z wysiłkiem swego przywileju, w Polsce zaś żył, jak roślina cieplarniana, bez współzawodnictwa, bez walki, bez niebezpieczeństwa utraty tego, co posiadał, — pod względem politycznym w coraz większą opiekę brało go prawo, a właściwie przywilej, pod względem ekonomicznym — żyd. Wkońcu zabezpieczył się nawet od potrzeby walczenia z wrogami państwa, powiedziawszy królom swoim, że nie chce wojen prowadzić. W tych warunkach musiał zatracić właściwości duchowe, które człowieka czynią zdolnym do nieustannego wysiłku, które pozwalają mu na każdym kroku reagować na nacisk zewnętrzny. Sprzyjało to rozrostowi natur szerokich, ale nieskupionych, pełnych rozmachu, ale pozbawionych wytrwałości, fantastycznych, kapryśnych, niekonsekwentnych, lekkomyślnych. Po dziś dzień jeszcze rzadkość u nas stanowi człowiek, trzymający siebie w garści, umiejący komenderować sobą; po dziś dzień wszystko przeważnie zależy u nas od dobrego lub złego humoru, od chwilowego nastroju, od kaprysu poprostu. W najważniejszych sprawach żyjemy między zapałem a zniechęceniem.

Typ psychiczny szlachcica polskiego, jako całość, ginie bardzo prędko, zwłaszcza od czasów zniesienia pańszczyzny na ziemiach polskich; częściowo wszakże jego znamiona pozostały u inteligencji polskiej szlacheckiego pochodzenia, nawet u tej, którą los wyrzucił z ziemi, i wiele z nich nieprędko ulegnie niszczącemu wpływowi nowoczesnego życia. Tem silniejsze też jest złudzenie, że są to znamiona istotne charakteru polskiego wogóle. Na poparcie tego

złudzenia dodaje się, że chłop nasz ma w charakterze te same właściwości, i dla ilustracji przytacza się przykłady zubożonych chłopów, którzy wykazują wszystkie wady szlacheckie. Przykłady te nic nie znaczą. Można pokazać Niemców spolszczonych w pierwszym lub drugim pokoleniu, którzy niczem prawie od polskich szlachciców się nie różnią. W społeczeństwie, w którym ton życia nadaje pierwiastek szlachecki — a tak u nas jest i dziś nawet — wszelkie żywioły, wpływające do góry, mimowoli upodabniają się szlachcie. Nawet żyd, kupiwszy majątek ziemski, zapuszcza sumiasty wąs i zamaszystemi ruchami robi szeroką naturę.

Życie wszakże robi swoje. Przemiany prawne, postęp ekonomiczny upodabniają nasz kraj innym krajom europejskim. Zaczyna się wytwarzać podobny do swych odpowiedników w innych społeczeństwach typ polskiego kupca, przemysłowca, technika, kantorzysty i t. d.; na roli nawet zamiast pana-szlachcica zaczynają się zjawiać w niezupełnie jeszcze czystej postaci typy nowoczesne: agrarjusz — wielki producent i mniejszy — farmer. Gdy ta przeróbka społeczna się uskutechni, wtedy porównując analogiczne typy społeczne w naszym i w innych społeczeństwach i notując, czem się one od tamtych różnią, będziemy mogli zdać sobie sprawę z tego, co to jest właściwie nasz charakter narodowy, a raczej czem ten charakter będzie, bo dziś bardzo szybko się on przekształca.

Trzeba stwierdzić, że znaczną część właściwości charakteru, które się później tak bujnie rozwinęły w szlachcie polskiej, wykazywaliśmy w pewnej mierze już w zaraniu naszych dziejów. Należeliśmy do typu ludów biernych, usposobionych pokojowo, żyjących z płodów przyrody a nie szukających łupu, do typu napadanych a nie napadających. Niewątpliwie ten przyrodzony charakter naszego szczepu stanowił znakomity podkład dla rozwoju typu szlacheckiego. Ale z drugiej strony trzeba pamiętać, że nie byliśmy znów tak zupełnie biernym gatunkiem, bośmy przecie wytworzyli państwo — mniejsza o to, czy przy pomocy najazdu, czy bez niego — państwo zaborcze, przez długi czas napadające raczej sąsiadów, niż napadane przez nich. Zresztą nie zapominajmy, że społeczeństwo pruskie, będące tak biegunowem przeciwieństwem naszego typu szlacheckiego, w znacznej mierze ulepiło się z tego samego materiału rasowego, co nasze, że dzisiejsi, nienawistni nam, ale jednocześnie pod wielu względami tak nam imponujący Prusacy — to potomkowie wspólnych nam przodków lub bliskich ich krewniaków, Słowian nadłabskich, Pomorzan i w ogromnej liczbie czystej krwi Polaków. Ten sam w znacznej mierze materiał, tylko wychowany

w innej szkole państwowej, dał tak silny, żywotny, tak czynny politycznie naród, że zdołał on zorganizować całe Niemcy, rozbite do niedawna i wyzute z najelementarniejszych instynktów politycznych.

Przez przyjęcie typu szlacheckiego za przedstawiciela polskiego charakteru narodowego, przypisaliśmy sobie i uznali za leżące w podstawie naszej natury całe mnóstwo zalet i wad, które nie są wcale tak istotnymi, których się z konieczności pozbywamy i prędzej czy później pozbędziemy. Szlachcic np. polski, dzięki cieplarnianym warunkom swego życia, wyrobił w sobie, zwłaszcza w stosunku do braci-szlachty, cnotę bezinteresowności, znakomicie harmonizującą z jego wadami. Będąc bezinteresownymi jako jednostki, szlachta jako naród stała się też bezinteresowną, zaprzestała myśleć o jakichkolwiek zdobyczach. Dzisiejsze warunki życia, pod grozą ulegnięcia w walce o byt, nie pozwalają nam być osobiście bezinteresownymi, szybko też pozbywamy się tej, dość wątpliwej zresztą cnoty, ale słabe uobywatelenie jeszcze nie zmusza nas do przeniesienia tej zmiany na naród: to też często ten, co jako jednostka dawno już wziął rozbrat z wszelką bezinteresownością, co niezdolny jest nawet do oddania czegokolwiek ze swego na cele publiczne, w imieniu narodu gotów jest okazywać najczystsza bezinteresowność, zrzekać się wszystkiego, do niczego nie aspirować. Ale i to czasem musi zniknąć.

Uważając za charakter narodowy to, co nim nie jest, co było przemijającym wytworem danego ustroju społeczno-politycznego, popadamy często w pesymizm co do naszej narodowo-politycznej przyszłości i przestajemy wierzyć dla siebie w możliwość samoistnej egzystencji państwowej. Gdy przemiany społeczne, odbywające się dziś szybko w naszym społeczeństwie, sięgną głębiej w duszę narodu, wtedy przekonamy się, żeśmy ani tacy miękcy, ani tak lekko-myślni z natury, ani tak niestali, ani tak niezgodni, jak tradycja o nas mówi. Pod wpływem postępującej szybko wewnętrznej przeobrażki społecznej narodu przyjdzie czas, że Polacy nie tylko się staną zdolni do stworzenia samoistnego, silnego państwa, ale że to państwo stanie się koniecznością. I ten czas może wcale nie jest tak bardzo odległy.

Pozwoliłem sobie na parę porównań z dziedziny biologii. Jeszcze raz do niej wrócę. Zna ona dwa rodzaje skupień wielokomórkowych: niższe, w których komórki luźnie są ze sobą związane, bez wzajemnego uzależnienia, są to t. zw. kolonje komórek; i wyższe, w których elementy składowe, ugrupowane w tkanki i organy, żyją w ścisłej wzajemnej zależności — są to organizmy. Społeczeństwo

szlacheckie w Polsce było tak luźnymi spojone węzłami wewnętrznymi, z tak słabym uzależnieniem wzajemnym składowych części, że porównać je można z owymi kolonjami. Dlatego tak łatwo poszedł podział kraju, dlatego tak słabo odczuwały go rozdzielone części, poszczególne dzielnice. Dziś, gdy pod wpływem szybkiego rozwoju życia w normach nowoczesnych postępuje szybko społecznienie, gdy stajemy się coraz więcej organizmem społecznym, coraz silniej odczuwamy ten rozdział, coraz wyraźniej zdajemy sobie sprawę z tego, żeśmy poddani kalectwu, coraz mocniej reagujemy na nie, objawiając dążność do zjednoczenia moralnego, które musi się odbyć przed zjednoczeniem politycznym.

W dzisiejszym okresie budzenia się szerszych aspiracji narodowych należy widzieć nie tylko reakcję na popowstaniowe przygnębienie, ale początek przerodzenia się narodowego, przetworzenia się pod wpływem nowych stosunków społecznych na normalny, zdrowy naród, zdolny do samoistnego, zdrowego bytu politycznego.

Jednym ze znamion tego okresu jest właśnie obudzenie się wiary w siebie, w zdolności swej rasy, w charakter narodowy. Wiara ta, jak każda silna wiara, z konieczności musi się łączyć z silnymi złudzeniami. Do tych złudzeń właśnie należy przypisywanie charakterowi polskiemu jakiegoś wyidealizowanego indywidualizmu, bezinteresowności i t. p. zalet, zapewniających nam odrębne od wszystkich narodów stanowisko, nakreślających nam specyficzne drogi narodowego rozwoju. Te mniemane znamiona charakteru narodowego są w gruncie rzeczy pozostałościami typu moralnego, wytworzonego w społeczeństwie szlacheckim i w przeważnej części swych właściwości skazanego na zagładę. Dobrze jest o tem pamiętać.

STANISŁAW WITKIEWICZ (1851—1915).

Z dzieła p. t. „Matejko“ (1908).

(Analiza obrazów „Batory pod Pskowem“
i „Hołd pruski“).

Obraz, który pod względem siły i głębokości wyrazu jest równy prawie Kazaniu Skargi, to Poselstwo moskiewskie przed Batorym. Król, klęczący przed nim Moskale i Possewin, jest to tak głęboki, tak subtelny, tak przejmujący moment psychologiczny,

wypowiedziany z taką niesłychaną jasnością, z tak ścisłym ujęciem środkami malarskimi głębi dusz, otchłani myśli, że obraz ten prawie mówi słowami i, nie przekraczając malarstwa, wyraża więcej, niż ono zwykle może powiedzieć.

Co to za potęga ten jezuita!

Prostu dreszcz przejmuje przed tą tajemniczą siłą, przed tą niezbadaną głębią myśli, przed tą zaciekłością kamiennie spokojną i upartą, przed tem fatalistycznym ciężeniem jego woli nad wszystkim, co się dookoła niego dzieje, i nad wszystkim, co ogarnia jego myśl bezdena. Ten czarny, tak skromnie ubrany mnich, który ledwie porusza dłonią, patrzy gdzieś w swój cel daleki, dla którego łamie i niszczy energję takiego ducha, jak Batory, takiego rozumu, jak Zamojski, takiego państwa, jak Polska, która przed tym nieruchomym czarnym mnichem cofa się, jak wezbrany burzą ocean przed nienaruszalnym spokojem skalistego łądu. Czem są dla niego Batory, Polska, Moskwa? Tylko liczbami równania, tylko ogniwo sylogizmu, który w jego głowie się ułożył. Matejko skryształizował w tej postaci to fantastyczne prawie wyobrażenie o wszechmocy jezuitów, z jakim ludzie o nich myślą.

Wykazać taką siłę, taką władzę w tej bez ruchu i jakby w porcorze pochylonej postaci, jest to zabić całą włoszczyznę, gestykulującą w całej sztuce europejskiej¹⁾. Nic bardziej nie wyraża indywidualności Matejki, jego cech najszczególniejszych, i nic lepiej nie ujawnia jego najdoskonalszych przymiotów artystycznych, jak ta figura Possewina. Jest to absolutna antyteza pojmowania takich przemożnych bohaterów, jakie dotąd panowało w sztuce. Żadnej pozy — żadnych nakazujących gestów, żadnych czarodziejsko-prestidigitatorskich efektów²⁾. Cała siła i cała moc nad ludźmi skoncentrowana w twarzy, z której dobywa się wewnętrzna ponura energia duszy — niepokonana, jak przeznaczenie.

Co myśli ten Batory, pod którego spuszczone powiekami czai się niezuzyta energia zwycięzcy, zahamowana siła czynu i jakaś kamienna duma, jakaś myśl daleka i smutna, a którego palce tak złowrogo uderzają w miecz obnażony?

A Moskale? Jest to cały świat nowy, który się ukazał w obrazach Matejki, przeciwstawiając się tej sferze wysokiej kultury polskiej, którą on dotąd malował. To wyrażenie dusz prostaczych, żyjących pod nieustanną przemocą i grozą siły zewnętrznej, dusz niewolniczych, które do stóp Batorego przygnał knut władzy i które

¹⁾ T. j. przedstawianie uczuć postaci ludzkiej zapomocą jaskrawych gestów, na sposób maniery plastyków włoskich XVII w. — ²⁾ Prestidigitator: magik, kuglarz.

patrzą z zabobonnym strachem i nieufnością na tajemniczą, skupioną i groźną jego postać, — jest niezrównane. Matejko silnie podkreśla różnicę tych dwóch światów: najwyższej swobody i godności jednostki ludzkiej i najniższego poniżenia w niewoli, podkreśla, przeciwstawiając tej tatarszczyźnie, klęczącej i bijącej czołem, Polaków, którzy ze spokojem i zupełną pewnością swojej niezależności radzą pod płachtami namiotu króla, czując się mu równymi i mając nad sobą wspólną z nim kierowniczą ideę, upostaciowaną w sztandarze z białym orłem. I niema w tem żadnej przesady, żadnej tendencyjnej karykatury — tak było. Matejko dopowiedział tę myśl w innym obrazie, w Iwanie Groźnym, obrazie, któryby mógł zdobić ściany izby jakiegoś kaha-oprawcy, a który pomimo całą okropność jest zaledwie cieniem historycznej prawdy. Jakkolwiek pod względem typu postowie Iwana różnią się zbiorowo od Polaków, niemniej indywidualny charakter każdego zosobna oddany jest z tą matejkowską nieprześcignioną doskonałością formułowania ludzkiej postaci.

Cały ten obraz mieści się właściwie w tych trzech ogniwach psychologicznych: w Batorym, Possewinie i w Moskalach, w tym węźle, zadziergniętym między duszami, w tem skrzyżowaniu się dróg myśli i uczucia, którego skutków konkretnych, faktycznych, obraz nie może ujawnić, choć samą siłą napięcia tych dusz wskazuje, że będą niezmiernego znaczenia. Biorąc ściśle, Batory, Possewin i Moskale są pierwiastkami obrazu, przemyślonemi i przeczutemi na nowo. Reszta polskiej strony, oprócz pysznej głowy Haraburdy¹⁾, którego twarz ma jedyny może w całym tłumie matejkowskich postaci szczery wyraz radości, i oprócz stojącego przy nim człowieka o zadziwiającym indywidualizmie nawet wśród matejkowskich ludzi, reszta nie wyróżnia się niczem wybitnie od tego, co przedtem Matejko malował.

Batory odznacza się jasnością układu, powściągliwością w użyciu szczegółów, skoncentrowaniem świadomości na głównym motywie psychicznym. Jest tu jeden naiwny szczegół symboliczny, ten husarz, który patrzy na Batorego i czeka, czy już może schować szablę do pochwy na znak pokoju, — ale nie narzuca się on w sposób rażący.

Obok tego Hołdu moskiewskiego, złożonego pod groźbą dobytego miecza, oto Hołd pruski, wynik myśli politycznej, złożony przez ludzi równego poziomu kultury — symbol stosunku

¹⁾ Starca z siwą rozłożystą brodą, widocznego na obrazie w głębi między głowami Batorego i Possewina.

prawnopolitycznego, który nie poniża hołdującego, chociaż stwierdza przewagę tego, komu jest złożony.

Z pomiędzy szeregu wielkich obrazów Matejki, Hołd pruski jest jednym z najjaśniej skomponowanych, pod względem zaś doskonałości pojęcia, sformułowania i namalowania figur jest bodaj najświetniejszym. Cała ta grupa króla i klęczących i stojących przed nim Prusaków robi wrażenie czegoś wyczelowanego w bronzie, czegoś nienaruszalnie doskonałego, ujętego w formę, której jasność, czystość, ścisłość, pewność i świadomość jest szczytem opanowania środków malarstwa. Ten król i sztandar z czarnym orłem, i potężne postacie Albrechta i towarzyszy, i te dwie figury paziów, tak niezrównane w rysunku, tak piękne w stroju i żywe, i ten magnat w zielonej sukni aksamitnej¹⁾, który jest najwspanialszem wcieleniem ducha odrodzenia, ducha, który unosił się nad całym europejskim światem, a w Polsce był tak u siebie, jakby się tu urodził — wszystko to tchnie siłą, powagą, przepychem, wielkim spokojem ludzi pewnych swojej mocy, spełniających czyn, który im się zdaje nieodwołalnym. Matejko jednak wie, co z tego będzie po wiekach — i każe wiedzieć o tem Stańczykowi...

Cała górna część obrazu, gdzie główna scena ujęta jest w postaci ludzkiej, widziane z profilu, i cały charakter obrazu, jego czystość i wyrazistość kształtu, jego pyszna, dotykalna plastyka, wszystko to robi wrażenie kolorowej rzeźby. Jest to tak uderzającym, że od wielu już lat propaguję myśl, która powinna się urzeczywistnić, gdyż, jak mi się zdaje, byłaby ona i pomnikiem sztuki Matejki, i pomnikiem historii, i ozdobą tego cudownego rynku krakowskiego. Trzeba Hołd pruski wyrzeźbić ściśle podług obrazu i w tej samej wielkości umieścić na ścianie Sukiennic nawprost ulicy św. Jana, w tem miejscu, gdzie widać ślady wypłowiałego obrazu. Ta scena z czasów potęgi Polski odbyła się tu, na tym rynku i na tle tychże samych Sukiennic, które Matejko umieścił w głębi obrazu. Kamienie mówią dużo, ale powiedzą więcej jeszcze, kiedy z nich będzie wołać tak potężny głos wielkiej sztuki. Mieć zawsze przed sobą z taką siłą oddaną chwilę z wielkiej doby przeszłości jest to zapewne silniej odczuwać upadek i nędzę, ale jest to zarazem stale mieć przed oczyma świadomość zmienności losu narodów, które w wielkich okresach czasu mogą przechodzić kolejno od potęgi i chwały — do upadku i niewoli, i naodwrot, odradzać się i wracać do niezależności i siły. Hołd pruski na rynku kra-

¹⁾ Na pierwszym planie z lewej strony, sięgający ręką do misy z pieniędzmi, trzymanej przez pacholka.

kowskim byłby zarazem jakby głosem końcowych słów psalmu: Ale i ty, Babilon, strzeż dobrze swej głowy!... Mówiłby on do tych, którzy niegdyś przysięgali na klęczkach wierność królowi polskiemu, a którzy dziś...

Gdyby Matejki nie porwała zwykła rozbieżność myśli, która mu kazała na pierwszym planie umieścić parę anegdot obyczajowych, obraz ten byłby wzorem kompozycji, z nadzwyczajną samowiedzą celu przystosowanej do sceny, którą ma przedstawiać. Te sceny anegdotyczne nietylko rozrywają wrażenie swoją akcją, wdzierając się do świadomości widza, ale naruszają budowę obrazu, która wymagałaby tu szerokiej, wielkiej płaszczyzny, jakby wspornika, utrzymującego całą ciężką górną część sceny, i będącej zarazem przeciwstawieniem natłoku figur po lewej stronie. W Matejce było jakby dwóch ludzi, dwóch artystów, którzy niezawsze umieli stąpić się w jedno i nadawać wspólnemu dziełu jednakie wrażenie całości. Matejko, który tworzy obraz w wyobraźni, widzi go, jako jednolity wyraz danego zdarzenia, wynikającego ze splątania się sprzecznych lub zgodnych uczuć rozmaitych ludzi. Widzi scenę, która ponad swoją malowniczością rozegrywa się cała na twarzach, które, będąc odbiciem jego własnej, zawsze jednej i tej samej duszy, nadają całemu pomysłowi spójnię i jednolitość wyrazu. Ale Matejko, który obraz wykonywa, — rozważa, rozumuje i wprowadza doń różnorodne pierwiastki myślowe, wynikające z innego stanu duszy, z innego usposobienia, a które w malarstwie muszą przybierać pewne formy i barwy, muszą zabierać część obrazu dla siebie, i to z takim despotyzmem, że pierwotny, jednolity jego charakter ulega rozbiciu, chwieje się i rozprasza. Widzi on wielki wypadek historyczny, ujęty w kilka postaci, które wyobraża z jasnością, siłą i dobitnością niestychaną, lecz on jednocześnie tę historję bada w szczegółach, on wie, co się działo dnia tego i tego lub mogło się dziać, gdyż obyczaje na to pozwalały lub tego wymagały, i wszystko to usiłuje wtłoczyć. W stosunku do przedstawionego w obrazie faktu zajmuje on dwa stanowiska: historyka i spisywacza anegdot; w książce mogą się one łączyć i dawać całkowite zobrazowanie chwili — w obrazie jedno drugiemu przeszkadza i niszczy spójnię jego kompozycji.

Nietzsche¹⁾ mówi, że się zczasem lubi nietylko to, czego się pożąda, ale samo pożądanie; sama funkcja, która służy do zdobycia czegoś, staje się potrzebą, staje się konieczną czynnością duszy

¹⁾ Sławny filozof niemiecki XIX w.

i ciała. W sztuce spotykamy się z tem ciągle, a u Matejki w stopniu najwyższym. On cały swój świat musiał wybudować sam, własną myślą i czuciem, musiał z prochu wytworzyć ludzi i ich rzeczy, nie widma, nie ogólniki konwencjonalne, ale żywych ludzi, żywe delje, żupany, zbroje i pióropusze, i studja w tym kierunku stanowią ogromną część pracy, którą zużyła jego twórczość. Bezkarminie tego się nie robi, ogarnia czasem człowieka pasją do widzenia, dotykania, odtwarzania tych rzeczy, do ujawniania, choćby dla własnego zadowolenia, całego bogactwa erudycji historyczno-obyczajowej i związanych z nią szczegółów rzeczowych, archeologicznych. Ten drugi Matejko, ten niezmordowany pracownik, ten szczery malarz, rozkoszujący się zjawiskami wzrokowymi dla ich własnej treści, ten malarz i kronikarz bierze górę nad Matejką-twórcą idei obrazu i zatracą ją w mnóstwie szczegółowych, mniejszego znaczenia zagadnień czysto malarskich lub obyczajowo-archeologicznych. Jeden Matejko czuje głęboko i namiętnie, z siłą i ostatecznym napięciem duszy to, co się dzieje z upadającą Ojczyzną sprzedaną i zhańbioną, ale ten drugi Matejko, ten malarz realistyczny, ten wiecznie pasjonowany odtwarzacz rzeczywistości, w sali, w której rozgrywa się tragedia rozbioru¹⁾, widzi kawałek złoczonego ornamentu oberwanego na drzwiach i pozostałą po nim plamę surowego drzewa, widzi rozdartą aksamitną draperję i wszystkie haftki i pętelki rejtanowego kontusza, i brylanty orderów, i polyski atlasów, i miękkość skóry, i zgniecione pióro, i leżący na podłodze dukat — i, z całą namiętnością wielkiego temperamentu, rzuca się na te drobiazgi i niedrobiazgi i, zapominając o Polsce, Rejtanie, Stanisławie Augustcie, o tragedji straszliwej, wpija się w nie całą siłą swego wielkiego talentu i maluje dotykane, wypukłe do najmniejszego polysku, do najślabszego refleksu, żywe własnem osobistem życiem rzeczy, które zajmują pewną przestrzeń, z którymi coś się dzieje i które pochłaniają część uwagi widza. To jest jednym z tragizmów matejkowskiej sztuki, w tem tkwi jej sprzeczność wewnętrzna i niezgodność z psychologją widza, w tem widnieje brak koordynacji między aparatem wzrokowym a stanami psychicznymi. Nie można jednocześnie cierpieć na widok nieszczęścia i oglądać materiału, z którego jest zrobione ubranie ludzi, którzy są tem nieszczęściem dotknięci. Świadomość w tym wypadku panuje nad zmysłami i pozwała oku tyle tylko widzieć, ile to jest potrzebne dla uświadomienia nieszczęścia. Ileż razy mamy oczy otwarte, patrzymy, a nie

¹⁾ W obrazie *Rejtan*.

widzimy nic. Patrzyć a widzieć — są to dwie zupełnie różne sprawy. Ołóż Matejko czasem nie umiał, nie mógł tak skoncentrować swojej świadomości, żeby logicznie utrzymać wrażenie, które leży w założeniu obrazu. Wyobraźmy sobie, że ktoś opowiada o scenie *Hołdu pruskiego* i jako jeden z najważniejszych epizodów historycznego zdarzenia, w którym kryły się takiego znaczenia wypadki, uważa obicie przez jakiegoś człowieka, może przez specjalnego urzędnika, pauprów krakowskich różgami, żeby pamiętały o dniu tym¹⁾. Co byśmy myśleli o umysłowości takiego opowiadacza? A jednak Matejko czyni to w swoim obrazie, obrazie tak zresztą świetnym. W malarstwie miejsce, które przedmiot zajmuje, jego wielkość w stosunku do innych przedmiotów, siła światła i barwy, która zeń promienieje, stanowią o jego większem lub mniejszem w obrazie znaczeniu; zrobiwszy na pierwszym planie ilustrację anegdoty obyczajowej z życia przeszłości, Matejko nadał jej znaczenie wyjątkowe, uczynił ją współrzędnym czynnikiem w akcji, który się odbywa u góry — współrzędnym ze złożeniem przysięgi hołdowniczej przez księcia Albrechta. W tym, jak i w innych obrazach, jest pełno zawsze prawie podobnych kompozycyjnych niekonsekwencji, które są tem bardziej widoczne, że Matejko z całą siłą plastyki wydobywał każdy taki motyw, że nie wchodził w żadne kompromisy i ten swój zawzięty realizm wkładał w każde pociągnięcie pędzla, na wszystkich planach całego obrazu. I tylko dzięki tej niesłychanej potędze wyrazu, jaka bije z twarzy przez niego malowanych, dzięki tej olbrzymiej sile charakteru jego postaci, obrazy jego nie stają się studjami martwej natury i wzorami zabytków archeologicznych. Zniżyć o odrobinę skalę napięcia uczuć i siłę ich wyrażenia, a dusza uleci z matejkowskich obrazów, pozostawiając skorupę barwnych i dotykalnie prawdziwych strojów, muzealną garderobę, która zdumiewa bogactwem i przepychem okazów. Ale we wszystkich obrazach Matejki, z dobrych chwil jego twórczości, wyraz życia jest z tak niesłychaną siłą wypiętnowany na twarzach, z taką nieustraszoną pasją wrąbany w ich mięśnie, że człowiek żywy, czujący, drgający namiętnością i wzruszeniem, góruje w nich ponad przepychem purpury i aksamitów, adamaszków, atlasów, altembasów, sobolich szub, lśniących pancerzy, złotolitych pasów, turkusów, pereł, strusich i orlich piór, dywanów perskich i makat tureckich, skór tygrysich i lamparcich, weneckich koronek, zło-

¹⁾ Mowa o scenie (niewyraźnej w dołączonej reprodukcji), odbywającej się na pierwszym planie pośrodku, na obrazie *Hołd pruski*.

tych haftów, skór korduańskich — góruje ponad bezcennem bogactwem cywilizacji, łączącej w sobie blaski wschodniego i zachodniego świata.

W tem wielkość i siła talentu Matejki¹⁾.

KAZIMIERZ MORAWSKI (1852—1925).

Głos żywy i słowo nieżywe w starożytności i w dzisiejszym świecie²⁾.

Kiedy z dzisiejszego społeczeństwa i państwa, w którym pisanie tak ogromną gra rolę, w którym pióro chce kierować czynami i wysunęło się niemal na stanowisko głównej sprężyny w rządzie i administracji, przeniesiemy się wzrokiem i myślą w odległe wieki, w dziedzinę państw starożytnych, uderzy nas zasadnicza pod tym względem odmienność ich ustroju: przekonamy się stanowczo, iż to rozpanoszenie się pióra jest nowszych czasów nabytkiem, że w starożytności przeważało słowo żywe w wielu zakresach, z których dziś je martwa wyparła litera. Człowiek nowożytny nie może sobie wystawić maszyny państwowej bez tysięcy biur i siedzących za nimi pisarków. Sparta tymczasem nie miała ani kancelarii państwowej, ani pisarza urzędowego na swoje usługi. W nowożytnym państwie siępiętrzają się z dniem każdym coraz wyższe stosy dokumentów, archiwów, zawierających często martwe i nieżywotne piśmidła, służące bezmyślnym potomkom ich autorów natchnieniem do równie bezmyślnych wytworów. W starożytności tymczasem pamięć ludzi często zastępowała archiwum; w różnych państwach greckich spotykamy urzędników, opatrzonych tytułem *mnemones*, którzy w swej pamięci utrwalali i przekazywali następcom układy i zarządzenia przeszłości. To, co dzisiaj nieme pismo roznosi po biurach, urzędach i całym kraju, rozbrzmiewało w państwie starożytnym głosem heroldów, obwieszczających po rynkach, ulicach i wiejskich nawet ustroniach wolę rządu i nakazy. Znaczenie i przewaga żywego głosu w państwie starożytnym ujawnia się również w tem, od mężów po-

¹⁾ Adamaszek — tkanina (dawniej wyłącznie jedwabna) o desieniu niby wypukłym z motywów roślinnych lub zwierzęcych; atlas — połyskliwa, gładka tkanina, przeważnie jedwabna, zbita i ciężka; altembas — tkanina o osnowie jedwabnej, wątku złotym; makata — kobierzec, złotem tkany na tle jedwabnym; skóra korduańska — wyprawna sposobem, z którego słynęli Maurowie w mieście hiszpańskim Kordobie. — ²⁾ Z książki „Rzym. Portrety i szkice“ (wyd. w r. 1921).

litycznych żądano w pierwszym rzędzie wymowy, a ludzi przewodnich w państwie wprost mowcami, retorami zwano. Mowcy i w Atenach, i w Rzymie wybijali się na kierujące stanowiska, a ludzie bez daru słowa skazani byli na bierność lub podrzędne działania. Żywy głos był wreszcie głównym środkiem w starożytności do szerzenia i udzielania sobie potocznych wiadomości. U nas załatwia to przeważnie druk i rozwieleniona prasa, której potęgi ani wszechwładztwa starożytność nie znała. Dlatego wieści, pogłoski tak wielkie miały u ludów klasycznych znaczenie, że aż w bóstwa osobne wcielano ich potęgę: Ossa występuje u Homera, Feme u Hezjoda, Fama z atrybutami boskimi u Rzymian. Ustna wiadomość obiegała miasta i sioła i, w miarę szerzenia się, stroiła się w coraz nowe rysy i często urojone szczegóły. Przynoszono ją na towarzyskie zebrania i uczy, które wskutek tego większą miały doniosłość, niż w dzisiejszych czasach. Były one jednym z głównych życia i współżycia objawów i dlatego Rzymianin nazwał je *convivia*¹⁾, przypisując im niemałe społeczne znaczenie. Żywy głos we wszystkich wspomnianych zakresach spełniał zadania, w których dziś nieme pisanie i czytanie się rozwieleniło.

Po tych ogólnych uwagach, które nam uwidocznily przedział wieków i zasadnicze między starożytnością i nowszymi czasami różnice, przypatrzemy się szczegółowo uprzywilejowanemu stanowisku, jakie słowo wobec cichej myśli w starożytności dzierżyło. A zaczniemy od myśli samej.

* * *

Człowiek nowoczesny i człowiek północny mówi mniej od ludzi południa, którymi byli i Rzymianie, i Grecy. Jest on bardziej zamknięty w sobie, nie ujawnia ani wszystkich tajni, ani zakłany procesów i walk swego wnętrza, uważa zbytnią gadalliwość za rys raczej dziecięcy lub prostaczy. Grek starożytny natomiast zbliżał się pod względem wielomówności raczej do dziecka żywego i nie cofał się przed odślanianiem wszelkich zarodków i rozwoju swej myśli. Plato nazwał przecie myśl rozmową ze samym sobą, a jako rozmowa występowała też ona niewątpliwie często głośno w życiu i występuje nierzadko w literaturze. Homerowski bohater, rozważając, co mu czynić wypada, przemawia do siebie: Rzekł on następnie urażon do swego ducha zacnego.

Greki częstokroć więc głośno myślał, a to pojęcie rozważania jako rozmowy ze swym duchem pociągnęło za sobą ten skutek, że mo-

¹⁾ = biesiady, rozmowy biesiadne (od *convivere* = współżyć).

nolog, który nam ludziom północnym wydaje się czemś nienaturalnym, miał zupełne uprawnienie w greckiej poezji i szeroko wybujał. Prowadziło to dalej do tego, że autorzy filozoficzne roztrząsania ubierali często w formę rozmowy, już to znów ze samym sobą, już to w kształt dialogu między wielu osobami, żeby tylko wspomnieć Marka Aurelego rozmyślania, skierowane do własnej osoby, i nieśmiertelne utwory Platona. Stąd pochodziła pewna wielomówność dialogów platońskich; nowoczesny filozof prowadzi szybko do wniosków i wyników swych rozważań, nie zatrzymując się długo przy wszystkich przesłankach. Platon natomiast wielbi głośną myśl i lubuje się w rozciąganiu przed nami całego rusztowania budowy, wszystkich zakrętów swoich wywodów, które powoli do ostatecznego celu zmierzają. Pewna gadatliwość jest znamioną dla wielu utworów greckiego ducha, rozmiłowanego po wszystkie czasy w szermierce słowa i języków.

* * *

Głośno więc objawiała się częstokroć myśl w starożytności, a niemniej głośno rozbrzmiewała rozmowa z Panem Bogiem czyli modlitwa, która u nas kryje się przeważnie nietylko przed wzrokiem, lecz i uchem bliźniego. U św. Mateusza (6, 6—7) czytamy te wspomniane słowa Chrystusa Pana: „A gdy się modlicie, nie bądźcie jako obłudnicy, którzy się radzi w bóżnicach i na rogach ulic stojąc modlą, aby byli widziani od ludzi... Ale ty, gdy się modlić będziesz, wnijdź do komory swojej, a zawarty drzwi, módl się Ojcu twemu w skrytości... A modląc się, nie mówcie wiele, jako poganie: albowiem mniemają, iż w wielomówności swojej będą wysłuchani“. — Zupełnie inne przekonania żywili pod tym względem starożytni ludzie i wręcz przeciwne Chrystusowym dawali przepisy. Cicha modlitwa uchodziła za coś nagannego, niebezpiecznego, bo w niej mógł błagalnik przemycić do bóstwa różne poziome prośby, wychodzące nawet częstokroć na krzywdę bliźniego. Epikur twierdził, że gdyby bóstwo wysłuchało wszelkie tajne prośby, do niego w cichości zanoszone, życzliwość ta zaciężyłaby złowrogo na mieniu, nawet istnieniu bliźnich. Dlatego wzywano do głośnej modlitwy, w której nie uchodziło zdrożnych pragnień i prośb wyjawiać przed bóstwem i... świadkami. A oprócz tego panowało przeświadczenie, że błaganie, głośno wyrażone, jest donioślejszem i łatwiej dochodzi do uszu Boga. Im ważniejszym był więc przedmiot modlitwy, im gorętszem pragnienie, aby się bóstwa do prośby przychyliły, tem głośniej powinna ona rozbrzmiewać. Wskutek tego matka u Juwenalisa

(10, 289), zatroskana o przyszłość swych dziełek, błaga Wenere o krasę dla synów dosyć cicho, a głos dopiero podnosi, kiedy córom piękność zamierza wyprosić. Natężeniu pragnienia wtórowało więc natężenie modlitwy i mowa bardziej doniosła.

* * *

Niemniej rozbrzmiewał głos ludzki przy innych czynnościach, które w dzisiejszych czasach cisza ostantia. Wiek nasz jest wiekiem czytającym: czytanie wzmogło się niepomiernie u tych zarówno, którzy chcą czas wyzyskać, jak u tych, którzy zamierzają go zabić. Bo czytanie może być pracą i myślą lub formą lenistwa i bezmyśli. Ta ostatnia zapewnia ludziom, którzy trudu nie zaznali i na wytchnienie nie zasłużyli, luby spoczynek przy czytaniu lichych powieści i lichszych jeszcze dzienników. W starożytności znacznie mniej czytano i czytano w razie danym inaczej. Lektura była przedewszystkiem rzadszą, bo była mniej wygodną. Kto brał zwój zapisany w swe dłonie i jedną ręką go przytrzymywać, a drugą rozwijać był zniewolonym, ten ani o zbyt wygodnem siedzeniu, ani o miękkim ciele i ducha wywczasie marzyć nie mógł. Prócz tego sama techniczna strona czytania przedstawiała pewne trudności; pismo bywało niewyraźne, wyrazy mało oddzielone od siebie, znaki pisarskie rzadko ułatwiały prędkie tekstu zrozumienie; więc też człowiek zamożniejszy oszczędzał sobie tych mozołów i trzymał wyszkolonych lektorów w zastępie swych niewolników, którzy wyuczili się zwalczając te trudności i zwycięsko je pokonywać. *Anagnostai* czyli lektorzy, którzy posiadali sztukę dobrego i dźwięcznego czytania, należeli więc do najcenniejszych członków niewolniczej czeladzi. Ale człowiek, który nie miał pod ręką i na usługi swoje lektora lub sam czytać zamierzał, inaczej także czynność tę uprawiał, niż to dzisiaj się dzieje. W starożytności panował bowiem zwyczaj głośnego czytania nawet wtedy, kiedy się czytało samemu. Skłaniała do tego natura samej literatury, która nietylko myślą zajmować i kształcić, ale i dźwiękami cieszyć i ucho pieścić zawsze zamierzała. Wywoływała dalej ten objaw żywość południowca; po dziś dzień ludzie prości i dzieci częstokroć głośno czytać przywykli, a po kawiarniach włoskich nierazko się słyszy ludzi, nagłos odczytujących swe dzienniki. Ciche rozczytywanie się w księdze uchodziło w starożytności za coś nadzwyczajnego; św. Augustyn opowiada nam w *Confessiones*¹⁾, że pewnego dnia zeszedł św. Ambrożego na czytaniu i za-

¹⁾ „Wyznania“.

znacza wyraźnie jako objaw wyjątkowy, że głos Ambrożego przytem i język spoczywały (*Vox autem et lingua quiescebant*).

Również zaś przy pisaniu głos, który u nas jest przytem zupełnie niemym, miał w starożytności swe prawa. Plato nazwał pisanie marnem mowy zastępstwem, a Goethe nadużyciem mowy (*Missbrauch der Sprache*). Dziś jednak pisanie i pisanina rozwieliły się z krzywdą żywego słowa, a nawet z krzywdą czynu, przed którym niejednym pisaniem się uchyla. Najwięksi nauczyciele ludzkości, Sokrates i Epiktet, niczego nie pisali¹⁾; Chrystus Pan żywą nauką i słowem wyłącznie działał na słuchaczy. Ale oczywiście pisano także w starożytności i pisać musiano; czynność ta jednak przeważnie odbywała się w odmienny od naszego sposób. Sam spisywał człowiek jedynie doraźne pomysły, najpoufniejsze listy, robił notatki; rzeczy jednak, przeznaczone dla szerszego grona, przeważnie dyktowano. A do takiego pisania niezbędną była sztuka ozdobniejsza, poprawna; więc osobna warstwa ludzi, zwana *librarii* lub *notarii*, stała tu na posługi autora. Głos tedy był czynnym przy samej dzieła koncepcji, a to nieobliczone skutki pociągało za sobą, przyczyniało się walenie do większej dźwięczności i gładkości formy językowej. — Św. Paweł dyktował np. swe listy do gmin skierowane; jedynie list do umiłowanego Filemona, który mu wypłynął doraźnie z pod serca, własną napisał ręką. Ten zwyczaj dyktowania tak był powszechnym w starożytności, że słowo *dictare* w późnej łacinie stało się synonimem *scribere*, pisania. I temu zawdzięcza niemiecka nazwa poetów, *Dichter*, swój początek. Z pewnym też zastrzeżeniem przyjmować należy twierdzenia średniowieczne, odmawiające sławnym i znakomitym osobistościom dzieł sztuki pisania. Twierdzono to np. o Karolu Wielkim, z większym już prawdopodobieństwem o naszym Jagiellu. Przeważnie należy twierdzenia tego rodzaju tak rozumieć, iż ludzie wybitni niekoniecznie posiadali sztukę ozdobnego pisania, które było zadaniem i zajęciem wspomnianych notariuszów.

* * *

A głos towarzyszył książce nawet w dalszych jej kolejach za starożytnych czasów. U nas księga się rodzi w ciszy samotnej pracowni, a potem przechodzi do rąk cicho ją czytającego nabywcy. U Greków i Rzymian losy księgi, która na świat wychodziła, były znów nieco odmiennymi. Autor towarzyszył jej przy pierwszych krokach, stawianych na arenie publicznej; zanim się przedostała

¹⁾ Epiktet — filozof-stoik I w. po Chr.

w szerokie koła czytelników, sprawiał on jej chrzest wśród ciałniejszego grona wybrańców, a chrzest ten był zarazem reklamą i zaleceniem na dalsze jej koleje. W Grecji ustalił się oddawna ten zwyczaj, że zarówno prozaicy, filozofowie i historycy, jak i przedewszystkiem poeci występowali przed publicznością z odczytami swych nowych utworów; literatura ta wszakże w pierwszym rzędzie przeznaczoną była dla słuchaczy, nie dla czytelników. A z Grecji zawitał ten zwyczaj recytacji do Rzymu i szczególnie w czasach augustowskich zagnieżdził się na dobre. Stały się one tu niebawem codziennym życia umysłowego objawem, nawet plagą, przed którą się nie było bezpiecznym w żadnym miejscu i w żadnej porze roku. Recytowano po salach, kąpielach publicznych, nawet pod gołym niebem, spiekota lipca i sierpnia nie chroniła przed natrętymi, żądnymi upustu i zbytu deklamatorami. Wędrujący poeci nagabywali wszędzie swe ofiary, porównywano ich do dzikich zwierząt, nieprzebaczących nikomu, do pijawek, krew wysysających z ofiary; niepoahamowany poeta Eumolpus deklamuje u Petronjusza¹⁾ nawet wtedy, kiedy fale zalewają okręt i śmierć nieszczęśliwym podróżnym w oczy zagłada. Plinusz młodszy²⁾ opisuje nam w sposób jaskrawy i barwny podstępny poetów, czyhających na swe ofiary, wybiegi słuchaczy, którzy chcą przynajmniej skrócić sobie chwile męczarni i katongi. Opowiada nam tedy, jak autorzy napędzają do sali wykładowej publiczność, jak zapewniają sobie klakę, a z drugiej strony przedstawia nam słuchaczy, którzy przed drzwiami troskliwie się wypytyują, jak daleko recytator postąpił, czy rzecz ma się ku końcowi, po tem zapewnieniu wkraczają śmieiej przed oblicze oprawcy. Bo według słusznego twierdzenia wielkiego uczonego ród ludzki wobec niczego nie objawia większej odporności, jak wobec długiego odczytu. A zwyczaj ten recytacji wpływał znów wielokrotnie na formę literatury; dźwięczność wielka języka mogła jedynie oczarować i trzymać na uwieży umysły, pewne podnioślejsze ustępy, powtarzające się od czasu do czasu, — *lumina ingenii*³⁾ — odświeżać i krzepić uwagę i wywoływać poklaski. Pisarz zaś, poddający się tej próbie ogniowej, dobitnie się przekonywał, czy dzieło jego posiadało dostateczną ozdobność i gładkość, aby je można w świat szeroki wypuścić. Było to więc i reklamą, i próbą generalną. Reklama ustna towarzyszyła następnie dziełu także w księgarni. Zdarzało się często, że ksiąg przekupnie odczytywali klientom piękniejsze ustępy autorów,

¹⁾ Pisarz łaciński I w. po Chr., odmalowany w powieści *Quo vadis*. — ²⁾ Literat rzymski II w. po Chr., autor sławnych *Listów* obyczajowych. — ³⁾ Błyski talentu.

aby zalecić swe skarby do kupna. Tak więc głos żywy niańczył utworom od chwili ich powstania przez dalsze ich losów koleje.

Recytacje zastępowały poniekąd starożytnemu człowiekowi produkcje muzyczne i koncerty. Wrażliwość na dźwięki słowa i pragnienie upajania się żywym słowem znajdowały w nich zadosyćuczynienie. Podobnych wrażeń czy rozkoszy można było zażyć również przy produkcjach deklamatorów, którzy na urojonych i zmyślonych tematach, zaczerpniętych czyto z dziejów, czyto z dzieziny kryminalistyki, ćwiczyli siebie i uczniów, a popisywali się zarazem wymową. Deklamacje takie zakorzeniły się w Rzymie od pierwszego wieku przed Chrystusem; miały one być uczelnią i szkołą przygotowawczą dla przyszłych mowców, ale kiedy życie za cesarstwa dawało mało sposobności dla triumfów oratorskich, zapomniano wnet o ich celu, i deklamacje zwyrodniały w czcze i często bezcelowe popisy. Przedstawiano więc w nich trzystu Spartańczyków, rozważających pod Termopilami, czy mają wytrwać na posterunku, Cycerona, deliberującego, czy ma przebłagać gniewnego Antonjusza, a z drugiej strony kreślono czarnych tyranów, pastwiących się nad ofiarami; rozłączano też często najjaskrawsze obrazy z kryminalistyki rodzin, wśród których raz wyrodni ojcowie, raz znów wyrodniejsi synowie szli w zawody o palmę przewrotności i nienaturalnych instyktów. W tych kuźniach wymowy wyrabiano gromowładne frazesy, oszałamiające przesadą, strzelano ślepemi nabojami, które uśmiercić nikogo nie mogły, ale zabijały jednak zmysł dla prostoty, rzeczywistości i prawdy. Ogromne jedynie słowa przystawały do nienaturalnych i potwornych sytuacji, na których ćwiczone myśli i wymowę; nastąpiło panowanie superlatywu, który bywa według Voltaire'a cechą ludzi niemądrych, a w każdym razie głupoty bywa posiewem.

Dodaliśmy tych kilka słów o szermierkach i popisach deklamatorów, wybujałych szczególnie za cesarstwa rzymskiego, aby poznać zboczenie, do którego nadmierny kult słowa doprowadzał. Dostrzec można w tym objawie czegoś, cobyśmy pijaństwem słowa słusznie nazwać mogli.

* * *

Nowsze literatury w ciszy na świat przychodzą, a utwory ducha ludzkiego mniej są dziś narażone na niebezpieczeństwo, aby w nich wzgląd na formę ducha wypaczył i przytłumił, zaś dźwięki wzięły nad treścią przewagę. Raczej obawiaćby się częstokroć można przeciwnego błędu, braku troskliwości o kształt zewnętrzny i wyglądze-

nie. W starożytności wiersze pełnemi rozbrzmiewały dźwiękami, a nawet w prozie dbano o rytmiczność zdań, która u wielu pisarzy się znaczy; starano się między innymi unikać zetknięcia wyrazów, któreby niemiłe dla słuchu wytwarzało rozziewy. W dzisiejszej natomiast prozie spotykamy niekiedy wadliwe szorstkości i chropowate zgrzyty, które w cichem czytaniu rażą, a w głośnem bywają nieznośnemi. Odrza do rozziewów niemiłych nawet w poezji zamarla. Z niemieckich poetów nie unika takich *hiatus* ani potoczysty Schiller, ani skądinąd śpiewny Henryk Heine; u Goethego stwierdzono już większą troskliwość w usuwaniu rozdźwięków, które ze zetknięcia samogłosek na pograniczu wyrazów ze sobą sąsiadujących powstają. W naszej zaś poezji, której najwspanialszy utwór zaczyna się od słów: „Litwo, ojczyzno moja...“, zakorzenił się także pewien brak wrażliwości na niedostrojona dźwięków, któreby raziły niepomierne rozpieszczone w tym kierunku uszy ludzi starożytnych.

Greki i Rzymianie byli niepowściągliwym w słuchaniu, w nowszych czasach raczej niepowściągliwość pisania i czytania rażącym bywa objawem. Pisanina nadmierna znaczy się nietylko w biurokracji, która nasypami z papieru tamuje najczęściej życie, ale także w literaturze. Niewybredne i chciwe maszyny prasowe pochłaniają i rozpowszechniają zbyt natarczywie nietylko wytwory myśli, lecz i bezmyślnie tandetne wyroby, które niemniejszym, jak rzeczy cenne, cieszą się zbytem, aby czas i ludzi marnować. Podzielił ktoś słusznie pisarzy na trzy kategorie: takich, którzy myślą przed napisaniem książki, drugich, którzy myślą podczas pisania, i wreszcie ostatnich, którzy ani przed rozpoczęciem pracy, ani podczas pracy tego trudu sobie nie zadają. Ta trzecia warstwa składa się z opryszków, rabujących myśli cudze, czas i pieniądze czytelnika, wyjąłwiających ducha i kalających często język narodu. Póki druku nie było, czytelnik własnym, nieuprzedzonym sądem mógł się kierować w wyborze swego czytania. Dziś druk mu imponuje, mimowoli przypuszcza on, że to, co uznano łtoku i pracy godnem, było rzeczywiście coś wartem. Książka wprawia go w taki podziw, że o człowieku, którego słowa go uderzają, powie jakby na największą pochwałę, iż mądrze mówi, jakoby z książki czytał. A przecież z równem prawem żądaćby należało od książki, aby to głosiła, co zdrowy rozum, choć niedrukowany, w życiu wygłasza. Pisaninie bezmiernej wtórzy więc w nowszych czasach bezmierne również czytanie. Czytanie zaś może zwyrodnąć w nałóg, w chorobliwą niepowściągliwość, a przedewszystkiem w lenistwo. Są ludzie, którzy dążą ciągle za swoim wiekiem, chwytają w lot wszelkie nowości, aby tylko dotrzymać

kroku swej epoce, bieżącej i nawet pobieżnej literaturze. Tyle czytają, tak się pasą ciągle cudzą myślą, że wkońcu zatracają zdolność samoistnego myślenia i popadają w niestrawność umysłową; bo umysł, podobnie jak ciało, nadmiaru stawy nie ścierpi. Schopenhauer znał takie ofiary przejedzenia wśród uczonych; *sie haben sich dumm gelesen*¹⁾, powiada on o nich w swym jędrnym, gryzącym języku. I Schopenhauer poczynił już złote o sztuce czytania przepisy, bo jest ono sztuką, która ma swój zakon i przykazania, na równe poszanowanie zasługujące, jak w innych sztukach. Po nim głęboki Szwajcar Hilty zajął się tym problemem, a wreszcie Emil Faguet w ładnej książeczce *L'art de lire* trafne o nim zamieścił uwagi. Zgodni oni w ostrzeganiu przed zaziąjaną gonitwą za ostatnimi nowościami, których nowość polega częstokroć na świeżości papieru i okładki; zgodnie także piętnują ludzi, dla których prasa codzienna jedynym jest pożywieniem umysłu. Powolne czytanie, powracanie do dawniejszych lektur, odczytywanie nieśmiertelnych autorów, w których się zawsze odkrywa nowości, jest jedynym i skutecznym środkiem, aby duszę pokrzepić, pożywić i jędrność swej myśli zabezpieczyć przed jałowością i leniwą biernością. Pewna dieta niezbędna jest w lekturze, podobnie jak w kuchni, a więc dobór i ograniczenie w przyjmowaniu stawy umysłowej. Bywają ludzie, którzy o wszystkim rozprawiać gotowi, bo się napaśli odcinkami gazet i odpadkami ze stołu bogaczy, innych mowa i myśl złożoną jest z samych cytatów, pożyczek obcego dobra. Pasorzyci to umysłowi, którzy zdołają swą pozorną wszechstronnością oszałamiać naiwnych, ale myśli ludzkiej ani nie pogłębią, ani naprzód nie popchną. Inni znów chętnie pozostają wśród czeladzi umysłowej, do królów zaś i mistrzów nigdy się nie zbliżą; czytają oni ciągle książki o książkach, zamiast sięgnąć po same nieśmiertelne dzieła ludzkości. Są wreszcie tacy, którzy cudze myśli z cudzych książek wyłącznie przejmują; pożyczają więc oni namiętnie druki od innych, a wiadomym jest, że cudza książka pozostanie zawsze czemś obcem, nie stanie się tym wiernym przyjacielem na życie, który w ciężkich chwilach nie odmówi nigdy rady i ukrzepienia, w swobodniejszych nie poskąpi słodczy i radości. Pierwszem jednak przykazaniem jest w tej dziedzinie, aby tandetą literacką nie kłaść swej duszy i nie kazić swego języka, drugim, aby czytać książki w celu ożywienia własnej myśli, a nie po to, aby nas w gnuśnej bezmyślności ukołysały.

* * *

¹⁾ Zaczylali się do ogłupienia. (Schopenhauer — znakomity filozof niemiecki XIX w.)

Jeżeli więc w starożytności były nadużycia słowa żywego, pewien nadmiar w słuchaniu i upajaniu się dźwiękiem, to w nowożytnych czasach stwierdziliśmy zato hipertroję¹⁾ pisania i czytania. Obie skrajności pociągały za sobą ujemne następstwa. Prawda leży w środku, w pomiarkowaniu zbytnej wybujałości. Wobec wielomówności starożytnych uczył Chrystus Pan: „A niechaj mowa wasza będzie: Jest, jest; nie, nie. A co nadto więcej jest, od złego jest“. W nowszych czasach nadmierna pisanina zasłużyłaby na podobne skarcenie. Pewnym bowiem ludziom wydaje się, że pisaniem życie i postęp naprzód się popycha, że akta pociągają za sobą akcję i nieledwie za działanie starczą. Stąd plaga biurokracji, która w świętej wierze, że *scripta manent*, tą wiarą się zadowała, choćby nieśmiertelność tylko na papierze święciła swoje triumfy; stosami z kart powija biurokracja swe dzieci i dusi je zarazem²⁾. I stąd nadmierny kult dla pisarzy i ich utworów, wyrosły z przekonania, równającego słowo pisane z czynem. A przecież książka tylko w wyjątkowych razach takiego uwielbienia jest godną, jeżeli jej słowo tchnie w duszę jakąś nową siłę i polot, jeżeli ukrzepi uczucia i myśli swego narodu i uskrzydli je do śmiałych postępów i wzlotów. Zresztą czyn o nieba góruje nad słowem, a mieli to przeświadczenie nasi poeci, z których jeden śpiewał:

Zgńcie me pieśni, wstańcie czyny moje!

A drugi, największy, mądrze pouczał:

W słowach tylko chęć widzimy, w działaniu potęgę;
Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę.

To samo przeświadczenie stwierdzał wymownie epitafor³⁾ Ajschilosa, może z myśli samego poety poczęty, a wielbiący go nie za to, że wspaniale napisał tragedję, lecz wyłącznie za to, że był kiedyś w szeregach i walczył dzielnie pod Maratonem.

ALEKSANDER BRÜCKNER (ur. 1856).

Dawność i znaczenie języka polskiego⁴⁾.

Zyjemy w chwilach ostrych walk narodowościowych. Zawiodły dawne nadzieje przyjaciół ludzkości. Zdawało się niegdyś, że skoro ludzkość (mówię tu o kulturalnej) przeboleje walki religijne i sta-

¹⁾ Przerost, nadmiar. — ²⁾ *Verba volant, scripta manent* = słowa ulatują, pismo zostaje. — ³⁾ = napis nagrobny, nekrolog. — ⁴⁾ Druk. w książce „Z dziejów języka polskiego“ (1903); w skróceniu.

nowe, skoro wolność sumienia i zniesienie przywilejów się osiągnie, że zapanuje spokój i braterstwo. Stało się inaczej. Pokazało się, że walki o wiele ostrzejsze ten sam organizm trawia, walki narodowościowe i społeczne, idące albo luzem, albo, jak we wschodniej Galicji, splatające się razem.

Walki narodowościowe, by o nich tylko wspomnieć, spowodowały i wytworzyły najdziwniejsze stosunki. I tak np. ludy małe, których kultura od wczoraj się liczy, u których ten pokost kultury jeszcze nie obeschł należycie, te ludy puszą się i buńczuczają, przypisują sobie jakieś zasługi, znaczenie, powołują się na przeszłość, prawią o przyszłości, roją marzenia, a wszystko w rażącej sprzeczności z prawdą dziejową, z rolą ich skromniutką. Odwrotnie, ludy, które rzeczywiście kulturę tworzyły wraz z innymi, przedstawiają sobie, jakoby były jedynymi twórcami tej kultury, jakby tylko z ich apteczki, wedle ich recept, wydawano potroszę tej kultury — i nam, którzyśmy zawsze w kulturze europejskiej żyli, z zasobów jej zawsze bezpośrednio czerpali i już w XVI wieku innym narodom, najoświecenijszym nawet, kroku dotrzymywali.

Wobec takich stosunków, wobec chętności i buty wielkich i małych, należy nam, dyktuje to instynkt samozachowawczy, od czasu do czasu rzucać wstecz spojrzenia, obliczać i wymierzać drogę, jakąśmy przeszli, baczyć, cośmy zrobili, czem jesteśmy; należy nam stwierdzać, czem też i kultura polska jest, i co znaczy.

Nie myślimy przedstawiać całego bilansu tej kultury; weźmy z niego tylko jedną pozycję, pozycję najważniejszą, która się słaśzować nie da, której ani umniejszać, ani powiększać nie można. Tą pozycją, którą się oblicza z największym spokojem, z pewnością niby matematyczną, jest właśnie język, język naturalnie nie jako *abstractum*, lecz w związku nierozzerwalnym z kulturą, jako środek i narzędzie kultury i literatury.

Mówimy zaś o języku tem chętniej, ponieważ u nas niestety nie doceniają właśnie znaczenia języka. U innych narodów rzecz się ma zupełnie inaczej. Proszę porównać byle gazetę petersburską a gazetę lwowską, jak one się przedstawiają pod względem formy zewnętrznej; ortografia rosyjska znaczne trudności wykazuje, gdyż nie obliczona wcale dla rosyjskiego języka, lecz wzięta z bułgarskiego (cerkiewnego), t. j. z zupełnie innego, obcego; mimo to nie rażą nigdy błędy ortograficzne w publikacji rosyjskiej.

Wziąć do rąk jakikolwiek nasz dziennik, niedość różnych niepomysłnych wieści, wieści te pisane jeszcze taką ortografią, a czasem i takim językiem, że aż pożał się Boże. Jeżeli zaś z czem, to z języ-

kiem, nie broniącym się, prowadzonym na rzeź i okaleczenie jak baranek jaki, należałoby postępować z największą pieczołowitością; każde zaniedbanie jego mści się, jakby zaniedbanie form towarzyskich w życiu towarzyskiem. Właśnie zaś język jest instrumentem tak znakomitym, że nie godzi się go odstrajać. Nietylko zaś dziennikarze i publicyści język nasz psują, ale i z literatami niezawsze bywa lepiej; i oni nie cenią dosyć języka. I weźmy znowu przykład z obcych niw. Stary Turgeniew, pogrążony w absolutnym pesymizmie, gdy o wszystkim i o wszystkich zwątpił, ujął się, niby ostatniej, a raczej jedynej kotwicy, języka narodowego; ten był mu ostatnią otuchą na tym świecie i na łożu boleści wyśpiewał Iwan Siergiejewicz¹⁾ wspaniały hymn triumfalny dla tego języka. Z podobnym nie spotykałem się u nas, prócz rzadkich, wyjątkowych wierszy u Bohdana Zaleskiego („Mowa nasza... w sercach wykochana; Jak anielskich strun narzędzie, taka strojna i ograna“); prócz owego dytyrambu, jaki wobec miłośławskiego pomnika dla Słowackiego²⁾ Henryk Sienkiewicz wyśpiewał o tej mowie, co „niepożyta jak śpiż, świetna i droga jak złoto, jedna z najwspanialszych w świecie, tak piękna i dźwięczna, że chyba tylko język dawnych Hellenów może się z nią porównać“. My przecież mamy jeszcze większe tytuły i obowiązki do cenięcia języka, niż Turgeniew, syn Rosji wszechpojętej.

Więc, jak mówię, nie doceniaamy języka i wcale niezbytecznem byłoby takie Towarzystwo jego ochrony, któreby dbało o czystość, jeśli już nie o wytworność tej szaty językowej, przeciw której nawet najznakomitsi grzeszą; nawet „Młoda Polska“, chociaż zasługi jej zresztą wielkie, bynajmniej nie jest wolną od zarzutu psucia języka; tu odkąsywa coś od słów, tu znowu coś dorzuca niepotrzebnie, naco i poco — nie wiem; np. „miast“, nie „zamiast“, lub „miasto“; „poszum“ i „poszmer“ zamiast „szumu“ i „szmeru“ — usterki, bez których w prozie obejść się możemy, inaczej niż w poezji, bo nieszczęsny poeta robić musi, jak miara wiersza wymaga.

Jednak dość tych uwag czy kamyczków, rzucanych do ogrodu publicystów i literatów; wszyscyśmy przecież równo winni okazywać szacunek dla języka, w sposób należyty, nietylko dbając o poprawność ortografii, strzegąc się tromtadratycznego *accusativus* („ja ją nie widziałem“), strzegąc się słów obcych, nieraz najzbyteczniej u nas kosztem słów własnych się panoszących.

¹⁾ Imię i „otczestwo“ sławnego powiściopisarza rosyjskiego XIX w. Turgeniewa. — ²⁾ T. j. w przemówieniu przy odsłonięciu pomnika Słowackiego w Miłośławiu, w Poznańskiem (1899).

Szacunek, winny temu językowi, wyrazimy również, jeżeli uprzytomnimy sobie nie raz, nie na chwilę tylko, jeżeli przejmujemy się całkowicie myślą, czem ten język właściwie jest, co on znaczy; jeżeli uprzytomnimy sobie, dlaczego nam go tak cenić należy. — —

Cały ustrój języka polskiego, jego brzmienia samogłoskowe (a samogłoski nadają językowi właściwą harmonję i eufonję) są tak miśternie zbudowane, że żaden z języków słowiańskich nie dorównywa temu bogactwu, tej różnorodności, tej delikatności, temu cieniowaniu polskiego wokalizmu. — —

Był czas, kiedy o tem albo nie wiedzano, albo nie chciano wiedzieć, albo też dawano się ludzić cechom zupełnie zewnętrznym. Czechów np. razi wprost nadmiar słów obcych w naszym języku; Czech nie może pojąć, dlaczego używamy słowa „dach“ zamiast jakiejś „pokrywkę“ czy czegoś podobnego, i zawsze zarzucają nam, oni i inni, jakoby język polski wyzbył się przedewszystkiem słowiańskiej terminologii. Niecałkiem niestusnie. Nasza to polityka dawna wyrzucać własne, a przyjmować obce.

Tak samo, jak w handlu i przemyśle rugowaliśmy nasze mieszczactwo, a dawaliśmy przytułek i obdarzaliśmy hojnemi przywilejami Włochów, Niemców, Szkotów, Ormian, Żydów, Węgrów, podobnie wypowiedzieliśmy gościnę naszym własnym, prasłowiańskim wyrazom i zastąpiliśmy je całym zalewem słów obcych, najrozmaitszego pochodzenia.

Prawda, że to znowu karta, świadcząca najwymowniej o kulturze polskiej. Zwykle bowiem rzecz ma się tak, że jakiś naród niższy, mniejszy, w zawistości czyto kulturalnej, czy politycznej od drugiego będący, przyjmuje żywcem od tego drugiego pewne pojęcia i liczne wyrazy. U Czechów przeważają wyrazy niemieckie; Serbowie i Bułgarowie mają wprawdzie na piśmie wyrazy słowiańskie, ale ich nie używają, a w mowie potocznej zastępują je wyrazami tureckimi, nawet takie wyrazy, jak *las*, *most* i t. p. bywają u nich tureckie. Nawet Rosjanie dla niejednego, np. dla konia, pieniędzy, wzięli nazwy wschodnie, perskie, arabskie, głównie zaś tatarskie, *tozad'*, *dieńga*, *tajga*, *jam* (poczta), *jarłyk*, *kazna*, *bułat*, *bumaga*, *butany*, *dest* (ryza papieru) i t. d., albo „cerkiewne“ dla pojęć „oderwanych“.

Zwykle więc przeważają w pewnym języku naleciałości z jednego tylko cudzego języka. Jedyny polski kroczy torami odmiennemi między wszystkimi słowiańskimi, nie ogranicza się wpływem jednego obcego języka, posiada najbogatszą kartę, na której spisane są wyrazy ze wszystkich kątów świata, łacińskie obok niemieckich, wło-

skie obok węgierskich, tatarskie obok wołoskich, czeskie (najliczniejsze i najważniejsze) obok ruskich, najmniej licznych i najpóźniejszych. Przedmiot to tak ciekawy, same dzieje kultury polskiej, przenikania się jej coraz nowemi prądami, występują w tych słowach tak wyraziste, że poświęciłem im osobną książeczkę („Cywilizacja a język“ — Warszawa 1901 r.), gdzie z obcych słów, z ich następstwa w czasie, z ich liczby i znaczenia, wykreślałem obrazki dawnych czasów, życia w kościele i mieście, w obozie i szkole, u dworu i sądu. — — Cóż więc sądzić o tem mnóstwie obcych przybyszów?

Nie czyni ono nam wielkiej ujmę; każdy bowiem naród ze znaczną starodawną kulturą obfituje w terminy obce. Niemiec np. najprostszego zdania bez słów łacińskich nie złoży; nawet ciała swego nie nazywa własnem, lecz obcem słowem, *Körper*, nawet dla „listu“ i „pisania“ musi się od łacinników zapożyczać, bo *Brief* i *schreiben* nie niemieckie słowa, lecz łacińskie *breve* i *scribere*; wszystko, co do ogrodu, piwnicy, domu, miasta i t. d. należy, z łaciny on zowie. Tylko dzicy, którym słownik paruset słów wystarcza, mogą się, nie mając żadnych potrzeb, bez pożyczek obywać. Odwrotnie, ułamki ludów, podpadające pod wyłączny wpływ obcej kultury, nasiąkają obczyzną w całej mowie, np. mowa połabskich Słowian, w Hanowerze, za Elbą, od Słowiańszczyzny odciętych zupełnie, niemiecką mowę w słowiańskie dźwięki i formy ubrała; podobnie i kaszubskie narzeczka się wynaradawiają, mówią np. „Kabatcy“¹⁾: *ty masz śpiewane (du hast gesungen) zamiast tyś śpiewał*, albo „wendscy“ Serbowie nad Sprewą krają *z nożem nie nożem*; albo nasza śląska brać pyta: „gdzie oni jadą“, t. j. „gdzie pan jedzie?“ To są skrajności: mowa bez słów obcych i mowa wyradzająca się w obcą. My się złotego środka trzymamy; nikomu specjalnie w niewolę się nie oddaliśmy, czerpiemy z wszelakich zasobów obcych, nie tracąc nigdy pod nogami własnej ziemi; silni tem poczuciem, zostawiamy innym zabawkę wymyślenia „własnych“ nazw dla chemji lub telegrafu.

Świadczy to o nas bardzo korzystnie; to dowodzi, żeśmy żyli zawsze z innemi ludami razem, żeśmy słuchali, jak mówią, przyjmowali z potrzeby, a najczęściej bez wszelkiej potrzeby, obce ich nazwy, nawet dla rzeczy własnych²⁾.

¹⁾ Kaszubi z pow. łęborskiego. — ²⁾ Tak pozbyliśmy się słów własnych na korzyść obcych np. dla oznaczenia *losu* (zamiast naszego *żrebia*); my już tylko *szukamy* (suchen), dawniej *iskaliśmy* — dziś chyba pies się *iszczę*; spożywamy *kawałki* zamiast *kęsów*, *żuchelków* i t. p. (z niemieckiego); *rachujemy*, *stosujemy się*, *budujemy*, *żegnamy*, *cofamy się*, *tańczujemy* i t. d. i t. d. z Niemcami. Liczniejsze przykłady patrz w książeczce „Cywilizacja i język“. (p. a.).

Dziś temu zaradzić trudno. Ale ponieważ „Młodą Polskę“ przedtem zaczęliśmy, więc teraz wypada uznać jej zasługę; ona bowiem, świadomie czy nie, język oczyszcza i upolszcza napowrót.

Żeromski, Reymont, nie mówiąc o innych, — — wprowadzają do języka nietylko tam, gdzie chłopom rozmawiać każą, ale wogóle do swoich powieści i szkiców słowa dialektyczne, gwarowe. Gwary bowiem przechowały nieraz rzeczy dawne, o których język piśmienny, kulturalny, od wieków zapomniiał.

Wiadomo, że „Młodą Polskę“ obrzucają najrozmaitszemi zarzutami: od niemoralności do egzotyizmu; że zarzucają jej nawet ze strony językowej niepotrzebne — jak mówią — pstrzenie mowy naszej zapomocą nowych, nieznanych słów gwarowych. Zarzut to najniełuszniejszy i ci, co go czynią, naraziliby się kiedyś na tę samą śmieszność, która dziś w naszych oczach okrywa Osińskiego, Koźmiana i innych stróżów parnasu warszawskiego, co to Mickiewiczowi wymyślali od Pińczuków, barbarzyńców i dziwolągów językowych — gdyby nie to, że my prędzej dziś żyjemy, a więc i prędzej zapominamy.

Reforma, rozpoczęta przez Mickiewicza, przez Słowackiego i innych dokonana, była konieczną, aby ten język, któremu niemal sztucznie krwi ujęto, który wedle modły francuskich salonów pozbawiono wyrazistości i barwności, do dawnej przywrócić świeżości, blasku i mocy. I już dziś uważać można za zasługę „Młodej Polski“ powoływanie do nowego życia starych wyrazów, zapomnianych. — —

Bogactwo językowe, obfitość doboru słów, stanowi czynnik bardzo dodatni: tylko ubogi umysł ubogiem słownictwem się posługuje; rwie się i pasuje z nim z konieczności poeta i mowca. U nas wdrożyły się mylne o języku pojęcia od czasów stanisławowskich, od panowania łaciny i francuszczyzny. Język martwy i obcy nie znoszą żadnych nowotworów; ocyrkowano więc Polaka, mówiącego po łacinie czy po francusku, kazano mu wyłącznie używać słów „polerowanych“ i przeniesiono od obcych też względy na język własny, i tu również używano wyłącznie słów „polerowanych“, i zubożono język fatalnie.

Dawne wieki nie znały bynajmniej, i słusznie, takich szczupłych wymiarów; nigdy nie wahał się dawny pisarz wprowadzać nawet całkiem nowych słów do literatury, bez względu na to, czy one się przyjmą czy nie, czy je wszyscy rozumieją czy nie. I nie sromali się nasi autorowie XVII wieku „prowincjonalizmów“, taki Kochowski czy Potocki czy Gawiński, i polszczyzna ich przez to samo dziwnie ziemią sandomierską czy sądecką wonieje, np. używa Kochowski

owego *kieby*, które Reymont w „Chłopach“ kładzie, owych *pedać* (z powieść — powiadać), *pedasz*, owych *cedzić* (co wiedzieć) i t. d. Zapomnieliśmy zupełnie zwrotu *nie peć* (nie żarty to); Gawiński, Kochowski, Potocki coraz go używali i lud do dzisiaj go nie zapomniiał.

Wywołanie takich i tylu innych, silnych, dosadnych zwrotów z obiegu zubożyło nasz język, wznawianie ich, czerpanie z wiecznie bijących źródeł języka ludowego, może literaturze tylko się przysłużyć. Widzimy przecież, co Francuzi robią; nie dosyć im dziś na języku *precieus'ów* i salonów, encyklopedystów i klasyków wersalskich, oni sami czerpią i w narzeczach, i w gwarze paryskich kamlotów, i w zasobach jeszcze plejady ronsardzkiej, archaizują i dobierają słów chyba nieakademickich¹⁾. Więc i my nie mamy nic przeciw *krasnym*, i *harnym*, i *snażnym*, i *szwarznym*, i przeciw tylu innym „nowotworom żargonowym“ Młodej Polski i witamy w nich cenne zbogacenie języka literackiego²⁾. Wymagamy tylko, aby w doborze słów kierowano się trafnym instynktem, aby nie popełniano nowych błędów. Więc np. forma *zuchetek* u Żeromskiego jest fałszywa, powinna brzmieć *zuchtek*; *zuchetek* „mazurzy“. Poco używa on np. wyrazu *żołądkować się* zamiast *gniewać się*: jest to dosłowne tłumaczenie łacińskiego *stomachari* (*stomachus* żołądek); używali go nasi Wasserpolowie³⁾ jeszcze w XVII wieku, ale już wtedy im go wytykano: złóżmyż go więc do martwych. Wcale nieszczęśliwie wprowadzili lirycy i krytycy nasi termin *chram* zamiast świątyni: cerkiewny to wyraz, ani polski, bo brzmiałby *chrom*, ani ruski (*chormy*), wołałbym już raczej *trzem* (pałac, przybytek, *atrium*) z dawnych psalterzy naszych i ewangelij do życia nowego wskrzesić; całkiem niemożliwa zaś forma *korabl* zamiast korabiu. Nadużywają więc nasi modernisci⁴⁾ wyrazów ruskich, ale i romantycy niezawsze szczęśliwym wyborem się kierowali. Tak np. urósł przez nich do jakichś rozmiarów Homera słowiańskiego ów *Bojan* wieszczy, ulubieniec Bohdana Zaleskiego, niby praszczur jego po duchu — ależ *Bojan* nie słowiańskie, zało mongolskie nazwisko, obiegające w stronach, które i *bojarzyna* wydały. Więc dajmy mu spokój. — — Może być,

¹⁾ *Precieus'y* — afektowani, wymuszeni w mowie wykwintnie francuscy w. XVII; kamloci — uliczni handlarze z ręcznymi wózkami; plejada ronsardzka — grupa poetów francuskich XVI w., których mistrzem był Ronsard; słowa nieakademickie = nieobjęte słownikiem, wydany przez Akademię Francuską. — ²⁾ *Krasny* — śliczny; *harny* — dumny, śmiały; *snażny* — czysty, chędogi; *szwarzny* — dziarski, gracki, zwiny. — ³⁾ Pisarze ze Śląska rodem? — ⁴⁾ Tak nazywano pisarzy z okresu „Młodej Polski“.

że poeci nadużywają nieco tej wolności, ale prozy Reymonta i Żeromskiego nie pozbawiłbym nigdy owych charakterystycznych zwrotów *utyłanego, opatulonego* i t. d., gorszących może pedanta-purystę. Dziwnie my bowiem zubożeli i pozbyli się bez potrzeby najdawniejszych terminów naszego języka. Warto też przytoczyć choćby kilka jeszcze przykładów dla wykazania, jak dalece najciekawszych i najstarszych wyrazów słowiańskich w dawnym języku polskim powszechnie używano, które dziś albo zupełnie, albo w tej formie przynajmniej wyszły z używania.

Niema np. w języku polskim słowiańskiego wyrazu na oznaczenie „dziecka“; starosłowiańskie „czędo“ (rosyjskie, cerkiewne „czado“) wyszło u nas z użycia. Ale jeszcze przy końcu XVI wieku mówił Mazur „czędo“ i wyraz ten nawet do literatury wprowadzono. My dziś słowo to mamy tylko w wyrazie „szczątek“, który pochodzi w ostatniej linii od owego prastłowiańskiego „częda“ i znaczy pierwotnie „potomstwo“. I tak jeszcze w XV wieku modlono się w kościele za króla Kazimierza i za „szczątek“ jego¹⁾. Albo: dziś mówimy „dla tego, dla ciebie“, zamiast dawniejszego odmiennego szyku „tego dla, ciebie dla“. Jeszcze w części pieśni Bogarodzicy, w zwrotce, pochodzącej z czasów Łokietkowych, znajdujemy: „Ciebie dla dał Bóg przekłóć sobie“ i t. d. Ale w tej samej Bogarodzicy, w najstarszej jej części, mamy, zamiast „dla“, słowo „dziela“ — „Twego dziela Chrzyciela“. Tak się modliła księżniczka Kinga słowami pieśni, którą ułożył dla niej jej spowiednik: „Twego dziela Chrzyciela, o Synu boży, proszę cię“, t. j. dla Twego chrzyciela, za jego (Jana św.) instancją, błagamy cię, Panie. Chłop białoruski dziś jeszcze używa owego „dziela“, które w Polsce w XIII wieku jeszcze z ust księżniczki wychodziło.

Na każdym kroku odnajdziemy takie przykłady, jak bogatym był ten język i jak pod wpływem literatury, pod wpływem przedewszystkiem łaciny, która przygniatała nielitościwie w szkole i urzędzie nasz język, dalej pod wpływem niemczyzny, panoszącej się po miastach, cechach, targach, zapomniano o starych, słowiańskich wyrazach.

I tu naturalnie ani myślimy o tem, aby, co odżyło swój wiek zupełnie, sztucznie z martwych wskrzeszać. Więc nie nazwiemy np. saskiej księżniczki „poćbiegą“, chociaż tak w dawnej polszczyźnie żonę uszłą od męża mianowano; i nie wezwie ona „pęporzezy“

¹⁾ „Szcząd“ oznaczał niegdyś potomstwo (z-czędów), zginąć do szczędu znaczyło więc: zginąć i z potomstwem, zupełnie wyginąć, do szczętu, jak dziś mówimy, zwiędzeni szczątkiem; ale jeszcze w XVI wieku mawiano i pisano: do szczędu (p. a.).

na pomoc, bo tak „baba“ (akuszerka) się zwała; innej znowu nie będziemy już „popaszela“ (nałożnicą) nazywać i o „wylegańcach“ z takich związków prawić, na które się namiętność „rozrzesza“, (nie rozgrzesza, jak już oddawna, na mylny trop wpadłszy, mówimy). Również nie wzbudzimy owych licznych terminów pokrewieństwa, tak znamienych dla prastarych czasów, kiedyto familje nie rozpraszały się, żyły razem, nieraz nawet pod jednym dachem kilka pokoleń, i odróżnianie tych wszystkich stopni (albo słoپieni, jak Bielski jeszcze mawiał) pokrewieństwa było koniecznem: nam dziś szwagier i kuzyn wystarczają, ale dawniej i *szurza*, i *dziwierz*, i *jątrewka*, i *zełwa*, i *nieć*, i *nieściora*, i *snecha* (synowa) i t. d., jeszcze u „Gradów“ sienkiewiczowych, jedynie popłacały; jeszcze Bielski w kronice swojej z roku 1551 niejednego z terminów tych dobrze używał, prawnicy o nich wiedzieli, lecz już w XVII wieku wychodzą one z użycia i my zostajemy przy błędnych i marnych „siostrzeńcach i bratankach“, „teściach i zięciach“, „synowych i szwagrowych“, dzisiaj już świekr ze świekrową nawet do przeszłości należy¹⁾. *Pan* już od XIV wieku *gospodzinowi* czy *gospodnowi* miejsce odbiera, najdłużej trzyma się jeszcze *gospodza*, t. j. pani, jeszcze Andrzej Morsztyn *gospodzą* bogdanek swoją mianował. Oto tylko kilka próbek z życia rodzinnego, na okazanie, jakto się język nasz odmienił, zubożał, wylecił. A tak na każdym polu, w każdej niemal rubryce. —

Wszystko to tylko dowody niewyczerpanego bogactwa a zarazem i dawności języka polskiego. Nie wdawajmy się jednak dalej w rzecz, wymagającą fachowych określeń, dowodów licznych, na których opieramy owo twierdzenie. Ale język może być bogatym i dawnym, mimo to osobliwszego znaczenia, wielkiej wagi jeszcze mieć nie potrzebuje. Cóż więc stanowi o znaczeniu języka?

O znaczeniu języka stanowi w pierwszej linii promieniowanie jego poza granice etnograficzne, a choćby państwowe, polityczne własne. Jeżeli język jest kulturalny, wtedy nie ogranicza się jego działalność na wymianie słów i myśli między swoimi; wtedy ten język rzeczywiście, jeszcze przed mieczem, wyrusza na zdobycze, zdobycze o wiele trwalsze, niż te, których się mieczem dokonywa. Otóż na szereg takich zdobyczy języka polskiego, które przetrwały zdobycze miecza polskiego od czasów najdawniejszych, chciałbym zwrócić uwagę.

¹⁾ Szurza — szwagierka; dziwierz — szwagier; jątrewka — bratowa; zełwa — siostra męża; nieć, nieściora — kuzyn, kuzynka; świekr, świekra — rodzice męża (według Lindego — także i żony); „Grady“ — szlachta zaściankowa pewnych okolic na Litwie, odmalowana w pierwszych rozdziałach „Potopu“.

Już piastowska Polska może taki szereg zdobyczy pokojowych, całkiem kulturalnych, wykazać. Że z tych zdobyczy nie skorzystano, tak jak nie skorzystano przecie z wielu innych rzeczy, że wypuszczono z ręki, co Opatrzność sama dla Polaków przeznaczała i przygotowywała, to już wina nie języka i kultury, lecz faktów i stosunków całkiem innych.

I tak np. już w XII wieku dotarł język polski, jako wyraz i pośrednik kultury polskiej, do pierwszej etapy pochodu triumfalnego na północ w języku staropruskim, który przesiąkł elementami polskimi. Ten język już w XIV wieku wymierał i cofał się wraz z łosiami i żubrami w najdalsze ostępy pustyń, lasów i moczarów; ten język, w XI, XII i XIII stuleciu jeszcze, był pod najsilniejszym wpływem języka polskiego. Nie poznali się na tem uczeni niemieccy i, badając nikłe resztki staropruskiego języka, jego słowniczek i katechizmy (luterskie), biedzili się nad wynajdywaniem jakichś pierwotnych, prastarych słów, chociaż one wcale nie są takimi, lecz najzwyczajszymi pożyczkami z języka polskiego¹⁾. A więc, czego miecz polski nie dokonał, albo dokonywał tylko chwilowo, napoty, tego dokonała kultura polska. Narzuciła się Prusakom, i Prusy były przeznaczone do takiego samego spolszczenia, jakiemu później Litwa uległa.

Że przyszło całkiem inaczej, że stracono napowrót zdobyty już teren, że wskutek słowiańskiej inercji i braku wytrwałości, co do rąk samo się natrącało, znowu wypuszczono, w tem nie wina kultury ani języka polskiego, ale czynników innych: osłabienia Polski dzielnicowej i t. d.

Nie tu miejsce przytaczać przykładów z tego staropruskiego języka, ale wspomnę o jednym, gdyż starzy Prusacy zachowali nam słowo polskie, którego my już od najdawniejszych czasów nie znamy.

Słowa „pan“ i „pani“ inne słowiańskie ludy prócz zachodnich (czeskiego) nie znają wcale. „Pan“ i „pani“ zdaje się być skrótocnem „żupan“, „żupani“. „Żupan“ jest wyrazem polskim, znanym powszechnie, lecz „żupani“ nie znajdujemy już ani w najdawniejszych zabytkach. Słowo „żupani“ jest zaś w języku pruskim (i litewskim), a przyjęło się w nich od polskiego wtedy, gdy „żupaniami“ jeszcze po grodach i kasztelanjach się kłaniano.

¹⁾ Jeden przykład niech starczy; rozdział (pisma św.) nazywają po katechizmach staropruskich *palasinsna* — jest to polskie *położenie* (= rozdział, nieraz w XV i XVI wieku używane), nie staropruskie. Nawet polska *korzkiew* = łyżka (dziś gwarowe, kaszubskie) tam się odnalazła: *karkis*. (p. a.).

Jest to jeden przykład dla uwidocznienia, jak nieraz można uzupełniać zasoby własnego języka szczegółami z takich stron, odkądby się nikt ich nie spodziewał.

To były pierwsze zdobycze kultury polskiej; później następowały coraz większe, niestety nie na zachód skierowane. Zachód, który również przeznaczony był dla Polaków (Pomorze ciążyło najzupełniej ku jednojęzycznej Polsce), oddano całkiem Niemcom. Cofnięto się, zlikwidowano pozycje nad Odrą, aby wyteńczyć siły na wschodzie, parto za San, nad Dniestr, nad Dniepr.

I tu są znowu najbardziej zadziwiające, imponujące zdobycze języka polskiego. One idą w parze z polskim orężem, z polskim pługiem. Ale i one przetrwały, co ten pług, co ten oręż zdobyły. Na cały północny wschód, na cały wschód i na południowy wschód promieniuje język polski przez szereg stuleci. Dziś nie chce się nawet wierzyć, jak olbrzymim był ten wpływ kultury polskiej.

Weźmy jeden szczegół z jednej dziedziny, która najwcześniej może wymknęła się z pod wpływu kultury polskiej.

Był przecież czas, kiedy język polski i w Rumunji bywał językiem klas wykształconych. Najznacniejszy z dawnych poetów rumuńskich przedstawiony jest na jednej z płaskorzeźb na pomniku, wystawionym w Bukareszcie, w chwili, gdy oddaje swój poemat po polsku napisany Janowi Sobieskiemu u stóp tronu. A przykład tego Rumuna nie wyjątkowy. Nawet do XIX wieku przetrwały te wpływy polskiej kultury na Rumunji. Rumuńskie rody na Bukowinie np. nieraz własnego języka nie znały i po polsku mówiły. Mógłbym przytoczyć przykłady rodzin, dziś wśród Rumunów bukowińskich wybitnych, używających niegdyś polszczyzny, jak za Zbruczem używano francuszczyzny.

To byłby jeden przykład, ale jest ich o wiele więcej i więcej znaczących, cenniejszych.

Najsilniej odbił się wpływ języka polskiego na języku małoruskim. Użyłem terminu „małoruski“, ponieważ jest to jedyny termin historyczny, znany, uświęcony przez wieki i historję, a którego dziś Rusini zupełnie się wyzbyli. — —

Że narzecz czy język małoruski najbardziej był wystawiony na wpływy polskie, rozumie się samo przez się wobec niższości kultury ruskiej i nie potrzebuję tu tych szczegółów objaśniać. W XVI i XVII wieku piszą Małorusini we Lwowie, Wilnie i t. d. po rusku. Lecz ten, co po rusku niby pisał, myślał wyłącznie po polsku, słów polskich używał i myśлом swoim tylko całkiem zewnętrzną, pozorną szatę ruską narzucił. Jeżeli więc cała literatura przez pewien prze-

ciąg czasu wyłącznie nietylko na wzorach polskich się kształciła, w polskich szkołach się uczyła, ale nawet język polski przenosiła żywcem do swojego własnego, to nie potrzeba chyba wyraźniejszego świadectwa dla wykazania, jakim był ten wpływ kultury polskiej.

Jeżeliby kto powiedział, że język maoruski nie mógł się inaczej rozwinąć wobec ówczesnych stosunków państwowych i że to jeszcze nie dowód samej kultury polskiej, że ją narzucono (choć narzucania żadnego nigdy nie było), to łatwo wskazać okoliczność, że nieco podobnie ma się rzecz i z językiem wielkoruskim (rosyjskim, albo ruskim, jak go właściwie nazywać należy, w umiejętności przynajmniej). I ten język obfituje w pożyczki polskie, chociaż Polacy nigdy nad Rosją nie panowali, nigdy jej niczego nie narzucali.

Jeżeli ja z Rosjaninem rozmawiam, a on mi zaraz swoim *pazwoltie* przerywa, to to jego *pazwoltie* nie jest rosyjskie, ale polskie „pozwólcie“, gdyż takiego słowa, pozwolić, język rosyjski u siebie wcale nie miał. I cały szereg jest takich wyrazów z życia towarzyskiego, świadczących o ogładzie i kulturze, które Rosjanie od nas wzięli: nazwy części ubioru, pożywienia, mieszkania; terminologia umiejętna rosyjskiego języka filozoficznego np., ich wyrazy dla przedmiotu, pojęcia, wyobrażenia, powodu i t. d. skalkowane z polskich; niedarmoż pośredniczyło kijowskie kolegium mohilańskie między Krakowem a Moskwą; od nas mają *rysunki* i t. d.; nawet *starac się* od nas nauczyli, a i w języku wojskowym niejedno od nas mają, *szerengi* i *chorążych*, dawniej nawet *szlachetnych* i *koronę* (w znaczeniu państwa), nawet *kabaki*.

Co najdziwniejsze: jak owa staropolska „żupani“, której my już od wielu wieków zupełnie nie znamy, zachowała się w języku staropruskim, podobnie są i w języku rosyjskim wyrazy dawne polskie, których my już nie używamy, np. „fortuna“, „spina“, „tiuma“. Choć są to wyrazy łacińskie i niemieckie, to nie przeszły one do rosyjskiego wprost z tych języków, lecz z polskiego, bo Rosjanie ani z łaciną, ani z niemieczyzną nie mieli żadnych stosunków; oni przyjęli je od nas, którzyśmy w XVI i XVII w. mieli fortunę i spinę, i którzyśmy również ludzi do turmy wsadzali; *tuna*, księżyc, również łaciński termin, ale ten dostał się wcześniej do cerkiewszczyzny i myśmy go zresztą używali, np. Mazur Paprocki¹⁾.

Przytoczyłem przykłady, aby wykazać, że nawet te słowa mogą być polskimi, o których niejedni Polak sądzi, że są rosyjskimi, a które np. „tiuma“ dopiero od Rosji na nowo do nas wędrują.

Naodwrot, myśmy z ruskich języków przyjęli nadzwyczaj mało. Przez całe stulecia jedyną pożyczką naszą od nich stanowił *bojarzyn*, nazwa ta nie dla szlachcica, lecz wojownika, znana w XV i XVI wieku, potem zapomniana, drugą byłby w XV wieku *skomroszny* (swawolny) od ruskich *skomorochów*, kuglarzy, jeśli to nie termin prastowiański; na Rusi Czerwonej używali Polacy specjalnych terminów ruskich, np. *tolpki* (dziś *topki*) soli, albo *dzieckiego* (woźnego), albo *tortopa* (kożucha) i t. d. Dopiero z końcem XVI wieku Rusini, piszący po polsku (w walkach o unję), pisarze Polacy z ruskich stron pochodzący (od Jagodyńskiego i Tyszy do „rusaka“ Bohomolca), powiększyli nikły zapas słów ruskich w polszczyźnie. Najlepiej przyjęli się wyraz *nadwerezyc*, t. j. nadszkodzić, naderwać, *nadwerezone* zdrowie i t. p.; zrobiliśmy z tego później *nadwerezyc* i dotarliśmy szczęśliwie jeszcze i do *nadwyrężenia* (niby z przyimkiem *wy*). W mowie potocznej tylko, i to w pewnych stronach w Galicji wschodniej, na Podolu i t. d., więcej słów ruskich; najwięcej w naszej literaturze używali ich „kozak“¹⁾ Michał Czajkowski (a sekundował mu czasem Bohdan Zaleski) i Jeż, z ruskich stron rodem i „chłopotoman“ do tego. Częste u nas twierdzenia „to i to słowo wzięliśmy z ruskiego“ niemal zawsze odwracać należy: z polskiego poszło ono do ruskiego (np. *buta* i *butny* i tyle innych). Nawet polski „Dobrodziej“ zajął u „Ukraińców“ naszych miejsce również polskiego „Pana“, wyniósłszy się z naszych stron.

Osobno warto zaznaczyć, że przez pośrednictwo ruskie dostały się do naszego języka wyrazy wschodnie, nieraz aż Chin sięgające. *Butany* o koniu, *butat* o stali (którą niegdyś innem obcem słowem *ocelą* nazywaliśmy), *butawa* dla maczugi i tyle innych słów nie wprost od Tatarów przyswoiliśmy sobie; nawet *bojarzyn* z głębokiej Azji do nas przywędrował — nie słowiańskie to, ale kokandzkie²⁾. Jeden z najciekawszych terminów to *batwan*, którego i w *batwochwalstwie* spotykamy: nie identyczne to z *balabanem* (klocem) albo *barabanem*, jak u nas mówią, *tarabanem* (bębnem, *wytarabanic się*), znanem narzędziem muzycznym, acz nie muzycznym; *batwan* oznaczał pierwotnie pomnik, jak owe baby kamienne, rozsiane nad stepem czarnomorskim i azowskim, i kaspijskim, aż do Chęcin (baba Chęcińska)³⁾ i Gdańska sięgające, u koczowniczych głównie narodów. Ten sam termin pojawia się w starotureckich, orchońskich⁴⁾ napisach (VIII wieku), a wywodzą go ze słów

¹⁾ T. j. autor powieści z życia kozaczyzny. — ²⁾ T. j. z narzecza turkiestańskiego. — ³⁾ Kamień pod Chęcinami o kształcie ludzkim. — ⁴⁾ W jednym z narzeczy tureckich.

¹⁾ Autor sławnego herbarza w w. XVI.

starochińskich — któż się u nas taką genealogją poszczycić potrafi! A nie jedyny to prastary termin wschodni, do nas na Ruś wędrujący: różne nazwy materji (*kamcha* np.), ubiorów (*kłobuk* — kołpak), broni (kordów) i t. d. tu należą również. Lecz, powtarzamy, pożyczki te nie zrównoważą nigdy tych, jakie od nas do ruskich języków się dostawały i o dawności i znaczeniu naszej kultury po wiekach jeszcze świadczą¹⁾. —

O S W A L D B A L Z E R (ur. 1858).

1. Kultura słowiańska i germańska.

List otwarty do dra Teodora Mommsena, profesora uniwersytetu berlińskiego, z powodu jego odezwy:
An die Deutschen in Oesterreich (1897)²⁾.

Raum für alle hat die Erde³⁾. Schiller.

Jaśnie Wielmożny Panie!

Wypowiedziałeś Pan doniosłe słowa. Pokąd z ław wzburzonego parlamentu padały obelżywe przeciw Słowianom wyrazy o ich „niższej wartości“, można je było zbyć krótkiem: *Guarda e passa*⁴⁾, bo się nie zrodziły ani z zastanowienia, ani ze znajomości rzeczy, a jedynym ich argumentem i poparciem była piana na ustach mowców i bicie w pulpity. Ale obecnie rzecz się zmieniła. W tej samej sprawie zabiera głos mąż nauki, który pracami swemi zdobył sobie rozgłos w Europie, którego zdanie, jeśli w rozgrywającym się sporze politycznym ma mieć jakie znaczenie, to chyba przez to, że się wspiera na jego powadze naukowej, o którym przypuszczać winniśmy, że go praca całego życia zaprawiła dążnością szukania i głoszenia prawdy. Odzywa się mąż, który wykazał, że umie się wznieść ponad małostkowe uprzedzenia narodowościowe, kiedy w najbliższym czasie po ukończeniu wojny z r. 1870—71 tak usilnie i skwapliwie starał się o nawiązanie stosunków naukowych z Akademią Francuską. Głos jego idzie dalej i rozbrzmiewa

¹⁾ W tymże zbiorze Brücknera znajdują się trzy inne, niemniej zajmujące rozprawki: „Jak pisać po polsku“. „Jak mówić po polsku“. „O niektórych dźwiękach i słowach polskich“. — Zob. też obszerniejszą tegoż uczonego książkę p. t. „Dzieje języka polskiego“. — ²⁾ Mommsen, historyk niemiecki wszechświatowej sławy, znakomity badacz starożytności rzymskich, w odezwie „Do Niemców w Austrii“ scharakteryzował narody słowiańskie, jako — barbarzyńskie. — ³⁾ Dość miejsca na ziemi dla wszystkich. — ⁴⁾ „Spójrz i mijaj!“ — słowa z *Boskiej Komedji* Dantego („Piekiło“, p. III); użyte przysłowioowo, wyrażają stosunek wzgardliwy.

donośniej, niż głosy pospolitych szowinistów politycznych; świat, który naukę czci w jej przedstawicielach, uważając ich za głosicieli prawdy, skłonny jest dać wiarę twierdzeniom, jakie z ust ich padają.

Surowe to słowa, jakie Pan wypowiedziałeś; surowsze od tych, na jakie się odważyli rozbijający pulpity mężowie stanu. Niema tu już mowy o „niższej wartości“ Słowian; nazwałeś ich Pan wprost „apostołami barbarzyństwa, którzy niemiecką pracę półtysiąca lat pogrzebać pragną w przepaściach swojej dzikości“. Nie było dotąd historyka, któryby twierdzenie takie, nie powiem, udowodnił, ale chociażby tylko gołostownie poważył się wypowiedzieć. Musimy przypuszczać, żeś Pan rozmyślał nad słowami, które tak łatwo wypłynęły z pod Twego pióra, musimy oczekiwać, że podejmiesz przynajmniej usiłowania, aby je uzasadnić. Pójdiesz Pan zapewne za zdaniem jednego z najszlachetniejszych swoich ziomeków, Roepella¹⁾, który w panteonie historjografji niemieckiej godne obok Pana pod względem naukowym zajmuje miejsce, a który powiedział: „Niełatwo nam Niemcom pojąć i ocenić przedmiotowo narodowego ducha Słowian; ale prostem jego zaprzeczaniem, bezwzględnem jego potępieniem, jak się to za naszych czasów zbyt często dzieje, z pewnością nie dotrzemy do sedna rzeczy“. Oczekujemy dowodów. Wymaga tego Pańska powaga naukowa, wymaga tego Pański siwy włos, który zbiegał w pracy nad szukaniem prawdy; wymaga tego Pańska godność człowieka, która, żądając szacunku dla siebie, nie powinna targać nikogo bez uzasadnionej i wykazanej podstawy.

Zanim Pan dowód ten przeprowadzisz, pozwól, że ja z mojej strony zwrócę uwagę na kilka objawów, których w sprawie tej nie należy spuszczać z uwagi.

Słowianie, o których Panu chodzi, którzy w Austrii zaprowadzić mają panowanie barbarzyństwa i ciemnoty, to są w przeważnej części wielkie odłamy Słowiańszczyzny zachodniej, przedewszystkiem Czesi i Polacy; a nawet ci ze Słowian południowych, którzy w skład monarchji wchodzą, należą w przeważnej części, od całego szeregu wieków, do koła cywilizacji zachodniej. O tychto ludach słowiańskich mówić tu chcę wyłącznie, dla uproszczenia rzeczy; a sądzę, że i Pan zgodzisz się na to ograniczenie, skoro w liście swoim tych tylko Słowian miałeś na myśli.

Słowianie ci, wszyscy bez wyjątku, byli niegdyś barbarzyńcami. Byli nimi w zaraniu swych dziejów, u progu wystąpienia w historji.

¹⁾ Historyka niemieckiego XIX w., zamiłowanego i bezstronnego badacza dziejów Polski.

Byli nimi — Pan wiesz to najlepiej — w pewnym okresie czasu także i Germanie. Za czasów Cezara i Tacyty są oni barbarzyńcami; są nimi w czasie wędrówek narodów; zwycięstwo Arminiusa nad legionami rzymskimi¹⁾ było zwycięstwem barbarzyństwa nad światem cywilizowanym, który w stare germańskie gaje, wraz ze swoją przewagą orężną i państwową, chciał nieść także kulturę; rozbicie państwa rzymskiego przez napływające plemiona germańskie było tak samo chwilową przewagą barbarzyństwa nad tem wszystkim, co starożytny świat wytworzył z siebie pod względem cywilizacyjnym. A jednak owe zwycięstwa barbarzyńskich Germanów, owo założenie ich państw na gruzach wszechświatowego imperjum, zaliczają nietylko Niemcy, ale wogóle cała historjografja do najdonioślejszych wypadków w dziejach ludzkości. I słuszna: bo młode, żywotne, pełne siły plemiona germańskie zluzowały rozpadające się wewnątrz społeczeństwo i państwo starożytne, i przejąwszy odeń jego wysoką kulturę, zapewniły jej dalszy byt i dalszy rozwój. O półtysiąca lat później poczynają i Słowianie wychodzić z pierwotnego stanu dzikości, wstępują w koło ludów cywilizowanych. Ich udział w kulturalnej pracy ludzkości jest zatem późniejszy, aniżeli u Niemców; wątpić jednakże należy, żeby sprawiedliwy sąd historyka miał w tem cokolwiek do wytknięcia, podobnie jak nikt nie może winić Niemców ani też obniżać wartości ich pracy cywilizacyjnej z tego powodu, że jej nie objęli zaraz w spadku po Grekach, uprzedzając w tem Rzymian. Taki, a nie inny porządek ewolucji dziejowej niosły ze sobą siły wyższe, powiedziałbym elementarne, od woli szczepów niezawisłe.

Pytanie, które sobie postawić musi prawdziwy historyk i nieuprzedzony sędzia, jest raczej to, czy Słowianie, rozpoczynawszy raz pracę cywilizacyjną, prowadzić ją byli zdolni i skłonni, i czy ją rzeczywiście ze skutkiem prowadzili. Nie mam zamiaru poruszać kwestji, jaki charakter kultura ich przybrać miała; czy miała to być kultura wschodnia, zapośredniczona przez Bizancjum, czy zachodnia, jaka szła z Rzymu i jakiej służyli także Niemcy. Gdybyś Pan miał możność dokładniejszego zaznajomienia się ze współczesną literaturą, jaka się pojawia poza wschodnią ścianą dzisiejszego państwa niemieckiego²⁾, mógłbyś Pan naczytać się niemało o wyższości owej kultury wschodnio-bizantyńskiej nad zachodnią. Może znalazłbyś Pan w niej sposobność do polemiki z tego powodu; w tej mierze miałbyś mnie Pan niewątpliwie po swojej stronie.

¹⁾ W lesie Teutoburskim (r. 9 po Chr.). — ²⁾ T. j. z tendencyjną literaturą historyczną carskiej Rosji ówczesnej.

Było wielkiem szczęściem zachodniego odłamu Słowiańszczyzny, że mógł korzystać bezpośrednio z owoców cywilizacji zachodniej, i w pracy nad jej utrwaleniem i rozszerzeniem czynny wziąć udział; bo w cywilizacji tej złożony jest w całości i w obfitszej mierze, niż gdzie indziej, dorobek kulturalny świata i całej ludzkości. Spór o wyższość jednej lub drugiej kultury jest zresztą w tym wypadku bezprzedmiotowy, bo Słowianie, których Pan masz na myśli, wchodzą w koło cywilizacji zachodniej; możemy więc obaj, zgodni w zasadniczej kwestji, przystąpić do dalszych szczegółów.

Elementy zewnętrzne, które się na cywilizację Słowian zachodnich złożyły, były dwa: chrześcijaństwo i świecka kultura zachodnia. Nasza słowiańska cywilizacja nie jest zatem nawskroś samorodną, wsiąknęły w nią w pewnej mierze czynniki obce, choć nie wyłącznie i nie niewolniczo przejęte; jako czynnik trzeci działał genjusz narodowy, który je odpowiednio do swych potrzeb i właściwości przetwarzał i w organiczną całość spajał. Taki sam początek i charakter ma też i cywilizacja Niemców; i na nią złożyło się chrześcijaństwo i świecka kultura zachodnia, jaką w chwili wystąpienia swego na widownię dziejową zastali, przetwarzając ją potem na swoją narodową modłę. Oba szczepy nie są tedy twórcami żadnej nawskroś samorodnej kultury; oba rozpoczynały pracę swoją kapitałem przeważnie pożyczonym, i wątpić należy, żeby którykolwiek z nich mógł sobie pod tym względem rościć prawo do wyższości. Różnica zachodziła tylko w tem, że Niemcy korzystali wprost z cywilizacji starożytnej, my zaś nadto jeszcze z tego, w czym oni ją dalej rozwinięli. Mogą sobie Niemcy rościć z tego powodu prawo do wdzięczności u Słowian, i my im jej odmawiać nie chcemy; niechże jednak w tym razie postępują konsekwentnie i nie zarzucają nam braku kultury; bo zarzut ten byłby wtedy właśnie usprawiedliwiony, gdybyśmy z dawniejszego dorobku cywilizacyjnego, jaki zastaliśmy, występując w historii, korzystać nie byli chcieli i umieli.

Co było z początku, to powtarzało się i później; w wielu kierunkach przyszło nam w dalszym naszym rozwoju, aż po dzień dzisiejszy, czerpać z zasobu kultury niemieckiej, choć już nie wyłącznie z niej samej; bo tymczasem rozwinęły się także potężne cywilizacje romańskie, które nam również nie pozostały obcemi. Ale nieinaczej było także i w Niemczech samych. Rozwój życia miejskiego, który tak ważną tu odegrał rolę pod względem gospodarczym i społecznym, a w następstwach swoich także pod względem intelektualnym, oparł się, jak wiadomo, na wzorach lombardzkich; wielkie odrodzenie duchowe narodu, dokonane pod koniec

wieków średnich i w początkach czasów nowszych, przyniosło ze sobą studjum dawnych i nowoodkrytych skarbów literatury i sztuki starożytnej; a i ono nie urodziło się w Niemczech samych, tylko przyszło tu z Włoch. W dwu przedostatnich stuleciach nietylko książątka niemieckie wzorowały swe dwory na przykładzie francuskim, ale i literatura niemiecka, która w w. XVII nie miała Molière'a i Corneille'a, a i w XVIII nie potrafi się wykazać Wolterem i Monteszkuszem, czerpała z Francji wiele soków żywotnych. Wiadomo Panu, jakie o tem zapatrywania głosił Fryderyk II¹⁾. Na polu kultury materialnej, żeby poprzestać na jednym tylko przykładzie, wystarczy przypomnieć, jak niedoścignionym wzorem przez długie czasy, a po części do dziś dnia, pozostał dla Niemców przemysł artystyczny francuski, i wiele mu oni mają do zawdzięczenia, że przemysł ten obecnie zdołał się u nich rozwinąć. Pragnąłbym zobaczyć minę Niemca, jakąby nastroił, gdyby dziś z tego powodu jakiś Włoch lub Francuz rzucił w twarz jego narodowi: nie powiem już, zarzut braku kultury, ale chociażby tylko jego „niższej wartości“ cywilizacyjnej.

Jak ocenić, czy Słowianie zachodni brali udział w rozwoju kulturalnym i czy wogóle byli doń zdolni? Pozwól mi Pan przypomnieć kilka faktów. Oto jeden bardzo charakterystyczny, że dwa pierwsze uniwersytety, jakie wogóle w Europie środkowej powstały, przypadają: jeden na Pragę, drugi na Kraków; stają one w stolicach dwu państw Słowiańszczyzny zachodniej. O uniwersytecie praskim mówi się wprawdzie pospolicie, że był pierwszym uniwersyteciem niemieckim; o ile nim był w wiekach średnich, należałoby jeszcze udowodnić. Nauka miała podówczas charakter nawskroś kosmopolityczny. Profesorami byli zarówno Niemcy, jak Czesi, jak zresztą także Włosi i Francuzi; nie sami tedy Niemcy nieśli tu kaganiec oświaty. Założył uniwersytet władca²⁾, który wprawdzie był obrany królem rzymskim, ale zarazem także dziedzicznym królem czeskim, i który interesu Czech nie podporządkowywał interesom Niemiec, tak, że go nawet dowcipnie nazwano „ojcem narodu czeskiego, arcyojczymem świętego rzymskiego imperjum niemieckiego narodu“. Czeski charakter wszechnicy zarysowuje się tak dosadnie w początkach wieku XV, że niemieccy profesorowie i studenci opuszczają ją gromadnie. Największą postacią, która w dziejach tej wszechnicy w wiekach średnich wynosi się daleko ponad przeciętną przeważnie rzeszę profesorów, jest osoba o słowiańskim nazwisku

¹⁾ Który wyrażał się pogardliwie o literaturze niemieckiej. — ²⁾ Cesarz Karol IV.

i słowiańskiego pochodzenia — mistrz Jan Hus. Idźmy dalej. W w. XV pisze w Polsce wielką historję Długosz, a choć wiele mu jeszcze, na sposób ówczesny, przypadło bajać o pierwotnych dziejach swego narodu, choć w przedstawieniu stosunków współczesnych okazał się mężem stronnictwa, to jednak całym ujęciem przedmiotu i szerokim poglądem na istotę spraw dziejowych wybiegł bardzo daleko poza ograniczone stanowisko współczesnych kronikarzy środkowej Europy. Niemcy znaleźliby się w niemałym kłopotcie, gdyby im przyszło wymienić kogoś ze średniowiecznych swoich kronikarzy, któryby mógł zająć godne obok Długosza miejsce. W wieku XVI wysuwa się w Polsce na widnokrąg całej Europy wielki, błyszczący genjusz Kopernika; trzeba też przypomnieć, że Kopernik uczył się astronomji na uniwersytecie polskim, pod kierunkiem wytrawnego polskiego profesora¹⁾. Obok niego w temże samem stuleciu, błyszczący nazwisko wielkiego statysty Modrzewskiego i wielkiego poety Kochanowskiego. W wieku XVII dostarczają Czechy głośnego na cały świat cywilizowany reformatora edukacji Komeńskiego. W stuleciu bieżącym zachodnie ludy słowiańskie mają do wykazania w nauce nazwiska Palackiego, Szafarzyka, Śniadeckiego, Szujskiego i Kalinki, w poezji nazwiska Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Nerudy, Halka, Vrchlickiego, Sienkiewicza; w innych działach sztuki: Brożika, Grotgera, Matejki, Siemiradzkiego i Chopina²⁾. Nie są to wszyscy, którychby tu wymienić można; ale wystarczą zapewne już ci, których przytoczyłem kilku, tak potężnych, że niejedna wielkość, która prawi o braku kultury u Słowian, powinna wobec nich zatrzymać się z szacunkiem w przywoitem oddaleniu. Narody, roszczące sobie monopol kultury i cywilizacji, stawiałyby ich niewątpliwie w szeregu swoich najzasłużeńszych, gdyby miały szczęście zaliczać ich do swego grona. Ze szczególnym naciskiem podnieść należy, że ci wielcy pionierowie cywilizacji, nietylko słowiańskiej, ale i europejskiej, występują w tak pokaźnej liczbie w ostatniem stuleciu, w czasie, kiedy rozwój narodowy Słowian zachodnich z tak ciężkimi miał walczyć przeszkodami zewsząd, i po dziś dzień jeszcze walczy z niemi w przeważnej części. Popęd i zdolność cywilizacyjna tych narodów musiały i muszą być zaiste wielkie i niespożyte, jeżeli mimo wszystkie te przeszkody mogły się wykazać takim do-

¹⁾ Wojciecha Brudzewskiego w Krakowie. — ²⁾ Palacky, historyk i publicysta, Szafarzyk, uczony-filolog, — największe dwie sławy nauki czeskiej XIX w.; Neruda, Halek, Vrchlicky — znakomici poeci czescy tegoż wieku; Brożik — czeski malarz historyczny z tegoż wieku („czeski Matejko“); Siemiradzki, malarz polski, znany światu z obrazów na tematy antyczne.

robkiem kulturalnym. Bądź co bądź, zarówno ci nowsi, jak i wszyscy dawniejsi, składają w obliczu historii świadectwo, że ich narody są narodami cywilizowanymi, i są żywym protestem przeciw niedowarzonemu zarzutom barbarzyństwa; barbarzyństwo nie byłoby mogło wytworzyć z siebie tego, co oni wnieśli do skarbcza cywilizacji ludzkości.

Pozwól Pan, że tym razem sięgnę poza sferę Słowian zachodnich, do wielkiego odłamu Słowiańszczyzny wschodniej. I Rosjanie mają swojego Puszkina i Tołstoja, swojego Wereszczagina¹⁾. Słowiański duch wytworzył widocznie tyle siły cywilizacyjnej w sobie, że nawet bez tak silnego oddziaływania kultury zachodniej, jak gdzie indziej, wykazać może pokaźny dorobek cywilizacyjny. Na tronie rosyjskim w początkach tego stulecia zasiadał monarcha szlachetnego serca i szerokiego, zachodniego poglądu na świat²⁾; któż chciałby twierdzić, że to będzie ostatni w tym państwie władca tego pokroju? Mimo wszystko, co w Rosji mówią i przeciw czemu walczą zwolennicy t. zw. partji starorosyjskiej, nie pozostała Rosja obcą wpływom kultury zachodniej; od czasów Piotra I wsiąka tu ona coraz bardziej i coraz widoczniej, w czasach nowszych z niepowstrzymanym pędem; i nie można dziś przesądzać, czy po upływie jednego lub kilku stuleci jakiś przyszły historyk nie będzie miał do rozstrzygnięcia pytania, azali Rosję zaliczać jeszcze do państw kultury wschodniej czy też już zachodniej. Prawda, że na ocenę stanowiska ludów narodowości nierosyjskiej wpływają tam jeszcze w wielkiej mierze poglądy wschodnie; ale w tem, zdaje się, nie tkwi wyłączna właściwość tamtejszej kultury, bo takie samo postępowanie nie jest też obcem i państwowi zachodnim, które roszczą sobie pretensję do przewodnictwa cywilizacji.

Wracając do ludów zachodnio-słowiańskich, zaznaczam, że nie mam bynajmniej zamiaru ukrywać ujemnych stron ich rozwoju dziejowego. Jako takie strony ujemne przedstawia się, czasem z przesadnym naciskiem, stosunki ich życia społecznego i państwowego, przewagę stanów wyższych, ucisk i poniewieranie stanów niższych, rozluźnienie silnej władzy państwowej, niezdolność utrzymania potężnego organizmu politycznego. Przyznaję, że i to się zdarzało w pewnych okresach czasu. Ale ubliżyłbym Panu, jako wytrawnemu historykowi, gdybym tu chciał tłumaczyć szeroko, że w życiu każdego narodu, który około cywilizacji położył zasługi i który je w przyszłości jeszcze położyć może, zająć mogą stany osłabienia, nawet

chwilowego upadku, który niekoniecznie jest upadkiem stanowczym, po którym przyjść może odrodzenie, okres nowego rozkwitu. Nie chciałbym Mu też tłumaczyć, że wiele z tych ujemnych objawów nie jest też szczególną właściwością narodów słowiańskich, że powtarzają się one gdzie indziej, u ludów, stojących na czele cywilizacji. Przewaga stanów wyższych złamana została w Europie dopiero przez wielką rewolucję, w czasie, kiedy Czechy już od trzech prawie wieków przestały być państwem nawskroś samoistnym, a równocześnie z chwilą, kiedy rozbierano Polskę. Poddaństwo osobiste znoszono w niektórych krajach pod panowaniem niemieckim dopiero pod koniec wieku XVIII, znowuż w tym czasie, kiedy Polska upadała jako państwo; a i ona jeszcze w konstytucji trzeciego maja obwieściła nieścieśnioną niczem wolność osobistą wszystkich obywateli państwa. Ale nie było żadnego władcy w Czechach lub w Polsce, któryby, sprzedając mięso ludzkie, wynajmował obcym potęgom, za pieniądze, całe oddziały swojego wojska, jak się to zdarzało u niektórych książąt niemieckich jeszcze pod koniec zeszłego stulecia. Miejski, niemiecki żywił w Polsce używał swego języka ojczystego jako urzędowego tak długo, pokaż tego chciał; kiedy go zmienił na język polski, stało się to z dobrej woli, bez ustawy, któraby go do tego zmuszała, bez przymusu ze strony Polaków. Dzieci Niemców uczyły się w szkołach niższych po niemiecku; języka ich nie usuwano systematycznie z planu nauk. Osławione *liberum veto*, zrywanie sejmów przez mniejszość, zostało przez samych Polaków częściowo ograniczone w r. 1768, a zupełnie zniesione w r. 1791, i niema dzisiaj Polaka, któryby go nie potępiał; oto jednak pod sam koniec XIX stulecia wznawiają go w całym nagim kształcie ci, którzy głoszą teorię o niższej wartości cywilizacyjnej Słowian¹⁾.

Słowianie ci nietylko, że pracowali nad rozwojem kultury u siebie; bronili oni jej także z orężem w ręku przed naporem wschodu, nadstawiali za nią swą pierś, kiedy tego wymagała potrzeba. Na polach Lignicy książę polski położył głowę, usiłując wstrzymać nawałę tatarską, która nietylko jego krajowi, ale i całej środkowej Europie groziła. Roku 1683 król polski, dając odsiecz zagrożonemu przez Turków Wiedniowi, spełnił dostojnie swój obowiązek wobec kultury zachodniej. Od wieku XIV do XVII Polska, w ustawicznych, ciągle odnawiających się walkach z Tatarami i Turkami, przeżyła na wschodnich kresach całą epopeję rycerską, nie zaznawszy ani

¹⁾ Wereszczagin — sławny rosyjski malarz-batalista. — ²⁾ Mowa o Aleksandrze I.

¹⁾ Mowa o t. zw. obstrukcji mniejszości niemieckiej w ówczesnym parlamencie austriackim.

razu pomocy ze strony świata zachodniego, który jednak chętnie i obficie wysyłał posiłki Zakonowi niemieckiemu, kiedy tenże walczył z Polską. O czynach, spełnionych w tych wielkich czterowiekowych zapasach rzeczypospolitej polskiej ze wschodniemi barbarzyństwem, nie świadczą żadne napisy; gdyby były pozostały, możnaby z nich ułożyć pokaźne *Corpus inscriptionum*¹⁾, które w niejednym dałoby historykowi więcej do myślenia, aniżeli ten lub ów nowo odszukany napis rzymski, pozwalający ustalić wątpliwą datę rządów pewnego konsula.

Ale co większa, Słowianie zachodni nieśli ochoczo kulturę zachodnią na przestrzenie, które jej poprzednio były obcemi, świadomi wielkiego jej znaczenia, świadomi zadań i obowiązków, jakie przyjęli na siebie, wstępując w koło cywilizacji zachodniej. Pogańska Polska otrzymała chrześcijaństwo za pośrednictwem Czech; syn pierwszego chrześcijańskiego władcy polskiego, Bolesław Chrobry, popierał, jeszcze pod koniec przeszłego tysiąclecia, rozszerzenie chrześcijaństwa u pogańskich Prusaków, znalazłszy gorliwego wykonawcę swych myśli w osobie świątobliwego biskupa czeskiego, potomka książęcego rodu słowiańskiego²⁾. Za sprawą Bolesława Krzywoustego przedsięwziął Otton bawarski apostołskie wyprawy na Pomorze, które odtąd pozyskane zostaje dla chrześcijaństwa i kultury zachodniej. Kiedy Niemcy i Romani w wyprawach krzyżowych walczyli o grób Zbawiciela, książęta polscy przedsięwzięli wyprawy krzyżowe na Prusaków, ażeby ich nawrócić na chrześcijaństwo; jeden z nich położył głowę w tych walkach³⁾. Dla ostatecznego schryśtjanizowania tego ludu Konrad mazowiecki nie wahał się ustąpić przywołanemu Zakonowi niemieckiemu pokaźnej części swych dziedzin, nie przypuszczając nawet, że potęga, która z ramienia Polski miała szerzyć chrześcijaństwo i kulturę zachodnią pośród pogan, zwróci się potem przeciw samej Polsce. Wreszcie, pod koniec wieku XIV zdobywa Polska dla cywilizacji zachodniej, nie orężem i przemocą, lecz przez dobrowolne połączenie, wielkie przestrzenie Litwy i znaczną część krajów ruskich, obszarem swym nie o wiele mniejsze od całego państwa niemieckiego; i tutaj pracą swą cywilizacyjną prowadzi przez cały szereg wieków. Olbrzymie to zadanie osłabiło ją poczęści nazewnątrz i wywołało groźny, zasadniczy antagonizm świata wschodniego, który ją przyprawił ostatecznie o upadek polityczny; bądź co bądź, spełniła ona swoje zadanie wo-

¹⁾ „Zbiór napisów“, na wzór „Zbioru napisów łacińskich“ (historycznego wydawnictwa, które redagował właśnie Mommsen). — ²⁾ Św. Wojciecha. — ³⁾ Książę Henryk sandomierski w w. XIII.

bec kultury zachodniej, i spełniła je nie bez trwałych skutków, których wszystkie zapędy przeciwne dotychczas usunąć nie zdołały.

Warunki zewnętrzne, wśród których rozpoczęli pracę cywilizacyjną Germanie z jednej, a Słowianie z drugiej strony, były zgoła odmienne. W czasie, w którym powstawały młode państwa germańskie, waliła się spróchniała budowa starego imperjum rzymskiego; bezpośredni jego spadkobierca, cesarstwo wschodnio-rzymskie, było za słabe, ażeby wystąpić do jakiejś poważniejszej akcji. Już na polach Adrianopola pokonali je barbarzyńscy Wizygoci, a późniejsze zwycięstwa Belizarjusza i Narsesa odniosły tylko chwilowy skutek. Starożytna kultura, która zapłodniła cywilizację niemiecką, nie miała przedstawiciela w jakiejś większej, silniejszej organizacji państwowej, która, powołując się na wyższość swojej cywilizacji, byłaby stąd chciała zarazem wyciągnąć korzyści w kierunku przewagi państwowej i narodowej. Germanie, choć początkujący, stanęli odrazu sami, niekrępowani przez nikogo, niepodciągani pod żadną cudzą opiekę; mogli swobodnie, bez żadnych przeszkód, rozwijać kulturę, i przez pewien czas rozwijali ją rzeczywiście sami. To było ich szczęście, ale nie ich zasługa. Słowianie, kiedy poczęli swą pracę cywilizacyjną, znajdowali się w zgoła odmiennym położeniu. Nie budowali oni na gruzach dawniejszego porządku rzeczy: w starych swoich dziedzinach, które zasiedlili od prawieku, lub innych, które zajęli po dobrowolnym wyjściu Germanów, chcieli się wprzać — i wprzęgli się — w koło cywilizacji zachodniej; obok nich istniał i istnieje po dziś dzień potężny, kulturalny naród niemiecki, mający za sobą dłuższą od nich przeszłość cywilizacyjną. Powstały — nie powiem: dwie cywilizacje odmienne, bo jedna i druga wspierają się na tych samych podstawach, ale dwa osobne ogniska cywilizacyjne, ześrodkowujące około siebie pracę każdego szczepu. „Starszy brat“ chciał jednak skupić wszystko w jednym ognisku, i dlatego rozciągnął odrazu opiekę nad młodszym, postanowił wciągnąć go w zakres swojego wpływu, a o ile się dało, podbić i wcielić do swoich dziedzin, nie przebijając, jak wiadomo, w środkach. Formalnie może tu kto zechce usprawiedliwić Niemców, o ile chodzi o te plemiona słowiańskie, które, jak np. Słowianie połabscy, trzymały się upornie pogaństwa, gdyż pogaństwo było negacją kultury; trzeba ją było szerzyć przemocą. Ale co sądzić o zapędach Niemców wobec tych narodów słowiańskich, które, przyjąwszy chrześcijaństwo i elementy kultury zachodniej, otwarcie do łączności z nią się przyznały i pracować dla niej postanowiły? I tym nie chcieli Niemcy przepuścić. Czeski Wacław I, który za sprawę chrześcijaństwa i zachodniej

kultury dał życie¹⁾, zmuszony został pierwszy nawiązać trwałe stosunki zawisłości wobec Rzeszy; polski Bolesław Chrobry, który nawracał Prusaków i pomagał Niemcom w podboju pogańskich Słowian nadłabskich, musiał toczyć długą i zaciętą walkę z państwem niemieckim, ażeby narodowi swemu zapewnić niepodległość. Czy te ludy słowiańskie, dla swej młodszości, nie były zdolne pracować same, bez opieki? Wszakże Germanie tak samo zrazu, ze stanu barbarzyństwa wychodząc, odbywali prymicie cywilizacyjnej pracy bez obcej pomocy²⁾; a wątplić należy, czy byliby się zgodzili na cudzą opiekę, gdyby im ją kto był chciał narzucić. A przecież i bez tej opieki zdolali wytworzyć wielką kulturę. Może więc Słowianie wogóle nie mieli zdolności pracować w tym kierunku? Widzieliśmy, że jednak potrafili; i szczególnie uwagi godną jest rzeczą, że właśnie te narody, które nie przeszły wcale w poddaństwo Niemiec, i albo tylko w luźnym nawskroś, na wewnętrzną ich samodzielność zgoła niewpływającym stosunku zawisłości do Rzeszy zostawały, jak Czesi, albo też już rychło, jak Polska, wybiły się z pod wszelkiej wobec nich zależności, posunęły swoją kulturę i najdalej, i najwyżej; podczas gdy inne plemiona, które używały dobrodziejstw panowania niemieckiego, jak Serbowie³⁾, kulturę swoją słabo tylko rozwinąć zdołały. Opieka i przewaga niemiecka była zatem zbędną i niepowołaną, a jeśli chodzi o wynik pracy cywilizacyjnej, obojętną, ta bowiem byłaby się dokonała i bez niej, a byłaby się może nawet dokonała i lepiej. Samo starszeństwo cywilizacyjne Niemców nie dawało im również moralnego prawa do supremacji. Kiedy Rzym podbijał Achaję, nie liczył się bynajmniej z tem, że z Grecji wziętą w przeważnej części zasoby swojej cywilizacji; mnie zaś w dziele Pańskim⁴⁾, które na każdym kroku sławi bezwzględna, zaborczą politykę rzymską, nie udało się bynajmniej odszukać jakiegokolwiek protestu przeciw takiemu obrotowi rzeczy. Kiedy Germanie, burząc państwo rzymskie, zakładali tam swoje siedziby, wyższość i starszeństwo cywilizacyjne świata starożytnego były dla nich rzeczą zgoła obojętną; przypomniałem też już, że kiedy wschodnie cesarstwo usiłowało zapewnić sobie przewagę nad nimi, sprzeciwili się temu uroszczeniu i z bronią w ręku odparli mężnie jego zapędy. Trzeba mierzyć równą miarką dla wszystkich, szczególnie, kiedy się jest historykiem. Dorobek cywilizacyjny pewnego narodu nie jest wyłączną jego własnością; to, w czem ten naród, jako część ludzko-

¹⁾ Zamordowany przez wielmożów czeskich za sprzyjanie chrześcijaństwu i niemieckim wpływom. — ²⁾ Prymicje, pierwsza msza nowowyświęconego księdza; tu — przenośnia. — ³⁾ Łużycy. — ⁴⁾ „Rzymskie prawo państwowe“.

ści, posunął kulturę naprzód, jest dobrem wspólnem i zyskiem całej ludzkości, i cała ludzkość ma prawo zeń korzystać, podobnie jak on sam korzystał z dawniejszych dorobków cywilizacyjnych. Mieli więc Słowianie prawo spożytkować to, w czem przed nimi zasłużyli się Niemcy około postępu cywilizacji; nie byliby oni tu zaprzeczali ich ojcostwa i autorstwa, nie mieli zamiaru stroić się w cudze pióra, a gdyby go nawet byli mieli, historia byłaby im w tem kłamała i zasługi Niemców uratowała. Ale nie było w tem tytułu do przewagi Niemców, państwowej i plemiennej, nad Słowianami.

Czy zresztą w istocie w tem dążeniu Niemców do supremacji odgrywały rozstrzygającą rolę względy kulturalne? Oto naprzód szczegół drobny, ale bardzo charakterystyczny, a chyba niepodlegający wątpliwości, bo przez niemieckiego kronikarza poświadczony. Kiedy część Słowian nadłabskich, pokonana orężem przez Niemców, przyjęła wraz z chrześcijaństwem poddaństwo państwowe wobec nich, i zdawało się, że na przyszłość wszystko już pójdzie po myśli cywilizatorów, stało się nagle, iż szczerp ten odpadł od chrześcijaństwa, które w pojęciu swem łączył z poddaństwem niemieckim, a odpadł dlatego, że mu się bardzo we znaki dała chciwość (*avaritia*) Sasów. Widzimy, że cywilizatorowie, obok wielkich zadań kulturalnych, mieli tu także swoje uboczne cele, a zaprawdę nie chowali ich pod korcem. Ale bezporównania ważniejszym i bardziej pouczającym jest szereg innych faktów, wykazujących, że w czasie, kiedy Słowianie znacznie już naprzód postąpili w cywilizacji i z całą stanowczością idee zachodnie nieść chcieli na wschód, służąc tej samej wielkiej myśli, której wiernymi wykonawcami przedstawiają się zawsze Niemcy — ci sami Niemcy nietylko im w tem nie pomagali, ale wielokrotnie stawiali przeszkody w drodze. Kiedy Jagiełło przedsięwziął apostolską wyprawę na Litwę, ażeby tamtejszy naród, dopiero co połączony z Polską, nawrócić do chrześcijaństwa, Zakon krzyżacki, nieposiadający się ze złości, że mu się wymknęła z ręki ta dawno upragniona zdobycz, przedsięwziął wyprawę wojenną na Litwę, w sojuszu z dwoma schizmatyckimi książętami ruskimi. Onto razem z królem rzymskim Zygmuntem podnieca Witolda i popiera go najgorliwiej w usiłowaniach o nabycie korony króla litewskiego i zupełnego oderwania krajów litewsko-ruskich od Polski, nie troszcząc się o to, że tym sposobem wpływ kultury zachodniej zostałaby tu zniweczony i w krajach tych zapanowałaby znowu niepodzielnie kultura wschodnia. Kiedy w najbliższym czasie potem żywiły, ciężące ku wschodowi, w obronie zagrożonej swojej kultury wschodniej, podniosły bunt przeciw Polsce pod wodzą Świdrygiełły,

wtedyto Zakon krzyżacki udzielił im znowu moralnego i materialnego poparcia, a Zakon inflancki posiłkował je zbrojnie. W ostatniej, wielkiej walce, którą Polska podjęła przeciw wschodniemu carstwu moskiewskiemu, ażeby nietylko rozszerzyć granice państwa, ale zarazem w nabytych krajach zapewnić przewagę kulturze zachodniej, w walce Stefana Batorego z Iwanem Groźnym, „rzymskie“, „święte“ imperjum niemieckiego narodu było znowu po stronie — Moskwy. A kiedy zbliżała się chwila, w której na zegarze dziejowym wybić miała ostatnia godzina państwowego bytu starej Polski, znalazł się znowu władca niemiecki, który ułudnemi przyrzeczeniami poparcia rozdmuchał zarzewie wojny między Polską a Rosją, ażeby potem w chwili stanowczej wymierzyć Polsce cios śmiertelny. Rozszerzył przez to granice swego państwa, mało się troszcząc o to, że równocześnie znaczna część upadającej rzeczypospolitej wydana została na pastwę, pod wpływ i panowanie świata wschodniego.

Nikt z nas nie będzie miał nic przeciwko temu, jeżeli się te i tym podobne czyny stawia jako wielkie dzieła postępu niemieckości, jako zwycięstwa roztropnej i przezornej polityki i dyplomacji, jako powodzenia oręża i walecznego ducha Niemców. Prosimy tylko, aby tego wszystkiego nie ubierano w płaszczek szczególnych zasług około kultury i cywilizacji. Dla znacznej części plemion niemieckich interesy kultury łączyły się zawsze z interesem państwowym, i to tak, że interes państwowy stał na pierwszym miejscu. Oni nieśli cywilizację na słowiański wschód, ażeby przysporzyć sobie korzyści politycznych, a nie wahali się porzucać jej sprawy wtedy, kiedy ich własne, samolubne cele polityczne wymagały jakiegoś poświęcenia. W wyższym stopniu politycy i germanizatorowie, aniżeli cywilizatorowie, utożsamili pojęcie kultury z pojęciem swojego państwa i narodowości; rozumieli i chcieli wmówić w świat, chcieli nawet, ażeby świat w to uwierzył, że droga do cywilizacji prowadzi tylko przez Niemcy, i że niema większego szczęścia dla innych ludów, jak dostać się tą drogą do wyższej doskonałości. Ogłosili się patentowanymi opiekunami wszystkich, którzy później od nich poczęli pracę cywilizacyjną, nie pytając wcale o to, czy tamci tej opieki pożądamy, i nie licząc się z tem, że mogą samodzielnie pracować dla kultury, otrzymawszy w posagu od Boga to samo, co i Niemcy, uzdolnienie. Zdrowy i trzeźwy pogląd na rzecz został przez to w wysokim stopniu zamacony. Nie jest to zapewne przypadkową rzeczą, jeżeli jeden z nowszych, zresztą bardzo tęgich i uzdolnionych historyków niemieckich, mając do rozstrzygnięcia pytanie, co było największym wypadkiem w dziejach Niemiec, uważa za wypadek taki

germanizację części słowiańskiego wschodu. Określił on tu, może nieświadomie i wbrew własnym zamiarom, istotną treść i wartość dziejowego rozwoju Niemiec. Niema dowodu, że owe zgermanizowane plemiona słowiańskie nie byłyby w możności rozwinięcia wysokiej kultury, gdyby im było danem pracować nad nią samodzielnie, jak ją rozwinęły inne, którym w tem opieka Niemców nie przeszkadzała. Znaczenie tego faktu wobec kultury stoi tedy właściwie pod znakiem zapytania; pozostała tylko wielka korzyść polityczna i narodowa, jako najważniejszy czyn w dziejach Niemiec. Nie mamy żadnego powodu zazdrościć im tej zasługi wobec historii, jeżeli to ma być zasługa największa.

A więc precz z ogródkami! Okrzyk zgrozy, jaki się wydarł z piersi Pańskiej, to nie było wołanie o pomoc z powodu zagrożonej kultury, to był jęk boleści i rozpacz z powodu wysuwającej się z rąk Niemców supremacji¹⁾. Trzeba rzeczy nazywać po imieniu i nie uciekać się pod płaszczek kultury tam, gdzie chodzi o inne widoki i cele. Leży to nietylko w interesie prawdy, ale i Niemców samych. Bo rzucony Słowianom w twarz zarzut barbarzyństwa i dzikości, gdyby miał być prawdziwy, byłby zarazem wielkiem oskarżeniem Niemców przed Bogiem i trybunałem świata. Niemcy nieśli kulturę pomiędzy Słowian przeważnie tylko za cenę wyrzeczenia się ich najwyższego dobra, swojej narodowości; gdzie Słowianie tej ceny zapłacić nie chcieli, tam stawiali oni wprost przeszkody ich samoistnemu rozwojowi cywilizacyjnemu, tam nie pozwalali im rozszerzać kultury dalej, choć chętni byli sami, że jej bez przestanku wiernie służyli. Narody słowiańskie, które nie straciły swej narodowości, a przecież stały się narodami kulturalnymi, stały się niemi mimo, a nawet wbrew woli Niemców. Oto dlaczego się im podoba nazywać ich dzikimi i barbarzyńskimi. Gdyby to było prawdą, któż ponosiłby w tem winę?

Słowianie nie mają zamiaru słowiańszczyć miejsc, gdzie stoją groby Mozarta i Grillparzera²⁾. Historia wykazuje, że nie słowiańszczyli dziedzin niemieckich; stwierdza ona tylko, że Niemcy germanizowali dziedziny słowiańskie. Słowianie chcą tylko, ażeby miejsca, gdzie niegdyś Przemysł Ottokar zasiadał na tronie, gdzie Jan Nepomucen poniósł śmierć męczeńską, gdzie stoją groby Palackiego i Szafarzyka, pozostały słowiańskimi, jak niemi były od czternastu wieków³⁾. Nie można im zabierać ich w imię kultury; bo oni sami

¹⁾ W ówczesnem państwie austriackiem. — ²⁾ T. j. Austrii rdzennej, niemieckiej (groby te stoją w Wiedniu; Grillparzer — znakomity poeta niemiecki w. XIX). —

³⁾ Przemysł Ottokar I, król czeski w w. XII; św. Jan Nepomucen poniósł śmierć w Pradze w w. XIV; w Pradze również pochowani Palacki i Szafarzyk.

dla niej pracować chcą i umieją, bez obcej, nieproszonej opieki. Kultura niemiecka nie jest ani pierwszą, ani ostatnią, ani jedyną, któraby prowadziła do doskonałości. Jako równi z równymi będą oni ręką w rękę z narodem niemieckim znosić cegły do budowy wielkiego gmachu cywilizacji ludzkości. Na tem sprawa postępu budowy niewątpliwie zyska.

Z usprawiedliwioną dumą narodową wspomniawszy Pan w swojej odezwie nazwisko Schillera. Słowianie czczą go niemniej, niż Pan i wszyscy Niemcy; czczą w nim nie tylko Niemca, ale zarazem wielką, świętą pochodnię w cywilizacyjnym pochodzie ludzkości. Czczą jednak nie tylko jego grobowiec, ale zarazem i wielkie myśli, które wypowiedział genialny mistrz. Byłoby dobrze, gdyby i u Niemców nie ograniczano się tylko do zewnętrznego kultu jego płyty grobowej. A wtedy głębokie słowa poety, które umieściłem na czele niniejszego pisma, dałyby może Niemcom pobudkę do wejścia w siebie i do właściwego urządzenia stosunku swego wobec Słowian.

Nie przemówił Pan, jak Schiller. Nie przemówił Pan też, jak Ranke¹⁾, wielki, niezapomniany, nieprześcigniony mistrz dziejopisarstwa niemieckiego, który pisał historję, szukał i głosił prawdę, i sądził sprawiedliwie. Z pod jego pióra nie wypłynęło twierdzenie o barbarzyństwie i dzikości Słowian, choć badania jego stykały go bardziej, niż Pana, z dziejami tego szczepu²⁾. Nie miał potemu uzasadnionego powodu; owszem, znalazł też sposobność do podniesienia niejednej dodatniej strony w dziejach Słowiańszczyzny. Tego rodzaju wyrażenia stały zresztą poniżej godności dostojnego męża nauki.

2. Z przemówienia na pierwszym posiedzeniu publicznem Towarzystwa Naukowego we Lwowie (1921).

W rok od zawiązania, w niecałe osiem miesięcy od samego rozpoczęcia pracy, stajemy oto dzisiaj po raz pierwszy przed Ogółem ze sprawozdaniem z naszych czynności. Oczywiście plon nie może być obfity; jakkolwiek zaś jest, zapewne byłoby jeszcze przedwcześnie wydawać sąd ujemny czy dodatni o racji bytu i zasługach czy niedomaganiach Towarzystwa. Do sformułowania tego rodzaju sądu trzeba pospolicie upływu dłuższego czasu, oceny z dalszej perspek-

¹⁾ Znakomity poprzednik Mommsena na polu sławy historycznej, jeden z twórców nowoczesnych metod w badaniu źródeł dziejowych. — ²⁾ Ranke badał dzieje Europy nowożytnej, gdy Mommsen — starożytność rzymską.

tywy. Niemniej przeto już dzisiaj sprawozdanie takie było nam rzeczą pożądaną i konieczną, nie tylko dla zadośćuczynienia przepisowi statutowemu, ale i z wewnętrznej potrzeby serc naszych. Bo ta instytucja nasza jest żywym członem organizmu narodowego i jednym z warsztatów wspólnej pracy narodowej; więc jak z jednej strony podlegać winna moralnej kontroli społeczeństwa, tak z drugiej szukać zetknięcia z niem, i w okazanem przezeń zrozumieniu dla swych celów, w jego zainteresowaniu się wynikami swojej pracy czerpać otuchę i zachętę do dalszych wysiłków. Za tę właśnie okazaną nam dzisiaj życzliwość, za udział w tej dzisiejszej naszej uroczystości, raczą wszyscy — Dostojny reprezentant najwyższego naszego Zarządu oświaty, Dostojni Goście, Czcigodni przedstawiciele pokrewnych nam Instytucyj i Instytucje same, Szanowni Uczestnicy, przyjąć wyrazy żywej naszej wdzięczności.

Nasz program na przyszłość jest jasny i ściśle określony; wskazuje nań sam charakter naszego zrzeszenia, i cel, dla którego ono powstało. Zadaniem naszym: naukowa praca twórcza, współpraca w wielkiem dziele posuwania wiedzy ludzkiej naprzód, przy zastosowaniu naukowo uznanych i dopuszczalnych środków i metod badawczych. To samo, i pod żadnym względem niemniejsze zadanie od tego, jakie przyświeca jakiegokolwiek Akademji Umiejętności. I niema na tem polu żadnej różnicy między Akademją a Towarzystwem naukowym. Różnica tkwi gdzie indziej: w tem najpierw, że Akademia opiera się pospolicie na współdziałaniu uczonych całego narodu, podczas gdy Towarzystwo naukowe ograniczone jest przede wszystkim do sił miejscowych; a powtóre, że skutkiem tego, jak niemniej ze względu na środki, pospolicie znacznie zasobniejsze, Akademia, w dziedzinie naukowej organizacji pracy, zamierzeniom swoim wytknąć może granice o wiele przestronniejsze, aniżeli Towarzystwo naukowe. Ale co do samego charakteru i treści tej pracy o różnicy takiej mowy być nie powinno; bo same cele naukowego badania i środki przytem stosowane są w zasadzie jednakowe, i winny być równie doskonałe, niezależnie od tego, w jakim się je prowadzi zrzeszeniu. Gdziekolwiek pod tym względem miałyby powstać dysproporcja, tam trzeba będzie stwierdzić, że Towarzystwo naukowe, mimo zaszczytny swój tytuł, nie stanęło na wysokości zadania. Naogół, tu i tam, chodzi o dociekanie tego, co nazywamy prawdą naukową, o wykrycie praw, któremi rządzą się zjawiska w życiu ludzkości, przyrody, wszechświata; o spełnienie drobnej części pracy, którą ludzkość od szeregu wieków prowadzi we wszystkich zakątkach świata, żeby przebić się do majestatu

prawdy; jakkolwiek zaś w pełnym jego blasku ułomnem poznaniem ludzkim śnać nigdy ogarnąć go nie zdoła, przecież jednak mozolnym wysiłkiem może się doń zbliżyć stopniowo. Takim sposobem nietylko czyni zadość wrodzonemu popędowi ludzkemu szukania prawdy, ale zarazem stwarza jeden z najpotężniejszych współczynników, jakie składają się na pojęcie kultury.

Tę otóż część ogólnej kulturalnej pracy przychodzi nam poczynić i przyjdzie ją prowadzić dalej w tej tu kresowej, narodowościowo mieszanej ziemi Rzplitej. Niema zapewne potrzeby osobnego wywodu tej legitymacji; już choćby dlatego, że praca taka, gdziekolwiek i przez kogokolwiek podjęta zostanie, jest zawsze rzeczą dodatnią i pożądaną. Ale jest jeszcze legitymacja szczególna: bo ta ziemia od półtysiąca z okładem lat przepojona jest wielostronnie wpływami kultury polskiej, materialnej i duchowej. Tę ostatnią znaczą w kolei wieków nazwiska: Grzegorza z Sanoka, Orzechowskiego, Szarzyńskiego, Szymonowicza i obu Zimorowiczów, czasowo Klonowicza, Wujka i Skargi, a oprócz nich: Herburta, Solikowskiego, Piaseckiego, Piramowicza, nie mówiąc o tylu innych z XIX stulecia¹⁾. Dla polskiej pracy kulturalnej i przez polską pracę kulturalną ziemia ta użyźniona jest od wieków; i jak inne pokrewne nam instytucje, tak też i nasza, podejmując ją na tej rubieży, wchodzi w utartą już kolej i nawiązuje do ustalonej tradycji.

W takim postawieniu kwestji tkwi zarazem pojęcie misji, i w tem też rozumieniu można mówić o naszej misji szerzenia kultury w tych stronach. Należy tylko zaraz przydać tu pewne zastrzeżenia. Więć najpierw: że tej misji naszej nie można uważać za wyłączną; że owszem, jest obok niej najprzestronniejsze, i z naszego także stanowiska najpożądańsze miejsce dla kulturalnej pracy dla drugiego, ziemię tę zamieszkującego narodu. A dalej: że ta misja nasza nie może sięgać do środków przymusu, już zaś przedewszystkiem, że nie wolno jej iść w służbę jakichkolwiek zamierzeń politycznych. Kultura, jeśli ma zwyciężać, to tylko własną swoją treścią i potęgą, swoją wyższością bez jakiegokolwiek naporu z zewnątrz, i dla siebie przedewszystkiem. Niemcy, nacierając na nasze kresy zachodnie, postępowali się takim samym dosłownie frazesem o misji swojej szerzenia kultury ku wschodowi; ale używali go tylko za pokrywkę do wynaradawiania i germanizacji. Niechże wolno będzie

¹⁾ Herbut, biskup przemyski, poseł Zym. Augusta na synod trydencki; Solikowski, arcybiskup lwowski, sekretarz Zym. Augusta i poseł zagraniczny; Piasecki, biskup przemyski, historyk i prawnik z czasów Zygmunta Wazy; ks. Piramowicz, lwowianin, twórca ustaw Komisji Edukacyjnej.

stwierdzić, że nasza misja kulturalna nie kroczyła temi drogami. Gdybyśmy byli chcieli wynaradawiać, cztery z okładem stulecia przynależności tej ziemi do dawnej Rzeczypospolitej wystarczyć mogły w całości, żeby dziś na całej jej przestrzeni rozbrzmiewała już tylko mowa polska: podobnie, jak na wielkich obszarach między Łabą a Odrą, w XI i XII jeszcze wieku zasiedlonych przez żywioł słowiański, po zdobyciu tych krajów przez Niemcy i zastosowaniu odpowiedniego nacisku, proces pełnej germanizacji dokonał się w rychlejszem jeszcze tempie. W owych czasach nieurobionego jeszcze w pełni samopoczucia narodowego, niemożności organizowania się warstw, wobec których nacisk dawał się stosować, wynaradawianie całych zbiorowisk ludzkich, całych wielkich terytorjów, było rzeczą bezporównania łatwiejszą, aniżeli dzisiaj. A zaś na tej tu ziemi dawna mowa rodzinna utrzymała się bez uszczerbku w tej właśnie najniższej, włościańskiej warstwie, wobec której nacisk byłby się dał wtedy zastosować najłatwiej. Zato przymknęła do szczętnie ku polskiej kulturze ta znowuż najwyższa, bojarska warstwa, wobec której w warunkach ówczesnych o stosowaniu nacisku nie mogło być mowy, ale taka właśnie, która z istoty rzeczy najprzystępniejsza była wpływom kulturalnym. Świadectwo w tem oczywiste, że co tu wsiąkało w żywioł polski, to łączyło się z nim nie z przymusu, nie politycznymi środkami nacisku, jeno potęgą, tkwiącą w samej kulturze. Można tę rzecz oceniać rozmaicie, chociażby najujemniej, np. ze stanowiska polskiej racji stanu; w każdym razie stwierdzić przyjdzie, że ta nasza kultura nie była — kościołem wujającym. Ukształcona przez nas, w sposobie, na jaki nas stać było, ukształcona oczywiście dla naszej przedewszystkiem potrzeby, nie narzucała się innym, ale stała do rozporządzenia dla innych — zgodnie z tradycją dziejów naszych, ujawnioną także w innych kierunkach. Jak przez kilka wieków, w bezliku wypadków, odpierając piersią własną najazdy pohańców na tę ziemię, nie naszych tylko broniliśmy zagród; jak w niedawnych jeszcze podrywach zbrojnych przeciw ciemieży walczyliśmy pod sztandarem „za naszą wolność i waszą“; jak — wczoraj jeszcze — broniąc tej ziemi przed straszną nawałą wschodnią, przelewaliśmy krew o ład i bezpieczeństwo, i całość życia i mienia naszego i waszego, tak też zdobyte przez nas walory kulturalne stają — i stać winny bez zastrzeżeń — do rozporządzenia i dla dobra nietylko naszego — ale i waszego.

Podejmując tę pracę kresową, Towarzystwo nasze zdaje sobie równocześnie sprawę, że jest ona zarazem częścią ogólną pracy narodowej, jaka w zespole z innymi instytucjami pokrewnymi speł-

niona być winna odnośnie do ciężących na nas zadań wobec nauki. Chwila, w której ją przychodzi poczynać, jest jedyną w całej historii Polski. Dokonało się misterjum odrodzenia państwowości polskiej. Jak niegdyś, przed tysiącem lat, stawały pierwsze podwaliny naszego życia państwowego, na których budując przez osiem dalszych stuleci z okładem, przemierzyliśmy długą, tyłu chlubnymi głoskami zapisaną przestrzeń cywilizacyjnego i politycznego rozwoju, tak teraz, po półtorawiekowej niewoli, staje nowy warsztat pełnej narodowej pracy, otwierając na przyszłość, da Bóg, najdłuższą dalekie, wszechstronne, niezmierzone widnokreśli dalszego rozwoju. Spełniło się, co przez pięć ostatnich pokoleń uderzało o strop niebios potężnym chorałem modlitwy całego narodu, co, jeśli nawet poczytywano za możliwe, to często chyba w kształcie cudu, a w czego możliwość nieraz już zwątpić nawet przychodziło. I oto naraz, jakgdyby potężną błyskawicą, rozświetlił się horyzont cały, przynosząc nam, najszcześniejszym ze szczęśliwych, którzyśmy tej chwili dożyli, zwiastowanie odrodzenia. Zda się, jakgdyby ta błyskawica rzuciła na nas oślepienie, jakgdyby dokonany przewrót wprowadził nas w stan odurzenia czy odrętwienia; bo jakoś dziwnie rychło wdroyliśmy się w zwykłą kolej codzienności; i nie ze wszystkiem widać, żebyśmy odczuwali i doceniali całą, olbrzymią doniosłość zmiany; żebyśmy postęпки nasze dostosowali w pełni do tego, co przynosi ze sobą potrzeba statecznej ochrony tego skarbu nad skarbami. Zbudźcie tych, co przelewali krew ofiarną pod Racławicami czy w wąwozach hiszpańskich, pod Grochowem czy Ostrołęką; i tych, niedawnych, co kładli głowę pod Rarańczą czy nad Stochodem; i tych, co na stokach cytadeli warszawskiej ohotnie szli na stracenie; i tych, co w tajgach sybirskich dziesiątki lat pędzili w męczarni — wszyscy z ostatnim przedśmiertnym szepem: „Dla Ciebie, Matko“, wszyscy w strasznej udręce wątpienia, czy ofiara dla sprawy przyniesie owoc, czy ziści się cud upragniony; zbudźcie ich wszystkich teraz, i powiedzcie im: Zmartwychwstała! — a rzucą się wam do stóp z płaczem i całować będą stopy wasze za to wielkie mocarne słowo, niosące bezmiar szczęścia. I gdyby przyjąć, że im wróci teraz nowe życie, okazaliby się pewno lepszymi od nas, od wielu, wielu z nas, od całych warstw pośród nas, którzy, posiadwszy własny gmach, patrzymy, jakby się w nim urządzać najwygodniej każdemu dla siebie — nie bacząc, czy strzyma jego spoistość i wytrzymałość; lepsi przez to, że rzuciwszy na szalę dla sprawy publicznej życie samo, w rzeczach mniejszej wagi dla sprawy tej potrafiliby tem snadniej okiełznać instynkty samolubstwa.

Wiemy, i wspominamy z czcią i podziwem, i wspominać będziemy po wieki z uczuciem wdzięczności najgłębszej, że czyn, który utwierdził tę naszą państwowość, to był zbrojny czyn bohaterskiego żołnierza polskiego. Ale i co do żołnierza zapytać trzeba: w czym tkwiły walory moralne i duchowe, że go do poświęcenia i bohaterstwa zagrzać mogły? Pamiętajmy też, że w pierwszej zaraz chwili, w której zaczęły staniać się podwaliny państw zaborczych, zbrojnym podrywem zegnaliśmy intruza z dwu dzielnic naszych, a trzecią, wydaną przewrotnie w inne ręce, obroniliśmy krwią własnych dzieci. Kiedy zaś równocześnie spłynęła na nas straszna nawała ze wschodu, nowym, olbrzymim, wspaniałym wysiłkiem zbrojnym odrzuciliśmy ją daleko wstecz. Zanim jednak to wszystko stało się i stać się mogło, istniał już chyba przedtem jakiś inny moment twórczy naszej państwowości; bo jeszcze w toku terażniejszej wielkiej wojny sprawa restytucji Polski stała się sprawą aktualną dla obu stron walczących. Odliczając pobudki polityczne, które zresztą same opierać się musiały na podstawie rzeczowej, na jakimś czynniku siły i znaczenia narodu, nie potrzeba chyba wskazywać, gdzie momentu tego szukać należy. To było to, czem żyliśmy przez całą dobę porozbiorową, czem życie ujawnialiśmy nazewnątrz, przed światem: nasza praca kulturalna i cywilizacyjna: od epepei Adama, przez *Nieboską* i *Balladyne*, do *Wesela*, *Trylogji*, *Quo vadis* czy *Chłopów*; od szopenowskich melodyj, od *Lithuanji* i *Wojny*, od *Kazania Skargi* i *Unji*, do *Pochodni Nerona* i *Gładjatora*; od wielkiego dzieła życiowego Lelewelów, Trentowskich, Szujskich czy Korzonów, do skroplonego wysiłkiem myśli polskiej tlenu i prac Skłodowskiej¹⁾. Wszystkie te, i tyle innych jeszcze znamienitych tworów ducha, wołały głośno przed światem, że żywie naród, który je tworzyć może, że odebrana mu możność pełnego, samodzielnego rozwoju jest nie tylko krzyczącą niesprawiedliwością, ale i absurdem dziejowym, że duchowi żywemu i żywotnie twórczemu wrócić trzeba ciało, w którymby zamieszkał. Ci wszyscy, co się na tę pracę w ciągu pięciu bezmała pokoleń złożyli — liczebnie armja cała — to był także zakon rycerski *sui generis*²⁾: żołnierze wypróbowanego hartu, w nieustannym, całozyciowym trudzie i znoju, nieraz w najtwardszych warunkach prywacji żołnierskiej; wszyscy rozrzućeni w okopach polskośći, wszyscy broniący szańców polskośći przeciw wrogim za-

¹⁾ „Unja (lubelska)“ — obraz Matejki, „Pochodnie Nerona“ — Henr. Siemiradzkiego, „Gładjator“ — rzeźba Piusa Welońskiego; Korzon — historyk współczesny, autor monografji o Kościuszcze; tlen skroplili fizycy polscy — Wróblewski i Olszewski. — ²⁾ W swoim rodzaju.

pędem, które ją zniweczyć chciały doszczętnie. I wreszcie — zwyciężyli, stoczywszy najdłuższą, jaką zna historia ludzkości wojnę — stu pięćdziesięcioletnią.

W takim oświetleniu misterjum odrodzenia państwowości naszej naprawdę przestaje być misterjum; staje się zjawiskiem logicznym, konsekwencją. Z tej konsekwencji zaś płynie następstwo dalsze: czem zmartwychwstałszy, to przedewszystkiem stać nam winno za substrat dalszego życia — i żywotności naszej. Byłoby rzeczą zgubną, gdyby wysiłek nasz w cywilizacyjno-kulturalnej pracy miał w czemkolwiek obniżyć się czy osłabić. Sięgając zaś w najistotniejszą głąb rzeczy, przypomnieć jeszcze trzeba, że t. zw. kultura materialna, z tem wszystkiem, czego ona dostarcza, co — w życiu codziennym — ludzi przedewszystkiem zaprzęta, co ich często w całości absorbuje, to tylko zasób środków do życia narodów; to zaś, co na społeczeństwach ludzkich wyciska właściwe piętno, co je istotnie wyróżnia od społeczeństw zwierzęcych, co narodom daje legitymację bytu w ludzkości i określa ich rolę dziejową, co naogół przedstawia się tu jako cel właściwy i ostateczny, to cywilizacja i kultura duchowa. Tej oto kultury sztandar dźwierżyć nam wysoko — po wsze czasy. *In hoc signo vinces, Polonia*¹⁾. Pod tym hasłem, w dziedzinie przez siebie obranej, Towarzystwo nasze staje do pracy.

IGNACY CHRZANOWSKI (ur. 1866).

Ze studjum „Charakterystyka romantyzmu“ (1916)²⁾.

Romantyzm jako reakcja przeciw oświeceniu.

Żeby znaleźć dla charakterystyki romantyzmu punkt wyjścia i oparcia, należy sobie zdać sprawę, w jakim stosunku jest poczynający się w XVIII wieku romantyzm do oświecenia, które zrazu było w tem stuleciu prądem dominującym.

Do czego dążyło oświecenie? Do wyzwolenia człowieka z tych wielu pęt, jakimi go krępowała wiekowa historia: z pęt dogmatu — na polu nie tylko religijnem, ale i naukowem, z pęt despotyzmu — na polu politycznym, z pęt przywileju stanowego i nieodłącznej od

¹⁾ Pod tym znakiem, Polsko, zwyciężysz. — ²⁾ Całość drukowana w zbiorze „Z epoki romantyzmu“.

niego krzywdy — na polu społecznym. A jak do tego wszystkiego dążyło? jak budowało nowe życie? W imię rozumu i z pomocą rozumu, wobec którego dawny ustrój życia ostać się nie mógł, jako niezgodny z rozumnymi dążeniami, z logiką człowieka. Wielkie, nieśmiertelne są zdobycze oświecenia: wolność sumienia, wolność badań naukowych, przygotowanie (jeśli nie dopięcie) wolności politycznej, olbrzymi postęp na drodze, wiodącej do równouprawnienia społecznego, — błogosławiony niech będzie prąd kultury, który to wszystko na swoich falach dla ludzkości przyniósł!

Lecz historia kultury nie zna żadnego prądu, któryby się z biegiem czasu nie przeżył, nie zwyrodniał. Wyrodnieje zaś prąd życia duchowego wtedy, kiedy czerpie swoje siły jedynie w źródłach starych, kiedy nie szuka nowych sił i źródeł w tem jednym jedynym, co się nigdy przeżyć nie może — w życiu. A życie, w swojej istocie najgłębszej zawsze jedno i to samo, zmienia się jednak ustawicznie i śmiercią karze to wszystko, co się wraz z niem zmieniać albo nie chce, albo nie umie. Tak, miał słuszność Mickiewicz: wartość życiową mają tylko „prawdy żywe“, nie martwe; o tem zaś, które prawdy są żywe, a które martwe, rozstrzyga nie nauka, nie filozofja, tylko historia, samo życie, i to nadewszystko nie jego pierwiastki racjonalne, tylko irracjonalne, pierwotne; rozum bardzo często opiera się im i później dopiero, już *post factum*¹⁾, widzi, że jednak nie on, tylko one miały słuszność — i wtedy wyprowadza odpowiednie wnioski, wzbogacające jego treść i prostujące jego logikę.

Otóż przez długi czas oświecenie było prawdą żywą i strącało do grobu różne prawdy martwe. Lecz wybiła na dziejowym zegarze godzina, od której oświecenie — przynajmniej w niektórych dziedzinach — zaczęło kostnieć i martwieć, od której zaczęło zapoznawać tę np. prawdę życiową, że niezawsze, nie we wszystkich epokach dziejowych, a nawet, co więcej, nie we wszystkich dniach i godzinach swego krótkiego życia, duch ludzki ma jednakowe potrzeby, że mu niezawsze wystarczają zdobycze rozumu, że się może niemi wręcz przesycić i że wtedy pożąda zdobyczy innych.

W dziedzinie życia umysłowego oświecenie, kiedy walczyło z nauką Kościoła, dajmy na to, o ustroju świata, o wieku ziemi i t. d., wówczas było prawdą żywą; prawdą martwą była nauka Kościoła, to też musiała zstąpić do grobu: stracili ją tam wielcy matematycy i przyrodnicy XVII i XVIII wieku. Ale cóż, zwycięzca upoił się swem zwycięstwem i powiedział sobie: rozumem dojdę do wszyst-

¹⁾ Po fakcie, po dokonaniu się zdarzeń.

kiego i nieomylnie. Aż tu ukazał się Kant¹⁾ i udowodnił nie tylko ograniczoność rozumu, ale i względność jego poznania; co więcej, stwierdził istnienie zatargu logiki, czystego rozumu, z życiem, z rozumem praktycznym, domagającym się od człowieka uznania takich różnych „prawd“, których rozum nie dowiedzie, którym czasem nawet przeczy. Otóż z chwilą, kiedy się oświecenie przy swoim upierało, kiedy broniło monopolu rozumu i obserwacji w procesie poznania, kiedy zamykało oczy na nowy strumień życia, na to, że się w ludziach coraz więcej zaczęły budzić pierwiastki uczuciowe, kiedy nie chciało uznać ich samodzielności i z uporem poczytywało je za jakieś ciemne i mgliste pojęcia: wtedy zaczynało być prawdą martwą i musiało — na razie przynajmniej — przegrać proces z życiem. Wywalczyło oświecenie wolność badań naukowych: ta została; stworzyło nową naukę o świecie, która niejedną prawdę odkryła. Ale wszechmoc, nieograniczoność, nieomylność, wyłączność rozumu runęła, a raczej w miarę, jak się waliła, inne pierwiastki ducha zaczęły podnosić głowę z ciemności, w które je oświecenie wtrąciło, — pierwiastki irracjonalne: uczucie, wyobraźnia, instynkt, intuicja.

Dajmy jednak pokój nauce; w tej dziedzinie oświecenie mogło się mylić, mogło grzeszyć jednostronnością, mogło błędzić, upierając się, że w procesie poznania mają znaczenie tylko rozum i obserwacja, ale nie omyliło się, twierdząc, że najwyższym sędzią pracy umysłowej jest rozum i tylko rozum. Nierównie cięższym grzechem oświecenia jest, że nie tylko życie umysłu, ale wogóle całe życie chciało poddać pod bezwzględną, despotyczną komendę rozumu, że się na wielki proces życiowy zapatrywało nie ze stanowiska życia, tylko ze stanowiska idei, poczytywało życie ludzkie za funkcję mechaniczną wydedukowanej rozumowo idei życia: dosyć czytać choćby *Ród ludzki* Staszyca, żeby się przekonać, że tak było naprawdę. Tak, oświecenie chciało z życia zrobić maszynę, którąby nakręcał i regulował wyłącznie rozum. Życie jednak nie chciało się poddać temu zmechanizowaniu, zracjonalizowaniu i ten właśnie protest życia przeciwko jego okaleczaniu stanowi samo jądro romantyzmu, jego najgłębszą istotę, jego punkt wyjścia, jego *spiritus movens*²⁾, źródło wszystkich bez wyjątku jego objawów. Albo innymi słowy. Oświecenie doszło ostatecznie do uznania i realizowania prymatu myśli nad życiem, jakby poczytując myśl za rzecz pierwotną, a życie za wtórną; Faust był innego zdania:

¹⁾ Znakomity filozof niemiecki XVIII w., autor sławnych dzieł „Krytyka czystego rozumu“ i „Krytyka praktycznego rozumu“. — ²⁾ Duch sprawczy.

Ist es der Sinn, der alles wirkt und schafft?
Es sollte stehen: im Anfang war die Kraft¹⁾.

Bo romantyzm rozumiał, a raczej nieświadomie odczuwał pierwotność życia wobec myśli, i dlatego też głosił i realizował zasadę prymatu życia nad myślą.

Ale co to znaczy uznawać prymat życia nad myślą? Znaczy przyznawać prymat nad myślą tym pierwiastkom duszy, które są pierwotne, które też przedewszystkiem rozstrzygają o kierunku życia, pierwiastkom irracjonalnym.

Czucie i wiara silniej mówi do mnie,
Niż mędrca szkiełko i oko.

Romantyzm wcale nie odmawiał (a przynajmniej niezawsze i nie we wszystkim) myśli ludzkiej prawa do udziału w budowie życia, on jej tylko odbierał rolę rozstrzygającą, a tem bardziej — wyłączną.

Nadewszystko — w budowie życia religijnego. Prawda, że i oświecenie położyło w tej dziedzinie wielkie zasługi. Ono to przecie, odbierając poszczególnym wyznaniom monopol na posiadanie Objawienia bożego, obdarzało jego dobrodziejstwami wszystkich wogóle ludzi; ono to przecie wywalczyło nakoniec jaką taką tolerancję religijną. Przyznając jednak oświeceniu te nieśmiertelne zasługi, tuż potem jednak stwierdzić trzeba jeden jego grzech śmiertelny. A tym grzechem jest nie burzenie dogmatycznej nauki kościelnej, które było nieubłaganym wynikiem wzrastającej wolności badań naukowych, ale brak rozumienia samej istoty życia religijnego. Jak całe wogóle życie, tak i religię oświecenie zracjonalizowało, zintelektualizowało. Pomyśleć sobie tylko, czem jest Bóg w tak zwanej religii oświecenia, w deizmie: niczem innym, ściśle biorąc, tylko martwą ideą mechanizmu świata, nie żywą istotą. Odebrano Bogu wszelką interwencję w sprawach świata i człowieka, rozumując mniej więcej tak: jeżeli Bóg jest Bogiem, to stworzył taki świat, że się doń mieszać nie potrzebuje, — ustanowił bowiem mądre, niewzruszone rządzące nim prawa. Czy to rozumowanie logiczne, czy nie logiczne, dosyć, że — to jest niezbitym faktem — ludziom ono nie wystarcza, a przynajmniej niezawsze i nie wszystkim. Cóż na to poradzić, że są chwile, kiedy rozumowanie to w duszach tych nawet ludzi, którzy je w innych chwilach poczytywali za słuszne, milknie wobec głosu nierównie silniejszego, głosu serca, który mówi, że Bóg

¹⁾ Czy to myśl wszystko w ruch wprawia i tworzy? Powinno było stać (w Ewangelji): Na początku była siła (cytat z „Fausta“ Goethego).

interwencję w sprawach świata i człowieka ma. Tego faktu psychologicznego oświecenie nie uznawało, bo nie odczuwało; nie rozumiało, że logika a życie to nie jedno i to samo, że co innego prawda martwa, co innego żywa. Miewał i romantyzm wspólne wątpliwości z oświeceniem, i to daleko silniejsze, bo serdeczne, nie rozumowe; jak oświecenie wątpiło, czy ten świat jest najlepszym ze wszystkich możliwych światów, tak i romantyzm o tem wątpił i wołał:

Kłamca, kto Ciebie nazywał miłością;

tylko, że kiedy oświecenie stanęło i musiało na tem stanąć, romantyzm na tem nie stanął, bo mógł nie stanąć; a mógł nie stanąć dlatego, że usłyszał w sercach zrazu cichy, potem coraz silniejszy głos: *contra spem spero*¹⁾. I oto głowa przegrała walkę — z sercem; zwyciężyło — życie.

Ale prawda. Oprócz deizmu stworzyło oświecenie inną jeszcze religję: tak, religję, bo jego wiara w nieograniczony postęp ludzkości, także i moralny, miała charakter religijny, jako płynąca nie tyle z rozumowania, ile z dążności do szukania i stwierdzania wartości życia. Dobrze; ale od czego uzależniało oświecenie ten postęp i, co za tem pójść miało, szczęście rodzaju ludzkiego? Nadewszystko, a nawet wyłącznie, od wzrostu i rozpowszechnienia się oświaty; za fundament wielkiego gmachu kultury poczytano kulturę umysłu, ludząc się, że człowiek oświecony będzie *eo ipso*²⁾ człowiekiem dobrym, miłosiernym, moralnym. Otóż przeciwko temu bałwochwaltwu rozumu musiała także nastąpić reakcja. Przejął romantyzm od oświecenia wiarę w postęp nieograniczony rodzaju ludzkiego, rozżarzył ją nawet tak, że nieraz jasnym promieniem w górę strzelała, ale nie uzależniał już postępu wyłącznie od wzrostu oświaty, tylko raczej od wzrostu uczucia i moralności, i — przez usta i serca swoich najszlachetniejszych przedstawicieli — głosił zasadę, że

Celem światów — szlachetnienie³⁾.

Sztandar moralności wywiesił wprawdzie i wiek oświecony, mianowicie — moralności niezależnej. Ale czem uzasadnia etyka oświecenia nakaz moralny? Oczywiście rozumem, bo przecie jemu we wszystkich dziedzinach życia berło królewskie oddało: rozum — uczono — dochodzi do poznania pewnych prawd moralnych, jak dochodzi do poznania pewnych prawd fizycznych; na świecie panuje przecie „porządek fizyczno-moralny“; człowiek rozumny przeje-

mie się temi prawdami moralnymi i — będzie moralny. Taka etyka musiała prędzej czy później zbankrutować; ratowano ją tem, że ją utożsamiano z religją, — daremnie, bo i ta religja płynęła tylko z rozumu; ratunek przyszedł nie ze strony rozumu, a przynajmniej nie „rozumu czystego“, tylko „praktycznego“, t. j. ze strony serca, woli, instynktu.

Za najwyższy stopień moralności poczytywało oświecenie moralność społeczną. „Społeczeństwo jest jedną moralną istotą, której członkami są obywatele“: tak uczył za myślicielami francuskimi Staszyc, streszczając w tych słowach nietylko ulubioną, ale bezwątpienia wspaniałą naukę oświecenia, które tak bardzo ukochało ideały szczęśliwości społecznej i „ludzkości“, owej *Humanität* Herdera¹⁾. I ten ideał uchodził obok rozumu niejako za drugą sankcję nakazu moralnego: pamiętaj o tem, że nie dla siebie żyjesz, ale dla całego społeczeństwa, dla całej ludzkości, że miarą twego osobistego szczęścia powinno być szczęście ogółu! Hasło, raz jeszcze, wspaniałe. Lecz nie mówiąc już o tem, że szczęście ludzkości pojmo- wało oświecenie dość płytko, ten nakaz obowiązku społecznego, nakaz poczytywania siebie jedynie za cząsteczkę powszechności, nie był w harmonji z nakazem obowiązku względem samego siebie, z niezaprzeczonem prawem człowieka do pewnej odrębności, autonomji moralnej. Innemi słowy etyka oświecenia miała nietylko w praktycznych nakazach, ale i w swoich podstawach, charakter etyki prawie wyłącznie społecznej, zbyt mało było w niej miejsca na etykę indywidualną.

I wogóle oświecenie zamało się liczyło z indywidualnością ludzką, z żywą jednostką; widziało las, nie widziało drzew; zapatrzone w ludzkość, nie dostrzegało człowieka. Nie zdobyło się na szeroki program kultury jednostki, jak się nań kiedyś zdobył humanizm. Przeciwko nadmiernemu kultowi i wyłącznej kulturze zbiorowości zaprotęstował dopiero romantyzm i stanął w obronie odrębności duchowej i prawa do niej jednostki.

Höchstes Glück der Erdenkinder
Ist nur die Persönlichkeit²⁾.

Co czuję, inni uczuć chcieliby daremnie!
Sąd nasz, prócz Boga, nie dany nikomu!

Że się kult jednostki i jej odrębności duchowej nieraz przeradzał, a raczej wyradzał w wybujały, wręcz chorobliwy indywidualizm,

¹⁾ Ufam wbrew nadziei. — ²⁾ Tem samem. — ³⁾ Krasieński.

¹⁾ Filozofa niemieckiego ze schyłku XVIII wieku. — ²⁾ Szczytem szczęścia dzieci ziemi jest tylko osobowość, indywidualność (Goethe).

to prawda: wystarczy przypomnieć romantyków niemieckich. Ale wystarczy także przypomnieć romantyków polskich, żeby się przekonać, że kult jednostki nie tylko dla kultu zbiorowości może nie być szkodliwym, ale nawet wzbogacać jego skarbnicę. Tak czy inaczej, bunt jednostki przeciwko bałwochwalczej czci oświecenia dla zbiorowości był w swojej istocie objawem zdrowia moralnego.

Ten zaś bunt ogarnął wszystkie wogóle dziedziny, w których jednostka czuła się skrępowaną przez regułę. Boć ostatecznie czym jest reguła? Jeżeli nawet nie jest maksymą aprioryczną¹⁾, to w najlepszym razie jest uogólnieniem. Każde zaś uogólnienie, o ile ma za przedmiot życie, żywych ludzi, bywa najczęściej, w mniejszym albo większym stopniu sfałszowaniem życia, pogwałceniem indywidualności. Do takich reguł należy np. konwenans towarzyski, nie tylko dający się niejednemu we znaki, jako nudny i głupi, ale w niejednym obrażający poczucie godności i prawdy. Ale mniejsza o konwenans towarzyski, chociaż i z nim walczył romantyzm w osobie np. Roussa, Fryderyka Schlegla²⁾ albo cyganów warszawskich³⁾, daleko ważniejszą jest walka z regułami na polu wychowania i sztuki.

Podstawą pedagogiki oświecenia była idea, że dusza dziecka to *tabula rasa*⁴⁾, na której da się nakreślić wszystko, byleby tylko przestrzegać pewnych ogólnych reguł, wysnutych z idei o dobrobycie, o pożytku społecznym, o doskonałym człowieku i t. d. I oto znowu mamy do czynienia z przewagą idei nad życiem, z zapoznawaniem konkretnej rzeczywistości. Życie musiało się zbuntować i odniosło zwycięstwo, o tyle przynajmniej, że uwidocznilo tę niewątpliwą prawdę, iż dziecko dziecku nierówne; a jeżeli tak, to i wychowanie, jak cała wogóle kultura, zamiast się opierać na szablonie, to jest na martwej prawdzie, powinno się rachować z indywidualnością człowieka, to jest z żywą prawdą.

A w dziedzinie sztuki? Przypomnijmy sobie rozumowanie prowadzący dobrego smaku na polskim Parnasie, Stanisława Potockiego⁵⁾. Reguły estetyczne są wyprowadzone z arcydzieł sztuki; ponieważ zaś sztuka jest naśladowaniem natury, a zatem reguły estetyczne są wyprowadzone z natury; ponieważ zaś natura jest niezmienna, a zatem wyprowadzone z niej reguły są niezmiennne. Tak samo rozumowali zresztą wszyscy wogóle teoretycy pseudoklasycyzmu, tego zwyrodniałego wprawdzie, ale rodzzonego dziecka oświe-

¹⁾ T. j. zgóry powzięta. — ²⁾ Teoretyka romantyzmu niemieckiego. — ³⁾ „Cyganerka warszawska“ — grupa poetów warszawskich około połowy w. XIX. — ⁴⁾ „Goła tablica“ (termin filozofa angielskiego Locke'a). — ⁵⁾ Krytyk, mówca, minister oświaty za Królestwa Kongresowego.

cenia. Rozumowanie to równie krótkie i jasne, jak... błędne. Błąd zaś tkwi w fałszu jednej z przesłanek: natura jest niezmienna, a przez naturę pojmowała estetyka pseudoklasyczna naturę człowieka, jego czyny, myśli, uczucia, wogóle — życie: i ta natura miałaby być niezmienna? Boileau oparł swą słynną *Sztukę poetycką* nie wyłącznie na podstawie gotowej poetyki starożytności czy odrodzenia, ale wysnuwał ją także indukcyjnie z arcydzieł klasycznej literatury francuskiej; nie tem zgrzeszył, — zgrzeszył, a jeszcze więcej zgrzeszyli jego uczniowie, tem, że poczytywali tę poetykę za niezłomną i niezmienną: nie rozumieli, że się życie zmienia, nie rozumieli, że arcydzieła klasycznej literatury francuskiej dlatego pomiędzy innymi są arcydziełami, iż były wyrazem artystycznym życia, realnego życia owoczesnej Francji. Kiedy się życie potoczyło naprzód, kiedy jednym z objawów jego postępu była demokratyzacja, kiedy dwór królewski i arystokracja przestały być jedyną „naturą“, godną naśladowania: wówczas owe arcydzieła nie mogły już ludzi zadowalać w równej, jak dawniej, mierze. Nowe życie zaczęło się domagać nowej sztuki i zbuntowało się — nie przeciwko starej sztuce, tylko przeciwko prawdom, ukutym na kowadle starej sztuki, przeciwko martwym albo martwiejącym regułom, to znaczy przeciwko idei.

To samo zjawisko, mówiąc nawiasem, zaszło w dziedzinie języka i nauki o nim: i tutaj nastąpił bunt przeciwko słownikowi, nie zasilającemu się żywą mową, i przeciwko gramatyce, nie liczącej się z faktem rozwoju języka. A nauka historii przestała nakoniec wypychać konkretne wypadki dziejowe w martwe schematy idei. Wszędzie a wszędzie życie przeciwstawiało się myśli, burzyło ciasne ramy idei życia, fakty rozsadzały reguły, indywidualność wypowiadała walkę powszechności i typowości.

Czy także i w dziedzinie życia społecznego? Oświecenie walczyło o „prawa człowieka“, wychodząc z zasady, że — ślicznie wyraził tę myśl Kollataj — „czy biały, czy czarny niewolnik, czy pod przemocą niesprawiedliwego prawa jęczy, człowiek jest i w niczem od nas się nie różni“. Czy przeciwko i tej idei oświecenia, którą ono zrealizowało częściowo i przez to dokonało jednego z największych swoich czynów, także nastąpiła reakcja? Poczęści — tak, i to z dwóch powodów. Hasło równouprawnienia społecznego wobec samolubstwa t. zw. klas wyższych, wobec egoizmu ludzkiego wogóle, musiało być przez długi czas jeszcze tylko ideą. Logika nie może nic powiedzieć przeciwko tej idei, bo nie może zaprzeczyć temu, że wszyscy ludzie są ludźmi, ale realne życie buntuje się

przeciwko niej nieraz: indywidualizm egoistycznej jednostki, im bardziej wybujały, tem bardziej nienawidzi egalitaryzmu¹⁾). Po drugiej reakcja przeciwko idei równouprawnienia, wypiastowanej przez oświecenie, nastąpić musiała z tego powodu, że ostatecznym środkiem, zapomocą którego oświecenie swoją wielką ideę pełniło, była rewolucja francuska z terrorem i gilotyną. I, jak to najczęściej bywa na świecie, strach o własną skórę zwyciężył logikę, zwyciężył uczciwość i spodził owe do dziś dnia powtarzane oskarżenia, że rewolucja francuska, walcząc o prawa człowieka, sama te prawa gwałciła; tak, ale o tem, że gwałty rewolucji francuskiej wcale nie głośniej o pomstę do nieba wołają, aniżeli te wiekowe krzywdy społeczne, przeciwko którym się rewolucja zerwała, — zapominało się jakoś i zapomina. Ale nie zapomniał o tem romantyk Mickiewicz, który nietylko w młodości, kiedy pisał *Wiersz do Lelewela*, ale i później, kiedy w Paryżu wykladał literaturę słowiańską, bronił hasła rewolucji francuskiej, rozumiejąc, że jak się wyraził, nawet w jej obłąkaniach były iskry ducha prawdziwie chrześcijańskiego.

Nie, reakcja przeciwko oświeceniu nie mogła być w dziedzinie idei społecznej tak powszechną, jak na innych polach: bo czy tylko rozum mówi, że, „czy biały, czy czarny niewolnik... człowiek jest“, a serce milczy? czy do realizacji ideału równouprawnienia nie dąży wola, jeżeli nie wszystkich, to przynajmniej wszystkich uczciwych ludzi? a fantazja człowieka uczciwego czy może nie śnić, że się ten ideał już spełnił? Na te wszystkie pytania dają wymowną odpowiedź utopje społeczne romantyków francuskich; a pamiętajmy i o tem, że francuski socjalizm humanitarny pierwszej połowy XIX wieku to przecie nieodrodne dziecię — romantyzmu.

W dziedzinie życia politycznego reakcja przeciwko oświeceniu także nie mogła być powszechną; bo walka o prawa narodu z despotyzmem korony jest postulatem nietylko rozumu, ale i uczucia, woli, jest potrzebą życia: więc uczciwi romantycy i na tem polu podawali rękę uczciwym ludziom oświecenia, ale już nie bez bardzo poważnych zastrzeżeń. Oświecenie walczyło z despotyzmem w imię praw człowieka, w imię ludzkości; oświecenie miało charakter uniwersalny, kosmopolityczny. A tymczasem kosmopolityzm jest niczem innym, tylko pogwałceniem realnej prawdy, prawdy życia, nadewszystko — prawdy uczucia. Więc przeciwko kosmopolityzmowi oświecenia musiała się zbudzić w romantyzmie reakcja —

na rzecz narodowości, patriotyzmu. I ta reakcja to jeden z największych czynów, jedna z największych zasług romantyzmu. Ale ta zasługa jest tak powszechnie znana i zrozumiała, że ją dosyć tylko zaznaczyć; wiemy przecie wszyscy, że epoka romantyzmu jest zarazem epoką rozkwitu poczucia narodowego i, co za tem idzie, uczucia patriotycznego, które nigdy jeszcze przedtem z taką siłą, jak w wieku XIX, nie przemówiło i nigdy jeszcze nie było tak potężną dźwignią historii rodzaju ludzkiego. A czemu innem jest ten rozkwit uczucia miłości ojczyzny, jeżeli nie jednym z objawów rozkwitu indywidualizmu romantycznego? Że ogromną rolę w historii idei narodowości odegrały także inne czynniki, nadewszystko wojny napoleońskie, to prawda, ale to samego faktu nie zmienia, tłumaczy tylko jego dalszą historję.

I jeszcze jedno o reakcji przeciw oświeceniu. Ta olbrzymia, wspaniała kultura, którą stworzyło oświecenie, miała zupełnie inny charakter od kultury średniowiecznej. Ta, jeżeli nie zawsze w praktyce, to zawsze w teorii miała charakter jednolity: jej wszystkie gałęzie były upodrzednione jednej naczelnej idei, idei świętego Augustyna o Królestwie Bożem (*Civitas Dei*); innemi słowy, kultura religijna pochłaniała, a raczej zapędzała w swoją służbę wszystkie inne kultury: materialną, polityczną, umysłową, estetyczną, moralną. Już jednak humanizm tę jedność kultury rozbił — kultura religijna przedstawiała być powoli siłą subordynującą; odtąd mogła być mowa już chyba tylko o koordynacji poszczególnych gałęzi kultury, nie o jej subordynacji. Jeżeli tedy humanizm rozbił dawną jedność kultury, to oświecenie, śmiało można powiedzieć, już ją roztrzaskało. Usilna praca Kościoła katolickiego nad jej przywróceniem nie doprowadziła do celu. Doprowadzały już raczej do celu, ale tylko częściowo i wcale nie ku szczęściu ludzkości, usiłowania, podjęte przez państwa, a zmierzające do upodrzednienia całej kultury kulturze politycznej, idei państwa z ową straszliwą racją stanu, która się posługiwała i posługuje dla osiągnięcia swoich celów wszystkiem, nie wyłączając podłości ani zbrodni. Zaczęła sobie także rościć prawo do naczelnego stanowiska kultura materialna ze swoim hasłem szczęścia, pojmowanego najczęściej płytko jako dobrobyt. Kultura naukowa weszła w poważny konflikt z kulturą religijną i nietylko wyzwoliła się z pod jej władzy, ale zaczęła nawet — już w epoce oświecenia — żądać od niej posłuszeństwa. A i kultura moralna — także już w tej epoce — zaczęła sobie rościć prawo do niezależności od kultury religijnej. Krótko mówiąc, kultura straciła swój punkt środkowy, swoje słońce. I oto musiał już w epoce oświecenia po

¹⁾ T. j. zasady równości.

wstać na nowo problemat, znany już dawno, czy to Hozeaszowi¹⁾, czy Jeremjaszowi, czy myślicielom epoki, kiedy się miało już pod koniec starożytnemu światu, czy — w epoce humanizmu — Montaignowi²⁾: tak zwany problemat kultury. Szczyciło się i chępiło oświecenie swoją wielką kulturą, stworzoną przez rozum ludzki, i mocno wierzyło, że onato właśnie poprowadzi ludzkość drogą nieskończonego postępu do przybytku doskonałości i szczęścia: niech się tylko wszyscy ludzie kształcą, a będą i doskonali, i szczęśliwi. Otóż tę dumę oświecenia i przedmiot tej dumy, kulturę, podano w poważną wątpliwość: przeciwko kulturze nastąpiła reakcja na rzecz natury, i znowu odżył problemat kultury. Zastanawiał się nad nim już myśliciel angielski Mandeville³⁾, w którego oczach owocem kultury jest nie moralność, ale przeciwnie, egoizm, i wcale nie szczęście, ale raczej nieszczęście, skoro rozwój kultury pociąga za sobą wzrost i rozrost różnych pożądań i pragnień, których zaspokoić nie można.

Nadewszystko jednak nad problematem kultury zastanawiał się, jak wiadomo, Rousseau, który na pytanie, czy kultura, wytworzona przez ludzkość w jej dziejowym pochodzie, ma wartość dla człowieka, czy pomnożyła jego szczęście, czy polepszyła jego duszę, odpowiedział stanowczo: nie! Zaatakował i kulturę naukową, i artystyczną, i materialną z jej całym komfortem, i polityczną z jej całym despotyzmem, i społeczną z jej ustrojem arystokratycznym, i ekonomiczną z jej prawem i faktem własności indywidualnej, — bo to właśnie prawo poczytywał za główne źródło wszystkiego złego. A z tego wszystkiego jaki wniosek? Czy zerwać z cywilizacją i powrócić na łono matki-natury, cofnąć się do pierwotnej dzikości i barbarzyństwa? O tę właśnie radę do dziś dnia oskarżają Roussa jego wrogowie, taki np. Lasserre⁴⁾; w istocie jednak Rousseau miał, jak się zdaje, inny pogląd na tę sprawę, — jak się zdaje, bo pamiętać trzeba o tem, że, jak wogóle wszyscy ludzie, w których uczucie i wyobraźnia mają przytłaczającą przewagę nad rozumą, tak i Rousseau ustawicznie wpada w sprzeczności, często jaskrawe; a kiedy mu jakaś myśl w głowie zaświeci, to wnet wyobraźnia unosi go tak daleko, że tę myśl swoją rozdmucha, ile się tylko da: w jego pismach jest niewątpliwie apoteoza pierwotnych ludzi, których sobie jego bujna fantazja wyobrażała, jako istoty słodkie, wolne od brutalnej energii, od wygórowanej ambicji, zazdrości i mściwości, natomiast pełne miłosierdzia (!!). Tutaj złośliwie dodaje Lasserre,

¹⁾ Jeden z proroków hebrajskich. — ²⁾ Sławny francuski filozof-moralista XVI w. —

³⁾ Filozof-sceptyk wieku oświecenia. — ⁴⁾ Autor głośnej książki *Le romantisme français* (1907).

że, gdyby tak istotnie było, to ludzkość pozostałaby na zawsze głupią i niedołązną. Lecz, choćby nawet Rousseau nie wiedzieć jak idealizował ludzi pierwotnych, to zdawał sobie jasno sprawę, że powrócić do pierwotnej prostoty ludzie nie mogą (w ten powrót bawili się sielankopisarze, jak małe dzieci w konie, ale nie Rousseau); rozumiał, że fakt kultury nie jest sam przez się błędem dziejowym, był tylko głęboko przekonany, i bardzo słusznie, że błędem, a nawet grzechem jest dotychczasowy charakter, kierunek kultury, że jej bilans dotychczasowy jest — ze stanowiska głównych celów życia ludzkiego, któremi są szczęście i moralność, — negacją tych celów. A jeżeli tak, to charakter kultury trzeba zmienić — w jakim duchu? Na szali odpowiedzi na to pytanie musiał zaważyć pogląd, a raczej gorąca wiara Roussa, że się człowiek rodzi dobrym, że jednak jego dobre przyrodzone skłonności wypacza wychowanie i wogóle kultura; jeżeli zaś tak, to trzeba myśleć o tem, żeby się pierwotna czystość duszy ludzkiej mogła rozwijać i wzbogacać, trzeba więc wyrwać z kultury to wszystko, co ten rozwój wypacza, trzeba pomiędzy innemi dążyć do stworzenia takiego państwa, któreby zapewniło jednostce możność pełnego i swobodnego rozwoju jej przyrodzonych dobrych skłonności; do tego zaś naturalnie jest potrzebna w oczach Roussa równość społeczna i polityczna wszystkich obywateli; trzeba dalej zreformować wychowanie — w tym samym duchu, t. j. tak, żeby ono nie łamowało wolnego rozwoju duszy jednostki. Cóż w tem wszystkim głupiego albo złego? Można się spierać o wiarę Roussa w przyrodzoną dobroć człowieka, o to, która nauka więcej prawdy w sobie zawiera, czy nauka Roussa o tem, że się człowiek rodzi dobrym, czy też głęboka nauka chrześcijańska o grzechu pierworodnym, ale czy niema czasem dużo, bardzo dużo, i to bolesnej i strasznej, prawdy w tem, co Rousseau mówi o fałszywym kierunku kultury? Jego hasło *revenons à la nature*¹⁾ to nie hasło powrotu do barbarzyństwa i dzikości, tylko hasło reformy kultury, wezwanie do walki z hiperkulturą, z przewagą sztuczności nad naturalnością, czyli innemi słowy hasło do walki z prawdą martwą w imię prawdy żywej. I to hasło reformy i rewizji kultury to z pewnością także jedna z największych zasług romantyzmu. Zczasem, w romantyzmie polskim, zabrzmiało to hasło jako nawoływanie do ponownego zjednoczenia rozbitej kultury, do nadania jej znowu charakteru dośrodkowego, do upodrzednienia wszystkich jej gałęzi jednej naczelnej idei — moralno-religijnej.

¹⁾ Wróćmy do natury.

I to byłyby już, jeśli jeszcze nie wszystkie, to wszystkie główne pierwiastki tej wielkiej reakcji, która już w XVIII w. powstała przeciwko oświeceni; suma tych pierwiastków składa się na t. zw. romantyzm. Więc cóż to jest romantyzm? Żeby móc na pytanie odpowiedzieć krótko i zwięźle, trzeba naprzód te wszystkie pierwiastki sprowadzić do wspólnego mianownika.

Indywidualizm romantyczny.

Pomimo niezliczonych ilości swoich gałęzi jest romantyzm drzewem jednopiennem. A czy tym jednym pniem nie jest czasem wrodzony człowiekowi pęd do wolności? Przecie w zakresie nauki dążył romantyzm do większej, niż dawniej, swobody posługiwania się wszystkimi wogóle władzami duszy, w dziedzinie religji — do wolności już nietylko sumienia, ale wogóle serca, w zakresie moralności i wychowania — do wolności rozwoju indywidualnych zasobów duchowych, w dziedzinie sztuki — do wolności geniuszu twórczego, w zakresie życia społecznego i politycznego — do osobistej wolności, w dziedzinie kultury wogóle — do wolności od jej nadmiaru i jej fałszu. Wszystko to prawda — dążenie do wolności życia wogóle stanowi niewątpliwie wspólny mianownik wszystkich dążeń i buntów romantycznych: dobrze, ale czy humanizm nie był także dążeniem do wolności, do wyzwolenia człowieka z krępujących jego umysł i życie pęt nauki średniowiecznej i średniowiecznego ustroju życia? a samo oświecenie czy nie było czasem także dążeniem do wolności — i umysłowej, i religijnej, i moralnej, i politycznej, i społecznej? A jeżeli tak jest naprawdę, to kto pragnie dokładnie i jasno zrozumieć istotę romantyzmu, ten, mając oczywiście zawsze w pamięci, że i romantyzm był także pędem do wolności, musi jednak znaleźć taką cechę tego pędu, któraby go wyróżniała od innych dwóch wielkich prądów nowszej kultury europejskiej.

Czy tą cechą nie będzie czasem rozkwit indywidualizmu, rozkwit, który stanowi tak wybitne znamię duchowości nowoczesnej? Zapewne, niema romantyzmu bez indywidualizmu, ale znowu mamy prawo i obowiązek zapytać: bez jakiego indywidualizmu? czy indywidualizm romantyczny jest indywidualizmem wogóle, czy też o jakimś zupełnie swoistem piętnie? Odpowiedź na to pytanie jest dlatego konieczna, że cechą tamtych dwóch wielkich prądów kultury europejskiej, humanizmu i oświecenia, jest także rozbudzony indywidualizm.

Czem był humanizm, jeśli nie buntem jednostki przeciwko okowom kultury średniowiecznej? Już humanizm przecie dążył do wolności badań naukowych od kontroli kościelnej. Zresztą mniejsza o to: nie dogmatowi kościelnemu wypowiedział humanizm główną walkę, i ma słuszność znakomity uczony i myśliciel niemiecki¹⁾, Wilhelm Dilthey, twierdząc, że ludzi niewierzących nietylko w XV i XVI, ale jeszcze i w XVII wieku, było jeszcze nie tak wielu. Humanistom tedy chodziło nadewszystko o coś innego, jak o wolność w zakresie wiary religijnej: pragnęli oni i zaczęli się wyzwalać z nauki średniowiecznej nie o Bogu, tylko o człowieku, chodziło im głównie o wolność w budowie samego życia, o jego wyzwolenie z pod władzy i kontroli Kościoła, — życia poczęści politycznego (walczyły przecie państwa z supremacją papieża), ale przedewszystkiem osobistego.

Za rzecz mniejszej wagi, za rzecz marną poczytywała życie nauka średniowieczna; za marność uchodziły i rozkosze zmysłowe, i uroda, i sława, i nauka, i potęga, i dobrobyt — wobec życia pozagrobowego; życie ziemskie było tylko środkiem, pozagrobowe — celem. Za marność uchodziła i sama podstawa życia ziemskiego — natura; nie *natura*, tylko *gloria*²⁾ była ideałem życia człowieka średniowiecznego, ideałem, którego, jak w to mocno wierzone, nie osiągnie człowiek własnymi siłami, który osiągnie jedynie zapomocą łaski nadprzyrodzonej, *gratia*. Jakiż to np. znamieny rys człowieka średniowiecznego, że przez ojczyznę, *patria*, rozumiał nietylko swoją ziemię rodzinną, ile przedewszystkiem — niebo! Otóż humanizm — w tem tkwi jego najgłębsza istota — był protestem przeciwko takim pojęciom o życiu, był buntem przeciwko ogałacaniu życia ziemskiego z wszelkich trwałych wartości; nie przestając bynajmniej wierzyć w życie pozagrobowe, jako najlepsze, trwałe, wiekuiste, człowiek zapragnął już tutaj, na ziemi — żyć: bawić się i cieszyć, napawać się rozkoszami, gromadzić bogactwa, być sławnym; na naturę przestawał patrzeć, jako na przeciwstawienie ducha, jako na źródło pokus i namiętności, jako na wytwór chytrego djabła, zastawiającego sieci na jego duszę, patrzył natomiast na naturę, bądź jako na źródło dobrobytu materialnego, bądź jako na źródło rozkoszy nietylko zmysłowych, ale także idealnych, a mianowicie estetycznych. Krótko mówiąc, indywidualizm humanizmu był buntem duszy ludzkiej przeciwko niewoli, krępującej bogactwo, różnorodność i pełnię jego życia ziemskiego, przeciwko pogładowi na świat, po-

¹⁾ Współczesny. — ²⁾ Chwała niebieska.

dajacemu w wątpliwość, a nawet negującemu wartości tego ziemskiego życia. Dlatego to właśnie w humanizmie odgrywa tak olbrzymią rolę pierwiastek estetyczny nie tylko w sztuce, ale i w życiu, w jego wygodach i przepychu.

Indywidualizm oświecenia ma swój własny, zupełnie swoisty charakter. Przedewszystkiem o tem pamiętać trzeba, że humanizm miał charakter arystokratyczny: z osiągniętego przez humanizm zwycięstwa nad życiem średniowiecznym i średniowiecznym poglądem na świat korzystały tylko jednostki, tylko tak zwane wyższe warstwy społeczeństwa, którym chodziło nawet, i to zupełnie świadomie, o zachowanie owoców tego zwycięstwa dla siebie, które się wręcz obawiały rozpowszechniania nowych zdobyczy kulturalnych. Oświecenie tymczasem miało charakter już w znacznej mierze demokratyczny i, dodajmy, czynny: tutaj chodziło już o wywalczenie, jeżeli nie wszystkich, to przynajmniej niektórych owoców nowej kultury — dla wszystkich. Niedosyć na tem. Humanizm, pomimo, że był buntem przeciwko nauce średniowiecznej, pomimo, że rozbudził w duszy ludzkiej krytycyzm, jednak nie zatracił ze szczerem charakteru dogmatycznego. Przeciwnie, zostało go w nim dużo, bardzo dużo, i to pod dwojakim względem. Po pierwsze, buntując się przeciwko nauce Kościoła o życiu, zrywając z nią nawet w znacznej mierze, uwierzył tak dobrze, jak ślepo, w prawdę nauki i mądrości życiowej starożytnych. Walczył z powagami, to prawda, ale bronią tej walki były także powagi, tylko inne. Po drugie, przeciwko niektórym pierwiastkom nauki kościelnej humanizm nie buntował się naogół — chyba wyjątkowo tylko, w osobie niewielu myślicieli, — nie buntował się tem więcej, że te pierwiastki bynajmniej niezawsze były w niezgodzie z ubóstwianą przez humanizm nauką starożytnych. Tu należy przedewszystkiem nauka o społeczeństwie: przecie zarówno w pogaństwie starożytności, jak w chrześcijańskim średniowieczu, uczono, że istnienie różnych warstw społecznych z niejednakowymi prawami jest rzeczą słuszną, płynącą z konieczności czy z dopustu bożego, potrzebną dla dobrobytu całości społeczeństwa, dla harmonji. A i przeciwko nauce o władzy królewskiej, o tem, że płynie z bożej łaski, także się humanizm naogół nie buntował. Nauki te dopiero oświecenie poddało druzgocącej krytyce, i ono dopiero obalać zaczęło już całość nauki średniowiecznej, zarówno o Bogu i świecie, jak o człowieku. Bronią zaś tej krytyki były już nie żadne powagi, tylko rozum, który się teraz dopiero poczuł wolnym i niezależnym. I tutaj właśnie dochodzimy do ujęcia najistotniejszej cechy indywidualizmu oświecenia: był to indywidu-

alizm rozumu. Bunt rozumu indywidualnego przeciwko tradycyjnym pojęciom, już wszystko jedno jakim, czy popartym i oświeconym powagą starożytności, czy Kościoła; wiara, że ludzkość może zbudować nowy świat pracą własnego rozumu; przekonanie, że to, co jest z rozumem sprzeczne, że, co więcej, to, czego rozum, czerpiący swój materiał z wrażeń zmysłowych, nie może dowieść, — że to wszystko jest fałszem i szkodą, a nawet klęską dla ludzkości; słowem oddanie rozumowi bezwarunkowej, despotycznej władzy w budowie życia: oto indywidualizm oświecenia.

Taki jednak indywidualizm był prostą, bitą drogą do... negacji indywidualizmu. Dlaczego? dlatego, że rozum uogólnia życie, uogólnienia zaś są dla indywidualizmu, dla konkretnej prawdy życia, zabójcze; przecie to, co stanowi najgłębszą istotę indywidualnej jednostki, jej wyłączną własność, jej niezaprzeczoną oryginalność, nie da się uogólnić. A cóż się na to składa? co stanowi najgłębszą istotę jednostki? Irracjonalne pierwiastki jej duszy. Otóż indywidualizm romantyzmu — to jego cecha swoista i wybitna — polegał na reakcji pierwiastków irracjonalnych przeciwko wszechwładztwu pierwiastka racjonalnego, na ich dążeniu do wywalczenia sobie czynnego udziału w budowie życia. A ponieważ te właśnie pierwiastki, nie rozum, rozstrzygają ostatecznie nie tylko o sile, ale i o rodzaju indywidualności; ponieważ one są, jeśli tak można powiedzieć, nierównie bardziej indywidualne od pierwiastku racjonalnego, więc też o prądzie, w którym indywidualizm polega na rozkwicie tych właśnie pierwiastków, t. j. o romantyzmie, można i trzeba powiedzieć, że jest nierównie silniejszym objawem, potężniejszym wybuchem indywidualizmu, aniżeli prąd, w którym indywidualizm polegał głównie na rozkwicie pierwiastku racjonalnego, to jest aniżeli oświecenie. Ma słusność Schiller: *Allen gehört, was du denkst; dein eigen ist nur, was du fühlst*¹⁾.

Tę samą myśl wypowiedział Taine w słowach: *Nos idées sont à tout le monde, nos sentiments ne doivent être qu'à nous seuls*²⁾.

Charakter racjonalistyczny indywidualizmu oświecenia tłumaczy nam właśnie, dlaczego ten wielki i potężny prąd kultury europejskiej jest prądem nierównie bardziej jednolitym od romantyzmu: ludzie, kierujący się głównie rozumem, logiką, daleko łatwiej i nierównie częściej dochodzą do zgodnych poglądów, niż ludzie, rzą-

¹⁾ To, o czem myślisz, do wszystkich należy; twojem własnym jest tylko to, co czujesz. — ²⁾ Nasze idee są własnością wszystkich, uczucia nasze powinny należeć tylko do nas samych. (Taine — znakomity francuski historyk i krytyk XIX w., autor świetnych dzieł: „Filozofja sztuki“, „Historja literatury angielskiej“).

dzący się głównie uczuciem; dla racjonalistów jedność będzie zawsze tylko jednością, ale dla romantyków —

...gdzie się serca palą,
Cyrklem uniesień duch,

tam może być i tak, że

Jedność większa od dwóch.

Są wprawdzie, jak widzieliśmy, pewne węzły wspólne pomiędzy oświeceniem a romantyzmem (np. w dziedzinie pojęć i dążności społecznych), ale w swojej istocie romantyzm jest przeciwieństwem oświecenia i walką z niem.

A teraz, po tem wszystkim, co się powiedziało o romantyzmie, jako reakcji przeciwko oświeceniu, i o jego swoistym indywidualizmie, można będzie dać taką definicję tego prądu. Romantyzm jest to prąd europejskiej kultury duchowej XVIII i XIX wieku, którego istotę stanowi walka ducha z jednostronnością oświecenia, to znaczy walka irracjonalnych pierwiastków duchowych z roszcującym sobie prawo do wszechwładztwa pierwiastkiem racjonalnym; czyli inaczej: walka o wyższość realnego życia nad oderwaną myślą o życiu.

W tem określeniu mieści się już *implicite*¹⁾ ta cecha romantyzmu, którą się, mówiąc o nim, wysuwa pospolicie na samo czoło, i która jest istotnie jego cechą znamioną i nieodłączną, mianowicie indywidualizm; bo, raz jeszcze, zarówno o rodzaju, jak i o sile indywidualizmu, stanowią przedewszystkiem pierwiastki irracjonalne, rozstrzyga pęd życiowy, a nie intelekt. W tem określeniu romantyzmu może się także z łatwością pomieścić nietylko cała różnorodność, ale i cała sprzeczność jego objawów; bo przecie logika pierwiastków irracjonalnych jest nierównie sprężystsza i cieplejsza od logiki rozumu.

Nadto bunt pierwiastków irracjonalnych przeciwko wszechwładztwu rozumu może być (to też istotnie był, jak tego uczy historia romantyzmu) bardzo różny. W walce z rozumem mogą te pierwiastki zadowolić się wywalczeniem sobie prawa do czynnego udziału w budowie życia, a po ich wyzwoleniu mogą nawet zawrzeć pokój i sojusz z przeciwnikiem i żyć z nim zgodnie, nie płacąc mu pięknem za nadobne; to znaczy, mogą nietylko nie odmawiać mu prawa do budowy życia, ale go nawet wołać na pomoc. Lecz może

być także inaczej, jak to na wojnie, która się czasami kończy zagładą przeciwnika i dzikim triumfem zwycięzcy: pierwiastki irracjonalne mogą się domagać nietylko współudziału w budowie życia, ale i monopolu w jego budowie, mogą nie chcieć pertraktować ze zwyciężonym rozumem, mogą go i zniszczyć, a przynajmniej odmawiać mu jego słusznych praw, mogą powiedzieć sobie, jak niegdyś sobie Rousseau mówił: „Człowiek, który rozmyśla, jest zwyrodniałem zwierzęciem“. Mogą także irracjonalne pierwiastki duszy ludzkiej chcieć budować nowy gmach życia, nie licząc się zupełnie z jego realnymi warunkami i możliwościami, mogąc przy tej budowie zupełnie zapomnieć o tem, że człowiek dopóty przynajmniej, dopóki żyje na ziemi, może budować gmachy tylko na ziemi. Albo mogą jeszcze mówić sobie te irracjonalne pierwiastki, jak mówił sobie niegdyś Słowacki:

Ani rola, ni handel, ni prac rozdzielenie
Nie jest źródłem bogactwa kraju, lecz natchnienie.

W dziedzinie nauki mogą żądać dla siebie więcej praw i udziału, niż się im należy, mogą np. lekceważyć zupełnie pracę zmysłów i rozumu i ogłosić niektóre z pośród siebie, np. intuicję, za jedyne źródło wiedzy i za jedyne kryterjum prawdy. W dziedzinie życia politycznego mogą także chcieć odgrywać rolę rozstrzygającą, uciekając się np. do takiej swoistej logiki (zna ją dobrze historia polska): na świecie panować powinna sprawiedliwość, takie jest przecie prawo boże, — a więc kto, chociaż słaby, zerwie się przeciwko silniejszemu, to, o ile tylko sprawa jego jest słuszna, musi ją wygrać, choćby mu przyszło kijami zdobywać armaty. W dziedzinie sztuki pierwiastki irracjonalne, zwłaszcza fantazja i uczucie, mogą i mają zupełne prawo patrzeć z pogardą na takie dzieło sztuki, które powstało bez ich udziału; ale równie dobrze mogą czasami wymagać dla siebie monopolu w procesie twórczości; twórcza fantazja np. może przestać zupełnie liczyć się już nietylko z logiką rozumu, ale nawet z logiką iluzji estetycznej, może ogłosić rozwałkę za wroga wszelkiej sztuki, a swój własny pęd za nieomylnie kryterjum piękna, że tak nieraz bywało, o tem wie coś historia literatury.

I tak na każdym polu romantyzm może się przeradzać (albo wyradzać) w hiperromantyzm, albo, jeśli kto woli, w pseudoromantyzm. A raczej nietylko może, ale się w rzeczywistości nieraz wyradzał: indywidualizm romantyczny przybierał często objawy chorobliwe.

¹⁾ = zawarta, sama przez się (dosł.: niewyraźnie, domyślnie).

WALERY GOSTOMSKI (1854—1915).

Z rozprawy: Arcytwór dramatyczny Wyspiańskiego „Wesele“¹⁾.

Co znaczy ten taniec symboliczny? Co znaczy Chochół? Co znaczy złoty róg? Co znaczy całe to osobliwe widowisko jasełkowe, napoły szopka, napoły dramat — drażniące, bolesne, a jednak tak pociągające, tak bliskie sercom naszym i duszom?

Podobne pytania nastrożają się wciąż widzom i czytelnikom *Wesela*. Ci, co do gruntu bez reszty żadnej chcą je rozstrzygnąć, niech pomną, że tylko dzieła sztuczne doszczętnie ręką ludzką dadzą się rozłożyć, bo ręką ludzką całkowicie je złożyła. W dziełach natury pozostanie zawsze coś niepochwytnego dla najdokładniejszej, najbystrzejszej nawet analizy, jakaś reszta niewymierna, jakiś *numenon* niepojęty²⁾.

Dzieło genjuszu to dzieło natury, to twór działającej w człowieku Mocy nadludzkiej. *Wesele*, jak wszystkie wogóle główne utwory Wyspiańskiego, posiada wybitne znamiona genialności. Wszystko, co w nim należy do ludzkiej umiejętności, sztuki, wprawy, co jest dziełem wypracowania, wykończenia, wyczyszczenia, mnóstwo przedstawia braków; — wszystko, co w nim samorodnym błyskiem genjuszu, niedościgłe jest w mocy i pewności rzutu, w głębi ujęcia, w prawdzie twórczego natchnienia. Tę moc, tę prawdę niezawsze rozumiemy dokładnie, ale zawsze intuicyjnie odczuwamy. Stąd zaznaczone powyżej wstrząsające działanie dramatu na tych nawet, co niewiele z niego pojmują. Wobec tego arcytworu poezji Wyspiańskiego stajemy niekiedy jak wobec wielkiego dzieła przyrody; im więcej przekracza zakres naszego pojęcia, tem więcej nas pociąga. Badać taki twór, zagłębiać się weń: to jedno z najgodniejszych zadań umysłu ludzkiego, ale zgłębić go do dna samego, do najskrytszej jego istoty: daremnieby się o to kusić. — —

Czytałem gdzieś zarzut, że osoby *Wesela* nie są dość wykończone, rozwinięte, że nie mają dość jaźni. Krytyk nie zrozumiał, jak mniemam, ich znaczenia w układzie całości dramatycznej. Całość ta przedstawia nam jakby zarys zbiorowej duszy narodu w danym momencie jej nastroju, a raczej jej rozstroju wewnętrznego; dusze

¹⁾ Druk. w czasopiśmie „Pamiętnik Literacki“ (1908).

²⁾ „*Noumenon*“ = tyleż, mniej więcej, co nieuchwytna istota rzeczy — w przeciwieństwie do „*phaenomenon*“, t. j. złudnego zjawiska.

jednostkowe są tu pojęte jako poszczególne tony tego rozstrojonego akordu narodowego.

Dwie mamy główne ich grupy, dążące do harmonji, zharmonizowane w jednym momencie zbiorowego oczekiwania, — zbiorowej ułudy, poza tem w częstych, niekiedy ostrych rozdźwiękach: to inteligencja i chłopstwo. Stosunek ich wzajemny napodziw silnie i wiernie oddany.

Inteligencja, mózg i nerwy narodu, wrażliwa, przeczulona, ciężarna myślą, polotna fantazją, pełna pragnień, tęsknot, wspomnień i porywów, ale żyć, działać niezdolna, w swej jałowości życiowej spadająca aż do karykatury swej w osobie pijanego indywidualistykadekadenta. Jest ona w *Weselu* czysto nowożytna, zdemokratyzowana zupełnie, poniekąd uludowiona, a przynajmniej uludowiająca się żarliwie, a jednak — jak daleka od ludu!

„Co wy o nas wiecie“, mówi Poeta do Czepca, — „nic“.

„A pon widno niewidomy“, odpowiada Czepiec, „widać, że nie znacie nas“.

W gruncie rzeczy kto wie, czy owa dawna wiejska szlachta kon-tuszowa nie była bliższa chłopu, choć go od Chama wywodziła, aniżeli ci uludowiający się w sukmanach i kierezjach jego przyjaciele z miasta, tak mu obcy inteligencją, charakterem, skłonnościami. Posłuchajmy, jak w zakończeniu aktu 2-go dobitnie ich określa Gospodarz w zestawieniu ze szlacheckimi ich przodkami:

Co wy jesteście:

wy się wynudziacie w mieście,
to się wam do wsi zachciało:
tam wam mało, tu wam mało —
a ot, co z nas pozostało:
lalki, szopka, podle maski,
farbowany fałsz, obrazki;
niegdyś, gdzieś tam, tęgie pyski
i do szabli i do miski;
kiedyś, gdzieś tam, tęgie dusze,
półwarjackie animusze:
kogoś zbawiać, kogoś siekać;
dzisiaj niema na co czekać.
Nastrój? macie ot nastroje:
w pysk wam mówię litość moję.

A co mówi tenże Gospodarz o kłócących się na weselu chłopach:

Ha, temperamenta grają!
Temperament gra, zwycięża;
tylko im przystawić oręża,
zapalni jak sucha słoma.

Czyż nie podobni do tamtych o tęgich duszach, tęgich pyskach? Czyż nie podobniejsi, aniżeli do fantazjujących, poetyzujących inteligentów w sukmanach? — Jenó, że tamci dawni, kontuszowi to garstka tylko była, to tylko okrąg koła, jak mówił Krasiński; a ci nowi, do nowego budzący się życia, to masa, to cała koła powierzchnia, to żywotna energja, żywiołowa siła narodu, to lud polski, podstawa terażniejszości, nadzieja przyszłości.

Odkąd poezja poezją, nigdy w niej lud polski nie został ukazany w takiej prawdzie, sile i pełni życia, jak go widzimy w *Weselu*. Czemże są sentymentalni i poetyczni chłopkowie dawnych romantycznych powieści lub śmieszni głuptasi w rodzaju sienkiewiczowskiego Bartka-zwycięzcy wobec tego bronowickiego wójta Czepca, skupiającego w przedziwnym realizmie swej postaci całą żywotność, całą moc, całą prawdę i całą mądrość naszego ludu. Toż każde jego powiedzenie jak w marmurze ryte przysłowia, każdy ruch objawem żywiołowej siły, każdy gest pełen piastowskiej godności, każdy czyn objawem szczerej, gorącej duszy polskiej.

Jakże doskonale stosują się do niego słowa, któremi Gospodarz określa wewnętrzne jestestwo chłopca polskiego i jego istotne znaczenie w obecnem życiu narodowem:

A bo chłop i ma coś z Piasta,
coś z tych królów Piastów — wiele:
— już lat dziesięć pośród siedzę,
sąsiadujemy o miedzę.
Kiedy sieje, orze, miele,
taka godność, takie wzięcie;
co czyni, to czyni święcie;
godność, rozwaga, pojęcie.
A jak modli się w kościele,
taka godność, to przejęcie;
bardzo wiele, wiele z Piasta;
chłop potęgą jest i basta.

Chłop potęgą!... — myśl żywcem wyrwana z najgłębszych, najistotniejszych pokładów współczesnej samowiedzy narodowej, przechowująca się w niej już przeszło od wieka, od czasów Kościuszki i Głowackiego, jako poryw serca, niejasne przeczucie, pociecha, nadzieja, wreszcie za dni obecnych jako pewnik oczywisty, żywotna, twórcza idea nowej Polski, wznoszącej się w oczach naszych coraz widoczniej, coraz wyraźniej na gruzach dawnej rzeczypospolitej szlacheckiej.

Wyspiański, zwiastun, bojownik przyszłości, zawzięty tępicieł w przygotowującej ją terażniejszości wszelkich przeżytków lat mi-

nionych, ze szczególną siłą odczuć, uświadomić sobie musiał tę zasadniczą ideę zwróconej ku czasom nadchodzącym samowiedzy narodowej, a dzięki swemu przedziwnemu darowi wyciągania idealnych dążeń życia wprost bezpośrednio z najrealniejszej jego treści, zdołał ową naszą ożywczą wiarę w lud odtworzyć, uplastyczyć w całej jej prawdzie rzeczywistej, uderzającej nas jakąś samorzutną, żywiołową mocą swych zewnętrznych kształtów i zjawów.

W Czepcu nie znaleźć ani cienia sztucznej idealizacji. Jest to postać nawskróś realistyczna we wszystkich swych myślach, uczuciach, czynach i słowach. Jest to chłop o tęgiej pięści, o mocnej, szorstkiej mowie, o twardej prostackiej duszy. Nic w nim niema przedwczesnego, idealnie samorodnego, sięgającego poza obecną, konkretną rzeczywistość życiową naszego ludu. Każde jego słowo tętni wiernym jej odgłosem, niekiedy tak dosadnie i grubo naturalistycznie, że się staje wprost niemożliwe na scenie, niedopuszczalne przez najpobłażliwszą nawet cenzurę przyzwoitości konwencjonalnej. Jesteśmy w sferze, w której wszelki konwenans traci prawo głosu: tylko prawda życia przemawia tu ustami wprost z niej wysnutych kreacyj poetyckich.

A pod surowym, niekiedy szorstkim realizmem zewnętrznych jej przejawów jakie bogactwo wewnętrznej idealnej treści! — W dosadnej, prostackiej mowie tego chłopca polskiego jakże dobitny znajdują wyraz pewne zasadnicze postulaty narodowej polskiej myśli:

Jo chce, by się ludzie brali,
zeby się jako garnęli,
zeby się tak w kupę wzięli,
toby się przecie nie dali.

Ze stanowiska zdrowego rozumu chłopskiego i gromadzkiego instynktu przedziwnie dosadne w swej prostocie wyrażenie idei solidarności narodowej w jej przeciwieństwie do nurtującego wciąż w krwi naszej indywidualizmu starszlacheckiego. — —

Ani na chwilę nie można pomówić poety o podsuwanie temu ludowi własnych swych wyobrażeń, uczuć, idei. Każda myśl, każde słowo, każdy zwrot i ton mowy tych chłopów Wyspiańskiego świadczą o niezrównanej prawdzie charakterystyki, wysnute są wprost z życia, z najrealniejszych jego przejawów i stosunków. To też, jeśli w nich słyszymy odgłosy uczuć i pragnień, w których uderza serce zbiorowego jestestwa narodu i świtają przebłyski zbiorowej jego świadomości — to możemy być pewni, że tu mamy do czynienia nie z fikcją poetycką, ale z prawdą realną, że tu do nas przemawia

szczerą, prawdziwą duszę ludu, przemawia nie obcem, podpowiadającym jej z zewnątrz, lecz własnym samoistnym swym słowem. W tej duszy już dnieje, świeci, „zarucko w niej kur zapieje“, jak się wyraża Czepiec. A jaka w niej moc, jaka potęga skupiona w ognisku sił żywiołowych olbrzymiego ciała ludowego!

Nietylko w Czepcu — lecz i w innych chłopskich postaciach dramatu uwydatnił poeta z ogromną wyrazistością tę samorzną, bezpośrednią żywiołowość natury psychicznej, istotne źródło zewnętrznej jej potęgi. Widzimy ją w zuchowatej tężyznie dziarskich parobczaków, w spokojnej, trzeźwej rozwadze starego Ojca, w praktycznym rozsądku kobiecym wygadanej Kliminy i zabiegliwej Gospodyni, w naiwnym wdzięku rezolutnej Panny Młodej, w rzewnym liryzmie jej siostry, smętnej Marysi — wreszcie w tej bujnej wybuchowej grze chłopskich temperamentów, „zapalnych jak sucha słoma“, surowych, szorstkich, nieposkromionych, gotowych jednak skupić się w zgodnym działaniu, na rozkaz-słowo jakowejś wyższej, cześć i wiarę budzącej powagi.

Oto dlaczego „chłop jest potęgą“, jest wielkim zbiornikiem sił życiowych, sił przeważnie materialnych, w głównej swej masie nieprzenikniętych porządkującą i ożywczą mocą duchową, ale jak świeżych, nieużytych, ile zawierających w sobie potencjonalnej energii twórczej!

*

Dokoła tego zbiornika, zapatrzona weń z przejęciem i miłością, pełna wiary i ufności, gromadzi się inteligencja narodowa, czyli najbardziej uświadomiona część narodu, najjaśniej pojmująca jego potrzeby i zadania, drogi i kierunki jego przyszłego rozwoju.

Sama, żyjąc przeważnie życiem intelektualnym, życiem idei i uczucia, z natury swej raczej do myślenia, aniżeli do działania powołana, zarówno instynktem serca, jak i sądem myśli racjonalnej poznaje ona niezmiernie doniosłe znaczenie najliczniejszej i najżywotniejszej warstwy rodzimego społeczeństwa, stara się oddziaływać na nią, zbliżyć się do niej, uświadomić ją społecznie i narodowo, zbudzić drzemającą w niej olbrzymią żywiołową potęgę ku przyszłemu odrodzeniu i zbawieniu narodu.

O tych dążeniach mówi Czepiec do Gospodarza:

Wyście bo to żarnych świc
rozpalili z naszych lic.
Panie, a cy pan pamięta,
jak pan szeptał nieraz w noc,

co mówiła Panna Święta,
jako w nas jest wielga moc,
jako, że moc jest zaklęta,
że się kiedyś opamięta...

Charakterystyka występujących w *Weselu* osób z inteligencji, z wyższych klas społecznych, ujęta jest przeważnie ze stanowiska stosunku ich do ludu, ze względu na rozmaite, głębsze lub płytsze zrozumienie i odczucie przez nich istotnego znaczenia warstw ludowych w życiu narodu, oraz mniej lub więcej ściśle z tą sprawą związanych wielkich niepokojących problemów współczesnej duszy polskiej.

Wiadomo powszechnie, że owi bratający się z chłopstwem w wesele szopce Wyspiańskiego panowie z inteligencji to nie fikcyjne postaci, zrodzone z wyobraźni poety, nie dramatyczne upostaciowanie jego idei, lecz poetyckie portrety osób rzeczywistych, znanych w całym kraju z imienia i nazwiska, portrety w zasadniczych rysach niezmiernie wierne i prawdziwe, a przytem tak szeroko typowe, tak doskonale uprzytomniające nam najistotniejsze strony i przejawy naszego życia duchowego chwili obecnej. Podobnie jak w ogólnym pomysle swego dramatu, i w charakterystyce jego postaci poeta idealną prawdę życia wysnuwa wprost z jego rzeczywistości konkretnej, i dzięki temu tak silnie budzi w nas wrażenie, z taką mocą niezrównaną przemawia do nas każdym słowem, każdym gestem swych postaci.

Poza wybornymi typami chłopskimi są to niemal wyłącznie postaci typowych intelektualistów: artysta-malarz Gospodarz, brat jego Poeta, Pan Młody również poeta, Dziennikarz, Rachel. Różnią się oni nietyle charakterami, co umysłowością, sposobem pojmowania i odczuwania danego momentu życiowego. Wprawdzie pod ujawniającymi się w dialogu różnorodnymi poruszeniami ich myśli i serca odgadujemy i czujemy zawsze psychiczną głębię dusz i charakterów, ale ta nie występuje widomie w akcji, bo zresztą, jak wiemy, niema tu żadnej akcji widomej, jest tylko ukryty wewnętrzny dramat, symbolicznie w obrazach wizjonerskich uprzedmiotowiony — na jawie zaś są wrażenia, uczucia, myśli, nastroje, tego dramatu idealnego realne odbicia, ale niema zdarzeń i czynów, w których charaktery mogłyby się uwidocznic.

Cały ciężar gatunkowy tych kreacji Wyspiańskiego tkwi tedy w ich ideowości i emocjonalności, a te zwrócone są wyłącznie ku wielkiemu problematowi naszego bytu narodowego, przede wszystkim zaś ku znaczeniu i wartości głównej jego siły żywotnej: ludu wiejskiego. Na ten temat łączą się wszystkie rozmowy w *Weselu*,

tak pełne treści, zawierające tyle myśli głębokich, nowych, wyrwanych wprost z pod serca dzisiejszemu pokoleniu, wydobytych najaw z najtajniejszych głębin jego duszy zbiorowej.

A jak tu wiele duszy w każdym powiedzeniu, w każdym zdaniu, nieomal w każdym słowie!

Mówi się przeważnie o rzeczach bardzo oderwanych, o ideach i dążeniach ideowych; sprawy osobiste żadnej tu prawie nie odgrywają roli; a jednak jak żywo osobiste jest zabarwienie słów, tonów, gestów rozmowy! Każdy mówi na swój sposób, po swojemu. Od pierwszego nieomal słowa wiemy, z kim mamy do czynienia, rozpoznajemy fizjognomję umysłową, psychiczną człowieka, słyszymy bezpośredni odgłos jego duszy.

Ton u poszczególnych osób brzmi w różnym stopniu pełni i głębi duchowej, co się głównie uwydatnia w rozmaitym sposobie ujęcia, odczucia, uświadomienia zasadniczego tematu całego utworu.

Najgłębiej i najpoważniej bierze go Gospodarz, niejako koryfeusz w tym chórze tragicznym współczesnej duszy polskiej. Niedarmo w dramacie jej wizyj wewnętrznych naczelną odgrywa on rolę; niedarmo do niego przybywa cudowny gość-zwiastun, przynoszący hasło odwiecznych tej duszy narodu pragnień i dążeń, odwiecznej jej wiary i miłości. Wprawdzie i dla niego jest owo hasło nie czynu twórczego pobudką, lecz beczynnego, bezpłodnego marzenia chwilową podniętą; ale w tym jego marzycielskim nastroju jaki żywy rozpęd szczerze narodowego uczucia, a w pełnej jawie jego myśli świadomej jaki trafny z najgłębszych pokładów współczesnej naszej samowiedzy zbiorowej wysnuty sąd o głównych czynnikach naszego bytu narodowego: o chłopie-potędze, o wrażeńiowo-nastrojowej niemocy naszych inteligentów, o siłach wewnętrznych, co w duszy nam się burzą, o przemożnie władających nami urokach dawności.

Nikt więcej od pana Włodzimierza nie ulega oddziaływaniu tych uroków, do nikogo nie przemawiają żywiej w danym momencie nastroju:

jakieś stare dumy, bajki...
dawne czasy — dawne wieki
a sen, sen jakiś daleki.

Przypatrzcie mu się, jak jest cały przejęty, poruszony, gdy nagle staje przed nim fantastyczny gość z przeszłości:

ktos mi znany,
ktos serdeczny, ktos kochany,
ktos, co groźny — dawny, stary,
jak wiek cały...

A gdy się dowiaduje, że to zwiastun ze słowem wskrzeszenia, z hasłem czynu zbawczego, jakimż radosnem wybucha zdumieniem:

Rośnie życie;
czyli marą Wy widmową,
czyli Waść jest upiór grobów,
czy ty próchno, czy ty czarem,
żeś ze słowem przyszedł starem,
żeś na mnie użył sposobów
i co we mnie tajemnicą,
ty mówisz jak rzecz prawdziwą;
jako żywo, jako żywo!

Czujemy, że w tym człowieku nowoczesnym, w tym przedstawicielu nowej Polski, co się pogrąża całkowicie w świeżym ludowym żywiole jej przyszłości, żyje niejako Polska dawna ze swą dawną wielką przeszłością dziejową, ze swą odwieczną rodzimą tradycją. Mamy tu przed sobą niejako syntetyczną naturę polską, łączącą w swem jestestwie pierwiastki różnych epok od piastowskiego zarania aż do obecnych naszych smutnych zmierzchów. Niedarmo też pan Włodzimierz tak się rozwódzi nad tem czemś, co z królów-Piastów w chłopie naszym się przechowało. Dla niego wystąpienie chłopca polskiego na pierwszy plan życia narodowego to nie zdobycie przezeń nowych jakichś praw, lecz niejako restytucja odwiecznych, święcie mu przynależnych praw, odziedziczonych po jego przodkach, piastowskich kmieciach, a jeszcze przez wielkiego „króla chłopków“ uznanych i bronionych.

Takiego syntetycznego patriotyzmu nie spotykamy w żadnej z pozostałych postaci dramatu. Ton patriotyczny silnie dźwięczy w ich sercach, ale niestety, w jak bolesnych nieraz rozstrojach, w jakim przeciwieństwie górnych wlotów ducha i przyziemnych zastojów:

Duch się w każdym poniewiera,
że czasami dech zapiera;
takby gdzieś heł gnało, gnało,
takby się nam serce śmiało
do ogromnych, wielkich rzeczy,
a tu pospolitość skrzeczy,
a tu pospolitość tłoczy,
włazi w usta, w uszy, w oczy...

W tych słowach Poety niemoc wyższych dążeń kłóci się z silnem pożądaniem wyższych celów. Znamienna dla naszej doby kłótnia. Posiadamy dość świadomości, dość kultury, aby myślać i sercem zwracać się ku wyżynom, ale za mało sił żywotnych, aby

na wyżyny się wdzierać. U nas w Polsce przeciwieństwo to ujawnia się głównie w zakresie dążeń narodowych i patriotycznych. Sami nie wiemy: czy to przeszkody na naszej drodze zbyt wielkie, czy siły nasze zbyt słabe, czy zadania nasze nas przerosły, czy my nie dorosli do naszych zadań?...

Bolesne zagadnienie, w którym szamocze się myśl Poety, przedstawiciela wszystkich współczesnych silnych umysłów a słabych duchów.

Widzimy go oto zmagającego się w wizji fantastycznej ze stającym widomie przed nim uosobieniem Mocy. Sam ją zaklął, wyczarował ze swej duszy potężnym zaklęciem myśli, a gdy zjawia mu się groźny wid Rycerza grunwaldzkiego i rękę doń wyciąga, i wzywa go głosem gromu, i dań mu niesie, „orężny szat“ — jakże to przyjmuje, cóż odpowiada?

Łzy mnie pieką, łzy mnie pieką,
Czemżebym ja tam być miał?

Pomyślmy jeno: czy niejedyn z nas mógłby się zdobyć na inną odpowiedź, gdyby stanął przed nim taki zjaw mocy, wyczarowany zaklęciem pragnień z wielkiej, pełnej chwały przeszłości?

Oto tragedia nietylko bytu naszego, lecz i dusz naszych, genialnie przez Wyspiańskiego odczuta.

Nie we wszystkich duszach w jednakiem zaznacza się ona natężeniu. U Gospodarza miesza się z nią jakby jakiś epicki rys heroizmu starszylacheckiego. A posłuchajmy, jakie idylliczne tony przeciwstawiają się groźnym jej mocom w poetyckiej a dość płytkiej duszy Pana Młodego:

A traliaj ty orly z proc,
(mówi do Poety)

ja wolę gaik spokojny,
sad cichy, woniami upojny,
żeby mi się kwieciły jabłonie
i mlecz w puchów koronie,
i trawa schodziła zielona,
kręciła się przy mnie żona,
żebym miał ką z bożej łaski,
maleńki, jak te obrazki,
co maluje Stanisławski:
z jabłoniami i z bodjakiem,
we złotawem słońcu takim...
żeby mi tam było cicho, spokojnie,
a jeśli gwaro i rojnie,
to od błyszczących pszczoł, błyszczących much¹⁾.

Tutaj tragedia duszy polskiej rozplywa się w pewnego rodzaju idylli poetycko-filisterskiej, nie bez swoistego wdzięku, nie bez rodzimego uroku, ale też nie bez swojskiej, swojsko-samolubnej zaściankowości, której tak typowym jest przedstawicielem ukolorowany po krakowsku oblubieniec „bajecznie kolorowej“ krakowianki.

Żyd ze swoim żydowskim przenikliwym sprytem doskonale przejrzał istotną naturę tej bardzo może serdecznej, ale i bardzo płytkiej idylli:

Pan dzisiaj w kolorach się mieni;
pan to przecie jutro zruć;
no, pan się narodowo bałamuci.

Głębsze nierównie słyszemy tony dźwięczące z duszy Dziennikarza, ale w jak okropnie rozstrojonych akordach! Dawno już nie wypowiedziano z taką mocą słów tak gorzkich i bolesnych o rzeczach nam bliskich, najbliższych. Tragedja narodowej niemocy staje się tu tragedją narodowego zwątpienia. Poeta w wyobraźni swej widzi zjaw mocy, do której nie dorósł duchem — Dziennikarz w swym sądzie krytycznym zda się przerastać te objawy słabości, które tak dobitnie piętnuje, ale posłuchajmy, co o nim mówi Wid-Stańczyk, niejako prototyp polskiej myśli krytycznej:

Acan jako spowiedź czyni,
spowiedź, widzę, cudzych grzechów;
acan się zalewa łzami,
duszę krwawi, serce krwawi;
ale znać z acana mowy,
że jest — tak — przeciętnie zdrowy;
jutro humor się naprawi. —
Gotów mi płakać najrzewniej,
rozczułać się cudzych grzechów,
u bliskiego widzieć tramy,
zbrodnie, brudy, grzechy, plamy
i za swojego bliskiego
uczynić publiczną spowiedź. —
A! doprawdy! warte śmiechów, —
Może jeszcze rozgrzeszenie
wziąć kapłańskie z cudzych zbrodni?

Spowiedź cudzych grzechów! — A cóż innego czynią nieraz w swych sądach o społeczeństwie, o narodzie nasi dziennikarscy sędziowie-krytycy? Pisz się wtedy zazwyczaj my, ale czyta się wy, bo piszący tylko przez grzeczny konwenans i siebie przyłącza do grzesznego tłumu, w istocie rzeczy zaś swą sądzącą i krytyku-

¹⁾ Stanisławski — współczesny Wyspiańskiemu znakomity pejzażysta krakowski.

jącą osobę na zupełnie odrębnem umieszcza stanowisku. A jak skrupulatną bywa taka spowiedź, jak mocne bicie się w piersi, jak wielki żal za nieswoje grzechy! Nie bez słuszności mógłby kto powiedzieć, że tu tragedia narodowa staje się jakby narodowem komedjanctwem. Nie bez słuszności też Stańczyk, rzucając Dziennikarzowi swą laskę błazeńską:

Commediante,

(woła)

dla ciebie błazeńska laska,
oto naści twoje wiosło:
błądzący w obłądów powodzi,
masz tu kaduceus polski,
mąć nim wodę, mąć!

Nie znaczy to jednak, aby wszystko w słowach Dziennikarza udaniem było czy utudą. Obok tonów przeczulonego pesymizmu dźwięczą w nich takie szczerze akcenty, wypowiadają się myśli tak głęboko prawdziwe! I ból cierpień narodowych szczerze, serdecznie w nich odczuty, tylko wyrażony niekiedy w sztucznem podnieceniu rozpaczego iście sceptycyzmu, brzmiącego jękiem żalonym ponad rozchwieją niepewnych dróg i kierunków:

Okrzyk mew,
gdy gonią ponad skały,
okrzyk mew osmętniały,
żałośliwy, straszny,
gdy od brzegu odbiegły daleko,
Morze ciche, strop się chmurzy,
ale burza i orkan daleko.
Tylko głuchość i pustka bezmierna —
a tu skrzydła rozchwiane do lotu
nie pragną, nie pragną powrotu
i wiedzą, że tam, gdzie dążą,
wylądu szukać daremno;
przekleństwu swojemu wierne,
leczą, — i nie śmieją ustać,
aż krew do ust pocznie chlustać
ze znużenia, — wtedy padną,
łzą nie pożegnane żadną,
bo śmierć ulga, ulga zgon.

Od tej rozpaczki zwątpienia krok tylko do rozpaczki dekadencjkiego zwyrodnienia, jak je wyobraża pijany Nos na początku aktu 3-go. I to także swojego rodzaju ludowiec, ale w jak karykaturalnej postaci! Ani śladu w nim idei narodowej, uczucia polskiego — tylko

jakaś napoły instynktowna, napoły sztucznie pobudzona dążność do zdrowej pierwotności:

Chciałem, żebym w tłumie zginął,
żeby się tak zniwelować,
zanurzyć się po szczyt głowy
w ten świat zdrowy;
indywidualność zdusić,
do prostoty się przymusić;
ale cóż, kiedy natura
rozśpiewała moją duszę;
mimo, żem się chciał pogłębić,
na plan pierwszy wstąpić muszę.

Znamy te rozśpiewane echemi swej pustki wewnętrznej dusze dekadencjkie.

„Jednak, mówi Gospodarz, i to męczeństwo; żyć z tą pustką w duszy wieczną“.

Ale nie jest to męczeństwo duszy narodowej, szamoczącej się w sercach i mózgach jednostek daremnością swych dążeń, niemocą swych pragnień, rozpaczą zwątpień. Tu kres wielkiej tragedji narodu, początek marnej tragikomedji zmarniałej indywidualności ludzkiej.

Pytanie wszakże: czy w owym chorobliwym, pijanym dekadencie, co się chce zanurzyć w ten zdrowy świat ludowy, poeta nie okazał nam w karykaturze pewnej skrytej samolubnej dążności swych patryjotycznych ludowców, pełnych zapału wyznawców idei uludowienia Polski?

Toż wiemy, jak w ostrych słowach przy końcu aktu 2-go wyrzuca im Gospodarz bawienie się ludowością;

Wy się wynudzicie w mieście,
to wam się do wsi zachciało.

To pewna, że wszyscy ci rozmiłowani w kierzejach krakowskich panowie inteligencji z miasta, obok dążeń do zestroju serc i dusz w wielkich hasłach ludowych, lubują się też widocznie w nastroju swych poetycznie rozigranych ludowością wyobraźni.

Czasami możnaby nawet sądzić, że te puste igraszki nastrojowe stanowią tu rzecz główną. Tak jednak nie jest. Wiemy, że dla tych ludzi Polska to rzecz główna, to naprawdę „wielka rzecz“, jak się wyraża Poeta, a lud zda im się naprawdę twórczą, odżywczą jej potęgą; ale czy wobec niemożności zbudzenia tej potęgi, doświadczenia tej „rzeczy wielkiej“, nie zatapiają się oni w słabem i małym nastrojowo-poetyckiem ich odbiciu?

„Przez nich płynie strumień piękności, ale oni nie są pięknością“, możnaby tu powiedzieć z Krasińskim. Niezdolni oni do czynu, który tworzy istotne piękno życia, a tylko do marzenia, co górnienie o niem.

Niekiedy poprostu bawią się niem tylko; wtedy mianowicie, kiedy piękno życiowe pociąga nie siłą wewnętrzną swej prawdy, ale jedynie urokiem postaci swej zewnętrznej.

Wyspiański przedziwnie uprzytomnił nam ten ostatni doświadczenie w osobie Racheli.

Ta pełna wdzięku żydówka z lirycznym imieniem to jakby uosobienie naszego kulturalnego żydostwa, które, żyjąc wśród nas, przyswaja sobie naszą kulturę, umie ją odczuć, zrozumieć, ocenić, ale przejąc się nią całkowicie, do głębi duszy wyjątkowo chyba tylko jest zdolne w osobie jakiegoś Jankla „żyda poczciwego“, co „ojczyznę jako Polak kochał“.

Nie przeczę, że i dziś są pomiędzy nami tacy Jankiele, ale któż będzie twierdził, że stanowią oni ogólne, zasadnicze typy naszego żydostwa? Takie typy dał nam Wyspiański w osobie Racheli i jej ojca.

Stary żyd z *Wesela* ze swym iście żydowskim sprytem i dowcipem, ze swymi iście żydowskimi interesami, ze swą mową, tak wybornie z żydowska akcentowaną, jakże to charakterystyczny okaz naszej polskiej żydowszczyzny dawnego przedkulturalnego autorkamentu — okaz swojski, rodzimy, krajowy, zażyły z chłopem, panem i księdzem, a jednak obcy nam bardzo, względem naszych spraw narodowych nie to niechętny, ale obojętny, sceptyczny, czasami nieco drwiący. Jednym słowem, jak to sam stary Mosiek doskonale określił, my z nim „tacy przyjaciele, co się nie lubią“.

Co innego panna Rachela, „panna *modern* całkiem“¹⁾:

Ona lubi te poety,
ona nawet chłopcy lubi,
ona chłopom kredyt daje,

co jest już najwymowniejszym, a bardzo opłakanym w oczach jej papy dowodem lubienia. Panna Rachela nie tylko lubi polskość, ale jest w polskości zakochana, polskością upojona, bo panna Rachela upaja, zachwyca się wszystkim, w czym odczuwa tchnienie poezji.

„Ogromnie dużo wierszy czytałam“, mówi do Poety, a na jego zapytanie, czy pisała kiedy, odpowiada:

Gust ten właśnie wielki miałam
żeby nie pisać, — lichą formą się brzydzę;

¹⁾ *Modern* = nowoczesna.

ale zato, kędy spojrzę, to widzę
poezję żywą zakłęta,
tę świętą —
i tem jestem szczęśliwa:
że święta i dla mnie żywa.

Rozmłowała się ona w polskości, w ludowości, bo w nich tyle poezji znalazła. Cieszy się żywą ich poezją, ale o żywą, realną ich prawdę niewiele się troszczy. Czy nie jest ona w tym względzie jakby tajną muzą tych wszystkich uniesień i zachwyków naszej kulturalnej inteligencji, które rozplywają się w nastroju poetyckim danej chwili, nic zgoła nie wnosząc do wyższego zestroju realnych sił życiowych?

Pozostałe postacie niewieście dramatu — Zosia, Haneczka, Maryna — szkicowo są zarysowane, nie mają większego znaczenia w głównej osnowie, ale co w nich życia, co prawdy, co wdzięku! A przytem każda jest sobą, w każdej widzimy odrębne charakterystyczne rysy: w uczuciowej, serdecznej Zosi, w trzeźwo-rozważnej Haneczce, w bystrej o ciętym dowcipie Marynie. Sceny ich rozmów i flirtów z Poetą lub Dziennikarzem, małe arcydzieła swobodnej werwy, lekkości, wdzięku, mogłyby stanowić ozdobę najlepszej komedji obyczajowo-towarzyskiej; — w utworze Wyspiańskiego snują się też wątkiem codziennej życia zewnętrznego komedji, która w charakterystycznej barwności swych powszednich powierzchni tem silniej uwydatnia głęboki ciemny ton widmowej tragedji dusz polskich. — —

*

Pod względem dramatycznym jest *Wesele* jakby szopką krakowską, podniesioną na wyżyny tragedji narodowej.

W całym rozbiore powyższym poznaliśmy główne czynniki składowe powstałego z tej metamorfozy artystycznej genialnego utworu; — obecnie pozostaje nam tylko rzucić okiem na ogólny ich układ oraz uprzytomnić sobie ideę tragiczną, z tego całokształtu dramatycznego wynikającą.

Układ scen i obrazów, przy całej swej jasełkowej prostocie, nie tylko umotywowany jest, jak widzieliśmy, przebiegiem akcji — lecz okazuje się przytem logicznie nader celowym, artystycznie jak najbardziej jednolitym, a zewszecmiar skutecznie przyczynia się do uwydatnienia przewodniej idei dramatu.

Główny fakt osnowy dramatycznej, wesele, skupia dokoła siebie wszystkie jej motywy, tak realno-życiowe, jako też ideowo-fantastyczne. Uprzytamnia się on wciąż w akcji i w dialogu. Muzyka

weselna wciąż brzmi za sceną, nastrój weselny co chwila odzywa się w rozmowach, na scenie prowadzonych; wreszcie obchód wesela gromadzi i łączy we wzajemnym stosunku osoby z inteligencji i ludu wiejskiego, czyli dwóch przeciwstawnych, a jednak uzupełniających się sfer życia narodowego.

Z wrażeń, uczuć, idei, przez to zestawienie wzbudzonych, rodzi się dramat wizjonerski, w którym „ma się stać jawnem, co jest skrytem“, czyli mają się ujawnić wewnątrz, głęboko utajone pragnienia serc, błyski myśli, porywy chęci. Wystąpienie najaw tych idealnych żywiołów duszy polskiej otwiera widoki na pewne realne możliwości życia polskiego. Różne sposoby odczucia ich przez inteligencję i lud rzucają niespodziane problemy naszego bytu zbiorowego, a ułudność wynikającego stąd porywu do czynu nadaje światłu temu głęboko tragiczne zabarwienie.

Wszystkie te skupione dokoła jednego faktu życiowego motywy akcji skupiają się też jak najdokładniej w jednośmi miejscu i czasie: — w obrębie skromnej izby chłopskiej, między wieczorem a świtem dnia jesiennego. I staje się rzecz dziwna: ten utwór, tak samodzielnie, niezawisłe od wszelkich reguł z życia swojskiego wysnuty i w ramy swojskiej jasełkowej sztuki ujęty, okazuje się ściśle przystosowanym do reguły, będącej najwyższym wykwitem wszechświatowego rygorystycznego estetycznego: — do słynnej pseudoklasycznej reguły trzech jednośmi dramatycznych — okazuje się w doskonałej zgodzie ze znanym aforyzmem Boileau'a o jednym fakcie, w jednym dniu i jednym miejscu spełnionym („*En un jour, en un lieu un seul fait accompli*“).

Czyż ta osobliwa zgodność nie świadczy o nadzwyczajnym artyzmie naszego poety, który bez żadnego przymusu, idąc tylko za popędem swej intuicji twórczej, zdołał przedmiot swój ująć w całość, odpowiadający najbardziej wygórowanym wymaganiom artystycznym w poezji? — W bezprzykładnym skupieniu motywów swej twórczości jedną izbę chłopską zdołał on rozszerzyć na całą Polskę, jedną noc listopadową uczynił epokowym momentem zbiorowego życia polskiego, a jeden fakt wiejskiego wesela symbolem zasadniczych tego życia przeciwieństw i konfliktów.

Z tych tak genialnie skupionych, tak artystycznie ustosunkowanych konfliktów wyrasta tragiczna siła arcydzieła Wyspiańskiego. Wszystkie jego postacie, wszystkie ich stany, nastroje, sytuacje przedstawione są w stosunkach mniej lub więcej jasnego uświadomienia, mniej lub więcej szczerego i silnego odczucia tej tragedii współczesnej duszy narodowej, która stanowi istotny przedmiot ca-

łej poezji autora *Wesela*, a w tym jego arcytworze dramatycznym ukazana została w rysach najbardziej realistycznych, wysnutych wprost z otaczającej nas, obecnej w nas rzeczywistości życiowej.

Jest to zmaganie się z przeszłością: dążność do przyswojenia wszystkich żywotnych, a odrzucenia wszystkich przeżytych jej pierwiastków przez żywą i żywotwórczą terażniejszość. Trudność czy zgoła niemożliwość spełnienia tego zadania, przewalczenia tej walki — oto istota tragicznego konfliktu.

Przeszłość — widmo, sen grobów; terażniejszość — złuda, niemoc, dziwny zawrót sercowy: — tak się przedstawiają dwa przeciwstawne konfliktu tego motywy. Czy w tej postaci swojej nie musiałyby one sczeznąć, przepaść, bądź w przymierzu, z mrocznych głębin dawności przynoszonym przez widmo Wernyhory, bądź w wojowniczym haśle chłopskiem, rzuconem przez Czepca pogrążonej w swych rojeniach i zwątpieniach inteligencji:

Jeśli nie pójdziecie z nami,
to my na was — i z kosami.

Czyż istotnie w dramacie Wyspiańskiego nic niema okrom tych tak pesymistycznie pojętych przeciwieństw: martwość grobów i niemocy lub zamętu życia?

Są tacy, co niczego więcej nie chcą w nim dostrzec, co nie widzą brzasków świtania, nie słyszą słonecznych hejnałów, wpatrują się jeno w ten beznadziejny mrok nocy listopadowej, wsłuchują się w te jęki i zawodzenia wichrowe, w te tony muzyki weselnej, tem smutniejszej, iż tak skoczna, wesola. Popatrzmy jednak baczniej, posłuchajmy uważniej — może co innego jeszcze zobaczymy, usłyszemy. Przyznać wszakże trzeba, że czarnowidzom niebrak przesłanek do wysnuwania arcypesymistycznych wniosków z dramatu. Ale czy poeta temu winien, czy życie: — to jeszcze wielkie pytanie.

To pewna, że poeta nie żałował ciemnych barw w dramacie. tem ciemniejszych, iż kontrastują z różnobarwną szopką narodową.

Przedewszystkiem Chochół, ten śmieć słomiany, ta niezdarna poczwara, przybywający do jasnej, rozśpiewanej izby weselnej z mroków ponuro rozwichrzonej nocy jesiennej. Dziwnie niepokojący, drażniący symbol; tem bardziej drażniący, iż przy całej swej pałubicznej ociążałości tak niepochwytny w nocy bezdennej rozpaczliwie szydce ironji, — a przytem tak nam bliski, swojski. Toż poeta nie potrzebował sięgnąć dalej, jak do przyległego chacie ogródka wiejskiego, aby wyczarować to wstrząsające nami do głębi straszdyło słomiane. A jak poprostu, po swojsku przemawia ono do małej Isi:

Ubrałem się w com ta miał,
sam twój tatuś na mnie wdział,
bo się bał, bo się bał,
jak jesienny wicher dął,
zaśbym zwiądl, róży krzak.

Róży krzak, rozkwitający pełnią woni, barw, świeżości, i ten poczwarny Chochół z martwych gałązek żywego niegdyś krzewu, z pustej zeszcłej słomy bujnego niegdyś zboża. W tym kontraście, jak mniemam, ukrywa się myśl tragiczna dziwnego symbolu — słoneczna, złota myśl narodowa, idąca ku nam poprzez wieki, hen od piastowskiego zarania, a dzisiaj tak zwiędła od wichru i szronu tych naszych zmierzchów jesiennych. Ale jest w niej życie utajone: zakwitnąć może na nowo w słońcu wiosennym, jeno teraz w tej smutnej jesieni zawiędła, zmartwiała czasowo. Ukryta w bezkształtnych, czasem zgoła poczwarnych postaciach słomianych chochołów, przywodzi nam jeno mary, widma przeszłości, rzuca na nas czar urojenia i przygrywa nam „usypiające a krwawe jakby rana świeża melodie“ do monotonnego tańca życia, będącego jakby parodią tej „dużej wesołości narodowej“, co w zmierzchach listopadowych naszego bytu nieraz echem wielkiego smutku odbija się we wrażliwych duszach polskich.

Ale czy w dramacie Wyspiańskiego nic niema okrom tragiki tego zawrotnego tańca, krom tych widm, mar, złud i urojeń?

Kto ma oczy ku patrzeniu, niechaj patrzy, kto ma uszy ku słuchaniu, niechaj słucha. Dojrzy naprzód:

ten lud krasny, kolorowy,
taki rzeński, taki zdrowy.

Usłyszysz z ust jego słowa tchnące mocą i prawdą:

My som swoi, my som zdrowi,
z takich jak my był Głowacki.

Ten lud nie daje się ovladnąć mogilnym czarom mar przeszłości, jemu nie świecą z niej cmentarne próchna złotego pasa i czerwonego kontusza. On o tyle tylko odczuwa przeszłość, o ile z niej jest zdolna. Jeśli utracił złoty róg, co miał mu zabrznieć pobudką przyszłości, to pamiętajmy, że ów symbol przedziwny, jaśniejący odbłaskiem owej złotej myśli słonecznej, co ongi nad narodowym królem-duchem jaśniała, w danej chwili, w danym spraw naszych układzie, był tylko jedną ze złud, wyczarowanych tragicznymi urokami owego dziwnego snu nocy listopadowej, i wraz z nim rozwiął się o jasnym, tak dziwnie niepokojącym brzasku dziennym.

A w owem świetle rannych błękitów i szafirów, czy widzicie te czerstwe twarze chłopskie, pełne wiary i ufności, te silne chłopskie dłonie z „kosą, cepem, żelaziwem“? — czy czujecie moc wielką, niespożytą, bijącą od tych kmieciów polskich z piastowską godnością w geście i postawie?...

To, to nie są sny.

To prawdziwa, realna jawa, kryjąca w sobie możliwość hasel stokroć potężniejszych od tych, któremi we wspomnieniu, w marzeniu jeno brzmią nam coraz słabiej widmowe rogi złote. To też czyż nie musimy przyznać głębokiej prawdy słów Czepca, wyrzeczonych na wstępie dramatu:

A jak myślę, ze panowie
duzaby juz mogli mieć,
ino oni nie chcom chcieć.

Wszelako, skądże mają wziąć siłę chcenia oni, pogrobowcy tylu chceń daremnych, rozwianych na tysiącnych pobojowiskach, stłumionych w mrokach ciemnic więziennych, w śniegach Sybiru? Kędyż mają zwrócić swe chęci, gdzie znaleźć realny ich przedmiot?

Wyczerpały się ich siły, zmogły je wraże potęgi.

A jednak są takie niezniszczalne ogniska, gdzie zawsze one żyją i żyć będą.

Któż nie pamięta precudnej w swej prostocie sceny *Wesela*, w której Poeta objaśnia Pannie Młodej, gdzie jest Polska:

A kaz tyz ta Polska? (pyta rezolutna Jaga).
Po całym świecie (odpowiada Poeta)
możesz szukać Polski, panno młoda,
i nigdzie jej nie znajdziecie.

Panna Młoda: To może i szukać szkoda.

Poeta: A jest jedna mała klatka, —
O, niech tak Jagusia przymknie
rękę pod pierś.

Panna Młoda: To zakładka
gorseta, zeszyta trochę przyciaśnie.

Poeta: ...a tam puka?

Panna Młoda: I cóż to za taka nauka?
Serce — ! — ?

Poeta: A to Polska właśnie.

Czy w tych prostych słowach nie zamyka się tajemnica narodowej myśli, narodowej wiary Wyspiańskiego? — —

IGNACY MATUSZEWSKI (1858—1919).

Prus i Sienkiewicz.

(Paralela).

I.

Do czego prowadzi zestawianie ze sobą talentów twórczych? czy dowiemy się przez to, który z nich jest wyższy?

Bynajmniej. *Mierzyć* można tylko rzeczy jednorodne, tymczasem prawdziwe talenty, poza czysto zewnętrznymi cechami, niewiele mają żywiołów wspólnych. A im mniej ich mają, tem lepiej: wartość artysty i dzieł jego spoczywa właśnie we wszystkim, co nowe, oryginalne, niepodobne do istniejących już typów, motywów i wzorów.

Przy zestawieniu więc obu naszych największych powieściopisarzy współczesnych¹⁾ dążyć będziemy przede wszystkim do wydalenia ich odrębności, pozostawiając zupełnie na boku jałową kwestję rzekomej wyższości lub niższości.

Dla pewnych grup i jednostek zawsze wyższym będzie jeden, dla innych drugi.

To rzecz nieunikniona i zależna od nastroju wrażliwości. Czytelnicy, reagujący silnie na dany rodzaj bodźców estetycznych, słabo odczuwają podniety odmiennego typu i *vice versa*²⁾. Stąd namiętne a bezpłodne spory, ożywiające niekiedy ciężką atmosferę naszych salonów, ale niewłaściwe w krytykach.

Porównywać można tylko epigonów jakiegoś mistrza; samych mistrzów wolno tylko zestawiać, by przez kontrast uwypuklić dosadniej ich rodzime, indywidualne właściwości.

II.

Po Warszawie kursuje formułka, wyrażająca pogląd inteligentnego ogółu na twórczość obu powieściopisarzy naszych. Prus jest *więcej filozofem*, Sienkiewicz *więcej artystą* — powiadają czytelnicy.

Ta popularna definicja nie odbiega może zbyt daleko od prawdy, ale niepodobna jej przyjąć *en bloc*³⁾, bez zastrzeżeń, uzupełnień i komentarzy.

Ściśle biorąc, każdy twórca, w każdym zakresie działalności ludzkiej, jest i musi być współcześnie i filozofem, i artystą, każdy

bowiem posiada pewien ogólny pogląd na cel i istotę bytu, i każdy dąży do wcielenia tego poglądu w formy realne.

Kto nie umie uzmysławiać swych uczuć i myśli, będzie — genialnym niekiedy — dyletantem; kto zna doskonale technikę danej sztuki, lecz nie ma nic własnego do powiedzenia, jest tylko wirtuozem.

Atoli u talentów tego pokroju, co Prus i Sienkiewicz, treść równoważy formę: artyzm i filozofja zlewają się w jedną harmonijną całość.

Dlategoż więc ludzie mówią, że Prus jest *więcej* filozofem, a Sienkiewicz *więcej* artystą?

Sądźmy, że nie idzie tu tyle o stosunek treści do formy, ile raczej o rodzaj owej „treści“ i „formy“.

III.

Na słynnym fresku Rafaela, zwanym „Szkołą Ateńską“, w centralnym punkcie obrazu stoi dwóch mędrców, z których jeden, Plato, wznosił dłoń ku niebu, drugi, Arystoteles, wyciągnął rozpostartą prawicę przed siebie, zaznaczając niejako tym gestem, że świat, otaczający człowieka, winien być głównym celem badania naszego.

Te dwie figury symbolizują dwojaką dążność ducha ludzkiego, który pragnie ująć wewnętrzną i zewnętrzną, idealną i realną, nieskończoną i skończoną, niepoznawalną i poznawalną, nadmysłową i zmysłową treść istnienia.

Każde zjawisko, poczynając od najdrobniejszego, a skończywszy na całym ogromie wszechbytu, należy współcześnie do dwóch światów: do stykającego się z nami bezpośrednio świata skutków oraz do tkwiącego korzeniami w otchłaniach wieczności świata przyczyn.

Pierwszy poznajemy za pośrednictwem obserwacji zmysłowej, drugi zaś przy pomocy rozumowania oderwanego, w połączeniu z t. zw. intuicją oraz wyobraźnią twórczą.

Otóż, rzadko się zdarza, żeby który artysta posiadał wszystkie wspomniane dary w równym stopniu. Zwykle pewna zdolność rozwija się nadmiernie kosztem reszty, i jeden sztukmistrz okazuje wyraźną skłonność do odtwarzania zmysłowo-plastycznej strony życia, drugi zaś stara się pochwycić nici przyczynowe, wiążące objawy istnienia z sobą i ze wszechświatem i spleta je w pewną organiczną całość.

Nietylko w dziełach pojedynczych osobników, lecz i w twórczości całych ras, narodów i epok, widać wyraźne i stałe odchylenie się busoli duchowej ku jednemu albo drugiemu biegunowi.

¹⁾ Pisane w r. 1897. — ²⁾ = naodwrot. — ³⁾ = ryczałtem, w całej rozciągłości.

Żywiół realno-plastyczny przeważa w literaturze greckiej i rzymskiej; najdoskonalszym zaś typem literatury, opartej niemal wyłącznie na pierwiastkach filozoficznych, jest piśmiennictwo staroindyjskie, gdzie potężny potok życia transcendentarno-kosmicznego pochłania w swych nurtach objawy indywidualno-zmysłowe¹⁾. Pokrewną w dążeniach była poezja i sztuka wieków średnich, marząca tylko o nieskończoności i wieczności, a lekceważąca świat skończony i doczesny, do którego zwróciła się znowu wykarmiona klasycyzmem epoka odrodzenia.

W każdym narodzie i wieku atoli kierunek panujący nie przytłumia absolutnie przeciwnego. W epokach krańcowego idealizmu zjawiają się talenty o uzdolnieniu zmysłowo-plastycznym, i odwrotnie: okresy, hołdujące trzeźwemu realizmowi, wydają pisarzy skłonnych do metafizyki, a nawet mistycyzmu.

W Grecji obok Platona istniał Arystoteles, a obok Arystofanesa Eurypides.

W Rzymie Catullus poprzedza Wirgiljusza; we Włoszech Dante — Boccaccia. W Hiszpanji Cervantes godzi się z Calderonem; we Francji Rabelais z Kalwinem, Lafontaine i Moljer z Pascalem. W Niemczech Schiller królował przy boku Goethe'go, w Anglii zaś Shelley szedł ręką w rękę z Byronem.

Słowem, zawsze i wszędzie prąd zasadniczy rozszczepiał się i polaryzował.

U nas w okresie romantyzmu, jak słusznie zauważył Zygmunt Krasiński, rozdzielenie wyrażało się w „dośrodkowej“ potędze genjuszu Mickiewicza oraz w „odśrodkowości“ panteistycznych dążeń Słowackiego, chociaż obaj poeci do jednej należeli epoki i szkoły i jednym ideałom cześć składali.

W dzisiejszem piśmiennictwie naszym, głównymi przedstawicielami owej antynomji estetycznej, występującej stale w dziejach literatury i sztuki, są — Prus i Sienkiewicz²⁾.

IV.

Ponieważ obaj koryfeusze naszego powieściopisarstwa wzrastali w epoce realizmu, kiedy poezja, porzuciwszy na pewien czas tęczowe krainy fantazji, zwróciła się niemal wyłącznie ku rzeczywistości, obaj przeto odtwarzali w głównych swoich dziełach życie

¹⁾ Transcendentalny — tu (i dalej) zamiast: transcendentny (od *transcendere* — przekraczać) = wykraczający poza możność doświadczalnego poznania. — ²⁾ antynomja — przeciwstawność dwu praw, zasad, zjawisk.

prawdziwych ludzi, nie idealnych bohaterów lub nadziemskich demonów i tytanów.

Na tem jednak kończy się podobieństwo obu autorów, z których każdy z innego punktu na owo życie patrzył i malował je w odmienny sposób.

Dla Sienkiewicza (mamy obecnie na myśli artystyczną, nie dziejowo-społeczną stronę jego wielkich utworów) życie — to przede wszystkim potężna symfonia barw, kształtów i ruchów; dla Prusa — to głęboka zagadka, którą rozwiązać należy.

U Sienkiewicza proces życiowy przypomina machinę idącą całym pędem: olbrzymie koło rozmachowe furczy, migają pasy, suną się transmije, lśni stal polerowana, jarzy się krwawo czerwień miedzi, świecą łagodnie brązowe okucia i ozdoby, a białe kłęby pary buchają, sycząc, z cylindrów, w których tłoki skaczą szybko w górę i nadół. Wszystko to zarazem zlewa się w pewien chaos niezwykle przyjemny dla oka, ze względu na swój ruch, blask i koloryt, a dla ucha ze względu na rytmiczność gwaru...

U Prusa machina nie kręci się w tak szalonym tempie i nie oślepia swym połyskiem, ale twórca ustawił ją w ten sposób, że oko nasze obejmuje nie tylko wielkie koła, tłoki i pasy, ale nawet najdrobniejsze gwoźdźki i śrubki, wiążące mechanizm w jedność. Spoglądamy od razu wszystkie części składowe i rozumiemy ich stosunek do siebie i całości; widzimy, skąd płynie energia, poruszająca motor, jakie przechodzi w nim fazy i jaki jest cel ich działania...

V.

Naturalnie, że porównanie powyższe, jak każde zresztą porównanie, ma tylko względną wartość dowodową, nie obejmuje bowiem wszystkich cech, charakteryzujących talent obu pisarzy.

Nikt nie zaprzeczy, że Sienkiewicz, obok kolorów i kształtów, odtwarzał także w sposób wyrazisty myśli i uczucia, Prus zaś nie tylko zgłębiał istotę życia, lecz odzwierciedlał również po mistrzowsku jego objawy zewnętrzne.

Jeżeli jednak zechcemy uwydatnić to, co stanowi zasadniczy ton arcydzieł obu pisarzy, co jest osią ich twórczości, co wieje z ich prac, niby woń z kwiatów, musimy się zatrzymać na pierwiastkach plastycznych u Sienkiewicza, a na żywiolu filozoficzno-poetycznym u Prusa.

Porównajmy tylko z sobą dwie powieści historyczne obu autorów: *Quo vadis* i *Faraona*.

Co nas uderza przede wszystkim w pierwszej? Niezrównana ory-

ginalność, barwność i jędrność opisów, realność, wypukłość i żywotność figur oraz nadzwyczajna pełnia ruchu w scenach zbiorowych.

A co nam daje *Faraon*? Naprzód świetny i nakreślony z uwzględnieniem wszelkich wymagań perspektywy obraz wewnętrznego ustroju oraz rozwoju państwa egipskiego w danym momencie dziejowym; następnie psychologię jednostek i grup socjalnych, rozpatrywanych nie jako samoistne atomy, lecz jako żywe członki wielkiego organizmu politycznego.

Tę samą, do pewnego stopnia, różnicę spostrzeżemy, rozbierając powieści współczesne obu pisarzy¹⁾. W *Rodzinie Połanieckich* np. mamy interesującą galerję doskonale narysowanych i pełnych prawdy postaci, należących przeważnie do jednej tylko warstwy społecznej i słabo związanych z życiem ogółu. W *Lalce* tymczasem Prus przedstawił nie jedną klasę, lecz całe społeczeństwo, na którego tle występuje kilka wybitniejszych, ale zrosłych z niem bardzo mocno typów.

Słowem, Sienkiewicz, w swoim dążeniu do oddania z możliwą dokładnością życia realnego, kładzie główny nacisk na to, czem życie najwyraźniej do wrażliwości naszej przemawia, a mianowicie na charakterystyczne cechy zjawisk pojedynczych; Prus zaś, uważając rozproszone fenomeny za manifestacje jednolitej siły wyższej, za wyniki ogólniejszej przyczyny, stara się zawsze i wszędzie uwydatnić ich związek i zależność od owej przyczyny.

Sienkiewicz tedy jest indywidualistą, Prus zaś syntetykiem.

VI.

Do każdego z bohaterów Prusa dałoby się zastosować to, co autor mówi o młodym studencie w fantazji pod tyt. *Sen*: „Spostrzegł, że z jego serca wysnuwają się tysiące promieni, jak złotych nici, które biegły w stronę ziemi i czepiały się jedne domów rodziców, inne domu, gdzie przepędził dzieciństwo, inne drzew, pod którymi biegał, kamieni, na których siedział zmęczony, krynicy, skąd pijał wodę. Jeszcze inne serdeczne promyki zahaczały o jego kolegów, o ulubione książki, o znajome panny, a nawet o gazety i paradyz w teatrze. Były to wszystko przedmioty i ludzie, których kochał.

¹⁾ I porównanie „Wrażeń z podróży“ Sienkiewicza z takimiż wrażeniami Prusa daje ten sam rezultat. Pierwszy maluje piękno oglądanych miejscowości, drugi — kreśli ich plany i wchodzi w szczegóły ekonomiczne, administracyjno-społeczne etc. (p. a.).

Dzięki zaś promieniom czy nitkom, które łączyły go z nimi, jego własne życie w tej chwili spotężniało mu tysiąc razy“.

Uwzględniając na każdym kroku łączność wszystkiego ze wszystkim i śledząc ustawicznie oddziaływanie wszystkiego na wszystko, *musiał* Prus — skłonny z natury do układania swych pojęć w formy architektoniczne — dojść do własnego systematu filozoficznego.

Systemat ów znowu nie mógł być prostą klasyfikacją faktów, *lecz musiał* wkroczyć w granice transcendentalizmu, gdyż Prus zawsze poza tem, co zmysłowe i *zmienne*, szuka tego, co nadzmysłowe i *niezmienne*. „Filozof — według własnych słów jego — to pracownik, który usiłuje pokazać ludziom *cel i plan całej natury* widzialnej, tudzież — odłonić rąbek *niewidzialnego światła*“. Jest to definicja bardzo szeroka, a zadanie niełatwe.

Otóż Prus spróbował sam rozwiązać trudny problemat i w *Emancypantkach* wyłożył obszernie i systematycznie przez usta jednego z bohaterów swoje poglądy na świat „widzialny“ i „niewidzialny“ oraz ich wzajemny stosunek.

Metafizyczne teorie Prusa rozbieraliśmy szczegółowo na innem miejscu¹⁾, tutaj wystarczy uwaga, że właśnie autor *Emancypantek*, ujmując wszechświat w organiczne ramy i wyznaczając różnym jego składnikom odpowiednią rolę, zrobił to samo na wielką, co robił w każdej swej powieści na mniejszą skalę, a mianowicie stworzył piękną syntezę.

Ponieważ jednak tym razem synteza ogarnęła nie tylko zjawiska psychologiczne lub społeczne, ale wszystko, co istnieje, ułatwia ona krytyce orjentowanie się w bogatej i oryginalnej twórczości Prusa.

Podobnego klucza nie dał nam do rąk Sienkiewicz, który, jeśli dotykał kwestyj ogólnofilozoficznych, to albo, jak w *Bez dogmatu*, traktował je analitycznie, albo też, jak w *Rodzinie Połanieckich* lub w *Quo vadis*, załatwiał się z niemi w sposób dogmatyczny. Niekiedy jednak, pozostawiwszy na boku wszelkie teorie, rzucił obraz — i wtedy wywoływał na pewno silne wrażenie. Tak np. w noweli *Lux in tenebris lucet* opowiada, jak rzeźbiarz Kamionka umiera, nie wiedząc, jak i kiedy, i obudziwszy się ze snu życiowego, spostrzega obok siebie żonę, a poniżej „*swego własnego trupa z szeroko otwartymi ustami, które w wyzółtkłej twarzy tworzyły jakby czarną jamę*. I patrzył na to wychudłe ciało, jak na rzecz obcą. Zresztą, po chwili wszystko poczęło mu ginąć z oczu, bo owa ota-

¹⁾ W rozdziale V studjum „Bolesław Prus“ (w zbiorze „Swoi i obcy“).

czająca ich jasność, jakby popychana zaświatowym wiatrem, szła gdzieś w nieskończoność...“

Jak widzimy, problemat nieśmiertelności został tu wzięty jako rzecz, stojąca poza dyskusją, a przytem czysto zmysłowa i realna. Dusze sprawiają wrażenie istot, subtelniejszych może od ludzi, ale najzupełniej cielesnych. Autor nie wdawał się w rozumowania, tylko przedstawił fakt w taki sposób, w jaki mu podyktowała jego zmysłowa, plastyczna wyobraźnia i, jak się to wszystko w podobnych wypadkach u Sienkiewicza zdarza, osiągnął efekt niepospolity.

Sienkiewicz tedy, podobnie jak Homer i Hezjod¹⁾, budował świat nadziemski z żywiołów świata ziemskiego, Prus zaś, którego fantazja przypomina na wielu punktach wyobraźnię poetów indyjskich, a który wychodził z zasady, że „prawdy nikt nie dotknie palcem, nie dojrzy jej okiem, ale znajdzie ją duchem i w duchu“, stawiał kwestje nadzmysłowe na czysto transcendentalnym gruncie, albo rozwijał je w sposób filozoficzny, albo też ubierał w formy oryginalnych symbolów i alegoryj.

VII.

Dla uzupełnienia paraleli musimy jeszcze rozpatrzeć, jak ci dwaj pisarze traktowali trzy ważne czynniki twórczości poetyckiej, a mianowicie: miłość, humor i cierpienie.

Co do miłości, to w najdojrzałszych pracach Sienkiewicza odgrywa ona rolę dominującą. Wygłosiwszy w młodzieńczym swoim utworze pod tyt. *Na marne* (1879) zdanie, że „nadto, nadto sił kładziemy w gonitwę za miłością kobiety, potem miłość gdzieś jak ptak odleci, a siły idą na marne“, — zmienił Sienkiewicz później pogląd na tę kwestję i w prześlicznej noweli pod tyt. *U źródła* (1894) twierdzi stanowczo, że „takie życie, którego miłość, nawet jako sen, nie nawiedzi, jest gorsze“. „Gdyby przyszedł jaki genialny matematyk i obliczył miłość na pieniądze — dopiero wzięlibyśmy się za głowy, co to za bogactwo!“

To też w każdym z arcydzieł wielkiego realisty miłość należy do żywiołów, nietylko pierwszorzędnych, ale traktowanych z pewną predylekcją, idealizowanych, pieszczonych i pielęgnowanych przez autora, niekiedy nawet kosztem innych czynników.

W *Bez dogmatu* np. struna erotyczna brzmi tak silnie, że przytłumia wkońcu inne, mniej ważne nuty.

W *Trylogji*, w *Rodzinie Połanieckich*, w mnóstwie nowel i ale-

goryj (*U źródła*, *Wyrok Zeusa*, *Bądź błogostawiona*) oraz w *Quo vadis* — wszędzie jest dużo, bardzo dużo mowy o miłości i wszędzie mówi się o niej z poetycznym rozrzewnieniem, z pietyzmem prawie.

Inaczej wygląda erotyzm u Prusa. Rozpatrując zjawiska życiowe z wysokiego stanowiska filozoficznego, widzi on w miłości nie przedmiot kultu, lecz wielką potęgę żywiołową, podobną do innych rodzajów energii powszechnej i dążącą przy pomocy ludzi do spełnienia pewnych celów kosmicznych.

Uważając ludzkość za „sieć, wyławiającą ducha z natury“, a kobiety za „węzły owej sieci“, sądzi on, że miłości nie można brać w oderwaniu od całego układu faktów przyrodniczo-moralnych, lecz trzeba ją traktować, jako jeden z wielu motorów ciągłej ewolucji wszechświata.

Dlatego też u Sienkiewicza miłość zawsze jest czynnikiem nie tylko wszechwładnym, lecz i dobroczynnym: „dogmatem“ i talizmanem szczęścia... — Prus zaś przyznaje jej dodatnie znaczenie wtedy tylko, kiedy, jak wielka i burzliwa rzeka, ujęta będzie w granitowe tamy.

Wszyscy prawie bohaterowie Sienkiewicza kochają i znajdują w miłości zdroj zadowolenia i rozkoszy (Skrzetuski, Kmicic, Połaniecki, Petronjusz, Winicjusz etc.), a jeżeli który kończy niedobrze, to albo dlatego, że, jak Płoszowski, bał się pokochać w porę i przez to złamał sobie życie, albo też, jak Zawilowski¹⁾, dał się opętać podszeptom i wpływom ubocznym i umiłował przypadkiem kobietę nieodpowiednią, to jest niższą od siebie moralnie i umysłowo.

U Prusa miłość rzadko występuje w szacie godowej. Już w jednym z drobniejszych utworów odmalował „przekłętę szczęście“, strzaskane przez namiętność zmysłową.

Równie fatalnem w skutkach jest wściekłe i szalone uczucie, jakie pomimo energicznego oporu opanowało i kruszy Wokulskiego.

W *Emancypantkach* miłość zesła na drugi plan i także nie przedstawia się zbyt pociągająco: pocziwa Ada Solska zostaje żoną łotra; panna Howard zamienia uczucie w farsę; pani Latter zwichnęła sobie los, a Madzia i Solski nie mogą się połączyć.

W *Faraonie* poszedł Prus jeszcze dalej i stworzył jedyną może w literaturze europejskiej powieść, w której poza kilku epizodami miłość nie występuje prawie zupełnie na scenę, zajęta ciągle przez knowania polityczne i kwestje społeczno-psychologicznej natury.

¹⁾ Poeta grecki IX—VIII w. przed Chr.

¹⁾ W „Rodzinie Połanieckich“.

VIII.

A jak się przedstawia dar, który obaj autorowie posiadają w najczystszy i najszlachetniejszym gatunku? Jak mianowicie wygląda humor Prusa, a jak u Sienkiewicza?

Prus sam określił niegdyś naturę humorystyki literackiej wogóle — a pośrednio i swojej własnej — w sposób następujący: „Humorysta w wielkim stylu niczego nie usiłuje zdobyć, nikogo nie nawraca i nikomu nie ulega; on raczej obserwuje wszystko i wszystkich z *połaźliwym* spokojem. Nie uznaje żadnych dogmatów, nie uważa nic za konieczne ani za niemożliwe, lecz tylko za prawdopodobne. W stosunku do natury trzyma się on tej granicy, z której równie dobrze widać *namacalne* fakty *rzeczywistości*, jak i *mistyczne* cienie *nadmystowego świata*. W stosunku do ludzi znajduje się jakby na grzbiecie łańcucha *gór*, skąd po jednej stronie ciągną się łagodne zielone stoki, po drugiej skaliste otchłanie, z jednej pogoda, z drugiej słońce. Dla takiej *wysokości* znikają równie dobrze mali, jak i wielcy, bogaci, jak i ubodzy, mędrzy, jak i prostaczki, a pozostaje tylko *dusza ludzka*, jej nikłe radości i łzy ukryte“.

Określenie powyższe jest tak szerokie, że dałoby się w nie wtłoczyć nie tylko humorystykę, lecz — z pewnymi zastrzeżeniami — i całą twórczość artystyczną Prusa, w której to, co się popularnie nazywa „humorem“, zajmuje sporą, ale ograniczoną dziedzinę.

Oceniając rzeczy z wyższego, a więc zewnętrznego punktu widzenia, zachowuje Prus względny spokój ducha i rzadko bardzo pozwala swemu dobrotliwemu humorowi przerodzić się w gryzącą satyrę.

Częściej daleko zdarza się to u Sienkiewicza, który, stojąc nie ponad życiem, lecz w samym jego wnętrzu, silniej odczuwa zło i umie je w razie potrzeby chlostać biczem bezlitosnej ironji. Za dowód może posłużyć cała, wykończona świetnie pod względem psychologicznym, grupa głupich lub zwyrodniałych kobiet w *Rodzinie Potanieckich* (pani Broniczowa, pani Osnowska, Niteczka etc.).

Skoro zaś autor *Szkiców węglem* przestanie szydzić, wtedy traktuje i obrabia sceny oraz charaktery komiczne z równą werwą, lecz zarazem z wielką sympatją artystyczną; bawi się nimi sam i sprawia niemało rozkoszy czytelnikowi.

Doskonałe postacie sprytnego i dowcipnego Zagłoby, chytrego i wygadane go Chilona, głupowatego Bartka Zwycięzcy i t. d. weszły u nas do popularnej galerji figur przysłowiowych.

Humorystyczne typy i pomysły Prusa w powieściach — nie w kronikach — są niekiedy zbyt skomplikowane, żeby się mogły

stać popularnemi. Taki Rzecki np. nosi w sercu całe morze uczucia i dlatego, pomimo dużej dozy komizmu, nie rozwesela, lecz wzrusza.

Śledząc przebieg zabawnej rozmowy starego manjaka politycznego z eks-obywatelem Wirskim¹⁾ o kampanji włoskiej, czytelnik uśmiecha się, tłumiąc łzy, napływające mimowoli do oczu.

IX.

Różnica zapatrywań, uwydatniona przez nas przy rozbiorze kwestyj humoru i miłości, występuje równie jaskrawo w poglądach pisarzy na jeden z najważniejszych problemów istnienia, a mianowicie: na ból, zło, cierpienie.

W dziełach obu autorów, podobnie jak w życiu, więcej znajdujemy kart smutnych, niżeli wesołych, więcej rozpacz, niż radości,

W pierwszych swoich utworach odtwarzali obaj z głębokim współczuciem niedole i troski biednych, drobnych, wydziedziczonych istot (*Szkice węglem*, *Pamiętnik nauczyciela*, *Jamioł*, *Bartek Zwycięzca*, *Latarnik*, *Janko muzykant*, *Anielka*, *Kamizelka*, *Sieroca dola*, *Michałko*, *Antek*).

Później, rozszerzywszy horyzont swych obserwacji, malowali męczarnie dusz wielkich i silnych, odtwarzali jęki nadszuciłych i pozabawionych nadziei jednostek lub też opowiadali tragiczne dzieje monarchów, bohaterów i narodów.

Jaką jednak rolę wyznaczał każdy z nich cierpieniu?

Sienkiewicz, jak zwykle, nie rozwiązywał kwestji teoretycznie, tylko dał szereg wstrząsających scen i dramatycznych obrazów, z których można pośrednio wyciągnąć wnioski o poglądach artysty na przedmiot, w mowie będący.

Otóż, jak się zdaje, autor *Bez dogmatu* uważa cierpienie za rzecz, ze względu na niedoskonały ustrój świata, konieczną, ale bynajmniej nie pożądaną: za dopust boży, za wynik osobistych albo narodowych błędów i t. p., ale w każdym razie za czynnik *negatywny*, bez którego ludzkość czułaby się swobodniejszą i lepszą.

„Życie tyle jest warte, — powiada w noweli *U źródła* — ile w niem jest szczęścia“. I dlatego właśnie ceni tak wysoko miłość, że widzi w niej „ogromny kapitał, niewyczerpane źródło owego szczęścia“.

Prus nie tylko odtwarzał ból i niedolę ludzką, lecz swoim zwyczajem zapragnął zbadać ich cel oraz przyczynę i doszedł do przekonania, że cierpienie posiada pewną i to niemałą wartość *pozytywną*. Na pierwszy rzut oka wyda się to paradoksalnem; rozpatrywana jednak ze stanowiska transcendentnego, kwestja sprawia

¹⁾ „Lalka“, II (p. a.).

wrażenie logiczne, a zarazem staje się zgodną z całym systematem filozoficznych poglądów Prusa.

W jednym z drobniejszych, lecz bardzo pięknych i głębokich utworów wyłożył autor swoją teorię w sposób symboliczny, ale tak prosty i zrozumiały, że wystarczy przytoczyć odpowiednie ustępy bez wszelkich komentarzy.

Rzecz dzieje się na „tamnym“ świecie. Prowizoryczny nieboszczyk, ubogi student medycyny, pyta sam siebie: „Naco w życiu ludzkim są cierpienia, a naco radości?“

Gdy to pomyślał, ujrzał ciemną kuźnię, gdzie jeden olbrzym dął miechem w ognisko, z którego wyskakiwały iskierki mniejsze od maku, drugi chwycił iskry i zamykał je w granitowych kulach, dużych jak karmelicka bania¹⁾.

Iskry — to były dusze ludzkie, granit wyobrażał — ciało.

Trzeci olbrzym brał granitowe kule z zamkniętymi wewnątrz iskierkami i strasznym stalowym kolcem, przy pomocy tysiãfuntowego młota, dziurawił granit aż do środka.

„Za każdym uderzeniem granit *jęczał i płakał krwawemi łzami*. Ale wnet z jego wnętrza wydobywała się cieniutka łodyżka światła. Wtedy olbrzym wysadzał kulę z kuźni na powietrze, tam łodyżka rosta i pokrywała się gałązkami albo wiewiółkami, a olbrzym brał znowu kulę, znowu wbijał jej kolce aż do środka, znowu wydobywał nową łodyżkę światła, która wystawiona na powietrze znowu rosta. I tak wciąż!“

Zdumiony student zapytał olbrzymia: co robi i kim jest?

„Pomagam rozwijać się duszom, — odpowiada widmo — a jestem *Cierpienie*. Gdyby nie ja, dusze wasze zostałyby do końca świata ziarnami maku, które *spią* w bryle *materji*“.

To nietylko głębokie, lecz i jasne.

Cierpienie jest ważnym czynnikiem ewolucyjnym, nie należy mu więc złorzeczyć. Nietylko w fizycznym, lecz i w moralnym świecie nic zginąć nie może, a skutki, nie dające się wymierzyć zmysłowymi środkami, trwają jednak i działają w sferach niedostępnych badaniu, a mimo to realnych i prawdziwych...

X.

Z szeregu powyższych zestawień widać, że Sienkiewicz i Prus — to talenty wielkie, lecz różnorodne w typie, dążeniach i formie.

Obaj są poetami pierwszej wody, ale kiedy Sienkiewicz idealizuje świat zmysłowy, wykazując, ile w nim jest ładu, składu i piękna, Prus, mniej nieco czuły na harmonję zewnętrzną, stara się natomiast uchylić rąbek zasłony, skrywającej wewnętrzną porządek istnienia.

¹⁾ Ozdoba architektoniczna nad frontonem kościoła karmelitów w Warszawie.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI (1868—1927).

Z gleby kujawskiej¹⁾.

Zdaje się, że Remy de Gourmont²⁾ wypowiedział ostry i dość płytki paradoks: Ludzie piszący dzielą się na dwie kategorie — na tych, którzy mają talent, a tymi są symboliści, i na tych, którzy go nie mają, a więc realisci.

Paradoks ten, który był niegdyś bojowym okrzykiem pewnej grupy artystów, nazwanych symbolistami, ukrywa jednakowoż pewną głębszą prawdę, jeżeli symbolizm nie oznacza pewnej kliki literackiej, ale zostanie pojęty w jego rzeczywistym znaczeniu.

Zapomnijmy zatem, jakie kierunki literackie łączą się z nazwą symbolizmu, dekadentyzmu, satanizmu, i jak się te wszystkie „izmy“ nazywają, zapatrujmy się tylko na istotę samą.

Teoria symbolizmu jest i prosta i jasna, jak każda prawda.

Amiel³⁾ mówi, że krajobraz jest stanem duszy, i w tem powiedzeniu tkwi zasadnicza prawda tak zwanego symbolizmu.

Dla symbolisty bowiem jest myśl identyczną z bytem. Istota, która się tylko objawia w zewnętrznych fenomenach bytu, jest ta sama, która żyje w duszy człowieka. Dusza a istota świata jest jedno.

Symbolista zatem czuje intuicyjnie związek swej duszy z duszą całej natury, a poza przypadkowością rzeczy widzi jakiś tajemny świat, poza czasowością bezgranicze wieczności, z której sam się wyłonił. Rzeczywistość jest dlań li tylko symbolem innego a wyższego świata, a zarazem z Shelleyem patrzy na świat jak przez różnobarwne szkło, w którym odwieczne Jedno się łamie.

Dwojaki zatem jest rodzaj artystów: ci, co z nabożeństwem i czcią wnikają w życia wewnętrzne bogactwo, piękność i tajemie, co w sercu swem zbudowali ołtarz w kształt onego, na którym w Atenach napisano: Nieznanemu Bogu; a z drugiej strony ci, co z bezmyślną obojętnością pływają po wierzchu życia, chwytają zmysłami bezpośrednią rzeczywistość, nie troszcząc się bynajmniej o wewnętrzny związek rzeczy, wyławiają tu i ówdzie małe *coins de nature*⁴⁾, które z lepszym lub gorszym powodzeniem opisywać umieją.

Symbolista zatem — nie w znaczeniu kliki, ale taki, jak go określiłem, — to artysta, który poza każdym zjawiskiem docieka istoty,

¹⁾ Odczyt o Kasproviczu (1902); w skróceniu. — ²⁾ Współczesny pisarz francuski. — ³⁾ Literat szwajcarski XIX w., autor słynnego pamiętnika. — ⁴⁾ Zakątki przyrody.

który we wszystkich czy to politycznych, czy społecznych formułkach widzi tylko rzeczy przypadkowe i przemijające, szumowiny i pianę na odwiecznym oceanie bytu. Dla niego nie istnieją oderwane przejawy, wiąże on je w jedną nierozzerwalną całość, dla każdego atomu kreśli jego niezmierny horyzont we wszechbycie, w każdej kropli oceanu odzwierciedla mu się całe niebo, a po najdrobniejszym promieniu wybiega okiem ku wielkiemu prastońcu, z którego promień ów spłynął.

Istotą symbolizmu, a zatem istotą wszystkich nowych kierunków literackich jest dążenie do syntezy.

Mniejsza o to, czy ten poplątany chaos najrozmaitszych kierunków, okrzyków bojowych, najśmieszniejszych teoryj, zdołał choć w części wyłonić ze siebie ideał-gwiazdę, do którego dąży i który urzeczywistnić pragnie, w każdym razie jest to dla psychologa niezmiernie ciekawy i pocieszający objaw oderwania się sztuki od płaskiego naturalizmu i pozytywizmu, a powrót jej do potężnych źródeł, jakie nam Mickiewicz i Słowacki w ostatnich latach życia odkryli.

Dla symbolisty jest rzeczywistość złudną, kłamliwą Mają, która nam zakrywa istotę rzeczy, zmysły tracą dlań wartość, bo rozrywają to, co jest niepodzielnie Jedno¹⁾, nic go nie obchodzi przypadkowe, a przemijające zjawy życia, on wierzy tylko duszy swej, wiąże cząstki i cząsteczki świata, jakie do jego duszy przez zmysły spływają znowu w jedną całość — świat rzeczywisty zanika z przed jego oczu. On zapatrzony w bogactwo i przepych tego świata, który sobie sam w swej duszy odtworzył, jedyny rzeczywisty świat.

I tak maluje Munch, potężny malarz norweski, niebo, jak może nigdy obiektywnie nie wygląda, ale takie on je widział w chwilach obłędnej rozpaczki, poszarpane w dzikie pasy krzyku, rozstrzępione w podarte szmaty majaczących słów, — tak pisze Mombert, najtęższy współczesny poeta niemiecki, o swoim sercu, co łaską swoją rozlśniewa nad morzem, bo morze przestało być morzem, a stało się uczuciem, — i tak słyszy Jan Kasprowicz w jednym z największych swoich poematów *Przy szumie drzew* te dźwięki, szumy, rozhowory, szelesty, szmery i szepty lip, jaworów, buków, klonów, świerków nie poza sobą, ale w sercu swoim, w duszy swej:

„Las szumił,
A szumy jego wnikały powoli
W wszystkie me żyły. Krwi mej każdy atom
Zdawał się zmieniać w miljonową cząstkę

¹⁾ W filozofii induskiej Maja to omam, sprawiający pozór wielości zjawisk — wbrew jednej, niepodzielnej istocie wszechrzeczy, czyli Brahmie.

Jakiejś symfonji i zlewać się razem
Z szumem, z szelestem, z pomrukiem i szeptem
Drzew, konarami chwiejących nademną,
I tajemnicze przejęły mnie dreszcze.
I wnet uczułem, że szumiące drzewa
Nie nad mą głową tak szumią, lecz we mnie.

Doznałem wrażenia,
Żem się przedzierzgnął w jeden z tych jaworów,
Buków czy klonów lub świerków, a potem,
Że ci liśćmi naodziani boru
Tego mieszkańce zrosli się w olbrzymie
Jakieś pradrzewo, rozparli tę nikłą
Uwięź cielesną, która już nie gniotła.
I mą prawdziwą stali się istotą“.

A teraz odrzucmy to hasło symbolizmu, z którym się tyle błazeństw, śmieszności, snobizmu powiązało, powróćmy do rodzimych i daleko prostszych określeń.

Człowiek, który jest w stanie świat w sobie od nowa, w nowej potędze i piękności odtworzyć, który poza przypadkową zjawą rzeczy widzi odwieczną ciągłość istoty bytu, ten jest twórca — a wszystko reszta to tylko literatura¹⁾.

Ziemia, która Kasprowicz wydała, to trójkąt obwodu paru mil kwadratowych pomiędzy Inowrocławiem, Gniewkowem a pramatką, kolebką ojców naszych — Kruszwicą.

Cały ten trójkąt, którego podstawę stanowi Inowrocław i Gniewkowo, a wierzchołek Kruszwica, przetrzynięty jest Gopłem — morzem polskim, jak je kiedyś nazywano. Lasy wycięto. Gopło opada coraz więcej i tworzy na milę długie i szerokie bajorze²⁾, poroście wysokim zielskiem, w którym grzęźnie i płacze się noga, gdy się chce przez nie przedrzeć, krzewy ostu i pokryw ranią ręce, a nawet sięgają po szyję, a na miękkiej bagnistej ziemi idzie się, jak po niezmiernie bogatym a głębokim kobiercu wschodnim. Czasem tam człowiek zapadnie, czasem koń po kark ugrzęźnie, że go i dziesięciu chłopów wydostać nie może, ale to nic.

Pełno tu stawów i bagien — w ciemnych nocach przelatują tu duchy masonów, błędne ogniki prowadzą chłopów, wracających z odpustu lub karczmy, na najgłębsze zatopy bagien — ale to nic.

Po rowach i kanałach niema mostów, zaledwo jakaś krucha, zmurszała belka służy za przejście dla ludzi, raz po raz ktoś się

¹⁾ *Et tout le reste est littérature* — sławny cytat z ulubionego Przybyszewskiemu poety francuskiego Verlaine'a. — ²⁾ Wyschłe błotniste dno jeziora czy rzeki.

zwali, skąpie się lub utonie w głębokim kanale; jedzie się bryczką, trzeba daleko objeżdżać i przy ujściu kanału przez Gopło broczyć — po nocach włóczyć się po ścieżkach wzdłuż głębokich kanałów, z których torf wykopano, — lada chwila na łeb-na szyję zaprzepaścić się można w otchłannej ich głębi — ale i to nic.

Bo to, co autochtona, syna tej ziemi, przedewszystkiem charakteryzuje, to niesłychany fatalizm życiowy, dziwna a smutna rezygnacja, co ręce roztwiera i na piersiach je krzyżuje.

Tak Pan Jezus chciał!

Tuż pod Szarlejem, gdzie mityczny książe Szarlejko miał swój warowny gród, gdzie Władysław Biały, książe gniewkowski, dłuższy czas przebywał, przerysowana się przez odłogi, bacherze i morze zieliska Noteć, by wpłynąć w małe Gopło, które również z roku na rok opada, tworząc wysokie brzegi, na których rosną niebotyczne srebrzyste topole. Tu już rozpoczyna się urodzajna ziemia, a kiedy na św. Piotra i Pawła z okolicznych wsi lud jedzie na odpust do Kruszwicy, raduje się złocistym żniwem jędrnej, pszenicznej ziemi.

Lasem tataraku, trzciny i sitowia kończy się małe Gopło — potem kanał dawno zamulony, poprzez niego prowadzi mostek, który dziwnym cudem się jeszcze utrzymał. Potem ścieżka wzdłuż długiego, urodzajnego pola, żytem obsianego, tuż przy rozległych torfowiskach, potem rozstajna droga, gdzie się powiesił torfiarz Piernik, co na wszystkich weselach družbował i padł ofiarą swego zawodu, bo się doszczętnie rozpił, — ta wielka, biedna rozstajna droga, na której przy zmurszałej wierzbie siedzi święta a biedna, przykucnięta dola Kujawiaka, — no, i droga poprzez dziadowskie morze, poprzez morze piasków, na których chyba łubin jeszcze tylko się rodzi, przy drodze jeden dom z wiecznie zamkniętymi okiennicami — ponoć tam czarownica mieszkała — jeszcze kilka porozrzucanych chat Sikorowa, które kiedyś Fryderyk Wielki zakolonizował, — a teraz wyciągniętą struną długa droga, obsadzona przeróżnym domostwem: to Szymborze. Tu urodził się Jan Kasprowicz.

I wokół rozlaczka się ogromna przestrzeń, pierwotna, bez konturów, zlewająca się na krańcach czarnym szlakiem ugorów z błękitnym niebem.

Jak daleko oko sięga, gładka jak stół, — cicha a bezbrzeżna melancholja, co duszę na miękki *mol* nastraja i ją kołysze w głęboką zadumę¹⁾. Często kusilem się, by słowem opisać czar tej ziemi. Powtarzam to, com ostatnio pisał w powieści mej *Synowie Ziemi*.

Coś nieskończenie cichego, smutnego, jakiś ton beznadziejnej tęsknoty leży nad tą ziemią. — Jest coś zamkniętego w sobie — niema nic, coby skupioną w sobie uwagę rozerwać mogło, coś, co tylko cichym szeptem wypowiedzieć można, bo to wszystko takie ciche i dobre i smutne.

Wprawdzie rozkwitły pola rzepaku delikatnem woniejącem kwieciami — zieleni się rozkosznym kobiercem ozimina — rozkwieciły się łąki żółtym jaskrem — tulą się do trawy skromne anemony — słychać świergot ptaków w powietrzu i turkot wozów hubiarzy wzdłuż dróg, obsadzonych staremi wierzbami, — ale to wszystko wesela nie daje¹⁾.

Jakaś parna, przecuciem i troską ciężarna dola przykucnęła na rozstajnych drogach i tłumi śmiech i rozgwar.

Stanie się na górkach tuż poza Szymborzem, a oko obejmuje dziwny widnokrąg. Tam Małwy, gdzie krew szwedzka z polską się zmieszała i Noteć krwawą czerwienią zabarwiła, — trochę dalej Tupadły, gdzie Szwedzi padli, — z drugiej strony Łojewo, moja wieś rodzinna, gdzie Szwedów łojono, — tam znowu Ostrowo, siedziba słynnego masona, którego często widziano w postaci czarnego psa, — jeszcze dalej Markowice ze słynnym na Kujawy klasztorem i przyległymi dobrami: Kruszą Wielką, Małą i Duchowną, — srebrzy się pas Gopła, a nad nim wznoszą się szczyty szwedzkie, z których Szwedzi Kruszwicę ostrzeliwali, poprzez Gopło czernią się zwęglone pale dawnego mostu — ponad tem wszystkiem góruje Mysza wieża.

Wprawdzie wieża ta to baszta obronnego zamku krzyżackiego, ale tak się myśl, uczucie i serce związały z tą wieżą, że niktby nie zdołał zniszczyć tej tradycji sercowej, iż tu Popiela myszy zagryzły; dziwne a tajemnicze, grozą i strachem przejmujące uczucie przeraża Kujawiaka na myśl, że mógłby zstąpić w te podziemia, co wąskim kruzgankiem prowadzą pod Gopłem do katedry, na drugiej stronie Gopła położonej.

Z drugiej strony na małym wzgórzu — Inowrocław ze zgliszczami niezmiernie pięknego kościoła Panny Marji, a wdali, skąd dzwony „płyną i płyną tą rozplakaną godziną“, widnieje i świeci się biały kościół na górze; to słynna Góra, a w tym kościele cudowny obraz św. Walentego, do którego śmiertelnie chory mały Jan został ofiarowany. Łaska świętego uzdrowiła go.

Och, móc wyczerpać wszystkie uroki, czary i cuda tej ziemi!

¹⁾ Anemony, czyli zawilce, pospolite wczesnowiosenne kwiatki z gatunku jaskrowatych o białych delikatnych płatkach; — hubiarze to (według „Słownika gwar polskich“ Karłowicza) posiadacze huby (= włóki), a więc zamożniejsi gospodarze.

¹⁾ *Mol* — tonacja w muzyce; tu tyle, co: rzewność, tęskność.

Kiedy w ciemnych nocach straszą srebrne topole po drogach, gdyby widma, w białe płachty przyodziane!

Kiedy z nad Gopła powstają wodne opary i srebrną mgłą rozścielają się na łąkach, a z chałup torfiarzy płynie poprzez te morza mgieł biedne, chore światło!

Kiedy mgła się wznosi i roztopia się w mżącym dżdżu — o! to już zawiele — to tylko zwolna rozplywanie się czegoś, co było zgęszczeniem, to tajanie jakiejś zadumy — a w duszy uwalnia się coś i skrapla w długie, perliste łzy i spada na dno duszy, jedna perła za drugą, coraz smutniej, coraz boleśniej, o Boże!

A cały świat staje się jedną, jedną straszną bolesną tęsknotą i w każdej łzie się odbija i z nią razem w jakieś przepastne ciemnie spływać się zdaje.

To płacz bez jęku — płacze się, a żaden muskuł twarzy nie zdradza, że się płacze. Płacze się długimi sznurami szklistych perł w swoje własne serce.

A gdy nadejdą jesienne noce księżycowe — kiedy nagle rżyska świecą się, gdyby olbrzymia podeszwa, gęstym srebrnym gwoździem nabitą, kiedy zalega tak straszna cisza, iż zdaje się, że świat cały na chwilę przestał kołować w swych błędnych okręgach, kiedy świat cały zdaje się być zatopionym w jakiejś strasznej a rozpacznej zadumie, wtedy wszystko naokół staje się dziwnie straszne i groźne i przeraźliwe.

Głos zamiera, jakby go coś ogłuszało, — czuje się coś ponad sobą, co krzyczy za wyzwoleniem, a wyzwolić się nie może, coś, co czatuje, co gotowe jest do skoku, a poza sobą jakieś ciche powłóczyście kroki — tuż — tuż za plecami — już chwyta, już obejmuje kleszczami pierś — i strach — strach!

Ale to przerażający strach pogłębienia — tonie się we wszechświecie, spada się z jednej gwiazdy do drugiej — to strach straszliwej rezygnacji, w której człowiek czuje się bezsilnym i bezopornym.

Teraz się dopiero pojmuje, co jest wieczność, co nieskończoność i to, co jest najstraszliwsze, czem jest śmierć.

I dusza Jana to całe Kujawy, ten trójkąt Kujaw rozestany między Inowrocławiem, Kruszwicą a Gniewkowem.

Jego dusza to tajemnicze jezioro z jego zatorami i głębią i urokami zatopionych kościołów, — z moczarów, bagien i torfowisk wyszał jad bólu i rozpacz, noce jesienne wświeciły mu się w żyły upiornym blaskiem głębokiego smutku, szerokiej a bolesnej zadumy, a na rozdrożach straszy go ta biedna, przykucnięta dola.

On jest duszą tej ziemi.

I na tej ziemi rozsiadł się piękny, krzepki lud z wszystkimi przywarami i cnotami ludu polskiego, ale to wszystko jest niezmiernie spotęgowane. Lud ten zacięty, obdarzony jakąś dziką energią, która raczej jest tylko pewnem fatalistycznym poczuciem, że tak, a nie inaczej być musi, ma przedewszystkiem jedną charakterystyczną cechę: jakąś dziwną melancholję. Zdaje się, że te bagna, te błota, te czarne mokre torfowiska wyziewają z siebie ten jad nieokielzanej tęsknoty i melancholji, szary smutek częstych deszczów przesiąka duszę aż do dna, a włączając się leniwie chmury ołowianego nieba sflaczają z serca radość i wesele.

I z tej łaźni szatańskiej, jak św. Anzelm nazywa melancholję, krzewią się bujnie wszelkie złe instynkty, ponura zaciekłość, uporczywa hardość i dziwny pociąg do zguby, upadku, zniszczenia.

Chłop kujawski nie zna w niczem miary. Jak pocnie pić, to tak doszczętnie, dopóki na dziady nie wyjdzie, — jak się na kogoś zaciętrzewi, to prędzej nie ustanie, dopóki go z kretesem nie zniszczy, jak mu się raz noga pośliznie, to przysięchy można, że sobie łeb już ukręci.

Pomnę ich wszystkich.

Bogaty a zamożny ród Halagierów, dynastja chłopska, utworzona przez jednego, mądrego chłopca, który na okrzyk napoleońskich wyśłańców — *À la guerre, à la guerre!*¹⁾ uciekł do lasu i stąd zyskał przydomek Halagier.

Podupadli i zubożeli dziś, bo дума ich i buta, i jakiś wewnętrzny, trawiący smutek doprowadził ich do ruiny. Tak samo piękny, krzepki ród Słabęckich, mądrych Posadzych, przebiegłych Misiołów; i pomnę tego Rusztyka, co się na Pana Boga pogniewał i, aby mu wyrządzić wielką zniewagę, orał pole pod kościołem podczas procesji Bożego Ciała.

Kasprowicz w swoich podaniach ludowych jest czemś więcej, aniżeli gawędziarzem w stylu Pola lub Syrokomli. On tym ludem żyje, poezja jego ludowa jest szeroką aortą, przez którą się przelewa ciepła, żywa krew tego ludu, jest niezmiernie subtelnym nerwem, który każde drgnienie w duszy tego ludu w tysiąckrotnem spotęgowaniu odczuwa. On go nie opisuje, ale odprzeżywa, dla niego są ci wszyscy Olchowicze, Olejniaki nie postaci ciekawe, nie zadziwiają go niczem, on śpiewa ich dołę lub niedołę tak, jak opowiada o własnym bólu i tęsknocie. Dola ich — dola jego, ból ziemi — to jego ból.

¹⁾ Na wojnę!

Nieoderwauny od ziemi, czuje się z nią zrośnięty, w duszy ma coś w kształcie ogromnego spektrum, w którym każda najdrobniejsza linja tej ziemi, każdy najdrobniejszy przetyłek w duszy tego ludu niezatarcie się zarysowuje.

Z całej plejady bardzo zdolnych poetów naszej młodszej generacji literackiej on jedyny jest synem ziemi — jak dąb rozparł się w niej szerokimi korzeniami; nie z literatury, ale z ziemi macierzy ssie, czerpie swoje soki, dlatego taki mocny, taki samoistny i taki smutny — ale smutkiem mocnych.

On jeden, nie wyłączając Mickiewicza w *Panu Tadeuszu*, powrócił ziemi jej metaforyczny charakter, wyczuł jej ból i nim żyje, jej świętość jest jego religją — jej szal i rozpacz jego rozpaczą.

I to jest najistoźniejszym jego czynem, wyżyną umysłu i duszy, niedostępną dla zwykłego talentu.

Umyślnie zatrzymałem się tak długo przy opisie ziemi i ludu, z którego Kasprowicz wyrósł, bo obydwie te czynniki ukształtowały jego duszę, zakresliły granicę, w jakich się ona przelewa, harda, silna, zrozpaczona, to znowu tak niezmiernie tkliwa i rozmodlona.

W duszy Kasprowicza wszystko się staje cierpieniem. Cierpienie jest czemś pierwotnem i cierpienie stworzyło zło. Strach przed cierpieniem, strach przed życiem, strach przed śmiercią chciał się zagłuszyć i stworzył sobie rozkosz, a rozkosz trzeba okupić spokojem własnym lub innych, stąd rozkosz jest winą i grzechem. Grzech wieczny, bo cierpienie jest wieczne, i nic grzechu nie zmaże, nigdy grzech się nie zatraci, bo nic nie zdoła człowieka od cierpienia wyzwolić. Szczęście (a więc dobro, bo szczęście jest zawsze dobrem) jest złudą, okrutnym majakiem, jaki szatańskie cierpienie przed oczy człowieka czaruje, by go jeszcze więcej pogrążyć. Cierpienie — źródło zła; straszny a okrutny szatan rozpanoszył się na ziemi, a ludzkość się nigdy z jego szpon nie wyrwie, bo ją opanował rozkoszą.

Ta myśl ustawicznie w jego utworach powraca w coraz to nowych odmianach, w ustawicznych szamotaniach się z bólem, w olbrzymich zapasach z potęgą cierpienia, w gorącym pragnieniu ku słońcu. I to jest wielką, smutną głębią Kasprowicza. To jest ten absolut, którego szuka poza wszystkimi przejawami życia; często widzę w jego tworze jakieś głębokie, czyhające oczy, co się przedzierają przez złudną mgłę światła i wnikają w ciemność, głębiej, jeszcze głębiej, aż docierają do jądra bytu: cierpienia. Jak u Szopena wszystko na żal i tęsknotę się przemieniło, tak u Kasprowicza wszystko

staje się bólem i cierpieniem. Ale ta sama myśl, która u Baudelaire'a naprzykład¹⁾ przerodziła się w kult „złego“, wytworzyła w Kasprowiczu dziwną, szeroką i niezmiernie smutną melancholję, weszła w skład jego miłości i jego głębokiej litości nad wszystkim, co cierpi.

Z jaką bolesną miłością ogarnął tę biedną duszę, wygnaną z raju, w białe, wielkie skrzydła ujął to obłąkane, skołatane serce, a nawet szatana uszlachetnił pięknnością smutku²⁾.

Ale jeszcze jedna rzecz wyróżnia Kasprowicza z tłumu tych wszystkich poetów cierpienia. Cierpienie u Kasprowicza to nie ten rozmazany a wielce płacziwy ból zawodów osobistych, złamanej miłości, braku pieniędzy, to nie ta wieczna tęsknota, w którejby się chciało położyć głowę na łonie kochanki i patrzeć z słodkim omdleniem w iskrzące się gwiazdy — ból u Kasprowicza to kosmiczna potęga, co światy ze siebie wyrzuciła, to droga, po jakiej ludzkość postępowała, to ból tworzenia i wiecznej przemiany — cierpienie, które Kasprowiczowi pierś rozpiera, szalało w piersiach proroków, w duszy takiego Słowackiego, kiedy tworzył *Króla Duchą* i myślą wieki obejmował, i je przeżywał.

On nie lęka, nie boi się cierpienia. Bierze je na swoje barki, jak ów mistyczny Krzysztof, dźwiga bez skargi i roztkliwień cały ten straszny ciężar³⁾. Czasem tylko się szarpnie i wyciągnie groźnie pięść ku niebu, czasami jęknie, by znowu paść na kolana i z płaczem uniesienia zawołać:

Bądź pozdrowiona, o, ty bez promienia,
Który nadzieją martwe serca pieści,
Spowita płaszczem bezdenne cienia,
Źródło mej pieśni, macierzy natchnienia,
Boleści!

Najpotężniejszy wyraz znalazło to cierpienie w poemacie *Święty Boże, Święty Mocny*.

To już nie poemat, to jeden straszny, przeciągły krzyk, huragan, co nad głowami huczy, niszczy, łamie — kona w cichym poświście, to znów się wzmaga w dzikich szalach burzy.

Cały poemat — to jedna groźna a potężna msza rozpaczcy, *missa desperationis*, jaką kiedyś Bogumilcy⁴⁾ wśród najstraszniejszych prześladowań odprawiali, czarne święto rozpętanych żywiołów cierpienia.

Któż z nas nie zna tej pięknej, a tak niezmiernie ponurej pieśni!

¹⁾ Sławny poeta francuski w. XIX, autor *Fleurs du mal* („Kwiaty zła“). — ²⁾ Mowa o poemacie „Na wzgórzu śmierci“. — ³⁾ Św. Krzysztofa przedstawiają niosącym małego Chrystusa. — ⁴⁾ Sekta w średniowieczu.

W czasach wielkich klęsk, kiedy ziemia szaleje i niebo na niej mścić się zdaje, w czasach głodu, wojny, ognia, morowej zarazy, wyrwa się z piersi ludzkości taki straszny krzyk błagania, prośby, rozpacz, obłędu.

Kiedy po rok tysięczny ziemia wiła się w konwulsjach, trzęsła się i rozpadała, wojsko Ottona I, ciągnące do Włoch, widziało słońce czerwone jak szafran, a słońce dogorywać się zdawało, kiedy spiekła ogniem, strawiona ziemia nic już rodzić nie mogła, a ludzie, według opowiadania kronikarza, sami siebie pożerali, kiedy groźba sądu ostatecznego na niebie się rozlśniła krwawą pożogą, wtedy powstało *Dies irae*¹⁾.

A kiedy u nas Szwedzi wyniszczyli mordem i pożogą wie i miasta, kiedy głód i zaraza wyludniała doreszty spustoszałą glebę, wtedy wyrwał się z piersi straszny jęk: Święty Boże, Święty Mocny a Nieśmiertelny!

Pieśń ta to polskie nasze *Dies irae*.

Trzeba ją słyszeć w małym wiejskim kościele, podczas oktawy Bożego Ciała, kiedy już przez gęsty mrok z trudem przedziera się światło świec na ołtarzu — kiedy ksiądz obróci się z monstrancją ku ludowi, a organy huczą jednym przeciągłym a odległym dudnieniem, wtedy następuje jedna chwila, która zimnym dreszczem ciała przebiega.

Lud, na kolana powalony, oczekuje czegoś; coś, jakby jakieś nieszczęście, zawisło w powietrzu, co coraz to niżej się stłacza i swym czarnym ciężarem na głowy się wali. I naraz intonuje ksiądz: Święty Boże, Święty Mocny! a rykiem bólu i cierpienia odpowiada naród: Święty a Nieśmiertelny, wybaw nas, Panie!

Pomnę dobrze czasy cholery w 1873 roku, kiedy gromady ludzi ze wszystkich okolicznych wsi chodziły po nocach od jednej wsi do drugiej z gromnicami w rękach i śpiewały wśród jęków i rozpacznych szlochań tę bolesną pieśń — pomnę jedną chwilę w kościele, kiedy zaraza najsilniej się srożyła, a cały naród, porwany dzikim obłędem rozpacz, wił się w konwulsyjnym płaczu i krzyku: Wybaw nas, Panie! — Ale niczem to cierpienie, kiedy wśród jęku tej pieśni biedny lud uświadamia sobie swoją nędzę, niczem ta żywiołowa rozpacz ludu, nad którym śmierć i zagłada upiorne skrzydła rozpostarła, wobec tego bezbrzeżnego cierpienia, tej beznadziejnej rozpacz, co rozpiera piersi samotnego człowieka w *Święty Boże Jana Kasprowicza*.

¹⁾ „Dzień gniewu (pańskiego)“, hymn w mszy żałobnej na temat sądu ostatecznego.

W poemacie tym zbiegają się wszystkie cechy, jakie twórczość jego charakteryzują, jest on jakby syntezą wszystkich linii jego twórczego ustroju.

W ogromnych, szerokich zarysach odtworzył całą ziemię, raczej wyrwał sobie ją z serca, bo on i ziemia to jedno, a teraz śpiewa i krzyczy jej ból, który jest jego bólem, śpiewa i krzyczy swoje cierpienia, a szłochem i jękiem odpowiada mu malka ziemia, rodzicielka jego.

Syn ziemi, człowiek samotny, upadł bezsilny na znojnę drodze życia. Ból złamał tego, co „z malki żywota wyniósł nieszczęsny los! Nieokiełznana gnała go tęsknota za widmem bólu, który sam jeden wszechmocny posiada głos“. — Obarczony przekleństwem najdroższych „stanął na drodze w dzień tuczy, jak krzew pogięty, i z piorunami w zawody, rozpaczą grzmiał“¹⁾.

Nad nim burza się sroży, ślepa Dola nieszczęsna przykucnęła na drodze, śmieje się dziko i szczyrzy zęby i cieszy się, że samotnego człowieka powalił ból.

I przypadł twarzą do ziemi, a nagle zerwał się na równe nogi i z grozą i przerażeniem wyciągnął ręce ku niebu i woła:

„O, niezgłębione, niepojęte moce!“

Tym strasznym akordem rozpoczyna się ta dzika pieśń — to *Introibo* tej mszy rozpacz²⁾. W całej literaturze nie znam takiego akordu, który nabiera niesłychanej mocy przez zestawienie go z dalszym ustępem.

Po tym akordzie następuje wielka cisza. Syn ziemi wsluchuje się w niebo — ale nic, prócz czarnej burzy, która się po niem w skłębionych tumanach przewala, i znowu pada na ziemię i płacze: „Skrzydłami trzepocę, jak ptak ten nocny, któremu okiem kazano skrwawionem patrzeć w blask słońca...“

„Święty Boże, Święty, Mocny, Święty a Nieśmiertelny“.

I syn ziemi poczyną rozmawiać ze swoim Bogiem, prosi Go, błaga, wątpi w Niego, to znowu się przed Nim kaja w bezsilnym zdaniu się na Jego wolę, a coraz dusi go ciężkie, chęłchające łkanie³⁾: Święty, Mocny, wybaw nas, Panie!

Przed oczyma jego przeciąga wizja tej ziemi wspaniałej, co jako widna i daleka pokryta trupami, których nie było czasu pogrzebać. Mór wybił ludzkie plemię, a ci, co zostali, wloką się nędzni, znamięm śmierci naznaczeni w strasznej procesji. Chorągwie trzepocą w wychudłych dłoniach, w rozpalonym blasku ogniem zięją-

¹⁾ Tucza = burza, chmura burzliwa. — ²⁾ *Introibo* — modlitwa wstępna mszy. — ³⁾ Chęłchać = krztusić się.

cego słońca złocą się krzyże, jęczą dzwony i łkają, i płyną, a śmierć przed tłumem kroczy. I syn ziemi jęczy do Boga: „O, dzwonu łkające prośby! O, szumie wędnących drzew! O, Boże, Święty Boże! Święty a Nieśmiertelny!”

Cały lud oddał się bezsilny i bezwładny w ręce śmierci; więc i jemu niechaj wykopią samotny grób wśród krwawników i dziewanny u stóp próchniejącego krzyża. Albo na szerokiej miedzy, albo tam, gdzie parów sączy resztkami wody, lub tam, gdzie wdali pobłyskuje jezioro, gdzie się nad drogą kurzu słup rozbija, gdzie wiatr bezsilny przewłóczy się po zżętych zagonach — tam niechaj kopią samotny grób. — „A Ty, o Święty, o Nieśmiertelny, który swym jednym oddechem wypełniasz wieków wiek, Ty od powietrza, głodu, ognia i wojny, i od szatana, co w dom przychodzi i dusze zwodzi, zachowaj nas Panie!”

I naraz rozmodliła się jego dusza żarliwym, gorącym błaganiem, mającą mu się małe trumienki, słyszy łoskot grudy, co spada na ich wieka, poszum wiatru, co rozczesuje liście zapłakanej brzozy, widzi wokół zapadłe mogiły, westchnął głęboko. A światłość wiekuista biednym ludziom świeci. Naraz zerwał się: jestem! — zakrzyknął. Czuje, że Bóg do niego schodzi. Tak! I Ty jesteś tu ze mną! I pada na kolana, i kornie bije czołem, i za nogi go obejmuje, i prosi, prosi, o niewiele, o troszeczkę łaski tylko. Tylko odrobinę łaski niech spuści na płaczem zamroczone oczy.

Niech deszcz spiekłe rany orzeźwi, niech grad nie siecze zboża, pomór niech nie wybija ostatniej krowy, pszenica niech kąkołem nie zarasta, chmury niech się nie obrywają, a spóźniony mróz niech nie warzy ozimin.

I jeżeli o coś poprosić, o łaski trochę, to niech nie będzie potrzeba dzieciom chleba poskąpić, móc lec we własnej mogile, niech będzie grosz, by dziad mógł za zmarłych zmówić pacierze.

„A jeśli ziaren swych łask nie zechcesz równać stryculcem po brzeg swej szcudrej ćwierci, od nagłej a niespodziewanej śmierci racz nas zachować, Panie!”

Przedziwna jest ta modlitwa w swej niesłychanej prostocie i porcorze.

Tak się tylko chłop umie modlić, którego nieszczęścia złamały, tak rozłzawioną prośbę umie tylko ten zanosić, co Boga czuje przy sobie tysiackroć bliżej, jak ten, któremu kultura wiarę przeżarła. Tak pokutuje i kaja się człowiek, który wzamian za winy swe nie sie pokornie krwawy krzyż i tylko o to Boga błaga, by go ostatecznie zniszczeniem nie karał.

Jeżeli gdziekolwiek, to tu narysował Kasprowicz najgłębsze i najszlachetniejsze linje w duszy chłopca naszego i w tej modlitwie streścił jego głęboką, z ziemi wyssaną religję.

Ale człowiek samotny, syn ziemi, podnosi bunt. Nawet ta nędzna prośba nie wysłuchana. Bóg go wołał, on powiedział: Jestem. Tak. — Jestem! Gorycz mu serce zalewa: „Jestem! Jestem i płacę... Biję skrzydłami, jak ptak ten ranny, jak ptak ten nocny, któremu okiem kazano skrawionem patrzeć w blask słońca”.

I znów przeciągają ponure wizje przed jego oczyma. Grób kopią u jego stóp, na ramionach krzyża kracze wrona, ludzie się wloką jak cienie do strasznych grobów — zdaje się, że wszystko wyzwala się z pęt ziemi i wlecze się wraz z ludem do grobu: dziewanny, krwawniki i bez, i wierzby, i głogi. Głód zapanował, szatan okrąża ziemię i brat brata zabija, syn przed ojcem zamyka dom, mord i pożoga wyniszcza świat, lęk gdyby bicz smaga biedny ród potępiony, mór było bije, siostry zhańbione potopiły się, złe urąga modlitwie — i coraz groźniejsze i dziksze obrazy przesuwają się przed jego oczyma — włosy mu się na głowie jeżą, oczy z przestachu z orbit chcą wyskoczyć — i z przerażeniem i dzikim obłądem krzyczy ku Bogu, czyż On tego nie widzi? Szatan zwątpienia wpił swoje szpony w jego serce, i z bólem rozpaczy bluźni Bogu:

„A Ty, O, Boże! O, Nieśmiertelny! O, wieńcem blasków owity! Na niedostępnym tronie siedzisz pomiędzy gwiazdami i, głową na złocistym spoczawszy trójkacie, krzyż trójramienny mając u swych nóg, proch w gwiazd klepsydrze przesypujesz złoty i ani spojrzysz na padolny smug!”

I w jego sercu rozpasła się piekielna symfonia bólu, rwie się straszliwie Aleluja rozpaczy, przekleństwa mieszają się chaotycznie z krzykami za wybawieniem — szatan przed nim piekło roztwiera. Raz jeszcze woła ku Bogu, by świat od szatana wyzwolił. „Wal błyskawicą, wal! — krzyczy. — Niechaj się łamie, niech się rozkruszy ta zdrada, która nad życiem i nad śmiercią włada”.

Ale cisza. Z chmury nie spadł piorun — Bóg milczy — więc naoslep, bez pamięci, z dziką zapamiętałością klęka przed potęgą zła, przeklina ród swój cały, woła ku Bogu, niechaj dalej płodzi żywoty, by tak klęły jak on, by płakały jak on i marły jak on. Serce mu pęka i ze strasznym jękiem pada na ziemię:

O, Święty, Nieśmiertelny, Święty, Mocny Boże!

Tu tkwi potęga Kasprowicza. Jego osobiste JA staje się światem całym.

STANISŁAW BRZozowski (1878—1911).

Z książki „Legenda Młodej Polski“ (1910).

Ten tylko zostaje się w historii, tworzy w niej, kto umie uczynić z życia swego organ rzeczy trwałych. Kto zaś sam siebie nie utrwala, ten przerabiany jest w trwały wynik przez tych, którzy posiadają dzięki dyscyplinie życia i tworzenia moc nad przyszłością. Kto nie troszczy się o zagadnienie budowania, ten już sam idzie na budulec, na wapno i spój, ale zaiste nie wie, co z niego wyrasta. O tem już wiedzą ci, co wolę mają. *Come l'uom s'eterna*¹⁾ — tak możnaby określić całą treść pojęcia kultury. Tylko jako ostający się wobec natury, wobec wewnętrznych parć życia fakt, trwa człowiek; kto życia swego w diamencie tym na pisze, kto poprzestaje na własnym swym odczuciu, ten może być zbuntowanym przeciwko życiu niewolnikiem, twórcą i prawodawcą nigdy się nie stanie. Codzień spotykam na swojej drodze czcigodne, wiekami wznoszone budowy — znak widzialny niezmiernego mozółu, bezmiennego samozaparcia i samoutwierdzenia wobec wiecznie milczących, twardych, groźnych mocy. Tylko szept myśli swej ma człowiek za świadka, a stać mu się ona ma opoką, zdolną wytrzymać napór sił, które zawsze czyhają zewsząd na każdy nasz błąd: poprzez szczelinę każdą wciska się w nasz okręt wrogi, mroczny żywioł i ciągnie na dno. Wolą swą, myślą i pracą człowiek musi sam siebie wobec przyrody oszańcować: wrogiem naszym wszystko nieopanowane, samemu sobie pozostawione w nas i poza nami; wrogiem naszym jest wszelki stan natury: nagi żywioł i naga dusza. Prawa chcemy twardego, jasnego, nawskróś przez wolę ludzką przenizanego gmachu. Nie poznawać swe przeznaczenie, ale je stwarzać, takim jest utajone w głębi istoty naszej prawo życia.

To, co przeżywa w granicach własnej psychiki dany typ życiowy, nie rozstrzyga jeszcze o jego panowaniu nad światem. Zwycięstwa moralne stają się zwycięstwami dziejowymi poprzez stworzenie takiej lub innej, stawiającej światu opór siły. Problem polega nie tylko na tem, aby zachować wiarę w Polskę, ale, aby stworzyć Polskę jako realną moc dziejową. Z punktu widzenia świadomości, szuka-

¹⁾ Jak się człowiek uwiecznia.

jącej przed sobą drogi — zagadnienie to formuluje się mniej więcej w ten sposób: stworzyć Polaka-człowieka, najskuteczniej panującego nad siłami przyrody i najcelowiej grupującego i koordynującego swe wysiłki społeczne. Przeistoczenie świadomości polskiej w narzędzie, ułatwiające rodzenie się i dojrzewanie tego typu, jest właśnie zadaniem myśli polskiej. Pracy tej usiłowała dokonać emigracja¹⁾ w swoim zakresie: stwarzała ona warunki psychiczne, umożliwiające i podtrzymujące wiarę i wolę narodową w samej emigracji, utrzymywała przekonanie, że świat nie jest zamknięty, zakończony, że istnieją w nim jeszcze niedokonane zadania, istnieje więc jeszcze miejsce dla nowych prac, nowych wysiłków ukształtowań społecznych. Emigracja usiłowała skojarzyć, sprząc sprawę polską ze sprawą przyszłości świata, starała się zdobyć moc moralną, której posiadanie czyniłoby istnienie Polski koniecznym. Ujmowała ona zagadnienia w warunkach, stworzonych przez jej tragiczne położenie. Dzisiaj praca polska, wszystkie polskie usiłowania historyczne ześrodkowują się w samym kraju. Podstawą wszelkiej działalności są te przekształcenia, jakim ulega polska rzeczywistość: mówiliśmy już wielokrotnie, jak przedstawia się nam dzisiaj zasadnicze zagadnienie polskie. Sądzimy, że to zagadnienie w swojej dzisiejszej formie odpowiada całkowicie kierunkowi myśli Mickiewicza. Rodzi się właśnie typ Polaka, zdolny żyć na najwyższym poziomie, stworzonym przez europejską kulturę. Powstawanie tego typu, jego walka, dojrzewanie, przekształcanie polskiej kultury w organ jego panowania nad światem i własnego samorządu — oto droga, po której musi iść myśl polska. Musi ona stać się świadomością swobodnych, zdolnych do samoistnej pracy na najwyższym poziomie technicznym robotników. Mickiewicz starał się czuć i myśleć w centrum spraw i sił żywych; dziś żyłby niezawodnie dla tej oto sprawy: dawałby jej najprostszy i najszczerzy wyraz. Dziś zaś uważa się za spełnienie posłannictwa mickiewiczowskiego, gdy się myśli jego ówczesnymi myślami, czyli gdy się odchyła swe serce od życia czasu, gdy czyni się to, czego on nigdy nie czynił. Szuka się prawdy nie w związku z życiem, nie przez przejęcie się niem, lecz w odwróceniu się od życia ku myślom i uczuciom, związanym z całkiem innymi warunkami. Przenoszenie dzisiaj w naszą obecną rzeczywistość mickiewiczowskich myśli jest przetwarzaniem psychologii usiłującego utrzymać się we wszechświatowym procesie wytwórczym narodu w psychologię gromadki,

¹⁾ Po r. 1831.

oddartej od wytwórczości, od kraju, od właściwego życia. To, co było wtedy bohaterstwem, jest dzisiaj ucieczką myślową, złudzeniem, kłamstwem, obłudą. Dla emigracji ówczesnej zadaniem było zachować wiarę w swą samoistność wobec naporu obcych prądów myślowych, obcego życia, zadaniem dzisiejszych polskich pracowników jest stworzyć nie panującą nad zwątpieniem wiarę, — lecz panującą nad rzeczywistością życiem — myśl polską. Emigracja musiała wierzyć w siebie wbrew nauce mieszczańskiego, korzącego się przed faktem dokonanym świata, polska myśl musi dziś uczynić z nauki organ polskiej pracy, wcielić ją w organizm stwarzającej samą siebie swobody polskiej. Dla emigracji najważniejszą była wiara i wola; dziś poprzestawać na woli i wierze to nie widzieć, że życie domaga się o pracę dokonywaną, o samo dokonanie. Nie o to chodzi tylko, aby Polak chciał być samoistnym, ale o to, aby rwący się ku samoistności polski lud pracujący posiadał organy dla tej swojej woli. Zagadnienia dzisiejsze są konkretne, gdyż powstają punkty widzenia, znaczy to traktować z tą dumną niewiarą, z jaką romantycy odpychali zimne widmo zabójczego świata, — własne życie polskiego narodu, znaczy to traktować jako „paryski bruk“ — rodzinną glebę. Zadanie polskiej myśli to stać się świadomością samoistnego panowania nad światem — pracy polskiej, to znaczy stać się sumieniem woli, zdolnej pracować swobodnie na najwyższym poziomie technicznym. Gdy zamiast wykonania tej myśli — hodujemy w sobie reminiscencje romantyzmu, stwarzamy myśl obcą wszelkiej technice, opanowaniu jej, mogącą służyć ludziom, tylko znajdującym się poza organizmem pracy. Pracujemy w kierunku wprost przeciwnym zadaniom życia, zamieniamy romantyzm w truciznę: z niego, który usiłował stworzyć moc, zdolną przetrwać bezczynność przymusową, czynimy szkołę beśsiły i bezczynu.

Niewola wyhodowała w nas już całe mnóstwo organicznych trucizn; narzuciła ona nam bezwład i zaszczepiła poczucie nieodpowiedzialności: żyjemy na tle kultury zachodu, ale nie zdajemy sobie sprawy z tego twardego trudu zbiorowego, z jakiego ta kultura wyrasta. Zbuntowani wobec przemocy, utraciliśmy poczucie i zrozumienie karności wobec samych siebie, wobec wielkiego zbiorowego dzieła kultury. Byłoby obłudą nie wyznać, że w psychologii naszej zanika rozumienie tych wysiłków, tego nieustannego ohamowania popędu, przewyciężania zachcianki, bez których żadne samoistne społeczeństwo istnieć nie może. Kultura nowoczesna, nowoczesne kulturalne

społeczeństwo to wynik ciężkiej walki człowieka z żywiołem, to zwycięstwo woli nad niespójną i chaotyczną naturą zarówno w nas, jak i poza nami, to samoopanowanie i ujarznienie własnej psychiki, zorganizowanie jej. I moralna struktura społeczna, wewnętrzna siła narodów trzyma się tą wewnętrzną organizacją, tą wnikającą w życie jednostek zbiorową wolą. Nowoczesna kultura nawet w takich swych czysto duchowych twórcach, jak nauka, poezja, sztuka, — jest całkowicie związana z tem twardem dziełem ludzkości, którego stroną zewnętrzną są społeczeństwa, przeciwstawiające pozaludzkiemu żywiołowi coraz potężniejsze organizmy skupionej, świadomej ludzkiej energii. — Żyjące nowoczesną kulturą społeczeństwo to dzieło twardej, natężonej woli, to gwałt nad całą bierną, leniwą naszą naturą. Polska kulturalna psychika utraciła poczucie łączności tych wysiłków. Kultura wydaje się jakimś stanem beztroskliwego zawieszenia ponad żywiołem i koniecznościami nieustannego pasowania się z nim. Mamy tu do czynienia z wymykającymi się, zdradliwymi stanami duszy. Kto chce nowoczesnej kultury, musi chcieć psychiki zdolnej ją wytwarzać, a nie zaś używać tylko pewnych jej wyników. Kto chce samoistności narodowej, musi chcieć rozwinięcia u nas tych zdolności i wyteżeń woli, bez których żadne samoistne społeczeństwo dziś istnieć nie może. My dzisiaj zachowujemy sobie prawo bezwzględnej krytyki — wobec praw, urządzeń, obyczajów, idei innych narodów: nie widzimy, że w ten sposób wyzyskujemy własny stan niewoli. Myślimy jak ludzie zawieszeni w próżni, gdyż myśli nasze nie wywierają wpływu na nasze własne, zbiorowe, samoistne życie. I im bardziej na lewo przesuwamy się wśród naszych kierunków kulturalnych, tem bardziej uderza i przemaga to demoralizujące pieczeniarnstwo negacji, ten piętowy gest umycia rąk wobec odpowiedzialności spadającej na tych, co samoistnie ciężar społecznego istnienia dźwigają. Stanisław Wyspiański całe życie walczył z tą bezkrotną, wykrętną psychiką bezwładu i niewoli. Myśl nasza nie ma prawa zapominać, skąd wyrasta, nie ma prawa łudzić się, że przemija bez skutku. Społeczeństwo nasze musi samo w sobie zachowywać i przestrzegać tego, co jest najistotniejszym organem samoistności. Myśl nasza nie może być dziełem dobrowolnej degradacji. Nic mnie tak nie razi i nie boli, jak to lekceważenie, ta przedrwiwająca niechęć, z jakimi spoglądają polskie samoistne, swobodne, zatomizowane dusze na dzieło zbiorowego życia innych narodów, nie umiejąc wyczuć straszliwego wysiłku, gorączkowej pracy, olbrzymiego piękna moralnego, kryjącego się pod zewnętrzną, odstręczającą powłoką nowoczesnych kultur. Nie umieją spojrzeć bezin-

teresownem braterskiem spojrzeniem na te potężne tragiczne żywioły, zwane Francją, Anglią, Włochami, Niemcami nowoczesnemi. Z jakichś niebosiężnych wyżyn zdają się padać słowa potępienia na codzienny trud i mózół milionów. Wzruszeniem ramion zbywają się podziwu godne — przez wieki wznoszone instytucje. Obawa mimo-wolna przeszywa wobec tych sądów: kto tak lekceważy trud życia, ten jest do podjęcia go, do zrozumienia nawet niezdolny. I jak łatwo spada ta obłudna maska wyższości, jak łatwo przejrzeć poza nią można wewnętrzne zdyskwalifikowanie dziejowe, zanik konstruktywnych władz duszy, hierarchji wewnętrznej struktury. Nikt nie obliczy krzywd, jakie wyrządza przestaniająca ten stan rzeczy utopia, mistyczna czy radykalna retoryka.

„Nie, — to nie może być prawdziwą Francją — mówi Jan Krzysztof w słynnej powieści Romain Rollanda¹⁾ do przedstawiciela francuskiej inteligencji. — To wszystko, czem wy żyjecie, nie jest nią — ona jest, chociaż wasze istnienie zdaje się temu przeczyć. Trudno tylko ją znaleźć — takeście ją schowali“. Ma się nieraz ochotę wobec całego chaosu nowoczesnego europejskiego życia, wobec zewnętrznych wypadków zarówno, jak i rozgłosnych kulturalnych prądów jednej chwili, hałaśliwych upodobań, grzmiących programów — wobec samego wiru psychicznego, jaki czuje się poza tem wszystkim, krzyknąć: nie, to nie jest Europa. A pomimo to Europa nie jest czczem słowem. Przekleństwem czasu naszego wydaje się to właśnie, że podczas gdy materialna zależność, wiążąca pomiędzy sobą najbardziej odległe sfery i dziedziny życia, wzrasta nieustannie, zanika jednocześnie grunt, na którym mogłaby wyrastać równie szeroka, równie rzeczywista, lecz świadoma solidarność moralna. Działalność każdej grupy ludzkiej, gdy trwa dostatecznie długo, gdy posiada dostateczną energję, zmienia w mniej lub więcej rozległym zakresie, mniej lub więcej głęboko warunki życia i działania wszystkich innych grup. Środowisko, w które wrasta dziś każda grupa ludzka, każda pojedyncza dusza ludzka, coraz wyłączenie staje się wynikiem krzyżujących się, komplikujących się wzajemnie wyteżeń ludzkiej woli, ludzkiej działalności. Zmienia się ono nieustannie z dnia na dzień, z godziny niemal na godzinę, gdyż miliony nic nie wiedzących o sobie indywidualnych wysiłków samem swem żywiołowem istnieniem zmieniają je i komplikują nieustannie. Choć nie wiemy o tem, każdej chwili i nieustannie jakiś potworny mechanizm czeka na takie lub inne nasze

postanowienie. I w każdym razie, nawet biernie pozwalając upływać naszym chwilom, rozstrzygamy o czemś, zmieniamy w jakimś nieuchwytnym i często tajemniczym stopniu stosunek naszej woli do powszechnego mechanizmu, szanse naszej swobody wobec konieczności, która jest dziełem cudzej, obcej nam swobody. Grzmią koła, warczą transmisje, obraca się potworna maszyna, i im potężniejszym jest to rozpasanie żywiołowej ludzkiej woli, tem niklejszą staje się ona sama wobec własnego swego dzieła; i wydawać się zaczyna cała nasza zachodnia kultura jakąś straszliwą, porywającą nas katastrofą. Jest tak potężna i przemożna, że nie można już się oprzeć jej; trzeba lecieć, pędzić wraz z nią. Zwęża się zakres wyboru, ginie poczucie odpowiedzialności, i jako podstawa straszliwego żelaznego aparatu woli ukazuje się nowoczesny Europejczyk — istota coraz bardziej usiłująca woli własnej wyprzeć się, uciec przed nią, pragnąca życie swe zamienić w subiektywne, liryczne przeżywanie obiektywnego, niezależnego losu. Poprzez zbyt liczne stronicę pism Wellsa¹⁾ prześwieca groźna wizja tego stanu rzeczy. W miarę, jak potęguje się wprawiany przez samego człowieka w ruch — mechanizm władzy jego nad sobą, w miarę, jak coraz intensywniej zmienia on sam warunki swego istnienia — wzrasta niechęć i niemoc do opanowania tej coraz straszliwiej potężniejącej poza nami woli. Wiemy, iż przełamuje się ona w jakimś nieskończenie skomplikowanym środowisku, zostaje pomnożona przez corazto wzrastający wynik corazto bardziej skomplikowanych zrównań, które zmieniają nie tylko natężenie poruszanych przez nią sił, ale sam ich kierunek. Wiemy, iż pomimo tej wzrastającej nieobliczalności naszych czynów nie możemy wycofać naszej odpowiedzialności, że niezależnie od naszej woli całkiem mechanicznie wzrasta znaczenie każdej przeżywanej przez nas i tak lub inaczej zużytkowanej chwili. I coraz bardziej położenie nasze daje się zdefinjować w ten sposób: z minuty na minutę wzrasta szybkość i natężenie tego potężnego ruchu, który nas porywa i o którym nie wiemy, poco i dokąd dąży, chociaż sami go tworzymy. Gdy się przyglądać z tego punktu widzenia życiu kulturalnemu epoki — nabiera ono niemal demonicznego charakteru. Wydaje się, że o to właśnie idzie, aby coś tu dojrzanem nie zostało; wydaje się, iż nieświadomość, bezwiedność staje się coraz szczelniejszą, systematyczniejszą, a przedstawiciel zbiorowej woli, której potęga jest nieobliczalna, jest istotą coraz mniej zdolną zdobyć się na jakąkolwiek bądź wolę. Od strony materialnych swych

¹⁾ Współczesnego pisarza francuskiego.

¹⁾ Współczesnego pisarza angielskiego.

podstaw, kultura nowoczesna jest jakimś skomplikowanym skłębieniem machin, które zahaczają wzajemnie o siebie, uderzają o siebie potwornymi skrzydłami, wyrwają sobie wzajemnie swe żelazne członki, druzgocą je. Jest to jakaś gotycka architektura automatów, apokaliptyczna walka stalowych i żelaznych potworów, które niweczą się wzajemnie, w dziwny, bajeczny sposób zrastają się z sobą, i zdaje się, że cały nasz glob stanie się tylko polem walki ścierających się z sobą demonów. Przedpotopowe potwory stały się żelazem i stalą, uderzają na siebie elektrycznością i ogniem. W skłębieniu ich potwornych cielsk, w cieniu ich skrzydeł, pod gradem sypiących się z nich ruin coraz bardziej do maszyny podobnym stać się ma sam sprawca tego pandemonjum, człowiek. Gdy zamiast zastanawiać się nad tą sprawą z tej strony, wniknąć w nią usiłujemy od strony świadomości, — dzieje się rzecz niemniej dziwna: co nie jest maszyną tu, staje się upiorem. Dusza usiłuje wymknąć się własnemu dziełu — mechanizmowi stwarzanemu przez się i nieustannie komplikowanemu, usiłuje go zaprzeczyć we własnych swych oczach, nie widzieć go. Zbiorowa nieobecność, kłamliwe i systematyczne *alibi* lub nieludzki huk warczących rozpędowych kół, — między temi dwoma ostatecznościami ginie, znika, wymyka się nam dziejowa wola. Pozostaje tłum coraz bardziej rozproszonych, coraz bardziej nieufających sobie wzajemnie jednostek lub grup ich. W głębi dusz nawet, w samym wewnętrznym życiu — oddzielne sfery myślenia i czucia izolują się wzajemnie, usiłują o sobie nie wiedzieć, okłamać jedna drugą, przemycić coś przed sobą. Poza olbrzymiem cielskiem cywilizacji ukazuje się nieraz, jako jej władca, leniwy żak, usiłujący uwolnić się od kary przez zniszczenie dzienniczka swojej konduity. „Dlaczego kłamiemy dzisiaj wszyscy?“ — pytał się Dostojewski. Bywają chwile, gdy zdaje się, że jedynym cementem, spajającym współczesne kulturalne życie, jest potrzeba wzajemnego pobłażania dla indywidualnych i zbiorowych złudzeń. Ciężar życia, które staje się coraz uciążliwsze, gdyż bardziej natężone — staje się jakąś winą, którą zwalają na siebie wzajemnie narody, grupy, klasy, stany społeczne. Wzrastający niepomiernie i bezwiednie zakres ludzkiej odpowiedzialności i zadań, które ma dźwignąć wola, ukazuje się wszystkim bez wyjątku niemal uczestnikom potężnego dzieła, jako spadająca na nich z czyjejsz winy krzywda. Sprężyną niemal najsilniejszą działalności umysłowej staje się to wyszukiwanie winowajcy, swarliwe przewalanie z jednych barków na drugie tego coraz bardziej rosnącego ciężaru. Wydaje się, że nikt nie ma odwagi

wziąć na siebie odpowiedzialności wobec bezwładności i lenistwa za ten bezmiar pracy i wysiłku, który dźwigać musi ludzkie pleię. Jakieś Eldorado¹⁾ biernego używania zarysowuje się niewyraźnie na dnie dusz, i zestawiając z niem twarde i mozolny żywot, pytają się one, kto sprawił to piekło, kto winien? Całe życie umysłowe gatunku wydaje się jakąś potworną grą w chowanego, i jakiś Rabelais naszej doby mógłby nakreślić obraz Panglossa, który wreszcie chwyci samego siebie na gorącym uczynku wytwarzania własnego dumnego losu i jednym wybuchem potężnego lazarońskiego śmiechu zgasi tę całą opętaną fantasmagorję mięśni i żelaza²⁾. Nie można powtarzać dość często, że swobodnym stanie się, może się stać tylko taki typ człowieka, który sięgnie, jako po swą odpowiedzialność i po swój ideał, po ten właśnie twarde i nadludzki sposób życia. Ale w atmosferze kulturalnej rodzenie się tego typu przesłania mgła, powstająca z zaznaczonych powyżej dążeń apokaliptycznej ciuciubabki. Ktoś musi być winien; konieczność świadomego wysiłku jest powszechną krzywdą i czyjaś winą — tak brzmią hasła. Życie odczuwa się dziś głównie w formie, że ktoś czy coś nie daje nam żyć i pierwszym naszym dążeniem jest odgadnąć, znaleźć, kogo mamy ubezwładnić, gdzie i kogo sparaliżować. Nienawidzące się wzajemnie atomy woli, lekceważące się wzajemnie myśli, przemycane i ukrywane przed samemi sobą stany dusz — oto się rzucające w oczy rzeczywistości psychologiczne. Gdy się szuka szerokiego planu działania, potężnej i współczesnej, t. j. dzisiejszym stanem życia zdolnej władać wiary, wydaje się samo usiłowanie paradoksalnem. Wiara wydaje się dziś tylko środkiem, który uwalnia od tego życia, pozwala zmniejszać jego ciężar. Wiarą nazywa się dziś pewien indywidualny sposób uzasadnienia własnego rozbicia. Gdziekolwiek rozlega się dziś głębszy głos — nawoływać zdaje się zawsze do jakiegoś odstępstwa wobec stworzonego przez człowieka świata. Propagowane są dziś tylko różne postacie załamania woli. Napróžno. Kto nie zdoła żyć świadomie na poziomie przez pracę i wolę ludzką osiągniętym, zostanie usunięty przez tych, co żyją na tym poziomie bezwiednie. Swoboda musi zawładnąć całym aparatem woli zmechanizowanej, zahipnotyzowanej, bezwiednej, — inaczej nie utrzyma się na jej poziomie. Na tem właśnie zasadza się straszliwy i upajający — napoleoński patos kul-

¹⁾ Urojona kraina złota. — ²⁾ To jest mógłby nakreślić równie wesołą opowieść satyryczną o dzisiejszym Panglossie (t. j. wszystkowiedzu), jak ów sławny pisarz francuski w. XVI o Pantagruelu i Panurgu (względnie jak Voltaire w *Candidzie* ?); — lazaroński — tu tyleż, co łobuzerski.

tury zachodniej: zająć wszystkie posterunki życia świadomą, swobodną wolą; przyjąć za cały żelazny świat odpowiedzialność, uczuć się jego świadomem *ja* i sprawcą, uczuć kulturę woli i nieustannego natężenia, nie jako naszą krzywdę i czyjaś tam winę — ale jako naszą dumę, jedyny żywioł naszego istnienia, wolę naszą, godność i prawo.

STEFAN ŻEROMSKI (1864—1925).

Sprawa Kasy imienia Mianowskiego (1924).

Kasa pomocy dla osób, pracujących na polu naukowym, im. rektora Szkoły Głównej dr. Józefa Mianowskiego, założona w okresie niewoli, była w ciągu długiego czasu jedyną nieomal w „Nadwiślańskim Kraju“ latarnią, oświetlającą w pomroce ścieżkę nielicznej garści ludzi, zajętych zbieraniem, porządkowaniem i publicznym uwydatnieniem wiadomości pożytecznych. Po uzyskaniu niepodległości Kasa im. Mianowskiego zwolna, stopniowo i planowo przekształcać się zaczęła na centralną instytucję organizacyjno-naukową pierwszorzędnej doniosłości.

Otoczona dziś najbardziej kompetentną opieką Rady Naukowej, złożonej z delegatów wszystkich naszych wszechnic i towarzystw naukowych, poparta w swych usiłowaniach i zamierzeniach przez Rząd narodowy, poczęła nietylko realizować w dzisiejszych niepomysłnych warunkach swe zadania wydawnicze, wspierać instytucje naukowe, uczonych samoistnie pracujących, wysyłać młodych pracowników zagranicę dla studjów uzupełniających, lecz nadto pokusiła się o sformułowanie potrzeb i wymagań naukowych we wszystkich dziedzinach wiedzy oraz o ujęcie wpływu na całość nauki polskiej¹⁾.

W tym właśnie okresie jej pracy, przejściowe, a nader ciężkie przesilenie finansowe, w które popadło nasze młode państwo, odbiło się i na podstawowych funduszach oraz pracach Kasy im. Mianowskiego. Rząd, bezlitosną siekierą wyrabujący drogę dla przyszłej racjonalnej waluty krajowej, nie oszczędził i subwencji na popiera-

¹⁾ Kasa M. stworzyła Pracownię Ikonograficzną w Warszawie, Obserwatorium Magnetyczne pod Warszawą, pracownie genetyczne: hodowli roślin i hodowli zwierząt, wiele lat utrzymywała (przed wojną) pracownie Warsz. Tow. Naukowego, i do dziś dnia dopomaga subwencjami oraz udzielaniem swych wydawnictw wielu innym organizacjom naukowym. (p. a.).

nie nauki. Nie mam zamiaru zażywać łatwej metody krytykowania postanowień Rządu w tej sprawie i wykazywania, co przez cofnięcie zasiłków ulega zdruzgotaniu, zahamowaniu, zepsuciu, lub całkowitemu zniesieniu w życiu nauki. Rząd państwa tak potężnego i starożytnego, jak Wielka Brytania, dążąc do równowagi budżetowej, nie oszczędził również instytucji oświatowych i naukowych, najbardziej nieodzownych i czcigodnych. Tamten rząd wiedział, że instytucje naukowe angielskie mają poza sobą naród angielski, społeczeństwo, czujące się w swem jestestwie. Podobnie było ongi z Kasą im. Mianowskiego. Poczęła się ona w czasach, kiedy żadnego Rządu narodowego wcale nie było. Liczyła wtedy na społeczeństwo rozdarte i rozbite, lecz mimo to czujące się w swej jedności i w swem jestestwie. Liczyła na niewidzialny, a niezniszczalny i niezdobyty rząd duchów światła, którego ani wytropić, ani zniszczyć nie zdołał wszechogarniający i bezlitosny najazd. Kasa im. Mianowskiego wówczas nie na wzór angielski, lecz prawdziwie jako wzór dla wszystkich społeczeństw, wystawiła swe cele, nakreśliła swe drogi, czyli odwołała się tym sposobem w przymusowym a wzniosłym milczeniu do niewidzialnego rządu duchów światła i nie zawiodła się w rachubie.

Wbrew wszystkiemu powstała i naprzekór wszystkiemu przetrwała. Patrzyła na olbrzymią ruinę rządu zaborców i doczekała się końca niewoli.

Miałyby dziś, gdy obaliły się i w proch obróciły wszystkie przeszkody, które jej powstaniu i działalności stały na zdradzie, nie znaleźć poparcia wśród wolnego polskiego narodu? Zasłużona, dostojna, wzniosła krynica wiedzy miałyby wyschnąć właśnie w Polsce niepodległej, cudownym zrządzeniem losów z kajdan wyjarzmionej? Niestety, trzeba to publicznie stwierdzić z goryczą, której tysiączne przyczyny dokoła widnieją i z dnia na dzień się pomnażają, iż polskie społeczeństwo powojenne nie jest już tamtą skupioną w sobie jednią z okresu niewoli. Coś takiego stało się z niem, iż na wezwanie, najgodniejsze posłuchu, nie odpowiada i nie słyszy wołań najbardziej natarczywych. Wielka ofiarność publiczna na cele społeczne, oświatowe, naukowe, kulturalne, nie mówiąc ani słowa o artystycznych, prawie ustała. Wszyscy w tem nowym państwie oglądają się na rząd widomy i działający, wszystkiego żądają od rządu i wszystką odpowiedzialność za wszystko, co się tylko da pomyśleć, na rząd składają.

Nauka zaś z jej dalekimi celami organizowania wiekuistej, twórczej rewolucji, skierowanej nie przeciw ludziom, lecz przeciwko przyrodzie, mająca na oku nie podział dóbr wytworzonych, lecz ich nie-

skończone przyczynienie i pomnożenie, — w dobie doraźnej walki nie tylko klasy społecznej przeciwko klasie, lecz powszechnego bogacenia się kosztem bliźnich, wydaje się być czemś dalekiem, dziwaczny, może i godnym szacunku, lecz zbyt czynnym. Pracowite i skrzętne gromadzenie, umiejętne organizowanie i ciągłe ćwiczenie bezcennej siły — wiedzy narodowej — zbiornika energii — o wartości największej, z którego, jak z przeczystego jeziora w wysokich górach, płynie wraz z potokami na wszystkie strony moc niezmierną, zdolna do przetworzenia się na każdy motor o użyteczności najbardziej realnej i doraźnej, nie budzi już entuzjazmu, jak za dawnych lat niewoli.

Z pychą odrzucamy i z odrazą odrzucamy nazwę państwa burżuazyjnego, którą Polsce dzisiejszej nadają złośliwie sąsiedzi. Lecz czy możemy jej nadać nazwę Chrystusa narodów, albo nazwę świętego Jerzego, którąśmy ją ozdabiali w dniach uzyskania wolności? Nie umiemy wznieść się na wyżynę burżuazji Zachodu i Ameryki, tych światłych dorobkiewiczów, którzy nagromadzone bogactwa zużywają na tworzenie instytutów niezrównanych, służących sprawom nauki czystej.

Idą zwolna w zapomnienie wartości i cnoty, wypracowane za dni niewoli, czy wojny i w radosnej chwili wyzwolin, jakby na stwierdzenie prawdy, dawno przez wieszczka narodowego przepowiedzianej:

„Ręce za lud walczące sam lud poobcina.
Imion miłych ludowi lud pozapomina.
Wszystko przejdzie. Po huk, po szumie, po trudzie
Wezmą dziedzictwo cisi, ciemni, mali ludzie“.

Kilku magnatów polskich mogłoby bez uszczerbku dla swych fortun postawić Kasę im. Mianowskiego na najwyższym poziomie, na takim poziomie, jakiby dziś zajmowała, gdyby dar jednego tylko inżyniera nie został przez państwo ościenne skonfiskowany¹⁾. Nie budzą się w żadnym z nich ambicje przodków, którzy instytucje naukowe niegdyś stwarzali. Wolą oni czekać cierpliwie na swoją kolej, aż im nieubłagany na nieubłaganych sąd i wyrok losu, ślepa zemsta grubego i sprośnego Marchotta wydrze, zniszczy i podepcze bogactwa ze skąpstwem zamykane, jak się to już zdarzyło tu i tam poza granicami tej dziedziny nanowo złotego egoizmu, aż ich wyzuje z dziedzictwa, którego używać po chrześcijańsku, w myśl przepisów anielskiego doktora chrześcijaństwa²⁾, nie umieli, aż ich na nowo rozmicie i rozproszy poza granice ojczyzny.

Patrząc z boku na zmaganie się Kasy im. Mianowskiego z obojętnością zamożnego ogółu, gdy apel jej dotarł już do zrozumienia sejmików, wywołał opodatkowanie się gron nauczycielskich, rozbudził ofiarność wśród... uczniów, poruszył firmy handlowe i zarządy banków, postanowiłem odezwać się do tego właśnie świata bogaczy. Nie bacząc na śmieszność, jaką się okryć mogę, iż chudy, wędrowny literat śmie mieszać się do spraw tak wysokiego porządku, podnoszę jednak mój głos w nadziei, iż do jakiegoś ucha doleci.

Kasa im. Mianowskiego nie mogła swego czasu dla braku funduszu wydać czterotomowego dzieła o naukowych podstawach lotnictwa, którego autorem był inżynier Witold Jarkowski, najdoskonalszy przed wojną elew szkoły awiatycznej w Paryżu, później profesor lotnictwa w politechnice petersburskiej. Tegoż Witolda Jarkowskiego, świetnego uczonego i wynalazcę, bolszewicy — ku wiecznej ich hańbie — rozstrzelali, jako zakładnika, jako dziesiątego w szeregu. My nie umieliśmy dzieła naszego rodaka drukiem ogłosić, a tamci go bestjałsko zgładzili. Oto obraz dwu „kultur“ sąsiadujących.

Nie będę się tu odwoływał do poczucia narodowej dumy, ani do innych uczuć nieuchwytnych, gdyż te „truizmy“ nikogoby dziś nie wzruszyły. Wskażę tylko kilka zjawisk oczywistych, których odsłonięcie ujawni niebezpieczeństwo nie tylko państwowe, ale i osobiste każdej jednostki tego kraju. Oto sąsiedzi nasi ze wschodu posiadają dwadzieścia siedem fabryk samolotów, podczas gdy my posiadamy jedną. Na dwustu naszych lotników — w ciągu jednego roku — trzydziestu straciło życie. Znany awiator włoski, który u nas gościł niedawno, powiedział o lotnikach polskich, iż są to niewątpliwie bohaterowie, gdyż on stchórzyłby haniebnie, mając wsiąść na aparat, na którym nasz lotnik wzbija się nad poziom. Cóż nam jednak przyjdzie z tego czysto naszego bohaterstwa, skoro w ciągu pół godziny wszyscy udusimy się w gazach trujących sąsiada z zachodu, udoskonalanych nieustannie, bezsennie, przez szeregi uczonych chemików, pracujących w specjalnych laboratorjach? Ażeby zaś mieć chemików, pracujących specjalnie w laboratorjach nad gazami, trzeba łożyć na utworzenie nauki własnej w ogóle, gdyż odkryć swych, sekretów i wynalazków nikt nam przecież nie wyda. Niski poziom kultury nauk zabija ich praktyczne zastosowania. Gdy Anglicy postanowili upaństwić kopalnię węgla, poprzedzili to badaniem czysto naukowym całej sprawy. Jeżeli, zbliżywszy się do morza, chcemy rozwinąć handel rybami Bałtyku, należy wesprzeć stację naukową badawczą w tej dziedzinie, założoną na Helu.

¹⁾ Źródła naftowe na Kaukazie, ofiarowane Kasie przez inż. Zglenickiego. —
²⁾ Św. Tomasza z Akwinu.

Tymczasem ta maleńka, a z entuzjazmem prowadzona oaza naukowa nie może ruszyć z miejsca, gdyż nie jest w możności wykupić obstalowanego mikroskopu. Setki bogaczy, zwiedzających tę stację, puszczały mimo uszu wiadomość o braku mikroskopów. Straty, wyrażone przez szkodników leśnych z powodu niedostatecznego stopnia zbadania ich przez zoologów, wynoszą, oczywiście, więcej, niż budżet nauki całego naszego państwa.

W nasze życie nowoczesne, bogate, nieokiełznane, żywiołowe, musi wejść ścisła nauka, jako regulator i kierownik. Onato jedynie może nam dopomóc, ażebyśmy z miazgi bujnej, lecz złupionej przez najeźdźców, starganej przez złą uprawę, sponiewieranej przez jawną głupotę, skłóconej o byle co lub nagim ugorem leżącej, mogli rozpocząć planowe budowanie nowej treści wewnętrznej, nowej szerokości i bujności ducha, świadomej, czysto narodowej, własnej, na najlepszych i niewątpliwych osnutej doświadczeniach i na dostojnych wzorach. Z jej pomocą jedynie nie stracimy bogactw olbrzymich, które nasz naród już posiadał, i z jej pomocą jedynie zdołamy nowe odnaleźć.

W wolnem państwie polskiem nauka nie może być wyżebrana, podpatrzona, przemykana, musi być polska. Nauka, to przeczyste, wysokie jezioro w górach, niebiosa nieskończoności odbijające, musi być nasze, własne, ojczyste.

Posiadamy instytucję, temu właśnie celowi służącą, założoną w mrokach niewoli przez ojców czcigodnych i przekazaną nam, którzy żyjemy w słońcu bezgranicznej, złotej wolności. I dziś oto ta właśnie instytucja — nie posiada dostatecznych środków.

Ratujmy! Wspierajmy! Stwórzmy na nowo Kasę imienia Miąnowskiego.

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI (ur. 1874).

Balzac w anegdocie.

Liczył trzydzieści lat, kiedy został nagle sławnym. Dotąd prawie nieznan, autor *Szuanów* a zwłaszcza *Fizjologii małżeństwa* staje się przedmiotem zabiegów najmodniejszego paryskiego świata. Oglądano jak osobliwość tę potężną lwią głowę z płomiennymi oczyma, tę ogromną choć niewysoką postać, wciśniętą w ubranie urągające wszelkiej modzie, w bieliźnie z grubego płótna, w grubych, niebieskich pończochach i ciężkich buciorach. Zjawienie jego w salonie

było zawsze sensacją, wymowa jego, spojrzenie, miały coś hipnotycznego, iskry sypały się z tej butelki lejdejskiej naładowanej genjuszem.

Dotąd Balzac mało stykał się ze „światem“. Lata wytężonej pracy, pasowania się z opornym talentem na poddaszu; to znów kilka lat upokarzającej „małoletniości“ w domu rodziców; potem lata, w których, aby zdobyć sobie niezależność, usiłował się przedzierzgnąć w przemysłowca; szamotania, bankructwo, wszystko to trzymało go jakże daleko od tego błyszczącego świata, o którym marzył! I oto sława! Ślicznie pachnące liściki, zapisane wykwintnem kobiecym pismem, spadają jak deszcz na biurko najmodniejszego pisarza, z podpisem, bez podpisu, zwierzenia, wyznania, prośby o radę... Ilość listów kobiecych, które Balzac otrzymał w ciągu życia, obliczono zgórą na 12.000.

Pewnego dnia, w r. 1831, gdy Balzac pogrążony był w swoim *Ludwiku Lambert*, otrzymał liścik, który sprawił na nim głębsze wrażenie od innych, może swoim arystokratycznym pismem. Podpisany był: „Kobieta, która nie chce aby ją poznano“. Balzac odpisał, wynikała korespondencja, wreszcie nieznamoma odsłoniła swoje *incognito*. Była to księżna de Castries, jedna z syren najbardziej zamkniętego arystokratycznego świata. Cóż za upojenie! miłość, miłość w najpowabniejszej swej postaci wyciągała (tak mu się zdawało przynajmniej) ręce do pisarza, który dotąd znał ją w dosyć kompromisowej formie. Kobieta młoda, piękna i księżna!

Aby się dostroić do tej roli, Balzac przeobraża się w dandysa. Obleka niebieski frak ze złotymi guzikami, kamizelki w oszałamiających barwach, rozpiera się w Operze w uprzywilejowanej łożu dandysów, zwanej „łożą piekielną“, albo „łożą lwów“. Grubas uczy się jeździć konno, aby móc w lasku bulońskim galopować przy pojeździe swej damy. Sprawia sobie laskę o olbrzymiej gałce ze złota, z miejscem w środku „na włosy kochanek“. Słynna z dowcipu i urody Delfina de Girardin napisała nowelę pod tytułem *Laska Balzaca*. Raz zdawało się, że laska zginęła: pisarz o mało nie zemdlał!

Ale ciężkie zawody czekały biednego genjusza! Ten niezrównany analista serca kobiecego, w praktyce i gdy chodziło o niego samego, naiwny był jak dziecko. Wierzył w miłość, gdy ze strony księżnej była to nieobowiązująca zalotność światowej snobinetki flirtującej sobie z literaturą w osobie najmodniejszego pisarza. Pochlebiali jej, że się jej udało obłaskawić niedźwiedzia i oprowadzać go na łańcuszku.

Powtórzyła się historia Alcesta z Celimeną¹⁾; ba, tragiczniejsza jeszcze, gdyż Alcest, niezależny szlachcic, mógł się poświęcić swoim serdecznym mękom, podczas gdy Balzac dźwigał na barkach swój olbrzymi trud a w głowie swoje dzieło. Jakimż mógł być amantem człowiek spędzający dziennie po kilkanaście godzin przy biurku? To też Balzac pierwszy zrozumie i odda znaczenie czynnika, którego konflikt ze światem uczuć przedtem w literaturze pięknej zgoła był nieznan: brak czasu! Istotnie, kochanek, który nie ma czasu na miłość, to monstrum, którego przed Balzakiem nikt nie odważył się nie tylko opisać, ale nawet sobie wyobrazić: to produkt XIX wieku, jego wytężonej pracy, która zajęła miejsce dawnego słodkiego bytowania, gdzie pisarz i filozof pół życia spędzał w salonach i buduarach, nawet taki pustelnik i mizantrop jak Rousseau. Kiedy Balzac na skinienie pięknej pani podążył za nią, aby jej dotrzymać towarzysztwa na wiledźjaturze w Aix, wiecie tam taki tryb życia: wstaje przed piątą rano, pracuje do wieczora, a dopiero resztę chwil oddaje czarodziejce.

Historję tej miłości — poza romantycznie przetworzonym zakończeniem — zamknął Balzac w jednym ze swych opowiadań p. t. *Księżna de Langeais*: widzimy tam jak żywą całą grę światowej kokietki i miotającego się w pajęczej siatce biednego geniusza. Wówczas Balzac już był wyleczony: zawód ten był długo krwawiącą raną jego serca. Ale niebawem wszystkie siły tego serca miała pochłonąć nowa miłość, rozpoczęta znowuż listem „wielbicielki talentu“, pani Eweliny Hańskiej, z domu Rzewuskiej, siostry naszego powieściopisarza.

Dzieje tego romansu zbyt są długie i zbyt często były opisywane aby je tu przytaczać; stanowią one osobny paragraf w anegdotycznej biografii pisarza. Ta egzotyczna miłość była może jedyną, jakiej Balzac mógł się oddać, nie okradając przytem swego dzieła. Ta polska „hrabina“ głaszcze wszystkie jego ambicje, królestwo jej kędyś na dalekich stepach działa na jego wyobraźnię jak bajka. Romans ten nie nakłada mu przytem światowych obowiązków, tak trudnych do pogodzenia z jego wytężoną pracą. Ta miłość nie naraża go na zawody, bo przeważnie rozgrywa się w wyobraźni, w listach: dzięki temu zapewne przetrwała tak długo. Połączenie się z ukochaną przyświeca pisarzowi jak odległy cel, który podwaja jego siły.

Lata owe, między trzydziestym a czterdziestym rokiem życia, to najpiękniejsze lata jego twórczości. Zaledwie może nadażyć po-

¹⁾ Por. komedję Moljera *Mizantrop* (w opracowaniu Boya-Żeleńskiego, *Bibl. Nar.*, ser. II, nr. 2).

mysłom, które cisną mu się pod pióro: ma na warszłacie po kilka powieści naraz. Życie jego jest istną halucynacją na jawie, przebywa wśród tych paru tysięcy żywych postaci, które stworzył; mówi o nich jak o swoich dobrych znajomych, udziela o nich nowin. Pokolenia rodzą się w jego głowie, zmagają się z życiem, wznoszą się lub upadają, mijają...

Balzac lubił sam tworzyć swoją legendę; wiedział, że nic tak nie pomaga do popularności. Już sam zewnętrzny aparat, jakim otaczał swoją pracę, bardzo był niezwykły. Dość wymówić słowo *Balzac*, aby się zjawiła w naszej wyobraźni potężna głowa, oraz postać w białym habicie dominikanina, opasana złotym łańcuchem, co było jego strojem do pracy. W epoce pracy Balzac tygodniami nie wychodził z domu: wstawał po północy, pracował do popołudnia. Progu jego strzeżono surowo, a ostrożność ta, obok innych pobudek, wynikała i z bezładu finansowego, w jakim, mimo olbrzymich honorarjów, pisarz grzęznął całe życie. Aby się doń dostać, trzeba było wymienić skomplikowane hasło. Teofil Gautier opowiada taką wizytę u Balzaca. Odźwiernemu trzeba było powiedzieć: „Nadeszła pora śliwek“, poczem puszczał przez próg; służącemu mówiło się: „Przywożę belgijskie koronki“, a prowadził przez schody; wreszcie lokajowi: „Pani Bertrand jest zdrowa“ i dopiero wchodziło się do pokoju Balzaca. Oczywiście hasło takie zmieniało się często.

Kiedy patrzymy na który z portretów Balzaca, na te oczy kipiące życiem, potężny brzuch, zmysłowe wargi, wyobrażamy sobie, że ten człowiek musiał żyć dziesięciokrotnie spotęgowanem życiem zmysłów. Jeżeli wierzyć legendzie, było wręcz przeciwnie: w epoce pracy, Balzac poprzestawał na niezmiernie skromnych posiłkach, a podtrzymywał organizm ogromnymi dawkami czarnej kawy. Zało kiedy dokończywszy dzieła używał sobie krótkich wakacyj, wówczas posiłki jego — wedle naocznych świadków — możnaby porównać z ucztą Rabelesowskiego Gargantui. Nie palił, i tworzył teorie o fatalnym wpływie tego nałogu na mózg.

Jedną z ulubionych teoryj Balzaca była teoria *czystości*, której sam jakoby ściśle przestrzegał, twierdząc, iż czystość rozwija w najwyższym stopniu władzę myśli, i daje przestrzegającym jej wspiąć się na nieznaną szczyble ducha. Kiedy mu cytowano (opowiada Teofil Gautier) wielkich geniuszów, którzy nie gardzili rozkoszami ciała, odpowiadał: „Byliby zdziałali o wiele więcej, gdyby się trzymali zdala od kobiet“. Spędzić z ukochaną *raz na rok pół godziny*, oto jedyne ustępstwo jakiego przyzwalał. Zezwalał natomiast wspa-

niałomyślnie na listy; mówił, że to „wyrabia styl“. Coprawda, te piękne teorie spotykały się u przyjaciół ze sceptycznym uśmiechem; podobno miały one na celu zmylić czujność pani Hańskiej, która z głębi Ukrainy żądała od pisarza rachunku z każdej dochodzącej ją plotki czy pogłoski. Balzac, który widywał swą ukochaną czasem raz na kilka lat, chciał wobec niej zachować zasługę skrupulatnej wierności.

Patrząc na dzieło Balzaca, na tych 97 utworów, tworzących Komedię Ludzką, które wyrzucił z siebie w ciągu ośmnastu lat, można się zdumiewać kiedy on to zdołał napisać, zwłaszcza, iż wiemy z własnych jego świadectw, jak bardzo walczyć musiał z oporem słowa. Jedna z jego nowel przeszła przez 27 korekt, kilkanaście korekt było zwykłą rzeczą; i w tych korektach utwór z pierwotnego szkicu rozrastał się do ostatecznych rozmiarów. Kiedy zdołał poznać, zgłębić tyle rzeczy, tyle światów, poznać tak jak znał Paryż, prowincję? Trzeba przypuścić, że obserwacja jego była wręcz darem wizyjnym. Umiał zresztą jak nikt „wypijać“ człowieka do dna. Parę godzin np. spędzonych ze słynnym naczelnikiem policji, a niegdyś hersztem zbrodniarzy, Vidocq'iem, dało mu materiał do jego Vautrina¹⁾.

Olbrzymia twórczość nie wyczerpywała całej jego energii. Ileż jeszcze rzeczy go pochłania! I ta sama wyobraźnia, która stworzyła tyle pięknych dzieł, płatała mu w życiu straszliwe figle. Ale błogosławione te jego niepowodzenia: gdyby nie one, kto wie, czy mielibyśmy Komedię Ludzką! Tak naprzykład rwie się Balzac do czynnej kariery politycznej. Kandyduje na posła jako legitymista (było to w epoce flirtu z księżną de Castries); przepada: kandyduje drugi raz i ma szansę, ale przewraca się w drodze z powozem, musi leżeć w łóżku zamiast agitować, i — nie dostaje ani jednego głosu. Ta czynna rola polityczna kusiła Balzaca całe życie, zawsze nadaremno.

Niecierpliwość, oto cecha wszystkich poczynań Balzaca. Zamłodu każe mu się ona rzucić w przedsięwzięcia zakończone straszliwym bankrutem: problem szybkiego zrobienia kariery, majątku, zarząta go przez całe życie. Treścią jednego z najbardziej fantastycznych jego utworów jest tajny związek trzynastu zdeterminowanych na wszystko chwatów, bez względu na różnicę sfer społecznych, od salonów aż do galer, związanych na śmierć i życie, pomagających sobie wzajem we wszystkim, wyzutych ze skrupułów, i panujących

w ten sposób tajemnie nad Paryżem. Jest w tej szajce i generał, i margrabia, i przyszły prezydent ministrów, i galernik... Otóż, rzecz ta ma swój rozczulająco niewinny odpowiednik w życiu Balzaca. Marzył o stworzeniu takiego bractwa. Przyjaciel Balzaca, Leon Gozlan, bardzo zabawnie opowiada, jak pisarz zorganizował tajną instytucję *Czerwonych Koni*, tak nazwanych od tego, iż schodzili się jak spiskowcy w nędznej oberży *pod Czerwonym Koniem*. To miała być owa święta legja sprzysiężonych; z tą różnicą, że nie chodziło tu o zbrodnię, tylko o bezwzględne a tajne popieranie się wzajem w prasie w owym tuzinie dziennikarzy i literatów z trudem wybranych z różnych obozów. Trudne przedsięwzięcie! Łatwiej jest zespolić tuzin chwatów prawdziwą zbrodnią, niż zestroić i sprząc ludzi, których co dnia rozdziela gra drobnych interesów życiowych. To też instytucja Czerwonych Koni nie przetrwała dłużej niż kilka kolacyj. Naiwny genjusz nie wiedział, że związki takie istnieją, i to bez żadnych statutów, instynktownie: są to tworzące się wszędzie ligi ludzi miernych; ale do takiej ligi nie mógł on należeć choćby nawet chciał! Przez całe jego życie prasa, krytyka, tworzyły ligę, ale zjednoczoną przeciwko niemu.

A Balzac rozumiał potęgę prasy, jak nikt inny! Pierwszy odgadł, wyczytał jej przyszłość: bo w epoce, w której odmalował jej niemoralną potęgę (*Stracone złudzenia*), była ona dopiero w zawiązku. Prasa paryska w dobie gdy Balzac zaczynał karierę pisarską, to był jakiś tuzin dzienników, liczących po parę tysięcy abonentów, i operujących takimi sposobami jak np. atak na Operę, aby zmusić dyrekcję do zaabonowania pisma dla wszystkich członków orkiestry i baletu! W obrazie skreślonym przez Balzaca prasa ma istotnie coś z szajki.

Nie mogąc opanować prasy, postanowił stawić jej czoło. Założył pismo, które miał wypełniać całkowicie on sam. Pismo miało mówić prawdę, bez kompromisów: można się domyślić, że każdy numer był skandalem! Ale cała prasa odpowiedziała tak bezwzględny bojkotem pisarza, iż, mimo powodzenia „Przeglądu Paryskiego“, musiał zrezygnować z jego wydawania.

Dla tej niecierplivej natury Balzaca olbrzymi jego sukces, jaki towarzyszył mu stale u publiczności, był wciąż za powolny; bajeczne honorarja, jakie mu płacili księgarze, wciąż nie wystarczały jego żarłocznej i marnotrawnej wyobraźni. To też wciąż marzył o teatrze, jako o trybunie, z której wprost mówi się do tłumów, a zarazem jako o kopalni złota. Zyskowne przedsiębiorstwo: oto przedewszystkiem co widział w teatrze. Ale pochłonięty swoim

¹⁾ Por. powieść Balzaca *Ostatnie wcielenie Vautrina* w tłum. Boya-Żeleńskiego.

prawdziwym dziełem, nie mógł oddać teatrowi duszy; chciał zdobyć sukcesy teatralne, ale niejako lewą ręką. Ta cała teatralna karjera Balzaca obfituje w prze zabawne epizody. Nie mając czasu na pisanie sztuk, nie mogąc się oderwać od swego dzieła, przybierał sobie współpracowników, i to dwojakiego rodzaju: jednych, którzy mieli wykonywać jego pomysły; drugich znowu, którzy mieli dostarczać jemu pomysłów; jemu, którego głowa poczyniała pomysłów więcej niż pióro mogło spisać. Jednego z takich „współpracowników“, literacinę z pod ciemnej gwiazdy, zobowiązał się gościć u siebie, żywić, ubierać, opierać, a wzamian miał prawo do wszystkich płodów jego ducha. Nieborak jadł, pił, spał, ale nie wymyślił nic, mimo iż Balzac, który, w myśl swego trybu życia, z nocy uczynił dzień roboczy, budził go po kilka razy w ciągu nocy, żądając odeń scen komedji czy dramatów... Wkońcu biedak uciekł, wolał głód i chłód, niż tę ciężką służbę.

Jednego dnia (opowiada z humorem wierny przyjaciel Balzaca, Teofil Gautier), Balzac wezwał go nagwałt do siebie. „Jutro (oświadczył mi) czytam dyrektorowi teatru wielki dramat w pięciu aktach. Ale ten dramat nie jest napisany. Napiszemy go w ciągu nocy. Sprosiłem was tu czterech; każdy napisze po akcie, ja biorę na siebie piąty: przez dzień i noc można przecież napisać akt dramatu. — Ale, zapytał Gautier, czy masz przynajmniej plan, figury, temat? — Och! wykrzyknął Balzac zrozpaczony, jeśli się wdamy w drobiazgi, nigdy nie dojdziemy do końca“.

Faktem jest, iż pisarz, którego powieści obfitują w tyle scen nawskróś dramatycznych, którego realizm powieściowy miał tak bardzo oddziaływać na charakter teatru w XIX w., sam nie miał daru scenicznego. Ze wszystkich jego sztuk, jedynie *Mercadet*, wystawiony dopiero po jego śmierci, posiada istotną wartość. *Vautrin* zdobył wyłącznie sukces skandalu: sztukę zdjęto na rozkaz policji ze sceny, ponieważ aktor, grający rolę tego awanturnika, ucharakteryzował się przejrzystością na króla Ludwika Filipa.

Oryginalny był sposób, w jaki Balzac chciał zapewnić powodzenie jednej ze swoich sztuk. Zajął w kasie miejsce kasjerki i odmawiał wszystkim biletów, oświadczając, że właśnie ostatnią lożę wzięła księżna V., margrabina Y., etc. Zrazu sztuczka się udała, rozbijano się o bilety, ofiarowywano ogromne sumy, ale kiedy rozeszła się pogłoska, że na dziesięć pierwszych przedstawień nic dostać nie można, zrezygnowano ze starań. I... w dzień premjery sala była prawie pusta. To się nazywa przeciagnąć strunę.

Teatr jest tylko jednym z „przedsięwzięć“ Balzaca, ale w głowie jego roją się wciąż nowe. Obraca tyłoma milionami w powieściach na papierze, że całkiem naturalną drogą chce przenieść to w życie, ile że dla niego rzeczywistość i urojenie nigdy nie były rozgraniczone zbyt wyraźną linią. Robi się w wyobraźni wynalazcą, wielkim spekulantem etc. Gdzie spojrzy, widzi miliony. Z okazji podróży do Polski dla ujrzenia pani Hańskiej projektuje odrazu milionowe zyski na sprowadzeniu polskich dębów do Francji. Jednego dnia dochodzi do wniosku, że muszą istnieć na Sardynji kopalnie srebra niewyczerpane przed dwoma tysiącami lat przez Rzymian: z dnia na dzień puszcza się na Sardynję z zamiarem „uruchomienia“ tego interesu!

Historja finansów Balzaca jest zagadką. Krocie przepływają przez jego ręce, produkuje masę, honorarja bierze jedne z najwyższych, mimo to wciąż stoi przed widmem bankructwa, wciąż lęka się odwiedzin komornika. Gospodarkę jego finansową może objaśnić następujący fakt. Balzac był namiętym czcicielem Napoleona, całe życie ze szczególnem umiłowaniem zbierał wszystkie jego powiedzenia, zamierzając je kiedyś wydać. I oto, pewnego dnia, w rozpaczliwym położeniu finansowem, sprzedaje ów zbiorek jakiemuś jegomościowi, który aspirował do krzyża Legji honorowej, a nie miał do niej żadnego tytułu; ba, sporządza jeszcze przedmowę, wszystko razem za sumę 4000 fr., i ów pan, syn zbogaconego kupca, wydaje to wszystko pod własnem nazwiskiem, i otrzymuje ową Legję, której, nawiasem mówiąc, sam Balzac nie otrzymał nigdy!

Trzeba zauważyć, że dochody Balzaca uszczuplał stan ówczesnych stosunków wydawniczych, a zwłaszcza przedruki, jakie robiono w Brukseli z pominięciem praw autorskich. Całe życie włócił jak kulę u nogi ogromny dług, jaki mu pozostał z owego rozbicia w młodości: ale bo też dług ten, spłacany z jednej strony, wciąż narastał z drugiej, przez kosztowne kaprysy tego anachorety (Balzac był np. całe życie namiętym kolekcjonerem starożytności, a cudny zbiór, opisany w *Kuzynie Ponsie*, to był jego własny), ale zwłaszcza przez jego „zyskowe“ spekulacje. Namiętność budowania, zmieniania mieszkań i urządzania ich, to też jedna z jego kosztownych manij. Słynne były dzieje jego willi *Les Jardies*, zbudowanej na gliniastym gruncie tak pochyłym, iż trzy lata, które Balzac tam spędził, były nieustanną walką z osuwaniem się murów. Kiedy otyły pisarz chciał stanąć na ścieżce w ogrodzie, musiał sobie robić z kamieni podpórki pod nogi. Jednego dnia cały mur otaczający posiadłość

zwałił się dla braku fundamentów, których architekt nie uważał za stosowne położyć. Tegoż samego dnia odrzucono Balzacowi sztukę, którą złożył w teatrze: z wściekłości i rozpaczyci rzucił rękopis do ognia.

Z wszystkich tych anegdot, które możnaby mnożyć bez końca, bije jedno: niespożyta żywotność, energia i czynność wyobraźni pisarza. Wyobraźnia ta stworzyła w Komedji Ludzkiej świat tak pełny i ogromny, jaki jeden może Szekspir wyłonił ze swego mózgu; a rozpęd tej wyobraźni starczył jeszcze na to, aby wypełnić niepokojem całe życie pisarza. I starczyło mu jeszcze sił serca, aby wieść niejako dwa życia, trzy życia! Jedno, to to, które tworzył swoim dziełem; drugie to jego szamotanie się z realnościami egzystencji; trzecie wreszcie, tajemne, to to, które wiódł w owych foljałach listów, słanych do pani Hańskiej na daleką Ukrainę. W listach tych opowiada wszystkie swoje plany, zwierza się z każdej myśli, z każdego dnia. I mimo drobnych zastrzeżeń, jakie z wyżej wspomnianych pobudek budzi autentyczność pewnych szczegółów, mamy tu Balzaca tego, którego nie znał nikt, tego, którym był on może tylko w swoich rojeniach o sobie, wiernego i wciąż jednako tęskniącego Tristana swej dalekiej Izoldy¹⁾. I ciągnie się ta korespondencja przez siedemnaście lat!

I jeszcze starczyło pisarzowi wyobraźni na to, aby na marginesie tej wielkiej miłości szkicować piórem mniejsze poemaciki serca. Do takich należy owa sentymentalna korespondencja z *Ludwiką*, prowadzona niemal przez dwa lata, przyczem ta nieznaną nigdy nie odsoniła swego *incognito* i znikła z życia Balzaca, nie dawszy mu się poznać, tajemnicza, nieznaną.

Biografia anegdotyczna Balzaca, to jeden z najciekawszych przyczynków do psychologii geniuszu. Dominującym wrażeniem, jakie ona daje, jest wrażenie *dziecka*, którem jest ten genialny nawskroś pisarz, jeden z najgłębszych, najdojrzałych historyków życia. Dzieckiem jest w swoich zapałach, naiwnościach, złudzeniach i zawodach, dzieckiem w swojej niecierpliwości i furji życia, dzieckiem w swojej wyobraźni. Owo coś dziecinnego, dobrodusznego, co jest w Balzacu, czyni nam go nad wyraz sympatycznym; ale kiedy znów z innej strony spojrzeć na tę egzystencję; kiedy ujrzymy tego galernika pióra, nie wstającego tygodniami po kilkanaście godzin od biurka, skrcającego świadomie swoje dni nadludzkim trudem, aby wyrzucić z siebie przymus swojej wizji świata, to życie przerazi nas nagłe intensywnością swej halucynacji.

Żadnego może z pisarzy tej miary — a miara to największa — nie znamy tak blisko, tak poufale, jak Balzaca. O Szekspirze nie wiemy nic: nie wiemy nawet, kto nim był; po Moljerze nie zostało nam ani jednego dokumentu, ani świstka z jego ręki. Balzac jest stosunkowo blisko nas; jego bogata szczodra natura kipiała na wszystkie strony, przelewała się. Możemy go obejść dokoła, znamy dzień po dniu niemal jego życie, znamy go w szlafroku, przy biurku, przy stole... I, rzecz dziwna, ten człowiek tak prosty, tak poufale pozwalający do siebie przystępu, pozostaje wszakże, mimo tego zbliżenia, wielką tajemnicą, ma w sobie coś z żywiołu...

Balzac to cały świat! Jest w tym człowieku wszystko: romantyk i realista; mistyk i szarlatan; subtelność i rubasność; asceta i gargantuiczny zaiste temperament. I takim trzeba było być, aby móc napisać prawdziwą Komedję Ludzką! Jak jego dzieło, tak i on sam jest jedną z najpełniejszych kolekcji dokumentów do natury ludzkiej. I dlatego nad brzegiem Balzaca można długo dumać i zapamiętywać się jak nad brzegiem morza i patrzeć na kapryśną grę fal, wciąż zmienną, wciąż nową. A jeżeli w tym szkicu starałem się pokazać genialnego pisarza od strony plotki, od strony małostek, to aby zbliżyć czytelnikom tego tak niesłusznie dziś u nas zaniedbanego pisarza, i zachęcić do poznania go naprawdę — w jego dziele.

KAZIMIERZ TWARDOWSKI (ur. 1866).

Czy człowiek postępuje zawsze egoistycznie?¹⁾

Nieraz można zarówno w rozmowie potocznej jak też w książkach mniej lub więcej poważnych spotkać się z twierdzeniem, jakoby jedyną sprężyną działania ludzkiego był egoizm, jakoby więc człowiek wszystko, cokolwiek czyni, czyni z pobudek egoistycznych. Zdanie to wypowiedział m. i. Larocheoucauld w swych „Réflexions ou Sentences et maximes morales“ (1665). Dowodzi on, że nawet takie czyny, które przedstawiają się pozornie jako skrajne przeciwieństwo egoizmu, przecież w gruncie rzeczy są jego wpływem, ponieważ człowiek poprostu nie może inaczej działać, jak właśnie z pobudek egoistycznych. Pogląd ten, twierdzący, że postępowanie

¹⁾ Przedruk z książki „Rozprawy i artykuły filozoficzne. Zebrali i wydali uczniowie. Lwów 1927“.

¹⁾ Por. *Dzieje Tristana i Izoldy* w tłum. Boya-Żeleńskiego.

ludzkie z konieczności ma na celu własne zadowolenie, znany jest pod nazwą hedonizmu psychologicznego, dla odróżnienia od hedonizmu etycznego, t. j. nauki, iż postępowanie ludzkie powinno mieć na celu własne zadowolenie.

Hedonizm psychologiczny, nie uznający w człowieku innych pobudek prócz egoistycznych, zdaje się na pierwszy rzut oka być sprzecznym z całym szeregiem utartych i powszechnie niemal przyjętych pojęć. Wszak mówimy o pracy dla drugich i o poświęcaniu się, o abnegacji i altruizmie! Cóż znaczą wszystkie te słowa, jeżeli człowiek z natury rzeczy jest i być musi we wszystkim egoistą? Laroche foucauld oraz jego dawniejsi i dzisiejsi zwolennicy mają na to odpowiedź gotową. Twierdzą mianowicie, że praca dla drugich, poświęcenie i t. p. zjawiska pozornie nieegoistyczne można bez wszelkiej trudności sprowadzić do pobudek egoistycznych, jeżeli się tylko dokładnie zważy, dlaczego ktoś się poświęca lub dla drugich pracuje. Wszak czyni tak dlatego, że znajduje w tem zadowolenie; gdyby postępował inaczej, doznawałby wyrzutów sumienia, niepokoję, udręczeń moralnych; chcąc uniknąć tych nieprzyjemnych uczuć, poświęca się dla drugich, co go nietylko uwalnia od przykrości, ale zarazem daje mu prawdziwe i trwałe zadowolenie. Czyżby matka, pytają się, czuwała nad chorem dzieckiem, gdyby w tem nie znajdowała głębokiego zadowolenia, lub gdyby nie przywidywała, że zaniedbując dziecko, sama sobie zgotuje niepokój? A czyżby ktoś usiłował wydrzeć z narażeniem własnego życia z paszczy śmierci człowieka tonącego, gdyby mu to nie sprawiało wzniosłej przyjemności i gdyby nie wiedział, że rola obojętnego widza byłaby mu w takiej chwili wprost bolesną? Tak samo przedstawia się rzecz w każdym podobnym wypadku, we wszystkim tedy człowiek szuka własnego zadowolenia, unika własnej przykrości; nie można zatem wątpić, że egoizm jest istotną podstawą wszelkiego działania ludzkiego.

Takie dowodzenie w istocie wielu przekonywa, stąd też wielka liczba tych, którzy zgodnie z Laroche foucauldem nie wierzą w „prawdziwe“ poświęcenie i t. p. i widzą w niem tylko ukryty egoizm. Wszelako wśród psychologów i etyków, a więc wśród ludzi, którzy w pierwszym rzędzie w kwestji tej są kompetentni, teoria powyższa nie liczy dzisiaj ani jednego zwolennika. Bliższe bowiem jej rozpatrzenie wykazuje dowodnie, że opiera się ona na podwójnym błędzie: jeden z nich jest słowny a drugi rzeczowy. Hedonizm psychologiczny bowiem nietylko zmienia dowolnie znaczenie wyrazu egoizm, lecz nadto przedstawia mylnie faktyczny stan rzeczy.

Czyż jest prawdą, że każdy, który szuka własnego zadowolenia lub unika własnego cierpienia, zasługuje na miano egoisty? Czyż jest egoistą, kto pragnie się uwolnić od bólu zęba albo zapala sobie wyłącznie dla swej przyjemności dobre cygaro? Wiemy dobrze, że takiemu postępowaniu brak znamion egoizmu, że na to, by pewne postępowanie napiętnować jako egoistyczne, trzeba jeszcze czegoś więcej. Nie mówimy bowiem o egoizmie, gdzie chodzi wyłącznie o czyjąś własną przyjemność lub przykrość, lecz dopiero tam, gdzie własna przyjemność lub przykrość łączy się z cudzą przyjemnością lub przykrością. Egoistą nazywamy człowieka, który przysparza sobie przyjemności bez względu na to, czy własną przyjemność okupuje cudzą przykrością czy nie; kto szuka zadowolenia własnego a nie zważa, że warunkiem osiągnięcia własnego zadowolenia jest niezadowolenie cudze, ten jest egoistą. Wynika to z samego określenia egoizmu, który nie jest niczem innym, jak obojętnością na cudzą przyjemność a zwłaszcza przykrość. W tej obojętności na sposób, w jaki pogoń za własnym zadowoleniem oddziałują na otoczenie, leży istotne znamię egoizmu.

Chociażby się więc ludzie poświęcali rzeczywiście ze względu na przyjemność, jaką im to poświęcenie sprawia, przecież nie moglibyśmy ich postępowania nazwać egoistycznym, gdyż szukając własnej przyjemności, nikogo nie krzywdzą, nikogo nie pozbawiają przyjemności, nikomu nie sprawiają przykrości. Tyle co do słownej strony kwestji.

Przypuśćmy jednak, że zwolennicy hedonizmu psychologicznego mają słuszość, używając na swój sposób wyrazu egoizm, zrobimy im to chwilowe ustępstwo i nazwijmy tak jak oni to czynią egoistycznym każde postępowanie, które zmierza do osiągnięcia lub zwiększenia własnej przyjemności albo do usunięcia lub zmniejszenia własnej przykrości, bez względu na to, czy to się dzieje lub nie dzieje z krzywdą otoczenia. Otóż i w takim nawet razie teoria Laroche foucaulda nie da się utrzymać. Sprzeciwiają się jej bowiem niewątpliwe fakty psychologiczne.

Cóż to znaczy, gdy mówimy, że ktoś zmierza do osiągnięcia własnego zadowolenia lub usunięcia własnego niezadowolenia? Znaczy to, że celem jego postępowania jest przysporzenie sobie zadowolenia lub usunięcie niezadowolenia. Aby zaś coś mogło być celem naszego postępowania, musimy o tem w chwili, gdy postanawiamy w pewien sposób postępować, pomyśleć. Rzecz bowiem, której sobie nie uprzytamiam, o której nie myślę, nie może być

celem mego postępowania, ponieważ nie mogę jej mieć na oku, gdy zaczynam w pewien sposób postępować. Zapytajmy się teraz, czy człowiek, który drugiego ratuje od śmierci, czy matka, która postanawia czuwać nad dzieckiem, zamiast udać się na zabawę, rzeczywiście w chwili powzięcia postanowienia uprzytamnia sobie własne zadowolenie, czy myśli o niem? W niektórych wypadkach być może, że tak jest; ale czy tak jest zawsze? Każdy przyzna, że nie musi tak być, i każdy potrafi rzecz poprzeć przykładami wziętymi z własnego doświadczenia. Gdy np. kupujemy dla drogiej nam osoby podarunek, czyż myślimy wtedy o przyjemności, którą odczuwać będziemy, gdy podarunkiem naszym sprawimy osobie obdarowanej radość? A skoro o własnej przyjemności w tym wypadku nie myślimy, nie może ona też być celem, który mamy na oku, kupując dla kogoś podarunek. Celem naszym w tym i we wszystkich podobnych wypadkach jest sprawienie drugiemu przyjemności, w przytoczonych zaś powyżej przykładach celem naszym jest uratowanie komuś życia, albo (w przykładzie matki) uchronienia kogoś od szkody i t. p. O tych bowiem rzeczach myśli się, rzucając się w wodę, by tonącego z niej wydobyć, lub postanawiając czuwać przy dziecku. A ponieważ celem naszym nie jest własne zadowolenie, przeto postępowanie tego rodzaju nie może być nazwane egoistycznym, choćbyśmy się nawet zgodzili na mylne, bo za obszerne określenie egoizmu, przyjęte przez hedonizm psychologiczny.

Pogląd Larochefoucaulda nie może się tedy ostać wobec faktów, dających się w doświadczeniu stwierdzić. Jest poprostu nieprawdą, jakoby jedynym celem ludzkiego postępowania było zwiększenie własnego zadowolenia lub zmniejszenie własnego niezadowolenia. Istnieją jeszcze liczne inne cele ludzkiego postępowania, a nawet wtedy, gdy dążymy do zwiększenia własnego zadowolenia lub zmniejszenia własnego niezadowolenia, niekoniecznie postępujemy egoistycznie.

Wobec tego możnaby się dziwić, jakim sposobem teoria Larochefoucaulda mogła sobie zjednać tak dawniej jakoteż dzisiaj tylu zwolenników. W istocie jednak niema w tem nic dziwnego. Poglądy paradoksalne podobają się nam same przez się, a paradoksalnością swoją zagłuszają głos trzeźwej krytyki. Czynią to tem łatwiej, im silniejsze pozory zdają się za nimi przemawiać, a za hedonizmem psychologicznym przemawiają rzeczywiście pozory bardzo łudzące.

Pierwszy z nich polega na fakcie, że postępowanie naprawdę nieegoistyczne jest czemś dość rzadkiem. Tak często się przekonywamy, że ludzie, których mieliśmy za szlachetnych albo przynajmniej za przeciętnych altruistów, są w gruncie rzeczy egoistami,

że łatwo można ulec pokusie zbyt pośpiesznego uogólniania i pogląd stwierdzony w pewnych wypadkach rozciągnąć do każdego bez wyjątku postępowania ludzkiego.

Ale jest jeszcze drugi, o wiele ważniejszy powód, który tłumaczy nam rozpowszechnienie hedonizmu psychologicznego. Powodem tym jest powierzchowność w rozbiórce tych czynników psychicznych, które łączą się z naszymi postanowieniami i z naszym postępowaniem. Powierzchowność ta sprawia, że bierze się coś, co stale towarzyszy naszemu postępowaniu, za główną lub jedyną jego pobudkę. Chodzi tu mianowicie o rzecz następującą:

Dążąc do jakiegokolwiek celu, doznajemy uczucia przyjemnego, gdy udało się nam cel ten urzeczywistnić, a odczuwamy przykrość, ilekrotnie dążenie nasze nie doprowadziło do celu. I nie tylko tak jest, ale my wiemy też o tem, że tak jest. Wiemy więc, że osiągając pewien cel, doznamy przyjemności. Wynika to z samej istoty celów naszego postępowania, gdyż celem może dla nas być tylko coś takiego, co nam nie jest zupełnie obojętne. Nikt bowiem nie pragnie urzeczywistnić rzeczy, która go nie grzeje i nie ziębi, której istnienie lub nieistnienie żadnych w nim nie wzbudza uczuć. Przyjemność zatem stale towarzyszy urzeczywistnieniu naszych celów, a przykrość ich nieurzeczywistnieniu. Ale ta przyjemność, która w nas się budzi, ilekrotnie pewien cel osiągamy, i o której wiemy, że się ona z chwilą urzeczywistnienia celu w nas zjawi, sama nie jest celem, jest tylko zjawiskiem występującem równocześnie z osiągnięciem celu. Ten, który ratuje drugiemu życie, dozna żywego zadowolenia, gdy jego usiłowania zostaną uwieńczone pomyślnym wynikiem; gdyby mu było rzeczą obojętną, czy osoba tonąca zginie czy nie, nie pragnąłby wcale jej uratować, ale owo zadowolenie nie jest celem jego czynu, lecz zjawiskiem towarzyszącem z konieczności jego postępowaniu lub urzeczywistnieniu celu tego postępowania. Kto tak jak hedonizm psychologiczny z tego zjawiska towarzyszącego, które jest konieczne przy każdym dążeniu, czyni cel dążenia, postępuje tak samo, jakgdyby mówił: „Widuję pewnego człowieka, używającego stale na przechadzce laski. Używanie laski jest dla niego konieczne, ponieważ kuleje tak silnie, że bez laski chodzić nie może. A zatem chodzi on w tym celu na spacer, aby używać laski“. Każdy poznaje niedorzeczność takiego powiedzenia. A jednak hedonizm psychologiczny nie twierdzi nic innego. Tak samo jak używanie laski jest dla tego człowieka niezbędnym warunkiem, umożliwiającym mu przechadzkę, ale nie jest celem przechadzki, tak samo przyjemność doznawana wskutek urzeczy-

wistnienia pewnego celu, jest niezbędnym warunkiem wszelkiego dążenia, ale nie jest sama celem tego dążenia. Nie wyklucza to wcale wypadku, iż ktoś w postępowaniu swoim rzeczywiście ma na celu własną przyjemność; tak samo też nie brak ludzi, którzy na to tylko wychodzą na przechadzkę, by paradować nową laską.

Oto główne źródło, z którego teoria powszechnego egoizmu czerpie pozory słuszności; są to jednak — jak widzieliśmy — tylko pozory. W istocie hedonizm psychologiczny jest jedynie zręcznie

utkaną sofisteryją, tem niebezpieczniejszą, że negując moż-

liwość bezinteresownego postępowania, zgóry

może charaktery słabe zniechęcać do

wszelkich w tym kierunku

usiłowań.



Państwowe Zakłady Kształcenia
NAUCZYCIELI
KURSY PEDAGOGICZNE, LICZNIKI PEDAGOGICZNE
OWIAZJUM KOEDUKACYJNE, SZKOŁA ĆWICZEN
W RADOMIU

Wykaz alfabetyczny treści (indeks).

- | | |
|--|---|
| Analiza psychologiczna twórczości poetyckiej (Ochorowicz) 194 n. | Epoki dziejów trzy (Cieszkowski) 87 n. |
| Antynomja estetyczna w dziejach literatury i sztuki (Matuszewski) 351 n. | Estetyka pseudoklasyków (Chrzanowski) 320 n. |
| Balzac (Boy-Żeleński) 386 n. | Fantazja poetycka (Ochorowicz) 206 n. |
| <i>Batory pod Pskowem</i> (Witkiewicz) 265 n. | Filozofja a teologia (Śniadecki) 9 n. |
| Bogactwo języka a gwary (Brückner) 286 n. | Fredry <i>Śluby panięskie</i> (Tarnowski) 137 n. |
| Braterstwo ludów (Lelewel) 37 n. | Genjuszów młodych wyławiania i kształcenia towarzystwo (Świętochowski) 246. |
| Budownicy i budulec w dziejach (Brzozowski) 374. | Genjusz tajemnica (Boy-Żeleński) 395. |
| Bytu narodów w ludzkości legitymacja (Balzer) 314. | Głos żywy i słowo nieżywe (Morawski) 272 n. |
| Charakter narodowy Polaków (Dmowski) 256 n., (Kalinka) 134 n., (Prus) 233 n., (Szujski) 161 n., Szczepanowski 252 n. | Gospodarstwa społecznego (ekonomji) nauka, jej znaczenie (Supiński) 107. |
| Charaktery narodów, czy są stałe (Dmowski) 259, (Prus) 232. | <i>Hold Pruski</i> Matejki (Witkiewicz) 268 n. |
| Cierpienie źródłem natchnienia (Przybyszewski) 369. | Humanizm (Chrzanowski) 327 n. |
| Cudzoziemszczyzna w mowie (Brückner) 284 n., (Śniadecki) 8. | Humor u Prusa (Matuszewski) 358 n. |
| Człowiek wieczny (Mickiewicz) 58 n. | Ideał czasów nowożytnych (Mickiewicz) 62. |
| Czytający wiek (Morawski) 275. | Igrzyska w Grecji a w Polsce (Prus) 223 n. |
| Czytania sztuka (Morawski) 275, (Prus) 231. | Indywidualizm romantyczny (Chrzanowski) 326 n. |
| Dawność i znaczenie języka polskiego (Brückner) 281 n. | Indywidualizm polski rzekomy (Dmowski) 261. |
| Demagogja (Szujski) 167 n. | Inteligencja polska (Prus) 233 n. |
| Demokratyczna niwelacja (Szujski) 166 n. | Inteligencja polska w <i>Weselu</i> (Gostomski) 336 n. |
| Dieta w lekturze (Morawski) 280. | Intuicja a specjaliści (Mickiewicz) 47 n. |
| Doktryna i doktrynerzy (Mickiewicz) 46 n. | Język polski (Brückner) 281 n., (Sienkiewicz) 237 n., (Śniadecki) 5 n. |
| Doktrynerstwo (Szujski) 168 n. | Kasprowicz (Przybyszewski) 362 n. |
| Egoistyczne postępowanie, czy jedyną regułą (Twardowski) 395. | Klasycyzm (Chrzanowski) 320 n. |
| Eiffła wieża w Paryżu (Prus) 226 n. | Kłopot i bieda, rada na nie (Mickiewicz) 65. |
| Ekonomiczne a moralne odrodzenie (Szczepanowski) 250. | Kojarzenia bezwiedne w twórczości poetyckiej (Ochorowicz) 216 n. |
| Ekonomji społecznej nauka (Supiński) 107. | Kosmopolityzm (Świętochowski) 242 n. |

Krytyki literackiej rola (Prus) 230 n.
 Książka cudza a własna (Morawski) 280.
 Kujaw opis (Przybyszewski) 363 n.
 Kultura polska, jej żywotności dowody (Balzer) 313 n.
 Kultura słowiańska i germańska (Balzer) 294 n.
 Kwestja żydowska (Dmowski) 258 n., (Prus) 236.
Lilli Wenedy rozbiór (Małcki) 119 n.
 Liryczna poezja (Ochorowicz) 194 n.
 List otwarty (Balzer) 294 n.
 Literackie powołanie (Kraszewski) 93 n.
 Literatury upadek (Mickiewicz) 54.
 Lud kujawski (Przybyszewski) 367 n.
 Lud warszawski (Prus) 225.
 Lud wiejski w *Weselu* (Gostomski) 334 n.
 Ludu polskiego charakter (Prus) 233.
 Ludzkość, jej przyszłe losy (Cieszkowski) 91 n., (Szujski) 172 n.
Marja (Mochnecki) 17 n.
 Marzenie a czyn (Kraśiński) 77 n.
 Małcko (Witkiewicz) 265 n.
 Małckowskich obrazów wady i zalety (Witkiewicz) 269 n.
 Materiał twórczy u poetów (Ochorowicz) 200.
 Mianowskiego Kasa (Żeromski) 382 n.
 Mechanizm współczesnego życia (Brzozowski) 378 n.
 Mesjanizm polski (Kalinka) 129.
 Mesjanizmu główny dogmat (Mickiewicz) 40.
 Michał-Anioł (Klaczko) 145 n.
 Mickiewicz (Ochorowicz) 198.
 Mickiewicza pojmowanie (Brzozowski) 375 n.
 Miłość u Prusa a u Sienkiewicza (Matuszewski) 356 n.
 Misja pracy kulturalnej na kresach (Balzer) 310 n.
 Młodość ludzkości i człowieka (Kraśiński) 75 n.
 Modlitwa u starożytnych (Morawski) 274 n.
 Mowa, jaka ma być (Mickiewicz) 66, (Śniadecki) 5 n.
 Mowa polska (Sienkiewicz) 238, (Brückner) 281 n.
 Myśli polskiej zadanie naczelne (Brzozowski) 375.
 Narody przy pracy (Prus) 228 n.

Naśladownictwo u poetów (Ochorowicz) 202 n.
 Natchnienie poetyckie i jego czynniki (Kraśiński) 80, (Ochorowicz) 208 n.
 Nauki znaczenie w życiu narodu (Żeromski) 385 n.
Nieboskiej komedji wstęp (Mickiewicz) 43 n.
 Niemcy a Polska (Balzer) 305 n., (Prus) 23.
 Niemcy w stosunku do słowiańszczyzny (Balzer) 303 n.
 Niepodległości odzyskanie (Balzer) 312.
 Niestrawność umysłowa (Morawski) 280.
 Niewoli spustoszenia (Brzozowski) 376 n.
 Nowotwory językowe (Śniadecki) 8.
 Obce słowa w mowie polskiej (Brückner) 284 n., (Śniadecki) 8.
 Objawienie a filozofja (Mickiewicz) 41 n.
 Odezwa do społeczeństwa (Żeromski) 382 n.
 Oświecenia wiek (Chmielowski) 179 n. (Chrzanowski) 352 n.
 Paralela między Prusem a Sienkiewiczem (Matuszewski) 350 n.
 Pijaństwo słowa (Morawski) 278.
 Pisaniny rozwielenie się (Morawski) 276 n.
 Pisarzy trzy kategorie (Morawski) 279.
 Poetów dwa typy (Matuszewski) 351 n. (Przybyszewski) 361.
 Poetów plaga (Morawski) 277.
 Poetyka czy jest niezmienna (Chrzanowski) 320 n.
 Poezja a życie (Kraśiński) 79 n., (Kraszewski) 96 n.
 Poezja czym jest (Ochorowicz) 194 n., (Przybyszewski) 363.
 Polonizacji czynniki (Balzer) 310 n., (Szajnocha) 118.
 Porównawcze badanie poetów (Matuszewski) 350.
 Postęp, wiara w niego (Chrzanowski) 356 n.
 Postępu miara (Mickiewicz) 53, (Supiński) 105 n.
 Powagi wartość (Kraśiński) 78.
 Powołania literackiego ciernista droga (Kraszewski) 93.
 Powołanie dobrych pisarzy (Śniadecki)
 Powstania listopadowego porównanie z wcześniejszemi (Mochnecki) 30 n.

Powstania listopadowego stosunek do narodu rosyjskiego (Lelewel) 31 n.
 Powstania polskie (Kalinka) 130 n.
 Powstań polskich niepowodzenie, jego przyczyny (Mochnecki) 27 n.
 Pozytywizm warszawski (Chmielowski) 173 n.
 Pozytywizm warszawski a wiek oświecenia (Chmielowski) 179 n.
 Pozytywistów warszawskich program (Chmielowski) 191 n.
 Praca a postęp (Supiński) 104 n.
 Praca organiczna (Chmielowski) 175 n.
 Praca środkiem, nie celem (Supiński) 101.
 Praca w przyrodzie (Supiński) 103.
 Praca w życiu narodów (Prus) 228 n.
 Praca pisarska (Boy-Żeleński) 390 n.
 Pracy wartość i cena (Supiński) 105 n.
 Prawda historyczna (Kalinka) 131.
 Prawdy majestat (Balzer) 309 n.
 Prawdy zdobywanie (Mickiewicz) 51.
 Prądów umysłowych kostnienie i przeżywanie się (Chrzanowski) 315.
 Promieniowanie języka polskiego (Brückner) 289 n.
 Prus (Matuszewski) 350 n.
 Prymat życia nad myślą (Chrzanowski) 315 n.
 Przemówienie na posiedzeniu Tow. nauk. (Balzer) 308 n.
 Przemówienie w rocznicę powstania (Lelewel) 37 n.
 Przesilenie historii (Cieszkowski) 84 n.
 Przeobrażenie duchowe (Słowacki) 71 n.
 Przeznaczenia stwarzanie, nie poznawanie (Brzozowski) 374.
 Przeżycia poety jako materiał twórczy (Ochorowicz) 200 n.
 Przyczyny upadku Polski (Kalinka) 134 n., (Szujski) 160 n.
 Przyszłość ludzkości (Cieszkowski) 91 n., (Szujski) 172 n.
 Reakcja przeciw pozytywizmowi i do romantyzmu nawrót (Prus) 235, (Przybyszewski) 362.
 Reymont (Świętochowski) 245 n.
 Rewolucja francuska (Chrzanowski) 322, (Cieszkowski) 89 n., (Śniadecki) 11 n.
 Rodziny upadek (Mickiewicz) 62.

Romantyzm (Brzozowski) 375 n., (Kalinka) 129.
 Romantyzm a humanizm (Chrzanowski) 326 n.
 Romantyzmu charakterystyka (Chrzanowski) 314 n.
 Romantyzmu błędy (Chrzanowski) 331, (Szczepanowski) 249.
 Romantyzmu dziedzictwo po wieku oświecenia (Chrzanowski) 315 n.
 Romantyzmu epigonowie (Chmielowski) 181 n.
 Rosjanie, emigracyjna odezwa do nich (Lelewel) 31 n.
 Rośnięcie duchem (Słowacki) 71 n.
 Roussa poglądy (Chrzanowski) 324 n.
 Rozwoju ekonomicznego czynniki (Szczepanowski) 253 n.
 Różnice między ludźmi (Mickiewicz) 40.
 Ruś jak polszczała (Szajnocha) 108 n.
 Sienkiewicz (Matuszewski) 350 n.
 Słowacki (Ochorowicz) 197, (Sienkiewicz) 239 n.
 Słowackiego Lechici i Wenedzi (Małcki) 119 n.
 Słowian zachodnich cywilizacyjny dobytek (Balzer) 396 n.
 Słowo żywe w starożytności (Morawski) 272 n.
 Stosunków polsko-rosyjskich dzieje (Lelewel) 31 n.
 Styl dobry i zły jak poznać (Mickiewicz) 66.
 Superlatywu panowanie (Morawski) 278.
 Swobodnego człowieka typ (Brzozowski) 402.
 Sykstyńskiej kaplicy sklepienie (Klaczko) 145 n.
 Symbolizmu teoria (Przybyszewski) 361 n.
 Szczęścia tajemnica (Przybyszewski) 350, (Słowacki) 74.
 Szlachcica polskiego typ psychiczny, jak się urobił (Dmowski) 258 n.
 Szlachty polskiej wady (Dmowski) 258 n., (Kalinka) 134 n., (Szujski) 161 n.
 Sztuka jako świadectwo kultury polskiej (Balzer) 313.
 Śniadecki Jan, patron pozytywistów warszawskich (Chmielowski) 193.
 Świętochowski (Chmielowski) 187 n.

| | |
|--|---|
| Święty Boże Kasprowicza (Przybyszewski) 371 n. | Władza nad sobą (Mickiewicz) 65. |
| Tandeta literacka, kalająca duszę (Morawski) 280. | Wrażliwość poetycka (Ochorowicz) 195 n. |
| Towiański (Mickiewicz) 63 n. | Wschodniej podróży wrażenia (Słowacki) 67 n. |
| Trójca narodowa polska (Prus) 234. | Współczucie psychologiczne u poetów (Ochorowicz) 199. |
| Typy pisarzy (Morawski) 279. | Wychowania wszechstronność (Trentowski) 81 n. |
| Typy twórców (Matuszewski) 351 n., (Przybyszewski) 361. | Wyspiański (Gostomski) 332 n. |
| Ujazdów, zabawy ludowe (Prus) 223 n. | Zakon rycerski pracowników ducha (Balzer) 313. |
| Upadku Polski przyczyny (Kalinka) 134 n., (Szujski) 160 n. | Zaniedbanie języka (Brückner) 282 n. |
| Walka narodów o byt (Prus) 236 n., (Szujski) 172 n. | Zasób społeczny, co to jest (Supiński) 107. |
| Wesele (Gostomski) 332 n. | Zdobycze kulturalne jęz. polskiego (Brückner) 289 n. |
| Wiara w przywileje złudna (Prus) 236. | Zło czem jest (Trentowski) 83. |
| Wiary w siebie znaczenie (Szczepanowski) 251. | Zło i cierpienie u Sienkiewicza i Prusa (Matuszewski) 359, u Kasprowicza (Przybyszewski) 368. |
| Wiek oświecenia a pozytywizm (Chmielowski) 179 n. | Zło, skąd się rodzi (Przybyszewski) 368. |
| Wiek oświecenia a romantyzm (Chrzanowski) 314 n. | Żeromski (Świętochowski) 246. |
| Wielkość w ramach powszedniości (Boy-Żeleński) 395. | Żołnierskiej krwi ofiara (Balzer) 313. |
| | Życie jako wysiłek i odpowiedzialność (Brzozowski) 381 n. |

Wykaz alfabetyczny autorów.

| | Str. | | Str. |
|-----------------------------------|------|--|------|
| Balzer Oswald | 294 | Morawski Kazimierz | 272 |
| Boy-Żeleński Tadeusz | 386 | Ochorowicz Julian | 194 |
| Brückner Aleksander | 281 | Prus Bolesław | 223 |
| Brzozowski Stanisław | 374 | Przybyszewski Stanisław | 361 |
| Chmielowski Piotr | 173 | Sienkiewicz Henryk | 237 |
| Chrzanowski Ignacy | 314 | Słowacki Juliusz | 67 |
| Cieszkowski August | 84 | Supiński Józef | 100 |
| Dmowski Roman | 256 | Szajnocha Karol | 108 |
| Gostomski Walery | 332 | Szczepanowski Stanisław | 249 |
| Kalinka Walerjan | 125 | Szujski Józef | 157 |
| Klaczko Julian | 145 | Śniadecki Jan | 5 |
| Krasiński Zygmunt | 75 | Świętochowski Aleksander | 242 |
| Kraszewski Józef Ignacy | 93 | Tarnowski Stanisław | 137 |
| Lelewel Joachim | 31 | Trentowski Bronisław Ferdynand | 81 |
| Małecki Antoni | 119 | Twardowski Kazimierz | 395 |
| Matuszewski Ignacy | 350 | Witkiewicz Stanisław | 265 |
| Mickiewicz Adam | 39 | Żeromski Stefan | 382 |
| Mochnacki Maurycy | 17 | | |

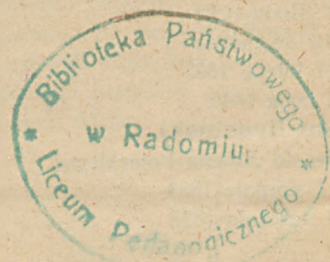
Wykaz porządkowy autorów i tytułów.

| | Str. | | Str. |
|---|------|---|------|
| Przedmowa | 3 | Bronisław Ferd. Trentowski. | |
| Jan Śniadecki. | | Z dzieła p. t. „Chowanna“: | |
| 1. Z Listów o języku polskim | 5 | Wychowanie wszytkości w istocie młodzieńca | 81 |
| 2. O filozofji | 9 | August Cieszkowski. | |
| Maurycy Mochnacki. | | Z dzieła p. t. „Ojciec nasz“: | |
| 1. O „Marji“ Malczewskiego | 17 | a) Rozdzwięk chwili obecnej | 84 |
| 2. Przedmowa do dzieła „Powstanie narodu polskiego“ | 27 | b) Dwie epoki zna dotąd historia | 87 |
| Joachim Lelewel. | | c) Zadanie trzeciej epoki | 90 |
| Z pism i przemówień emigracyjnych: | | Józef Ignacy Kraszewski. | |
| a) Odezwa Komitetu narodowego do Rosjan | 31 | O powołaniu literackim | 93 |
| b) Mowa na obchodzie 2-giej rocznicy rewolucji listopadowej | 37 | Józef Supiński. | |
| Adam Mickiewicz. | | O pracy | 100 |
| 1. Z Kursów literatury słowiańskiej: | | Karol Szajnocha. | |
| a) Rok trzeci, lekcja 2 | 39 | Ze Szkiców historycznych: | |
| b) Rok czwarty, lekcja 2 | 44 | Jak Ruś polszczyła | 108 |
| c) Rok czwarty, lekcja 12 | 52 | Antoni Małecki. | |
| 2. Z korespondencji: | | Z dzieła „Juliusz Słowacki“: | |
| a) Do Bohdana Zaleskiego, 7/I 1840 | 62 | Lechici i Wenedzi w tragedji Słowackiego | 119 |
| b) Do jenerała Skrzyneckiego 23/III 1842 | 63 | Walerjan Kalinka. | |
| c) Do pani Konstancji Wodpol, X 1851 | 65 | Przedmowa do „Ostatnich lat panowania Stanisława Augusta“ | 125 |
| d) Do pani Konstancji Wodpol, I 1852 | 66 | Stanisław Tarnowski. | |
| Juljusz Słowacki. | | O „Ślubach panieńskich“ | 137 |
| Z listów do matki: | | Juljan Klaczko. | |
| a) 17 lutego 1837 | 67 | Z książki „Rzym i Odrodzenie“: | |
| b) z maja 1845 | 71 | Pod sklepieniem kaplicy Sykstyńskiej | 145 |
| Zygmunt Krasiński. | | Józef Szujski. | |
| Z listów do Adama Potockiego: | | Z pism politycznych: | |
| a) 17 sierpnia 1838 | 75 | Dawna Rzplita a jej pogrobowce | 157 |
| b) 8 września 1838 | 78 | Piotr Chmielowski. | |
| | | Przekonania i dążności pozytywistów warszawskich | 173 |

| | Str. | | Str. |
|---|------|---|------|
| Juljan Ochorowicz. | | Aleksander Brückner. | |
| O twórczości poetyckiej ze stanowiska psychologii | 194 | Dawność i znaczenie języka polskiego | 281 |
| Bolesław Prus. | | Oswald Balzer. | |
| 1. Z Kronik tygodniowych: | | 1. Kultura słowiańska i germańska | 294 |
| a) Rzut oka na Ujazdów | 223 | 2. Z przemówienia na pierwszym posiedzeniu publicznem Towarzystwa Naukowego we Lwowie | 308 |
| b) Wieża paryska | 226 | Ignacy Chrzanowski. | |
| 2. Z książki „Najogólniejsze ideały życiowe“: | | Ze studjum „Charakterystyka romantyzmu“: | |
| a) Rola krytyki literackiej. Sztuka czytania | 230 | a) Romantyzm jako reakcja przeciw oświeceniu | 314 |
| b) Charaktery narodowe | 232 | b) Indywidualizm romantyczny | 326 |
| c) Wiara w przywileje | 236 | Walery Gostomski. | |
| Henryk Sienkiewicz. | | Z rozprawy: Arcytwór dramatyczny Wyspiańskiego „Wesele“ | 332 |
| Słowacki-Helios | 237 | Ignacy Matuszewski. | |
| Aleksander Świętochowski. | | Prus i Sienkiewicz (paralela) | 350 |
| 1. Z fejletonów „Liberum veto“: | | Stanisław Przybyszewski. | |
| Kosmopolityzm | 242 | Z gleby kujawskiej | 361 |
| 2. Nad uczczonym grobem | 245 | Stanisław Brzozowski. | |
| Stanisław Szczepanowski. | | Z książki „Legenda Młodej Polski“ | 374 |
| Z książki „Nędza Galicji“: | | Stefan Żeromski. | |
| Konkluzje | 249 | Sprawa Kasy imienia Mianowskiego | 382 |
| Roman Dmowski. | | Tadeusz Boy-Żeleński. | |
| Z książki „Myśli nowoczesnego Polaka“: | | Balzac w anegdocie | 386 |
| Charakter narodowy | 256 | Razimierz Twardowski. | |
| Stanisław Witkiewicz. | | Czy człowiek postępuje zawsze egoistycznie? | 395 |
| Z dzieła p. t. „Matejko“: | | Indeks | 401 |
| Analiza obrazów „Batory pod Pskowem“ i „Hołd pruski“ | 265 | | |
| Razimierz Morawski. | | | |
| Głos żywy i słowo nieżywe w starożytności i w dzisiejszym świecie | 272 | | |

Wykaz tablic.

| | |
|---|-----|
| I. Michał-Anioł. Strop kaplicy Sykstyńskiej. Przed str. | 157 |
| II. Jan Matejko. Stefan Batory pod Pskowem. Przed str. | 272 |
| III. Jan Matejko. Hołd pruski. Przed str. | 272 |



W wydaniu drugim (w stosunku do pierwszego) wprowadzono następujące zmiany: usunięto wypisy ze Staszycy i Krzemińskiego; skrócono wybór z Mochnackiego, Mickiewicza, Witkiewicza i Matuszewskiego; zmieniono wybór z Tarnowskiego, Sienkiewicza i Szczepanowskiego; dodano utwory Supińskiego, Dmowskiego, Boya-Żeleńskiego i Twardowskiego.



Państwowa Biblioteka
NAUCZYCIELI
KURSY PEDAGOGICZNE
CIMNAZIUM KOLEGIUM
W RADOMIU





Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 43321



BGZs 43321